



*Barbara Delinsky*



*Miejsce kobiety*

Tytuł oryginału: A Woman's Place

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdybym była przesądna, potraktowałabym ten zapach jako omen. Chciałam jednak, by tego ranka, w dniu mojego wyjazdu, wszystko szło gładko, a teraz zaczynało brakować mi czasu. Ostatnią zaś rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, było zdenerwowanie Dennisa.

Ale ja okazałam się zbyt ufna, by cokolwiek podejrzewać. Wchodząc tego październikowego poranka do kuchni, nie zauważyłam niczego, co mogłoby się wydać podejrzane. Czułam tylko, że coś jest nie tak. Nieprzyjemny odór zagłuszał słodką woń jesieni, na którą składał się zapach wpadających z podmuchem wiatru uschniętych liści, żurawinowych świec stojących na szklanym blacie stołu i świeżo nazbieranych kasztanów.

Sprawdziłam szafkę pod zlewem w poszukiwaniu opakowania po rybie z wczorajszej kolacji, lecz tutaj powietrze było czyste. Podobnie w piekarniku. W lodówce też wszystko zdawało się być w porządku, niemniej jeszcze sprawdziłam, czy to nie mleko, które moja córka aż nazbyt często zostawiała na blacie szafki. Gotowy do zjedzenia kurczak, którego zostawiłam dla Dennisa, i pojemnik na ser także nie kryły w sobie żadnej niemiłej niespodzianki.

Mimo to przykry zapach nadal wisiał w powietrzu; okropny i z każdą chwilą intensywniejszy. Jeszcze jedno niepowodzenie w szeregu drobnych nieprzyjemności, w jakie obfitował ten tydzień. Jeżeli ma się męża i dwójkę dzieci, a przy tym intensywnie pracuje zawodowo, to przygotowania do każdego wyjazdu – dłuższego niż dwa dni – stają się prawdziwym wyzwaniem. A ja opuszczałam dom aż na jedenaście dni, i nie była to podróż dla przyjemności. Moja matka umierała. Już samo to sprawiało, że byłam

roztrzęsiona i jakakolwiek dodatkowa komplikacja, nawet drobna, mogła tylko pogorszyć mój stan.

Sprawdziwszy wszystkie oczywiste miejsca, zaczęłam się właśnie zastanawiać, czy coś nie gnije pod podłogą naszego dwustuletniego domu, kiedy do kuchni wmaszerował mój syn. Bez butów, w samych skarpetkach, i tak sprawiał wrażenie bardziej poważnego niż przeciętny dziewięciolatek. Wrażenia tego nie mogły zakłócić ani potargane włosy, ani czapeczka baseballowa drużyny Red Sox czy opadające džinsy. Mój syn był bardzo zrównoważonym dzieckiem, trochę może zbyt poważnym, i spostrzegawczym. Choć bardzo starałam się pomniejszyć znaczenie naszej podróży, podejrzewałam, że on i tak wszystkiego się domyśla.

– Nie mogę znaleźć tramppek, mamó. Nie ma ich w moim pokoju, a jeśli ich nie znajdę, to w czym będę chodził u babci? To moje najlepsze trampki.

– Nie martw się – powiedziałam, obejmując go. Siegał mi zaledwie do piersi. – Musiałam oczyścić z błota podeszwy. Gdzie ty biegałeś, Johnny? Umówiliśmy się, że nie będziesz grał w piłkę w swoich najlepszych trampkach.

– Nie graliśmy w nogę, tylko w koszykówkę. Tata Jordana zawiesił kosz, ale nie zdążył wycementować podwórka. – Chłopak się skrzywił. – Fuj... Co tu tak śmierdzi?

Obrzuciłam kuchnię jeszcze jednym rozpaczliwym spojrzeniem.

– Dobre pytanie. Masz jakiś pomysł?

– Nie pytaj mnie. Spytaj Kikit. To ona zawsze zostawia wszystko na wierzchu. Jesteś pewna, że zdążę wrócić przed treningiem?

– Samolot ląduje we wtorek o pierwszej. Trening nie zacznie się przed piątą.

– Jeśli go opuszczę, trener posadzi mnie na ławce.

Ujęłam dłońmi jego buzię. Miał takie gładkie policzki, o skórze chłodnej i delikatnej, nie zdradzającej jeszcze oznak dojrzenia.

– Nie opuścisz treningu, chyba że odwołają lot, a wtedy tatuś lub ja porozmawiamy z tym facetem.

– To jest żelazna zasada – przerwał mi Johnny, cofając się lekko. – Nie ma treningu, nie ma gry. Gdzie moje trampki?

– W garażu. – Podniosłam głos, by lepiej mnie usłyszał. – Będziesz coś jadł? Brody przyjedzie po nas za trzy kwadransy. Na pewno dadzą nam coś do jedzenia w samolocie, ale nie gwarantuję, że będzie ci smakować. Chyba że zjesz coś z tego, co biorę dla Kikit. – Cisza. Widocznie był już poza zasięgiem głosu. Wykorzystałam przerwę, by zawołać moją młodszą pociechę. – Kikit!

– Znowu zmieniła zdanie i teraz przenosi swoją menażerię z pokoju do piwnicy – oznajmił mój mąż, rzucając na stół poranne wydanie Globe'u bez dodatku biznesowego, który zatrzymał dla siebie. – Nigdy w życiu nie widziałem tylu wypchanych zabawek. Czy ona naprawdę potrzebuje tego wszystkiego? – Pociągnął nosem i skrzywił się. – A to co? – zapytał oskarżycielsko. W naszym małżeństwie obowiązki domowe należały do mnie.

Lecz teraz nie mogłam dłużej uganiać się za źródłem tego odoru. Nie miałam czasu.

– Może to szczur. Deratyzator musiał ustawić w piwnicy nowe pułapki, co oznacza, że część trucizny została zjedzona. Może jakiś gryzoń padł, zanim zdołał wydostać się na zewnątrz.

Do kuchni wpadł Johnny, rzucając zwięzłe:

– Wspaniale!

Jego trampki zostawiały na podłodze brudny ślad, ale i tak nie miałam już czasu, by posprzątać.

– Zjesz jajka, Dennis?

– Może. Nie wiem. Najpierw kawa.

Rozsiadł się i rozłożył przed sobą gazetę.

Postawiłam przed nim pełną filiżankę i powiedziałam spokojnie, ignorując swoje zniecierpliwienie, które kazało mi krzyczeć „No, dalej, zabierajmy się stąd”:

– To chcesz te jajka czy nie? Mam czterdzieści minut, żeby posprzątać, umyć się i spakować.

– A co z tym smrodem? Nie mogę tak żyć przez jedenaście dni.

– Może sam zniknie – powiedziałam z nadzieją. – A jeśli nie, zadzwoń do tego fachowca. Jego numer jest na korkowej tablicy.

– Nie będzie mnie tutaj, żeby go wpuścić. Wyjeżdżam zaraz po tobie, żeby spotkać się z grupą Fergusona w Berkshires. Właśnie dlatego nie mogę odwiedzić was na lotnisko. – Obrzucił mnie potępiającym spojrzeniem – Nie mogę uwierzyć, że zapomniałaś zarezerwować lot.

– Bo nie zapomniałam. Zarezerwowałam go dwa tygodnie temu i nawet mam potwierdzenie. Powiedzieli mi, że w zeszłym tygodniu dzwoniłam i odwołałam rezerwację. Ale ja tego nie zrobiłam. Gdybym nie zadzwoniła, by się upewnić, czekalibyśmy na próżno na lotnisku. Całe szczęście, że Brody zgodził się nas podrzucić. – A co do tego zapachu – próbowałam zachować spokój – to wezwij tego faceta, jak wrócisz. Nie wiem, co jeszcze można by zrobić, Dennis. To długi weekend. Wszystkie miejsca zostały już dawno zarezerwowane. Nie mogę polecieć innym samolotem. – Powinnam powiedzieć o wiele więcej: o jego przewrażliwieniu i chorobie mojej matki, czym tak bardzo się dręczyłam, lecz przecież zgodził się zająć dziećmi, gdy po wizycie w Cleveland będę musiała wyjechać jeszcze służbowo na tydzień. Nie byłam niewdzięczna, po prostu nieco zdenerwowana. Z każdą minutą robiło się później.

Zdażyłam wyjąć z lodówki jajka, kiedy do kuchni wpadła, podskakując, moja siedmioletnia córka, Clara Kate.

– Mamusiu, zabieram Trávisa, Michaela i Joy, dobrze? – Spoglądała na mnie prosząco. Miała anielską twarzyczkę w obramowaniu gęstych kasztanowych loków. Ja też miałam włosy tego koloru, choć loki dawno zniknęły, unicestwione nożyczkami i zbyt częstym posługiwaniem się suszarką.

Objęłam ją za szyję i przytuliłam do siebie, drugą ręką rozbijając jajka.

– Myślałam, że uzgodniłyśmy, iż zabierzesz tylko dwoje.

Poruszyła się.

– To prawda, tak powiedziałam, ale które mam zostawić? Tylko ja wiem, co może zaszkodzić Travisowi, Michael miewa koszmary, gdy nie jest ze mną, a Joy płacze bez przerwy, bo oni zawsze dotąd byli razem, cała trójka. A poza tym, chciałabym, żeby poznali Ronę i przywitali się z babcią. Jak tam jest, w tym szpitalu?

– Nie wiem, nie widziałam go. Pomachała małą dłonią.

– Tak okropnie czysto i hałaśliwie, jak w moim?

– Tak jest tylko tam, gdzie leczy się małe dziewczynki, które cierpią na alergię, a zjadły coś, czego nie powinny. U babci na pewno też będzie czysto, ale o wiele spokojniej.

– Czy ona będzie spała?

– Nie przez cały czas.

– Tylko trochę?

– Tak, trochę. Ale nie wtedy, gdy wy tam będziecie. Szkoda by jej było stracić choć jedną minutę.

– Czy ona może mówić?

– Oczywiście, że tak.

- Nie, jeśli ma rurkę w gardle. Będzie miała rurkę w gardle?
- Nie, kochanie. – Otworzyłam paczkę tartego sera i podsunęłam jej. Wzięła pełną garść.
- A w nosie?
- Nie. Mówiłam ci wczoraj wieczorem. – Wsunęła do ust garść sera i zaczęła go pochłaniać, schylając głowę, by nie uderzyć się o moje ramię.
- Tatusiu, dlaczego z nami nie jedziesz?
- Wiesz dlaczego – powiedział spoza gazety. – Muszę pracować.
- Jeżeli musisz pracować – spytała, gramoląc się na stół, gdzie usiadła, machając nogami – to po co wstawiłeś kije golfowe do samochodu? Wymieszałam delikatnie jajka i ser.
- Ponieważ – odparł Dennis – będę grał w golfa po pracy. Po – powtórzył z naciskiem.
- My opuszczamy szkołę, żeby zobaczyć się z babcią. Myślę, że powinieneś pojechać.
- Byłem tam z wami w sierpniu. Jej nogi dotknęły lekko skraju gazety.
- Kiedy babcia wyjdzie ze szpitala?
- Nie wiem.
- Ale wyjdzie?
- Boże, Kikit – powiedział, uśmiechając się z przymusem i gwałtownie odkładając gazetę. – Nie mogę czytać, kiedy bez przerwy uderzasz nogami w gazetę. I rozrzucasz ser. Zejdź ze stołu.
- Wyjedziesz po nas na lotnisko we wtorek?
- Tak.
- Lotnisko jest naprawdę wielkie, więc skąd będziesz wiedział, dokąd masz pójść?

– Nie martw się, będę wiedział. Ze stołu! – przykazał i gdy tylko posłuchała, natychmiast rozłożył tam gazetę.

– Nie martw się, będzie na nas czekał – zawołałam za córką, gdy podskakując wybiegała z pokoju. Wlałam masę jajeczną na skwierczący w rondlu tłuszcz i włączyłam toster. – Informacje na temat lotu są na tablicy – powiedziałam. – I numer, pod którym możesz się dowiedzieć, czy wylądujemy punktualnie. Zapisałam ci też wszystkie numery w Cleveland i potem, gdy dzieci wrócą, kto po nie przychodzi i kiedy.

Gazeta powędrowała w dół, zatrzeszczało odsuwane gwałtownie krzesło. Mężczyzna podszedł do umieszczonej obok telefonu korkowej tablicy i przez chwilę uważnie jej się przyglądał. Chrząknął.

– Co takiego? – spytałam.

– A cóżby mogło być? Ciągle to samo. Potrzebujemy opiekunki.

– Mielśmy opiekunkę. Bez przerwy wisiała na telefonie, po wariacku prowadziła samochód i na okrągło próbowała karmić Kikit masłem orzechowym, choć powtarzałam jej, że sobie tego nie życzę.

– Była Francuzką. Francuskie niańki nie są zbyt odpowiedzialne. Potrzebujemy Szwedki. Wiem, wiem. Znów powiesz, że doskonale radzimy sobie sami. – Postukał dłonią w tablicę. – Ale spójrz tylko na tę listę. To farsa. Nawet gdy jesteś w domu, nic nie idzie, jak należy. Pamiętasz, co było w zeszłym tygodniu?

Jak mogłabym zapomnieć? Kikit i jej koleżanki musiały czekać na mnie blisko godzinę po lekcji baletu, ponieważ w sklepie w Essex, gdzie właśnie pracowałam, zepsuła się instalacja elektryczna i stanął zegar. Czułam się wtedy okropnie.

– Dlaczego nie spojrziałaś na zegarek? – spytał chyba po raz setny.

– Bo byłam zajęta uruchamianiem na powrót komputerów.



– Masz za dużo zajęć – powiedział. Przysięgły pesymista.  
– Nie, nie mam – odparłam. Przysięgła optymistka.  
– Wszystko idzie dobrze, dopóki mi pomagasz.  
– Byłoby prościej wynająć kogoś, kto by porozwoził dzieci.  
– Na pewno by im się to nie spodobało – powiedziałam, mieszając jajecznicę. – Wolą nas. A poza tym, mamy opiekunkę na wypadek nagłej potrzeby. Panią Gimble.

– Pani Gimble nie prowadzi samochodu.  
– Ale mieszka tuż obok nas i kocha dzieci. Dennis? – Odczekałam, aż spojrzy na mnie znad gazety. – Będiesz na meczu Johnny'ego w sobotę, prawda?

– Jeżeli będę mógł.  
Och, z pewnością mógłby. Pytanie tylko, czy zechce.  
– Będzie zdruzgotany, jeśli nie przyjdiesz.  
– Jeżeli coś mi wypadnie i nie będę mógł pójść, to nie pójdę. Ja także mam obowiązki, Claire. Prowadzę interesy, podobnie jak ty.

Jakże mogłabym zapomnieć, zwłaszcza że ciągle mi o tym przypominał. Nie mogłam mu jednak powiedzieć, że teraz, kiedy te jego interesy są tylko cieniem tego, czym były dawniej, na pewno mógłby poświęcać dzieciom więcej czasu. Jednak gdybym to powiedziała, on natychmiast zacząłby się bronić, a teraz z pewnością nie miałam ochoty na długie dyskusje – w dodatku takie, jakie już nieraz prowadziliśmy. Musiałam się jednak upewnić, że należycie zaopiekuje się dziećmi, gdy mnie nie będzie.

– Ile firm jest w grupie Fergusona? – spytałam.

– Zależy, jak liczyć.

Odwróciłam jajka.

– A co oni takiego produkują?

– Wyroby z plastiku. Jeszcze raz odwróciłam jajka. –I handlują nimi?

Chrząknął. Nie wiedziałam, czy ma to oznaczać potwierdzenie, czy wręcz przeciwnie.

Z tosterka wyskoczył tost. Posmarowałam go z obu stron masłem, położyłam z boku na talerzu, na środek zsunęłam jajka i postawiłam to wszystko pomiędzy Dennisem a gazetą. A potem zabrałam się za szorowanie rondla.

– Mecz jest w sobotę rano. Zdażysz wszystko zaplanować. Proszę cię, Dennis. Johnny potrzebuje naszej obecności, przynajmniej jednego z nas. Był bardzo rozczarowany, że nie widziałeś, jak zdobył bramkę w zeszłym tygodniu. Jest przekonany, że już nigdy nie uda mu się zdobyć następnej. I nawet jeśli rzeczywiście tak będzie, powinien wiedzieć, że i tak chcesz go oglądać.

– Powiedziałem, że spróbuję – powtórzył – ale jeśli przeszkodzi mi praca, mogę zdażyć tylko na drugą połowę. Co może tak śmierdzieć? – Odłożył gazetę, która zaszeleściła nieprzyjemnie, odsunął krzesło i zaczął przeszukiwać szafki. – Myślisz ostatnio o wszystkim, tylko nie o domu. Musiałaś schować coś nie tam, gdzie trzeba.

To możliwe. Ale nie spodziewałam się, by znalazł coś w szafkach. Wymyłam je bardzo dokładnie zaledwie tydzień wcześniej.

– Mam – powiedział z niesmakiem. – Wyrzuć to.

Przebiegająca torebka z na wpół zgniłą połówką cebuli wylądowała w zlewie. Nie miałam pojęcia, skąd mogła się wziąć w szafce, w której trzymałam poskładane torby na zakupy, ale gdy spojrzałam pytająco na Dennisa, ten tylko się odwrócił i pomaszerał z powrotem do stołu.

Wyrzuciłam cebulę, sięgnęłam po odświeżacz powietrza i nacisnęłam przycisk.

– Widzisz? – powiedziałam radośnie. – Jesteś dobry w znajdowaniu rzeczy. O wiele lepszy niż ja.

Rzucił mi poirytowane spojrzenie i wrócił do studiowania notowań giełdowych.

Brody przyjechał trzydzieści minut później. Poczęstował się filiżanką kawy i przez chwilę rozmawiał z Dennisem o interesach, podczas gdy ja kończyłam pakowanie, ścieliłam łóżka i ubierałam się. Postanowiłam włożyć kostium, składający się z miękkich szarych spodni, apaszki w kolorze kości słoniowej i morelowego zakietu, który przyda mi się podczas biznesowych spotkań po wizycie w Cleveland. A poza tym, kostium na pewno spodoba się mamie. Uwielbia ładne rzeczy, ich dotyk na skórze i to, jak prezentują się na jej córkach. Było to zrozumiałe, zważywszy, jak ciężkie miała życie i jak bardzo cieszyła się, że złe czasy w końcu minęły.

Wreszcie, gdy wszystko i wszyscy znaleźli się w samochodzie, a Dennis, wycelowany i wyściskany, pozostał na podjeździe naszego georgiańskiego domu w stylu Cape Cod – który co prawda nie mieścił się na Cape Cod, lecz w małym miasteczku na północ od Gloucester – przyłączyliśmy się do rzeszy zmierzających w kierunku Bostonu dojeżdżających pracowników i skierowali na lotnisko.

Usadowiłam się wygodnie na przednim siedzeniu Range Rovera Brody'ego i odetchnęłam z ulgą.

– Zmęczona? – zapytał miękko.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową, a potem z rezygnacją machnęłam ręką. Tak, byłam zmęczona. I zmartwiona. A poza tym odczuwałam ulgę, że zostawiłam za sobą Dennisa.

Nienawidził moich podróży, uważał, iż zakłócają normalny tryb życia rodziny, i to pomimo moich wysiłków, by do minimum zmniejszyć

niedogodności. Prawdę mówiąc, tym razem i tak nie sprawiał zbyt wiele kłopotu, zachowywał się raczej zgryźliwie niż wojowniczo. Może zaczął wreszcie dorastać. Lub także martwił się o moją matkę. Bez względu na to, jaki był powód, tym razem obyło się bez większych eksplozji.

Teraz zaś, siedząc obok Brody'ego, mogłam zapomnieć o swoich obowiązkach – przynajmniej na godzinę, potrzebną, by dotrzeć na lotnisko.

– Jesteś aniołem, że zgodziłeś się nas podrzucić – powiedziałam, opierając głowę na zagłówku. Brody był równie miły dla oka, jak w sposobie bycia – miał jasnobrązowe włosy i ciemnobrązowe oczy, nadal nieco zamglone od snu i ukryte za okularami w metalowych oprawkach. Zawsze życzliwy i swobodny, stanowił istny balsam dla moich skołatanych nerwów.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział. – A tak przy okazji, Dennis mocno zaangażował się w tę sprawę z grupą Fergusonsona. Spółka przeżyła ostatnio kilka trudnych chwil, ale ma dobry zarząd i parę tęgich głów. Potrzeba tylko trochę pieniędzy, by wszystko znowu zaczęło się kręcić. Jeżeli Dennisowi uda się zdobyć dla nich tę forszę, na pewno nieźle na tym skorzysta.

Miałam nadzieję, że tak się stanie. Ostatnio nie wiodło mu się najlepiej, co sprawiało, że mój sukces był dla niego tym trudniejszy do zniesienia. Nie, żeby pracował tak ciężko jak ja. Lub żeby chciał tak pracować. Ale nie przeszkadzałoby mi, gdyby i jemu trafił się jakiś tłusty kasek. Moje ego na pewno by na tym nie ucierpiało.

– Dzisiaj powinny do mnie wrócić umowy na koncesję w St. Louis – powiedział Brody, jak zwykle spokojny i kompetentny. – Kiedy już uzgodnimy wszystko z koncesjobiorcą, będę mógł umówić się z firmą budowlaną i zacząć renowację. Do twego powrotu we środę będę już wszystko wiedział. Przefaksuj mi informacje do hotelu. Masz projekt wnętrza?

Dotknęłam walizeczki u swoich stóp.

– Trudno uwierzyć, że to już numer dwudziesty ósmy.

Minęło dwanaście lat od chwili, gdy otworzyliśmy pierwszy sklep. Ten właśnie sklep, nasz okręt flagowy, nadal pozostawał otwarty i świetnie prosperował w porzuconej remizie w Essex, o piętnaście minut jazdy samochodem od domu. Stał się też wzorem dla całego łańcucha następnych tego typu przedsięwzięć, od Nantucket po Seattle. Oboje z Brodym zarządzaliśmy nimi żelazną ręką, trzymając się ustalonych zasad. I tak – wszystkie sklepy mieściły się w wolno stojących budynkach – starych szkołach, porzuconych barach, stacjach obsługi, magazynach, a nawet kościołach, które już nie pełniły swoich funkcji. Na tym właśnie polegała część ich uroku. Reszta zaś brała się ze starannie przemyślanego wystroju wnętrza, opartego na tym samym ogólnym planie i umiejętnej prezentacji naszej oferty – wyplatanych mebli. Oboje z Brodym sprawowaliśmy kontrolę także i nad tym. Wszystkie zamówienia przechodziły przez nasze ręce. Jedno z nas zawsze było obecne przy otwarciu nowego sklepu i odwiedzało go później dwa razy w roku.

Dwadzieścia osiem koncesjonowanych sklepów, tuzin butików w renomowanych domach towarowych, plantacja wikliny w środkowej Pensylwanii, pokoje w licznych instytucjach dobroczynnych – mój umysł wręcz bronił się przed przyjęciem tego do wiadomości. Osiągnęliśmy tak wiele w tak krótkim czasie, że wydawało się to niemożliwe i z pewnością, prócz ciężkiej pracy, wymagało więcej niż tylko łutu szczęścia. Posadziłam wątłą roślinkę, która teraz kwitła jak szalona.

– Wiesz, dokąd lecimy? – spytała Kikit Brody'ego. Przesunęła się ze swego miejsca w tyle samochodu i teraz spoglądała na nas pomiędzy foteli, skąd wychylało się jej małe ramię, uczezione skórzanego rękawa kurtki Brody'ego. Powinna była siedzieć z tyłu, przypięta pasami jak Johnny, ale nie

miałam sumienia zmuszać jej do tego, zważywszy iż w samolocie i tak wkrótce uczynią to stewardesy. A poza tym Brody był dobrym kierowcą i kochał moje dzieci. Gdyby wydarzył się jakiś wypadek, to silne, odziane w skórę ramie przycisnęłoby Kikit do fotela w ułamku sekundy.

– Myślę, że do Cleveland – powiedział, jak zwykle cierpliwy, chociaż oboje wiedzieliśmy, co teraz nastąpi.

– Byłeś tam kiedyś?

– Wiesz, że tak.

– Ale i tak mi opowiedz.

– Chodziłem w Cleveland do college'u – powiedział posłusznie Brody. – Tam właśnie poznałem waszego tatusia.

–I naszą mamusię.

–I waszą mamusię. Ale tatusia najpierw. Należeliśmy do tej samej korporacji. – Umilkł. To także była część zabawy.

–I była z was niezła para rozrabiaków – podpowiedziała Kikit.

– Rzeczywiście, braliśmy udział w każdej awanturze, to właśnie chciałem powiedzieć – sprostował z przesadną dokładnością, za co Kikit wynagrodziła go jednym ze swoich słodkich uśmiechów. – A potem ukończyliśmy college, zaczęliśmy studiować zarządzanie w różnych uczelniach i nasze drogi na jakiś czas się rozeszły.

– Na sześć lat.

– Znasz tę historię lepiej ode mnie.

Zamknęłam oczy, odchyliłam głowę i uśmiechnęłam się. Rzeczywiście, znała ją lepiej. Brody opowiadał ją Kikit jeszcze długo po tym, jak Dennis znużył się powtarzaniem w kółko tego samego.

– Porozmawialiście ze sobą, a potem postanowiliście wspólnie poprowadzić interes, ale nie w Cleveland. Znałeś moją babcię w Cleveland?

– Nie. Nie poznałem jej wtedy, dopiero kiedy sprowadziliśmy się tutaj.

– Czy ona umrze?

Otworzyłam oczy i zerknęłam na Kikit, gotowa zganić ją za samo myślenie o czymś podobnym. A potem moje spojrzenie przesunęło się na wystraszoną twarzyczkę Johnny'ego i zdałam sobie sprawę, że mała tylko głośno wyraża to, o czym myślą oboje. Kikit na pewno wiele o tym rozmyślała – i kochałam ją za to, nawet gdy domagała się odpowiedzi, których nie byłam jeszcze gotowa jej udzielić.

– Nie dziś ani nie jutro – odpowiedział Brody zamiast mnie.

– Ale niedługo? – dopytywała się Kikit.

– Być może. Choruje już od jakiegoś czasu. Jej ciało jest bardzo zmęczone.

– Ja też czasem czuję się zmęczona.

To „czasem” zabrzmiało bardziej jak „casem”, a Kikit sepleniała tylko w momentach silnego zdenerwowania. Wzmianka o chorobie mogła zdenerwować ją dostatecznie mocno, by spowodować nawrót niewyraźnej wymowy.

– To nie to samo – powiedział Brody. – Zupełnie nie to samo.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie i zdecydowanie. Ty męczysz się tak jak my wszyscy. U twojej babci jest to spowodowane wiekiem i chorobą.

– Rakiem.

– Tak, rakiem.

Kikit głośno wciągnęła powietrze. Zesztywniałam z obawy, że zaraz nastąpi kolejny atak. Tymczasem usłyszałam tęskne:

– Brody, pójdziemy w tym roku do cyrku? Obiecałeś mi, że pójdziemy, ale nie mówisz, że się wybieramy. Moja przyjaciółka Lily pójdzie. I Alexander Bly. Ja też chcę pójść.

– Mam już bilety.

Mała twarzyczka rozjaśniła się uśmiechem.

– Naprawdę? Od kiedy? Będziemy siedzieli pośrodku, jak w zeszłym roku? Tam, gdzie te słonie tak się wspinały? Pamiętasz, Brody? To było po prostu super. Joy także pójdzie, prawda? To nie byłoby w porządku, gdybyśmy poszli bez niej. – Joy była córką Brody'ego. – Chciałabym jeszcze jednego aligatora, takiego jak Hektor – paplała dalej. – Mogę go dostać, mamusiu? I żeby był fioletowy? Nie obchodzi mnie, co mówi tatuś, aligatory powinny być z innymi aligatorami. Więc mogę, mamusiu? Proszę...

Connie Grant zawsze była niewysoka i drobna, ale w ciągu tych kilku tygodni, jakie minęły od naszego ostatniego spotkania, jeszcze bardziej zmaląła i jakby zapadła się w sobie. Wzrost, koloryt, energia – wszystko uległo zmniejszeniu. Zamroczone lekami, z trudem skupiała spojrzenie na dłużej niż kilka sekund. Głównym problemem, jak mi powiedział lekarz, kiedy zadzwoniłam, aby się dowiedzieć o jej stan, nie był teraz rak, lecz serce. Operacja nie wchodziła w grę. Pacjentka była zbyt słaba.

Musiała widocznie oszczędzać siły, by nie przestraszyć dzieci, bo kiedy tylko drzwi zamknęły się za nimi oraz moją siostrą i zostałyśmy same, natychmiast umilkła i zamknęła oczy.

Siedziałam przy niej z sercem przepełnionym smutkiem. Po kilku minutach zaczęłam nucić, za co zostałam wynagrodzona słabym uśmiechem. Connie uwielbiała Barbrę Streisand, zaczęłam więc od "Evergreen" i śpiewałam cicho, aż odpoczęła na tyle, że mogła przynajmniej na mnie spojrzeć. Skończyłam „The Way We Were” i uśmiechnęłam się.



Odpowiedziała mi bladym uśmiechem. Spojrzałyśmy na siebie jak dorosła kobieta na dorosłą kobietę, a jej spojrzenie wyrażało prawdę, której najbardziej się obawiałam. Powiedziałam więc szybko:

– Nawet o tym nie myśl.

– Jak mogę nie myśleć? – spytała słabym głosem. – Nie mam nic do roboty, jak tylko leżeć i myśleć. Co za ironia. Tyle wolnego czasu. Zamknęła oczy i westchnęła. – Zawsze było coś do zrobienia, zawsze byłam zajęta i tak niewiele mi z tego przyszło. – Otworzyła oczy, spojrzeniem błagając mnie o zrozumienie. – To takie denerwujące, tyle chciałam zrobić i nie zrobiłam.

– Od czasu, gdy umarł tatuś – powiedziałam – zrobiłaś aż nadto. To ty utrzymałaś nas na powierzchni. Pracowałaś dzień i noc.

– Goniłam za własnym ogonem, oto co robiłam. Niczego nie osiągnęłam. Tak jak teraz. Kiedy już mi się zdaje, że poradziłam sobie z bólem, on dopada mnie znowu. Jestem zmęczona, Claire.

Jej słowa przeraziły mnie i wprawiły w rozpacz. Connie Grant nie zasłużyła sobie na to, aby umierać w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Długo walczyła o lepszy los, a kiedy sprawy nie układały się, jak należy, dobywała nowych sił i walczyła jeszcze wytrwalej.

– Och, mamó. Było wiele dobrych rzeczy. Całe mnóstwo.

– Ty, z pewnością. – Westchnęła. – Co do Rony, nie jestem pewna.

– Z Roną wszystko w porządku.

– Ma trzydzieści osiem lat, a zachowuje się jak dwunastolatka.

– No cóż, w takim razie jest cudowną dwunastolatką. Opiekuje się tobą, mamó. O wiele więcej niż ja. Szkoda, że nie mieszkam bliżej.

– Nawet gdybyś mieszkała, to przecież masz rodzinę. I firmę. Rona nie ma niczego.

– Ma przyjaciół.

– Równie zagubionych, jak ona. Nikt z nich do niczego nie dąży – chyba że do najbliższego salonu piękności, by zrobić sobie manicure. Co by robiła, gdyby nie mogła się mną opiekować? Dwaj mężowie zniknęli równie szybko, jak się pojawili. Nie ma dzieci i nie pracuje. Martwię się o nią.

– Po prostu nieco się zagubiła, ale to minie.

– Będiesz na nią uważać, Claire? – powiedziała prosząco, jeszcze bardziej blada niż przed chwilą. – Kiedy odejdę, Rona nie będzie miała nikogo.

– Zrobię, co będę mogła.

– Zaoferuj jej koncesję na jeden ze swoich sklepów.

– Już to zrobiłam. Odmówiła.

– Więc zrób to jeszcze raz. Pieniądze Harolda wkrótce się skończą. Biedactwo, jest równie bezradna, jak byłam ja, gdy zmarł wasz ojciec. Być może potrzeba jej bicza nad głową. To smutne, jak historia lubi się powtarzać. Pomimo że tak bardzo staramy się uchronić nasze dzieci, aby nie popełniały tych samych, co my, błędów.

Zapał, z jakim mówiła, zdawał się pozbawiać ją sił. Zapadła głębiej w poduszki.

– Przynajmniej z tobą mi się powiodło. Opowiedz mi o nowej filii.

Zadowolona ze zmiany tematu, opowiedziałam jej o magazynie w St. Louis i Międzynarodowej Wystawie Mebli Domowych w Północnej Karolinie. Uśmiechała się i potakiwała, chociaż widziałam, że chwilami odpływa gdzieś daleko. Pomimo to rozmowa o mojej pracy niezmiennie sprawiała jej przyjemność. Więc kiedy leżała tak z głową zwróconą w moją stronę, opowiedziałam jej o szkodach, jakie wyrządziła powódź w naszym sklepie w Nowym Orleanie, o ewentualnym rozszerzeniu działalności na Denver, koncesjobiorcach, z którymi trzeba jeszcze odbyć rozmowy, i o nowych lokalizacjach naszych sklepów w Atlancie.

– Dobrze – wtrącała od czasu do czasu. – Im więcej miast, tym lepiej. Trzeba być znanym.

W końcu, co było do przewidzenia, spytała jak zawsze o Nowy Jork.

Miałam doskonale prosperujący sklep w East Hampton, ale East Hampton to nie Manhattan, przynajmniej dla mojej mamy. Pragnęła, bym założyła sklep przy Piątej Alei.

– Jeszcze nie – powiedziałam. – Może za kilka lat.

– To byłby naprawdę sukces, nie sądzisz?

– Nie wiem, mamo. Manhattan to trudne miejsce. Koszty byłyby olbrzymie. Może jakiś butik w domu towarowym.

– Nie, samodzielny sklep przy Piątej Alei. A teraz powiedz mi o wszystkim, o czym nie zdążyły powiedzieć dzieci.

Opowiedziałam o występach Johnny'ego w chórze kościelnym, o wyprzedazy kwiatów, w której brała udział drużyna zuchów Kikit, o nauczycielach i przyjaciółach dzieci. Mówiłam, dopóki znów nie opadła z sił. Wydawało się, że złości ją, iż marnuje w ten sposób czas mojej wizyty. Zostawiłam ją więc, by wypoczęła, i obiecałam wrócić w porze kolacji.

Rona była ode mnie młodsza zaledwie o dwa lata. Dorastałyśmy, dzieląc pokój, ubrania, nawet przyjaciół – powinnyśmy więc być sobie bliskie. To, że tak się nie stało, wynikało z faktu, iż dzieliłyśmy także Connie.

Mnie dzielenie się matką nie sprawiało trudności. Byłyśmy tak bardzo do siebie podobne, że zawsze wygrywałam w rywalizacji z siostrą. Inaczej miała się sprawa z Roną. Czując się niepotrzebna i wyobcowana, rozpaczliwie starała się pozyskać aprobatę matki. Tak bardzo się starała, że jej wysiłki za każdym razem kończyły się fiaskiem. Pomimo to nie zaprzestawała starań, w płonnej nadziei, że tym razem wszystko potoczy się inaczej.

Próbując wybawić nas od nędzy, w wieku dwudziestu lat wyszła za mąż za najbardziej pożądanego i najbogatszego kawalera, jakiego mogła znaleźć. W trzy lata i dwie kochanki później po Jerry'ym zostało już tylko wspomnienie. Nie zniechęcona, zwłaszcza iż ja właśnie miałam stanąć na ślubnym kobiercu, znalazła sobie po jakimś czasie męża numer dwa. Harold był najbogatszym i najstarszym kawalerem, jakiego udało jej się znaleźć. Nie zdradzał jej, ale po prostu umarł.

Moje dzieci uwielbiały Ronę, a ona je. Gdy przyjeżdżała do nas z mamą, zabierała je do kina, sklepów z zabawkami, muzeum nauki i do restauracji, jednym słowem do miejsc, gdzie zabierali swe pociechy wszyscy liczący się mieszkańcy Cleveland. Potrzeba stałego bycia w ruchu, która dorosłym wydawała się wręcz neurozą, dla dzieci była czymś naturalnym. Ona też była dzieckiem – tyle że dzieckiem z grubym portfelem. W jej zachowaniu, gdy była z moimi dziećmi, dawało się wyczuć jakąś przekorę, jak gdyby mniej zależało jej na tym, by robić to czy tamto, a bardziej, by robić to, czego nie zrobiłabym ja. Celem życia Rony mogło być uzyskanie aprobaty matki, nie przeszkadzało jej to jednak w ciągłym rzucaniu mi wyzwania. Ja byłam ta skąpa i sztywna, ja wprowadzałam dyscyplinę i ograniczałam wydatki. I to ja stanowiłam najgłębszą przyczynę jej nieustannej frustracji.

Teraz musiałam znowu odpowiadać na niezliczone pytania. Rona była podejrzliwa, chciała wiedzieć, co powiedzieli mi lekarze, przekonana, że jej nie udzielili nawet połowy tych informacji. Johnny, bojąc się zapytać wprost o los babki, wypytywał o to, co stanie się z jej kotem, lecz Kikit nie miała takich oporów. „Co było w tym zastrzyku?” – dopytywała się. Albo: „Widziałaś, jak drżały jej ręce? Dlaczego to urządzenie tak piszczy?” lub: „Słyszałam, że płakała, gdy przewracali ją na bok. Dlaczego ona płakała, mammo?”.

Dzieci przychodziły ze mną do szpitala dwa razy dziennie. Wpadały jedynie na krótko, lecz te wizyty, zamiast przynosić im radość, przerażały je. Widok pozbawionej sił, kruchej postaci w łóżku wydawał się dla nich wręcz nie do zniesienia. Rona więc po chwili je zabierała. Mój przyjazd zapewnił jej możliwość ucieczki i nawet tego nie ukrywała. Czasami rzucała tylko suche: „Powodzenia” albo drażniła się ze mną, mówiąc: „Będziemy o tobie myśleli”. Czasami zaś spoglądała na mnie z satysfakcją, a jej spojrzenie mówiło, że nadszedł wreszcie dzień zapłaty.

I miała rację. Nie tylko, że przez te wszystkie dni, kiedy mnie tutaj nie było, wysiadywała w szpitalu, musiała jeszcze znosić nieustanną krytykę ze strony Connie. Nie, nie winiłam jej za to, że pragnie wytchnienia. Gdybym miała jakikolwiek wybór, ja także wolałabym być teraz gdzie indziej, ponieważ przyglądanie się, jak umiera moja matka, było bardzo bolesnym doświadczeniem. Nieważne, jak często przychodziłam do szpitala, i tak widok jej twarzy wycieńczonej chorobą za każdym razem mnie zaskakiwał. I bez względu na to, jak długo siedziałam przy matce, obserwując jej bladość, i tak nie przestawałam się dziwić, jak bardzo jest blada. I bez względu na to, jak rozpaczliwie starałam się myśleć o czymś innym, kiedy wieczorem zmęczona kładłam się do łóżka, i tak leżałam bezsennie, pogrążona w smutku.

Dzieci zostały do wtorku. Pożegnanie z babcią nie było jedynym trudnym momentem, jakiemu przyszło nam stawić czoło tego dnia. Kiedy przyjechaliśmy na lotnisko, powiedziano nam, że przyloty samolotów zostały odwołane ze względu na szalejącą nad wschodnim wybrzeżem burzę. Godziny odlotów przesuwwały się wciąż i wciąż. Próbowалам dodzwonić się do Dennisa – do pracy i do domu – nie raz, ale trzy razy. Za każdym razem zostawiałam na automatycznej sekretarce wiadomość, na którą on nie odpowiadał.

Johnny zaczął się martwić, że będzie musiał opuścić trening.

Kikit zaczęła się martwić, że Dennis nie wyjdzie po nich na lotnisko.

Godzina odlotu została przesunięta raz jeszcze. Zostawiłam Dennisowi nowe wiadomości na automatycznej sekretarce. Johnny zaczął płakać, że nie chce zostać posadzony na ławce, ponieważ drużyna, z którą mieli grać w sobotę, nie była w najlepszej formie i mieli szansę z nią wygrać, a on chciał mieć w tym swój udział. Kikit płakała, powtarzając na okrągło, że Michael, Travis i Joy zostały w walizkach i teraz bardzo się boją, że zostaną zagubione, i co właściwie dzieje się z bagażami, gdy odwołują loty?

Co do mnie, to wcale nie czułam się lepiej niż moje dzieci. Nie podobało mi się, że muszą lecieć same, lecz kiedy zaproponowałam, by poczekały do jutra, aż poprawi się pogoda, Johnny tak się zdenerwował, że dałam spokój. W końcu zmieniono trasę lotu –mieli polecieć przez Baltimore – co jeszcze bardziej zdenerwowało Johnny'ego. Zaczął poszturchiwać Kikit, która z płaczem schroniła się w moich ramionach. Zostawiłam Dennisowi kolejną wiadomość, po czym zapakowałam dzieci do samolotu i odebrawszy od stewardesy solenne przyrzeczenie, że osobiście przekaze je Dennisowi na Logan, pożegnałam się z nimi.

Zerkając ciągle na zegarek, wróciłam do szpitala i ponownie próbowałam skontaktować się z Dennisem. Jednak nadal odpowiadała mi automatyczna sekretarka. Zdenerwowana, wysłuchiwałam po raz kolejny własnych wcześniejszych nagrań, aż wreszcie, na krótko przed tym, jak miał lądować pierwszy samolot, udało mi się go złapać.

– Zdasz po nie? – spytałam, podając mu nowe informacje.

– Oczywiście, że zdążę – odparł.

Ale nie zdążył. Dzieci wylądowały na Logan o szóstej, a on zjawił się po nie dopiero o szóstej czterdzieści. Twierdził, że taką właśnie godzinę przylotu mu podałam.

Nie była to prawda, lecz kłótnia na nic by się nie zdała. Wszystko, czego pragnęłam, to uspokoić dzieci na tyle, na ile to było możliwe przez telefon, i wczłgać się wreszcie do łóżka. Nie spałam dobrze przez cały poprzedni tydzień – jak zwykle, gdy jestem poza domem – i teraz czułam się naprawdę skonana.

Przełożyłam wyjazd do St. Louis na czwartek, by spędzić jeszcze jeden dzień z mamą. Jeden telefon do Brody'ego i wszystko zostało na nowo zaaranżowane. W piątek mieliśmy się spotkać na otwarciu Międzynarodowej Wystawy Mebli Domowych w High Point i spędzić czas pracowicie do poniedziałku, spotykając się przez dwanaście godzin dziennie z dyrektorami do spraw sprzedaży. Wiedziałam, co mi się podoba i co spodoba się naszym klientom, a Brody wiedział, które wyroby warto kupić ze względu na umiarkowaną cenę i to, że mogą uzupełnić naszą ofertę.

Zdając sobie sprawę, jak bardzo martwi mnie choroba Connie, Brody wziął na siebie załatwienie spraw w Denver i Nowym Orleanie, pozostawiając mi jedynie Atlantę. Dzięki temu już późnym popołudniem we wtorek znalazłam się znów w Cleveland. Rona była zachwycona, że trafił jej się jeszcze jeden wolny dzień, lecz ja nie robiłam tego dla Rony. I nawet nie dla mamy. Przede wszystkim robiłam to dla siebie. Nieważne, jak bardzo pragnęłam znaleźć się z powrotem w domu. Connie Grant była moją matką, innej nie będę miała. Zbyt długo żyłam z dala od niej. I aż nazbyt szybko przestanie mieć znaczenie, gdzie mieszkam.

Dzieci były rozczarowane, lecz mnie rozumiały. Wykazywały tę zadziwiającą wyrozumiałość przy wszystkich moich służbowych podróżach – być może dlatego, że spędziwszy najwcześniejsze dzieciństwo raczkując po tym czy innym sklepie, czuły się osobiście związane z firmą. Znały się na towarze, biegle posługiwały zawodowym żargonem i przed otwarciem

kolejnego sklepu doświadczały tych samych co ja emocji. A poza tym wiedziały, że zawsze mogą do mnie zadzwonić – gdziekolwiek bym była.

Tym razem zaś, tuż po wizycie u babci, zdawały sobie sprawę, jak bardzo jest chora. Jeżeli to, że z nią będę, uczyni babcię szczęśliwszą, zadeklarowała Kikit, to powinnam zostać, pomimo iż ona śmiertelnie się za mną stęskniła.

Żałowałam tylko, że ich ojciec nie okazał się równie wspaniałomyślny. Musiałam mu przysiąc, że wrócę do domu popołudniowym samolotem w czwartek.

We środę, ostatniego dnia mojego pobytu w Cleveland, mama wydawała się silniejsza. Wspomniała nawet o przyjeździe na wschód na Święto Dziękczynienia i chociaż lekarze wykluczali taką możliwość, uczepliłam się jej kurczowo. Odbieranie babci z lotniska stało się już tradycyjnym świątecznym zwyczajem. Dzieci liczyły na to, podobnie jak ja, że będzie mogła przyjechać. Nalegała, żebym zadzwoniła do domu, by sama mogła porozmawiać z wnukami, i była bardzo rozczarowana, gdy odezwała się automatyczna sekretarka. Co do mnie, to uważałam to za dobrą nowinę.

– Widocznie Dennis zabrał je gdzieś, gdzie na pewno doskonale się bawią.

Twarz mamy wyrażała tęsknotę.

– Są tacy mili, oboje. Masz wspaniałe dzieci – dojrzałe, ładnie się wysławiające – tak różne od siebie, a jedno bardziej cudowne od drugiego. Jesteś lepszą matką niż ja.

– Nie, nie jestem. Miałam po prostu szczęście, to wszystko.

– Szczęście nie ma z tym wiele wspólnego. Ludzie sami kształtują swój los.

– Być może niektórzy. Ale nie wszyscy. My naprawdę mieliśmy szczęście – Dennis, dzieciaki i ja. Pomijając alergię Kikit, jesteśmy zdrowi.



Dzieci mają miłych przyjaciół, dobrze im idzie w szkole. Choć trochę martwię się o Johnny'ego. Za bardzo się stara. Lecz, dzięki Bogu, wszystko mu się udaje.

– Ma to po matce – stwierdziła moja rodzicielka. – Moi przyjaciele bez przerwy oglądają twoje sklepy. Chętnie kupiliby akcje. – Uniosła pytająco brwi.

– Nie, nie. Na razie nie myślę o wprowadzeniu firmy na giełdę.

– Dlaczego nie?

– Nie ma takiej potrzeby. Nie rozwijamy się aż tak szybko. Lubię kontrolować przebieg spraw i osobiście doglądać wszystkiego za każdym razem, gdy udzielamy nowej koncesji. Jeżeli firma jeszcze bardziej się rozrośnie, stracę to.

– Pomyśl o pieniądzach.

Miałam mnóstwo pieniędzy. Connie wiedziała, co o tym myślę, ponieważ odbywałyśmy już takie rozmowy. W przeszłości pewnie dalej spierałaby się ze mną. Tym razem była zbyt słaba, więc dała spokój.

– No cóż, tak czy inaczej, jestem z ciebie dumna, Claire.

Wiedziałam o tym. Ani razu, od czasów dzieciństwa, nie zwątpiła, że kiedyś odniosę sukces. Ufała mi i wierzyła we mnie.

Wyprostowałam ramiona.

– Ja też jestem z siebie dumna.

– A Dennis? Opuściłam ramiona.

– Trudno powiedzieć. Nie mówi o tym zbyt wiele.

– A co z jego pracą?

– Sama chciałabym wiedzieć, lecz o tym także nie mówi zbyt wiele. – Zawahałam się. Zważywszy, że Connie była chora, zawracanie jej głowy moimi kłopotami wydawało się niewłaściwe. Lecz ona zawsze wysłuchiwała

moich trosk i, do licha, pod tym względem nic się przecież nie zmieniło. – Czasami tego nie rozumiem. Można by się spodziewać, że będzie sypał pomysłami. Ja nie mam co prawda stopnia naukowego z zarządzania, jak on, jednak wiem przecież co nieco o robieniu interesów. Ale on zatrzymuje wszystko dla siebie. Jakby to była jakaś gra, w której wygrywa silniejszy. I jakby się bał, że go wyśmieję. Marna szansa, że tak się stanie. Przez całe lata trzymałam buzię na kłódkę, nawet jeżeli mi się wydawało, że jego posunięcia nie mają sensu.

– Powinnaś była powiedzieć, co myślisz.

– Nie zniósłby, gdybym miała rację, a gdybym się myliła, obwiniłby mnie za swoje niepowodzenia. Tak czy inaczej, tylko bym mu się naraziła. To ta piekielna męska duma. Uśmiechnęłam się. – W każdym razie Brody jest dobrej myśli co do grupy, z którą Dennis spotkał się w zeszłym tygodniu. Jeżeli mu się poszczęści, zdoła ich przekonać, że jest jedynym facetem, który potrafi utrzymać spółkę na powierzchni.

Connie nie sprzeczała się ze mną dłużej na temat szczęścia w naszym życiu. Nie przypomniała mi też, że choć pragnęła dla mnie o wiele więcej, to jednak odniosłam sukces i teraz nie potrzebuję od Dennisa ani grosza. Obie odczuwałyśmy ulgę znaną tylko tym, którzy już raz znaleźli się za burtą bez kamizelki ratunkowej i jakoś udało im się uratować.

– Chciałabym, żeby mu się powiodło – powiedziała.

– Ja także.

– Nie jestem gotowa, żeby pozwolić ci odejść.

Spojrzałyśmy na siebie jeszcze raz i nagle, świadoma, że jesteśmy związane ze sobą tak, jak już nigdy z nikim nie będę związana, poczułam gwałtowny przypływ miłości i rozpacz; do oczu mimo woli napłynęły mi łzy. Poza miłością i smutkiem czułam jeszcze podziw. Connie Grant była uparta. I,

choćby nie wiem, jak ciężkie stawało się życie, nigdy się nie poddawała. Nawet teraz, gdy była zbyt słaba, żeby choćby podnieść ramię, zbyt zatruta lekami, by jeść i zbyt zmęczona ciągłą ucieczką przed bólem, by móc swobodnie myśleć, nawet teraz opierała się śmierci.

– Jesteś upartą kobietą – powiedziałam, kiedy już mogłam się odezwać.

– A czy miałam inne wyjście? – odparowała. – Poddać się? Defetyzm jeszcze nigdy nikomu nie pomógł. Przeciwnie. Nie podasz obiadu na stół, jeżeli wyjdiesz z kuchni. Twoja siostra nigdy się tego nie nauczyła. Mogłaby osiągnąć o wiele więcej, zostać kimś, gdyby tak bardzo nie śpieszyła się z wyborem najprostszego rozwiązania. Chcesz się opalić? Idź do solarium. Pragniesz pieniędzy? Wyjdź bogato za męża. Myślałam, że widząc, jak ciężko pracuję, czegoś się nauczy i weźmie ze mnie przykład. Ale nie. Ona chciała mieć więcej. I szybciej. I lepiej. A czasami to nie jest możliwe. Czasami najlepsze, co można zrobić, to robić to, co najlepsze i robić to najlepiej, jak tylko się da.

Oparła się o poduszki. Nagle opadła z sił. Oczy miała zamknięte, a oddech płytki. Podczas gdy ja jej się przyglądałam, najpierw z przerażeniem, a potem nieco spokojniej, odpoczęła i poprawiła się na łóżku. I kiedy w końcu uniosła powieki, wzrok miała łagodny.

– Ty, Claire, jesteś jak moja matka Kate. Zaradna. Zdecydowana. – Jej oczy nabrały nieobecnego wyrazu, a usta wykrzywił lekki uśmiech. – Była taka przypowieść. Prawie o niej zapomniałam. Słodka Kate i jej perły.

Nigdy nie słyszałam o żadnych perłach.

– Babcia Kate była biedna jak mysz kościelna.

– Biedna, jeśli idzie o rzeczy, ale nie uboga duchem. Jej perły to były dobre chwile – zebrane razem i nanizane na mocny sznur. Zwykle kamyki odsuwała na bok i szybko o nich zapominała. Niektórzy ludzie, mawiała, nie

potrafią dostrzec pereł wśród kamieni lub mają tylko tyle wewnętrznej siły, by odsunąć kamienie i zadowolić się kilkoma perłami. Ich sznury są krótkie. Sznur twojej babki był długi. Twój też taki będzie. Co do Rony – cóż, Rona nie jest w stanie poświęcić niczemu dostatecznie dużo uwagi i czasu, aby zdążyła powstać perła. Ja zaś – westchnęła – ciągle pracuję nad swoim sznurkiem. Twój widok, i dzieci – to dobre chwile, Claire. Działają lepiej niż morfina, wiesz o tym? Przyjedziesz do mnie wkrótce, prawda, kochanie?

Opowieść o perłach babki Kate była jedną z najbardziej filozoficznych historii, jaką kiedykolwiek usłyszałam od matki. Myślałam o tym przez cały lot do domu, myślałam o swoich perłach – cudownych chwilach z rodziną, tak wielu, że trudno byłoby je zliczyć, o momentach, gdy praca sprawiała mi szczególną przyjemność czy satysfakcję. I nagle uczucie osamotnienia i bólu z powodu oddalenia stało się tak przemożne, iż poczułam, że muszę jak najszybciej znaleźć się w domu.

Samolot wylądował o czasie. Kierowca już na mnie czekał. Mimo to moja niecierpliwość rosła. Zbyt długo byłam poza domem i teraz rozpaczliwie tęskniłam za chwilą, kiedy nareszcie przytulę dzieci i porozmawiam z Dennisem. Tęskniłam nawet za tymi tak zwykle nie lubianymi czynnościami, jak mycie talerzy, składanie prania, odkurzanie dywanów, ścielenie łóżek. Dom był moją kotwicą. Potrzebowałam jej.

Gdy wreszcie dotarłam na miejsce, była piąta trzydzieści – pora, o jakiej powinni się mnie spodziewać. Byłam zdziwiona, że nie czekają na zewnątrz – moje dwie śliczne małe perełki – Johnny huśtający się na furtce i Kikit podskakująca na alejce. Było ciepło i słońce jeszcze nie zaszło. Dennis widocznie dopiero co zagonił je do domu.

Dostrzegłam samochód, zaparkowany z boku domu obok garażu. Podeszłam z bagażem do frontowych drzwi, które musiałam otworzyć

kluczem. Następna niespodzianka. To z nas, które pierwsze wracało do domu, otwierało oboje drzwi, żeby dzieciaki mogły swobodnie wchodzić i wychodzić, gdyż zwykle kręciły się po ogrodzie aż do zmierzchu.

– Halo! – zawołałam.

Czekałam na radosny wrzask, który zwykle towarzyszył moim powrotom, lecz kiedy wokół nadal panowało milczenie, wreszcie poczułam się zaniepokojona. Schody prowadzące na górę były puste – żadnych tenisówek, plecaczków, swetrów ani innych niezliczonych przedmiotów, które zwykle wszędzie zalegały, kiedy nie było mnie dłużej w domu.

– Hej, dzieciaki, wróciłam!

– Słyszę – powiedział Dennis, pojawiając się w drzwiach gabinetu ze szklaneczką burbona w dłoni. Po jego czystym, nie zamglonym jeszcze alkoholem, spojrzeniu poznałam, że była to pierwsza szklaneczka. Instynkt macierzyński, a może po prostu instynkt, podpowiedział mi, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – spytałam, wiedząc już, że coś musiało się stać i czując, jak ogarnia mnie lęk. Kikit zachorowała, Johnny miał wypadek, Connie odeszła. – Co się stało? – powtórzyłam, tym razem szeptem.

Dennis oparł się o framugę drzwi i wbił wzrok w szklanekę. Kiedy znów podniósł go na mnie, w jego spojrzeniu dostrzegłam coś dziwnego.

– Chodzi o moją matkę?

Potrząsnął głową.

– Dzieci...

– Z nimi wszystko w porządku.

– Więc gdzie są?

– U moich rodziców.

Teściowie mieszkali w pobliżu New Hampshire, zaledwie o trzydzieści minut drogi od nas. Byłoby zrozumiałe, gdyby pomagali Dennisowi przy

dzieciach, gdy mnie nie było, ale nie wtedy, gdy miałam wrócić. Johnny i Kikit równie mocno tęsknili za mną, jak ja za nimi.

– Mam po nie pojechać?

– Nie. – Jego głos brzmiał jakoś inaczej, był w nim chłód i stanowczość. I nagle w przeblysku pamięci przypomniałam sobie naszą dyskusję sprzed kilku miesięcy. Zaczęła się od błahostki, a skończyła takim ochłodzeniem stosunków, że Dennis zaproponował separację.

– Dlaczego nie? – zapytałam ostrożnie.

Upił łyk burbona.

– Dennis? – To, co zaczęło podpowiadać mi przeczucie, wcale mi się nie podobało. Wyperswadowałam mu wtedy separację, tak jak już kilka razy wcześniej, dziś jednak wydawał się dziwnie zdecydowany i pewny siebie.

Nagle usłyszałam dzwonek.

Spojrzałam na drzwi, a potem znów na Dennisa.

– Kto to może być? – zapytałam widząc, że nie okazuje zdziwienia.

Gestem dłoni, uzbrojonej w szklanę, pokazał mi, że mam otworzyć drzwi, co szybko zrobiłam. Za drzwiami stał zwyczajnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku.

– Claire Raphael?

– Tak.

Wręczył mi zwyczajnie wyglądającą szarą kopertę. Gdy tylko ją wzięłam, odwrócił się i odszedł podjazdem.

Na kopercie widniało moje nazwisko. Jako nadawcę podano Biuro Sądu Rejonowego Hrabstwa Essex.

Zamknęłam drzwi. Spoglądając niespokojnie na Dennisa, otworzyłam kopertę.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nagłówek głosił, iż jest to tymczasowe zarządzenie wydane przez Wydział Rodzinny i Nieletnich Sądu Massachusetts, Oddział w Essex. Dennis został w nim określony jako powód, a ja jako pozwana.

Spojrzałam na niego, oszołomiona, ale ponieważ twarz Dennisa nie wyrażała absolutnie niczego, zaczęłam czytać:

*W oczekiwaniu rozprawy i dopóki orzeczenie sądu nie zostanie wydane, postanawia się, co następuje:*

*Powodowi/ojcu przyznaje się czasową opiekę nad Johnem i Clarą Kate Raphael, małoletnimi dziećmi stron.*

*Żonie nakazuje się natychmiast opuścić wspólnie zajmowany lokal na cały weekend, aż do poniedziałku, 28 października, kiedy to odbędzie się przesłuchanie stron, mające ustalić, czy orzeczenie o tymczasowej opiece i nakaz opuszczenia lokalu zostaną utrzymane.*

*Wspomniane przesłuchanie będzie miało również na celu ustalenie, któremu z małżonków przyzna się tymczasową opiekę na dziećmi i alimenty do czasu orzeczenia rozwodu.*

Pismo datowane było na ten sam dzień, czwartek 24 października, i podpisane przez E. Warrena Selweya, Sędziego Sądu Rodzinnego i dla Nieletnich.

Przez dłuższy czas po prostu wpatrywałam się w papier, niczego nie rozumiejąc. Jedyne, co przychodziło mi to głowy, to to, iż Dennis pozwolił sobie na ten niesmaczny dowcip, by uświadomić mi, jak bardzo nie znosi moich wyjazdów.



Jednak pismo wyglądało bardzo przekonująco – było zaopatrzone w tłoczony nagłówek oraz rubryczki wypełnione przez nader kompetentną maszynistkę, a poza tym – Dennis wcale się nie śmiał.

– Co to ma być? – spytałam.

– To chyba jasne.

– Wygląda jak nakaz sądowy.

– Mądra dziewczynka.

– Nakaz sądowy?

– Dokładnie.

– Dennis – wyciągnęłam do niego dłoń z pismem. – Co to ma być?

Dennis był prawdziwym showmanem. Brak zdolności w robieniu interesów nadrabiał wyglądem, urokiem osobistym i budzącym zaufanie uśmiechem, który sprawiał, że ludzie instynktownie do niego lgnęli. Jako jego żona wiedziałam jednak, że za tą fasadą kryje się zwykły brak pewności siebie. Jednak dzisiaj nie wydawał się ani trochę niepewny siebie. Wręcz przeciwnie. Uświadomiwszy to sobie, zadrżałam.

– Wniosłem sprawę o rozwód – powiedział. – Sędzia przyznał mi tymczasową opiekę nad dziećmi i nakazał ci wynieść się z domu.

To chyba jakiś dowcip.

– Żartujesz.

– Nie. A ten dokument to potwierdza. Potrząsnęłam głową. To nie miało sensu.

– Czemu dzieci są u twoich rodziców? Jest środek tygodnia, powinny chodzić do szkoły.

– Moi rodzice nie mieszkają daleko. Kolacja z nimi to dla dzieci przyjemna odmiana, a ty będziesz miała dość czasu, żeby się spakować i wynieść. Nie chcę, by się denerwowały.

– Jeżeli nie chcesz, by się denerwowały, to co to ma znaczyć? – powiedziałam, przełykając ślinę i podnosząc papier, który przez cały czas trzymałam w dłoni.

Odepchnął się od framugi, najwidoczniej zniecierpliwiony.

– Na miłość Boską, Claire, to wszystko tam jest. Wniosłem pozew o rozwód. Dlaczego udajesz, że nie rozumiesz?

– Bo dwoje dorosłych, zdrowych na umyśle ludzi, którzy spędzili ze sobą piętnaście nie najgorszych lat, nie załatwia takich spraw w ten sposób. – Ja również podniosłam głos, teraz już nie na żarty przestraszona. – Tacy ludzie spotykają się i spokojnie rozmawiają.

– Próbowałem. Nie chciałaś słuchać. Trzy razy wspominałem, że chcę rozwodu. Mogę ci nawet podać daty. Ostatni raz w sierpniu. Powiedziałem, że kiedy dzieci wrócą do szkoły, powinniśmy zamieszkać osobno i żyć w separacji.

Był wówczas bardzo zdenerwowany i wytrącony z równowagi. Transakcja, nad którą pracował, znowu nie doszła do skutku. A na dokładkę, jak gdyby specjalnie po to, aby pogłębić jego poniżenie, nadeszły wyniki finansowe Wiklinowego Kącika za drugi kwartał i były lepsze niż kiedykolwiek. Więc zagroził, że się wyprowadzi. Zwykle tak robił, gdy czuł się poniżony i sfrustrowany. Jego groźby stanowiły część naszego małżeńskiego życia.

– Nie sądziłam, że mówisz poważnie.

– Mówiłem.

– Dennis.

– Claire – powiedział, naśladowując mój ton, i oparł się o framugę, znowu spokojny. To właśnie ten spokój mnie przekonał, że tym razem sprawa wygląda poważnie. Dennis nie chciał pojednania, jego głos brzmiał stanowczo i był w

nim dziwny chłód. – Chcę rozwodu. Ponieważ nie słuchałaś, kiedy ci o tym mówiłem, musiałem uciec się do tego.

Myśli kłębiły mi się głowie – pytania, lęki, ukryte znaczenia zderzały się ze sobą, powodując kompletny chaos. Odetchnęłam głęboko, próbując myśleć po kolei, krok po kroku. Przychodziło mi to jednak z wielkim trudem.

– No dobrze. Jeżeli poważnie myślisz o separacji, możemy o tym porozmawiać, ale co z tą opieką nad Johnnym i Kikit? I nakazem opuszczenia domu?

– Chcę zatrzymać dom. Chcę alimentów. I wyłącznej opieki nad dziećmi.

– Co takiego?

– Nie jesteś odpowiedzialną matką.

– Co takiego?

– Dobry Boże, Claire, mam ci to przeliterować?

– Tak, chcę, żebyś mi to przeliterował. – Poczulałam, że ogarnia mnie gniew. – Jestem odpowiedzialną matką. Coś ty, u licha, powiedział sędziemu, że udało ci się go przekonać?

– Wymogi twojej pracy i konieczność opieki nad matką sprawiają, że znajdujesz się w stanie ciągłego stresu, a to się odbija na dzieciach.

– Jak mianowicie?

– Na przykład, nigdy nie ma cię w domu. A nawet kiedy jesteś, to tak zaabsorbowana pracą, że zapominasz o dzieciach.

– Znowu ta lekcja baletu Kikit. Przerabialiśmy to już sto razy. Mówiłam ci, że w sklepie wyłączono prąd i wszystkie zegary stanęły.

– A co z zebraniem w szkole, o którym zapomniałaś?

Dobrą chwilę trwało, zanim uświadomiłam sobie, o co mu chodzi.

– Spotkanie z panią Stanetti? Nie zapomniałam o nim. Umówiliśmy się na inną porę, ale chyba niezbyt dokładnie.

Podniósł rękę.

– Ona czekała. Nie pokazałaś się. I ten wypadek samochodowy w zeszłym miesiącu. Samochód był zupełnie zniszczony. To cud, że dzieci wyszły z tego cało.

– Dennis, to nie ja spowodowałam ten wypadek. Zostałam uderzona przez samochód mężczyzny, który dostał ataku serca. Tak twierdzi policja. I firma ubezpieczeniowa.

– Ale nie sędzia. On zgadza się ze mną, że gdybyś była uważniejsza, zdążyłabyś zjechać z drogi i uniknąć zderzenia, nie ryzykując życia naszych dzieci. A jeśli już o tym mowa, kiedy cię nie było, Kikit miała bardzo ciężki atak alergii.

Poczułam, jak wszystko wywraca mi się w żołądku.

– Kiedy? I od czego?

– We wtorek w nocy. Po tej mrożonej potrawce, którą zostawiłaś. Czego do niej dodałaś, Claire? Jeżeli po kimś można oczekiwać, że będzie wiedział, czego nie powinna jeść Kikit, to właśnie po jej matce. Ale nie to jest najgorsze. W domu nie było jednorazowej strzykawki z lekarstwem. Musiała zostać w Cleveland.

– Nie została. Zapakowałam ją. Była w jej torbie.

– Nie, nie było. Sprawdziłem. Lekarstwa nie było ani w torbie, ani nigdzie indziej. Musiałem pędzić z nią do szpitala. Przez całą drogę puchła i dusiła się. Kiedy dojechaliśmy, była cała sina.

Przycisnęłam dłonie do piersi. Lęk sprawił, że sama ledwie mogłam oddychać. Z lekarstwem czy nie, każdy atak Kikit był poważną sprawą.

– Ale była antyhistamina i dodatkowa strzykawka. Zawsze mam kilka w zapasie.

Potrząsnął głową.

– Szukaliśmy wszędzie.

– Musi być w lodówce w piwnicy. Mówiłam ci. Czy już z nią dobrze?

– Udało im się unormować jej stan, ale trochę to trwało. Płakała za tobą, a ciebie nie było.

Poczułam, jak ogarnia mnie furia.

– Byłam pod telefonem. Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

– Próbowałem, ale wyłączyłaś telefon komórkowy, a linia twojej siostry była zajęta.

– Więc trzeba było zadzwonić później. Lub następnego dnia. Używałam telefonu. Nie był zepsuty. A linia nie mogła być ciągle zajęta. Gdybyś powiedział operatorce, że chodzi o nagły wypadek, przerwałyby rozmowę. Mogłeś też zadzwonić do pokoju Connie w szpitalu albo do pokoju pielęgniarek. Zostawiłam numery na tablicy w kuchni. Gdybyś naprawdę chciał, to byś się ze mną skontaktował. Przyleciałabym natychmiast.

– Naprawdę? W ciągu ostatnich trzech miesięcy nie było cię z nami przez trzydzieści cztery dni. Uwielbiasz być poza domem. Miej odwagę i przyznaj to.

– To nieprawda. A już na pewno, gdy dzieci są chore. Naprawdę liczyłeś, ile dni mnie nie było? I ile z nich spędziłam z matką? Gdybym nie była taka zdenerwowana, sama mogłabym policzyć. – Biedna Kikit. Wiedziałam, jak to jest, kiedy ma atak. Kilka godzin absolutnej paniki, a potem szybki powrót do zdrowia. Fizycznego zdrowia. Bo urazy psychiczne nie są tak łatwe do wyleczenia.

Dopóki nie dowiemy się, co spowodowało atak, będzie się bała jeść. A mnie przy niej nie było. Na pewno myślała, że ją opuściłam.

Wściekła na Dennisa pognałam do kuchni i podniosłam słuchawkę telefonu, by do niej zadzwonić. Dennis nacisnął przycisk i rozłączył mnie, zanim zdążyłam usłyszeć sygnał.

– Nie rób tego – powiedziałam, próbując odsunąć jego dłoń. – Muszę porozmawiać z Kikit.

To, co naprawdę musisz – powiedział powoli, nie puszczać telefonu – to spakować się i wyjść stąd. To nakaz sądowy, Claire. Jeżeli się nie zastosujesz, zadzwonię po gliny.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Owszem, zrobiłbym i zrobię – powiedział, a coś, co stojąc tak blisko dostrzegłam w jego twarzy, sprawiło, że mu uwierzyłam.

Był moim mężem. Znał mnie lepiej i bardziej intymnie niż jakikolwiek inny mężczyzna. Pomimo to w jego twarzy nie było ani śladu ciepła, sympatii, nic, co mogłoby sugerować, że jestem dla niego kimś szczególnym. Mogłabym być obcą osobą, do której od razu powziął antypatię lub kimś, kto go obraził, więc teraz szuka na nim rewanzu.

Lecz dla mnie także zaczynał być kimś obcym.

– Przerażasz mnie, Dennis.

– Po prostu stąd wyjdź.

– To mój dom. Dokąd mam pójść?

– Na pewno coś wymyślisz – powiedział z dziwną nutą oczekiwania w głosie.

Czekałam, by mówił dalej, lecz kiedy spostrzegłam, że nie ma zamiaru powiedzieć nic więcej, spytałam:

– Na przykład, co? – Zachowywał się, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiem i koniecznie chciał, żebym powiedziała, co to takiego.

Zabrał dłoń z telefonu i powiedział, uśmiechając się domyślnie.

– Kikit powiedziała mi, jak wmaszerowałam do pokoju, gdy był tam czyszciciel okien, ubrana tylko w swój najładniejszy stanik „Sekret Wiktorii” i majtki.

Nie bardzo wiedziałam, co to ma wspólnego, lecz powiedziałam:

– Odwróciłam się na pięcie i uciekłam, gdy tylko go zobaczyłam. Byłam przerażona.

– Wyglądałaś seksownie i dobrze o tym wiedziałaś.

– Uważasz, że zrobiłam to celowo? Daj spokój, Dennis. Ten chłopak miał dwadzieścia lat.

– Młode ciało. Gorące.

– To starszy brat najlepszego przyjaciela Johnny'ego, i dlatego go wynajęłam. Potrzebował pieniędzy.

– I dostał je, a jako napiwek mały dreszczyk. Kikit wydało się to bardzo zabawne. Co do mnie, uważam, że to fatalny przykład dla podatnej na wpływy małej dziewczynki. Twoje stosunki z Brodym też nie wydają mi się zabawne.

Zgłupiałam.

– Jakie znowu stosunki?

– Pieprzenie.

Pieprzenie? Ja i Brody?

Przez dłuższą chwilę milczałam, niezdolna się odezwać, a kiedy w końcu to uczyniłam, mój głos brzmiał zadziwiająco spokojnie. Nie mogłam traktować poważnie podobnie absurdalnego oskarżenia.

– To jakiś obłąd, Dennis. Co się z tobą dzieje?

– Was dwoje, tuż pod moim nosem, i to od miesięcy. Myślisz, że niczego nie zauważyłem? Przez cały czas go dotykasz.

– Dotykam go?

– Tu dłoń, tam ramię. A poza tym, wystarczy spojrzeć, jak na siebie patrzycie. Do diabła, nawet kończycie za siebie zdania. Codziennie spędzasz z mm więcej czasu niż ze mną czy z dziećmi.

– Wątpię, czy to prawda, ale jeśli już liczysz godziny, weź łaskawie pod uwagę, że Brody jest moim wspólnikiem.

– Bardzo dogodnie. I to biuro w jego domu.

– Biuro jest w jego domu – argumentowałam – ponieważ nie chciałeś go tutaj. Chciałam mieć biuro na poddaszu, to doskonałe miejsce na biuro, ale nie zgodziłeś się, powiedziałeś, że nie chcesz, by telefony dzwoniły ci nad głową i obcy ludzie kręcili się koło domu.

– Powiedziałem ci, żebyś wynajęła jakieś pomieszczenie.

– To było pięć lat temu. Nie bardzo mogliśmy sobie wówczas pozwolić na wynajęcie czegokolwiek. Zostałabym tutaj w piwnicy, ale potrzebowaliśmy więcej miejsca. Więc otworzyliśmy biuro w garażu Brody'ego. Nie w jego domu. W garażu.

– Bez przerwy u niego przesiadujesz. Widziałem cię. Używasz jego kuchni. I łazienki. I założyłbym się, że sypialni także.

Miałam ochotę głośno krzyknąć, tak brudny i nieprawdziwy obraz malował.

– Cholernie się mylisz. Pomiedzy Brodym a mną nie ma nic poza zwykłymi więzami, jakie zwykle łączą dwoje pracujących ze sobą ludzi.

– I te wspólne podróże. Na przykład w tym tygodniu. Cztery noce w High Point.

– Praca.

– Akurat. Mam wykaz rozmów telefonicznych z innymi twoich podróży. Na każdą rozmowę z nami przypadają trzy z nim.

– Jest moim wspólnikiem – powtórzyłam. – Partnerem w interesach.

– Więc dlaczego nie dzwonisz do niego w godzinach pracy?

– Ponieważ w godzinach pracy jestem zajęta, rozmawiając z innymi ludźmi. Do domu dzwonię zwykle przed pracą lub po niej.



– Do Brody'ego z pewnością dzwoniłaś po pracy. Za piętnaście dziesiąta wieczorem. O wpół do jedenastej. Piętnaście po jedenastej.

– Zgadza się. Wtedy, kiedy już porozmawiałam z tobą i z dziećmi, zjadłam coś, włączyłam laptop i zorientowałam się, co zostało zrobione, co on powinien zrobić i o co mam go zapytać. Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę różnicę czasu, to rzeczywiście wszystko się zgadza. – Wiedziałam, że brzmi to, jakbym się usprawiedliwiała, lecz oskarżenia Dennisa były tak bardzo niesprawiedliwe, że nie potrafiłam się powstrzymać.

– Jak widać, Brody'emu ta późna pora nie przeszkadzała. To bardzo miłe z jego strony.

– Jest nocnym markiem, podobnie jak ja.

– Skąd wiesz?

– Dowiedziałam się o tym w ten sam sposób, co ty. Brody jest naszym najbliższym przyjacielem. – Przesunęłam dłonią po włosach, jakby ten gest mógł wszystko wyjaśnić. Miałam kompletny zamęt w głowie i wcale nie pomagała tu świadomość, iż Dennis musiał to wszystko zaplanować i od dłuższego czasu zbierać przeciwko mnie dowody. Wykaz rozmów? Brody i ja?

– Brody był twoim współlokatorem w college'u. Znasz go od prawie dwudziestu pięciu lat. Był twoim partnerem w interesach na długo przedtem, nim został moim. Twoim najlepszym kumplem. Jest ojcem chrzestnym naszych dzieci, ich ukochanym wujkiem i, owszem, moim najlepszym przyjacielem. Przykro mi, jeżeli jesteś zazdrosny.

– Zazdrosny? Może sobie ciebie zatrzymać! Seks z tobą był co najwyżej średni!

Poczułam się tak, jak gdyby ktoś wymierzył mi cios w żołądek.

– Jak dotąd, nie skarżyłaś się. Powiedziałabym nawet, że nigdy nie było ci dosyć.

– Jak cholera. To było równie przyjemne, jak rwanie zęba. Byłaś albo zbyt zmęczona, albo pracowałaś do późna, albo byłaś zajęta dziećmi.

– Daj spokój! Odmawiałam ci bardzo rzadko i nigdy nie zdarzyło się, żebyś kochając się ze mną miał jakieś kłopoty z potencją, więc o co ci chodzi? Nie wciskaj mnie na siłę w jakieś stereotypy, Dennis. Bez względu na to, jak bardzo byłam zajęta, znajdowałam czas. Kochaliśmy się bardzo często.

– Ilość, która nie przeszła w jakość.

Wbiłam wzrok w sufit.

– Boże święty, co tu się dzieje?

– To – powiedział Dennis, wskazując na pismo, które nadal trzymałam w dłoni. Zrobiłam krok w tył, a wtedy on rzucił się do telefonu. Byłam zbyt oszołomiona, by zareagować, kiedy wykręcał numer i podawał nasz adres, dodając na końcu: – Proszę tu szybko kogoś przysłać. – Dopiero kiedy odwiesił słuchawkę, zdałam sobie sprawę, co zrobił.

Mój mąż, który jeszcze dwa tygodnie temu obejmował mnie czule przy pożegnaniu i niemal machał chusteczką, właśnie wezwał policję.

– Dennis – zawołałam, zwalczając ogarniającą mnie panikę. – Mój Boże, Dennis, palisz za sobą mosty.

– Wyjdź.

– Co robisz z naszym życiem?

– Ty to zrobiłaś, nie ja.

– Potrzebuję być z dziećmi, a one potrzebują mnie.

– Teraz będą miały mnie.

– Teraz? Teraz? Tak nagle? A gdzie byłeś przez ostatnie dziewięć lat? Chcę moich dzieci.

– Powiesz to sędziemu w poniedziałek. A tymczasem ja chcę, żebyś stąd wyszła.

– Ależ jestem twoją żoną!

– Zgodnie z postanowieniem sądu, jesteście formalnie w separacji.

Zaczęłam mieć trudności z oddychaniem, a każde jego słowo tylko pogarszało ten stan. I sposób, w jaki mówił. Tak obojętnie? Tak bez ogródek? Tak zdecydowanie? Nie rozumiałam tego Dennisa. Rozumiałam jednak, że wkrótce będę musiała zostawić to, co znaczyło dla mnie więcej, niż cokolwiek na świecie. Zaczęłam go więc błagać:

– Musi być jakiś lepszy sposób, łagodniejszy. Ze względu na dzieci. Wiedzą, że miałam dziś wrócić. Jak im wyjaśnisz moją nieobecność? I jak ja im to wyjaśnię? I kiedy? Muszę się z nimi zobaczyć, Dennis. Nie mogę czekać do poniedziałku.

– Zarządzenie sądu.

– Mam w nosie zarządzenie, tu chodzi o moje dzieci! – zaczęłam płakać, lecz nawet nie zwróciłam na to uwagi, podobnie jak na rozbrzmiewający właśnie dzwonek. Przez całą drogę do drzwi wejściowych następowałam mu na pięty. – To wspaniałe dzieciaki. Mają poczucie bezpieczeństwa. Teraz są szczęśliwe. To, co robisz, a zwłaszcza sposób, w jaki to robisz... Czy ty chcesz zniszczyć im życie?

– Ona nie chce wyjść – powiedział Dennis do oficera policji, którym okazał się Jack Mulroy. Nasze miasteczko było tak niewielkie, że dobrze się znaliśmy.

– Jestem ich matką – powiedziałam Jackowi, zalewając się łzami. – Kocham moje dzieci. One mnie kochają. Jakiś sędzia, którego nie widziałam na oczy, nie może tak po prostu wyrzucić mnie z domu i odebrać mi dzieci! – Jack wyjął mi z dłoni pogniecione pismo z sądu. On na pewno zrozumie, pomyślałam. Pomagał mi przecież, gdy Kikit miała szczególnie ciężki atak. I kiedy podczas nieobecności Dennisa nagle w środku nocy w domu włączył się

alarm. Wie, że jestem przyzwoitą osobą. I że kocham swoje dzieci i nigdy, przenigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby je zranić. On wie, że nie zasługuję na to, by zostać brutalnie wyrzuconą z własnego domu. Jest stróżem prawa, więc musi wierzyć w sprawiedliwość.

– Obawiam się, że będzie pani musiała opuścić dom – powiedział jednak.

– To oficjalne zarządzenie. Nie mogę zlekceważyć polecenia sądu.

– Ale ono jest niesłuszne. Nie zrobiłam niczego złego.

– Powie pani to w sądzie w poniedziałek.

– Nie chcę czekać do poniedziałku. Nie rozumie pan? Jeśli to zrobię, to zło już się stanie i dzieci zostaną skrzywdzone. Spojrzałam na Dennisa. – Musi być lepszy sposób.

Założył ręce na piersi.

– Dennis – błagałam.

– Proszę, pani Raphael – powiedział oficer Mulroy. – Proszę, niech pani nie utrudnia tego jeszcze bardziej. Czy to są pani bagaże? Zniosę je do samochodu.

– Mój samochód został zupełnie zniszczony w wypadku – powiedziałam z nutą hysterii w głosie. – Jeszcze nie kupiłam nowego.

– W garażu jest wynajęty wóz – powiedział Dennis do Jacka. – A tu są kluczyki.

Jack ujął mnie pod ramię. Wyrwałam mu się.

– Oddałam samochód przed wyjazdem – powiedziałam.

– Wczoraj wynająłem dla ciebie nowy.

Jack znowu dotknął mego ramienia.

– Nie chciałbym być zmuszony do wezwania pomocy – powiedział tak spokojnie, iż zdałam sobie sprawę, że czuje się zakłopotany. I nagle rzeczywistość uderzyła mnie niczym obuchem.

Jeżeli nie wyjdę dobrowolnie, zostanę usunięta. A jeśli zostanę usunięta, Dennis powie o tym sędziemu.

Ten zaś może wysnuć wniosek, iż rzeczywiście nie panuję nad sobą, a jeśli nabierze takiego przekonania, mogę stracić dzieci.

Ramiona, nogi, wszystko we mnie zdawało się dygotać. Wyjęłam z kieszeni chusteczkę, przycisnęłam ją do nosa, wzięłam głęboki oddech, który zabrzmiał raczej jak szloch i przypomniałam sobie, co powiedziała moja matka – nie do wiary – zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. No cóż, czy mam jakiś wybór? spytała, nawiązując do walki, jaką toczyła codziennie z ciałem, które ją zdradziło.

Mnie nie zdradziło ciało. Zrobił to mój mąż. Czy mam jakiś wybór? Mogę wpaść w panikę. Mogę wrzeszczeć, płakać i złorzeczyć systemowi, który zmusza mnie do zrobienia czegoś, czego nie chcę zrobić. Lub mogę poszukać jakichś środków zaradczych.

Ignorując Dennisa, powiedziałam bezradnie do Jacka:

– Nie wiem, co mam robić. Nigdy dotąd nie byłam w takiej sytuacji.

– Powinna pani stąd wyjść. To po pierwsze. Samochód jest w garażu?

Skinęłam głową, zaciskając wargi, aby powstrzymać ich drzenie. Nie będę już więcej płakać. Nie w obecności Dennisa. Ani Jacka.

Przyklękłam, by zawiesić sobie torbę na ramieniu. Jack wziął cięższy bagaż.

– To wszystko, czego pani potrzebuje? – zapytał.

Ponieważ zawartość tych toreb służyła mi przez ostatnie trzynaście dni, chętnie zabrałabym jeszcze ze trzy. Lecz nawet gdyby od tego zależało moje życie, nie byłabym teraz w stanie niczego zapakować.

Nie spojrzałam już na Dennisa ani się do niego nie odezwałam, nie byłam bowiem pewna, czy znowu się nie rozpłaczę albo nie zacznę błagać.

Skupiwszy wszystkie siły na tym, by nie rozpaść się na kawałki, poprowadziłam Jacka przez kuchnię i korytarzyk do garażu.

Wynajęty samochód miał kolor burgunda – barwa, którą bardzo lubiłam, a której Dennis nie znosił. Pomyśleć tylko, że zadał sobie trud, żeby wynająć dla mnie samochód, zamiast po prostu wsadzić mnie do taksówki! Ja sama planowałam wynająć sobie jakiś pojazd nazajutrz lub kupić coś w ciągu tygodnia.

Jack umieścił torby w bagażniku. Wsunęłam się za kierownicę i przez chwilę przyglądałam tablicy rozdzielczej, starając się zlokalizować stacyjkę, przełącznik świateł i dźwignię zmiany biegów. Jakoś udało mi się wyjechać z garażu. Minęłam policyjny radiowóz i zatrzymałam się, aby poczekać na Jacka.

Podszedł do mnie i powiedział:

– Powinna pani postarać się o adwokata, i to możliwie jak najszybciej. Teraz, gdy znaleźliśmy się poza domem, w jego głosie wyczułam znacznie więcej sympatii. A przynajmniej chciałam w to wierzyć. – Musi pani przygotować się przed poniedziałkiem tak, aby przekonać sędziego, że powinna pani pozostać w domu z dziećmi. Zna pani jakiegoś dobrego adwokata?

Adwokat. Jeszcze nie zdążyłam o nim pomyśleć. Adwokat od spraw rozwodowych. Już sama myśl mną wstrząsnęła. Specjalista od prawa rodzinnego. Miałam ochotę się rozplakać.

Jedyny adwokat, z jakim miałam kiedykolwiek do czynienia, zajmował się prawną stroną umów firmy i z pewnością nie znał się na prawie rodzinnym ani na rozwodach. Przypuszczałam jednak, że mógłby kogoś polecić. Musiałabym mu tylko powiedzieć, o co chodzi. A tego nie chciałam.

Znałam jednak kogoś, kto mógłby okazać się użyteczny, był bowiem jednym z najbardziej znanych bostońskich adwokatów od spraw rozwodowych. Znałam go nie dlatego, że ktoś z moich znajomych korzystał z jego usług, ale ponieważ był szwagrem jednej z szefowych naszego sklepu w Filadelfii. Zważywszy na to powiązanie, byłam przekonana, iż zgodzi się mnie przyjąć, i to od razu.

Jednak najpierw musiałam zobaczyć się z dziećmi.

Jack zaczął mi to odradzać.

– Na pani miejscu nie robiłbym tego. Jest pani zdenerwowana. Od razu poznają, że coś się stało. A poza tym, co im pani powie?

Otworzyłam usta, lecz zaraz je zamknęłam. Nie wiedziałam, co mogłabym im powiedzieć. Dla dobra dzieci wydawało się konieczne, abyśmy z Dennisem ustalili jaką wspólną wersję, a nie miałam pojęcia, co on i jego rodzice już zdążyli im opowiedzieć.

– Może łatwiej byłoby pani porozmawiać z nimi przez telefon.

Rzeczywiście, mogłabym coś wymyślić – na przykład, że muszę dłużej zostać w Cleveland czy coś takiego.

– Wolno mi to zrobić?

– Zarządzenie sądu tego nie zabrania, lecz jeśli pani mąż będzie miał coś przeciwko temu, może być pani trudno do nich się dostać. Sprawy takie jak rozmowy telefoniczne i plan wizyt zostaną omówione w poniedziałek.

Plan wizyt? To nie może się dziać naprawdę.

– W sobotę ma być przyjęcie urodzinowe Kikit. Muszę zabrać ją na zakupy i kupić jej jakiś prezent. A co z meczem Johnny'ego? Będę mogła pójść?

– Proszę omówić to z adwokatem. Prawdopodobnie będzie pani mogła pójść. Ale być może najpierw trzeba będzie porozmawiać o tym z Dennisem. Kto go reprezentuje?

– Nie mam pojęcia.

– Pani adwokat dowie się tego w mgnieniu oka. Poczułam, że znowu zaczyna mnie ogarniać panika.

– Jestem odpowiedzialną matką. Nie narażam moich dzieci na ryzyko bardziej, niż każda inna matka, która pozwala im się bawić na dworze. – To jakieś szaleństwo. I ta rozmowa o rozwodzie. Dennis nie zająknął się na ten temat nawet słówkiem, gdy wyjeżdżałam w zeszły piątek. Byliśmy w bardzo dobrych stosunkach. Rozmawialiśmy przez telefon, gdy mnie nie było. Spojrzałam na dom, mój dom, z którego mnie właśnie wyrzucono. – To się po prostu nie mieści w głowie.

– Proszę zobaczyć się z adwokatem. W sądzie ma się pani pojawić dopiero w poniedziałek. I wtedy będzie szansa, by coś zmienić.

Skierowałam się na północ, w stronę New Hampshire i dzieci. To nie była świadoma decyzja, lecz odruch – jakby moje serce kierowało samochodem. Mój umysł zaś starał się oswoić z tym, czego doświadczyłam w domu. Dopiero gdy byłam na autostradzie, przypomniałam sobie wątpliwości Jacka. Rzeczywiście, co powiem dzieciom?

Zjechałam na pobocze i zaczęłam zastanawiać się nad możliwymi scenariuszami. Każdy z nich kończył się jednak tak samo: dzieci zaczynały płakać lub ja zaczynałam płakać, wymyślać ich dziadkom, ci zaś wzywali policję. Choć to ostatnie wydawało się mało prawdopodobne. Z teściami zawsze łączyły mnie dobre stosunki. Z drugiej strony – to samo myślałam o Dennisie. I moje niezachwiane przekonanie doznało nieliczego wstrząsu. Nie



mogłam już być pewna, że ludzie, którym ufałam, będą zachowywać się racjonalnie.

Lecz przede wszystkim należało pomyśleć o dzieciach. I o tym, by nie przeżyły szoku, nim ja i Dennis dojdziemy w końcu do porozumienia. Potrzebowałam porady. Tak, potrzebowałam adwokata.

Wyjęłam z torebki telefon komórkowy i zadzwoniłam na informację, gdzie podano mi numer biura Lloyda Ushera. Oczywiście o wpół do siódmej wieczorem biuro było zamknięte, lecz miałam nadzieję, że jeszcze zastanę w nim Ushera. Był tak jak ja człowiekiem sukcesu, co oznaczało, że jego godziny pracy z pewnością nie kończyły się o ustalonej porze.

Przejrzałam notes i wybrałam domowy numer kobiety, która dzierżawiła od nas sklep w Filadelfii. Starając się, by mój głos brzmiał normalnie, powiedziałam jej, że gwałtownie potrzebuję porady prawnej i że chciałabym skontaktować się w tym celu z jej szwagrem. Podała mi jego prywatny numer.

Lloyd Usher odburknął coś w odpowiedzi na moje powitanie i powiedział, że jest zajęty. Szybko podałam mu swoje nazwisko, powołałam się na jego szwagierkę i przedstawiłam zarys sytuacji. Już kiedy zaproponował, bym spotkała się z nim następnego dnia o drugiej po południu, powinnam była się domyślić, że nie jest to człowiek dla mnie. Jednak nie znałam nikogo innego i byłam zdesperowana.

Zacząłam więc błagać. Powiedziałam, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki i że niektóre decyzje dotyczące moich dzieci nie mogą czekać do następnego dnia. Poskarżył się, że wszyscy zwracają się do niego ze sprawami niecierpiącymi zwłoki, a on musi wyjść z biura przed wpół do ósmej. Obiecałam, że zjawię się tam przed tą godziną i zajmę mu tylko kilka minut. Naprawdę, tylko tego mi trzeba: kilku minut, by zadać parę pytań.

Przynajmniej na początek. To pomoże mi zwalczyć uczucie ogarniającej mnie bezradności i da choć pozór kontroli nad sytuacją.

Jechałam tak szybko, jak tylko pozwalał mi na to ożywiony o tej porze ruch uliczny. Gdy wreszcie udało mi się znaleźć wolne miejsce, gdzie mogłam zaparkować samochód, była już siódma piętnaście. Usher wyszedł po mnie do recepcji, spoglądając przy tym wymownie na wielki, złoty zegarek.

– To nie potrwa długo – zapewniłam go. Staralam się sprawiać wrażenie osoby spokojnej i kompetentnej, zdającej sobie sprawę z wartości czasu. Pragnęłam, by uznał mnie za kobietę rozsądną i dojrzałą.

Poszliśmy szybko korytarzem do jego biura. Jako zawodowa dekoratorka wnętrz w innych okolicznościach z pewnością zwróciłabym większą uwagę na szczegóły wystroju, lecz dziś umysł miałam zaprzątnięty czym innym, zdążyłam więc tylko spostrzec, iż pomieszczenie wyposażone zostało luksusowo, a klienci sprawiają wrażenie bogatych. Podobnie miała się sprawa z gabinetem prawnika i nim samym. Importowane dywany, kosztowne meble, dwurzędowy garnitur i starannie ułożone włosy – wszystko to pasowało do siebie doskonale.

Usher wskazał mi gestem skórzany fotel, a sam usadowił się za biurkiem. Wyjął ten swój wielki złoty zegarek i trzymając go w jednej ręce, wyciągnął do mnie drugą.

– Proszę pokazać mi ten nakaz.

Wyjęłam pismo z kieszeni i podałam mu je.

Przeczytał i oddał mi z powrotem.

– To dosyć drastyczne posunięcie. Co je spowodowało?

– Nie mam pojęcia. Weszłam do domu po jedenastu dniach nieobecności. Mój mąż już na mnie czekał. Nie minęło dziesięć minut, a pojawił się jakiś człowiek i wręczył mi to.

– Doręczył pani – poprawił Lloyd Usher. – Lecz nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Nakaz opuszczenia lokalu to poważna sprawa. Musiała pani zrobić coś, co by to usprawiedliwiało.

– Niczego nie zrobiłam.

– Pani Raphael – powiedział strofująco.

Byłam zdumiona. Ten człowiek miał być moim obrońcą. Nie rozumiałam, skąd wziął się ten oskarżycielski ton, to lekceważenie i ten zegarek na podorędziu. Lecz on był znanym adwokatem. Odnosił sukcesy. Cieszył się powodzeniem, nawet wśród innych prawników. Musiał wiedzieć, co robi. A ja rozpaczliwie potrzebowałam pomocy.

W końcu, tak spokojnie, jak tylko umiałam, powiedziałam: – Mój mąż sporządził całą listę zarzutów. Żaden z nich nie jest poważny, lecz wszystkie naraz powodują, iż mogę sprawiać wrażenie niedbałej matki, zaniedbującej dzieci.

– A jest nią pani?

– Nie, kocham moje dzieci.

– Ci, którzy je wykorzystują, także to mówią.

Albo wypróbowywał moją zimną krew, albo odgrywał adwokata diabła, aby dowiedzieć się o mnie czegoś więcej. Zachowanie spokoju przychodziło mi coraz trudniej.

– Nie wykorzystuję moich dzieci. Ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem. Stosunki pomiędzy nami opierają się na miłości i zaufaniu.

– Jak to możliwe, zważywszy na pani zajęcie?

– Przepraszam, ale nie rozumiem... ?

– Że daje sobie pani ze wszystkim radę. Słyszałem, jak szwagierka opowiadała o pani. Ona sądzi, że jest pani modelowym przykładem współczesnej kobiety. Ja jednak uważam, że to naiwne z jej strony. Pamiętam,

kiedy moje dzieci były młodsze... dzięki Bogu, moja żona nie pracowała. Nie wyobrażam sobie, że mogłaby zrobić dla nich choćby połowę tego, co robiła, gdyby było inaczej. Więc jak się to pani udaje? Nie może pani być jednocześnie z nimi i w pracy. A co z pani mężem i jego potrzebami?

Wyprostowałam się na krześle.

– Co z nimi?

– Kto je zaspokaja, skoro pracuje pani na dwóch etatach, zajmując się dziećmi i prowadząc interesy?

Błagałam go o kilka minut rozmowy i gnałam tu jak szalona nie tylko po to, aby uzyskać odpowiedź na kilka pytań, lecz także w poszukiwaniu odrobiny pociechy. I nadziei. Tylko że Lloyd Usher wcale nie usiłował mnie pocieszyć. I z pewnością nie starał się, bym go polubiła. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym opowiedzieć mu o szczegółach mojego życia.

Odetchnęłam głęboko.

– Czy w ten sposób zabiera się pan do wszystkich spraw? Czy może jestem wyjątkiem?

Na jego wargach pojawił się arogancki uśmiezek.

– Większość kobiet, które reprezentuję, została rzeczywiście skrzywdzona – zdradzano je, okłamywano i manipulowano nimi. Dla tych kobiet małżeństwo było na ogół całym światem – nie miały własnego życia osobistego, nie pracowały zawodowo. Wiele z nich doświadczyłoby bardzo znacznego pogorszenia warunków życiowych, gdybym nie wynegocjował korzystnej ugody. Pani nie jest taka, jak tamte kobiety. Pani ma wszystko.

– Nie wszystko – powiedziałam spokojnie. – Odebrano mi moje dzieci. I dom. Jeszcze dwie godziny temu sądziłam, że mam męża. Teraz już tak nie sądzę. A jeśli nawet były w moim małżeństwie problemy, którym nie poświęciłam dosyć uwagi, ten nakaz to jakaś parodia. Zawsze na pierwszym

miejscu stawiałam męża i dzieci, a w czasie, który mi pozostał, stworzyłam własną firmę. Dobrze wykorzystałam ten czas. Czyżby było w tym coś złego? Nie rozumiem, jak ktoś może w ten sposób wyrzucać mnie z mojego domu i odbierać mi dzieci.

– Sąd może i właśnie to zrobił. Miał do tego prawo. Pani mówi, że doskonale radzi sobie ze wszystkim, pani mąż twierdzi coś przeciwnego, a sąd się z nim zgadza.

– Wygląda na to, że pan także.

– Powiedzmy, że nie przepadam za pracującymi kobietami.

– Winna, dopóki nie udowodnię swej niewinności? – spytałam i widząc, że znowu spogląda na ten okropny zegarek, dodałam: – Proszę posłuchać. Przyszłam tu dzisiaj do pana, ponieważ martwię się o moje dzieci. Nie wiem, co im powiedziano i co mam teraz robić. Może powinnam zadzwonić do Dennisa albo do jego adwokata? Lecz nawet nie wiem, kto nim jest. Jak rozumiałam, powinnam popracować z moim obrońcą i ustalić jakąś strategię, przygotować odpowiedź na zarzuty Dennisa, a to wymaga czasu. Wiem, że jest pan zajęty i nie może odłożyć wszystkiego, by zająć się moją sprawą, ale w ten sposób wracamy do punktu wyjścia. Martwię się o dzieci. Nie chciałabym jeszcze pogorszyć sprawy. Ile swobody pozostawia mi ten nakaz?

Zaczął zapinać na ręce ten swój wielki złoty zegarek.

– Niezbyt wiele. Na pani miejscu trzymałbym się z daleka od domu do poniedziałku.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

– Może mogłabym zobaczyć się z dziećmi w domu teściów? Albo pójść na mecz syna?

Wstał i zaczął pakować dokumenty do walizeczki.

– A czy to będzie w ich najlepiej pojętym interesie? Czy tylko jeszcze bardziej je zdenerwuje?

– Nie mam pojęcia.

– Jeśli pani nie wie, to kto ma wiedzieć? Jest pani ich matką. Jeśli ktokolwiek je zna, to właśnie pani. Ja na pewno nie. Mogę tylko doradzić pani, jaką obrać strategię. Nakaz sądowy jest nakazem sądowym. Gdybym był panią, zastosowałbym się do niego, dopóki nie zobaczę się z sędzią. To ma być w poniedziałek w południe? – Przerzucił szybko parę stron kalendarza. – O jedenastej mam przesłuchanie w Barnstable. Nie zdążę wrócić przed drugą lub trzecią. Możemy to jednak przeciągnąć. Jeden z moich asystentów będzie obecny podczas rozmowy. Tak czy inaczej, jeśli poświęcę swój czas, by nadzorować pani sprawę i zważywszy, że pani mąż będzie się zapewne starał maksymalnie wszystko utrudnić, będzie to panią kosztowało dziesięć tysięcy dolarów.

– Dziesięć tysięcy dolarów. Za co? Za przeciąganie sprawy, które sprawi, że nadal nie będę mogła widywać się z dziećmi? Za zgodę na to, by jakiś asystent zajmował się moim życiem? Za obrzucanie mnie oskarżeniami, kiedy i tak z nerwów o mało nie wyskakuję ze skóry?

– No cóż, nie prowadzę działalności dobroczynnej – burknął zgryźliwie protekcyjnym tonem. – Niech pani da spokój. Wie pani, jak się takie sprawy załatwia. Jest pani kobietą interesu, spokojną, opanowaną, zimną jak bryła lodu.

– Zimną ja bryła lodu, mówi pan? A jaki mam wybór? – krzyknęłam przepełniona gniewem. – Wpaść w panikę i wszystko zepsuć?

– Ośmieliłbym się powiedzieć, że daleko pani do paniki. Tak jak powiedziałem – jest pani spokojna, opanowana i wyrachowana. Musiała się pani nieźle dać we znaki swemu mężowi.

Wstałam.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, panie Usher, ale nie sądzę, żebyśmy mogli razem pracować.

– Mówię tylko to, co z pewnością pomyśli sobie sędzia. Czasy się zmieniły, pani Raphael. Kobiety takie jak pani nie są bezradne. Ani podatne na zranienie. Nie wzbudzają sympatii. To właśnie tego rodzaju kobiety są często odpowiedzialne za rozpad małżeństwa. Więc ostrzegam panią, że walka może być ciężka. Jeśli jest pani głównym żywicielem rodziny, dużo pani podróżuje i jeśli mąż może poświęcić dzieciom więcej czasu – może byłoby dla nich lepiej, gdyby je zatrzymał. Proszę to przemyśleć i zadzwonić do mnie, gdy będzie pani skłonna porozmawiać.

Nie miałam zamiaru dłużej marnować energii. Zebrawszy nędzne resztki godności, które mi jeszcze zostały, dodałam je do mego lęku i dumy i wymaszerowałam z gabinetu.

Panika dopadła mnie w dziesięć minut później. Tkwiłam w kolejnym korku, śpiesząc się nie wiadomo dokąd. Nakaz sądowy leżał zmięty na siedzeniu obok, tuż obok kwitu parkingowego, który ktoś wsunął mi za wycieraczkę, gdy byłam w biurze Ushera – w porze, w której parking powinien był być bezpłatny. Nie rozumiałam tego, podobnie jak nie rozumiałam postępowania adwokata. Nie miałam dzieci, nie miałam domu ani miejsca, w którym mogłabym spędzić noc, ani też żadnego pomysłu, jak z powrotem uporządkować swoje życie.

Zaczęłam się pocić i drzeć, nie wiedząc, do kogo się zwrócić i co robić.

Samochód za mną zatrafił. Zwolniłam hamulce i potoczyłam się do przodu. – Dobrze już – szepnęłam. – Dobrze, dobrze.

A więc nie byłam doskonała. Zmuszałam dzieci do czekania, zapominałam o spotkaniach z nauczycielami. Uległam wypadkowi, gdy były

ze mną w samochodzie. Być może nawet pomyliłam godzinę przylotu lub zapomniałam powiedzieć Dennisowi, gdzie trzymam zapasowe lekarstwa Kikit. Lecz przecież starałam się ze wszystkich sił.

Czy miałam zostać ukarana za to, że zarabiam więcej niż Dennis? Do licha, miał przecież wszelkie szanse – wspaniałą firmę, imponującą listę klientów, znane nazwisko – i wszystko to zmarnował. Czy miałam sabotować swoją karierę tylko dlatego, że on spieprzył swoją?

Kierowca za mną znowu nacisnął na klakson.

Gdy tylko zatrzymaliśmy się w następnym korku, złapałam telefon komórkowy i zadzwoniłam do domu. Usłyszałam swoją wiadomość, nagrany wcześniej na sekretarkę, co oznaczało, że Dennis jeszcze nie przywiózł dzieci.

Gdyby było inaczej, Kikit, która uwielbiała odbierać telefony, na pewno by podbiegła i podniosła słuchawkę. Gdy już dorwała jakiegoś słuchacza, potrafiła gadać jak najęta najdłużej, jak tylko się dało, nie zwracając uwagi, czy ktoś ma ochotę jej słuchać, czy nie. Z reguły odstraszało to akwizytorów, którzy rozłączali się, gdy tylko ją usłyszeli. Była w tym tak dobra, że kiedyś wspomniałam nawet, iż chyba ją zatrudnię.

Czy oznaczało to, że wykorzystuję własne dziecko? Dennis wiedział, że żartowałam. I Kikit też to wiedziała, choć jeśli chodzi o nią, to bardzo spodobała jej się myśl, że może mieć własny biznes, tak jak ja – co prawda fakt, iż odniosłam sukces, niewiele mi pomógł. Wręcz przeciwnie. Mój mąż używał tego jako argumentu świadczącego na moją niekorzyść.

Znowu zaczęłam się trząść. Tym razem, kiedy doszłam do wniosku, że samochody w korku nie drgnęły już chyba od wieku, to ja nacisnęłam klakson. Nic to co prawda nie pomogło, ale poczułam się lepiej.



Chwyciłam telefon i zaczęłam wybierać numer kliniki w Cleveland, ale przerwałam, zanim zdążyłam się połączyć. Nie mogłam zwierzyć się mamie – jej serce by tego nie wytrzymało.

Gdybyśmy były sobie bliższe z Roną, mogłabym zadzwonić do niej. Ale ponieważ sprawy miały się tak, jak się miały, nie chciałam ryzykować, że się ucieszy.

Znów zadzwoniłam do domu, lecz rozłączyłam się po pierwszym dzwonku. Nie mogłam rozmawiać z dziećmi – przynajmniej dopóki nie będę pewna, co chcę im powiedzieć.

Co robić, do licha, co robić! Zawsze traktowałam życie jak wyzwanie, któremu należy stawić czoło, ale ta sprawa mnie przerosła. Od tego, jak się potoczy, zależała cała moja przyszłość. A także przyszłość moich dzieci.

– Niech mi ktoś pomoże – powiedziałam cicho.

Ale właściwie, gdy tak siedziałam w ciemności rozbłyskującej z rzadka jaskrawym czerwonym i zielonym światłem, zorientowałam się, że przecież wiem, dokąd chcę pojechać. Było jedno takie miejsce, jeden bezpieczny port i jeden człowiek, któremu mogłam zaufać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pamiętam, kiedy Brody kupił ten dom. Mieszkał już wówczas od czterech lat na wschodzie, z czego przez ostatnie trzy był partnerem Dennisa. Nowość bycia rozwiedzionym już nieco zbladła, podobnie jak podniecenie, związane z tym, że jest się samotnym mężczyzną, który może robić, co chce. Brody czuł się zmęczony wynajmowaniem kosztownego mieszkania w bloku, pierwszymi randkami, głodnymi spojrzeniami, jakimi obrzucały go kobiety, gdziekolwiek się pojawił, próżną paplaniną. Pragnął prywatności. A także przestrzeni. I przytulnego miejsca na czas odwiedzin jego sześciolatniej wówczas córki, Joy.

Dom był ładną budowlą w stylu Cape Cod, zbudowaną z cedrowych bali, poszarzałych już ze starości. Miał trzy sypialnie i położony był nad samym brzegiem oceanu, na niewysokim zboczu, opadającym łagodnie ku wodzie. Brody pokazał mi go, zanim jeszcze podpisał umowę. Nie musiałam nawet zaglądać do środka. Jeden rzut oka na wyłożony otoczkami podjazd, jedno zaciągnięcie się świeżym oceanicznym powietrzem, jedno spojrzenie na rozbryzgującą się na przybrzeżnych kamieniach morską pianę i od razu odczułam spokój tego miejsca.

I nawet teraz, pomimo wstrząsu i zdenerwowania, gdy tylko skręciłam w boczną drogę, natychmiast odczułam powiew tego spokoju, wywołany samym tylko chrzęstem opon na wyłożonym kamieniami podjeździe. Z miejscem tym wiązały się dla mnie tylko dobre wspomnienia – najpierw rodzinne wizyty u Brody'ego, potem wspólna praca. Uwielbiałam swoją pracę i ludzi, z którymi ją wykonywałam. To miejsce było synonimem komfortu, podjętego wyzwania i sukcesu.

Biuro było już zamknięte. Okna i świetliki – wyniosłam z domu przekonanie, iż światła nigdy nie jest za dużo, dlatego nalegałam, by było ich jak najwięcej – odbijały srebrzyste światło księżyca. Jedyne sztuczne oświetlenie stanowiły stare kinkiety, umieszczone po obu stronach drzwi.

Bogu dzięki, Brody był w domu. Światła mego samochodu wydobyły z mroku zaparkowanego w zatoczce Range Rovera. Światło, sączące się przez okna domu, mówiło samo za siebie.

Poczułam, że ucisk w piersiach nieco zelżał. Wychodząc z samochodu prosto w wilgotne oceaniczne powietrze czułam się o wiele bardziej spokojna niż jeszcze chwilę wcześniej.

Nie zareagował na dzwonek do drzwi. Zadzwoniłam jeszcze raz. Nie pamiętałam, by wspominał o jakichś szczególnych planach na wieczór, ale mógł przecież umówić się gdzieś z przyjaciółmi i zostawić samochód w domu. Nie spodziewał się, że przyjadę. Mieliśmy spotkać się dopiero rano. Oboje uznaliśmy, że po powrocie będę zbyt zajęta dziećmi i Dennisem.

Na samą myśl o tym poczułam ból, ostre szarpnięcie w piersi, wywołane gwałtownym powrotem do rzeczywistości. Szybko, zanim zdążyłam rozpłakać się na progu domu, odszukałam na kółku klucz od drzwi wejściowych i weszłam do kuchni. Najpierw uderzyło mnie ciepło pomieszczenia, jakże przyjemne po chwili spędzonej w ostrym nocnym powietrzu. A potem poczułam zapach gulaszu, perkoczącego na kuchence. To były dobre nowiny. Jeżeli Brody zostawił zapalone światła i gotującą się na kuchence kolację, oznaczało to, że poszedł biegać.

Zwykle przebiegał sześć mil, pięć razy w tygodniu. Zważywszy, że przebiegnięcie mili zajmowało mu przeciętnie osiem minut – w zależności od tego, w jakim stanie znajdowało się akurat jego kolano, zranione w wypadku

rowerowym całe lata temu – powinien wrócić do domu po mniej więcej czterdziestu ośmiu minutach.

Modląc się w duchu, by nastąpiło to jak najszybciej, podeszłam do stołu i osunęłam się na krzesło. Było zrobione z rattanu i pasowało do podstawy stołu o szklanym blacie. Ten komplet był jedynym ustępstwem Brody'ego na moją rzecz, on sam bowiem wolał solidny drewniany stół na kobyłkach z ławami po obu stronach. Pragnął domowej atmosfery, ciepła bez nadmiaru ozdóbek – jednym słowem kuchni, w której mężczyzna może pracować nie czując się zażenowany i nie na miejscu. Zaopatrzyłam więc rattanowe krzesła w poduszki w kolorze ciepłego brązu i szarości, pasujące barwą do ciemnego drewna szafek i czerni żeliwnych kuchennych akcesoriów, zawieszonych nad kuchenką. Wszystkie te akcesoria Brody wyszukał sam i były to same starocie. Wabik na kaczkę pochodził z myśliwskiej chaty jego dziadka, a gliniana miska była tą samą, z której w dzieciństwie wyjmował orzechy. Kogucik na dach, wskazujący kierunek wiatru, pochodził ze stodoły, w której kiedyś przerzucał snopki. Nie przepadałam tylko za rzeźbą, która stała na niskim stołku obok telefonu. Wykonana z dwóch kamieni, z których mniejszy ułożono na wyższym, miała wyryte coś w rodzaju rysów, które – jeśli spojrzano się pod odpowiednim kątem – z lekka przypominały ludzką twarz. Ja widziałam w niej neandertalczyka, dość przerażającego zresztą, Brody zaś pocziwego prostaczka, który przypominał mu, że nawet jeśli akurat nie wie mu się nadzwyczajnie, to i tak o wiele lepiej niż wielu innym.

Brody był współczujący. I wrażliwy. Miał przy tym własne zdanie i kochałam go za to.

Tak, kochałam go. Oczywiście, że kochałam Brody'ego. Czy kiedykolwiek to uczucie przybrało postać fizyczną? Czy łączył nas seks?

Absolutnie nie. Byłam wierna Dennisowi do przesady i teraz było mi przykro, że mógł pomyśleć inaczej.

Wstałam, podeszłam do pieca i energicznie zamieszałam gulasz, przyglądając się, jak wirują jego składniki: kawałki kurczaka, marchewki, cebulki, zielonej papryki, grzyby, a wszystko to w ciemnoczerwonym sosie, który pachniał burgundem i na pewno smakował wspaniale. Brody potrafił wziąć garnek, wrzucić do niego prawie wszystko, co znalazł w kuchni i wychodziła z tego naprawdę pyszna potrawa. Wiele posiłków, które przyrządził dla siebie, dojadaliśmy następnego dnia jako lunch – często razem z Dennisem, jeżeli akurat był w pobliżu.

Kolacje zawsze jadałam z dziećmi. Dennis przyłączał się do nas, jeżeli nie miał innych zajęć. Raz na tydzień lub dwa wpadał też Brody. I pomyśleć, że tak niecierpliwie wyczekiwałam dzisiejszej kolacji z dziećmi. A tymczasem nawet nie wiedziałam, kiedy znów będę mogła je zobaczyć.

Nie pozwoliłam sobie na panikę. Pomimo to czułam, jak żołądek zaciska mi się w bolesny węzeł.

Lecz los najwidoczniej mi sprzyjał. Kiedy uczucia miały zawładnąć mną bez reszty, usłyszałam, jak Brody wbiega na stopnie ganku. Otworzył drzwi i wszedł do kuchni: wysoki, owiany wiatrem, bardzo spocony atleta w szortach, podkoszulku i z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Hej – jak wspaniale – nie spodziewałem się ciebie dziś wieczorem – powiedział, chwytając gwałtownie powietrze. Lecz ledwie wypowiedział ostatnie słowa, jego uśmiech znikł, jak zdmuchnięty płomyk świecy.

Nie musiałam się zastanawiać, dlaczego. Moja fryzura, makijaż, ubranie – nie poświęciłam im ani chwili od wyjazdu z Cleveland, a to było wieki temu.

Byłam przerażona. Zmartwiona. Nie jadłam nic od śniadania. Od dwóch tygodni ani razu porządnie się nie wyspałam. Musiałam wyglądać jak śmierć

na chorągwi. Mimo to czułam ulgę. Jak dobrze, że zastałam go w domu. Wyciągnęłam z kieszeni pomięty nakaz i wręczyłam go Brody'emu. Czułam jego ciepło, a nawet zapach, zdrowy zapach spoconego mężczyzny. W tym dniu, tak pełnym niemiłych niespodzianek, ten zapach wydawał się czymś pocieszająco zwyczajnym. Dennis, który dbał o to, by dobrze wyglądać, miał powód, by obawiać się Brody'ego. Brody nosił okulary w drucianej oprawce, które założył, kiedy podałam mu nakaz. Jego proste włosy, nad czołem nieco już przerzedzone, miały kolor leszczyny, kolano pokryte było bliznami, a mały palec u ręki był lekko skrzywiony. Dwa razy do roku Brody wyprawiał się do ekskluzywnego sklepu z męską garderobą w Bostonie, gdzie kupował jeden lub dwa garnitury i nieco rzeczy na co dzień, jednak nie można było o nim powiedzieć, że zbytnio przejmuje się swoim wyglądem. Po pracy nosił zazwyczaj stare dżinsy i równie wiekowe, gładkie koszule. Był jednym z najmniej próżnych, i jednym z najwspanialszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek poznałam. Lecz, dobry Boże, nie sypiałam z nim. I nigdy, przenigdy nie uważałam go za przystojniejszego niż Dennis.

Twarz Brody'ego nie wyrażała w pierwszej chwili żadnych uczuć. Otarł czoło rękawem koszuli i zmarszczył brwi. Nie opuszczając ramienia, spojrzał na mnie zdziwiony, po czym powrócił do czytania. A potem podniósł papier i powiedział tym swoim głębokim głosem:

– To jakiś żart?

Ja też tak na początku myślałam. Byliśmy więc do siebie podobni, Brody i ja, lecz to przecież żadna zbrodnia. Już raczej zdrowy rozsądek. Oboje wiedzieliśmy, że jestem dobrą matką. Oboje kochaliśmy moje dzieci. Oboje też wiedzieliśmy, że byłam oddaną żoną.

– On chce rozwodu – powiedziałam, spokojniejsza już teraz, gdy nie byłam sama. – Chce domu, alimentów i dzieci.

Brody spoglądał na mnie z takim zdumieniem, że miałam ochotę go uścisnąć. Jego niedowierzanie niejako usprawiedliwiało moje.

– Od kiedy? – wykrztusił.

– Czort wie, lecz musiał planować to od dobrej chwili. Dzieci są z Howardem i Elizabeth.

Nadal wpatrywał się tępo w nakaz.

– Jaki sędzia, który miałby choć odrobinę zdrowego rozsądku, mógłby podpisać coś takiego?

– Ten, który przeczytał listę moich przewinień.

– Jakich znowu przewinień?

Powiedziałam mu o tych związanych z opieką nad dziećmi.

– Dennis twierdzi, że stan osobistego kryzysu, w jakim się – jego zdaniem – właśnie znajduję, nie pozwala mi prawidłowo opiekować się dziećmi. Ale nie słyszałeś jeszcze najlepszego. Oskarża nas, że mamy romans.

Brody odrzucił gwałtownie głowę do tyłu. Nie potrafiłabym powiedzieć, czy policzki rzeczywiście jeszcze bardziej mu poczerwieniały, lecz mogłabym przysiąc, że w jego oczach pojawił się jakiś błysk – coś jakby ślad poczucia winy. Ja także poczułam coś podobnego i niemal wprawiło mnie to w zakłopotanie. Z początku nic nie powiedział, a potem przełknął głośno i zapytał:

– Powiedział ci to?

Skinęłam głową. Znowu otarł rękawem czoło.

– Potrzebuję pomocy, Brody. On przedstawia zarzuty oparte na zbiegach okoliczności i przypuszczeniach, a chodzi mu o to, by odebrano mi dom i dzieci. Moje dzieci. Gdy próbowałam z nim rozmawiać, zadzwonił na policję i jeden policjant nawet przyszedł. Do domu. Po mnie – uderzyłam się w pierś –

jakbym była jakąś kryminalistką, znaną z używania przemocy. Powiedział, że muszę opuścić dom. Dosłownie mnie wyrzucił.

Brody jeszcze raz przeczytał nakaz.

– Co ten Dennis sobie myśli? Zawsze sądziłem, że nakaz sądowy to ostateczność. A on nigdy nawet nie wspominał o rozwodzie.

– Owszem, wspominał. O separacji. Miał zwyczaj to robić, gdy dokuczała mu chandra. Ja byłam przeciwna. Nasze małżeństwo nie było być może doskonałe, ale i tak lepsze niż wiele innych. A może się oszukiwałam?

Brody nie odpowiedział. Pochylił się nad zlewem i napił się prosto z kranu, po czym otarł usta dłonią. Jego oczy połyskiwały gniewem.

– Więc twierdzi, że mamy romans. A to dobre – mruknął. – I jaki cholerny dowód na to wynalazł?

– Same bzdury. Wspólna praca, wspólne podróże.

– Oszalał. Cholera – powiedział Brody, najwidoczniej wytrącony z równowagi. – Wiem, co to rozwód i ile pociąga za sobą cierpienia. Nie chciałbym, żebyś przez to przechodziła. Ani ty, ani twoje dzieci. – Zaklął cicho.

– Chcę odzyskać dzieci, Brody.

– Potrzebujesz adwokata.

– Tak, to następny problem. Właśnie widziałam się z Lloydem Usherem. To był błąd. Ten palant sprawił, że poczułam się tak, jakbym dostała to, na co zasługuję. A może rzeczywiście zasługuję? Powiedz mi, jak to się stało, że wszystko poszło tak źle, skoro tak się starałam, żeby szło dobrze?

Brody wyciągnął ramię, by mnie objąć, lecz je cofnął.

Więc ja to zrobiłam. Podeszłam do niego i mocno objęłam go w pasie. Nie obchodziło mnie, że jest spocony. Nade wszystko łaknęłam pociechy. I,



cokolwiek by Dennis o tym nie myślał, w naszym uścisku nie było nic zdrożnego. Brody przyciągnął mnie bliżej i powiedział gwałtownie:

– Nie zrobiłaś niczego złego. Przez długi czas trzymałaś za ogon trzy sroki, i robiłaś to z powodzeniem. Zasłużyłaś na medal. Dennis dobrze o tym wie. Co go, u licha, napadło?

– Nie mam pojęcia.

– Dałaś Usherowi zaliczkę?

–Nie.

– I dobrze. To nie jest miły facet, Claire. Po prostu ma znane nazwisko. Jego klientela składa się głównie z kobiet. Bezradnych kobiet. Przychodzą do niego, ponieważ sądzą, że jest twardy. Nie mają nic przeciwko temu, by płacić mu monstrualnie wysokie zaliczki, ponieważ sądzą, że w ten sposób zapewnią sobie jego uwagę. A potem idą do domu w błogim przekonaniu, że ich sprawa pozostaje w dobrych rękach. Tyle, że to nieprawda. On je po prostu nabiera, a kiedy wszystko wychodzi na jaw, udaje oburzonego i spycha sprawę na kogoś ze swoich asystentów. Jego klientki godzą się na to, ponieważ do tego czasu zainwestowały już w niego zbyt wiele czasu i pieniędzy, by szukać kogoś nowego. A poza tym na ogół nie czują się na siłach, by to zrobić.

Ja sama czułam się jak te kobiety – bezradna i podatna na zranienie. I także potrzebowałam kogoś twardego, więc poszłam nie tam, gdzie trzeba, kierując się wyłącznie reputacją tej osoby. Gdyby chodziło o interesy, nigdy nie zachowałabym się w ten sposób. Tu jednak istniały okoliczności łagodzące.

– Nie znałam nikogo poza nim. A potrzebuję kogoś, kto mógłby się zająć moją sprawą natychmiast. W poniedziałek mam być w sądzie.

– Nie będziesz umiała pracować z Lloydem Usherem.

Spojrzałam na niego, czując, jak ogarnia mnie histeria.

– A z kim będę umiała pracować?

– Z Carmen Niko.

Uczucie paniki zelżało. W końcu pojawiło się jakieś nazwisko. Słyszałam je już przedtem, ale nie bardzo potrafiłam skojarzyć, gdzie.

– To mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta. Mniej więcej w twoim wieku – trzydzieści dziewięć, czterdzieści lat – niesamowicie błyskotliwa i zaangażowana w swoją pracę.

Nadal próbowałam skojarzyć nazwisko.

– Czy ja ją kiedykolwiek poznałam? To nasza klientka?

– Spotykałem się z nią.

– O tak, teraz sobie przypominam. – Jakiś czas temu. Ich romans co prawda dawno się zakończył, lecz w swoim czasie był dość gorący – choć nie wiedziałam, na czym opieram to przekonanie. Na pewno nie usłyszałam o tym od Brody'ego. Jego stosunki z kobietami były jedyną sprawą, o której nigdy nie rozmawialiśmy. Od czasu do czasu wspominał co prawda, że zabiera tę czy inną niewiastę do teatru czy restauracji, jednak więcej, niż od niego, dowiadywałam się z kolumn towarzyskich Hillary Howard w lokalnym tygodniku. Hillary zawsze trzymała rękę na pulsie i była na bieżąco, jeśli idzie o miejscowe znakomitości. A że posiadała przy tym bujną wyobraźnię i prawdziwe zamiłowanie do plotek, jej kolumnę czytało się z zainteresowaniem. Brody, który był wolny i bez przerwy podróżował, często dostarczał jej tematów. Ale chodziło nie tylko o to. Byłam przekonana, że Hillary od dawna ostrzy sobie na niego zęby. I nie ona jedna. Mógł sobie zaprzeczać do upojenia, prawda wyglądała tak, iż kobiety zawsze spoglądały na niego z zainteresowaniem.

Widziałam to. W końcu razem podróżowaliśmy.

Zgodnie z tym, co od jakiegoś czasu sugerowała Hillary, teraz spotykał się z niejaką Ellen McKenzie, artystką z Bostonu, bardzo pociągającą na swój

niekonwencjonalny sposób. Nie widywał się z nią co tydzień i prawdę mówiąc wątpiłam, by miał co do niej poważniejsze plany. Seks z nim jednak musiał być wspaniały.

Lecz teraz nie rozmawialiśmy o Ellen McKenzie. Rozmawialiśmy o Carmen Niko.

– I jak to się skończyło? – spytałam, bo gdyby rozstali się w gniewie, i gdyby teraz Carmen skojarzyła mnie z Brodym, mogłoby to oznaczać kłopoty.

– Przyjaźnie – powiedział jednak Brody. – Pracowałem wówczas z Dennisem, a nasze sprawy nie szły najlepiej. Carmen zaś dostawała jedną sprawę po drugiej. Oboje byliśmy zbyt zaabsorbowani pracą, doszliśmy więc do wniosku, że cała sprawa powoduje więcej kłopotów, niż jest warta. I tak byliśmy bardziej przyjaciółmi niż kochankami. Ona może nie cieszy się taką sławą jak Lloyd Usher, lecz jest o niebo lepszym adwokatem. To wystarczyło za rekomendację.

– Jak mogę się z nią skontaktować?

Brody odsunął się ode mnie, podszedł do telefonu i wybrał numer.

– Carmen – powiedział po chwili. – Tu Brody. Muszę z tobą porozmawiać. Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę.

Wstrzymałam oddech. Była już prawie dziewiąta. Nie spodziewałam się, że ktokolwiek zechce mnie przyjąć o tej porze, musiałam się jednak z kimś zobaczyć rano. Jeżeli Carmen Niko nie było akurat w mieście lub była nieosiągalna, znalazłabym się z powrotem w punkcie wyjścia.

– No, Carmen – czarował dalej Brody. – Nie wygłupiaj się. Chodzi o sprawę zawodową. Dużą sprawę.

Musiałam wyglądać, jakbym za chwilę miała umrzeć, bo podszedł do mnie, nie zważając na ciągnący się za nim sznur od telefonu. Wziął moją dłoń i ucałował ją – co sprawiło, że znowu poczułam, iż ktoś mnie kocha i troszczy

się o mnie. Tego oczekiwałam po Dennisie i Lloydzie Usherze, oni zaś tak brutalnie mnie zawiedli. Prawdziwą ulgę poczułam jednak dopiero, gdy usłyszałam, jak Brody odpowiada na najwidoczniej niezbyt entuzjastyczne powitanie Carmen.

– To naprawdę duża sprawa – przekonywał. –I w twoim stylu. Chodzi o kobietę sukcesu, pozwaną o rozwód przez męża nieudacznika, który pragnie podbudować swoje ego, oskubując ją do czysta. A mówimy tutaj o dużych pieniądzach, prawach własności i dwójce dzieci, które szaleją za matką i które zawsze spędzały z nią o wiele więcej czasu niż z nim. Gdy kilka godzin temu wróciła z Cleveland, gdzie odwiedzała umierającą matkę, ledwie zdążyła postawić stopę w domu, natychmiast wręczono jej nakaz eksmisji. W poniedziałek ma stawić się przed sądem i odpowiedzieć na zarzuty. Musi więc szybko się z kimś zobaczyć. Powiedziałem jej, że jesteś najlepsza.

Przerwał i przez chwilę słuchał w milczeniu, nie puszczał mojej dłoni, za co byłam mu wdzięczna. Gdyby dwadzieścia cztery godziny temu ktoś mi powiedział, że będę musiała walczyć o opiekę nad dziećmi i że wszystko to z zimną krwią zaplanował mój mąż, zaśmiałabym się i powiedziała: – Niemożliwe, Dennis nigdy by się tak nie zachował. – Jak mało go znałam, i to po piętnastu latach małżeństwa. Ta myśl dokuczała mi szczególnie mocno.

– Ósma trzydzieści rano? – zapytał Brody.

Z zapalem pokiwałam głową.

– Będzie tam – powiedział do słuchawki. – Nazywa się Claire Raphael.

– Mogę zadzwonić do dzieci? – szepnęłam.

Powtórzył pytanie, przez chwilę przysłuchiwał się odpowiedzi, a potem skinął głową.

– Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć? – spytał.

O, tak. Miałam mnóstwo pytań. Sięgnęłam po słuchawkę.

– Nie rozłączaj się, Carmen. Daję ci Claire.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Jestem naprawdę wdzięczna. Brody mówi, że pani jest najlepsza.

Głos, który odpowiedział po drugiej stronie, był głęboki i zdawał się rozbawiony.

– Brody nie jest bezstronny. Lecz pani sprawa zapowiada się interesująco.

– Chcę, żeby to się jak najszybciej skończyło. Nie spodziewałam się niczego takiego. Czy on może wygrać?

– Nie będę tego wiedziała, dopóki nie dowiem się czegoś więcej.

– Czy możemy uzyskać cofnięcie nakazu w poniedziałek?

– Odpowiedź brzmi tak samo.

– Powiedziała pani, że mogę zadzwonić do dzieci, ale czy mogę się z nimi zobaczyć? Mój syn ma w środę mecz. Chciałabym zobaczyć, jak gra. Moja córka także tam będzie. Gdy mnie nie było, miała atak alergii, a ja o niczym nie wiedziałam, bo nikt mnie nie powiadomił. Chciałabym z nią porozmawiać, upewnić się, że nic jej nie jest.

– Czy dzieci wiedzą, jak wygląda sytuacja?

– Nie mam pojęcia.

– To proszę się dowiedzieć, jeśli pani zdoła. Z pewnością nie chciałyby ich pani zdenerwować. Najlepiej by było, gdyby porozmawiała pani z nimi najpierw przez telefon. Nie muszą wiedzieć, skąd pani dzwoni. Lecz jeśli pojawi się pani na meczu, a potem nie wróci z dziećmi do domu, pojawią się pytania, na które trudno będzie udzielić odpowiedzi.

– Czy jest jakiś sposób, by cofnąć ten nakaz przed poniedziałkiem? Czy nie mogłybyśmy pójść jutro do sądu i wnieść o cofnięcie go w trybie natychmiastowym?

– Tylko gdyby pani mąż nagle zrobił coś, co naraziłoby dzieci na niebezpieczeństwo. Jest na to jakaś szansa?

Chciałam powiedzieć „tak”. Oskarżył mnie, że jestem niedbałą matką, lecz nawet jeśli tak było, to nauczyłam się niedbałości od niego. Dennis był mistrzem uników. Bez mrugnięcia okiem potrafi przedstawić powód, dla którego nie może zrobić tego czy tamtego. Mogłabym przysiąc, że ma ich całą listę. Nie zjawiał się na meczach Johnny'ego i występach Kikit. Ani na szkolnych wieczorkach. Na dłuższą metę opuścił nieporównywalnie więcej urodzinowych przyjęć i kolacji, niż ja.

Ale czy naraziłoby dzieci na niebezpieczeństwo? Westchnęłam.

– Nie sędzę.

– Więc proszę być cierpliwą. Czekam na panią jutro. Postaramy się opracować jakąś strategię.

\* \* \*

Howard i Elizabeth Raphael zbliżali się do siedemdziesiątki. Byli parą inteligentnych, zdrowych, starszych ludzi, dobrze zabezpieczonych dzięki funduszowi emerytalnemu Howarda, który przez niemal czterdzieści lat pracował jako okręgowy dyrektor miejscowej filii banku. Choć Elizabeth potrafiła być kapryśna, to Howard ze wszech miar zasługiwał na zaufanie. To on obstawał przy tym, by ich funduszem emerytalnym zajął się bank, zamiast przekazać całą kwotę do zainwestowania Dennisowi. I okazało się, że miał rację. Jako nazbyt skłonny do ryzykanckich posunięć kapitalista, Dennis do złudzenia przypominał swoją matkę – pełen zapału, lecz łatwowierny.

Raphaelowie lubili mnie. Często miałam wrażenie, że bardziej ufają mojej karierze niż Dennisa. Nawet jeżeli czuli się z tego powodu winni, i nawet jeśli uważali, że nadszedł czas, by okazać lojalność synowi, i tak musieli zdawać sobie sprawę, jak wiele znaczą dla mnie dzieci. I ile ja dla nich znaczę. Nie

miałam pojęcia, co Dennis powiedział im o separacji, ale nie potrafiłam uwierzyć, że mogliby po prostu odłożyć słuchawkę.

Tak czy inaczej, nie mieli okazji tego zrobić. Głos, który usłyszałam w słuchawce, należał do mojej córki.

–Halo?

Serce zaczęło mi bić gwałtownie, a łzy napłynęły do oczu. Jak dobrze było ją słyszeć...

– Witaj, kochanie.

– Mamusia! – pisnęła, a potem usłyszałam, jak woła: – To mamusia, babciu Bess. Mówiłam ci, że zadzwoni. Gdzie jesteś, mamusiu? Tatuś powiedział, że musiałaś jeszcze gdzieś pojechać, ale ty mi nic nie powiedziałaś. Mamusiu, miałam okropny atak wczoraj wieczorem, ale nie wiem, co zjadłam. Tatuś powiedział, że to przez potrawkę, ale ja zawsze jem tę potrawkę. Musiał zawieźć mnie do szpitala. Johnny stale mu powtarzał, żeby do ciebie zadzwonił, ale tatuś powiedział, że nie może mnie zostawić, a kiedy wróciliśmy do domu i spróbował, nie udało mu się połączyć, a potem usnęłam. Gdzie było moje lekarstwo, mamusiu?

Otarłam łzy grzbietem dłoni i wzięłam chusteczkę, którą podsunął mi Brody. Ze wszystkich sił próbowałam powstrzymać się od pociągania nosem.

– Nie wiem, kochanie. Jestem pewna, że zapakowałam je do twojego plecaka przed wyjazdem z Cleveland. A poza tym w lodówce w piwnicy było zapasowe lekarstwo. Ja też nie wiem, dlaczego się rozchorowałaś. Nie dodałam do potrawki niczego nowego. Czy pani Beckwith nie dała ci niczego do jedzenia, kiedy przyjechała po was do szkoły? – Coś tak zwykłego i na pozór niewinnego, jak orzechy włoskie, ukryte w ciemnym chlebie, gdzie Kikit nie mogłaby ich dojrzeć, łatwo mogłoby wywołać atak.

– Niczego nam nie dawała. Nie przywozi nam żadnych przekąsek, nie tak jak ty. Byliśmy głodni, jak nie wiem co. Tatuś był wściekły, gdy się rozchorowałam.

– Nie wściekły. Zdenerwowany. On wie, że to nie twoja wina. A jak się teraz czujesz?

– Dobrze, tylko nie chce mi się jeść. Gdzie jesteś?

– Musisz jeść, kochanie. Jeśli się boisz, jedz proste rzeczy, takie jak banany czy jajka. Albo indyka, zamroziłam kilka porcji. Powiedz tatusiowi, żeby wyjął z zamrażalnika.

– Gdzie jesteś?

Jedno pytanie mogłam zignorować. Drugiego już nie. Znałam jednak swoją córkę na tyle dobrze, iż wiedziałam, że wystarczy tylko lekko skierować ją w pożądanym kierunku, a dowiem się wszystkiego.

– A jak ci się wydaje?

– Tatuś mówił, że jesteś w Santa Fe, ale powiedzieliśmy mu, że nie masz tam sklepu, a wtedy on powiedział, że właśnie go otwierasz. Nie powiedziałaś mi o tym. – Usłyszałam w tle głos Elizabeth, a potem Kikit, mówiącą z uporem: – Ale ja chcę porozmawiać z mamusią, nie mogę porozmawiać z nią jeszcze troszeczkę? Jedną małą chwilkę?

– Kikit? – spytałam pośpiesznie, starając się zdążyć, nim Elizabeth odbierze jej słuchawkę. – Bardzo cię swędziało?

– Jeszcze jak. Mamo, potrzebuję prezentu dla Stacey. Kiedy wracasz?

– Pracuję nad tym. A jak z oddychaniem?

– Dobrze. Tatuś został w domu przez cały dzień. Nie poszłam do szkoły.

Już coś miałam. Dennis zwykle uciekał w przeciwną stronę, gdy tylko któreś z dzieci było chore. Twierdził, że nie chce przeszkadzać.

– A co nowego w szkole, kochanie?



– Wszystko w porządku. Nie czytałam dzisiaj mojego wypracowania o motylach, bo Sammy Hayes zbyt długo czytał swoje o gwiazdach, więc będę czytała jutro. Johnny chce z tobą rozmawiać. Dostał szóstkę z testu z matematyki. – Głos córki oddalił się, lecz usłyszałam jeszcze: – Wcale nie jestem pleciugą, ona i tak wie, zawsze dostajesz szóstki z matematyki – nie, chcę rozmawiać, jeszcze nie skończyłam.

– Cześć, mamó – powiedział Johnny i znowu poczułam ucisk w gardle.

Przełknęłam mocno i przycisnęłam chusteczkę do oczu.

– Cześć, moje gratulacje. Następną szóstką? To wspaniale. Kiedy pani Anders oddała testy?

– Wczoraj. Zadzwoiłbym do ciebie wieczorem, ale tatuś powiedział, że twoja komórka nie działa, a on nie wie, w jakim hotelu się zatrzymałaś. Dlaczego do nas nie zadzwoniłaś?

Chciałam odpowiedzieć uczciwie, lecz nie wiedziałam, jak mogłabym to zrobić. Jak bardzo nienawidziłam Dennisa za to, że zmusza mnie do kłamstwa!

– Było już za późno. Wiesz, chodzi o różnicę czasu.

– Jakie jest Santa Fe?

Nigdy w życiu nie byłam w Santa Fe – na szczęście Johnny także nie.

– Dość ładne – zaryzykowałam. – Jest tu ciepło. I sucho. Skończyłeś książkę o Paulu Revere?

– Taaak... Mamy jechać na wycieczkę do Bostonu, żeby zobaczyć jakiś kościół nad samym morzem. Ktoś musi podpisać mi zgodę. Mam ją przynieść jutro.

– Tatuś ci podpisze.

– Ale mam przynieść też sześć dolarów osiemdziesiąt pięć centów na autobus i coś tam jeszcze.

– Tatuś da ci pieniądze.

– Potrzebuję dokładnie tyle, a on nigdy nie ma dokładnie.

– Babcia na pewno ma. Poproś, żeby ci dała. Jeśli chcesz, powiem jej o tym, gdy tylko skończymy rozmawiać. Czy babcia ugotowała wam obiad?

– Nie, poszliśmy do Bertucciego. Dobrze się czujesz? Mówisz tak, jakbyś była przeziębiona.

To przez te łzy.

– Nic mi nie jest. Po prostu tęsknię za tobą i Kikit.

– Kiedy wracasz?

– Jeszcze nie wiem. Dam wam znać, gdy tylko się dowiem.

– Babcia chce z tobą rozmawiać.

– Kocham cię, Johnny – powiedziałam szybko, nim zdążył oddać słuchawkę.

– Witaj, Claire – usłyszałam radosny świergot Elizabeth. – Co u ciebie? Ominęła cię dobra kolacja. Dzieciaki jadły pizzę, a ja i Howard makaron. Bertucci to chyba jakaś nowa sieć włoskich restauracji. Widziałaś jakąś w Santa Fe? Zazdroszczę ci, że tam jesteś. Wszystkim moim znajomym, którzy tam byli, bardzo się podobało. Nie mogłaś znaleźć lepszego miejsca, żeby otworzyć nowy sklep.

– Claire? – odezwał się nagle Howard. – Jestem w gabinecie, Claire. Odłóż słuchawkę, Elizabeth.

– Dobrze. Ależ, kochanie... – Gdzieś z dali dobiegły mnie odgłosy zamieszania, a potem usłyszałam głos Kikit. – Śpiewaliśmy sobie wczoraj wieczorem, wiesz, tę piosenkę o żabach i tatuś tak zabawnie rechotał, ale bez ciebie to i tak nie to samo. Tęsknię za tobą, mamusiu. Kiedy przyjedziesz?

Poczułam, że trudno mi oddychać. Wspólne śpiewanie było rodzinną specjalnością Raphaelów. W college'u Dennis i ja należeliśmy przez rok do tej samej grupy wokalne, śpiewającej a capella. Ja byłam wtedy na pierwszym

roku, on na ostatnim. Poznaliśmy się śpiewając i nasze randki upływały pod znakiem śpiewu. Najwcześniejsze wspomnienia naszych dzieci dotyczyły właśnie wspólnego śpiewania. W łóżku, w samochodzie podczas wycieczek czy wakacji – śpiew zawsze nas jednoczył, pozwalając wyrazić wzajemną więź. Gdy dzieci były bardzo małe, wystarczało samo nucenie. Tekst przyszedł później, gdy były dostatecznie duże, by móc się do nas przyłączyć. Oboje uwielbiali śpiewać. I oboje potrafili utrzymać rytm. Johnny był teraz na etapie, w którym za wszelką cenę usiłował sprawić, by jego głos brzmiał głębiej. Trzeba było zobaczyć, jak się wysiła, przyciskając brodę do piersi i marszcząc brwi! Nic dziwnego, że czasem zdarzało mu się fałszować. Pomimo to wspólny śpiew nadal pozostawał czymś szczególnym. Ostatnio nie śpiewaliśmy razem zbyt często, gdyż albo któregoś z nas nie było akurat w domu, albo dzieci były zajęte. Czasami zdarzało nam się improwizować we trójkę, gdy jedno z nas było nieobecne. Tym razem Dennis śpiewał z dziećmi, wiedząc, że wkrótce wyrzuci z domu ich matkę. Kiedy wrócę do domu? Sama chciałabym wiedzieć.

– Tak szybko, jak tylko będę mogła, kochanie. Ale zadzwonię do ciebie wkrótce, dobrze, słoneczko?

– Kocham cię, mamusiu.

Ból stawał się nie do zniesienia. Znowu łzy napłynęły mi do oczu. Tymczasem wszystko, co mogłam zrobić, to nie dopuścić, by dzieci zorientowały się, że płaczę.

– Ja także cię kocham, malutka.

Brody przestał na chwilę ocierać sobie ręcznikiem szyję, by dotknąć mojej twarzy. Wyglądał jakby cierpiał równie mocno, jak ja.

Ponownie usłyszałam głos Elizabeth.

– Przyjemnej podróży, Claire. Tak Johnny, mam drobne. Naprawdę. Tyle drobnych, ile ci będzie potrzeba. Chodź, sam je przeliczysz. Uważaj na siebie, Claire.

Usłyszałam kliknięcie, a potem już tylko ciężki oddech Howarda. Z pewnością znajdował się poza zasięgiem dziecięcych uszu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Nie, nie czuję się dobrze – załkałam i odczekałam minutę, by przyjść do siebie. – Mdli mnie, gdy o tym myślę. Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje?

– Dennis chce rozwodu.

– Czy powiedział ci o nakazie opuszczenia domu?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem niechętne:

– Tak. Posłuchaj, Claire, nie bardzo podoba mi się sposób, w jaki postanowił to przeprowadzić, ale znasz Dennisa – jak już coś sobie postanowi, zawsze pakuje się w to głową naprzód.

– Wiem. Widziałam już jak to robi i jak przegrywa. Tylko że tym razem stawka jest zbyt wysoka. Martwię się o dzieci. Choć, prawdę mówiąc, poczułam się nieco lepiej, gdy z nimi porozmawiałam. – Wyglądało na to, że u nich wszystko dobrze. Byłam zadowolona, że zadzwoniłam. – Z Kikit chyba wszystko w porządku. Pewnie nie daje wam spokoju?

– Trochę, ale znasz nas. Nigdy nam to nie przeszkadzało.

– Dobrze sypia?

– Dennis twierdzi, że tak.

– Czy one wiedzą, co się dzieje?

– Nie.

– Nic nie podejrzewają?

– Nie. Muszę mu przyznać, że jeśli o to chodzi, bardzo się stara. Postanowił, że zaczeka do poniedziałku, do przesłuchania i dopiero wtedy im

powie. Mam nadzieję, że zmięknie nieco do tego czasu, choć jego adwokat wydaje się ostry.

– A kim jest ten jego adwokat? – kiedy Howard nie odpowiadał, dodałam: – To nie jest żadna tajemnica. Ktoś stawiał się w sądzie razem z Dennisem i przekonał sędziego, by wydał ten nakaz. Mój obrońca jest w stanie dowiedzieć się tego w sekundę. Wystarczy jeden telefon. Nie powiesz mi niczego, czego i tak nie mogłabym się dowiedzieć.

– To Arthur Heuber – mruknął, a potem dodał głośniej: – Dennis wkrótce tu będzie. Powinienem się pożegnać. Będzie się gniewał, jeżeli pomyśli, że powiedziałem ci o tym. Nie chciałem, żebyś wiedziała.

– Ale zgadzasz się ze mną, że to szaleństwo?

– Proszę cię, nie wplątuj mnie w to i nie zmuszaj, bym stanął po czyjejkolwiek stronie.

– Czy mogę przynajmniej poprosić, żebyś z nim porozmawiała?

– Już to zrobiłem. Twierdzi, że to, co robi, jest słuszne. Nie wycofa się.

– Ale jak może żądać wyłącznej opieki nad dziećmi? Nigdy się nimi nie zajmował. Zawsze wolał robić coś innego. Czy on w ogóle ma pojęcie, jak ojcostwo wpłynie na jego sposób życia? A może liczy na to, że ty i Elizabeth zajmiecie się dziećmi? I gdzie on teraz jest? Jeżeli wyszedł z domu wkrótce po mnie, od dwóch godzin powinien być z dziećmi. – Howard nie odpowiedział. – Wiesz może, o co mnie oskarża? – spytałam na pozór niezobowiązująco. – Odczytał ci listę moich przewinień?

– Claire...

– To wszystko nieprawda, Howard. Znasz mnie. Wiesz, że uwielbiam swoje dzieci.

– Ale to musi być dla ciebie trudne – choroba matki, i w ogóle.

– Nie. Ze wszystkim sobie radzę. To Dennis sobie nie radzi. Powinien był pojechać z nami do Cleveland. I mógłby, gdyby tylko chciał. A może były to ostatnie chwile wolności, zanim zostanie tatusiem na cały etat? Wszystko sobie zaplanował. Musiał to planować od jakiegoś czasu. – Wzięłam głęboki oddech i spuściłam oczy. – Wspominał ci o swoich podejrzeniach co do mnie i Brody'ego?

Znowu przerwa, a potem spokojne:

– Tak.

Przypuszczam, że powinnam już zacząć się do tego przyzwyczajać. Taka intymna sprawa, tak osobiste oskarżenie. Dennis powiedział swojemu adwokatowi, a ten powiedział sędziemu. Powiedział swoim rodzicom i Bóg wie, komu jeszcze. Czułam się zdradzona. I bardzo zła.

– I ty mu uwierzyłeś? Znasz Brody'ego – krzyknęłam.

Brody opierał się głową o zlew, ręce miał zaciśnięte na piersi. Jego twarz wyrażała takie samo poczucie zdrady, taki sam gniew, jak u mnie.

– Brody spędza z nami wakacje jak ktoś z rodziny. Czy naprawdę sądzisz, że byłby zdolny romansować za plecami z żoną swojego wspólnika?

– On i Dennis nie są wspólnikami od pięciu lat.

– Pomiędzy Brodym a mną nigdy, przenigdy nie było nic erotycznego – przysięgam i znowu spuściłam wzrok, zakłopotana z powodu Brody'ego, z powodu mnie samej. – Dennis się myli. To tylko jego wyobraźnia, jego własny brak pewności siebie, jego zazdrość, i co tylko chcesz.

– Muszę już kończyć, Claire.

– Kiedy dzieci wrócą do domu?

– Nie mogę powiedzieć.

– Będą tam podczas weekendu?

– Claire...

– Muszę wiedzieć, czego mam się spodziewać. I jak powinnam postępować. Nie chcę, żeby cierpiały. Są takie niewinne i nieświadome istnienia zła. Nie chcę, żeby Dennis opowiadał im jakieś kłamstwa. Albo stawiał je przeciwko mnie. Jeżeli ma coś do mnie, niech załatwia to ze mną, a dzieci zostawi w spokoju. To nie są pionki na szachownicy.

– On o tym wie.

– Jeżeli raz coś mu się wymknie, to przepadło. Słów nie można cofnąć. A często także zapomnieć. Zło już się stanie. Proszę, zaopiekuj się moimi dziećmi, Howardzie, dobrze? – błagałam. – Uświadom Dennisowi, jak łatwo je zranić. Jeżeli powie im nie to, co trzeba, skrzywdzi je.

– On także je kocha, Claire.

Tak, pewnie, mnie też niby kochał. Czy nie powiedział mi tego w zeszłym miesiącu, w moje urodziny? Wręczając mi przy tym starannie opakowane pudełeczko, w którym było jeszcze jedno pudełko, a w nim trzecie. W środku zaś para kolczyków ręcznej roboty, o których wiedział, że mi się spodobają. Wzruszyło mnie jego staranie, to, że zadał sobie trud, by stworzyć ten efekt z rozpakowywaniem. I wtedy powiedział: „Kocham cię”.

Jak niewiele musiały dla niego znaczyć te słowa!

Spędziłam tę noc u Brody'ego. Wydawało się to jedyną rozsądną rzeczą: zrobiło się późno, a ja byłam zmęczona i wytrącona z równowagi. Brody był moim najlepszym przyjacielem. Wiedział, jak bardzo martwię się tym, co sobie pomyślą dzieci i jak ciężko znoszę rozstanie z nimi.

Będąc z Brodym mogłam spokojnie złościć się i krzyczeć lub siedzieć cicho. Zrobiłam jedno i drugie. Namówił mnie do spróbowania kurczaka w sosie z burgunda i na długą, gorącą kąpiel. A nawet przygotował dla mnie łóżko w pokoju Joy.

Rano nalegał, że zawiezie mnie na spotkanie z Carmen, a ja nie opierałam się ani trochę. Czułam się pusta, słaba i przestraszona. Nie byłam pewna, czy poradziłabym sobie ze wszystkim, gdyby Brody nie trzymał mnie za rękę. Byłam mu nieskończenie wdzięczna, że tak się mną opiekował.

Ja, ale nie Carmen Niko.

RS



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Biuro Carmen znajdowało się na czwartym piętrze budynku, którego kamienną fasadę już dawno pokrył wielkowiejski brud. Oryginalna, mała, kwadratowa winda, wyposażona w żelazne kraty, trzeszczała przy każdym ruchu. Lecz biuro wyglądało na nieco bardziej zadbane. W recepcji panował o tej wczesnej porze wzorowy porządek: na wypolerowanym do połysku dębowym stole leżały poukładane porządnie w kształt wachlarza czasopisma, obok stały dwa foteliki i wyściełana kanapka. Biurko recepcjonistki pasowało do stolika do kawy, na ścianach zauważyłam gustownie oprawione sztychy, a dywan nosił jeszcze ślady odkurzania.

Nic tutaj nie wyglądało na nadmiernie luksusowe, przesadne czy onieśmielające, jak w biurze Lloyda Ushera. Ten lokal był miły dla oka i urządzony z myślą o celu, do jakiego został przeznaczony. Utrzymany w ciepłej kolorystyce, z dominującą zielenią, kolorem brzoskwini i ciepłego brązu – miał za zadanie podnosić na duchu, choć często musiało to być zadanie niemal beznadziejne. Co do mnie, to wątpiałam, czy będę w stanie poczuć się lepiej, dopóki nie uścisknę dzieci i nie dowiem się, o co naprawdę chodzi Dennisowi. A jednak przytulny charakter poczekalni

Carmen Niko i na mnie wywarł pozytywny wpływ: zaczęłam mieć nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

Sama pani adwokat także była ciepła i prosta w sposobie bycia. Choć nie okazała się piękną, dobrze wiedziała, jak wykorzystać atuty, którymi obdarowała ją natura. Wysoka, ciemnowłosa, o oliwkowej karnacji, miała na sobie miękki kostium w kolorze dyni i żadnej biżuterii poza srebrnymi kółkami w uszach. Przywitawszy mnie szerokim uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni, rzuciła Brody'emu powściągliwie: „Cześć, przystojniaku” i cmoknęła go w

policzek. Nie wykonując ani jednego zbędnego ruchu, wskazała mu jeden z foteli, po czym ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do swego gabinetu.

Kiedy się tam znalazłyśmy, nie zasiadła oficjalnie za biurkiem, lecz wzięła ze sobą notes i ulokowała się w fotelu na ukos ode mnie.

Obserwowałam jej twarz, kiedy czytała nakaz. Nieważne, co mówił o niej Brody; gdyby okazało się, że sposobem bycia przypomina Ushera, odwróciłabym się na pięcie i wyszła. Byłam zbyt zmęczona, zbyt przestraszona i zbyt obolała psychicznie, by stawić czoło kolejnemu atakowi.

Akurat. Prawda wyglądała tak, iż byłam zbyt zmęczona, przestraszona i obolała psychicznie, by szukać kogoś innego, więc moja brawura nie była wiele warta. W duchu przygotowywałam się już na odparcie ataku, lecz ona tylko skinęła głową.

– To standardowy nakaz – powiedziała i odłożyła pismo na bok.

Odkręciła nasadkę wiecznego pióra i spokojnie, z sympatią poprosiła mnie, abym opowiedziała jej, co zaszło poprzedniego dnia. Podczas gdy mówiłam, ona robiła notatki, zadawała pytania i wypytywała o szczegóły, jeśli o jakichś zapomniałam. A kiedy skończyłam, wróciła jeszcze raz do początku, jak gdyby chciała się upewnić, że naprawdę wie wszystko, co mogło okazać się przydatne.

– A zatem mąż wiedział, kiedy ma pani oczekiwać?

– Z dokładnością do piętnastu minut. Miał mój numer lotu i solenne przyrzeczenie, że przylecę właśnie tym samolotem. Nalegał na to. O czym ja wtedy myślałam? Że tak bardzo pragnie mnie zobaczyć? Być może. Lecz chyba raczej o tym, że pewnie zmęczyła go już rola tatusia. Co za idiotka ze mnie.

– Czy pomiędzy pani wejściem do domu, a momentem, gdy wyszedł z gabinetu, miał czas, żeby zadzwonić na posterunek?

– Tak, zwłaszcza jeżeli zobaczył, że przyjechałam taksówką. Musiałam podpisać rachunek i wyjąć bagaże.

– Proszę opowiedzieć mi o tym policjancie, który pojawił się na wezwanie. Ile Dennis powiedział mu przez telefon?

– Chyba niewiele. Ale nie jestem pewna. – Mój umysł nie przechował w pamięci zbyt wiele, byłam wówczas zdenerwowana i wytrącona z równowagi.

– Klóciłam się z nim. „Przyślijcie tu kogoś szybko”. Tylko tyle pamiętam.

– Ale pojawił się tylko ten jeden funkcjonariusz. Jack Mulroy. Zadzwoił do drzwi i cierpliwie czekał, aż Dennis otworzy. Czy miał w dłoni broń?

– Dobry Boże, nie. Chwilę to trwało, zanim zorientowałam się, do czego zmierza. Sądzi pani, że Dennis go przekupił? – powiedziałam głośniej, niż bym chciała.

– To niewykluczone. Prawdę mówiąc, całkiem możliwe. Policja zna pani rodzinę. Wszyscy tam wiedzą, że nie zdarzają się w niej żadne akty przemocy. A zatem normalną reakcją na takie wezwanie byłoby założenie, że córka państwa dostała kolejnego ataku, włamano się o domu albo ktoś stał się ofiarą napadu. Mimo to nie wysłano radiowozu ani gromady uzbrojonych funkcjonariuszy. Pojawił się tylko jeden spokojny facet, o którym wiedzieli, że pani go zna i zapewne usłucha.

Czując się poniżona, potarłam piekące miejsce na klatce piersiowej i bezradnie spojrzałam na sufit.

– Wyjechałam dwa tygodnie wcześniej pewna, że Dennis mnie kocha. A teraz dowiaduję się, że spiskował z policją? I powiedział im o nakazie sądowym? I uprzedził, że prawdopodobnie urządzę scenę?

– A jednak, zważywszy na zachowanie policji, to, co mówiła Carmen, miało sens. – Po co miałyby to robić?

– Żeby panią oczernić – zasugerowała. Miała głęboki, miękki głos, a jej spokojny ton działał kojąco.

– Musimy się dowiedzieć, czy naprawdę chodzi mu o dzieci, czy o coś zupełnie innego. A przede wszystkim musimy obalić jego argumenty. – Narysowała piórem linię w poprzek kartki. – No dobrze, proszę powtórzyć, jakich argumentów używa, by udowodnić, że jest pani złą matką.

Wyliczyłam je i dałam odpowiedź na każdy z nich. A kiedy skończyłam, zapytałam:

– Jak sędzia mógł podjąć decyzję, wysłuchawszy tylko jednej strony?

– Cały czas się to zdarza – powiedziała Carmen. – Moje zadanie polega właśnie na tym, by zmusić ich do wysłuchania drugiej strony. – Przewróciła kilka kartek, wracając do naszej poprzedniej rozmowy. – A co z tym lekarstwem przeciw alergii?

Sama nie przestawałam o tym myśleć, od kiedy Dennis rzucił mi w twarz oskarżenie.

– Nie ruszamy się nigdzie bez tego leku. To normalne, gdy ma się dziecko z ciężkim przypadkiem alergii. Trzeba pamiętać, by odczytywać skład wszystkich produktów, kupować jedzenie w sklepach ze zdrową żywnością, a pieczywo tylko w wybranych piekarniach. Kikit nosi nawet specjalną bransoletkę z małą porcją lekarstwa – nie robi tego zbyt chętnie, lecz ja nalegam. Nie wolno jej jeść skorupiaków, orzechów i selera. Orzechy są najgorsze. Jeżeli zostały zmielone, można wcale się nie domyślić, że są w pożywieniu. Więc zawsze zabieramy ze sobą mały zestaw pierwszej pomocy, zawierający jednorazową strzykawkę z adrenaliną i doustną dawkę antyhistaminy. Zapakowałam je do jej plecaka, na wypadek, gdyby zjadła coś na pokładzie. Zawsze daję jej jedzenie na drogę, ale nie ma co ryzykować. Kiedy dostaje ataku, wszystko dzieje się bardzo szybko. Gardło jej puchnie

błyskawicznie i po dwudziestu minutach może zacząć się dusić. Tego dnia bardzo długo tłumaczyłam stewardesie, co robić. Powiedziałam jej też, gdzie schowałam lekarstwo. Jestem przekonana, że je zapakowałam, Carmen. Nie ma sposobu, bym tego nie zrobiła. Gdyby jednak tak się stało, to moja siostra, Rona, znalazłaby je w swojej lodówce. To było półtora tygodnia temu. W drodze powrotnej zatrzymałam się co prawda w mieszkaniu matki, lecz widywałam się z Roną codziennie i nie wspominała o żadnym lekarstwie. Na pewno by go nie wyrzuciła. Wie o alergii Kikit. Widziała ją podczas ataku. Ona bardzo kocha moją córkę. A poza tym, pamiętam, że pakowałam lekarstwo do torby Kikit. Pamiętam to.

– Kto mógł je wypakować?

– Dennis. – Lecz to by oznaczało, że świadomie ryzykował życie własnej córki. Nie mogłam nawet o tym myśleć. – Może Kikit sama je wypakowała i gdzieś zostawiła. Trzymam w domu zapasową porcję, lecz Dennis należy do mężczyzn, którzy nigdy nie wiedzą, gdzie co się w domu znajduje. A poza tym – pozostaje problem, co spowodowało atak. Na pewno nie potrawka. Ale dobrze. Dostała ataku. Dlaczego nie zadzwonił do mnie, gdy się rozchorowała? Z pewnością można się było ze mną skontaktować. Wszystkim, którym na tym zależało, jakoś się udało.

– Co sprowadza nas do tematu Brody'ego – powiedziała Carmen. – Jak często pani z nim rozmawiała, gdy była poza domem?

– Codziennie. Podobnie jak z dziećmi. A przynajmniej rozmawiałabym, gdyby udało mi się do nich dodzwonić. Lecz ciągle odpowiadała mi automatyczna sekretarka.

– I nie zmartwiło to pani?

Gdy bezsennie leżałam w łóżku Joy, sama zadawałam sobie to pytanie, a także wiele innych, starając się spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Czy się martwiłam?

– Prawdę mówiąc, nie. Kikit i Johnny byli z ojcem. Wierzyłam, że zadzwoniłby do mnie, gdyby pojawił się jakiś kłopot. Nie chodziło przecież o tydzień, ale zaledwie dwa dni, podczas których nie miałam z nimi kontaktu. A poza tym, poprzednio, kiedy byłam poza domem i nie mogłam się do niego dodzwonić, dzwoniłam do jego rodziców. Dennisa bardzo to denerwowało. Powiedział, że czują się zakłopotani. I że go obrażam, bowiem on doskonale potrafi zaopiekować się swoimi dziećmi. Więc nauczyłam się nie martwić na zapas.

– Lecz rozmawiała pani z Brodym.

– Z Brodym rozmawiam o interesach. A poza tym, nie muszę gadać do jakiegoś urzędnika. On zawsze odpowiada na telefony.

– I rozmawialiście wyłącznie o interesach. – Jej upór w tej kwestii mógłby być obraźliwy, gdyby nie przepraszający ton głosu. – Jeżeli pani mąż ma wydruk rozmów, to będzie wiedział, jak długo trwała rozmowa.

– Rozmawialiśmy długo – powiedziałam, ponieważ głupotą wydawało mi się udzielanie wykrętnych odpowiedzi. – I nie tylko o interesach. Moja mama z każdym dniem czuje się gorzej, to bardzo przygnębiające. Dennis nie znosi, gdy jestem przygnębiona i kiedy zadaję mu pytania, na które nie ma odpowiedzi. Myśli, że robię to specjalnie, by wprawić go w zakłopotanie, a to nieprawda. Nie ma odpowiedzi na śmierć. Jest tylko atmosfera smutku i lęku. Potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Brody nie miał nic przeciwko temu.

– Czy pani go kocha?

– Brody'ego? Wszyscy go kochają!

– Ale nigdy nie było pomiędzy wami seksu?

– Nigdy.

– Żadnych czułych rozmów przez telefon?

– Nigdy nawet nie pocałowaliśmy się w usta. Dotykamy się jak przyjaciele. Nigdy nie było w tym niczego niewłaściwego. Dennis wyciąga pochopne wnioski. Nie może mieć ani śladu dowodu, że mamy romans. Problem – podniosłam głos, zła na swoją bezsilność – polega na tym, iż nie potrafię udowodnić, że on się myli. Mogę tylko tak twierdzić. Mieliśmy niejedną okazję, Brody i ja. Mnóstwo okazji. – Roześmiałam się z goryczą. – Gdybyśmy chcieli to zrobić, to byśmy zrobili i Dennisowi z pewnością nie udałoby się niczego nam udowodnić. Brody i ja jesteśmy współnikami i partnerami w interesach. Dużo razem podróżujemy. Zawsze bierzemy oddzielne pokoje – choć czasem jest to apartament z oddzielnymi sypialniami, byłoby nam więc bardzo łatwo spać razem. Lecz nigdy tego nie zrobiliśmy. I nigdy dotąd nie stanowiło to problemu, gdyż Brody jest przyjacielem rodziny. Do licha, był nawet przyjacielem Dennisa, nim został moim.

– Więc zaprzeczyła pani oskarżeniom. I co na to pani mąż?

– On uważa, że ma rację, a ten nakaz tylko go w tym utwierdza.

– A jak zachowywał się w momencie, kiedy się te wszystkie rzeczy zdarzały? Na przykład wtedy, gdy nie zjawiała się pani na zebraniu w szkole?

Z tego, co pamiętałam, ja czułam się wtedy podle. A co powiedział Dennis?

– Nie był szczególnie zdenerwowany. Pamiętałabym, gdyby było inaczej. Przyjął do wiadomości, że umówiłam się na inny termin – a potem nawet o to nie spytał, gdyż nie było go wtedy w domu. Chyba pojechał na ryby do Vermont. Mogę to sprawdzić. – Dennis miał kalendarz w komputerze i łatwo mogłam się do niego dostać. No cóż, dwoje może grać w tę grę.

– Czy przedtem kiedykolwiek oskarżył panią, że zaniedbuje pani swoje macierzyńskie obowiązki?

–Nie.

– Czy kiedykolwiek przed dniem wczorajszym –znów przerzuciła kilka stron – sugerował, że przeżywa pani kryzys?

– Nie. Powiem więcej, jestem przekonana, że sam nie wymyślił tego terminu. Dennis nie interesuje się psychologią. Terminologia biznesowa – proszę bardzo. Ale nie psychoanaliza. Ktoś musiał mu to podsunąć. Jego adwokat to Arthur Heuber. Czy on mógłby to zrobić?

Carmen zmarszczyła brwi.

– Przypuszczam, że tak.

Wskazałam na nakaz, leżący na skraju biurka.

– Czy to możliwe, że właśnie on stoi za całą tą sprawą? To taki nagły krok. I taki radykalny. Dennis twierdzi, że trzy razy wspominał o separacji. I rzeczywiście, wspominał, lecz ani razu nie posunął się dalej. On często tak robi – mówi coś, żeby mnie zdenerwować, na przykład, żebym sprzedała firmę. Ale wcale tak nie uważa.

A gdyby tym razem mówił poważnie, to przecież by nalegał. Albo zaproponował wizytę u terapeuty czy choćby wyprowadził się z domu. Mógł mi powiedzieć, że znalazł sobie adwokata. O Boże, jak mogłam się nie zorientować! Uknuli to wszystko za moimi plecami, a ja o niczym nie miałam pojęcia. Nagle coś przyszło mi do głowy.

– Gdybym chciała być złośliwa, powiedziałabym, że mnie wrobili.

Oczekiwałam, iż usłyszę, że popadam w paranoję, lecz zamiast tego Carmen powiedziała:

–I wcale nie jestem taka pewna, czy by się pani pomyliła.

– O Boże.



– A co panią skłania, żeby tak myśleć?

– Różne drobiazgi. Drobne sprawy, które nagle nabrały sensu. – Na pozór wydawały się zupełnie przypadkowe, ot, takie dowody pośrednie. Lecz jeśli dowody pośrednie okazały się wystarczające dla sędziego, dlaczego nie miałyby się okazać takimi dla mnie? – Na przykład ten przykry zapach w kuchni w dniu, kiedy wyjeżdżałam do Cleveland. Zrobił z tego wielką sprawę, a potem wyciągnął z szafki na wpół zgniłą cebulę, zupełnie jakby wiedział, gdzie zajrzeć. I to nieporozumienie z terminem odlotu. Ustaliłam termin, lecz ktoś go anulował, a on nie mógł nas odwieźć na lotnisko. Wiedział, że zrobi to Brody, a wtedy on będzie mógł użyć tego faktu przeciwko mnie. Albo to zamieszanie z powrotem Kikit i Johnny'ego z Cleveland. – Gdy raz zaczęłam, po prostu nie mogłam już przestać. – Dennis twierdzi, że podałam mu złą godzinę przylotu. Może jednak to nie ja się pomyliłam, ale on spóźnił się specjalnie. No i jeszcze fakt, że tym razem nie był ani w połowie tak wściekły jak zwykle, gdy wyjeżdżam. Zazwyczaj wyklóca się wtedy ze mną o wszystko; o to, kto będzie opiekował się dziećmi, o dom, o cokolwiek, byle tylko mnie zdenerwować. Tym razem było inaczej. Być może nie mógł się już doczekać mojego wyjazdu, bo wiedział, co sobie zaplanował i chciał to zrealizować. I być może nie było żadnego spotkania w interesach w Berkshires w ten weekend, a jedynie wypad z kolegami. Na pewno mógłby pojechać z nami do mojej matki, gdyby tylko chciał.

Mówiłam, dopóki nie zabrakło mi tchu. Moja złość nieco opadła.

Nienawidziłam teraz Dennisa, i to nie tylko za to, co mógł zrobić, lecz przede wszystkim za to, iż sprawił, że zaczęłam myśleć o nim w ten sposób. Przez piętnaście lat byłam miła i zgodna, a teraz on zrobił ze mnie jędzę.

I to jeszcze zanim zaczęłam się zastanawiać nad atakiem alergii Kikit.

Pióro Carmen przez chwilę przesuwało się po papierze z cichutkim zgrzytem. A potem ono także umilkło.

Chciało mi się płakać.

– Chcę odzyskać dzieci. To jakiś okropny koszmar. Moje życie było ustabilizowane. Nasze życie było ustabilizowane. Dennis nigdy nie poświęcał dzieciom zbyt wiele czasu. Nigdy tego nie chciał. Więc dlaczego mi to robi?

– Prawdopodobnie chodzi mu o pieniądze.

– Ma mnóstwo pieniędzy – zdziwiłam się naiwnie.

– On ma czy pani?

– My mamy. Na wspólnym rachunku. Dennis ma dostęp do wszystkiego.

– Kto zarabia więcej?

–Ja.

– O ile więcej?

Już miałam powiedzieć: dwukrotnie. Przypomniałam sobie jednak nasze zeznanie podatkowe z kwietnia. Nie przywiązywałam wówczas zbytnej wagi do liczb, które się w nim znalazły, a już na pewno nie czyniłam żadnych porównań. Dennis był bardzo drażliwy. Gdybym przy wypełnianiu formularza podatkowego choćby spojrzała na niego nie tak, zaraz by się najeżył.

Jednak gdy pomyślałam o tym teraz, zdałam sobie sprawę, iż powiedzenie, że zarabiam dwa razy więcej niż mój mąż, było grubym nieporozumieniem.

– W zeszłym roku zarobiłam cztery razy tyle, co on.

– Czy w tym roku będzie tak samo?

– Nie, ta różnica z pewnością się powiększy, on coraz mniej pracuje.

– Z wyboru?

– Częściowo. Nie musi pracować. Moja firma przynosi nam więcej, niż potrzeba, by dobrze żyć.

– A jak wygląda ta druga strona?

Zawahałam się. Dennis był moim mężem. Obmawianie go przed kimś obcym nie wydawało mi się właściwe. A potem zdałam sobie sprawę z absurdalności moich oporów.

– Nie jest zbyt dobry w tym, co robi – oznajmiłam. – Wcześniej miał kilka błyskotliwych pomysłów, ale skończyły się, gdy zaczął się regres w gospodarce. Teraz, gdy sytuacja na rynku nieco się poprawiła, on próbuje powrócić do dawnych sukcesów, lecz jakoś nie bardzo mu to wychodzi. A im bardziej staje się zdesperowany, tym bardziej zawodzi go osąd.

– A co z jego ego?

Westchnęłam wymownie.

– A więc – powiedziała Carmen. – Podsumujmy. Być może chodzi mu o pieniądze. To się zwykle zdarza w przypadkach takich jak ten. Ojciec posługuje się prawem do opieki nad dziećmi, aby zmusić żonę do zmniejszenia żądań. W końcu zgadza się zrezygnować z walki o wyłączną opiekę nad dziećmi, jeśli żona wyrazi zgodę na obniżenie alimentów. W pani przypadku sytuacja wygląda odwrotnie. Dennis użyje tego argumentu, by podnieść sumę świadczenia.

– A niech sobie podnosi – krzyknęłam, ponieważ jeśli o to mu chodziło, to rozwiązanie znajdowało się w zasięgu ręki. Nie byłam chciwa. Ponieważ jeszcze niedawno sama nie miałam niczego, przedkładałam „być” nad „mieć”. Nie zależało mi na brylantach, sportowych samochodach czy butach za czterysta dolarów, które tak uwielbiał Dennis. Radość, jaką czerpałam z prowadzenia firmy miała mniej wspólnego z pieniędzmi, a znacznie więcej z osobistą satysfakcją. – Może sobie wziąć wszystkie pieniądze, nie dbam o to. Proszę zadzwonić do jego adwokata. Jeżeli rzeczywiście chodzi mu o pieniądze i jeden telefon może wszystko załatwić, proszę zadzwonić.

– To nie jest takie proste, Claire. Tak, mogę zadzwonić do Arta, lecz jeśli się pani spodziewa, że sprawa zostanie rozwiązana przed poniedziałkiem, to się pani myli. W chwili, gdy sędzia wydał nakaz, sprawa wymknęła się z rąk. Z rąk Dennisa także. Zwłaszcza że w pozwie nie było mowy o pieniądzach, lecz o pani zdolności do wykonywania obowiązków macierzyńskich.

– Z pewnością jestem w stanie je wykonywać.

– I o tym właśnie musimy przekonać sędziego. Są jednak pewne procedury, których ominąć nie sposób. I tak, trzeba będzie złożyć zaprzysiężone kontroświadczenie, odpierające zarzuty Dennisa. Musimy przekonać sędziego, by cofnął nakaz czasowej eksmisji i przywrócił pani prawo do opieki nad dziećmi.

– Lecz jeśli Dennis wycofa zarzuty...

– Nie wycofa. Na pewno nie przed poniedziałkiem. Nie po tym, jak poszedł do sędziego. Art mu nie pozwoli. To kwestia jego wiarygodności jako adwokata.

– Myślałam, że to kwestia tego, co jest najlepsze dla dzieci.

– Bo tak jest, lecz wszystko w swoim czasie.

– Proszę zadzwonić do niego i powiedzieć, że Dennis może dostać, ile zechce.

– Spokojnie. Musi pani z czegoś żyć.

– Mam dosyć pieniędzy.

– A co, jeśli zażąda dziesięciu milionów dolarów i to jednorazowo?

Zaśmiałam się, lecz nie był to radosny śmiech.

– Aż tak dobrze to mi się nie powodzi.

– Może argumentować, że z firmy da się wyciągnąć właśnie tyle, a może nawet więcej.

– Cokolwiek można lub czego nie można wyciągnąć z Wiklinowego Kącika, z pewnością nie jest to gotówka.

– To nie będzie miało znaczenia, gdy da mu pani *carte blanche*. Będzie sugerował, by zapożyczyła się pani na poczet firmy, domu lub funduszu na kształcenie dzieci. No dobrze, może nie poprosi o sumę w gotówce, a na przykład o alimenty w wysokości, powiedzmy, dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie.

Przełknęłam ślinę.

– Nie wydajemy aż tyle.

– Może nie w gotówce. Lecz jeśli doliczymy wartość samochodu, domu, ubrań, wydatki na życie, rozrywkę i podróże, wszystkie te pieniądze, potrzebne, by mógł utrzymać się na poziomie, do jakiego przywykł, a także procent od zysków z pani firmy, należny mu za to, że stał przy pani boku i pomagał ją zbudować...

– Nie pomógł mi zbudować niczego – krzyknęłam. – Firma to zawsze było moje uboczne zajęcie, coś, czym mogłam się zająć, gdy on był zajęty czymś innym. Nigdy mi nie pomagał. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że to coś więcej niż hobby, dopóki nie zaczęło przynosić zysków, i nawet wtedy to ja zajmowałam się wszystkim. Nie żądając od niego, by uczestniczył w służbowych obiadkach czy kupował personelowi gwiazdkowe upominki. Ja robiłam to dla niego, lecz nigdy on dla mnie. Wiklinowy Kącik to moje dzieło, od początku do końca. Poświęciłam mu wiele czasu i mnóstwo ciężkiej pracy. Dennis nie ma do niego żadnych praw.

– Niech mu pani da *carte blanche*. A właśnie tego zażąda.

Umilkłam. niesprawiedliwość tego wszystkiego uderzyła mnie z całą mocą. Carmen dotknęła mojej ręki.

– Przykro mi, że byłam taka brutalna, lecz chciałam, byś zdała sobie sprawę, że to nie będzie takie proste. Rozwody rzadko są proste – powiedziała, porzucając oficjalną formę.

– Rozwód – wykrztusiłam.

– Jak na razie, wszystko do tego zmierza i to zmierza szybko. Zaproponowałam poradnię małżeńską, a on odmówił.

– Powiedział, że nie potrzebuje porady, gdyż dobrze wie, co mu przeszkadza. Być może naprawdę wie. Bo ja z pewnością tego nie wiem – nie po wczorajszym wieczorze.

– A czy ty chcesz rozwodu?

– Teraz nie mam już specjalnie wyboru.

– Ale czy tego chcesz?

Tak, chciałam rozwodu. Byłam wściekła na Dennisa. Nie, nie chciałam rozwodu. Dennis był moim mężem. A poza tym, jeśli się rozwiedziemy, dzieci na pewno na tym ucierpią. Lecz, z drugiej strony, jeżeli jestem aż tak wściekła na Dennisa, to i tak odbije się to na dzieciach. Byliśmy małżeństwem przez piętnaście lat, a parą przez osiemnaście. Oczywiście, nie zawsze wszystko dobrze się układało. Zdarzały się trudne momenty. Jeszcze jak trudne. Lecz były też dobre chwile.

– Pamiętam, gdy byłam w ciąży – powiedziałam, uśmiechając się smutno

– Dennis za każdym razem był po prostu niewiarygodny. Troszczył się o mnie. Wyczarowywał skądś bukiety kwiatów. Fotografował mnie i mój brzuch i były to piękne zdjęcia. Zajmował się wtedy fotografiką i był w tym naprawdę dobry. Sprawiał, że czułam się jak ktoś szczególnie.

Dennis potrafił być czarujący. I dowcipny. Kiedy miał dobry nastrój, trudno było znaleźć lepszego kompana. Tak, z pewnością przeżyliśmy razem

wiele dobrych chwil. Chciałam, aby moje dzieci miały to, czego mnie zabrakło. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby nasze małżeństwo przetrwało.

– Pomyśl o tym – powiedziała Carmen. – Zadzwoń do Arta i dowiem się, co naprawdę zamierza Dennis. – Wstała. – Będziemy potrzebowały kilku godzin, żeby sporządzić kontroskarżenie. Dziś muszę być w sądzie. Może spotkamy się jutro, o tej samej porze?

– Doskonale – odparłam szybko. Jutro miała być sobota, dzień wolny od pracy. Byłam wdzięczna, że Carmen chce poświęcić mi swój wolny czas. – A co z dziećmi? Co mogę zrobić?

– Nic, dopóki nie pójdziemy do sądu.

Nigdy dotąd nie opuściłam żadnego meczu Johnny'ego, gdy byłam w mieście.

– To dla mnie bardzo trudne.

– Zdaję sobie sprawę, lecz Dennis będzie cię uważnie obserwował, a potem doniesie o wszystkim sędziemu. Lepiej nie podsuwać mu nowych argumentów. Dzieci i tak myślą, że jesteś w Santa Fe, więc nie będą się ciebie spodziewały. Zadzwoń do nich. Powiedz, że zobaczą cię w poniedziałek wieczorem. Ale do tego czasu uszanuj zalecenia sądu.

– Tak jak sąd uszanował mnie? – zapytałam z goryczą. – To niesprawiedliwe.

– Ty masz przynajmniej adwokata. Setki kobiet przechodzi każdego tygodnia to, co ty, reprezentując same siebie, ponieważ nie stać ich na obrońcę. Nazywamy je „stronami pro se”. Uwierz mi, nie ma im czego zazdrościć!

– Kiedy się tego słucha, można by pomyśleć, że żyjemy w jakimś państwie policyjnym. Dlaczego w ogóle to się musi tak odbywać?

– Ponieważ sądy nie są doskonałe. Lubię myśleć, że w końcu sprawiedliwość triumfuje, przynajmniej w większości przypadków, lecz nie zawsze tak jest.

Poruszyłam się na krześle.

– A co będzie z moim przypadkiem? Czy sprawiedliwość zatriumfuje?

– W końcu pewnie tak – powiedziała Carmen, jednak w jej głosie było za mało przekonania, żeby mogło mnie to choć trochę uspokoić.

– Dlaczego nie od razu?

Uniosła w górę trzy palce i zaczęła wyliczać:

– Dennis Raphael, Art Heuber i E. Warren Selwey. Nie znam Dennisa, ale ci dwaj są naprawdę twardzi. Art nie lubi odgrywać przedstawienia w sądzie i nawet wiele nie mówi, lecz kiedy już się odezwie, ludzie zazwyczaj go słuchają. A co do sędziego, to z niego istny przeżytek.

– Przeżytek?

– To facet, który uważa, że kobieta powinna być bosa i na okrągło w ciąży. Im bardziej pokorna jest niewiasta, tym dla niej lepiej.

Nie wiedzieć czemu, poczułam, że fotel zrobił się nagle niewygodny. Usiadłam inaczej i skrzyżowałam nogi.

– A zatem fakt, że jestem kobietą interesu, i do tego taką, która odniosła sukces, od razu nastawił go przeciwko mnie, jeszcze zanim przeczytał zarzuty Dennisa?

Carmen skinęła głową.

– Najprawdopodobniej. Druga żona Selweya była adwokatem. Rzuciła pracę, by wychować dzieci, lecz kiedy podrosły, wróciła do zawodu. Rozwiedli się wkrótce potem i ona oskubała go do suchej nitki.

– Więc jak to możliwe, że taki ktoś rozstrzyga w podobnych sprawach? Nie ma mowy, by był bezstronny.



– Polityczna ugoda. On i poprzedni gubernator są dobrymi kumplami.

– Cholera. – Wyprostowałam nogi. – Nie możemy postarać się o zmianę sędziego?

– Nie przed poniedziałkiem. Selwey podpisał nakaz. I to on musi go ponownie rozpatrzyć. Lecz mamy silny argument. Twój mąż manipulował tobą, by stworzyć wrażenie, że jesteś nieodpowiedzialna. To będzie nasza najmocniejsza strona.

Wstałam. Wszystko we mnie aż podskakiwało z niecierpliwości – nie byłam przyzwyczajona, by siedzieć beczynn timer, gdy rozstrzygają się moje sprawy, a Carmen kazała mi czekać. Trudno mi będzie zastosować się do jej rad. Bardzo trudno.

– A jeśli to nie zadziała? – spytałam.

Musiała zdać sobie sprawę, że przestaję wierzyć w powodzenie naszej sprawy, bo kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było przekonanie:

– Jeśli to nie podziała, spróbujemy czegoś innego. Do poniedziałku nie będziemy robiły niczego, lecz jeśli nie zostaniemy wysłuchane i nakaz nie zostanie cofnięty, pozostanie jeszcze wiele innych możliwości. Tak czy inaczej, będziesz mogła zobaczyć się z dziećmi w poniedziałek wieczorem.

– Ale ja nie chcę się tylko z nimi zobaczyć. Chcę sypiać w tym samym domu, co one. Chcę sypiać z nimi w moim domu. Jeżeli Dennis nie może znieść mojego widoku, niech sam się wyprowadzi. – Skrzywiłam twarz. – Zawsze był kiepskim ojcem. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że sędzia przyznał mu prawo opieki.

Carmen położyła mi dłonie na ramionach. Była o kilka centymetrów wyższa ode mnie i musiała lekko opuścić głowę, by móc spojrzeć mi w oczy.

– Wszystko będzie dobrze, Claire. Jeżeli nie uda nam się z Selweyem, będziemy apelować.

– Ale to wymaga czasu!

– Jeśli nawet, to czas będzie działał na twoją korzyść. Daj Dennisowi dostatecznie długą linę, a sam się na niej powiesi – prędzej czy później poczuje się znużony dziećmi, zmęczony opieką nad nimi. To ciężka praca. Pozwólmy mu się o tym przekonać.

– Chcę dzieci z powrotem.

– Odzyskasz je.

– Chcę w poniedziałek.

– Więc zabierz się do roboty. Będziemy potrzebowały informacji o stanie finansów twojej firmy i firmy Dennisa. Zastanów się także, jaki jest Dennis jako ojciec. Spisz listę jego przewinień. Szczegółową listę – z datami, nazwiskami świadków. Nasza linia obrony będzie polegała na tym, by udowodnić, że Dennis cię wrobił, podczas gdy w rzeczywistości to ty jesteś bardziej odpowiedzialnym, dbałym o dobro dzieci, rodzicem.

– I to wszystko zostanie wywleczone na światło dzienne i powiedziane głośno. W sądzie.

– Nie ma innego sposobu.

– A co, jeśli ja i Dennis dojdziemy do porozumienia przed poniedziałkiem?

– Nadal będziemy musieli stanąć wszyscy przed Selweyem, lecz procedura będzie prostsza. Zadzwoń do Arta i dowiem się, na czym stoimy. Gdzie mogę cię łapać?

Już miałam jej podać numer domowy, gdy zdałam sobie sprawę, że nie mogę tam pójść. Więc otworzyłam torebkę i zaczęłam gorączkowo przetrząsać jej zawartość w poszukiwaniu służbowej wizytówki. – Będę w biurze. A potem u Brody'ego.

– Zostaniesz tam na noc? – Kiedy nie odpowiedziałam, potrząsnęła głową. – Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

– Śpię w pokoju Joy.

– Wszystko jedno. I tak wygląda to podejrzanie.

– Ale kto się o tym dowie?

– Każdy, kto będzie chciał. Nie ryzykuj, Claire. Przenieś się do hotelu.

Miałam ochotę dalej się sprzeczać. Pragnęłam wrzeszczeć i przeklinać. Lub błagać Carmen, dosłownie błagać, by pomogła mi odzyskać dzieci, a dam jej o wiele więcej, niż te dziesięć tysięcy, których żądał Usher. I nie dbam o to, że poświęci mojej sprawie zaledwie osiem godzin. Pieniądze nie mają znaczenia.

Lecz pomyślałam, że ona pewnie już o tym wie. Dałam jej to do zrozumienia, choć może nie słowami. A poza tym od wczoraj niczego innego nie robiłam, jak tylko kłóciłam się, przekonywałam i ulegałam rozpacz. Zaczynałam sama czuć się zmęczona słuchaniem swego podniesionego, nienormalnie piskliwego głosu. Problem polegał na tym, że nie byłam przyzwyczajona, by składać swój los w czyjeś ręce. Zawsze uważałam, że jeśli się chce, by coś zostało zrobione dobrze, najlepiej zrobić to samemu. Brody był jedną z niewielu osób, którym ufałam bardziej niż sobie.

A Carmen Niko? Czy ufałam także jej? Wyglądało na to, że zna się na tym, co robi. Wydawała się kompetentna. Sympatyczna. I współczująca. Ale czy mogę jej zaufać? No cóż, chyba będę musiała, przynajmniej przez jakiś czas.

– Cześć, mamusiu. Jak się czujesz?

– Claire. Dlaczego nie zadzwoniłaś wczoraj wieczorem? Martwiłam się, że samolot się rozbił.

– Gdyby tak było, już byś o tym wiedziała – powiedziałam w nagłym przyplywie natchnienia. – Wróciłam późno do domu. Tyle jest do zrobienia.

– Leżałam tutaj i czekałam. To nie najlepsze dla mojego serca.

Co mogłam powiedzieć? Nie byłam w stanie rozmawiać z nią wczoraj wieczorem. Dopiero teraz, kiedy wracałam do domu Brody'ego po spotkaniu z Carmen, zdołałam opanować się na tyle, by móc to zrobić.

– Przepraszam, mamusiu.

– No dobrze, nie mówmy już o tym. Jak dzieci?

– Dobrze. Przynajmniej tak twierdziła Elizabeth, gdy rozmawiałam z nią trzy minuty temu.

– Jak rozumiem, Dennis dobrze sobie poradził, kiedy nie było cię w domu.

O tak, co prawda to prawda, poradził sobie doskonale.

– Owszem. Czujesz się lepiej?

– Co... powiedziałaś? Nie słyszę. Coś... przerywa.

– Po prostu przejeżdżałam przez tunel.

–Głośniej.

– Przejeżdżałam przez tunel. Teraz lepiej?

– Jesteś w samochodzie?

– Tak.

– Dokąd jedziesz?

– Miałam spotkanie w Bostonie. Wracam do biura.

– Wydajesz się zmęczona.

Zbyt słabe słowo na określenie stanu, w jakim się znajdowałam. Chciałam podsunąć jej inne, ale zrezygnowałam.

– Gdy nie ma mnie długo w domu, mam potem o wiele więcej roboty.

– Kiedy do mnie przyjedziesz?

– Nie wiem.

– Czuję się lepiej, kiedy tu jesteś.

– Wiem, ale nie było mnie w domu przez dwa tygodnie. Muszę złapać trochę oddechu i pozająatwiać różne sprawy, zanim wyruszę znów na lotnisko.

Czy Rona była dzisiaj u ciebie?

Jakiś szum zagłuszył odpowiedź Connie. Poczulałam się bardzo samotna.

– Coś jest nie tak z połączeniem, mamó. Będę musiała kończyć.

– Zadzwonisz do mnie później?

– Spróbuję. A jeśli mi się nie uda, to jutro.

– Co masz zamiar dziś robić?

– Mam... mam różne sprawy – rozpaczliwie pragnęłam powiedzieć jej o wszystkim i usłyszeć inny głos mówiący, jak bardzo Dennis się myli. Ale nie wolno mi było tego zrobić.

– Rozłącz się, Claire. I tak prawie cię nie słyszę.

– Zadzwoń do ciebie wkrótce, dobrze?

– W porządku. Pa, kochanie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W swoim podstawowym znaczeniu słowo „wiklina” oznacza pewien gatunek wierzby. Jednakże na co dzień używamy go często jako rzeczownika, określającego wyroby wykonane z giętkich wiklinowych czy wierzbowych gałązek, oplecionych wokół „szkieletu”. Zgodnie z tym, co mówią etnografowie, pierwszy wiklinowy fotel powstał wtedy, gdy pewien Sumeryjczyk, zmęczony po całym dniu spędzonym na targu, zdjął puste kosze z grzbietu wielbłąda, po czym odwrócił jeden z nich do góry dnem i usiadł na nim.

Wiklinowy fotel, który wzbudził moją miłość do tego rodzaju mebli, bardzo różnił się od tego pierwszego, prymitywnego sprzętu. Był to bowiem stary bujak, stojący zazwyczaj na frontowym ganku domu, sąsiadującego z naszym. Rodzina, która tam mieszkała, należała do nielicznych w tej okolicy ocalałych w całości, podczas gdy inne traciły swych członków w wyniku wojen, nagłych śmierci – jak miało to miejsce w naszym przypadku – czy konieczności wyjazdu za chlebem. Rodzina, o której mowa, była równie biedna jak nasza, ale o wiele szczęśliwsza. Z ich werandy niemal każdego letniego wieczoru dobiegał wesoły śmiech, więcej tam było pocałunków, uśmiechów i serdecznych gestów, a pośród tego wszystkiego stał sobie właśnie ten fotel. Była w nim jakaś wytworność, delikatność, a zarazem siła. Teraz, gdy czasem zdarzało mi się myśleć o tej rodzinie, uświadamiałam sobie, że oni też mieli swoje kłopoty. A jednak nadal nie mogłam pozbyć się tego dzieciennego zauroczenia – stary, wiklinowy fotel na biegunach był dla mnie synonimem radości życia.

Gdy studiowałam projektowanie wnętrz, mój podziw dla wiklinowych mebli nabrał nowego wymiaru. Intrygował mnie prymitywizm, a zarazem

przydatność tego surowca i miało to wiele wspólnego z faktem, że w ciągu tysiącleci, które minęły od czasu, gdy Mojżesz został włożony do koszyka z sitowia i powierzony wodom Nilu, technika wyplatania prawie się nie zmieniła.

Wiedziałam, że wiklina przywędrowała do Ameryki z pierwszymi kolonizatorami i że wyplatane meble przeżywały szczyt popularności w końcu dziewiętnastego wieku oraz na początku dwudziestego. Wiedziałam także, iż potem ich popularność mocno osłabła, i dziękowałam za to Bogu. W czasach gdy zaczynałam rozkręcać przedsiębiorstwo, na strychach, pchlich targach i wyprzedazach można było bowiem bez trudu znaleźć różne wiklinowe skarby i kupić je za bezcen. Jedną czy dwie sztuki wyciągnęłam nawet z miejskiego śmietniska. Przed ślubem i potem wiele weekendów spędziłam na wyszukiwaniu starych mebli dla moich klientów.

Ponieważ nie mogłam znaleźć nikogo, kto chciałby się tym zająć i kto robiłby to dobrze, stopniowo nauczyłam się poddawać je renowacji sama. Cierpliwości miałam aż nadto, a umiejętności przyszły z czasem. Wkrótce umiałam już odnowić fotel, zastąpić zniszczone gałązki nowymi i wzmocnić ramę. I z pewnością umiałam całość pomalować. Ta część pracy wymagała najwięcej cierpliwości. Siedziałam godzinami, pokrywając każdy najmniejszy fragment kolejną warstwą farby. Z początku prawie nie brałam za swoją pracę pieniędzy. Potrafiłam wyszukać jakiś mebel, pasujący do tych, które klient miał już w domu, odnowić i wypieścić dla czystej satysfakcji.

Ta satysfakcja nigdy mnie nie opuściła. Kiedy już byłam poważną kobietą interesu, właścicielką firmy zajmującej się handlem wiklinowymi meblami na naprawdę dużą skalę, nadal spędzałam wolny czas wyszukując i odnawiając stare sprzęty, a potem je sprzedając. Kiedy wyszłam za mąż za Dennisa, moje możliwości zwiększyły się, gdyż jego rodzice zgodzili się oddać do mojej

dyspozycji pusty strych. Nagle miałam gdzie trzymać tyle starych mebli, ile tylko zdołałam wynaleźć. Gdy w końcu kupiliśmy własny dom, od razu zapełniłam go swymi znaleziskami.

Czy Dennis lubił wyplatane meble? Nigdy nie wypowiedział się na ten temat. Powiedział tylko, że kiedy jestem zdenerwowana, od razu wiadomo, gdzie mnie szukać. Praca z wikliną była dla mnie rodzajem terapii.

I pod tym względem nic się nie zmieniło. Prowadzenie firmy sprawiało mi satysfakcję, lecz odnawianie starych mebli to była czysta radość. A dodatkowa korzyść z umieszczenia biura w garażu Brody'ego, zamiast na naszym strychu, polegała na tym, iż garaż był olbrzymi, prawie wielkości domu, i znalazło się w nim dość miejsca zarówno na biuro, jak i małą pracownię. Pracownię – marzenie.

Miałam tu wspaniałe naturalne oświetlenie, doskonałą cyrkulację powietrza, warsztat stolarski, wysokie stołki, przeróżne pojemniki i mnóstwo przestrzeni. Kiedy tylko mogłam, zakradałam się, by tu pracować. W ostatnim czasie, gdy firma tak dynamicznie się rozwijała, a dzieci były małe i wymagały stałej opieki, nie zdarzało się to tak często, jak bym sobie życzyła.

Mimo to nadal ściagałam tu różne skarby. Garaż Brody'ego miał także spory strych, który mógł służyć jako magazyn. Zapełniłam go sprzętami, wynajdowanymi podczas podróży, i teraz kolejno je odnawiałam. Czasami robiłam to na zamówienie któregoś z moich klientów, a czasem po prostu dla własnej przyjemności.

Tym razem miałam pracować tylko dla siebie.

Po powrocie z Bostonu zameldowałam się w hotelu i zostawiłam bagaże. Zrobiłam to bardzo szybko, udając przed samą sobą, że jestem tu jedynie przejazdem. Zdawałam sobie sprawę, że w ten sposób tylko się oszukuję, lecz



gdybym zaczęła się zastanawiać, co naprawdę robię – już byłoby po mnie. Wiedziałam, że w biurze poczuję się o wiele pewniej.

Angela, nasza recepcjonistka, właśnie rozmawiała przez telefon. Pomachała do mnie i wskazując na słuchawkę wypowiedziała szeptem nazwisko dyrektora do spraw sprzedaży jednej z naszych największych firm zaopatrzeniowych. Pokręciłam głową na znak, że nie chcę z nim rozmawiać, i pośpieszyłam do biura, które dzieliliśmy z Brodym. Nie minęło kilka minut, a nasza sekretarka, Vicky, wsunęła głowę przez drzwi, by się ze mną przywitać.

Angela pracowała z nami od trzech lat, Vicky od pięciu. Obie dobiegały trzydziestki i choć żadna z nich nie była naszą bliską przyjaciółką, obie znały Dennisa i dzieci.

Nie wspomniałam im ani słowem o tym, co się wydarzyło. W końcu i tak dowiedzą się o rozwodzie. Wolałabym jednak, by nigdy nie dowiedziały się o odebraniu mi prawa opieki nad dziećmi.

Vicky stała w progu przez kilka minut, wypytując mnie o szczegóły ostatniej podróży, po czym wróciła do swego komputera. Ponieważ Brody wyszedł na spotkanie z grafikiem, który projektował nasze reklamy, miałam biuro tylko dla siebie.

Zdecydowana zrobić cokolwiek, żeby choć trochę uporządkować bałagan, jakim stało się moje życie, powiedziałam Angeli, że nie życzę sobie, by mi przeszkadzano, i wybrałam numer biura Dennisa. Był to niewielki apartament w eleganckim budynku na drugim końcu miasta. Po chwili zgłosiła się sekretarka Dennisa.

– Cześć, Jenny, to ja – powiedziałam, jak setki razy przedtem. – Czy mój mąż jest gdzieś w pobliżu?

Chwila ciszy, a potem zbyt szybkie:

– Ooo, nie jestem pewna. Proszę pozwolić, że sprawdzę.

– To pilne, połącz mnie, proszę.  
– Tak, Claire? – usłyszałam głos Dennisa.  
– Musimy porozmawiać.  
– Mój adwokat ostrzegł mnie, bym tego nie robił.  
– Mój prawdopodobnie powiedziałby to samo, ale to sprawa tylko pomiędzy nami. Jesteśmy dorośli i możemy rozmawiać o naszych problemach. Dennis, muszę zobaczyć się z dziećmi.

– Nie.  
– Nie stanowią dla nich żadnego zagrożenia, wiesz o tym.  
– Nie będę z tobą o tym rozmawiał.  
– Zaproponowałeś separację, a ja cię wysłuchałam i zgadzam się – błagałam.  
– Chcę więcej niż tylko separacji.  
– W porządku. Porozmawiajmy o tym. Ty i ja. Nie musimy angażować w to sądu i adwokatów.  
– Już są w to zaangażowani.  
– Ale możemy to przerwać. Możemy do nich zadzwonić i powiedzieć, że załatwiliśmy sprawę między sobą. Bo przecież możemy to zrobić, Dennis. W przeszłości zawsze się dogadywaliśmy.

– To prawda.  
– Teraz już będę cię słuchała. Naprawdę. Krótka cisza, a potem stanowcze:  
– Rozłączam się, Claire. Moim adwokatem jest Art Heuber. Powiedz swojemu, żeby do niego zadzwonił.  
– Dam ci pieniądze, jeśli tego właśnie chcesz. Po prostu nie odsuwaj mnie od dzieci. Kocham je. One mnie potrzebują. – Umilkłam, by złapać oddech. Z drugiej strony nie dobiegł mnie nawet najcichszy odgłos. – Dennis?

Cisza. Widocznie naprawdę się rozłączył.

– Dennis?

Nic.

Skonsternowana, jeszcze przez dobrą minutę trzymałam w dłoni słuchawkę, nim odłożyłam ją na widełki.

Lecz w chwilę później znów ją podniosłam. Wiedząc, że dzieci nie ma w domu, zostawiłam dla nich wiadomość na automatycznej sekretarce i obiecałam, że zadzwonię do nich później. A potem zadzwoniłam do alergologa Kikit. Zapewnił mnie, że z nią już wszystko w porządku i choć nie wydawał się specjalnie uszczęśliwiony faktem, że dalej nie wiadomo, co wywołało atak, nie nalegał na przeprowadzenie dalszych testów.

– Wykonaliśmy ich już tak wiele – powiedział – że chyba ustaliliśmy, co może jej zaszkodzić. Osobiście wcale nie jestem przekonany, czy jednak nie zjadła czegoś, czego nie powinna była jeść.

Zgodziłam się z nim. Kikit była jeszcze mała i coś takiego mogło jej się przydarzyć. Dalsze testy mogły tylko pogłębić uraz. Lepiej było po prostu uspokoić ją i jeszcze dokładniej kontrolować, co je.

Ale nie mogłam pilnować jej na odległość.

Zdecydowana zrobić, co w mojej mocy, by jak najszybciej zakończyć sprawę, spędziłam dobrą chwilę gromadząc informacje na temat finansów Wiklinowego Kącika. Jednak zebranie informacji o firmie Dennisa okazało się nie takie proste. Prawie wszystkie dokumenty znajdowały się w jego gabinecie w domu – nasze książeczki czekowe, wyciągi bankowe, zapłacone rachunki. U siebie miałam tylko kopie rocznych formularzy podatkowych, które wypełniliśmy razem w kwietniu, włożyłam je więc do dużej szarej koperty, oznaczonej jako „CGR – Prywatne” i zawierającej zebrane właśnie informacje.

Opróżniłam podróżną walizeczkę z dokumentów potrzebnych mi podczas ostatniej podróży. Były tam informacje, którym należało się przyjrzeć, dotyczące naszej ewentualnej koncesjorczynie z Atlanty, moje notatki z rozmowy z nią, zapiski, dotyczące warunków kredytowania, które należało sprawdzić. A także informacje o opuszczonej stacji obsługi w Buckhead, gdzie miałam zamiar otworzyć kolejny sklep, i o znajdujących się w jej pobliżu innych sklepach, a także numery telefonów ekspertów demograficznych, z którymi konsultowaliśmy się przed otwarciem każdego sklepu. Brody'emu na pewno przydałyby się poprawione obliczenia, które wręczył mi szef firmy budowlanej z St. Louis po przejrzeniu naszych planów. Powinniśmy też jeszcze raz przyjrzeć się naszym decyzjom i zrewidować polecenia wydane w związku z wystawą w High Point.

Lecz teraz nie potrafiłam skoncentrować się na pracy. Myślami wciąż powracałam do Dennisa, a także do Johnny'ego i Kikit.

Zebrałam papiery w zgrabny stos i odsunęłam na bok, po czym sięgnęłam po pudło z przychodzącą korespondencją i wyrzuciłam jego zawartość na biurko. Sądząc po rozmiarach stosu, telefon musiał dzwonić bez przerwy przez dwa tygodnie, kiedy nie było mnie w biurze. Telefony od dyrektorów do spraw sprzedaży, z którymi widziałam się podczas wystawy, od ludzi z reklamy i naszych koncesjorców. Telefony, dotyczące zamówień na naszą wiklinę lub informujące o rezygnacji z zakupu. A także zarządzenia, wydane przez terenowych menedżerów, które należało przejrzeć i ewentualnie zatwierdzić. I trzeba było zdecydować, kto z naszych pracowników pojedzie w styczniu do Nowego Jorku na Międzynarodową Wystawę Upominków.

Przestudiowałam jeden dokument, potem następny, i jeszcze jeden, aż wreszcie zorientowałam się, że nie wiem, co czytam. Umysł zdecydowanie odmawiał mi posłuszeństwa. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli postaram się

zająć czymś ręce. Poszłam więc do pracowni i przebrałam się w porozciągany sweter i stare džinsy, które tam trzymałam. Dżinsy były poprzecierane na kolanach, lecz miękkie niczym ircha i bardzo wygodne. A ja potrzebowałam czegoś, co byłoby miękkie, wygodne i znajome. Tęskniłam za przesyconą kurzem, zapachem stęchlizny i suchego drewna atmosferą pracowni. Odczuwałam potrzebę, by zająć się jakąś pracą fizyczną, by widzieć postęp, czuć, że nad czymś panuję. „Na warsztacie” miałam akurat dwa sprzęty: stół i pasujący do niego bujany fotel. Oba wymagały reperacji i nowej farby. Pierwszy krok przy odnawianiu polegał zwykle na bardzo dokładnym obejrzeniu mebla w poszukiwaniu złamanych prętów i usunięciu ich.

Wzięłam się zatem do pracy, jak zwykle w takich przypadkach starając się wyobrazić sobie koleje losu sprzętu, nad którym pracowałam. Być może ten stary bujak z przełomu wieków stał sobie w małym pokoju z otwartymi oknami, których firanki poruszał lekki wietrzyk. Może siadywała w nim matka z małym dzieckiem lub czyjaś babcia ze swoją robótką. Stolik zaś mógł być wygodnym miejscem na umieszczenie ukochanej książki w skórzanej okładce, miniaturowych portretów w kolorze sepia czy wysokiej szklanki z odświeżającą miętową herbatą. Niemal słyszałam dobiegający z oddali radosny śmiech, ten symbol szczęścia, zsynchronizowany z poskrzypywaniem podłogi, naciskanej biegunami fotela.

Nagle wyobrażenie zbladło i oddaliło się.

Carmen potrzebowała informacji, świadczących na niekorzyść Dennisa? Proszę bardzo. Na przykład jego zachowanie, gdy Johnny przyniósł do domu piątkę na świadectwie, a Dennis przeczytał je i zapytał, dlaczego nie ma tam szóstki. Lub kiedy Johnny nie zdobył punktu w ostatnich sekundach meczu koszykówki, a Dennis bez przerwy powtarzał, jak blisko zwycięstwa była jego

drużyna. Subtelny krytycyzm, lecz bardzo bolesny. Albo seplenienie Kikit, Dennis przedrzeźniał ją tak długo, aż wreszcie się tego pozbyła.

Czy sędzia uzna, że był złym ojcem, jeśli o tym opowiem? Psycholog mógłby.

Lecz sędzia – przeżytek z czasów, kiedy mężczyźni sprawowali całą władzę? Niekoniecznie.

Usuwałam połamane pręty. Jak nauczyłam się to robić? Czytałam książkę za książką, a potem zlokalizowałam specjalistów i przyglądałam się, jak pracują. W tej pracy był jakiś porządek, określony wzór. Pomijając wprowadzenie syn te tyków, te ogólne zasady w ogóle się nie zmieniły.

Najpierw należało oczyścić cały sprzęt. Usunąć połamane pręty. Wyszukać nowe, odpowiedniej długości, i wpleść je zgodnie ze wzorem. Przyciąć, gdy będą dobrze umocowane. Powtórzyć operację, jeśli to konieczne. Wysuszyć. Wyszlifować. I pomalować.

Byłam osobą z natury uporządkowaną. Lubiłam jasno określone zasady, co nie znaczy, że byłam tylko naśladowcą. Wręcz przeciwnie. Uwielbiałam naginać zasady aż do ostatnich granic. To właśnie dlatego, nie wspominając o innych wprowadzonych przeze mnie unowocześnieniach, przyozdobiłam pewną wiktoriańską kołyskę, wplatając nowe gałązki w jaskrawych kolorach, tworzące wzór, który tak bardzo spodobał się mojej klientce i jej maleństwu.

I dlatego byłam teraz właścicielką firmy, której obroty wyniosły w zeszłym roku prawie 20 milionów dolarów.

Nie złamałam przy tym żadnych zasad. Robiłam wszystko, o co prosił mnie Dennis, wszystko, co należało do zadań dobrej żony i matki.

Firma zawsze była na drugim miejscu. Po prostu do maksimum wykorzystywałam swoje możliwości. No dobrze, może czasami zbyt późno wracałam do domu i byłam nieco rozkojarzona. To zdarza się wszystkim

pracującym kobietom. I pracującym mężczyznom także. Moje dzieci nie cierpiały z tego powodu. Wiedziały, że są kochane. Więc gdzie popełniłam błąd?

Carmen udało się dodzwonić do Arta Heubera dopiero przed wieczorem, a to, co usłyszała, nie napawało optymizmem.

– Nie będą się układać. Dennis ma zamiar utrzymywać, że jesteś nieodpowiedzialną matką. Chce tymczasowego orzeczenia o przyznaniu mu opieki, dopóki nie zostanie orzeczony rozwód. Musimy postarać się o jak najmocniejsze argumenty. On obstaje przy oskarżeniach, które już wysunął i planuje przedstawienie nowych, jeśli je znajdzie. Czy może znaleźć coś jeszcze?

Rozłożyłam ręce. Były poranione od pracy, ale nie czułam bólu. Tak bardzo zmarzły mi dłonie, że krążenie niemal w nich ustało. Cała byłam przemarznięta i odrętwiała.

Czy Dennis mógł mnie jeszcze o coś oskarżyć?

– Dobry Boże, nie wiem. Te oskarżenia, które dotąd wysunął, to jakaś paranoja. Przypuszczam, że może wymyślić jeszcze coś w tym rodzaju.

– No cóż, przynajmniej wiesz, czego się spodziewać. Pomyśl o tym. Im bardziej będziesz przygotowana, tym dla nas lepiej. Dobrze by było, gdybyś w spokojny sposób potrafiła wyjaśnić wszystko, co on zasugeruje. Będziesz mogła przedstawić jakieś kontroskarżenia?

– To brzmi, jakbym szła na wojnę.

– Niestety, na tym właśnie polega ta gra. Albo będziemy grały zgodnie z jej zasadami, albo przegramy. A więc – jakieś oskarżenia pod adresem Dennisa?

Westchnęłam z rezygnacją.

– Większość z nich świadczy raczej o braku wrażliwości niż o zaniedbaniu.

– Powiedziałaś, że on stale wyjeżdża. Jak często są to wyjazdy służbowe, a jak często wypadły dla przyjemności?

– Pracuje piętnaście, może dwadzieścia godzin na tydzień. Nie więcej.

– Możesz to udowodnić?

Mogłam zajrzeć do jego kalendarza w komputerze i sprawdzić, kiedy i z kim się spotykał. Mogłabym oddzielić interesy od przyjemności, policzyć lunchy u Ritza i wieczory w Fenway Park. Przypuszczalnie mogłabym także zadzwonić do klubu golfowego i poprosić o podanie mi szczegółowego rozliczenia za zeszły miesiąc.

Nie mogłam uwierzyć, że sprawy zaszły tak daleko.

– Możesz to zrobić, Claire?

– Tak.

– Więc do roboty, Nie mamy wyboru. Musimy odeprzeć jego oskarżenia i rzucić mu w twarz nasze. I, Claire? Trzymaj się z dala od Brody'ego.

Spojrzałam na drzwi. Brody właśnie przed chwilą wrócił. A że Angela i Vicky poszły już do domu, to właśnie on powiedział mi o telefonie Carmen. Gdybym miała wybór, wolałabym, by był obecny podczas tej rozmowy. I mógłby, gdyby był kobietą. Nikt wówczas nie doszukiwałby się niczego podejrzanego w tym, że udzielił mi schronienia w swoim domu, zawiózł mnie do Bostonu na spotkanie z adwokatem lub został ze mną na weekend, by wspierać mnie i pocieszać. Na tym właśnie polega przyjaźń. Zwłaszcza tak bliska przyjaźń. Lecz Brody był mężczyzną. Dennis uznał naszą przyjaźń za przestępstwo. Zostałam ukarana za coś, co nigdy się nie wydarzyło.

– Co to ma znaczyć „trzymaj się od niego z daleka”? – spytałam, wściekła. – Wynajęłam pokój w Royal Sonesta. Wprowadziłam się tam,



przebrałam i poruszyłam pościel na wypadek, gdyby Dennis przekupił pokojówkę. Teraz jestem w swoim biurze, które, tak się składa, jest także biurem Brody'ego. Nie mogę wysłać go na Syberię na cały weekend.

– Lecz może mogłabyś wysłać go gdzieś bliżej, na przykład do Nowego Jorku czy Waszyngtonu? On do mnie dzwonił, Claire. Jest wściekły na Dennisa, czuje się zdradzony. A co gorsza, chce się z nim zobaczyć. I pewnie mu przyłożyć. Nie dopuść do tego, Claire. To tylko pogorszy sprawę. Jeżeli Brody chce jakoś pomóc, niech pójdzie jutro wieczorem na jakieś głośne przyjęcie i postara się, aby w poniedziałkowej gazecie ukazało się jego zdjęcie z nową ślicznotką uczeponą jego ramienia. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Dzięki szklanym ścianom, biuro było równie przestronne jak moja pracownia. Okolice recepcji i biuro Vicky zostały umeblowane wikliną – od stolików pod komputery po lampy i szafki na dokumenty. Większe pomieszczenie, to, które zajmowaliśmy wraz z Brodym, zostało wyposażone z większym rozmachem – znajdowały się tu różne drobiazgi z wikliny, rattanowe biurka ze szklanymi blatami, także stoliki do kawy i fotele, wyściełane miękkimi poduszkami. Być może to afiszowanie się z naszymi wyrobami mogło wydawać się nieco bezwstydne, ale właściwie – dlaczego nie? Fotografie tego biura nie raz znalazły się na łamach czasopism dla kobiet interesu, a taka reklama była wręcz bezcenna. A co ważniejsze, uwielbiałam nasze meble.

Brody siedział przy swoim biurku, ale wątpiłam, by był w stanie normalnie pracować. Niemal leżał w fotelu, dotykając go jedynie karkiem, pośladkami i łokciami; zamyślony, ze złożonymi na piersi rękami i skrzyżowanymi stopami. Kiedy pojawiłam się w drzwiach, nie poruszył się, a tylko na mnie spojrzał. Nie wydawał się szczególnie szczęśliwy.

– Nie martw się – mruknął. – Nie zrobię niczego głupiego. Jestem na faceta wściekły, to wszystko. – Położył na kolanach zaciśnięte w pięści dłonie. – Dlaczego, na miłość Boską, nic mi nie powiedział? Wystarczyło, żeby otworzył gębę, jeżeli sądził, że za bardzo się przy was kręcę i robię coś, czego nie powinienem. Wszystko bym mu wyjaśnił. Do diabła, nawet bym się usunął, gdybym wiedział, że tak go to dręczy. – Odłożył okulary na stół i potarł palcem grzbiet nosa. – Ale on nawet o tym nie wspomniał. Ani słówkiem. Gdy zabierałem was na lotnisko, był równie przyjacielski jak zawsze. Może wściekł się, że nie odwiedziłem go, gdy was nie było. Może sądził, że nie uważam go za dość interesującego, aby przychodzić, gdy was tam nie ma i – jeśli chcesz wiedzieć – miał rację. Zdecydowanie wolę rozmawiać z tobą. Mimo to próbowałem się z nim skontaktować – prawdę mówiąc, chciałem zaprosić całą waszą trójkę na obiad – lecz nie udało mi się dodzwonić. Ciągłe odpowiadała automatyczna sekretarka. Nie zostawiłem wiadomości, bo bałem się, że dzieci nie dadzą mu spokoju. Uśmiechnęłam się. Miał rację.

– Uwielbiają twoją kuchnię.

– Taaak, pewnie, ale ich tatuś nie lubi, jak się go do czegoś zmusza. Pomyślałem, że pewnie gdzieś z nimi wyszedł i że wszystko jest pod kontrolą. – Brody położył rękę na czubku głowy. – Dennis i ja wiele przeszliśmy przez wszystkie te lata. A on nawet nie potrafił ze mną porozmawiać o tym, co go dręczy. O istocie sprawy nie wspominając. Jak mógł przypuszczać, że byłbym w stanie zalecać się do jego żony – nie to, żebym cię nie uwielbiał, no i zdarzały się chwile, gdy miałem na to wielką ochotę – lecz ty należysz do niego. Nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zagrozić waszemu małżeństwu.

– Przeszkadzało mu ciepło między tobą a mną. Poczucie bliskości.

– Ale to nie było tak, że mnie dawałaś to, czego odmawiałaś jemu.

Może tak, a może nie. Moje stosunki z Brodym układały się w sposób naturalny i pozbawiony wszelkiego przymusu. Brody taki właśnie był. W przeciwieństwie do Dennisa. Nad moim małżeńskim życiem zawsze ciążył cień odpowiedzialności i niespełnionych oczekiwań.

– Byliśmy małżeństwem. To zawsze rodzi pewne napięcie.

– A ja jeszcze wszystko pogorszyłem, jak sądzę. Rany Boskie, Claire, przepraszam. Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Och, Brody. Nie zrobiłeś niczego złego. Tu chodzi o mnie. – Oparłam się o framugę i skrzyżowałam ramiona na klatce piersiowej. – Ja go nie słuchałam. Próbował powiedzieć mi różne rzeczy, a ja nie słuchałam. Kiedy wspominał o wyprowadzeniu się, sądziłam, że po prostu chce mnie zdenerwować. Wiedział, które guziki nacisnąć, bym poświęciła mu więcej uwagi i to był właśnie jeden z takich guzików. Ale być może mówił wtedy poważnie. Pewnie tak. Powinnam była uważniej go słuchać... Byle do poniedziałku – dodałam. – Byle do poniedziałku.

Musiało być coś w moim głosie, jakaś nutka wątpliwości, możliwa do odczytania tylko dla kogoś, kto znał mnie tak dobrze jak Brody, gdyż nagle zerwał się na równe nogi, szybko przemierzył pokój i mocno mnie objął. Nie powiedziałam mu, że jego zachowanie z pewnością nie spodobałoby się Carmen. W tej chwili nie obchodziło mnie to ani trochę.

– Momentami – szepnęłam, wtulona w jego ramię – opanowuje mnie coś jakby przebłysk przeczucia, które mi mówi, że wszystko pójdzie źle i Dennis dostanie to, czego żąda, a mnie będzie wolno widywać się z dziećmi najwyżej co drugi weekend albo stanie się coś jeszcze gorszego.

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewnił mnie Brody.

– Żaden sędzia nie może być aż tak głupi.

– Ten, który mnie się trafił, nienawidzi pracujących kobiet.

– To jego problem.

– Nie, jeżeli wyda nieprzychylnie orzeczenie.

– Wtedy się odwołamy. – Brody odsunął mnie nieco, by spojrzeć mi w oczy. – Zarzuty Dennisa są wyssane z palca, wszystkie co do jednego. Jeżeli chce rozwodu, daj mu go, lecz jeśli sędzi, że będzie lepszym ojcem niż ty byłaś matką, to chyba zwariował. Nigdy mu się to nie uda. Nawet za milion lat.

\* \* \*

Z Carmen spotkałam się w znowu w sobotę rano. Naszym głównym celem nie było na razie omówienie warunków rozwodu, lecz uzyskanie natychmiastowego uchylecia orzeczenia, pozbawiającego mnie prawa do opieki nad dziećmi. Carmen od razu zaczęła zadawać mi nie kończące się pytania na temat szczegółów naszego pożycia. Musiałam jej opowiadać, jak zwykle wygląda nasz dzień, o której wstaję, kto przygotowuje dzieciom śniadanie, o której wychodzę do pracy, kto robi pranie, kupuje ubrania, umawia się z lekarzami. To wszystko miało jej pomóc w udowodnieniu, że jestem odpowiedzialną i troskliwą matką. Lecz te szczegóły stanowiły tylko część problemu.

– Sędzia będzie chciał wiedzieć, jaki jest twój stan umysłu – powiedziała. Siedziałyśmy w pokoju konferencyjnym, ulokowane wygodnie za długim stołem, na którym leżało już moje sprawozdanie na temat finansów obu firm i nieodłączny żółty notatnik Carmen. – Będzie się dopytywał, jak radzisz sobie z chorobą matki, jak często masz zamiar u niej bywać i czy jesteś na tyle wytrącona z równowagi, by mogło się to odbić na dzieciach.

– Oczywiście, że jestem zdenerwowana. W końcu to moja matka. A ja, jak dotąd, nie byłam najlepszą córką na świecie. Nie byłam przy niej tak często, jak by należało. To moja siostra wzięła na siebie cały ciężar opieki, lecz ona i mama niezbyt dobrze się dogadują. A czas ucieka. Mama mnie

potrzebuje i muszę znaleźć dla niej czas. Jeżeli Dennis tego nie rozumie, to chyba coś o nim mówi, jak sądzisz?

– To, co ja sędzę, nie ma znaczenia. Liczy się to, co pomyśli sędzia.

– O ile nie jest zimnokrwistym bękartem, powinien zrozumieć – powiedziałam. Bez względu na to, jak już ze mną postąpił i jak z nim postąpiła jego żona. Musiał przecież mieć matkę, musiał wiedzieć, jak to jest. – Poza tym, nie jeżdżę tam przecież bez przerwy. Wpadam na dzień lub dwa przy okazji wyjazdów służbowych. A co do dzieci, to dobrze im robi, jeśli z nią trochę pobędą. Zrozumieją, jak wiele dla niej znaczy ich obecność. To dla nich dobra lekcja, nie sądzisz? Nie można uciec od choroby. A gdy ludzie są słabi i smutni, najbardziej nas potrzebują. To Dennis daje im zły przykład.

Carmen podniosła do góry dłonie.

– Nie mówimy teraz o Dennisie. Mówimy o tobie.

Wyprostowałam się.

– Stan moje matki jest bardzo poważny i jej widok wręcz łamie mi serce, ale nie wywołuje to we mnie obsesyjnego smutku. Gdy jestem z dziećmi, myślę tylko o nich. To samo z pracą. Być może nieco mniej czasu spędzam w domu, a moje życie stało się bardziej gorączkowe, lecz daję sobie ze wszystkim radę.

– Kiedy wybierasz się do matki?

– To będzie zależało od tego, jak będzie się czuła, i od terminu moich służbowych podróży.

– Musimy to dokładniej określić – nalegała Carmen. – Dennis twierdzi, że to on jest bardziej odpowiedzialnym rodzicem. My staramy się udowodnić coś wręcz przeciwnego. Sędzia będzie chciał wiedzieć, ile wyjazdów zaplanowałaś, jak długo nie będzie cię w domu i kto się wtedy zajmie dziećmi.

– Dennis się nimi zajmie. Zawsze tak dotąd robiliśmy i nigdy nie było z tym kłopotów.

– Sędzia z pewnością chętnie by usłyszał, że przez jakiś czas pozostaniesz w domu.

Ja także bardzo bym tego chciała. Ale nie mogłam niczego obiecać.

– Moja matka umiera.

– Tak – powiedziała Carmen.

– Straciłaś matkę?

– Owszem, lecz nie z powodu śmierci. Odeszła od nas. Jej słowa sprawiły, że umilkłam. Lecz nie na długo.

– Widziałaś ją jeszcze potem?

– Nigdy.

– I nawet się z nią nie pożegnałaś?

– Przekonaliśmy się, że odeszła, dopiero kiedy nie zjawiała się na obiedzie.

– Podobnie było z moim ojcem. W jednej chwili był młody i zdrowy, a w następnej powalił go atak serca. Nie było czasu, by się pożegnać. Z mamą sprawa ma się inaczej. Jak mogłabym tego nie wykorzystać?

Małe zwycięstwo. Carmen wyglądała na poruszoną.

– Możesz. I powinnaś. – Westchnęła. – Ale uważaj.

– Miałam nadzieję, że uda mi się widywać ją choć przez jeden dzień w tygodniu, ale to by się z pewnością nie spodobało sędziemu. – Nie musiałam pytać. Znałam odpowiedź.

– Chyba że zabrałabyś ze sobą dzieci. I musiałyby latać razem z tobą. Żadnych więcej samotnych podróży samolotem.

Czy byłam złą matką, że pozwoliłam im lecieć samym? Lecz przecież żyliśmy w latach dziewięćdziesiątych.

– Wszyscy tak robią.

– Nie matki, które starają się przekonać sędziów, że dzieci są dla nich najważniejsze na świecie – przekonywała Carmen. – Posłuchaj, Claire, nie twierdzę, że sędzia ma rację, po prostu usiłuję ci uświadomić, jak on rozumuje, A my nie mamy wyboru – to on ustala reguły tej gry. Będziesz musiała ograniczyć podróże do minimum, przynajmniej na jakiś czas. Oczywiście, jeśli twojej mamie się pogorszy, jedź do niej. Lecz sędzia zapyta cię także o wyjazdy służbowe. Dennis już mu powiedział, że często nie ma cię w domu.

– Taaak, nawet wszystko sobie policzył. Wyszło mu, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie było mnie w domu przez trzydzieści cztery dni.

–I co, ma rację?

– Pewnie tak. Tylko że nigdy dotąd się nie skarżył. Wspominał co prawda, że powinniśmy zaangażować opiekunkę, ale jedną już mieliśmy i okazało się, że to kiepski pomysł. On chce spróbować jeszcze raz, lecz teraz dzieci są starsze. Nie potrzebujemy niańki ani tym bardziej szofera. Tymczasem Dennisowi marzy się jakaś słodka szwedzka dziewczuszka. Co do mnie, to spodziewałabym się raczej kolejnej katastrofy. A poza tym, nie przeszkadza mi rola kierowcy. Mam wtedy czas, by porozmawiać z dziećmi, poznać ich przyjaciół. To, co dla mnie stanowi przyjemność, jemu wydaje się koszmarem. Możesz powiedzieć o tym sędziemu.

Carmen uśmiechnęła się i zapisała coś w notatniku, a potem bliżej przysunęła stojący na biurku kalendarz.

– Jakie wyjazdy służbowe zaplanowałaś?

– Na razie żadne. W przyszłym tygodniu Brody robi rundę po sklepach na Zachodnim Wybrzeżu. Co do mnie, to miałam zamiar objechać nasze butiki w domach towarowych tuż przed Świętem Dziękczynienia.

– Zbyt wcześnie.

– Tuż po Świącie... ?

Przesunęła końcem pióra po strome przeznaczony na listopad. Potem przesunęła pióro na grudzień, chwilę się zastanawiała i znowu wróciła do listopada.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie bardzo. W butikach największy ruch jest właśnie w okolicy Bożego Narodzenia. Wszyscy urządzą wtedy przyjęcia, fety na cele dobroczynne. Zawsze lepiej sprawdzić, czy wszystko funkcjonuje, jak należy.

– A Brody nie mógłby... ?

– Prawdę mówiąc, to nie jego działka. On się zajmuje liczbami, a ja stroną artystyczną.

– Tym razem wyślij tam jego. To ważne, byś była w pobliżu.

Coś było nie tak, coś, o czym nie chciała mi powiedzieć.

– Rozumiem, ale jeśli zjawimy się w poniedziałek w sądzie i sąd przywróci mi prawo do opieki, to przecież będzie po wszystkim, prawda?

Carmen nie wydawała się nastrojona tak optymistycznie, jak bym sobie tego życzyła.

– Tylko, jeśli Dennis się wycofa, a wątpię, by to zrobił. Z pewnością nie zgodzi się, żebyś sprawowała wyłączną opiekę nad dziećmi, a już na pewno nie przed ustaleniem warunków rozwodu. Być może zgodzi się dzielić z tobą opiekę, lecz nawet w takim przypadku sędzia prawdopodobnie sam zechce sobie wyrobić opinię, nim ostatecznie podejmie decyzję.

– Wyrobić opinię?

– Tak, nakaże przeprowadzić coś w rodzaju rozpoznania.

Poczułam, jak wnętrzości zaplątują mi się w ciasny supeł.

– Jakie znów rozpoznanie?



– Odnośnie ciebie. I Dennisa. A także dzieci. Zwykle przeprowadza je ktoś z zewnątrz, tak zwany opiekun ad litum. Przeważnie pracownik służb socjalnych albo psycholog, czasami prawnik, ktoś niezaangażowany, kto przeprowadza wywiad z obiema stronami i na tej podstawie sporządza opinię dla sądu.

– Jak długo to trwa?

– Około trzydziestu dni. Negocjacje w sprawie ugody rozwodowej mogą trwać znacznie dłużej. Jeżeli nie będziecie się mogli pogodzić co do podziału majątku i sprawa trafi do sądu, może to potrwać sześć miesięcy, a nawet rok.

Usłyszałam własne bolesne westchnienie.

– Rok w zawieszeniu? Nie przeżyję tego, zwłaszcza jeżeli nie będę miała dzieci przy sobie. Odzyskaj dla mnie dzieci, Carmen. Potrzebuję ich.

Usilnie starałam się wierzyć, że sędzia wycofa się ze swego orzeczenia. Rozumiałam, że Dennisowi i jego adwokatowi mogło się udać uzyskać nakaz, gdy mnie nie było i nie mogłam się bronić. Jednak w poniedziałek zjawię się w sądzie i będą musieli mnie wysłuchać. Sędzia na pewno mi uwierzy. Nic innego nie miało sensu.

Ponieważ szczerze w to wierzyłam, obiecałam Johnny'emu i Kikit, że będę w domu w poniedziałek po południu. Zgoda, więcej w tym było pobożnych życzeń niż realnych podstaw. Wymyśliłam sobie, że jeśli dzieci będą się mnie spodziewały – liczyły godziny, mamusiu, minuty i sekundy, jak zaklinała się Kikit – to sędzia nie odważy się ich zawieść. W końcu wszyscy mieliśmy na względzie przede wszystkim ich dobro, czyż nie?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie byłam wielką zwolenniczką telewizji. Zwykle, kiedy uporałam się z pracą i obowiązkami domowymi, byłam zbyt zmęczona, by cokolwiek oglądać. Czasami, gdy wdrapywałam się na łóżko wieczorem, zdarzało mi się włączać odbiornik, lecz rzadko wytrzymywałam przy nim dłużej niż dziesięć minut. Co nie znaczy, że nie wiedziałam, co lubi oglądać Dennis. Dostatecznie często, gdy przynosiłam mu kawę do gabinetu, zdarzało mi się rzucać okiem na „L. A. Law”, „Law & Order” czy fragment innego serialu o tematyce prawniczej. Jeszcze lepiej pamiętałam filmy, które oboje uwielbialiśmy: „Werdykt” czy „Anatomie morderstwa”. A „Zabić drozda” tak mi się podobało, że nawet wypożyczyłam kasetę, by pokazać film przyjacielom podczas niedzielnej kolacji. No i był jeszcze proces Simpsonów. Musiałabym chyba mieszkać na innej planecie, by nie natknąć się choćby na jedno sprawozdanie z sali sądowej. Simpsonowie byli wszędzie: na monitorach ustawionych na lotniskach, w poczekalni u dentysty, a nawet w Globe.

Mimo woli oczekiwałam, że wszystko będzie wyglądało jak na filmie. Wyobraziłam sobie salę sądową, w której ma miejsce tylko ta jedna rozprawa, sędziego usadowionego uroczyście na swojej ławie, adwokatów i ich klientów siedzących przy osobnych stolikach poniżej lawy sędziowskiej, a za nimi pełnych szacunku obserwatorów, wypełniających następne rzędy miejsc i wreszcie, pilnującego drzwi strażnika.

Rzeczywistość przedstawiała się jednak zupełnie inaczej. W pokoju sędziego Selweya nie panował może chaos, lecz z pewnością niewiele brakowało, by tak było. O tak, sędzia siedział na swojej ławie, ale okazał się malutkim człowieczkiem, który bez przerwy wstawał i znowu siadał, nieustannie biorąc do rąk to jakąś książkę, to znów plik dokumentów, jak by

chciał nam unaocznic, że tu naprawdę jest. A tymczasem, jeśli pominąć urzędników sądowych, jedynymi osobami, które mu się przyglądały, było trzech mężczyzn stojących po jego prawej stronie.

W ławach dla publiczności siedziało kilka osób, bezładnie pogrupowanych po dwie lub trzy, zaś dwaj strażnicy w końcu sali, pogrążeni w prywatnej rozmowie, nie bardzo zwracali uwagę na otoczenie. A do tego wszystkiego głośno stukały i gulgotały kaloryfery.

Nie zauważyłam Dennisa, choć szukałam go wzrokiem, od kiedy wysiadłam z samochodu. Robiłam to jednak ukradkiem, ponieważ nie byłam pewna, jak bym zareagowała, gdybym go naprawdę zobaczyła. Nie dostrzegłam go jednak ani na schodach, ani na korytarzu. W tej sali też go nie było. Może postanowił w ogóle się nie pokazywać. Może zdał sobie sprawę z absurdalności swoich oskarżeń i chciał zaoszczędzić sobie wstydu, gdy sędzia cofnie nakaz. To by mi odpowiadało. Nie mogłam sobie wyobrazić, że po prostu pocałujemy się i przywitamy, jak gdyby nigdy nic. Lecz przecież byliśmy dorośli, mogliśmy ze sobą rozmawiać. To był sposób na rozwiązanie małżeńskich nieporozumień. Nie sąd. Publiczne omawianie naszych problemów zupełnie do nas nie pasowało.

Carmen rozejrzała się i poprowadziła mnie w stronę ławy sędziowskiej. Ława była pusta i wystarczająco oddalona, by umożliwić nam swobodną rozmowę.

Gdy tylko usiadłyśmy, Carmen wyjęła z teczki stos dokumentów i przesunęła je w moją stronę.

– Przejrzyj to – powiedziała. – Jest tu wszystko, o czym rozmawiałyśmy w sobotę. Obalamy zarzuty Dennisa jeden po drugim i udowadniamy, że to ty przez wszystkie te lata byłaś bardziej troskliwym rodzicem i odpowiedzialnym małżonkiem.

Było tego cztery strony, zapisane od góry do dołu. Każdy zarzut i każdy odpierający go argument oznaczono cyfrą. Wszystko, co przeczytałam, wydało mi się niezwykle jasne i przekonujące, wzięłam zatem od Carmen pióro i podpisałam się w oznaczonym miejscu. Carmen odebrała ode mnie papiery, a potem, pochylając się w moją stronę, powiedziała cicho:

– Gdy tylko pojawią się Dennis i Art, powiadomimy Missy, tamtą blondynkę. To sekretarka sędziego –i jak sądzę – jego kuzynka, lecz całkiem miła.

Zniżyłam głos, tak jak ona. Nie chciałam, by ktokolwiek zwrócił na mnie uwagę, by w ogóle zauważono, że tu jestem.

– Kim są tamci ludzie?

– Adwokaci i ich klienci. Sędzia rozpatruje od trzech do siedmiu, a nawet ośmiu spraw w ciągu godziny. Czasami pokazują się tu też pracownicy służb społecznych, a także świadkowie. Dziennikarze pojawiają się tylko wtedy, gdy wywęszą jakiś smaczny kąsek. – Rozejrzała się spokojnie po sali. Widać było, że czuje się tutaj u siebie – było to coś, czego ja z całą pewnością nie mogłam powiedzieć o sobie. Prawdę mówiąc, wolałabym raczej znajdować się gdzie indziej. Jednak spokojna pewność siebie Carmen sprawiła, że nabrałam nieco odwagi. – Jak dotąd, nie pojawił się nikt z mediów – powiedziała. – Ten facet tam to tylko obserwator. Widać, że nie spodziewa się usłyszeć niczego ciekawego. Popatrz, czyta gazetę. Pewnie jest już na emeryturze.

Gdzieś z tyłu dobiegł nas czyjś podniesiony głos.

– Co to było? – spytałam szeptem.

– Ten mężczyzna po prawej reprezentuje sam siebie – wyjaśniła Carmen. – A że nie bardzo wie, jak powinien to robić – to stały problem z obrońcami pro se – sędzia go poucza. Adwokat żony, ten po lewej, zaprotestował przeciwko instruowaniu przez sędziego jednej ze stron, powołując się na

konflikt interesów: jego zdaniem sędzia nie może pomagać jednej stronie, zachowując jednocześnie bezstronność.

Nie potrzebowałam objaśnień Carmen, aby zrozumieć, że sędzia odrzucił sprzeciw adwokata jednym niecierpliwym machnięciem ręki. Ten gest wydał mi się dziwnie złowieszczy. Ta nazbyt pośpieszna i nieprzemyślana odprawa nie wróżyła najlepiej mojej sprawie. Tym jednym gestem sędzia jakby pomniejszył i zlekceważył kobietę i jej adwokata. Pasowało to do obrazu, jaki odmalowała Carmen. Ja zaś spędziłam większą część weekendu starając się przekonać samą siebie, że obraz ten był zbyt czarny. Musiałam wierzyć, że wystarczy, by sędzia mnie zobaczył i wysłuchał, a natychmiast przekona się, jaką jestem troskliwą i odpowiedzialną matką. Jednak ten niecierpliwy gest pod adresem kobiety, która i tak wyglądała na mocno zgnębioną, przekonał mnie, że sprawa nie będzie taka prosta. A poza tym, udzielanie porad prawnych jednej ze stron mnie także wydało się niewłaściwe. To, łącznie z zastrzeżeniami Carmen wobec Selweya, i tym, co sama wiedziałam o małych mężczyznach z kompleksem Napoleona i przysięgłych mizoginistach z kompleksem Orestesa, kazało mi się zastanowić, jakie właściwie miałam szanse, by zostać sprawiedliwie osądzoną.

– Czy on traktuje w ten sposób każdą kobietę, która ma nieszczęście przed nim stanąć? – spytałam.

Carmen nie spuszczała wzroku z ławy.

– Nie każdą. Musi zachować ostrożność. Były już na niego skargi, kilka z nich ukazało się nawet w prasie. Stąpa po kruchym lodzie, więc kiedy sytuacja jest absolutnie jednoznaczna, zazwyczaj wydaje słuszny werdykt. Gorzej, jeśli fakty da się dwojako interpretować.

Pomyślałam, że w moim przypadku sytuacja jest jednoznaczna, a moje argumenty absolutnie przekonujące. Zastanawiałam się, czy było możliwe, by

sędzia mógł tego nie dostrzec – gdy nagle drzwi w głębi sali otworzyły się i wszedł przez nie Dennis. Poczułam bolesne ukłucie gdzieś pod żebrami, gdyż wraz z moim mężem do sali wkroczyła rzeczywistość.

Obok niego szedł niepozorny mężczyzna, wyróżniający się jednak postawą. Trzymał się prosto i kroczył powoli, jakby ani przez chwilę nie wątpił, że cała uwaga świata jest skupiona tylko na nim.

– Czy to Arthur Heuber? – spytałam.

– Tak, to właśnie Arthur – odparła Carmen. – Nic śliskiego, nic na pokaz, sama solidność, a jednak od trzydziestu lat z powodzeniem zajmuje się rozwodami. Nigdy o nim nie słyszałaś, prawda? On tak woli. Nie robi wokół siebie szumu, aby tym łatwiej zaskakiwać sędziów, a poza tym zyskuje sobie ich przychylną już choćby przez to, że nie stara się ich przyćmić. – Zacisnęła usta, a potem wycodziła. – Art dobrze wiedział, co robi, kiedy wybierał Selweya.

Spojrzałam jej w oczy.

– Wybierał? To on mógł zrobić coś takiego?

– Takimi sprawami zajmuje się w sądzie pierwszej instancji. Kiedy pozew zostaje wypełniony i złożony, otrzymuje kolejny numer rejestrowy. Ostatnia cyfra tego numeru przesądza o tym, który sędzia poprowadzi sprawę.

– A zatem o wszystkim decyduje los.

– Pozornie. Sprytny adwokat może manipulować procedurą, składając pozew w odpowiednim momencie. Urzędnicy w rejestrze znani są z tego, że informują adwokatów, kiedy cyfry wskazują na sędziego, na którym im zależy.

– To nie fair – powiedziałam, a kiedy usta Carmen wykrzywiły się w grymasie frustracji, poczułam dreszcz strachu. – Możemy spowodować zmianę sędziego?

– Och, próbowałam, możesz mi wierzyć. W piątek po południu byłam w sądzie z powodu innej sprawy i poprosiłam o odroczenie przesłuchania do jutra rana. Wtedy stawałybyśmy przed sędzią DeSantisem. Nie jest dużo lepszy, lecz zawsze dobre i to. Ale skoro tu dzisiaj jesteśmy, moja prośba najwidoczniej została odrzucona. Nie chodzi o to, że ci dwaj sędziowie jakoś szczególnie się kochają, ale starają się nie wchodzić sobie wzajemnie w drogę. Selwey wydał pierwszy nakaz, więc pozwolą mu dalej prowadzić sprawę. Zaraz wracam.

Zsunęła się z ławy, trzymając w dłoni oświadczenie, które właśnie podpisałam. Mogłam tylko przyglądać się, jak przechodzi przez salę i krótko rozmawia o czymś z Heuberem, po czym oboje zbliżają się do urzędniczki. Heuber też trzymał w dłoni plik papierów, chociaż nie umiałam sobie wyobrazić, co mogą zawierać. Dalsze oskarżenia? Jakiego rodzaju? Nie biłam dzieci. Nie piłam. Nie wysyłałam ich na ulicę, żeby zebrały na jedzenie. Podobnie jak nie spowodowałam wypadku świadomie i nie zamierzałam narazić ich na niebezpieczeństwo czy nie zostawiłam mojej córki bez lekarstwa celowo, choć Dennis oskarżył mnie o jedno i o drugie.

Siedząc tam i przyglądając się, jak Art Heuber wręcza urzędnicze tajemnicze dokumenty, czułam się zupełnie bezradna. Oskarżenia nie musiały być prawdziwe, by spowodować katastrofę. Wydarzenia ostatnich dni przekonały mnie o tym.

Moje spojrzenie powędrowało ku Dennisowi i pozostało tam, przyciągnięte jego spojrzeniem, gdyż patrzył prosto na mnie. Wytrzymał mój wzrok przez jakąś minutę, po czym spokojnie odwrócił głowę. Jeżeli mój widok choć trochę nim wstrząsnął, to nie dał tego po sobie poznać. Lecz ja na pewno czułam się wstrząśnięta – jego widok przywołał bowiem z powrotem to wszystko, co przez cały weekend starałam się od siebie oddalić, by przetrwać. Znowu poczułam lęk, gniew, szok i niedowierzanie. Zaczęłam się trząść.

Carmen wśliznęła się z powrotem na ławę.

– Weź głęboki oddech i uspokój się. Dasz sobie radę.

– To jego ulubiony niebieski garnitur – szepnęłam, przepełniona bólem. –

A ten czerwony krawat? Kupiłam mu go trzy tygodnie temu. Właśnie finalizował pewną transakcję – nic wielkiego, lecz zawsze coś – i bardzo się denerwował. Powiedziałam, że taki śmiały krawat z pewnością przyniesie mu szczęście.

–I przyniósł?

– Tak, i dlatego go dzisiaj założył. Czy to ci coś mówi?

– Sprawa Raphael – dobiegł nas głos urzędniczki.

Nadal się trzęsłam, co było zupełnie do mnie niepodobne. Bywałam już narażona na stres – podczas spotkań z ludźmi, na których chciałam wywrzeć dobre wrażenie, czy też rzucając się na niepewne wody biznesu, o obracaniu wielkimi sumami pieniędzy nie wspominając – i zawsze umiałam zapanować nad nerwami. Jednak nigdy dotąd tak ważne w moim życiu sprawy nie zależały od czyjegoś kaprysu.

Starając się opanować, podążyłam za Carmen na miejsce dla świadków, po prawej stronie sędziego. Stanęliśmy tam we czwórkę: Dennis, Art, Carmen i ja – w tej kolejności. Nie spojrzałam już na Dennisa, nie ufałam sobie aż tak bardzo. Zamiast tego wbiłam wzrok w sędziego. Stał oparty o wiekową drewnianą ławę i przeglądał dokumenty, które podała mu urzędniczka. Od czasu do czasu spoglądał na mnie znad okularów, zaciskając usta. Czekałam, by choć raz spojrzał w ten sposób na Dennisa, ale nie zrobił tego. To ja byłam tu oskarżoną, przyczyną wszelkich kłopotów. To ja zaniedbywałam swoje dzieci.

Stałam wyprostowana, starając się równo oddychać, dumna ze swego opanowania – przynajmniej dopóki nie zaczęłam się nad tym zastanawiać.



Jeżeli będę wykazywała takie opanowanie, sędzia uzna mnie za zimnokrwistą sukę bez serca. Lecz jeśli zacznę się trząść, pomyśli, że jestem emocjonalnie nie zrównoważona. Jednym słowem – jakkolwiek bym się zachowała, byłoby źle.

Co robić?

Pozostałam spokojna. Spokój uratował mnie, kiedy nagle umarł mój ojciec, a moja matka zupełnie się załamała. A także, kiedy pieniądze, które odkładałam na naukę w college'u, musiały zostać wydane, by uratować Ronę przed następstwami rozbicia przez nią samochodu sąsiada. I kiedy po roku małżeństwa wyszły na jaw kawalerskie grzeszki mojego męża. Czy wspominałam o nich w swoim zeznaniu? Nie, to była stara historia, bez żadnych odniesień do terażniejszości.

Sędzia zaczął się kołysać z boku na bok. Przewracał stronę za stroną, najpierw jednego zeznania, potem drugiego.. W końcu, nadal nie przestając się kołysać, rzucił oba pliki dokumentów na stół i spojrzał na Carmen, która rozpoczęła swoją replikę.

Tonem, który sugerował, że spośród osób obecnych w pokoju tylko ona i sędzia obdarzeni są zdrowym rozsądkiem, powiedziała:

– Wysoki Sądzie, jak właśnie Sąd przeczytał, moja klientka była bardzo zaskoczona, kiedy wręczono jej pańskie orzeczenie. Prowadzi przykładowy tryb życia. Jest osobą silną, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, znaną i szanowaną w swojej społeczności, a także przez nauczycieli jej dzieci, ich pastora i opiekujących się nimi lekarzy. Jako główny opiekun wychowała dwoje szczęśliwych i dobrze przystosowanych dzieci, które wiedzą, że są kochane – teraz zaś bardzo za nią tęsknią. Jej mąż rzadko bywał w domu. Nigdy dotąd nie wykazywał zainteresowania przejęciem całkowitej opieki nad dziećmi, nigdy też nie sugerował, iż uważa swą żonę za mało odpowiedzialną

matkę. Jest tak niekomunikatywny, że moja klientka nie zdawała sobie sprawy, iż jej mąż naprawdę pragnie rozwodu. Tymczasem on poza jej plecami, gdy przebywała przy łożu umierającej matki, przyszedł do sądu i przedstawił dowody, które rzekomo świadczyły o braku równowagi psychicznej żony. Te dowody to szereg zbiegów okoliczności, parę mylnych przypuszczeń, a nawet kilka zwykłych kłamstw. Zbyt dużo tu niewiadomych, by brać je poważnie, nie mówiąc już o tym, że wiele faktów świadczy, iż moja klientka została celowo wmanipulowana w sytuacji, które miały rzucić na nią złe światło. Mówiąc bez ogródek, została w nie wrobiona.

– Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział Art Heuber tonem spokojnym, acz pełnym powagi. – Nie ma dowodów, że mogła tu mieć miejsce manipulacja.

– Ani, że nie mogła – wtrąciła Carmen. – Jednak działania pana Raphaela miały tak ukradkowy charakter, że musi to budzić wątpliwości co do motywów, jakimi się kierował. Jego firma podupada. Nigdy przedtem nie przejawiał najmniejszej chęci do przejęcia całkowitej opieki nad dziećmi, przypuszczamy więc, że tak naprawdę chodzi mu o pieniądze. Moja klientka jest przygotowana, by okazać hojność. Powiedziała by mu to sama, gdyby ją o to zapytał, oszczędzając czas Sądu. Z radością podejmiemy negocjacje na temat warunków rozwodu w dogodnym dla pana Raphaela czasie i miejscu, gdy tylko bieżąca sytuacja zostanie rozwiązana. Pani Raphael kocha swoje dzieci, a one kochają ją. Ona bardzo za nimi tęskni. Wnosimy zatem o anulowanie nakazu eksmisji i przywrócenie pani Raphael prawa do opieki.

Sędzia wziął z rąk Missy jakiś dokument. Na chwilę przestał się kołysać, podpisał go i wręczył jej z powrotem, mówiąc:

– Ich ojciec twierdzi, że dzieci doskonale radzą sobie bez niej.

Dzieci nawet nie wiedzą, że są beze mnie, pomyślałam, bliska hysterii. Myślą, że wyjechałam w interesach i że wieczorem będę już z nimi.

Carmen podjęła wątek tam, gdzie ja go zgubiłam:

– Dzieci są przyzwyczajone do tego, że ich matka często podróżuje, lecz jak pan zapewne przeczytał w naszym oświadczeniu, liczą na to, że ich matka wkrótce wróci do domu, by zająć się tym wszystkim, czego ich ojciec nie robi, kiedy jej nie ma. Na przykład – nie gotuje, nie kupuje im ubrań, nie pomaga w odrabianiu lekcji, nie bywa na spotkaniach z nauczycielami. To są małe dzieci. Jedno z nich jest chronicznie chore i to moja klientka na ogół się nim opiekuje.

– To rzecz wątpliwa – Selwey przez chwilę przerzucał papiery. – Zważywszy na to, co tu wyczytałem.

– Lekarstwo było w domu, Wysoki Sądzie. Pan Raphael wpadł w panikę i nie umiał go znaleźć, choć pani Raphael powtarzała mu nieskończoną ilość razy, gdzie je przechowuje. Tym samym, to on winien jest zaniedbania, o które ją oskarża. Lekarstwo było przez cały czas w lodówce – na co każdy jako tako myślący człowiek powinien wpaść.

Selwey spojrział na nią sponad okularów:

– Ja bym na to nie wpadł. Czy to oznacza, że nie potrafię myśleć?

– Nie. Miałam na myśli, że każdy, kto na co dzień styka się z tym problemem, z pewnością wpadłby na to, by zajrzeć do lodówki. Pan Raphael powinien być oswojony z chorobą swego dziecka. Gdyby tak było, nie twierdziłby dzisiaj, że czegokolwiek w domu zabrakło. A jeśli nawet, to na pewno nie troski ze strony mojej klientki.

– Nie? To bardzo zajęta kobieta. A poza tym ma chorą matkę po drugiej stronie kontynentu i firmę, która wymaga częstych i dalekich podróży. Wydaje mi się, iż powinna być zadowolona, że mąż zajmie się dziećmi przez jakiś czas.

Otworzyłam usta, aby zaprotestować, lecz Carmen nie pozwoliła mi się odezwać.

– Wręcz przeciwnie. Dzieci zawsze były dla niej najważniejsze. I żeby nie wiem jak była zajęta, i tak spędzała z nimi więcej czasu niż jej mąż.

Selwey postukał palcem w papiery.

– To pani tak twierdzi. Poza tym liczy się nie tyle ilość, co jakość. Być może rzeczywiście spędzała z nimi więcej czasu – choć nie w ostatnich tygodniach, jak się domyślam – ale nie poświęcała im dość uwagi. I więcej niż raz naraziła je na niebezpieczeństwo.

– To nieprawda – powiedziałam. Nie umiałam się powstrzymać. Nie mogłam tak po prostu tam stać, pozwalając się oczerniać człowiekowi, który nic o mnie nie wiedział.

Chociaż mój protest nie był głośny, sędzia natychmiast zganił mnie spojrzeniem.

– Pani Raphael. To przesłuchanie wstępne. Nic, co pani powie, nie będzie brane pod uwagę, ponieważ nie została pani zaprzysiężona. Na tym etapie to pani obrońca wypowiada się za panią. Rozumie pani?

Serce biło mi tak mocno, iż obawiałam się, że za chwilę zostanę zganiona także i za to, lecz jakoś udało mi się skinąć głową.

– No dobrze. Wracając do sprawy... Podniósł oba pliki dokumentów.

– Wysoki Sądzie? – wtrąciła Carmen.

Z wyrażającym głęboką rezygnację westchnieniem sędzia odłożył papiery na stół: –Tak?

– Pani Raphael nigdy świadomie nie naraziła dzieci na niebezpieczeństwo. Domagamy się, aby została zaprzysiężona i mogła zeznawać. Chcielibyśmy także przedstawić świadków, którzy wypowiedzieliby się na temat tego, jaką odpowiedzialną jest matką.

Sędzia pochylił się, by zerknąć na zegarek, który leżał przed nim na blacie.

– Nie ma czasu.

Nie ma czasu. On nie ma czasu? Chodzi o moje życie, moje dzieci, a on nie ma czasu? Wziął ze stołu czystą kartkę i zaczął na niej pisać, mówiąc jednocześnie:

– Ponieważ strony nie mogą dojść do porozumienia co do sposobu sprawowania opieki, wyznaczam opiekuna ad litum, który zajmie się przestudiowaniem tego przypadku. Jeszcze jakieś życzenia? – Spojrzał na Carmen znad okularów.

Serce we mnie zamarło. Rozmawialiśmy o takiej możliwości, lecz miałam nadzieję, że do wyznaczenia opiekuna nie dojdzie. Taki opiekun mógł zajmować się naszym „przypadkiem” nawet przez miesiąc, a ja pragnęłam, aby to wszystko jak najszybciej się skończyło.

Pierwszą osobą, którą Carmen wytypowała do roli opiekuna, była pracownica socjalna Nora Spellman. Sama rozwiedziona, sprawowała wyłączną opiekę nad trójką dzieci i po niej z pewnością mogłabym oczekiwać sprawiedliwego potraktowania. Lecz Nora Spellman reprezentowała sobą to wszystko, czego sędzia Selwey najbardziej nie znosił. Na pewno by ją odrzucił i straciłybyśmy jakąkolwiek możliwość wyboru. Tak więc, zgodnie z tym, co ustaliliśmy w sobotę, Carmen wysunęła inną kandydaturę.

– Chciałybyśmy prosić o wyznaczenie Anthony'ego Twomeya. Jest adwokatem u Cone'a i Nugenta.

Sędzia spojrział na Arta Heubera.

– Zna pan Anthony'ego Twomeya?

– A jakże, znam go – powiedział Heuber z nutką dezaprobaty w głosie.

– A kogo by pan wolał?

– Petera Hale'a.

Carmen wciągnęła gwałtownie powietrze i już wiedziałam, że gdyby to od niej zależało, nigdy nie znalazłabym się nawet w pobliżu Petera Hale'a. Nie dano mi jednak możliwości wyboru.

– Wyznaczam Deana Jenovitza – powiedział sędzia i napisał nazwisko Jenovitza na swoim arkuszu. – Jest psychologiem z tytułem doktorskim. Ma biuro na Cambridge Street. Jeżeli nie odezwie się do was w ciągu tygodnia, proszę do niego zadzwonić.

Tydzień? I jeszcze trzydzieści dni na sformułowanie opinii?

– Wysoki Sądzie – zaczęła Carmen – co do orzeczenia, wydanego w zeszły czwartek...

– Pozostawiam dzieci pod opieką ojca.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Spojrzał na mnie ostrzegawczo.

– Istnieje aż nazbyt wiele wątpliwości, czy właśnie teraz potrafi się pani zachowywać w sposób racjonalny.

– Jakich wątpliwości? – spytała Carmen.

– Ona wydaje się mieć kłopoty z mówieniem prawdy.

– Wszystko w jej oświadczeniu jest prawdą.

– Więc co to jest? – zapytał. Odpiął coś, co musiało być przypięte do oświadczenia Dennisa i przesunął to w stronę Carmen. Zerkając ponad jej ramieniem, zobaczyłam fotografię, zrobioną z zewnątrz domu Brody'ego, a przedstawiającą nas oboje. O ile można było wierzyć dacie w rogu zdjęcia, zrobiono je w tamten pamiętny czwartek. Na fotografii obejmowaliśmy się, a głowa Brody'ego pochylona była ku mojej.

– To było tuż przed tym, jak pierwszy raz do ciebie zadzwonił – szepnęłam do Carmen, przerażona. – Byłam bardzo zdenerwowana, a on mnie uspokajał. Nic więcej.

Spojrzałam z niedowierzaniem na Dennisa. Kiedyś zajmował się fotografią, lecz tamte zdjęcia były piękne. To takie nie było. Nie tylko miało na celu wprowadzenie w błąd, ale pokazywało, do czego gotów jest się posunąć mój mąż, by mnie pograżyć. A wszystko to w czasie, kiedy moja matka leżała umierająca.

– Wysoki Sądzie – powiedziała Carmen zdecydowanie – z całym szacunkiem, przypominam panu, że jeśli dopuszcza pan dowody, takie jak ta fotografia, mojej klientce powinno się pozwolić zeznawać. Jak dotąd, nie została wysłuchana.

– Dean Jenovitz jej wysłucha.

– Zanim wystawi opinię, może minąć nawet miesiąc. Domagamy się, by przywrócono jej prawo opieki na ten okres.

– Dzieci zostaną z ojcem – powiedział i przesunął papiery po blacie w stronę kuzynki.

Carmen podniosła głos:

– A zatem domagamy się, aby Sąd anulował nakaz opuszczenia domu. Nie ma powodu, by oboje rodzice nie mogli mieszkać w jednym domu w czasie, kiedy przeprowadzane będzie rozpoznanie.

– Rodzice nie żyją ze sobą zgodnie – powiedział, odwracając się.

– Wręcz przeciwnie. Dlatego zachowanie męża tak bardzo zaskoczyło moją klientkę. Nie było kłótni, wzajemnych oskarżeń. A poza tym, ojciec wyjeżdża jeszcze częściej niż matka. Kto wtedy zajmie się dziećmi?

– Ojciec oświadczył, że nie planuje żadnych podróży.

– Matka podobnie. A dzieci przywykły, że w domu jest dwoje rodziców. W ich najlepiej pojętym interesie byłoby, gdyby opiekowali się nimi oboje, przynajmniej do czasu, gdy wystawiona zostanie opinia.

Poczułam przeblýsk nadziei, lecz sędzia spojrzał na Heubera.

– Czy strona wyraża zgodę?

Twarz adwokata wyrażała jedynie upór.

– Nie. Słyszał pan, co powiedziała przed chwilą pani Raphael. Jest przepełniona gniewem. Proszę dodać do tego jej osobiste kłopoty i presję, pod jaką się znajduje, a okaże się, że nie wiadomo, jak mogłaby się zachować wobec dzieci czy męża.

– Nigdy bym... – zaczęłam, lecz Carmen mocno ścisnęła mnie za łokieć. Zwróciłam w stronę sędziego twarz, na której malował się wyraz błagania.

Lecz sędzia właśnie z uwagą przyglądał się czemuś, co wyjął przed chwilą z kieszeni togi, a co wyglądało jak małe przenośne radio ze słuchawką wkładaną do ucha. Takie radyjko miał kiedyś Johnny.

– Utrzymuję w mocy moje postanowienie – powiedział nie podnosząc wzroku. – Ojciec i matka nie mogą pozostawać w tym samym domu. Ojciec już tam mieszka z dziećmi. Matka i tak stale podróżuje. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy jest w mieście, może zatrzymać się gdziekolwiek.

– Omówmy warunki odwiedzin – powiedziała szybko Carmen. – Dzieciom powiedziano, że matka przebywa w podróży służbowej, lecz spodziewają się jej dziś wieczorem. Będą rozczarowane, jeśli jej nie zobaczą. Są bardzo zżyte z matką.

Selwey jeszcze przez chwilę bawił się radiem, a potem odłożył je na blat ławy, podszedł do Missy i wziął od niej dokumenty.

– Mogą zobaczyć się z nią dziś po południu, oczywiście w obecności ojca. W trakcie sporządzania opinii matka będzie mogła się z nimi widywać wyłącznie w środy i soboty.

Poczułam się tak, jakby ktoś uderzył mnie mocno w brzuch.

– Carmen?



– Dwa razy w tygodniu to o wiele za mało – argumentowała Carmen. – Dzieci będą zrozpaczone. Przez wszystkie te lata zajmowała się nimi głównie matka. Pomijając wszystko inne, jest wiele rzeczy związanych z opieką, o których ich ojciec nie ma pojęcia.

– Nauczy się – powiedział sędzia.

– Dwa dni w tygodniu to za mało, zważywszy, jak bardzo dzieci przywiązane są do matki.

– Nie mogę pozwolić na częstsze odwiedziny, dopóki biegły nie zapewni mnie, że spotkania z pozwaną nie mają na dzieci szkodliwego wpływu. Co do czasowych alimentów, to ojciec ma mieć taki sam dostęp do funduszy rodziny, jak dotąd. – Spoglądał sponad okularów to na mnie, to na Dennisa. – Kto płaci rachunki?

– Moja klientka – powiedziała Carmen, wykazując przytomność umysłu, która zupełnie mnie opuściła. – Mamy zastrzeżenia co do tego, by pozostawić sprawy tak jak teraz. Pan Raphael bardzo lubi wydawać pieniądze. Samochody, ubrania, podróże – nie wiadomo, co robi, kiedy zda sobie sprawę, że nieograniczony dostęp do pieniędzy wkrótce się skończy.

– Wysoki Sądzie – wycedził adwokat Dennisa – to bezpodstawne i krzywdzące przypuszczenie.

Sędzia nie powiedział ani tak, ani nie.

– Niech pani klientka notuje wszelkie większe wydatki. Zostaną one wzięte pod uwagę przy sporządzaniu umowy rozwodowej i podziale majątku – oświadczył w końcu. Przesunął dokumenty po ławie w stronę asystentki. – Kto następny, Missy?

Jakoś udało mi się opuścić budynek sądu i zejść po schodach. Dopiero tam ugięły się pode mną nogi. Oparłam się o mur i zaczęłam łapczywie wdychać powietrze. Dopiero po minucie zorientowałam się, że dołączyła do

mnie Carmen. Ze wszystkich sił starałam się powstrzymać płacz, lecz wcale nie byłam pewna, czy mi się uda.

– To nie w porządku, Carmen. Taka niesprawiedliwość. Nikt tam nie myślał o moich dzieciach.

Objęła mnie ramieniem na wysokości talii. Jednak to jej głos bardziej dodawał mi otuchy. Usłyszałam w nim upór i zdecydowanie.

– Do licha, pewnie że to niesprawiedliwe. Selwey był stronniczy jak diabli. Gdy tylko wrócę do biura, natychmiast przygotuję odwołanie. Będzie gotowe jeszcze dzisiaj. Co prawda, taki wniosek też musi być rozpatrywany przez sędziego, który wydał pierwsze orzeczenie, więc nie jestem zbyt dobrej myśli, ale to tylko pierwszy krok. Jeżeli Selwey odrzuci wniosek, złożymy kolejny, a jeśli i to nie pomoże, wniesiemy apelację, prosząc o zmianę orzeczenia tymczasowego. Taka apelacja będzie rozpatrywana przez Sąd Apelacyjny.

– A jeśli i ona zostanie odrzucona? – spytałam.

– Pozostaną nam jeszcze inne możliwości. Możemy na przykład złożyć w sądzie federalnym wniosek o uchylenie postanowienia, wydanego przez Selweya, oskarżając go o dyskryminację. Jego uwagi podczas dzisiejszego przesłuchania świadczą, że dyskryminował cię z powodu tego, że pracujesz, choć Konstytucja gwarantuje ci prawo do pracy. To jedna możliwość. Możemy też pozwać Dennisa.

–I o co go oskarżymy?

– O złośliwe prześladowanie. Celowe doprowadzanie cię do stanu psychicznego załamania.

Próbowałam doszukać się sensu w tym, co robił, zrozumieć, jak to możliwe, że patrzył na mnie tak spokojnie w sali sądowej, wiedząc, jaką krzywdę mi wyrządza. I to po tym, co nas łączyło.

– Czy on aż tak mnie nienawidzi?

Carmen potrząsnęła głową.

– To nie nienawiść, raczej uraza. Czuje się urażony, ponieważ poszło ci lepiej niż jemu. Mężczyznom trudno się z tym pogodzić.

– A co z jego adwokatem? Jak może pozwolić Dennisowi, by mi to robił? Czy nie widzi, że on nie ma racji?

– Jego praca polega na tym, by wytargować jak najwięcej dla swego klienta.

– Ale to nie jest sprawiedliwe.

– Sprawiedliwość nie ma wiele wspólnego z rozprawą rozwodową.

Potarłam dłonią bolące miejsce na piersi. Ból stał się jeszcze silniejszy, gdy zobaczyłam Dennisa wyłaniającego się spośród granitowych kolumn i zbiegającego po schodach z adwokatem u boku. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony. Miał powody, by się tak czuć. Właśnie udało mu się nie lada szachrajstwo.

A zatem zwyciężyliśmy, jeśli chodzi o pieniądze. Czy mnie to obchodziło? Niespecjalnie. Nigdy nie byłam chciwa.

Zobaczyłam, że się śmieje, pewnie z czegoś, co powiedział Heuber. Ten uśmiech stał się jeszcze szerszy, kiedy obaj zatrzymali się na schodach. Dopiero wtedy spostrzegłam kobietę, która tam na nich czekała.

Była niewysoką, drobną, jasną blondynką. Młodą i uderzająco atrakcyjną.

– Aha... – mruknęła Carmen. – Brakujące ogniwo.

– Kim ona jest?

– To Phoebe Lowe. Pracuje z Artem Heuberem.

– Pracuje?

– Jest jego współniczką. Wygląda, jakby była na to za młoda, prawda?

Tymczasem ma trzydzieści dwa lata, choć ludzie rzadko to zauważają. Jej

przeciwnicy albo jej nie doceniają, albo traktują zbyt łagodnie. Nie ma potrzeby wspominać, że Selwey specjalnie by się nią nie przejął. Być może dlatego twojemu mężowi towarzyszył dziś Art, choć podejrzewam, że to Phoebe jest mózgiem, który obmyślił całą strategię.

– Czyli, to ona jest tak naprawdę obrońcą Dennisa?

– Oficjalnie, ona i Art pracują jako zespół. – Carmen skinęła głową, nadal przyglądając się tamtej trójce. – Art jest twardy, ale z reguły gra uczciwie. Phoebe to co innego. Jest bystrzejsza niż jej partner i pozbawiona skrupułów. To urodzona manipulatrix. Byłoby w jej stylu poinstruować Dennisa, jak sprawić, byś źle wypadła w opinii sędziego. Spójrz na nich. Widzisz, jak się do siebie odnoszą? Na pewno dobrze się znają. Tak, przypuszczam, że tak naprawdę to właśnie Phoebe jest jego adwokatem. Ona potrafiłaby sporządzić listę zarzutów, które będą miały swoją wagę w sądzie, a potem doradzić mu, by czekał, aż zbierze się ich dostateczna ilość i wnieść przeciwko tobie oskarżenie. I z pewnością celowo wybrałaby Selweya ze względu na jego mizoginizm, a potem posłała do sądu Arta zamiast siebie.

Cała trójka wydawała się mieć doskonałe humory. Ich uśmiechy jeszcze powiększały mój ból. Poczułam coś w rodzaju ulgi, gdy wreszcie zaczęli oddalać się ulicą.

Spojrzałam na Carmen.

– Znasz tego Jenovitza?

– Słabo.

– Jest okropny?

Nie tak okropny, jak Selwey. Ani jak Peter Hale. Choć sama nigdy bym go nie wybrała. Ma niewiele ponad sześćdziesiąt lat, ale mentalność starca. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Niezbyt lotny. Konserwatywny. Bardziej denerwujący niż niebezpieczny. Lubi czepiać się szczegółów, które

niekoniecznie muszą mieć związek ze sprawą. To wszystko zajmuje czas. Wiesz, raz w miesiącu umawiam się na lunch z grupą kobiet – specjalistek od prawa rodzinnego. Wybieramy wówczas mężczyznę miesiąca, a zostaje nim facet, który najbardziej działa nam na nerwy. Nazwisko Deana pojawia się tam dość często.

– O nie...

– Ale on nigdy nie został wybrany, a nawet nie wysunął się na prowadzenie. To Peter Hale był panem Lutym. I panem Lipcem.

Gdybym była w innym nastroju, być może potrafiłabym cieszyć się drobnymi łaskami. Ale ja czułam się zapędzona w kąt, z którego nie sposób się wydostać. Mogłam tylko tam siedzieć, potulnie godząc się z sytuacją. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Carmen ujęła mnie pod ramię i sprowadziła ze schodów.

– Przykro mi, Claire. Ja także wolałabym, by to się dzisiaj skończyło. – Jej głos stwardniał. – Najgorsze, co może się zdarzyć, to wiedzieć, że ma się rację, i nie móc przekonać o tym sędziego. Lecz to nie koniec. Wiem, jak należy teraz postąpić. Zjadłam zęby na tego typu sprawach. To była trudna nauka, ale skuteczna.

Coś w jej głosie sprawiło, że na nią spojrzałam.

– Wychowałam cztery młodsze siostry – powiedziała spokojnie. – Kiedy były w średniej szkole, dwie z nich wpadły w kłopoty, gdyż znalazły się w niewłaściwym miejscu z niewłaściwymi ludźmi. Byłyśmy biedne i nie mogłyśmy pozwolić sobie na adwokata. obrońca z urzędu był przepracowany i chciał po prostu jak najszybciej zamknąć sprawę. Wynegocjował umowę z sądem, w wyniku której moje siostry przyznały się do czegoś, czego nie zrobiły i spędziły w więzieniu sześć miesięcy. „Tylko” sześć miesięcy, jak ciągle powtarzał. Zmusiłam go, by wznowił sprawę, a kiedy powiedział, że nie ma

czasu, sama ją przygotowałam. – Jej usta wykrzywił oschły uśmiezek. – Pracowałam wtedy jako barmanka. Podawałam drinki adwokatom. Dawali duże napiwki. Przespałam się z dwoma i zdobyłam informacje, na których mi zależało. Moje siostry wyszły z więzienia, a ja zaczęłam studiować prawo. – Jej uśmiech przygasł. – Już nie musiałam sypiać z adwokatami. Teraz sama wiedziałam, za jakie sznurki pociągnąć. Gdy tylko złożę wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy, zadzwonię do Jenovitzza i trochę go pogonię. Im szybciej zaczniemy, tym prędzej skończymy.

Zachwiałam się lekko, gdy zobaczyłam, jak Dennis odjeżdża swoim białym BMW, kupionym za pieniądze z jednej z nielicznych transakcji, które mu się powiodły. Nie mogłam dostrzec, czy mnie obserwuje, ani czy ktoś był w samochodzie razem z nim. Zwolnił nieco przed znakiem „stopu”, a potem zniknął za rogiem.

Zaczęłam oddychać nieco lżej. Wołałam go nie widzieć. Jeśli o to chodzi, zamieszkanie gdzieś poza domem byłoby z pewnością dobrym rozwiązaniem. Nie musiałabym na niego patrzeć, dopóki nie poradzę sobie z całym tym bałaganem.

Ruszyliśmy z Carmen w przeciwną stronę.

– Powiedz mi, czego mam się spodziewać po Jenovitzu – poprosiłam, ponieważ nie czułam się zbyt pewnie, wmanewrowana w sytuację, do której nie byłam przygotowana.

– Mnóstwa pytań. Będzie przeprowadzał rozmowy z tobą, Dennisem i dziećmi. Wypytywał o wasze małżeństwo i życie codzienne. Podasz mu nazwiska ludzi, którzy często mają do czynienia z waszymi dziećmi, a on sprawdzi ich także. Lecz głównie będzie rozmawiał z waszą czwórka. Ty i Dennis będziecie spotykać się z nim w jego biurze. Kiedy będzie chciał porozmawiać z dziećmi, przyjdzie do was do domu.

– Do domu. – Miała na myśli dom, z którego zostałam właśnie wyrzucona. Pozostawanie poza domem przez jeden weekend to nic nowego. Podobnie wyjazd służbowy. Lecz moja nieobecność miała potrwać o wiele dłużej. – Nie mam moich ubrań. I notatnika. Ani też miejsca, gdzie mogłabym dzisiaj spać.

– A hotel?

Energicznie potrząsnęłam głową. Po dwóch bezsennych nocach wyprowadziłam się z Royal Sonesta i za nic bym tam nie wróciła.

– Nie masz tu żadnej rodziny?

– Nie. – Moja rodzina mieszkała w Cleveland. I tu był następny problem. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć matce. To ja byłam gwiazdką, która rozjaśniała jej życie. Zważywszy to, czego zawsze dla mnie pragnęła i co już osiągnęłam, prawda o moim małżeństwie z pewnością by ją zabiła.

Dennis w ogóle o tym nie pomyślał. Carmen podprowadziła mnie na parking.

– Wynajmij coś na krótko.

Nie chciałam niczego wynajmować. Nie chciałam obcego miejsca, z obcymi zapachami i odgłosami. Potrzebowałam czegoś, co by miało historię. Potrzebowałam korzeni.

– Wiesz – powiedziałam. – Szukałam tego domu całymi miesiącami. Następne miesiące spędziłam urządzając go. Kiedy interesy Dennisa zaczęły iść źle, założyliśmy drugą hipotekę. To ja ją spłacałam. Ten dom jest mój, o wiele bardziej niż Dennisa. Więc czemu to mnie z niego wyrzucono?

– Ponieważ jesteś silniejsza – powiedziała Carmen. Roześmiałam się z goryczą. Znowu zaczęłam drzeć.

– Bez względu na to, jak bardzo by cię kusilo, nie wracaj do Brody'ego. Dennis tylko na to czeka.

Pomyślałam o zdjęciu i poczułam, jak ogarnia mnie wściekłość.

– Wtedy, w czwartek, musiał mnie śledzić. Gdyby był choć w połowie tak sprytny tam, gdzie chodzi o interesy, nigdy by do tego nie doszło. To sprawa ego. Jest zazdrosny o firmę, o moje stosunki z dziećmi i przyjaźń z Brodym. – Spojrzałam na nią – Ale przysięgam, między mną a Brodym nic nie ma. I nigdy nie było. Równie dobrze mógłby być moim bratem. Ten uścisk na zdjęciu był zupełnie niewinny.

– Wierzę ci. I sędzia pewnie też by uwierzył, ale niestety, już wcześniej wyrobił sobie zdanie, a potem posłużył się zdjęciem, aby obronić swoje stanowisko. I zrobił to bezprawnie. Nie miał prawa brać pod uwagę tego dowodu, jeśli nie pozwolił nam przedstawić naszych. To właśnie będzie jeden z argumentów, którymi posłużę się przy pisaniu odwołania.

– Jeżeli nie uda nam się wygrać od razu, to te wszystkie apelacje i odwołania z pewnością zajmą mnóstwo czasu. Co będzie przez ten czas z dziećmi? Dennis nie umie gotować.

– Więc będzie musiał zamawiać posiłki.

– Nigdy nie pomagał dzieciom w lekcjach.

– Nauczy się.

– Nie znosi uczestniczyć w popołudniowych zajęciach ani wozić na nie dzieci. To dlatego tak nalega, żebyśmy zatrudnili nianię.

Carmen uśmiechnęła się przewrotnie.

– Jeśli teraz zatrudni nianię, zaciągniemy go z powrotem do sądu, argumentując, że dzieci nie powinny być wychowywane przez obcą osobę, skoro ich matka jest jak najbardziej chętna, zdatna i gotowa.

– A jeśli rodzice Dennisa zgodzą się zaopiekować dziećmi? Och, Carmen – powiedziałam wzdychając ciężko i zatrzymałam się obok swojego samochodu. To było takie niesprawiedliwe.



– Ja zrobię, co do mnie należy – powiedziała Carmen – a ty zajmij się tym, czym powinnaś. Znajdź sobie jakieś tymczasowe lokum. Wróć do pracy. Bądź osiągalna, gdy Dennis zadzwoni w panice, nie mogąc sobie poradzić. I pomyśl o warunkach rozvodu, żebym mogła omówić je z Artem. – Uścisnęła pocieszająco moje ramię. – Wygramy, Claire. Może to zająć więcej czasu, niż byś sobie życzyła, lecz fakty świadczą na naszą korzyść. Musimy wygrać.

Tak bardzo chciałam w to uwierzyć. Lecz fakty świadczyły na naszą korzyść także dziś rano, a mimo to nie wygrałyśmy. Moja wiara w sprawiedliwość została poważnie zachwiana. Nie mogłam jednak po prostu usiąść i nic nie robić. To by nie było do mnie podobne. Więc znajdę sobie jakieś mieszkanie i kupię samochód za czek otrzymany z towarzystwa ubezpieczeniowego. No i wrócę do pracy. Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, by przyspieszyć bieg spraw. Lecz było coś jeszcze: coś, czym musiałam się zająć od razu. Wsunęłam dłonie głębiej w kieszenie płaszcza i zwróciłam myśli ku tej najtrudniejszej sprawie.

– Więc co mam powiedzieć dzieciom?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie spodziewałam się, że Carmen pomoże mi znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nie znając moich dzieci, nie wiedziałyby, jak do nich podejść. Pomimo to zastanawiała się przez chwilę, a potem zasugerowała to, co podpowiadało jej doświadczenie z innymi klientami, a nawet ze mną, gdyż podczas naszego sobotniego spotkania wiele rozmawiałyśmy. Opowiedziałam jej wówczas o wielu osobistych sprawach, co było konieczne, by mogła właściwie mnie reprezentować. A swoją drogą, to bardzo ciekawe. Wzrastając w przekonaniu, że moja rodzina różni się od innych, zawsze starałam się zachować daleko posuniętą dyskrecję co do spraw osobistych. Jednak ufałam Carmen. Od pierwszej chwili uznałam ją za osobę rozsądną i wrażliwą. A poza tym, skoro ufał jej Brody... Więc kiedy teraz udzieliła mi rady, jak mam zachować się wobec dzieci, zamierzałam jej posłuchać.

„Bądź szczerą” powiedziała. „Nie wypieraj się lęku i niepewności. Nie ukrywaj smutku, nawet frustracji, ale obwiniaj za to raczej sytuację niż Dennisa. Nie wciągaj dzieci w wasz spór, nie pal za sobą mostów”.

W poniedziałek po południu, kiedy na krótko przed powrotem dzieci ze szkoły zadałam Dennisowi to samo pytanie, wydawał się zakłopotany.

– Musimy im coś powiedzieć – stwierdziłam, czekając, co zaproponuje. Widziałam to tak – skoro to on wpakował nas w to całe zamieszanie, powinien przynajmniej uczynić wysiłek, by wyjaśnić sytuację.

Ale on milczał.

Grzebałam gorączkowo w szafie, przesuując drewniane wieszaki, które uderzały o siebie z cichym klekotem, gdy zdejmowałam z nich najpierw cienki prochowiec, a potem płaszcz zimowy.

Nadal czekając, co powie, sięgnęłam na górną półkę po apaszkę i rękawiczki.

– Dlaczego nie mielibyśmy powiedzieć, że nadal podróżujesz? – zapytał w końcu.

Wpatrywałam się w niego z nie ukrywanym zdumieniem. Najwidoczniej nie pomyślał dotąd o niczym innym, poza tym, jak mnie przedstawić jako wyrodną matkę.

– Podróżuję? Przez miesiąc, skoro dopiero co wróciłam? I odwiedzam je dwa razy w tygodniu, ani razu nie zostając na noc?

Płaszcz położyłam na ławie w pobliżu drzwi.

– To nie są niemowlęta. W minutę zorientują się, że coś jest nie tak. A poza tym, jestem zmęczona kłamaniem. Musiałam to robić przez cały zeszły weekend i więcej nie będę. – Zaczęłam wchodzić po schodach.

Dennis ruszył za mną.

– Więc co im powiesz?

– Prawdę. Prędzej czy później i tak musiałyby się dowiedzieć.

Okrążyłam poręcz i poszłam w dół korytarza.

– Powiem im, że postanowiliśmy żyć w separacji. Być może nie jest to cała prawda, lecz w końcu wszystko sprowadza się do tego. Gdybym powiedziała im o nakazie, zapytałyby, dlaczego sąd go wydał, a gdybym powiedziała im, dlaczego – spojrzałam na niego i weszłam do łazienki – nienawidziłyby cię za to. To by nie było w ich najlepiej pojętym interesie. Nie chcę, żeby cię nienawidziły. Jesteś ich ojcem. Będą musiały z tobą mieszkać, przynajmniej przez jakiś czas.

– Aach, Claire, jakaś ty szlachetna.

Odwróciłam się do niego, prawie wściekła. Ten gniew to było coś nowego, coś dotąd mi obcego i przerażającego. Z trudem zmusiłam się, by mój głos brzmiał spokojnie.

– Nie masz z czego być dumny, Dennis. Bo chyba nie z tej parodii sprawiedliwości. Zaskoczyłeś mnie. Ukartowałeś wszystko tak, by nie dać mi szansy. Lecz to nie będzie trwało wiecznie, ponieważ słusność jest po mojej stronie. I doświadczenie. Wkrótce przekonasz się, co to naprawdę znaczy, być samotnym ojcem. Tylko poczekaj. Nigdy dotąd nie przepadałeś za zajmowaniem się dziećmi.

– To nieprawda. Tylko ty mnie nie dopuszczałaś. Czuję się zbyteczny.

– Coś podobnego! – krzyknęłam. Boże Święty, kiedy pomyślę, jak bardzo się starałam, by czuł się ważny. – Kiedy już raczyłeś być z nami, zawsze robiłam z tego wielkie święto. Dzieci uwielbiały, gdy byłeś w domu, a ja uwielbiam patrzeć, jak są szczęśliwe. Zawsze tylko tego pragnęłam, Dennis. I ciężko na to pracowałam. A teraz ty chcesz wszystko zepsuć. – Naprawdę próbowałam zachować spokój. Większość czasu, jaki minął od zakończenia rozprawy, spędziłam na przekonywaniu siebie, że nie wolno mi tracić równowagi. Jednak gniew sprawił, iż niewiele brakowało, a wszystkie moje postanowienia wzięłyby w łeb. – Czy to z powodu czegoś, co zrobiłam? A może, co ty zrobiłeś? Coś nieprzyjemnego przydarzyło ci się w pracy? – Dotknęłam piersi. – Bardzo trudno mi to zrozumieć. Czy nasze wspólne życie było naprawdę aż takie złe? Czy byłam taką okropną żoną, że próbujesz mnie w ten sposób ukarać? I czy musisz też karać dzieci? Jego twarz przybrała wyraz znudzenia.

– Robisz się melodramatyczna. Małżeństwa ciągle się rozpadają.

– Nie moje! – krzyknęłam. Te dwa słowa wyrażały niemal wszystko. O, tak, widziałam, jak rozpadały się małżeństwa. Lecz ja pragnęłam, by nasze

okazało się inne. Potrzebowałam tego. – Tak to wszystko po prostu przekreślisz? Wszystkie dobre chwile i całą resztę?

– Jakie dobre chwile?

– Na przykład Boże Narodzenie. Zawsze mieliśmy wspaniałe święta. Pamiętasz, jak zabraliśmy dzieci do Arizony? I wędrowaliśmy wśród wzgórz, z nimi uczepionymi naszych pleców? Powiedz mi, że źle się wtedy bawiłeś.

– Być może dobrze. Ale to były chwile spędzane z rodziną. A co z nami, z tobą i ze mną?

Spojrzałam wymownie na ścianę sypialni. Cała pokryta była moimi zdjęciami. Zdjęciami, które Dennis mi zrobił, wywołał, oprawił i powiesił. Osobiście. Obejmowały okres dziesięciu lat – od czasu naszych zaręczyn do chwili, kiedy zainteresowanie Dennisa fotografią minęło. To były piękne zdjęcia i zawsze czułam się piękna, gdy na nie patrzyłam. Jedne przedstawiały mnie wesołą, inne melancholijną lub zakochaną. Wszystko to było w mojej twarzy – wydobyte i utrwalone ręką Dennisa.

Pomimo to powiedział:

– To już skończone, Claire. Tak postanowiłem i nie wycofam się.

– Masz kogoś?

Na jego obliczu pojawił się grymas.

– Dlaczego o to pytasz?

Nie miałam zamiaru odpuścić.

– Ponieważ próbuję doszukać się w tym jakiegoś sensu. Kiedyś już miałeś kogoś.

– Wieki przed tobą.

– Byłeś z nią, wiedząc, że jest żoną kogoś innego. To niezbyt się różni od zdrady wobec mnie.

–I kto to mówi.

- Brody i ja nie jesteśmy kochankami.
- No jasne.
- To prawda, i dobrze o tym wiesz.
- Akurat.
- Nasze małżeństwo nie było może doskonałe, ale nie było też złe.

Dennis oparł się o ścianę.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego, a potem wyjęłam walizkę z szafy, położyłam otwartą na łóżku i podeszłam do toaletki.

- Skończone – powiedział. – Nie zmienię zdania.

Chwyciłam pełne garście drobiazgów, wrzuciłam je do walizki i sięgnęłam po następne.

– Zbyt wiele razy udawało ci się to mi wyperswadować – mówił dalej. – Chcę odzyskać wolność.

To mnie zatrzymało. Zaśmiałam się z niedowierzaniem.

– Chcesz być wolny, opiekując się w pojedynkę dwójką małych dzieci? To dowodzi, jak mało wiesz, Dennis. Nie masz najmniejszego pojęcia, co to oznacza – wychowywać samemu dzieci. Możesz sobie mnie oskarżać, że poświęciłam się pracy zawodowej, lecz nawet pracując, zajmowałam się dziećmi i robiłam dla nich rzeczy, których ty nawet nie umiałbyś policzyć, ponieważ nic o nich nie wiesz. Mówienie Kikit, czego nie powinna jeść to jedno, a pilnowanie, by tego nie zjadła, to coś zupełnie innego. Nie wiem, jak ty, ale ja jestem przerażona, gdy sobie pomyślę, że miała atak, a my nadal nie wiemy, co go spowodowało. Trzeba będzie pilnować jej jeszcze uważniej. A Johnny jest taki wrażliwy. Pomyśl o czasie, który trzeba będzie poświęcić, by pomóc mu poradzić sobie ze stresem, związanym z rozwodem. Wolność? Dobry Boże, to mogłoby być nawet śmieszne, gdyby nie było takie żałosne. Miał czelność się uśmiechnąć.

– Więc czym się przejmujesz? Sędzia miał rację. Powinnaś się cieszyć, że będziesz miała więcej czasu.

To ten uśmiezek sprawił, że wszystko we mnie przewróciło się do góry nogami. Poczulałam przemożne pragnienie, by go uderzyć, i choć starczyło mi rozsądku, by tego nie zrobić, znienawidziłam go za to, że je we mnie wywołał. Z trudem rozluźniłam zaciśnięte szczęki i wróciłam do komody, tym razem po swetry.

– Przejmuję się – powiedziałam ostrożnie – bo ani ten sędzia, ani ty nie macie pojęcia o rodzicielskiej miłości. Kocham moje dzieci. I dobrze się nimi opiekowałam, chociaż wy dwaj twierdzicie co innego. Pozwól, że coś ci powiem – wyprostowałam się i spojrzałam mu w twarz. – To dopiero początek. Chcesz rozwodu, proszę bardzo. Dam ci rozwód, lecz jeśli spodziewasz się, że wykorzystasz dzieci, by wymusić ode mnie więcej pieniędzy, zastanów się i lepiej daj temu spokój teraz, kiedy dzieci jeszcze nie dowiedziały się najgorszego. Ani one, ani nikt inny. Możemy dojść do porozumienia. Lecz jeśli uprzesz się dalej to ciągnąć, będę walczyła. Moja adwokatka wie, czego chcę. Będziemy procesować się bez końca, jeśli okaże się to konieczne. Nie możesz wygrać, Dennis. Nie na dłuższą metę. Za dobrą byłam matką. – Wrzuciłam swetry do walizki i docisnęłam wieko.

– Przeceniasz się – powiedział, kierując się ku drzwiom. – Johnny ma trening o piątej. Postaraj się zniknąć stąd do czwartej.

– Co takiego?

– Chcę, żeby był gotowy o czwartej.

– Tuż po tym, jak cały jego świat się zawali? Sądysz, że będzie mógł grać?

– Nie zawali się, tylko nieco zmieni. Trening dobrze mu robi. To coś normalnego, coś, co zna.

- Więc go podrzucę.
- Nie. Ja to zrobię.
- Pozwól mi dłużej z nim porozmawiać.
- Możesz rozmawiać do czwartej. Jeśli nie będziesz chciała wyjść, wezwę Mulroya.

Rzuciwszy mi ostatnie, ostrzegawcze spojrzenie, wyszedł z pokoju.

To cud, że moje ciało natychmiast się nie rozpadło, tak czułam się wstrząśnięta. Lecz miałam zbyt wiele do zrobienia. Niczym automat, zabrałam się więc do roboty.

Nie chcąc, by dzieci czegoś się domyśliły, nim będę miała okazję z nimi porozmawiać, wepchnęłam walizki do bagażnika samochodu. Upchnęłam tam też wszystkie inne rzeczy, które zabierałam – odtwarzacz CD i płyty, bez których trudno mi było egzystować, a także tyle zdjęć dzieci, ile mogłam wziąć, nie pozostawiając pustych miejsc na ścianach i szafkach. Zabrałam także pudełko z naszymi książeczkami czekowymi, wyciągami bankowymi i finansowymi informacjami, których nie mogłam uzyskać poprzez komputer.

Na piętnaście minut przed przyjazdem szkolnego autobusu skierowałam się do kuchni. Błyskawicznie włączyłam piekarnik i zaczęłam przygotowywać ciasteczka. Dzieciaki uwielbiały gorące, świeżo upieczone ciasteczka, a ja uwielbiałam je robić. To było coś, co powinna robić matka, coś, co mówiło „kocham was”, w epoce, gdy w każdym sklepie pełno było gotowych wypieków. A więc, poza przygotowywaniem specjalnego jedzenia dla Kikit, starałam się je piec, kiedy tylko miałam wolną chwilę. Zwłaszcza przed dłuższą nieobecnością i po powrocie, gdy czułam się winna, że je zostawiam.

Tak, winna. Nigdy nie opuszczałam domu bez wyrzutów sumienia.

Teraz nie czułam się winna, lecz zagubiona. Pragnęłam bliskości, jaka powstaje, gdy siedzi się razem przy stole, popijając zimnym mlekiem gorące



ciasteczka. Robiliśmy to od niepamiętnych czasów, Johnny i ja, jeszcze przed pojawieniem się Kikit, a potem we trójkę. Robiłam to nawet wcześniej, choć czasy te wydawały mi się teraz bardzo odległe. Nie myślałam o nich od wieków – i nie wiem, czemu właśnie teraz przyszły mi na myśl. Byłam wówczas dzieckiem, miałam może dziesięć, jedenaście lat. Moja mama stale przebywała poza domem. Pracowała i nie miała czasu piec ciastek. Lecz znałam matki, które to robiły. Bywałam w ich domach. Domach o wiele przytulniejszych niż nasz. Więc kiedy nasza drużynowa pokazała nam, jak piecze się ciastka, zaczęłam to robić sama. Rona, z przyjaciółmi, wpadała do domu, porywała ich całą garść i natychmiast wybiegała. Nim mama zdążyła wrócić z pracy, ciastek już zwykle nie było. Poza tym, nie piekłam ich często. Pamiętam jednak, jak siadywałam w kuchni, mieszając w ustach ciepłą słodycz z chłodnym mlekiem i udając sama przed sobą, że nasz dom także jest ciepły i bezpieczny.

Pierwsza blacha była już w piekarniku, druga czekała na swoją kolej, ja zaś wyskrobywałam resztkę ciasta z miski, kiedy usłyszałam głosy dzieci dobiegające z garażu. Przycisnęłam dłoń do ust, zastanawiając się, jak – wiedząc to, co wiedziałam – zdołam powstrzymać łkanie, gdy je zobaczę.

A potem drzwi korytarzyka, łączącego garaż z resztą domu, otworzyły się i nie miałam już czasu myśleć o tym, co wydarzyło się w sądzie, ani co będzie później. Ledwie zdążyłam wytrzeć dłonie, a już Kikit skoczyła mi prosto w otwarte ramiona. Stęskniona, z radością uniosłam ją w górę i obróciłam się z nią parę razy wokół własnej osi.

– Mamuuusiu! Wiedziałam, że będziesz w domu, kiedy wrócimy! – Ścisnęła mnie za szyję tak mocno, że aż zabołało, lecz nie zwróciłam na to uwagi. Uwolniłam jedno ramię i objęłam nim Johnny'ego.

– Cześć, mamó – powiedział sztucznie niskim głosem, który miał zrównoważyć gorący uścisk, jakim mnie obdarzył. – Kiedy przyleciałaś?

– Jakiś czas temu – powiedziałam. To tylko takie małe nieszkodliwe kłamstwo, pomyślałam. Nie czułam się jeszcze na siłach, by powiedzieć im o wszystkim, chciałam najpierw chociaż trochę się nimi nacieszyć, choćby to znaczyło, że jeszcze przez parę minut będę udawać, iż ten powrót niczym nie różni się od innych.

Staliśmy tak dobrą chwilę, przytuleni: Kikit z nogami owiniętymi wokół mojej talii i Johnny, w uścisku mojego ramienia.

– Wyglądacie wspaniale. – Spojrzałam na Kikit. Istny okaz zdrowia. – Dobrze się czujesz?

– Taak.

– Z jedzeniem wszystko w porządku?

– Pewnie. – Otworzyła szeroko buzię. – Popats, wyleciał mi ząb!

Z należyтым podziwem przyjrzałam się miejscu, które wskazywała językiem.

– Jaka piękna dziurka... Domyślam się, że masz ten ząbek? – Inaczej już by płakała, tak, jak ostatnim razem.

Lecz teraz kiwała tylko z zapalem głową, w pośpiechu przeszukując kieszenie i prezentując w końcu mały ząbek, podobny do orzeszka pokrytego białą emalią. Potem opowiedziała mi dokładnie, o czym tym razem zamierza napisać w liście do wróżki od ząbków –co okazało się poprzednio świetnym rozwiązaniem. Teraz postanowiła je powtórzyć, mimo że udało jej się zachować ząb. Nadal opowiadała mi o liście, kiedy Johnny wtrącił się i jej przerwał. – Mikey Rubin złamał dziś rękę na boisku.

– Jeszcze nie skończyłam – zaprotestowała Kikit, ujęła moją twarz w dłonie i odwróciła w swoją stronę.

– To jest ważniejsze. I takie okropne.

– Mamusiu, on mi przerywa.

– Ale to ważne. Kość sterczała na zewnątrz i wszędzie było pełno krwi.

Zabrali go do szpitala karetką.

– Płakał – powiedziała Kikit, która najwidoczniej postanowiła przejąć temat Johnny'ego, skoro nie mogła przeforsować własnego. – Słyszeliśmy go w klasie. A ja nie płakałam, kiedy wypadł mi ząb. – Zmarszczyła nosek. Buzia jej się rozjaśniła. – Coś jest w piekarniku – zawołała śpiewnie.

– Ciasteczka z czekoladą – powiedział Johnny, a potem, zwracając się do mnie, dodał: – Mikey nawet nic takiego nie robił, gdy to się stało. Graliśmy w zbijanego, gdy nagle tak jakoś nieszczęśliwie skoczył w bok i upadł, a potem rozległ się ten okropny dźwięk, i kość wyszła mu przez skórę.

Uciszyłam go, przytulając mocno do ramienia i wymruczałam w jego kruczoczarną czuprynę:

– Powiedz to jeszcze raz, a zrobi mi się niedobrze.

– Taak, ja też czułem coś takiego, jak na to patrzyłem – powiedział, gdy wreszcie go puściłam.

– Założę się, że nie tylko ty tak się czułeś. To normalne w takiej sytuacji.

– Chcę ciasteczko, mamusiu. Długo jeszcze będą się piekły?

Po dwóch minutach pierwsza partia była gotowa, następna znalazła się w piekarniku, a Kikit opowiadała mi z zapałem o indyku, który odwiedził ich w klasie, o lalce Barbie, którą chciałyby dostać pod choinkę, i o notatce od nauczycielki. Co prawda, zgubiła ją na boisku czy też w autobusie, ale wie, że było tam coś o wszach, które znaleziono we włosach jakiegoś dziecka.

Wszy. Wspaniale. Przejrzałam szybko włosy obojga i odetchnęłam z ulgą. Będę musiała powiedzieć Dennisowi, by zrobił dokładniejszy przegląd. Ciekawe, jak mu się to spodoba.

Johnny nie był tak gadatliwy jak Kikit. Nie dotykał bez przerwy mojej twarzy ani włosów, jak ona, lecz trzymał się blisko, dopóki nie powiedziałam, że ciastka gotowe. Wtedy sam zdjął je szpatułką z blachy. Zawsze tak robiliśmy – zdejmowaliśmy pierwszą partię ciasteczek i od razu „braliśmy się za nie”, choć były jeszcze zbyt gorące, żeby zachować kształt. Toteż zwijały nam się w dłoniach, gdy przierzucaliśmy je gorączkowo z ręki do ręki, by uniknąć oparzenia. Nie przeszkadzało nam to jednak, a tylko pobudzało do śmiechu. Piliśmy mleko tak, by nad górną wargą zostawały wąsy, jakie widywaliśmy w reklamach – białe, pełne bąbelków smugi nad uśmiechniętymi ustami.

A potem usłyszałam, jak Kikit mówi:

– Pośpiesz się, tatusiu, już prawie nic nie zostało.

Miałam ochotę go przegonić, nie chciałam dzielić z nim tych ostatnich chwil beztroski. Tak dobrze, tak bezpiecznie się czułam, popijając z dziećmi mleko i gryząc ciasteczka. Lecz on spojrzał na mnie wyczekująco i w jego spojrzeniu nie dostrzegłam żadnych ciepłych uczuć. Johnny zeskoczył ze stołu i poszedł po plecak.

– Co na kolację? – zapytał, zaglądając do kuchni.

Nie będę robiła kolacji. Oczekiwano po mnie, że zapakuję swoje rzeczy, zakończę wizytę u dzieci i wyniosę się przed czwartą. Jeżeli tego nie zrobię, Dennis wezwie policję, aby mnie usunęła. W obecności dzieci.

Chyba że zdał sobie sprawę, jak bardzo dzieci za mną tęskniły, zastanowił się i doszedł do wniosku, że istnieje lepsze wyjście. I że pomyślał o tym, iż za diabła nie wie, co było na obiad, więc wygodniej będzie pozwolić mi zostać jeszcze przez jakiś czas.

– Będziecie musieli spytać tatusia, co jest na kolację – powiedziałam, odpowiadając Johnny'emu.

Jego twarz wyrażała rozczarowanie.

– Zawsze przyrządzasz coś specjalnego, gdy wracasz. Chciałbym lasagnię.

– A ja piezzonego kurczaka – pisnęła Kikit, podskakując na krześle.

– Piezzonego kurczaka mieliśmy poprzednim razem. Teraz moja kolej. Lasagnię.

– A co powiecie na pizzę?

Kikit zmarszczyła noseć.

– Dopiero co jedliśmy ją u dziadków. A poza tym, mamusia zrobi kolację.

– Nie – powiedział Dennis. – Nie dzisiaj.

Dobrą minutę trwało, zanim się zorientowały. Kikit przestała podskakiwać, oczy jej się zaokrągliły. Spoglądała to na mnie, to na Dennisa, aż wreszcie spytała, wstrzymując oddech.

– Będziemy coś świętować?

Czekałam, by Dennis odpowiedział, lecz wszystko, na co potrafił się zdobyć ten tchórz, to skiniecie głową w moją stronę. Dzieci spojrzwały na mnie wyczekująco.

Westchnęłam.

– Nie, nie będziemy świętować. Po prostu porozmawiamy. Siadaj tu, Johnny.

Nie poruszył się.

– Chodzi o babcię?

Uśmiechnęłam się do niego smutno – był takim wrażliwym, słodkim, spokojnym dzieckiem – i potrząsnęłam głową.

– Nie chodzi o babcię, lecz o nas. – Nie było łatwego sposobu, by to powiedzieć. Od czwartku wypróbowałam już chyba wszystkie i żaden mi się

nie podobał. Im prościej, tym lepiej, pomyślałam zatem. – Wasz tatuś i ja postanowiliśmy żyć w separacji.

– Co to znaczy? – spytała Kikit.

Spojrzałam na Dennisa, lecz on stał tylko z rękami opartymi na biodrach, najwidoczniej ciekawy tego, co powiem. Nie był tu po to, by mi pomóc, lecz żeby mnie pilnować. Sam nie chciał brudzić sobie rąk, lecz chciał, bym zrobiła to za niego i tak, jak jemu odpowiadało. Uważał widocznie, że sąd przyznał mu takie prawo.

No cóż, mylił się. Gdybym chciała powiedzieć dzieciom, że ich ojciec okazał się pozbawionym pewności siebie sukinsynem, który nie wiedział, co to lojalność, współczucie i zdrowy rozsądek, zrobiłabym to. Ani Dennis, ani sąd nie mogli mnie przed tym powstrzymać. Lecz miłość mogła. I troska. A także szacunek dla siebie samej.

– Separacja oznacza, że będziemy mieszkali osobno – powiedziałam.

Wydawało się, że na Kikit nie zrobiło to zbytniego wrażenia.

– W oddzielnych domach?

– Tak.

– Ale nie możecie – oświadczyła. – Jesteście naszymi rodzicami. Musicie być z nami.

– Będziemy. Tylko w różnych miejscach.

– Ale ja nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie.

– I nie będziesz. Będziesz spędzała trochę czasu z tatusiem, a trochę ze mną.

– A czy teraz tak nie robimy?

No cóż, miała absolutną rację. Lecz tylko do pewnego stopnia.

– Do tej pory było tak, że czasem byliśmy w domu wszyscy, a czasem było nas tylko troje. Teraz zawsze będzie nas troje – ty, Johnny i ja albo ty,

Johnny i tatuś. Tatuś i ja nie będziemy zajmowali się wami w tym samym czasie.

– Dlaczego? – dopytywała się.

Odwróciłam się do Dennisa, lecz jego twarz nadal nie wyrażała niczego. Z tej strony z pewnością nie powinnam spodziewać się pomocy. I nawet tym razem nie bardzo go za to winiłam. To, co teraz zostanie powiedziane, będzie miało decydujące znaczenie. Jeden błąd i stanie się szkoda nie do naprawienia.

Tyle że ja także nie miałam pojęcia, co należy powiedzieć. Posłużyłam się więc odwiecznym:

– Ponieważ sądzimy, że tak będzie lepiej.

– Wcale nie – nalegała dalej Kikit. – I kto będzie gdzie mieszkał? I gdzie my będziemy mieszkali?

– Wy będziecie mieszkali tutaj. Ja poszukam sobie innego domu.

–Gdzie?

– Jeszcze nie wiem. Ale będziecie mogli być ze mną tam albo tutaj.

– Chcę, żebyś była tu z nami przez cały czas. Dlaczego nie możesz mieszkać na poddaszu? Zabiorę stamtąd swoje zabawki. I przecież lubisz spać na sofie, sama mówiłaś.

Johnny, oparty mocno o kuchenną ścianę, powiedział:

– Oni nie chcą mieszkać ze sobą w tym samym domu, bo już się nie lubią.

Podeszłam do niego. Stał sztywno, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Czułam, że robi wszystko, by nie wybuchnąć płaczem, lecz widać było, że lada chwila przegra tę walkę. Objęłam go – nie było to łatwe, zważywszy, jak bardzo był spięty – i powiedziałam:

– To nie takie proste, Johnny. Ja sama nie do końca jeszcze to rozumiem.

– Powiedz mi! Chcę wiedzieć! – krzyknęła Kikit, lecz ja mówiłam dalej do Johnny'ego, masując mu ramiona, by uwolnić je od tego nieznośnego napięcia.

– Jedyne rzecz, o której musicie pamiętać i której musicie być pewni, to to, że oboje bardzo was kochamy.

– Ale nie kochacie siebie – powiedział Johnny. Cztery dni temu pewnie bym zaprzeczyła. Teraz?

– Nie wiem. Toczy się proces. Musimy dużo rozmawiać i ustalić różne rzeczy. Nie chciałam wspominać o Deanie Jenovitzu lub, co gorsza, o orzeczeniu sądowym. Kiedy Jenovitz zechce się z nimi zobaczyć, powiem im o nim, lecz nie wcześniej. I mam nadzieję, że nigdy nie dowiedzą się o nakazie.

– Dla was niewiele się zmieni – powiedziałam, próbując pocieszyć zarówno dzieci, jak siebie. Jednakże nawet dla mnie moje słowa brzmiały fałszywie. – Pod wieloma względami wszystko będzie wyglądało tak, jak dotychczas.

Nie wierzył mi nawet przez chwilę. Widziałam to w jego oczach, choć nie odezwał się ani słowem.

– Będziesz gotował, tatusiu?

– Czasami.

– I piekł z nami ciasteczka?

– To już zostawię waszej mamie.

– A co z moim lekarstwem?

– Co z nim?

– Kto będzie sprawdzał, czy jest w domu?

–Ja.



Mała twarzączka wykrzywiła się, łzy napłynęły do oczu i trysnęły silnym strumieniem. Kikit kołysała się na kolanach w przód i w tył, wpychając sobie piąstki do oczu i powtarzając w kółko:

– Naprawdę nie chciałam się roscholować, naprawdę...

– O, Boże – szepnęłam i ruszyłam do niej, ciągnąc za sobą Johnny'ego. – To nie przez ciebie, kochanie. To nie twoja wina.

– Roscholowałam się, rozchorowałam i nie było lekarstwa, więc on rozgniewał się na ciebie...

– Nie, kochanie, nie o to chodziło, nie wolno ci nawet tak myśleć. – Podniosłam małą z podłogi i zaczęłam kołysać się razem z nią. Johnny, choć nie kołysał się z nami, przestał przynajmniej opierać się mojemu uściskowi. – To dotyczy tylko tatusia i mnie. Zaczęło się dawno temu, może jeszcze zanim przyszedł na świat. Tatuś i ja nie bardzo możemy mieszkać razem. Unieszczęśliwiamy się wzajemnie. To wy sprawiacie, że czujemy się szczęśliwi. Powinniśmy być dla siebie czymś więcej, ja i tatuś, a nie jesteśmy.

– Chcę, żebyś mieszkała tutaj – powiedziała Kikit. Jej głos dobiegał stłumiony, a mokra, ciepła buzia wtulona była mocno w moją pierś.

– Teraz to niemożliwe. Ale zobaczysz, znajdę sobie jakieś miejsce do mieszkania. Poszukam takiego, które będziecie mogli pokochać.

– W Santa Fe? – zapytał mój syn, najwidoczniej starając się poskładać elementy rozsypanej układanki, jaką z każdą chwilą stawało się jego życie.

– Nie, kochanie, nie w Santa Fe, to o wiele za daleko. Myślałam o czymś o pięć, może dziesięć minut drogi stąd. – I jak to brzmi? Dla mnie brzmiało dobrze. – I nie będę tak często wyjeżdżała. Zobaczycie, będę przebywała z wami częściej niż dotychczas. – Zwłaszcza, kiedy nasze odwołanie od decyzji Selweya zostanie rozpatrzone pozytywnie, a nakaz sądowy cofnięty, pomyślałam.

– A co ze Świętem Dziękczynienia? – zapytał.

– Hmm. Jeszcze o tym nie myślałam. – Wyglądało na to, że dzieci potraktują sytuację jak nową przygodę, co nie byłoby wcale złe. Dzieci uwielbiają przygody. – Możemy pojechać do Cleveland, do babci. Albo – a wy, co wy chcielibyście robić?

– Zostać w domu, jak zawsze.

– Możemy robić jedno i drugie – powiedziała Kikit, odrywając buzię od mego swetra i podnosząc na mnie pełne nadziei spojrzenie.

– Możemy – przyznałam. Wiedziałam jednak, że ja nie będę mogła być i tu, i tu. Będzie więc Dennis, jego rodzice i dzieci, a potem ja, dzieci, Brody z Jill i wszyscy nasi samotni przyjaciele, których zwykle zapraszaliśmy z tej okazji. Oczywiście, nie wiedziałam, gdzie będę wówczas mieszkała i jak to będzie spędzać święto w obcym miejscu bez Dennisa, bez mojej mamy. A kiedy pomyślałam, że będę musiała powiedzieć naszym przyjaciołom, iż postanowiliśmy żyć w separacji, poczułam, jak coś ścisną mnie za serce.

Przesłuchanie w sądzie było czymś rzeczywistym, podobnie jak ta rozmowa z dziećmi. Lecz przyjaciele? I mama – jak mam powiedzieć o tym mamie?

Święto Dziękczynienia. Boże Narodzenie. Urodziny Johnny'ego, potem Kikit. To wszystko były okazje, które należało obchodzić z rodziną. Świadomość, że odtąd już nigdy nie będziemy ich tak obchodzić, wstrząsnęła mną do głębi. Teraz to już nie będzie to samo.

– Mamusiu – zakwiliła Kikit, już nie z twarzą wtuloną w mój sweter – jutro jest sprawdzian z baletu. Przyniesiesz ciasteczka na potem?

Jutro miał być wtorek. Nie środa, jak powiedział sędzia. Jeżeli Dennis chciałby mi pójść na rękę, z pewnością zgodziłby się na zmianę dni tygodnia, a

sędzia nie musiałby o niczym wiedzieć. Lecz Kikit jeszcze nie skończyła. Znów uwiesiła się na mnie.

– A w środę jest dzień rodziców w bibliotece. Powiedziałam Lily, że ją zabierzemy, bo jej mamusia musi pracować.

I to by było tyle, jeśli idzie o zamianę dni. Lecz przecież mogę załatwić jedno, i drugie.

Niestety, nie mogłam. Dennis dał mi to jasno do zrozumienia potrząsając ledwie dostrzegalnie głową. Jego spojrzenie jasno wyrażało, co stanie się, jeśli będę nalegała: to samo, co stałoby się, gdybym nie chciała opuścić domu przed czwartą.

Nie, nie chciałam, by dzwonił po Jacka Mulroya. Nie chciałam zostać oskarżona o nieprzestrzeganie poleceń sądu. Chciałam, aby te polecenia zostały odwołane. Carmen już nad tym pracowała. Najlepsze, co mogłam zrobić, by jej dopomóc, to stać się wzorem posłuszeństwa.

A była już za piętnaście czwartą.

– Pójdę we środę do biblioteki – powiedziałam. – A tatuś na balet.

– Ale ja wolę, żebyś to była ty. Przecież to mamy przygotowują stół na zapleczu, wiesz?

– A ty wiesz co? Sama kupię ciasteczka, a tatuś je przywiezie.

– To nie to samo! – krzyknęła, a jej oczy wydawały się teraz ogromne. – A czwartek, co z czwartkiem? W czwartek jest Halloween. Będiesz tu, prawda? Zawsze ze mną chodziłaś, nie chcę iść sama...

– Johnny idzie w tym roku sam – powiedział Dennis. – Zabierze cię z sobą.

– Taato – zaprotestował Johnny, a ja się z nim w duchu zgodziłam. Kikit trzeba było bez przerwy pilnować, by nie wsadziła sobie do buzi czegoś, co

mogłoby jej zaszkodzić. Wymaganie od Johnny'ego, by wziął to na siebie, nie było fair.

– Nie chcę iść z Johnnym – oświadczyła Kikit. –Chcę iść z mamusią.

– Ja z tobą pójdę – powiedział Dennis.

To powstrzymało ją na chwilę. Potem usłyszałam pełne wahania:

– Naprawdę? A potem jeszcze bardziej niepewne: –Więc mama zostanie w domu i będzie rozdawała cukierki?

– Mama lub babcia.

– Chcę, żeby to była mamusia. Zrobisz to mamusiu, prawda?

Oczywiście, że bym zrobiła. Zawsze uwielbiałam Halloween, kupowałam cukierki parę tygodni wcześniej, szłam specjalne kostiumy. W tym roku były już gotowe: kostium myszki dla Kikit i pirata dla Johnny'ego. Oczywiście, że będę częścią corocznego rytuału.

– Być może mama nie będzie mogła – powiedział Dennis.

Kikit odwróciła się do niego.

– Dlaczego?

Skinął głową w moją stronę. Kikit spojrzała na mnie. Zastanawiałam się właśnie, co odpowiedzieć, czy sprzeczać się z Dennisem, czy też wyznać im prawdę, gdy moja córka odsunęła się ode mnie:

– Czy to dlatego, że nie chcesz już tu mieszkać?

– Ja...

– Już nas nie kochasz – załkała.

Wyciągnęłam do niej rękę, lecz uchyliła się. Głowę miała spuszczoną i widziałam, jak drży jej broda. Puściłam Johnny'ego, wstałam, złapałam ją i mocno uścisnęłam. Trzymałam ją ze wszystkich sił, mimo że próbowała się wyrwać.

Dobłą minutę trwało, zanim udało mi się zapanować nad emocjami, które ścisnęły mi gardło. Pochyliłam się nad nią i powiedziałam zduszonym od łez głosem:

– Kocham cię z całego serca. Nigdy, przenigdy nie wolno ci myśleć, że jest inaczej. Ty i twój brat znaczą dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie.

– Więc dlaczego nie możesz tu być w Halloween? – dobiegł mnie cieniutki głosik.

– Ponieważ sędzia mi tego zabronił. Powiedział, że mogę być z wami tylko we środy i soboty, aż się to wszystko skończy.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem, kochanie – niemal załkałam w jej ciepłe włosy. – Nie wiem, lecz tak właśnie powiedział, a my musimy go posłuchać.

Dochodziła czwarta. Kończył mi się czas.

– Będę za tobą tęskniła.

– Daj spokój – droczyłam się z nią. – Będiesz zbyt zajęta, by za mną tęsknić, a jeśli zatęsknisz, zawsze możesz do mnie zadzwonić. Możecie dzwonić do mnie, kiedy tylko zechcecie, w dzień i w nocy, oboje.

– To, co powiedziałam, skierowałam także do Johnny'ego, tylko że Johnny'ego już z nami nie było.

Spojrzałam na Dennisa. Wskazał kciukiem przedpokój.

Wściekła, że pozwolił dziecku tak po prostu odejść, podrzuciłam Kikit i podałam ją ojcu.

– Trzymaj się, kochanie – powiedziałam tonem o wiele łagodniejszym niż spojrzenie, jakie rzuciłam Dennisowi.

Johnny był w swoim pokoju, siedział na łóżku, oparty plecami o zagłówek. Sposób, w jaki na mnie spojrzał, kiedy do niego podeszłam, niemal

złamał mi serce. Usiadłam i wzięłam go za rękę. Cofnął ją i zacisnął w pięść. Musiałam zadowolić się objęciem jego przegubu.

– Ja wcale tego nie chcę, Johnny. Gdyby to zależało ode mnie, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale nie zależy.

– Matki mieszkają ze swoimi dziećmi.

– Zwykle tak, ale nie zawsze. Zwłaszcza dzisiaj, gdy tyle matek pracuje.

– Więc łatwiej jest ci pozwolić, żeby tatuś tu został? Żebyś mogła pracować?

– Nie. Wy jesteście dla mnie ważniejsi od pracy. Zawsze tak było. Tatuś zostaje, bo tak powiedział sędzia.

– Od kiedy to sędziowie mówią rodzicom, co mają robić?

Dobre pytanie.

– To długa historia, kochanie. Skomplikowana.

Skrzyżował ramiona na piersi, a jego twarz przybrała wyraz, jaki, jak przypuszczam, musiała przybierać moja, gdy domagałam się wyjaśnienia czegoś, co uważałam za niesłuszne. Wiedziałam, że nie uda mi się zbyć go byle czym.

– Sędzia uważa – spróbowałam jednak – że skoro babcia jest taka chora, tatuś będzie miał więcej czasu, żeby się wami zajmować. Przez jakiś czas.

– Jak długo?

– Niezbyt długo.

– Ale jak długo?

– Nie mam pojęcia. Może tylko kilka dni, może tydzień. A może miesiąc.

– A potem co?

– Potem zdecydujemy, co będzie najlepsze dla ciebie i Kikit.

Usłyszałam jakiś hałas i zobaczyłam Dennisa stojącego w progu z Kikit w ramionach.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Johnny nie odezwał się ani słowem.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. Ale nie była to prawda. Buzia Kikit była mokra od łez. Johnny wyglądał, jakby płakał w środku. A ja krwawiłam, dosłownie krwawiłam w duszy.

Była za dziesięć czwarta.

Johnny opuścił co prawda ramiona, lecz nadal wpatrywał się we mnie bez słowa. Wzięłam jego dłoń, czując ulgę, gdy jej nie cofnął, i uścisnęłam.

– Pamiętaj o tym, co powiedziałam Kikit. Możecie do mnie dzwonić. Pójdę we środę do biblioteki z Kikit i odbiorę cię po treningu, a potem pomyślimy o obiedzie. Hej, przecież w sobotę jest ten wielki mecz, prawda?

Nie odezwał się, wzruszył tylko ramionami.

– Mogę przyjść?

I znowu milczenie, poparte kolejnym wzruszeniem ramion. Jego dłoń bezwładnie spoczywała w mojej. Uścisnęłam ją pocieszająco.

– Kiedy będziemy mogli zobaczyć twoje mieszkanie? – spytała Kikit.

– Gdy tylko je znajdę.

– Więc będziemy mieli dwa domy?

– Zgadza się, dwa.

Oczy jej się rozjaśniły.

– Czy moglibyśmy zbudować jeden na drzewie? Wiesz, taki, żeby można było się do niego wspinać?

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Więc u Brody'ego. – Ożywiła się. – To świetny pomysł, mamusiu. Możesz zamieszkać u Brody'ego.

Nie spojrzałam na Dennisa.

– Przykro mi, kochanie, nie ma o tym mowy.

– Dlaczego?

– Ponieważ to dom Brody'ego. Ja potrzebuję takiego, który będzie należał do mnie.

– Ale on na pewno by się zgodził. Uwielbia, kiedy do niego przychodzimy. – wstrzymała oddech, położyła dłoń na policzku Dennisa i powiedziała: – Wiem, co możemy zjeść na obiad. Niech Brody zrobi nam rosół wołowy!

Staralam się nie patrzeć na Dennisa, lecz w tych ostatnich minutach, jakie mi pozostały, skoncentrowalam się na dzieciach. Kikit znalazła tuzin sposobów, by pytać wciąż o to samo, a większość pytań dotyczyła tego, jak będzie mogła się ze mną skontaktować, jeśli będzie mnie potrzebowała. Próbowałam dodać jej otuchy, kierując przy tym moje słowa także do Johnny'ego, lecz czułam się tak, jakby ktoś z wolna wyciągał mi duszę z ciała. Uczucie to przybrało na sile, gdy Dennis zaczął spoglądać na zegarek. Kiedy postawił Kikit i podszedł do mnie – a czułam, że jeśli sama nie wstanę, gotów jest siłą postawić mnie na nogi – poczułam gniew.

– Pożegnajcie się z mamą – powiedział do dzieci.

Walcząc ze łzami, wyciągnęłam ramiona do Johnny'ego, lecz on nie poruszył się.

– Proszę, John – szepnęłam. – Potrzebuję twojej pomocy.

Pozwolił mi się objąć. Przełknęłam łzy i wykrztusiłam:

– Później porozmawiamy, dobrze?

– Przytul mnie, mamusiu – płakała Kikit – Przytul mnie.

Ucałowałam Johnny'ego w czoło i odsunęłam się, szepcząc:

– Bardzo cię kocham, synku. – Odwróciłam się do Kikit, która momentalnie znalazła się w moich ramionach, trzymając mnie tak mocno, że



aż zaczęła drzeć. A może to ja drżałam? Nie miało to znaczenia. Siedziałyśmy na łóżku Johnny'ego, tuląc się do siebie w milczeniu.

– Claire – powiedział Dennis.

Pocałowałam ją i powiedziałam:

– Muszę iść, kochanie.

Ścisnęła mnie mocniej.

– Nie, mamusiu, nie chodź.

Dennis chwycił ją od tyłu i siłą wyzwolił z moich objęć. Kiedy patrzyłam, jak wyrwa się do mnie, niemal pękło mi serce.

– Do środy – powiedziałam załamującym się głosem, nie oglądając się za siebie. Obawiałam się bowiem, że jeśli poczucie straty, jakiego doświadczałam, nasili się jeszcze choć odrobinę, rozpadnę się chyba na kawałki. Zbiegłam ze schodów, chwyciłam torebkę i kluczyki i wybiegłam przez frontowe drzwi do samochodu.

Kikit musiała wyrwać się Dennisowi, bo gdy tylko zawróciłam na podjeździe, zobaczyłam, jak biegnie w stronę samochodu. Dennis złapał ją, gdy była w połowie drogi, wziął na ręce i ruszył z powrotem do domu.

O mało nie zawróciłam. To, że tego nie zrobiłam, spowodowane było częściowo lękiem przed reakcją Dennisa, a częściowo świadomością, że przedłużanie pożegnania może tylko pogorszyć sytuację, która i bez tego była wystarczająco okropna. Nic, co przeżyłam do tej pory, nie przygotowało mnie na ból, jaki odczułam, kiedy musiałam opuścić własny dom i pozostawić w nim dzieci. Była to jedna z najgorszych chwil w moim życiu. I jeśli była perłą, to z pewnością czarną.

Ostatnie, co zapamiętałam, to widok sztywnych pleców Dennisa i Kikit, wyrrywającej się zaciekle z jego uścisku, podczas kiedy mój pierworodny, John, stał samotnie z boku, spoglądając za mną, gdy odjeżdżałam w dół ulicy.

Pojechałam prosto do biura, ponieważ byłam zbyt wytrącona z równowagi, żeby pojechać gdziekolwiek indziej. Carmen powiedziała, że nie mogę mieszkać u Brody'ego, więc nie będę, tu jednak było moje miejsce pracy. A ponieważ miałam teraz unikać podróży, będę spędzała tutaj więcej czasu niż kiedykolwiek. I ani sąd, ani Dennis, ani Carmen nie mogą mi tego zabronić.

A poza tym, Brody'ego i tak tu nie było. Pojechałam do Vineyard, rozmówić się z budowlańcami, którzy odnawiali tam nasz sklep, zniszczony przez tropikalną burzę na początku października. Trzeba było wymienić dach i elewacje. Kiedy usłyszałam o wyniku przesłuchania, chciałam odwołać wyjazd, jednak ja nalegałam, by tego nie robił.

Teraz niemal żałowałam, że nie został. Przez cały czas miałam przed oczami ostatnie chwile spędzone w domu i pożegnanie z dziećmi. Będąc sama, przeżywałam je wciąż na nowo. Towarzystwo Brody'ego z pewnością podziałałoby na mnie kojąco.

Biuro było opustoszałe. Zostawiłam swój samochód i w zapadającym zmierzchu skierowałam się w stronę krawędzi opadającego ku morzu zbocza. Właśnie był przyływ. Poda mną, za skałami i piaskiem, ocean falował, posyłając ku wybrzeżu wciąż nowe masy wody. Gdyby wiał silny wiatr, falowaniu morza towarzyszyłoby rozpryskiwanie się na kamieniach piany, wieczór był jednak bardzo spokojny. Wiała jedynie lekka bryza.

Zatrzymałam się na krawędzi skał i przez chwilę przysłuchiwałam pluskowi fal. Lecz pustka, jaką odczułam po opuszczeniu domu, szybko zaczęła powracać, a obraz wyrywającej się Kikit i stojącego samotnie Johnny'ego znów zaczął mnie nawiedzać.

I chociaż miałam na sobie sweter, dzinsy i długi gabardynowy płaszcz, który powinien chronić mnie przed wieczorną bryzą, było mi zimno. Wpatrując się w nieskończony ocean, czułam się żałośnie mała.

Tymczasem w biurze paliły się miękkie światła i delikatnie jarzyły umocowane obok drzwi kinkiety. Weszłam do środka i rzuciłam płaszcz na otomanę obok recepcji. A potem przez chwilę stałam nieruchomo w mroku, rozglądając się wokół.

W przeszłości często robiłam to samo, odczuwając dumę z tego, czym stał się Wiklinowy Kącik. Teraz jej nie czułam. Firma jawiła mi się jako ciężar, przyczyna buntu Dennisa i wymówka dla sędziego, który odebrał mi dzieci.

Wiedząc już, że biuro nie przyniesie mi ukojenia, postanowiłam pójść do pracowni. Fotel na biegunach, którym się ostatnio zajmowałam, nadal tam stał, prezentując zgrabne dziury po usuniętych połamanych prętach, które należało uzupełnić. Jednak dziś nie miałam do tego serca. Zostawiłam za sobą zbyt wiele nie przespanych nocy, zbyt wiele godzin pozbawionych nadziei. Czułam się pusta w środku, pokonana i wykończona. Nie zapalając światła, skierowałam się ku otwartej klatce schodowej, wychodzącej na strych i magazyn. Oba te pomieszczenia zajmowały połowę powierzchni nad pracownią i całą powierzchnię nad biurem, zaś dach ponad nimi udekorowany był licznymi świetlikami, z których najniższe oferowały widok pobłyskujących światłami łodzi i domów na brzegu, a nawet odległej o parę mil latarni morskiej. Księżyc ukryty był za chmurami, ciemnoszarymi pośrodku i okolonymi srebrzystym fryzem. Białe grzywy fal to cofały się, to podchodziły ku plaży.

Minęłam nagromadzone tu sprzęty i dotarłam do długiej wiklinowej sofy. Znalazłam ją kilka lat temu podczas wyprzedaży, na którą zabrała mnie kierowniczka naszego sklepu w Kansas City. Poduszki, wyściełające niegdyś powierzchnię mebla, dawno znikły, bez nich jednak jego doskonały kształt stawał się tym bardziej widoczny. Siedzenie sofy było głębokie, boczne

poręcze szerokie, a oparcie wystarczająco wysokie i wygięte tak, by możliwie najlepiej spełniać swą rolę.

Kiedy na niej usiadłam, sofa cicho zatrzeszczała. Jeszcze więcej trzasków rozległo się, gdy mościłam się w kącie, zrzuciwszy buty, a potem sięgałam po gruby wełniany pled do stojącego w pobliżu dziecinnego wózka. Podciągnęłam kolana, otuliłam się pledem po uszy i zamknęłam oczy. W powietrzu unosił się zapach starej wikliny, noszącej odcień słońca, deszczu, kwiatów i kurzu. Staralam się myśleć wyłącznie o tym, jaka była historia tej sofy – może ustawiono ją w salonie jakiejś damy z Południa, aby służyła jej oraz jej przyjaciółkom w letnich, kwiecistych sukienkach, lub stanęła na szerokiej werandzie, wychodzącej na świeżo skoszony trawnik. Staralam się usłyszeć delikatne głosy, cichy śmiech, słodkie obietnice, ale słyszałam tylko płacz Kikit, gdy Dennis niósł ją do domu, i milczenie Johnny'ego. Moja wyobraźnia nie pracowała, serce miałam ściśnięte i czułam się śmiertelnie zmęczona.

Musiałam się zdrzemnąć, bo kiedy znów otworzyłam oczy, niebo nade mną wyglądało inaczej. Część światła na wybrzeżu zgasła, a księżyc zdołał przebić się przez chmury. Usłyszałam cichy szum oceanu, któremu towarzyszył jakiś inny odgłos, jakby szmer opon na podjeździe. I to ten odgłos właśnie mnie obudził. Ponieważ nie spodziewałam się Brody'ego wcześniej niż nazajutrz, to musiał być Dennis. Widocznie postanowił sprawdzić, dokąd poszłam.

Fala gniewu zatrzymała mnie na miejscu. Jeżeli sobie wyobraża, że jestem w łóżku Brody'ego, to niech mu będzie. Tylko że tym razem ze zdjęć nic nie będzie. A poza tym, sędzia już się wypowiedział przeciwko mnie. Nie miałam nic do stracenia.

Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi do recepcji, potem rozległ się odgłos kroków i ciche:

– Claire?

To nie był Dennis, lecz Brody.

Mimo to gniew wcale mnie nie opuścił. Brody miał być w Vineyard, doglądać spraw, którymi ja nie mogłam się zająć.

– Claire? – Był coraz bliżej, przy drzwiach pracowni. Wreszcie podszedł do klatki schodowej. I znów padło ciche: – Claire?

– Tak? – odpowiedziałam i ciaśniej otuliłam się pledem.

Usłyszałam jego kroki na schodach.

– Co ty tu robisz?

– Powinnam raczej zapytać, co ty tu robisz? Widziałam kształt jego sylwetki na tle ściany, sylwetki spowitej cieniem, a mimo to masywnej.

– Dotarłem tylko do Woods Hole, lecz okazało się, że są jakieś problemy z promem, więc zawróciłem. I tak nie chciałem tam jechać.

I to by było tyle, jeśli chodzi o poleganie na moim zastępcy.

– Miałeś zaplanowane spotkania.

– Poczekają.

– Ktoś musi wykonać tę robotę.

– To może poczekać, Claire – powtórzył i zaczął przedzierać się przez nagromadzone tu skarby w stronę mojej sofy. Im bliżej podchodził, tym wyraźniej go dostrzegałam w słabej księżycowej poświacie. – Dlaczego tu siedzisz?

– A gdzie mam siedzieć? Nie mam już domu.

– Ależ masz. Mój.

– Mi casa es su casa? Tak, właśnie przez to wpakowałam się w te kłopoty. Nie – westchnęłam szybko – to wy, mężczyźni, wpakowaliście mnie w te kłopoty. Matka miała rację, kiedy mówiła o jakimś uszkodzonym genie, odpowiedzialnym za to, że ojciec zmarł i zostawił za sobą bałagan, a Rona

miała już dwóch mężów i nadal jest sama. Zawsze spierałam się z nią o to, lecz teraz, proszę, w co sama się wpakowałam. A właściwie, w co wpakowali mnie mężczyźni. Dennis, sędzia, nawet Johnny – Johnny to będzie dopiero problem, wspomnisz moje słowa, on nie przyjmie tego tak łatwo jak Kikit. – Co jest nie tak z tym gatunkiem? O co tu chodzi? O władzę? Ego? Wrodzoną słabość?

– Wróciłem, bo się o ciebie martwiłem.

– Boże, chroń mnie przed rycerzami w lśniącej zbroi. Nie, nie siadaj tutaj – krzyknęłam, widząc, że zamierza przysiąść obok mnie na sofie. – To moje miejsce.

Odsunął się szybko, wpadając na jakiś mebel.

– Ostrożnie, Brody, kopiesz rzeczy warte miliony.

Miał dość rozumu, by ze mną nie dyskutować, choć oboje wiedzieliśmy, że te „miliony” to gruba przesada. Zamiast tego zapytał ostrożnie:

– Zdarzyło się coś nowego?

– Nie, wciąż to samo. – Mogłabym opowiedzieć mu o chwili, kiedy musiałam zostawić dzieci i odjechać, a on by mi współczuł. Ale, do licha, teraz nie chodziło mi o współczucie. Pragnęłam sprawiedliwości.

Objęłam dłońmi kolana, on zaś przysunął sobie krzesło ze skórzanym oparciem, które też wymagało renowacji. Opadł na nie, po czym skrzyżował ramiona i nogi w kostkach.

– Wiesz, że niszczysz w ten sposób krzesło? – zapytałam.

Nie odpowiedział. A potem usłyszałam ciche parsknięcie. Na szczęście, bardzo ciche. Przynajmniej na razie.

– Uważasz to za zabawne? To moje źródło utrzymania, Brody. Nie mogę już dłużej liczyć na męża. Choć Bogiem a prawdą i tak od lat tego nie robiłam, miałam jednak przynajmniej jakieś złudzenia. Teraz to się skończyło. O ile się orientuję, postara się wycisnąć ze mnie, ile się da, co oznacza, że będę musiała

naruszyć wszystkie rezerwy, a potem – moja wyobraźnia najwidoczniej znów pracowała pełną parą – jeżeli na rynku zapanuje zastój i będziemy musieli ogłosić bankructwo, nie zostanie mi nic, więc będę musiała wrócić do odnawiania mebli, gdyż jedynie to zajęcie stanie pomiędzy mną a zupką dla bezdomnych.

Brody znów się zaśmiał.

– A ty tu sobie siedzisz i śmiejesz się – gderałam dalej. – Lecz tak naprawdę, czego mogłam się spodziewać? Współczucia? Zrozumienia? Szacunku? Tak, w tym tkwi problem. Mężczyźni dławią się, kiedy muszą okazać kobiecie szacunek, ponieważ być może, choć tylko być może, oznacza to, że jest ona silniejsza od nich, więc czują się tak zagrożeni, że nie potrafią tego znieść. A jednak taka jest prawda. Kobiety są silniejsze. To my tworzymy, budujemy i przystosowujemy. A także patrzymy na świat szerzej otwartymi oczami. I bardziej się staramy, gdyż dla nas nie jest to kwestia ego. To kwestia przeżycia. A także potrzeby. I zdrowego rozsądku. Boże, to zadziwiające, jak bardzo mężczyźni zawsze mnie zawodzili.

– Nie ja.

– Tak, ty też! – krzyknęłam, ponieważ miałam ochotę krzyczeć.

Brody wyprostował się na krześle, istne uosobienie niewinności.

– I co ja takiego zrobiłem?

– Objąłeś mnie. Tuż przy nie zasłoniętym oknie, przez które każdy mógł nas zobaczyć. Nie przyszło ci na myśl, że ktoś może patrzeć?

– Szczerze mówiąc, nie.

– A powinno.

– Jeżeli tobie przyszło, to dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Bo byłam zdenerwowana. A poza tym, jestem kobietą. Kobiety ufają ludziom. I rozstrzygają wątpliwości na ich korzyść, a nie zakładają od razu

najgorsze. Nie pomyślałam o tym, że ktoś może tu stać na zewnątrz. Ale ty jesteś mężczyzną. Powinieneś być wiedzieć, do czego zdolny jest Dennis.

Usłyszałam skrzypnięcie krzesła.

– Nie podchodź do mnie – powiedziałam z twarzą wciśniętą w kolana. – Chcę być sama.

– Nie wierzę ci. Myślę, że chcesz wypuścić trochę pary, i masz do tego prawo, ale wolałbym siedzieć wówczas przy tobie, a nie naprzeciw ciebie.

– Nie siadaj tutaj – ostrzegłam, gdy spostrzegłam, że chce zająć miejsce obok mnie na sofie. Wyprostowałam nogi i oparłam pięty o jego uda, aby powstrzymać go od przysunięcia się bliżej, lecz on z łatwością jednym ruchem ujął moje stopy i położył je sobie na kolanach. – Brody – zaprotestowałam.

– Nigdy dotąd nie słyszałem, byś coś takiego mówiła. Patrzcie, oto nowa Claire.

– Jestem istotą ludzką – mruknęłam. – Są rzeczy, których się boję i można mnie zranić. Zraniona, krwawię i czuję ból, kiedy dostaję kopniaka. Gdybym miała ochotę pluć i drapać, zrobiłabym to. Do diabła, jeżeli ktokolwiek ma to tego prawo, to właśnie ja. Zostałam załatwiona na cacy.

Dopiero kiedy zaczął masować mi stopy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo były zimne. A potem coś, może ciepło jego rąk, a może sama jego współczująca obecność, sprawiło, że całe moje opanowanie zniknęło i rozplakałam się. Kiedy pociągnął mnie za nogi, aby przysunąć bliżej siebie, zaczęłam kopać, lecz w tym odruchu rozplynał się cały mój gniew. Kiedy ponowił próbę, już nie walczyłam z nim, a kiedy mnie przytulił, oparłam głowę na jego piersi i rozplakałam się na całego.

Płakałam długo, wstrząsana szlochem, który cichł stopniowo pod wpływem kojących ruchów jego dłoni na moich plecach, ramionach i karku.



Łzy przestały płynąć, nie odsunęłam się jednak. Byłam zbyt zmęczona, a jego obecność zbyt dobrze wpływała na moją sponiewieraną psychikę.

– Och, Brody – pociągnęłam nosem – zupełnie nie wiem, co robić. Nigdy dotąd nie czułam się taka bezradna.

Jeżeli nawet mi odpowiedział, to nie usłyszałam go, ponieważ napięcie, połączone z fizycznym wyczerpaniem, a także ulga i poczucie bezpieczeństwa, jakich doświadczałam w jego ramionach sprawiły, że błyskawicznie zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, leżeliśmy oboje na sofie. Moja głowa spoczywała na piersi Brody'ego, a jego serce biło podejrzenie szybko tuż przy moim uchu. Od razu uświadomiłam sobie, że coś się zmieniło i nie chodzi tu tylko o przyśpieszoną akcję serca. Być może zaniepokoił mnie sposób, w jaki moja dłoń spoczywała przyciśnięta płasko do jego żeber lub to, jak przytulał mnie ramieniem. Jednak najprawdopodobniej źródło mego niepokoju leżało w niższych partiach naszych ciał. Otóż moje udo, wysoko uniesione, leżało na jego brzuchu i niżej, przykrywając sobą tyleż imponującą, co przerażającą erekcję.

Cofnęłam nogę, odsunęłam się i spojrzałam na niego. Oczy miał szeroko otwarte, jasne jak dzień, choć była noc, rozświetlona tylko słabym blaskiem księżyca. Nie odezwał się, ja także nie. Żadne z nas się nie poruszyło. To szokujące, pomyślałam. I krępujące. Lecz także intrygujące, ponieważ jego dotyk sprawiał mi przyjemność. Pragnęłam doświadczyć go więcej.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, w jakich znalazłam się kłopotach.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

We wtorek rano zadzwoniłam do domu. Dennis podniósł słuchawkę, powiedział, że właśnie przyrządza śniadanie, a w domu nie ma ani kropli klonowego syropu i żebym zadzwoniła później. Gdy zapytałam, czy dzieci nadal są takie zdenerwowane, powiedział, że nie i odwiesił słuchawkę. Miałam ochotę zadzwonić jeszcze raz, lecz się rozmyśliłam. Byłam wściekła, że tak się zachował i obawiałam się, że mogę powiedzieć coś, czego będę później żałować. Lepiej, jeśli to Carmen ustali z sędzią, kiedy mogę dzwonić, pomyślałam.

Zamiast do dzieci, zadzwoniłam do matki. Wydawała się słaba i przygnębiona. Nie, nie miała ochoty na śniadanie. Nie, nie chciała oglądać telewizji. Nie, nie chciała, by ktoś zawiózł ją do solarium. Kiedy zasugerowałam, że może porozmawiamy, gdy będzie się czuła lepiej, ożywiła się i zapytała o moją pracę. Opowiedziałam jej o spotkaniach, które miałam odbyć tego ranka w Essex, a także o linii postępowania, jaką postanowiłam obrać w stosunku do personelu i dyrektorów, z którymi miałam dziś rozmawiać. Rozmawiając, spoglądałam na zegarek i to nie tyle z powodu służbowych spotkań, co trzeciej rozmowy, jaką miałam zamiar zaraz przeprowadzić.

Chciałam zadzwonić do szkoły i porozmawiać z nauczycielkami, póki były w pokoju nauczycielskim. Te kobiety widywały moje dzieci codziennie i miałam do nich zaufanie. Powinny wiedzieć o zmianach, jakie zaszły w życiu moich dzieci. Nie wdawałam się w żadne szczegóły, powiedziałam tylko tyle, ile potrzebuje wiedzieć wrażliwy człowiek, żeby baczniej przyglądać się moim dzieciom.

W końcu zadzwoniłam do biura Carmen i zostawiłam wiadomość, gdzie będę przez cały dzień.

Dowiedziałam się, że wypełniła wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy poprzedniego dnia po południu i teraz oczekiwała na wyznaczenie jej terminu rozmowy z sędzią Selweyem. Rozmowa ta nie będzie jednak miała miejsca przed piątkiem, gdyż trzeba powiadomić także Dennisa i jego adwokata, by mieli czas się przygotować.

Zakończyłam rozmowy, ubrałam się i przyjechałam do sklepu na dziesięć minut przed terminem spotkania. Takie zebrania stanowiły cotygodniowy rytuał. Trwały zwykle od trzydziestu do czterdziestu pięciu minut i pozwalały dyrektorom na przekazanie personelowi informacji o nowych artykułach, przedyskutowanie nowych wzorów i temu podobne. Przewodniczyłam spotkaniom w Essex, kiedy tylko mogłam. Lubiłam przebywać ze swoim personelem, lubiłam dzielić z nimi podniecenie, spowodowane kolejnym trafnym pociągnięciem. Jeżeli tego ranka moje podekscytowanie było cokolwiek wymuszone, to chyba niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę. Przez dziesięć minut mówiłam o nowej linii, która zastąpi obecnie produkowaną, pokazywałam próbki różnych wykończeń i materiałów, a potem przekazałam pałeczkę miejscowemu dyrektorowi. Kiedy skończył, czas już było otwierać sklep.

Wymknęłam się, jak tylko prezes firmy może to zrobić bez poczucia winy, i pojechałam na spotkanie z Cynthią Harris. Cynthia była pośredniczką w handlu nieruchomościami; pomogła nam kupić nasz dom. Współpraca z nią była bardzo efektywna, szybko łapała, o co chodziło klientowi i pokazywała tylko te budynki, które odpowiadały zapotrzebowaniu. Dziesięć lat temu byłam w ciąży z Johnnym, a na dodatek spędzałam sześć godzin dziennie na

doglądaniu mojego pierwszego sklepu i nie mogłam poświęcić zbyt wiele czasu poszukiwaniom domu.

Czasu brakowało mi także teraz, chociaż z zupełnie innego powodu, a moje zamówienie z pewnością niełatwo będzie zrealizować. Potrzebowałam czegoś do wynajęcia na krótko, czegoś nadającego się dla dzieci, do tego na biuro, a może nawet na magazyn. Lokal nie musiał być duży, lecz powinien mieć w sobie coś. Musiał też pasować do wiklinowych mebli. I znajdować się w przyjemnym otoczeniu.

Przyglądałam się, jak Cynthia przegląda listę. Odrzucała jedną ofertę po drugiej, to krzywiąc się, to znów potrząsając głową.

– Za daleko – powtarzała, lub: – Nie ma działki.

Wróciła do studiowania wcześniejszej oferty, zmarszczyła brwi, przez chwilę znów czegoś szukała, a potem wróciła do miejsca, które najbardziej ją zainteresowało. W końcu zapytałam, co to takiego.

– To nie jest do wynajęcia – powiedziała, lecz nie odwróciła strony. Położyła swoje notatki na biurku i zamyśliła się.

– Wyłącznie sprzedaż? – zapytałam. –Aha.

– Czy właściciele tam teraz mieszkają? Potrząsnęła głową.

– Wyprowadzili się na południe. Lokal jest na rynku od jakiegoś czasu. To szczególne miejsce, które musi trafić na swego amatora. Niewielu się dotąd nim interesowało.

Jednakże miejsce intrygowało ją. Widziałam to.

– Opowiedz mi o nim, tylko tak, żeby zaspokoić moją ciekawość.

Podeszła do szafki z aktami i w chwilę później, gdy położyła na biurku kolorowe fotografie, wiedziałam już, co ją zaintrygowało.

Reaper Head to mała wysepka w kształcie jajka, połączona ze stałym lądem szosą i groblą. Na jednym jej krańcu ustawiono nowo wybudowaną, w

pełni zautomatyzowaną latarnię morską, pośrodku zaś, w sosnowym lesie, stało kilka prywatnych domów. Węższy koniec wysepki zajmowała druga latarnia, zbudowana w połowie ubiegłego wieku i wykorzystywana do połowy obecnego stulecia, kiedy to została zakupiona przez parę żądnych przygód młodych ludzi. Ludzie ci, którzy nie byli już ani młodzi, ani żądni przygód, właśnie wyprowadzili się na południe.

Zbudowana z polnego kamienia i wysoka na trzy kondygnacje, była szersza niż większość budynków tego rodzaju i kształtem bardziej przypominała naporstek niż igłę. Wchodziło się do niej przez domek latarnika, jednokondygnacyjny budynek z kamienia, mieszczący kuchnię z aneksem jadalnym, pokój dzienny i łazienkę. Z domku łukowe przejście prowadziło do dużego pomieszczenia na parterze, skąd kręta klatka schodowa, umieszczona w jego środkowej części, wiodła ku górze.

Pierwsze piętro podzielono, tworząc trzy pokoje o łukowatym sklepieniu i drugą łazienkę. Najwyższa kondygnacja, gdzie niegdyś znajdował się mechanizm latarni, była węższa niż pomieszczenia poniżej. Jej okrągłe ściany pełne były okien, znajdowały się tu także drzwi, prowadzące na zewnątrz, otoczony barierką balkon. O ile przytłumiony dźwięk oceanu mógł stanowić jakąś wskazówkę, zarówno drzwi, jak i okna były dobrze izolowane.

W latarni nie było ani jednego mebla. Ozdobione sztukaterią ściany wymagały malowania, a drewniane podłogi cyklinowania, trzeba też było umyć okna. Domyślałam się, że piec w kuchni być może trzeba byłoby przesunąć, lecz sama kuchnia stanowiła wręcz dzieło sztuki, podobnie łazienki. We wnętrzu nie czuło się pleśni, pachniało kamieniem, morzem i sosnami. Dom wydawał się ciepły, kiedy przysunęłam dłoń do framugi okna, nie poczułam przeciągu. A kiedy zobaczyłam pokój na górze – po prostu zaparło mi dech.

– Bingo. – Uśmiechnęłam się bezradnie, czując lekki przyływ nadziei.

Cynthia odwzajemniła uśmiech.

– Aha.

– Na pewno nie zgodzą się wynająć?

– Tak dotąd twierdzili. Mogę do nich zadzwonić i zapytać, czy nie wynajęliby ci go na miesiąc, chociaż nie sądzę, by się zgodzili. Pomijając niewielki remont, dom nadaje się do zamieszkania, a oni na pewno martwiliby się, co może z nim zrobić ktoś obcy. Kochają to miejsce i nadal by tu mieszkali, gdyby nie jego artretyzm. Chcą sprzedać dom komuś, kto go pokocha i są gotowi czekać, aż trafi się odpowiedni klient. Pieniądze nie stanowią problemu, mają ich dosyć.

To było jasne. Cena nie wydawała się wygórowana. Mogłabym tyle zapłacić.

Obeszłam pomieszczenie jeszcze raz, wyobrażając je sobie umeblowane sprzętami z wikliny, rattanu i drewna. Niektóre byłyby nowe, inne mogłabym zabrać z domu. Wyobraziłam sobie obrazy na ścianach i draperie nad oknami. A także widok z najwyższego piętra – niczym nie przesłonięty. Johnny i Kikit pokochaliby ten pokój, lecz nie dała bym go im. Ich sypialnie byłyby na pierwszym piętrze, udekorowane akcentami żeglarskimi. Pokój na samej górze należałby do mnie. Nawet gdyby nakaz opuszczenia domu został anulowany jeszcze dzisiaj. Oczywiście, nie było to możliwe przed końcem tygodnia. Lecz nawet gdyby tak się stało, nadal pożądałabym tego pokoju.

– Chyba zwariowałam – powiedziałam, dołączając do Cynthii w kuchni, choć z drugiej strony wydawało mi się to najbardziej normalną rzeczą, jaka spotkała mnie od czasu powrotu z Cleveland przed pięcioma dniami. Wszystko w tym domu mi się podobało – począwszy od tego, że znajdował się o dziesięć minut jazdy samochodem od domu dzieci, biura i magazynu, po jego idealne

rozmiary i to, że był wolny, nie umeblowany, czarujący i wymagał tylko niewielkich przeróbek. Lecz było w tym coś jeszcze. Dom stanowił wyzwanie, to zaś pojawiło się w chwili, gdy rozpaczliwie potrzebowałam czegoś, co odwróciłoby moją uwagę od innych spraw.

– A po miesiącu? – zauważyła Cynthia. – Będę musiała znowu wystawić go na sprzedaż? Czuję się zobowiązana wobec klientów, a oni chcą, by mieszkał tu ktoś na stałe. Co zrobisz z tym miejscem, kiedy sprawy w domu jakoś się ułożą?

– Zatrzymam je – powiedziałam. Nie było to może zbyt praktyczne podejście, lecz nie zważałam na to. – Spędziłam życie będąc rozsądną i praktyczną, i do czego mnie to doprowadziło. Dziękuję bardzo. Jeżeli nawet będę mogła zamieszkać w starym domu pod koniec tygodnia, zatrzymam to miejsce jako swoją prywatną kryjówkę. Może służyć jako biuro albo pracownia. To była inwestycja. A jeśli sprawy potoczą się naprawdę źle, będę mogła go wynająć.

Przeczenie mówiło mi, że nie pożałuję tego nabytku. I to mi wystarczało.

Jedyny warunek, jaki postawiłam, dotyczył uzyskania natychmiastowego dostępu do domu. Chciałam od razu zacząć malować, czyścić i cyklinować. I spędzić tu dzisiejszą noc. Na szczęście prawnik, który reprezentował interesy właścicieli, mieszkał w pobliżu i znał mnie i moją firmę, mógł więc za mnie poręczyć. Co za ulga, zważywszy przez co ostatnio przeszłam. Zgodził się też ze mną, że kupno latarni to dobry interes. Właściciele, z którymi porozumiał się telefonicznie, wyrazili zgodę i resztę dnia spędziłam finalizując transakcję, krążąc pomiędzy biurem Cynthia, moim i bankiem, a także odbywając niezliczone rozmowy telefoniczne i nadając bieg sprawom.

Kilka z tych telefonów było do Carmen, ponieważ bez względu na to, jak bardzo kupno domu odwracało moją uwagę, nie mogłam zapomnieć, dlaczego

to robię. Jak bardzo nie byłabym zajęta, zawsze gdzieś w podświadomości czaiło się pytanie, co też robią teraz moje dzieci. Do drugiej po południu Carmen nie miała wiadomości z biura sędziego. Obiecała, porozmawiać z Artem o tym, żebym mogła kontaktować się z dziećmi przez telefon, kiedy tylko zechcę i ile zechcę. Rozmawiała już z Deanem Jenovitzem i przekazała mi, bym się do niego odezwała. Zadzwoiłam i zostawiłam na automatycznej sekretarce mój numer telefonu komórkowego, a także wiadomość, iż jestem gotowa spotkać się z panem Jenovitzem, kiedy tylko uzna to za stosowne.

Zadzwoiłam też do towarzystwa telekomunikacyjnego, aby podłączyli do latarni linię telefoniczną. A także do cykliniarza, malarza i czyściciela okien.

Zadzwoiłam do Dennisa, żeby przypomnieć mu o ciastkach dla Kikit i rozmawiałam z nim krótko, trzymając się tematu. Nadal byłam wściekła i w ogóle nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Nie powiedziałam mu o nowym domu. Ani nie zaproponowałam, że kupię ciastka. Niech radzi sobie sam.

Chętnie podzieliłabym się nowinami z Brodym, lecz on wyjechał znów do Vineyard. Tego ranka panowało pomiędzy nami pewne napięcie, rozmawialiśmy więc wyłącznie o sprawach służbowych. Widziałam, że to, co wydarzyło się na sofie, sprawiło, iż odczuwał teraz takie samo zażenowanie, jak ja. Oboje nie czuliśmy się jednak na siłach, by stawić temu czoło. Dlatego chciałam dziś spać w latarni.

Carmen zadzwoniła krótko po czwartej, by zawiadomić mnie, że Selwey odrzucił nasz wniosek bez dodatkowego przesłuchania.

– Może to zrobić? – spytałam, przerażona. Czym innym było walczyć i przegrać, czym innym zaś zostać w ogóle pozbawionym możliwości walki.

– Owszem. I wcale nie jestem zdziwiona. To do niego pasuje. Przygotowuję następne odwołanie. Zażądamy zmiany sędziego ze względu na



to, że obecny ewidentnie kieruje się uprzedzeniami. Będzie to jednak wymagało czasu. Muszę przejrzeć wszystkie jego wczorajsze wypowiedzi, a nawet cofnąć się do poprzednich spraw. Postaram się jednak skończyć do czwartku.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Po prostu się trzymaj, to wszystko.

Latarnia niewątpliwie mogła mi w tym pomóc. Świadomość, że mogę wprowadzić się tam jeszcze tego wieczoru, trzymała mnie przy życiu do późnych godzin popołudniowych. A potem, kiedy już ledwo trzymałam się na nogach, przysiadłam na stołku i wyjadając chińszczyznę z kartonowego opakowania zadzwoniłam do dzieci.

Słuchawkę podniosła Kikit.

– Czekałam na twój telefon, mamusiu. Gdzie jesteś?

Jej słodki głosik stanowił istny balsam dla uszu, zwłaszcza po tym rozdzierającym płaczu, który słyszałam ostatnio. Teraz nie płakała. Nawet nie marudziła, ani nie wydawała się obrażona. Doszła do siebie, tak jak to tylko dzieci potrafią. Nigdy nie przestawało mnie to zadziwiać. Poczułam ulgę.

– Jestem w moim nowym mieszkaniu – powiedziałam.

– Jakim nowym mieszkaniu? Gdzie ono jest? Blisko nas? Przyjedź po mnie, mamusiu, chcę je zobaczyć.

– Nie możesz go teraz zobaczyć. Jest zbyt późno. Zobaczysz je jutro.

– Ale gdzie to jest? I jak wygląda? Będę miała własny pokój?

– Tak – powiedziałam, zagłębiając pałeczki w pojemnik – i zaraz ci wszystko opowiem, jak tylko twój brat podniesie słuchawkę, żeby też mógł usłyszeć. Gdzie on jest?

– Na górze. Chcesz usłyszeć coś naprawdę ciekawego? Wiesz, jakie ciasteczka tatuś przyniósł na balet? „Hostessy”.

Opuściłam, pałeczki z makaronem z powrotem do pojemnika.

– O, nie!

– Ja też tak myślałam, dopóki nie wyjęłam ich z opakowania. Na szczęście były naprawdę świeże i miękkie, i wszystkim bardzo smakowały. Cieszę się ze względu na tatusia. Na pewno czuł się dziwnie, bo był tylko on i same mamusie. A teraz opowiedz mi jeszcze o swoim mieszkaniu.

– Powiedz bratu, żeby podniósł słuchawkę, to opowiem wam obojgu. – Ciasteczka „Hostessy”? Czy Dennis rzeczywiście stał na zapleczu sceny i rozpakowywał po kolei paczuszki, z których każda zawierała tylko dwa ciastka? Bardzo ciekawe.

– Johnny! – rozdarła się Kikit tak, że aż zabolowały mnie bębunki. Odsunęłam słuchawkę od ucha. – Johnny! Podnieś słuchawkę, to mamusia – a potem szybkie – musisz, ona chce z tobą rozmawiać. I potem do mnie:

– Mówi, że jest zajęty. Co za maruda. Z tatusiem też nie rozmawia. Więc powiedz mnie, mamusiu. Ja chcę posłuchać.

Serce wyrywało mi się do Johnny'ego, siedzącego teraz samotnie w swoim pokoju, lecz odmówienie Kikit nie przyniosłoby niczego dobrego. Opowiedziałam jej więc o latarni, o jej pokoju, o widoku z pomieszczenia na górze. Była bardzo podekscytowana. Wiedziałam, że także Johnny'emu by się to spodobało, lecz kiedy jej powiedziałam, żeby przywołała go jeszcze raz, znów nie chciał ze mną rozmawiać.

Co robić? Nie mogłam powiedzieć o tym Dennisowi, bo tylko by pogorszył sprawę. Czułam się bezradna. Znów pojawiły się wszystkie lęki, przed którymi chwilowo uciekłam, zajmując się urządzeniem nowego domu. Znowu poczułam gniew, smutek i lęk, pogłębione jeszcze przez odległość. Pracowałam tak ciężko, by zapewnić bezpieczny i szczęśliwy dom moim dzieciom, a jednak poniosłam klęskę.

Po chwili zadzwonił Dennis. Nawet nie przywitawszy się ze mną, powiedział:

– Kupiłaś latarnię? Latarnie są wilgotne i zimne. Nawet jeżeli nie otacza ich woda, to stoją cholernie blisko niej.

Nie oczekiwałam, że pokocha to miejsce, a jednak jego oskarżycielski ton mnie zaskoczył. Co za różnica w porównaniu z podekscytowaniem, jakie nam towarzyszyło, gdy kupowaliśmy nasz własny dom. W dniu, w którym podpisaliśmy papiery, objął mnie mocno u adwokata, a potem zabrał na lunch do dobrej restauracji i nawet przeniósł przez próg. Co za romantyczny gest.

Teraz jego dezaprobatą płynęła ku mnie niczym struga zimnej wody.

– Co to ma być? Próbujesz przekupić dzieci, dając im coś, czemu nie potrafią się oprzeć, coś fajnego i niebezpiecznego? Tuż nad wodą, a zbliża się zima. To niesłychane, Claire. Poczekaj tylko, aż sędzia o tym usłyszy.

Byłam nadal w kuchni, próbując skończyć mój pierwszy obiad w nowym domu i nie życzyłam sobie, by mi w tym przeszkadzano. Powiedziałam sobie jednak, że muszę zachować spokój. Carmen ostrzegała mnie, że bym nie była złośliwa. Zostaw to mnie, powiedziała. Musisz pozostać w dobrych stosunkach z facetem, który ma wyłączne prawo do opieki nad twoimi dziećmi. Nie mogłam jednak nie odpowiedzieć na takie oskarżenie.

– Tym razem ja także przyniosę zdjęcia – powiedziałam. – To wspaniałe miejsce. – Sięgnęłam po ostatni kawałek sajgonki i mówiłam dalej z pełnymi ustami. Dennisowi nie uda się zepsuć mi humoru. – Ciepłe i jasne. I położone dalej od wody niż moje biuro. A jakoś nigdy nie przeszkadzało ci, gdy dzieci spędzały tam czas.

– Co cię naszło, żeby wynajmować latarnię morską?

– Nie wynajmuję jej – powiedziałam zadowolona, że odzyskałam nad sobą kontrolę. – Ja ją kupuję.

– Kupujesz? I ty śmiesz zwracać mi uwagę, że za dużo wydaję.

– Uspokój się – przerwałam mu nonszalancko. – Potrzebuję jakiegoś miejsca, aby w nim mieszkać, ponieważ przez ciebie wyrzucono mnie z domu, który kiedyś kupiłam. Znalazłam więc taki, który mi się podoba i owszem, taki, który spodoba się dzieciom. To było najważniejsze, ponieważ chcę im sprawić przyjemność, rozerwać je, bo znowu, dzięki tobie, ich życie przewróciło się do góry nogami. Zrobię wszystko, by ułatwić im radzenie sobie z tym. Jeżeli trzeba będzie w tym celu kupić dom, który odwróci ich uwagę, zrobię to.

– To pewnie dopiero początek. Kikit mówiła, że masz zamiar jej pozwolić, by sama umeblowała swój pokój. Już to widzę – drogie laleczki, drogie mebelki, wszystko, czego zapragnie jej małe serduszko. Próbujesz kupić jej miłość, to normalne, kiedy rodzice się rozchodzą.

Omam się nie roześmiałam, tak absurdalne było to oskarżenie.

– Nie muszę kupować jej miłości.

– I ty mówisz, że krzywdzę dzieci. Uważaj, co robisz, Claire. Zażądają od ciebie całego świata, jeżeli im na to pozwolisz. Zepsujesz je. Kupiłaś im latarnię morską? Nie do wiary.

Gniew niemal mnie oślepił.

– Kupiłam sobie latarnię. Kupiłam ją, ponieważ bardzo mi się spodobała. Mnie, tylko mnie. Nikomu innemu.

– Nie Brody'emu?

Wzięłam głęboki oddech, aby się uspokoić.

– Brody'ego nie ma w mieście. Nie wie nawet, że oglądałam jakiś dom, a tym bardziej, że go kupiłam. Brody nie stanowi problemu. Nigdy nie stanowił. –Próbowałam jakoś się pozbierać, ale od ostatniego czwartku spędziłam zbyt wiele czasu, próbując odpowiedzieć sobie na pytania, na które nie było

odpowiedzi. Przyciągnęłam bliżej stołek i opierając na nim kolano, zapytałam:

– A jak długo, twoim zdaniem, trwa ten rzekomy romans z Brodym?

– Z tego co wiem, od lat. Zaczęło się, kiedy postanowiliście razem pracować. I z tego, co wiem, moja spółka z Brodym rozpadła się z twojego powodu.

– Nie pochlebiaj sobie, Dennis. Wasza spółka rozpadła się, ponieważ nie dawałeś sobie rady. To Brody odciskał sobie tyłek, próbując zatrzymać klientów, ale niewiele mógł zrobić, zważywszy na twoje nie trafione inwestycje. Wytrwał w tej spółce o wiele dłużej, niż wytrwałby ktokolwiek inny.

– Z poczucia winy. Wiedział, dokąd pójdzie, kiedy odejdzie.

– Pewnie. – Uwolniłam stopę i wstałam. – Ponieważ już wcześniej ze mną pracował, aby się zabezpieczyć. Prawdę mówiąc, pracował na dwóch etatach.

– Umierając z chęci, aby rozwiązać naszą spółkę.

– Potrafi rozpoznać tonący okręt, kiedy na niego patrzy – powiedziałam, podchodząc do okna. Widok stąd był prześliczny – otwarty ocean, mrużący w oddali i nieco dziki. Tak właśnie się czułam. – Przez cały ten czas próbował cię o tym przekonać, ale ty nie słuchałeś.

– Ponieważ ta firma to było moje dziecko. To ja ją rozwinąłem.

– Zlituj się, Dennis! – krzyknęłam. Carmen może sobie mówić, co chce, ale to nie ona musi teraz hamować gniew, wysłuchując tych absurdów. – To Brody stworzył firmę. Otworzył biuro, dał firmie nazwę i logo. I to on gromadził kapitał, którym ty miałeś zarządzać. A kiedy twoje inwestycje zawiodły, co miał robić? Gdyby był takim egomaniakiem jak ty, zażądałby swojej części aktywów, kiedy odchodził, a wtedy nie mógłbyś nawet marzyć o założeniu własnej firmy.

– Więc założyłem firmę, a on ukradł mi żonę.

– Dlaczego wciąż to powtarzasz? Jeżeli naprawdę w to wierzysz, to jak mogłeś żyć ze mną tak długo?

– Bo nie wiedziałem na pewno.

– I jak się dowiedziałeś?

Przez chwilę milczał, a potem wykrztusił:

– To się po prostu stało oczywiste.

– Zauważyłeś ślady szminki na jego kołnierzyku? Miłosne liściki w mojej torebce? Romantyczne wiadomości na naszej sekretarce? A może to twój adwokat, co, Dennis? Nie, nie Art Heuber. Phoebe Lowe. Czy to ona nakładła ci do uszu tych bzdur?

– Prowadziła przedtem takie sprawy – powiedział lekko obronnym tonem. – Widziała już wszystko.

Bingo. Trafiłam w dziesiątkę. Poczułam przyływ satysfakcji, a także pewności siebie, związany z tym, że byłam na swoim terytorium.

– Podczas... ilu? Siedmiu lat praktyki? Prawdziwy z niej weteran. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. To ona podsunęła ci ten pomysł? A jak właściwie się poznaliście? I kiedy? Zeszłego lata? Zeszłej wiosny? A może to już trwa od dłuższego czasu? Rok? Może dwa? I co jest między wami? Stosunki wyłącznie profesjonalne, a może nie tylko?

– To nie twój interes. Jesteśmy w separacji. Mogę robić, co chcę.

– Ona jest atrakcyjna. Tworzycie razem wspaniałą parę. O co tu chodzi? Czy to takie swędzenie, związane z kryzysem wieku średniego, które ta Phoebe Lowe ma chęć uleczyć drapaniem?

– Jęcza – powiedział i rozłączył się.

Kiedy w pięć minut później telefon znowu zadzwonił, pomyślałam, że to Dennis z kolejnymi pretensjami i omal nie zrezygnowałam z podniesienia

słuchawki. Uznałam jednak, że przecież to może być ktoś inny – na przykład któreś z dzieci – nie mogłam zatem udawać, że mnie tu nie ma.

–Halo?

– Cześć.

Brody. Odetchnęłam z ulgą, lecz już po chwili gwałtownie wciągnęłam powietrze. Uczucie, jakiego doświadczyłam na dźwięk jego głosu, nie było bowiem wcale ulgą. Gdzieś głęboko wewnątrz poczułam dziwne łaskotanie. Ciekawe, czy on też to czuje, pomyślałam. Zwykle „cześć” nie powiedziało mi wiele.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Załatwiłem wszystko w Vineyard. A gdzie ty jesteś? – Jego głos brzmiał zwyczajnie. Albo nie odczuwał tego łaskotania, albo postanowił je zignorować.

Zdecydowałam się postąpić tak samo i powiedziałam spokojnie:

– Jestem w starej latarni na Reaper Head.

Nastąpiła cisza, a potem krótki śmieszek.

– Zechciałabyś mi bliżej wyjaśnić... ?

Zechciałam. I przez następne dziesięć minut opisywałam swoje otoczenie, wędrując po pomieszczeniach, o których właśnie mówiłam. Przez cały dzień chciałam opowiedzieć mu o tym domu – nawet bardziej niż dzieciom. Jego reakcja była dojrzalsza, a aprobata miała inną wagę.

Wiedziałam, że spodobają mu się odgłosy, właściwe temu miejscu, i tak się stało. Wiedziałam, że zrozumie, dlaczego je kupiłam, dojrzy wyzwanie, któremu pragnęłam stawić czoło, i dostrzeże artystyczne możliwości tego miejsca. Wiedziałam, że doceni moją potrzebę wyłamania się ze schematu. I to, że pragnęłam mieszkać blisko morza.

Pod koniec opowieści znalazłam się w pokoju na szczycie, wpatrzona w ciemność. Widok nocnego nieba był bardzo malowniczy, a nawet nieco przerażający. Czułam się podekscytowana, a zarazem trochę samotna. To dobrze, że miałam go po drugiej stronie telefonicznego kabla.

A może poczułam się samotna, bo on był właśnie tam – po drugiej stronie?

Miałam nadzieję, że tak nie jest. Lecz kiedy go sobie wyobraziłam, poczułam to samo łaskotanie. Brody? Brody i ja?

Co za intrygująca myśl. Dość dziwna, po wszystkich tych latach. Zabawna. I nieco żenująca. A mimo to, intrygująca.

– A więc – podsumowałam moje rozważania na temat kupna latarni – być może będę mogła wrócić do dużego domu pod koniec przyszłego tygodnia, ale załóżmy, tylko załóżmy, że nie będę chciała. Mieszkałam tam z Dennisem. To on zakończył ten etap w naszym życiu. Pozwólmy mu tam mieszkać i płacić za utrzymanie domu. A nie jest on tani.

– Czyżbym słyszał w twym głosie gniew?

Ooo, tak, z pewnością. Zdziwiło mnie to, ponieważ nie byłam zrzędą ani osobą, która ciągle się skarży. A teraz ujawniały się nowe strony mojej osobowości. Nie miałam pewności, czy mi się podobają, ale zważywszy na okoliczności, z pewnością był to zdrowy objaw.

– Czuję się tak, jakby cały gniew nagromadzony przez lata nagle zaczął wydobywać się na powierzchnię. Zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek go kochałam.

– Oczywiście, że tak. Inaczej nie zostałabyś przy nim przez wszystkie te lata.

Lecz ja nie byłam taka pewna. Mogłam z łatwością przypomnieć sobie piękne chwile, które dzieliłam z Dennisem, wiedziałam jednak, że w ostatnich



latach było ich coraz mniej. Kiedy się poznaliśmy, nasza grupa śpiewacza występowała podczas przerwy wiosennej w luksusowych kurortach Bermudów, a ja z Dennisem tworzyliśmy wiodący duet, któremu towarzyszyła reszta zespołu. Śpiewaliśmy wówczas „For All We Know”, ten hymn nadziei i obietnicy, i zdawaliśmy się wręcz do tego stworzeni: młodzi, piękni i zakochani.

Tak dawno już nie śpiewaliśmy razem, tylko we dwoje.

Zostałam wychowana w przekonaniu, że małżeństwo to podstawa stabilizacji, sukcesu i szczęścia. Więc czy naprawdę kochałam Dennisa? A może kochałam małżeństwo jako takie i po prostu zaakceptowałam go jako cenę, którą należało zapłacić? Zdarzało mi się robić takie rzeczy. Kupno latarni było tu doskonałym przykładem: nowy dom jako cena za utrzymanie zdrowia psychicznego.

– Myślę, że coś jest ze mną nie tak, Brody. Moje życie to koszmar. Zostałam wyeksmitowana i zniesławiona, moja matka umiera, a ja boję się do niej zadzwonić, ponieważ nie spodoba jej się to, co mogłabym powiedzieć, chyba że będę kłamać. Moja siostra z dziką radością powie mi, jaka jestem okropna, mój syn nie odzywa się do mnie, mój mąż tylko czeka, by mnie przyszpilić – a mimo to dobrze się dzisiaj bawiłam. Chodziłam po naszym domu towarowym i wybierałam dla siebie meble, Bill i Tommy załadowali je na ciężarówkę i wyładowali tutaj. Teraz mam już podstawowe sprzęty – do kuchni i sypialni, a także sofę i parę krzeseł, i chociaż to głupie, bo jutro mają przyjść malarze i cykliniarz, i tak się cieszę, że je tu mam.

– Z tobą jest wszystko w porządku – powiedział Brody. – Potrzebowałaś chwili oddechu. To normalne, że chcesz, by to miejsce jak najszybciej przypominało dom. Czy tam się da mieszkać?

– Oczywiście. Jest ciepło i sucho. Trochę tu jeszcze co prawda pustawo, ale to mój dom. A widok z okien – po prostu nie da się go opisać. Jestem na samej górze, w najwyższym, okrągłym pomieszczeniu o średnicy dwudziestu pięciu stóp, którego ściany prawie całe zrobione są ze szkła. Spoglądam w twoją stronę, przynajmniej tak mi się wydaje. Pomachaj. Nie. Zaczekaj. Może mógłbyś do mnie przyjechać?

Zaproszenie zdawało się rzeczą naturalną. Lecz kiedy je wypowiedziałam, poczułam znowu to wewnętrzne łaskotanie. A także – bardzo wyraźnie – jego pierś pod moją dłońią i jego twardy członek pod moim udem. Poczułam jego ciepło i zapach. Podobało mi się i jedno, i drugie. Pragnęłam jednego i drugiego.

To było złe.

Nie, nie złe. Zakazane.

– Claire... Co do ostatniej nocy...

– Nawet o tym nie wspominaj. Nic się nie stało.

– Wręcz przeciwnie.

Ooo, tak, pomyślałam i moje wspomnienia gwałtownie wróciły, bardziej wyraziste jeszcze niż przed chwilą.

– Chyba powinniśmy o tym zapomnieć. Takie rzeczy mogą zniszczyć najpiękniejszą przyjaźń. Już nie mówiąc o całej tej historii z rozwodem.

Przez długą chwilę Brody nie odzywał się.

– Brody?

– Nie chcę o tym zapomnieć.

Objęłam się ramieniem w pasie i mocno ścisnęłam.

–I wcale to nie musi zniszczyć naszej przyjaźni – powiedział. – Nie, jeśli oboje tego chcemy.

Pytanie zostało postawione, mogłam powiedzieć „nie”. Lecz jakże mogłabym wyprzeć się tego łaskotania w środku? Tym bardziej, że przybierało na sile, poruszając we mnie coś, czego Dennisowi nigdy nie udało się obudzić.

– A co z Ellen McKenzie?

– A co ma być?

– Co jest między wami?

– Jesteśmy przyjaciółmi. Nigdy nie byliśmy kochankami.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Ona jest zakochana w jakiejś Francuzce.

Na chwilę zabrakło mi słów. A potem powiedziałam miękko:

– To najgorsza pora, jaką tylko można sobie wyobrazić.

– Zgadza się. Ale już za późno.

– Dlaczego teraz?

Brody znów milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Ponieważ teraz jest ci to potrzebne.

– Nie potrzebuję seksu.

– Potrzebujesz oparcia, przytulenia. A kiedy z chemią wszystko gra, przytulanie to dobry początek.

Poczułam ból.

– Nie mów tak.

– To prawda. I gdyby nie zdarzyło się to ostatniej nocy, zdarzyłoby się dzisiaj. Bo to po prostu istnieje, Claire. I to od jakiegoś czasu.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda.

– Nigdy dotąd tego nie czułam.

Roześmiał się krótko.

– Co do tego, masz rację. Lecz nigdy dotąd ze mną nie spałaś.

– Zeszłej nocy też z tobą nie spałam – sprostowałam, tknięta przerażającą myślą. – A co, jeśli linia jest na podsłuchu?

– Nie jest.

– Ludzie słyszą różne rzeczy na liniach telefonów komórkowych. A czasami podsłuchują. Bądź ostrożny. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko mnie.

– Już zostało – stwierdził poważnie. – Zostałaś ukarana za to, czego nie zrobiłaś, więc jaka różnica? Co masz do stracenia?

– Moje dzieci!

– Nie stracisz dzieci. Nie, kiedy przedstawiś swoją wersję. Wystarczy, że ktoś wypyta dzieci.

Rzeczywistość runęła na mnie ze straszliwą siłą, niczym przyływ, i cała euforia gdzieś się rozviała. Rozejrzałam się po moim szklanym pałacu, spojrzałam na wielkie łóżko w wiklinowej ramie, wiklinową toaletkę, dwa wiklinowe fotele, w których tak miło jest się zapaść, wszystko utrzymane w karmelowym odcieniu, harmonizującym z drewnianą obudową okien. Moje walizki nadal stały na podłodze, którą jutro przykryje śliwkowy dywan, pasujący do śliwkowo–zielonego pledu, który kupiłam na łóżko. Wszystko tu należało do mnie. Wszystko było ładne, nowe i czarujące.

A mimo to nadal zastanawiałam się, czy Kikit jest już w łóżku i które pluszowe zwierzaki śpią dziś z nią i czy śpiewała im do snu swoim słodkim, dziecięcym sopranem, udając, że siedzę obok niej. I czy Johnny leży w łóżku, spoglądając na gwiazdy, które umocowaliśmy na jego suficie i pragnąc zedrzeć jedną z nich, odnaleźć mnie i poprosić, bym go przytuliła. Czułam straszliwą pustkę.

Chcąc podzielić się z kimś moim zmartwieniem, powiedziałam do Brody'ego:

– Sędzia odrzucił nasze odwołanie, więc Carmen szuka następne, ale i to może nie podziałać. Wtedy trzeba będzie przedsięwziąć dalsze kroki, a to wymaga czasu. Chciałabym, by coś się wreszcie ruszyło, ale nic się nie dzieje. Zadzwoiłam do psychologa, który ma wydać opinię w naszej sprawie, lecz nie oddzwonił.

– Zadzwoi – powiedział Brody.

– Ale kiedy? Im prędzej zaczniemy, tym prędzej skończymy.

– Pewnie jeszcze rozmawia z klientami. Zadzwoi później lub jutro.

– A jeśli mnie zniełubi?

– Jak mógłby?

– Selwey mógł.

– Selwey to palant.

– Skąd wiesz, że Jenovitz nie okaże się taki sam?

Brody nie miał na to odpowiedzi i nie próbował niczego wymyślić, co było jedną z tych rzeczy, za które tak go lubiłam. Ta cecha sprawiała, że to, co mówił, stawało się wiarygodne.

– Och, Brody – szepnęłam i niemal ponownie go zaprosiłam. Chciałam, żeby powtórzył raz jeszcze, że z dziećmi wszystko będzie w porządku i żeby mnie przy tym objął. Mogłabym zapanować nad tym łaskotaniem. Nie muszę mu się poddawać. Brody był moim najlepszym przyjacielem, potrzebowałam jego wsparcia. To nie w porządku, że pozbawiono mnie także i tego.

Spokojnie, ze zrozumieniem, które niemal sprawiło, że się rozplakałam, powiedział:

– Wpadnę do ciebie rano, dobrze?

Ponieważ myślałam właśnie o Jenovitzu, kiedy znów zadzwonił telefon, pewna byłam, że to musi być on. Dzwoniła Rona. Na dźwięk jej głosu sprężyłam się wewnętrznie.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś, Claire? Mama bez przerwy o ciebie pyta. Ona chce rozmawiać tylko z tobą, a ja muszę wymyślać wymówki. Czy to tak ciężko podnieść słuchawkę?

– Rozmawiałam z nią rano.

– Nie powiedziała mi tego. Wyobraża sobie różne straszne rzeczy. Nie jest z nią dobrze, Claire. Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa.

Spojrzałam za okno, czując, jak ciemność zamyka się wokół mnie.

– Co mówią lekarze?

Rona parsknęła z pogardą.

– Spędziłam pół dnia, próbując ich dopaść. Myślę, że mnie unikają, a wiesz, dlaczego? Bo sami nie wiedzą. Kiedy ich w końcu dopadam, zaczynają stukać długopisem w kartę zdrowia mamy i robią taką minę, jakby zastanawiali się nad nową terapią. Tylko że nic takiego nie istnieje. I mama wie o tym. Stała się taka zrzędna, że trudno z nią wytrzymać. Powiedziała mi, co mamy umieścić w klepsydrze. Pomyśl tylko, chce zostać zapamiętana jako pani domu.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Mogę to zrozumieć.

– Ale ona nigdy nie była gospodynią domową. Była księgową. Rzadko sprzątała i nigdy nie gotowała. Jeżeli ktokolwiek był panią domu, kiedy byliśmy małe, to tylko ty.

– Lecz chciała nią być. Czy nie to się liczy?

– Widzisz? Rozumiesz ją lepiej ode mnie. To ty powinnaś tu być.

– Chciałabym – zauważyłam. – Możesz mi wierzyć, wolałabym być tam niż tutaj.

– Nie, nie wolałabyś. Nie masz pojęcia, jak to jest, dzień po dniu. Kiedy przy niej siedzę, oskarża mnie, że czekam na jej śmierć, a kiedy mnie nie ma,

że ją opuszczam. Nigdy nie oskarża o to ciebie, chociaż to ty jesteś dezercerem, nie ja. Nie mogłaś chociaż zadzwonić?

– Dzwoniłam. U mnie też sprawy się pokomplikowały.

– To znaczy... ?

Odwróciłam się od okna i spojrzałam na wszystkie te nowe rzeczy, które nie znaczyły nic w obliczu śmierci. Nie wiedziałam, co bardziej mnie przygniała, smutek czy poczucie winy. Chciałam powiedzieć Ronie o wszystkim. Ale nie mogłam.

– Byłam zajęta – powiedziałam, ponieważ zdając sobie sprawę, że wywoła to istną lawinę pytań.

I pewnie wywołałoby, u kogoś mniej skoncentrowanego na sobie. Lecz Rona powiedziała tylko:

– Jesteś mi tutaj potrzebna. Kiedy przylecisz?

– Nie wiem.

– A ja nie wiem, ile jeszcze zdołam wytrzymać. Wiesz, że nie jestem do tego stworzona, Claire.

– Wspaniale sobie ze wszystkim radzisz.

– Nieprawda. Nie potrafię jej pocieszyć. Próbuję, ale nic nie skutkuje. Ona nie chce być ze mną, tylko z tobą. Naprawdę jesteś mi potrzebna.

– Wiem, Rona, wiem, ale mam pełne ręce roboty. Muszę ci powiedzieć...

– Muszę kończyć, ktoś jest na linii. Czekam na ważny telefon. Jutro porozmawiamy. Zorientuj się co do weekendu. Mogłabym odebrać cię z lotniska. I zadzwoń do mamy, dobrze?

\* \* \*

– Cześć, mamó – zawołałam radośnie. – Co u ciebie?

– Umieram – dobiegła mnie słaba odpowiedź.

To mną wstrząsnęło. Jeżeli ona się poddaje, to ja chyba się załamie. Nie miała prawa, nie teraz.

– Wszyscy umieramy, i to już od dnia narodzin. A poza tym, jak się czujesz?

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? Bardzo mnie boli, a twoja siostra jest zupełnie do niczego.

– Pytałaś lekarzy o ten ból?

– Co oni mi mogą powiedzieć? Już się poddali.

– Lekarze się nie poddają.

– Nie mają w tym żadnego interesu. Jestem biedna, więc nic już ze mnie nie wycisną.

– A zatem należysz do większości. Tylko nieliczni pacjenci przynoszą duży dochód.

– Powinnaś im coś obiecać, może to by pomogło. Obiecasz im coś, Claire?

– Oczywiście, doskonały pomysł.

– Czy coś się stało?

– Nie, dlaczego pytasz?

– Jest coś takiego w twoim głosie...

Connie wiedziała o większości moich dotychczasowych wzlotów i upadków. Pragnęłam opowiedzieć jej także o tym ostatnim. Pragnęłam, aby mi powiedziała, że dobrze robię, stosując się do zaleceń sądu, nawet jeśli są takie niesprawiedliwe. I żeby zapewniła mnie, że jestem najlepszą matką na świecie.

Lecz ona z pewnością rozchorowałaby się z rozczarowania. A już była wystarczająco chora. Nie mogłam ryzykować, że wpędzę ją do grobu.

– Mam trochę kłopotów w pracy – powiedziałam w końcu. – Nic takiego, czego nie rozwiązałyby czas i odrobina chęci.



- Kiedy cię znowu zobaczę?
- Wkrótce, mamó. Przyjadę, gdy tylko będę mogła.
- Lekarze cię słuchają. Czuję się lepiej, kiedy tu jesteś.
- Spróbuję, ale to może potrwać kilka tygodni.
- Tęsknię za tobą.
- Pozwól mi zorientować się, jakie mam możliwości. Wkrótce znowu do ciebie zadzwonię. Tymczasem odpocznij. Chcę, żebyś była silniejsza na Święto Dziękczynienia, dobrze?

Następnego telefonu znów omal nie zlekceważyłam. Była dziewiąta trzydzieści, czułam się tak wyczerpana, jakbym w ciągu tego jednego dnia żyła życiem trzech osób, a musiałam rozpakować niezbędne rzeczy i porozwieszać ubrania, jeśli chciałam je jeszcze kiedyś założyć, nie oddając przedtem do odnowienia. Lecz jeśli to był Johnny, chciałabym z nim porozmawiać. Lub Kikit. Czy Dean Jenovitz.

Okazało się, że to ten ostatni.

– Jak rozumiem, będziemy musieli się spotkać, pani Raphael – usłyszałam, jak przerzuca strony notesu. – Czy w następny poniedziałek o drugiej odpowiada pani?

– Oczywiście, choć miałam nadzieję na wcześniejszy termin – czułam, że w moim głosie pobrzmiwa desperacja, lecz może tak było lepiej. Domyślałam się, że musi mieć wprawę w radzeniu sobie ze zdesperowanymi osobami.

Słyszałam szelest stron.

– Być może byłbym wolny w piątek o dziesiątej, choć nie wiem, czy to wiele zmieni.

– Gdybym ja spotkała się z panem w piątek, mój mąż mógłby wziąć termin poniedziałkowy. Czy on już się z panem kontaktował?

–Nie.

– A jego adwokat?

– Nie. Ponieważ poniedziałkowy termin jest pewny, zapiszę panią, a z mężem pani umówię się, gdy do mnie zadzwoni.

– A kiedy będzie pan chciał spotkać się z dziećmi?

– Kiedy już spędzę dość czasu z ich rodzicami.

– Ile to jest „dość czasu”?

– To zależy.

–Aha.

– Takie sprawy wymagają czasu, pani Raphael.

– Rozumiem – ugryzłam się w język. Ale na niewiele to się zdało. – Lecz przebywanie z dala od dzieci to stan nienaturalny zarówno dla nich, jak i dla mnie.

– Są z ojcem. Nic im nie będzie.

Skąd mógł to wiedzieć? Skąd wiedział, że Dennis nie jest wyrodnym ojcem? I jak cierpią moje dzieci, które nagle dowiedziały się, że ich rodzice się rozstają? Skąd wie, że nie odniosą trwałych urazów? Nie obchodziło mnie, ile ma stopni naukowych. To nie czyniło go ekspertem od moich dzieci.

– A zatem, w poniedziałek o drugiej?

– Tak. Doktorze Jenovitz, naprawdę martwię się o moje dzieci.

– Podobnie jak sąd, który dlatego umieścił je przy ojcu. Może porozmawiamy o tym w poniedziałek. Wie pani, gdzie jest moje biuro?

–Tak.

– To dobrze. Do zobaczenia.

Nie szłam przez życie, zadając sobie zbyt wiele pytań. Po prostu robiłam to, co było do zrobienia i przechodziłam do następnego zadania. Tym razem mogłoby być podobnie i siedziałabym już w domu z dziećmi. Dzięki nim byłam stale zajęta, nie miałam więc czasu na rozmyślanie. Lecz teraz ich przy

mnie nie było. Nie czekały na mnie żadne domowe obowiązki, związane z nimi czy z Dennisem. Miałam mnóstwo roboty w firmie, ale nie teraz i nie tutaj. Tutaj był nowy dom, mój ciałem i duchem, lecz jeszcze nie oswojony. W nocy, ciemny i obcy, wyglądał całkiem inaczej niż za dnia. Usiadłam więc i zaczęłam analizować swoją rozmowę z Jenovitzem. Zastanawiałam się, czy nie byłam zbyt natrętna, czy sprawiłam wrażenie osoby odpowiedzialnej i wystarczająco pokornej. Pierwsze odczucia były niezwykle istotne. Umierałam z niepokoju, jakie też wrażenie wywarłam na panu Jenovitzu.

A potem zaczęłam się zastanawiać nad wcześniejszą rozmową z dziećmi – czy nie powiedziałam za mało lub za dużo Kikit, czy nie nazbyt łatwo pogodziłam się z odmową Johnny'ego? Pewnie oboje już spali, myślałam. Ciekawe, czy im się coś śni i kto ukoi ich koszmary. Wątpiłam, by Dennis był w stanie tego dokonać i zaczęłam się zastanawiać także nad nim.

Dobrze by mu zrobiło, gdyby trochę powstawał w nocy, lecz z drugiej strony, jeżeli zacznie odgrywać się za to na dzieciach...

Kiedy rozpakowałam ostatnie ubrania, spróbowałam poprawić sobie nastrój, rozmyślając o minionym wieczorze, ale wspomnienie rozmowy z Connie wcale mi w tym nie pomogło. Ani z Roną. Widziały we mnie opokę. Nigdy dotąd mi to nie przeszkadzało, lecz teraz sprawy wyglądały inaczej. Teraz sama potrzebowałam opoki.

A rozumiała to tylko jedna osoba i akurat do niej nie mogłam się zwrócić.

Desperacko poszukując pociechy, zrobiłam sobie gorącą kąpiel, po czym owinęłam się wielkim kąpielowym ręcznikiem i otworzyłam butelkę Chardonnay, którą Cynthia zostawiła dla mnie na kuchennym blacie. Nie miałam kieliszków do wina, ale tym razem wystarczył mi zwykły plastikowy kubek.

Z winem w dłoni wspierałam się do mojej nowej sypialni, ułożyłam poduszki na oparciu łóżka i wdrapałam się na nie, nie wypuszczając z dłoni cennej butelki.

A potem zaczęłam nucić. Nie wybrałam żadnej szczególnej melodii, a te, które mi się nasunęły, były dość smutne i pełne tęsknoty. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek śpiewała je z Dennisem. Wypiłam łyk wina i zaśpiewałam miękko, zwracając uwagę na rytm. Kochałam dobry rytm, a słowa wprost dyktowało mi serce. Zaśpiewałam parę kawałków Carly Simon: „You've Got a Friend”. „So Far Away”, a potem „Fire and Rain” Jamesa Taylora. Śpiewałam, by się pocieszyć, poprawić sobie samopoczucie. Zawsze dotąd muzyka tak właśnie na mnie działała.

Jednak tym razem było inaczej. Nie skończyłam wina, nie skończyłam nawet piosenki, gdyż nagłe poczucie samotności i pustki dosłownie ścisnęło mnie za gardło. Zaczęłam płakać, a potem już tylko cicho łkać. A jeszcze później, gdy noc przeszła w świt, monotonny szum oceanu dokonał tego, czego nie mogło dokonać zmęczenie, i ukołysał mnie do snu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie jestem pewna, czy ktokolwiek, komu łaskawie nie udzielono „prawa do wizyt” może zdawać sobie sprawę, co to naprawdę oznacza. Sama wizyta staje się najmniej ważna, tylu drobnych nakazów trzeba przestrzegać, by do niej doszło. Musiałam powiedzieć Dennisowi, o której przyjadę po dzieci, dokąd je zabiorę i kiedy odwiozę do domu, lecz nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że kiedy przebywałam z nimi, każdą cenną minutę, wspólnie spędzoną, zatruwała świadomość, iż wkrótce będziemy musieli się rozstać. I wcale nie pomagało udawanie, że wszystko jest, jak zawsze, gdyż dzieci doskonale zdawały sobie sprawę, że to nieprawda. Najgorsze było to, że czułam się jak wyrodna matka, ponieważ sąd uznał mnie za taką. I zastanawianie się, czy dzieci też tak myślą. I powierzanie codziennej opieki nad nimi komuś innemu. A potem zostawianie ich z Dennisem i samotny powrót do domu, który teraz, po wizycie dzieci, wydawał mi się pusty i pozbawiony życia.

Oczywiście, spodobała im się latarnia. Nawet Johnny wydawał się zafascynowany i niespokojnie spoglądał na zegarek, gdy czas wizyty zaczął dobiegać końca. A kiedy próbowałam rozmawiać z nim o tym, co czuje, odpowiadał monosylabami i wzruszał ramionami. Korzystając z tego, Kikit zagadywała mnie niemal na śmierć. Potrzebowałam paru chwil, które mogłabym spędzić tylko z nim, lecz ona nie opuszczała mnie ani na krok. Zważywszy, jak niewiele czasu nam pozostawiono, nie miałam serca prosić jej o to.

Kiedy odwiozłam dzieci, błagałam Dennisa, by pozwolił mi odebrać jutro Johnny'ego ze szkoły i porozmawiać z nim godzinę, ale mój mąż odparł, że musimy trzymać się ustaleń.

Carmen złożyła apelację w czwartek, pozostawało więc tylko czekać na wiadomość z biura Selweya.

Wnętrze latarni wyglądało coraz przytulniej. Odnowiono podłogi, pomalowano ściany, a okna umyto. Dzieci wybrały sobie meble z magazynu – Kikit ładny komplet z wikliny, a Johnny z drewna. Pozwoliłam im także wybrać pościel, lecz resztę załatwiłam sama. Wykładziny, lampy, zasłony, oprawione plakaty – ich pokoje wyglądały jak z obrazka.

– Kiedy będę mogła tu spać? – dopytywała się Kikit, gdy rozmawiałam z nią przez telefon.

– Wkrótce – powiedziałam. Miałam nadzieję, że sąd rozpatrzy naszą apelację przed końcem następnego tygodnia lub najdalej w kilka dni później. W najgorszym razie będziemy musieli poczekać, aż Jenovitz sporządzi swoją opinię, czyli mniej więcej do Święta Dziękczynienia. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że możemy przegrać także wtedy.

Tak czy inaczej, pragnęłam, by dzieci traktowały latarnię jak drugi dom i czułam się usprawiedliwiona, że zaniedbuję inne sprawy, urządzając go.

Na szczęście moja firma była wystarczająco stabilna, by przetrwać takie „zaniedbanie”. Odpowiadałam tylko na najpilniejsze telefony i załatwiałam sprawy tylko nie cierpiące zwłoki. Kiedy jeden z producentów poduszek do naszych mebli zbankrutował, osobiście wybrałam innego i złożyłam zamówienie. Trzymałam fachowe pisma na podorędziu i podczytywałam je, gdy tylko miałam wolną chwilę. Resztę pozostawiłam Brody'emu.

Widywałam się z nim każdego dnia w biurze. Rozmawialiśmy o tym, co trzeba zrobić, a potem wychodziłam. W poniedziałek miał wyjechać na Zachodnie Wybrzeże i wtedy musiałam wrócić do biura. Tak jest lepiej, mówiłam sobie. Mniejsza pokusa.

Lecz brakowało mi go. Przechodziłam najtrudniejszy okres w życiu, a on był jedyną osobą, która mogłaby mi pomóc. Jego także uszczęśliwiono „prawem do odwiedzin”. Samotność również nie była mu obca. A poza tym znał mnie i wiedział, co może wyprowadzić mnie z równowagi.

Sąd orzekł, że mamy romans. Nie mieliśmy. Lecz coś się pomiędzy nami zmieniło. Nie wiedziałam, czy sprawiła to siła sugestii, czy stało się tak, ponieważ byłam w separacji i tym samym dostępna, a może za sprawą wzajemnego pociągu, który musiał istnieć już od jakiegoś czasu. Wiedziałam jednak, że nasza przyjaźń nie jest już tak niewinna. Czułam to – te szczególne rodzaju spojrzenia, te nieobecne, niewinne na pozór dotknięcia, które burzyły krew.

Brody miał rację. To już się stało. Lecz ja nie mogłam się temu poddać.

Co nie oznacza, że nie myślałam o nim często. Pragnęłam zadzwonić do niego w czwartek w nocy, by opowiedzieć, jak okropne było Halloween. Dennis nalegał, aby to jego matka siedziała w domu z torbą cukierków i chociaż wiedziałam, że będzie strzegł Kikit jak jastrzęb, aby nie zjadła czegoś, co zawierałoby orzechy, i tak wolałabym być z nią niż siedzieć sama w pustym domu z torbą cukierków, po które nikt nie przyszedł.

Chciałam zadzwonić do niego w piątek wieczorem po przygnębiającej rozmowie z matką i siostrą. Żądały, bym przyjechała do Cleveland, a ja nie mogłam i w dodatku nawet nie wolno mi było im powiedzieć, dlaczego. Gdy nalegały, odczułam gniew i – zawsze obecne – poczucie winy.

Chciałam zadzwonić do niego w sobotę wieczorem, kiedy byłam tak okropnie przygnębiona po dniu spędzonym z dziećmi. Po meczu Johnny'ego zabrałam je na lunch i do kina, a potem przywiozłam do latarni, gdzie siedzieliśmy, wpatrując się w fale. Kikit wdrapała mi się na kolana; nie, żebym jej tam nie chciała, ale pragnęłam, by także Johnny doznał odrobiny ciepła.

Jednak gdy spróbowałam go przytulić, uchylił się. „Porozmawiaj ze mną” – błagałam go, a on mówił, lecz nie o tym, o czym należało. A kiedy wprost poruszyłam temat separacji, zaczął potrząsać głową i wzruszać ramionami. Najbliżej wyrażenia swych uczuć był chyba wtedy, gdy Kikit poprosiła mnie, bym zaśpiewała, a on zażyczył sobie „No Man Is an Island”. Piosenka o tym, że nikt nie jest samotną wyspą, była sztandarowym utworem grupy, w której występowaliśmy kiedyś z Dennisem. Wykonywaliśmy ją zwykle wówczas, kiedy publiczność była już rozgrzana i rozmarzona, doskonale bowiem wyrażała ona ducha wspólnoty, właściwego tamtym czasom. Piosenka miała wyraźną linię melodyczną i bogatą harmonię. Dennis i ja zawsze śpiewaliśmy ją z pewnym poczuciem nostalgii, grano ją także na naszym weselu. Była więc swego rodzaju tematem przewodnim naszego małżeństwa.

I nie tylko – pomyślałam, kiedy wróciłam do latarni po odwiezieniu dzieci. Wyrosłam w domu, w którym nie było radości. Śpiewanie było moją ucieczką. Kiedy śpiewałam, przytupując do taktu nogą, nie czułam znużenia ani przygnębienia. Poznałam Dennisa, kiedy śpiewałam i nauczyłam go tego uczucia ulgi i przyjemności.

Gdy spoglądałam wstecz, uderzyło mnie, że Dennis stracił zainteresowanie śpiewaniem, podobnie jak robieniem zdjęć. Dwa źródła wspólnej przyjemności, i oba wyschły. Powinam była dostrzec wcześniej to wszystko, co tak wyraźnie widziałam dzisiaj.

Pragnęłam opowiedzieć o tym Brody'emu, ale nie ośmieliłam się zadzwonić. Nie ufałam sobie aż tak bardzo.

Jednak w niedzielę rano to on wziął sprawy w swoje ręce. Obudziłam się o świcie i już nie mogłam usnąć, pojechałam więc do biura i zasiadłam w pracowni, aby usunąć resztę zniszczonych prętów z wiklinowego fotela. Fotel wymagał jeszcze sporo pracy, więc pracowałam szybko.



Mniej więcej po godzinie pojawił się Brody i przyniósł śniadanie. Powiedziałam mu „cześć” i wspomniałam coś o tym, że specjalnie zaparkowałam za domem, by nie dostrzegł mojego samochodu, a potem wróciłam w milczeniu do pracy. Próbowałam wmówić sobie, że przyszedł tu z jakąś własną sprawą, a nawet wzbudzić w sobie gniew, ale nic z tego nie wyszło, zwłaszcza kiedy rozłożył na rogu stołu tekturowe nakrycia i położył na nich pachnące, jeszcze ciepłe obwarzanki, bułeczki z serem i wędzonym łososiem. Musiałam przyznać, że jestem głodna.

Jak nigdy dotąd.

Czy mogłam oprzeć się ciepłym obwarzankom z pełnego ziarna, takim, jakie najbardziej lubię – spryciarz z tego Brody'ego – i czarnej gorącej kawie o zapachu cykorii, także mojej ulubionej? A kiedy mój najlepszy przyjaciel powiedział:

– Miałaś cholerny tydzień i nic mi nie powiedziałaś, więc opowiedz teraz.

Jak mogłam nie zareagować?

Wyrzuciłam więc z siebie wszystko, całą frustrację, cały ból i podekscytowanie, wywołane spotkaniem z dziećmi, co samo w sobie było błogosławieństwem. Co innego owo tak zwane „prawo do wizyt”. Potrzebowałam pomocy i wsparcia kogoś bardziej doświadczonego.

– A jak to było z tobą i Joy?

Siedzieliśmy w pracowni, w bezpiecznej odległości jedno od drugiego. Skrzyżowałam uda, a Brody wyciągnął przed siebie nogi. Jadł właśnie trzeci obwarzanek.

– Było trudno – odparł – choć problem polegał na czymś innym. Kiedy nam się to zdarzyło, byłem mężem zaledwie od czterech lat, a ojcem od dwóch. Bez porównania z tobą. Dla ciebie bycie żoną i matką to całe twoje życie, więc każda zmiana bardziej cię rani. – Przerwał, zmarszczył brwi, a potem dodał: –

U mnie od początku wyglądało to zupełnie inaczej. Moje małżeństwo od razu zapowiadało się na nietrwale. Joy miała nam pomóc. – Prychnął. – Bardzo inteligentny pomysł, co? Ależ byliśmy niemądrzy.

– Młodzi.

– To także. Zgodziłem się wyprowadzić, ponieważ Mary Anne i ja zawsze najlepiej funkcjonowaliśmy, gdy nie siedzieliśmy sobie nawzajem na karku. Więc kiedy się ostatecznie rozstaliśmy, byłem przyzwyczajony, że nie widuję Joy codziennie.

Poznałam Mary Anne, gdy umawiała się z Brodym. Studiowała wówczas prawo i zarządzanie. Byliśmy z Dennisem na ich ślubie i kilka razy spotykaliśmy się później we czwórkę. Szybko stało się jasne, że sprawy pomiędzy nimi nie układają się najlepiej, toteż nie byliśmy zdziwieni, kiedy dowiedzieliśmy się o ich rozstaniu. Mary Anne uważała się za intelektualistkę. Zapisła się do kółka ezoterycznego i zaczęła otaczać ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Promieniowało od nich poczucie wyższości, jakby dane im było coś, czego poskąpiono nam, zwykłym śmiertelnikom.

Co do mnie, to zawsze uważałam Mary Anne – i całe jej towarzystwo – za nudne. Krótco po urodzeniu Joy zajęła się nauczaniem i nadal to robiła. Nie rozmawiałam z nią od lat.

Ani nie rozmawiałam o niej. Z początku wydawało się to naruszeniem prywatności Brody'ego, a potem nie było już o czym rozmawiać. Zawsze uważałam, że Brody też tak sądzi – a może to lojalność kazała mu milczeć. Nagle zrobiłam się ciekawa.

– Mów dalej – nalegałam.

Upił łyk kawy – na którą składał się głównie cukier i śmietanka – nie wiem doprawdy, gdzie podziewały się u niego te wszystkie kalorie – a potem cmoknął, odstawił filiżankę i powiedział:

– Byłem głównianym ojcem.

– Jesteś wspaniałym ojcem.

– Być może teraz, ale na pewno nie wtedy. Ugoda rozwodowa zapewniała mi możliwość widywania się z Joy, więc widywałem się z nią. Gdyby było inaczej, nie wiem, czy bym to robił. Przeraziła mnie śmiertelnie.

Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem. –Joy?

– Miała tylko dwa lata – powiedział, zakłopotany. – Te pieluszki, śliniaczki, warkoczyki – nie wiedziałem, co mam z tym robić. Nigdy się tym nie zajmowałem, zanim nie rozstaliśmy się z jej matką. A potem nagle musiałem robić wszystko. Zachowywałem się nerwowo, a ona to wyczuwała, więc kiedy po nią przychodziłem, przywierała do Mary Anne i pędziła do niej co sił w nogach, kiedy ją odwoziłem. Czulem się równie mile widziany, jak brzydki zapach. Nie chciała do mnie podejść. Trudno, powiedziałem sobie, oszczędzę jej nieprzyjemności. I odwołałem to jedną, to drugą wizytę – w sumie więcej, niż chciałbym pamiętać.

Usiłowałam dopasować Brody'ego, o którym mówił, do tego, którego znałam.

–I kiedy to się zmieniło?

Nie odpowiedział, po prostu siedział tam, żując trzeciego precla.

– Brody?

– Kiedy urodził się wam Johnny. Nie umiałam doszukać się związku. –  
Tak?

Skończył obwarzanek, wytarł dłoń o dzinsy, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

– Byłem zazdrosny. Tacy byliście szczęśliwi, że go macie. Przez jakiś czas dąsałem się na was.

– Niemożliwe.

– Owszem, możliwe. Brałem Johnny'ego na ręce, a potem szedłem do domu, użalając się nad sobą, że nie mam czegoś takiego. W końcu uświadomiłem sobie, że jednak mam.

– Joy musiała mieć już wówczas z siedem lat.

– Zgadza się. Dawno wyrosła z pieluszek i śliniaczków. Sama potrafiła skorzystać z łazienki i zapleść sobie włosy. Nie przerażała mnie już tak bardzo.

– To było wtedy, kiedy zabrałeś ją do Disney Worldu?

– Musiałem wymyślić coś naprawdę super. Ledwo mnie znała. Pamiętasz, co zrobiłem? Najpierw Disney World, potem Park Hersheya, Wielki Kanion i Yellowstone. Łatwiej było być razem, kiedy oboje byliśmy zajęci. Miała pięć lat, tyle, ile teraz Johnny, zanim odważyłem się przywieźć ją tutaj na dłużej niż dzień czy dwa.

– Kto by pomyślał – powiedziałam. – Byłeś wspaniały dla moich dzieci, i to od samego początku. Pamiętam, że nawet zmieniałeś im pieluszki i raz czy dwa je kąpałeś.

– To było coś zupełnie innego. Nikt niczego ode mnie nie oczekiwał. Nie było tej walki o władzę, jaka zaciążyła na moim związku z Mary Anne. Z twoimi dziećmi to było tak: wiedziałem, że jeśli nie złapię się w porę, to coś stracę. A poza tym, chciałem chociaż przez chwilę mieć twoje dzieci, skoro nie mogłem mieć ciebie.

Zakrztusiłam się kawą. A kiedy już mogłam oddychać, powiedziałam:

– Nie musisz mówić takich rzeczy.

Wzruszył ramionami, ale światełko w jego oczach nie przygasło ani na chwilę.

Spojrzałam na swoją filiżankę i wzięłam do ust łyk kawy, a potem jeszcze jeden. Złapałam się na tym, że małym palcem nieświadomie zbieram

na kupkę okruchy. Patrzyłam na pojemnik z serkiem, plastikowe sitko, odrzucone wieczka od kubków z kawą – wszędzie, tylko nie na Brody'ego.

– Myślisz, że Dennis wiedział? – zapytał.

– Nigdy nie zrobiłeś niczego niewłaściwego.

– I tak wydaje mi się, że to przeze mnie.

Podniosłam wzrok.

– To nieprawda. Dennis był niezadowolony z naszego związku już od jakiegoś czasu.

– A ty?

Na to nie mogłam odpowiedzieć tak szybko. Dopiero zaczęłam penetrować ten obszar. Powiedziałam:

– Nie świadomie. Chciałam, by moje małżeństwo przetrwało, więc uczepliłam się tego, co było w nim dobre, a odrzuciłam to, co złe. Powinnam być bardziej uczciwa. I realistyczna. Lecz żadne małżeństwo nie jest doskonałe. Więc gdzie znajduje się granica? I kiedy powinno się powiedzieć „dość”? Dennis najwidoczniej osiągnął ten punkt wcześniej niż ja.

– Najwidoczniej. – Brody uniósł się lekko na krześle, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął z niej złożony na czworo wycinek z gazety i wręczył mi go.

Rozłożyłam papier i przeczytałam podpis pod zdjęciem: „Dennis Raphael i Phoebe Lowe, tańczący w sobotni wieczór podczas Balu Adwokatów” – i bardzo dobrze się bawiący, sądząc po ich uśmiechach.

A Dennis umiał się uśmiechać. Jego uśmiech sprawiał, że kobieta czuła się tak, jakby była światłem jego życia. Kiedyś uśmiechał się w ten sposób do mnie.

Przez dłuższą chwilę przyglądałam się wycinkowi.

– Dlaczego nie jestem zdziwiona? – Nie byłam zdziwiona, ale z pewnością czułam się zraniona, bardzo zraniona.

– To zdjęcie z kolumny towarzyskiej i może nic nie oznaczać.

Złożyłam wycinek. Ból jakby przygasł.

– Myślę, że mają ze sobą romans. Poważny romans. Kiedy rzuciłam mu to w twarz – w żartach – nawet nie zaprzeczył.

– I on śmie ciebie oskarżać?

– Mówi, że skoro jesteśmy w separacji, może robić, co chce.

– I tutaj się z nim zgadzam – powiedział Brody szczególnym tonem, zawracając nas w ten sposób do punktu wyjścia.

Spojrzałam na niego, starając się wzbudzić w sobie nieufność.

Tak dobrze znałam te rysy – ciepłe brązowe oczy ukryte za okularami w metalowych oprawkach, ślad piegów na nosie, widoczny tylko wtedy, gdy światło padało z góry, tak jak teraz, lekko kwadratową szczękę i pełną dolną wargę. Nigdy nie dotknęłam jego twarzy tak, jak zrobiłaby to kochanka, ani dłonią, ani ustami. Kochać można jednak na różne sposoby.

Kochałam Dennisa, ponieważ był moim mężem. Kochałam Brody'ego, ponieważ był moim przyjacielem. Dennisa kochałam za to, kim był, a Brody'ego za to, jaki był.

I szanowałam go, ceniłam jego towarzystwo, liczyłam się z jego zdaniem. Czy moja miłość do niego była głębsza niż miłość do Dennisa? I czy podobał mi się bardziej niż on?

Dlaczego dotąd tego nie spostrzegłam?

– Potrzebuję czasu, Brody. Jeżeli zrobię coś, co choćby z daleka będzie przypominało złe prowadzenie, stracę dzieci.

– To podwójna moralność, wiesz o tym, prawda?

Machnęłam dłonią.

– A co w tym nowego? Każda kobieta wie, że ją ocenia się inaczej. – Podeszłam do fotela, nad którym pracowałam. Jeszcze raz przyjrzałam się fotografii mojego męża z jego kochanką – jego domniemaną kochanką. Nie byłam jeszcze gotowa, by uznać za fakt, że Dennis tak szybko ze mnie zrezygnował, a tym bardziej dla jakiejś młodszej ode mnie blondynki. To tylko fotografia. Jak fotografia mnie i Brody'ego obejmujących się w kuchni.

Podwójna moralność. To nie fair.

– Kiedy kobieta współzawodniczy z mężczyznami w ich świecie i zgodnie z ich zasadami, musi być dwa razy tak dobra, jak oni – powiedziałam.

– Można wprowadzić ją do interesu, lecz na tym nie koniec. Przyznaję koncesje kobietom, a nawet je faworyzuję. Wiem jednak, jakie przeszkody muszą pokonywać, aby utrzymać się na rynku. Nie mogą dostać pożyczki, ponieważ nie mają doświadczenia i referencji, a nie mogą nabyć jednego ani drugiego, jeśli nie uzyskają pożyczki. Czy ma pani zamiar zająć w ciążę i nie dotrzymać warunków umowy, pyta urzędnik w banku. Albo wyjechać z miasta z mężem i nie dotrzymać warunków umowy? Lub po pół roku zdecydować, że to pani nie bawi i nie dotrzymać warunków umowy? Mężczyzny nikt nie pyta o takie rzeczy.

Wsunęłam do kieszeni zdjęcie Dennisa i Phoebe. Mniej mnie raniło, gdy na nie nie patrzyłam.

– Więc co mamy robić? Jeżeli chcemy odnieść sukces w tym systemie, musimy dostosować się do jego praw. Próbuję to robić, Brody.

Wstał i podszedł do mnie.

– Być może starasz się bardziej, niż musisz.

Nie byłam pewna, co chce przez to powiedzieć, wiedziałam tylko, że coś ścisnęło mnie w środku, gdy do mnie podszedł.

Zatrzymał się na odległość ramion i wsunął palce do tylnej kieszeni dżinsów.

– Nie poświęcaj naszej przyjaźni. Nie dawaj Dennisowi tej satysfakcji. No dobrze, nie powinniśmy być teraz razem, naprawdę razem, lecz nadal możemy spędzać ze sobą czas, prawda? Nie czuję się winny, kiedy na ciebie patrzę albo do ciebie dzwonię. I nie zamierzam zastanawiać się godzinami, nim znów cię obejmę. Albo coś powiem.

– Ty? Zastanawiać się, zanim coś powiesz? – Próbowałam się roześmiać, ale wydałam z siebie tylko jakiś zduszony odgłos.

Dotknął mojego policzka ręką rozgrzaną ciepłem ciała. Jego kciuk przesunął się po mojej szczęce, palce pogłaskały policzek i wśliznęły się we włosy, bardzo leciutko, niemal niewyczuwalnie. Kiedy nie mogłam już tego znieść, przycisnęłam głowę do jego dłoni – by go powstrzymać lub poczuć mocniej jego dotyk, nie wiedziałam.

– Czy kiedyś zastanawiałaś się, jak by to było, gdybyśmy się pocałowali?  
– zapytał dziwnie chropawym głosem.

– Nie.

– Lub spali razem? Kochali się?

– Nie. Nie mogę, Brody. Nie teraz.

– Ale pewnego dnia?

– Może. Nie wiem. Jeszcze dwa tygodnie temu sądziłam, że Dennis będzie jedynym mężczyzną, z którym będę kiedykolwiek spała.

– Zanim to się stało, nie było cię w domu przez dwa tygodnie, co razem daje miesiąc. A kiedy się ostatnio kochaliście?

Zacisnęłam wargi i potrząsnęłam głową, by dać mu do zrozumienia, że nie jestem gotowa, by rozmawiać z nim o takich sprawach.



– W porządku – powiedział, jakby usłyszał to, co chciał usłyszeć. – Ale czy zaczniesz myśleć o mnie w ten sposób?

Znów spróbowałam się roześmiać. Tym razem w moim głosie dźwięczała histeria.

– A jak mogłabym się powstrzymać?

Uśmiechnął się, a potem objął mnie i przytulił do siebie, zanim zdołałam zaprotestować. A kiedy już znalazłam się w jego objęciach, nie chciałam protestować, ramiona Brody'ego zdawały mi się bowiem najbezpieczniejszym miejscem na świecie i gdyby to ode mnie zależało, zostałabym w nich na zawsze. On jednak pocałował mnie lekko w czoło i odsunął się. Po czym z uśmiechem odwrócił się na pięcie i pomaszerował do drzwi z jedną ręką uniesioną, jakby to mnie musiał powstrzymywać, bym zbytnio, nie przyśpieszała biegu spraw. A potem wyszedł, równie cicho jak się pojawił.

Przeklinałam go, lecz nie robiłam tego szczerze. Już dawno nie czułam się pociągająca, a Brody sprawił, że właśnie tak się poczułam. A nie był to zły sposób na oderwanie mnie od rzeczywistości.

Carmen miała rację. Dean Jenovitz nie wydawał się zbyt lotny. Domyśliłam się, że spędził ostatnie trzydzieści pięć lat w tym samym biurze, za tym samym biurkiem. Raz usadowiony, dopasował się do wystroju – jak on, nieco przestarzały i ciut przykurzony.

Sięgnął po fajkę, wytrząsnął ją na popielniczkę, napełnił tytoniem i ugniótł go. Dopiero kiedy zapalił zapalną i zatruł powietrze zapachem tytoniu, zapytał:

– Nie cierpi pani na alergię, prawda?

– Nie, nie, bardzo proszę. – Dym z fajki, każdy rodzaj dymu, przeszkadzał mi. Lecz mogłam to znieść, i to o wiele łatwiej niż rozłękę z

dziećmi. Nie miałam zamiaru ryzykować, że Dean Jenovitz uprzedzi się do mnie. Nie, kiedy chodziło o taką stawkę.

Zapalił fajkę, zaciągnął się, wypuścił gęstą chmurę dymu i rozparł się na krześle.

– I jak się pani czuje?

Nie bardzo wiedząc, co powinnam powiedzieć, ośmieliłam się tylko na:

– Wszystko w porządku. Choć jestem trochę roztrzęsiona. To wszystko bardzo mnie zaskoczyło.

– Nakazy sądowe potrafią człowieka zdenerwować. Ale musiała się pani domyślać, że zanoszą się na kłopoty.

– Nie. Mąż wyprawił mnie w podróż, nie czyniąc żadnej aluzji.

– Wyprawił panią? O ile wiem, to pani była inicjatorką tej podróży?

– Miałam na myśli – powiedziałam, uśmiechając się przepaszająco – że kiedy wyjeżdżałam, on stał w progu, pocałował dzieci, pocałował mnie, pomachał nam na do widzenia. Nie miałam pojęcia, co planuje.

– W moim rozumieniu, nie planował niczego. Nie wtedy. Dopiero choroba pani matki nasunęła mu tę myśl. A potem to zamieszanie z terminem przylotu dzieci i lekarstwem pani córki. To, w połączeniu ze sprawami, które miały miejsce już wcześniej, ułożyło mu się w pewien wzór i poczuł się zmuszony do działania.

Przeczytał zatem zeznanie Dennisa. Wątpiłam, czy przeczytał także moje.

– Uważam, że zaplanował to wcześniej – powiedziałam spokojnie.

– Ma pani jakiś dowód?

– Rachunki telefoniczne. Wydzwaniał do swego adwokata od stycznia.

Jenovitz zmarszczył brwi, przesunął fajkę w kącik ust i spojrzał na leżące na biurku jakieś dokumenty.

– Nic o tym nie ma w pani zeznaniu.

– Nie. Sprawdziłam rachunki dopiero wczoraj wieczorem. Zaintrygowało mnie, że Dennis tak spokojnie to wszystko przyjmuje. Nie miałam pojęcia, że zanoszą się na separację, a on przyjął to wszystko z największą łatwością. Jedyne sensowne wyjaśnienie brzmi tak, że miał czas, aby oswoić się z sytuacją.

– Z tego, co zrozumiałem, wspominał o rozwodzie od miesiący.

– Nie o rozwodzie. O separacji, i zawsze dochodziliśmy do wniosku, że to zły pomysł.

– Jak twierdzi pani mąż, to pani dochodziła do tego wniosku. On zaczynał temat, pani argumentowała przeciwko, a on ulegał.

No cóż, w pewnym sensie tak właśnie było, pomyślałam.

– Dlaczego sprzeciwiała się pani separacji, skoro mąż wydawał się nieszczęśliwy w tym związku?

– Ależ on nie był nieszczęśliwy. Przynajmniej nie z powodu małżeństwa. Chodziło o jego pracę, a niepowodzenia zawodowe rzutowały na wszystko inne. Mówił, że go nie rozumiem, albo że ma za mało swobody. Nigdy nie powiedział, że mnie nie kocha, albo że kocha kogoś innego lub że zamierza wystąpić o rozwód czy mi się to podoba, czy nie.

– A zatem została pani zaskoczona. Czy oswoiła się już pani z myślą o rozwodzie?

– Chyba tak. Tak.

Przez chwilę mi się przyglądał, a potem spytał.

– Tak szybko? Ile to czasu minęło od wydania przez sąd nakazu?

Rozmowa nie przebiegała tak, jak bym sobie tego życzyła. Starając się go ugłaskać, powiedziałam spokojnie:

– Dziesięć dni, ale ja wcale nie chciałam tego zaakceptować. Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby uchylić tę decyzję, tylko że Dennis się uparł.

Zaproponowałam, żebyśmy porozmawiali. Albo oboje pozostali w domu i spróbowali coś z tym zrobić. Dennis nie chciał o tym słyszeć, podobnie jak sąd. Nawet nie wyznaczono nam przesłuchania, gdy się odwołaliśmy. A teraz pan... – Zmarszczyłam brwi. – Nie wiem, co myśleć. Czy sugeruje pan, że powinniśmy się pogodzić?

– Nie. Moje zadanie polega na sporządzeniu opinii w kwestii opieki nad dziećmi. Założenie jest takie, że sprawa i tak skończy się rozwodem.

– Czyje założenie?

– Sądu. I pani męża, skoro to on wniósł sprawę.

– To prawda – przyznałam. – On to zrobił, nie ja, a sąd go popiera. Nie ja wybrałam rozwód, ale zamknięto przede mną wszystkie drzwi. Nie widzę innego wyjścia. Mój mąż mnie nie chce. Wyraził to zupełnie jasno. Więc co mam robić?

– Większość kobiet by rozpaczała.

– Ja także rozpaczam. Leżę w nocy i czuję się zupełnie pusta w środku. Budzę się rano i czuję ból. Myślę o tym, co było dobre w naszym małżeństwie. Mieliśmy wszelkie szanse. A teraz wygląda na to, że nie mamy żadnej. Czuję smutek. I żal. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc nie powiedziałam nic. On także milczał, obserwując mnie, aż wreszcie nie mogłam już tego znieść. Zaśmiałam się więc z przymusem i przesuwając dłonią po włosach, powiedziałam: –Bardzo mi przykro, doktorze Jenovitz. Obawiam się, że oblewam ten test. Próbuję być szczerą, lecz najwidoczniej na panu nie robi to wrażenia. Nie mam pojęcia, co chciałby pan usłyszeć. – Nadal się nie odzywał, przemówiłam więc ja. – Być może powinnam się załamać. Jak przypuszczam, niektóre kobiety pewnie by się załamały. Właściwie, wiem to na pewno.

Uniósł brwi. Nie spytał, skąd wiem, o czym myśli, lecz pytanie zawisło pomiędzy nami, nie zadane. Zdecydowałam się na nie odpowiedzieć.

– Moja matka się załamała. Ojciec zmarł nagle, bez ostrzeżenia, nie chorował ani jednego dnia. Ja miałam wówczas osiem lat, a moja siostra sześć. Mama wpadła w panikę. Nie wiedziała, co robić, więc nie robiła nic. I tak przez całe tygodnie.

– To musiało być dla pani trudne.

– Robiłam, co mogłam.

– Ale miała pani tylko osiem lat. Co mogła pani zrobić?

– Pomóc przy siostrze. Zabawiać ją. Pomóc w domu.

– A co powstrzymało panią od załamania i popadnięcia w panikę?

– Ignorancja, jak sądzę. – Uśmiechnęłam się smutno, wspominając rozmiary tej ignorancji. – Nie rozumiałam, co to oznacza, że ojca zabrakło. Oczywiście, tęskniłam za nim, lecz byłam zbyt mała, by ogarnąć całość sytuacji.

– A teraz, jest pani w stanie ogarnąć sytuację?

– Związaną ze śmiercią ojca?

– Z rozwodem. Czy nie w tej sprawie się tu spotkaliśmy?

Nie lubił mnie. Wiedziałam, że tak będzie. Czy mogłam ogarnąć sytuację? O, Boże, z każdą sekundą widziałam ją coraz wyraźniej, a to, co widziałam, śmiertelnie mnie przerażało.

– Tak, spotkaliśmy się w sprawie rozwodu. I tak, potrafię ogarnąć całość sytuacji.

– Więc proszę mi ją opisać.

Dotknęłam ust, pragnąc zaprotestować. Żądał, bym opisała myśli i obawy zbyt świeże jeszcze, aby mogły nie być bolesne. Albo chciał się przekonać, jak

dalece potrafię wejrzeć w siebie, albo był sadystą. Znienawidziłam go za to, nie śmiałam jednak odmówić.

– Rozwód? – zapytałam, ostrożnie, układając dłonie na kolanach. – Oznacza on, że rodzina, na której zawsze tak bardzo mi zależało, już nie istnieje. Że żadne z nas nie będzie uczestniczyło we wszystkich wydarzeniach w życiu dzieci i że będziemy za tym tęsknili. Będziemy spędzać osobno wakacje i uroczystości rodzinne. Urodziny, promocje. Dzieci będą w rozterce.

– Nie miało to miejsca w Halloween.

– Nie. W Halloween wszystko poszło dobrze, ale być może tylko dlatego, że to wszystko jest dla nich takie nowe. Zupełnie jak wtedy, gdy umarł mój ojciec. Mam na myśli moją ignorancję. Z nimi może być tak samo. A co będzie, kiedy podrosną i zaczną więcej rozumieć?

– Być może wszystko będzie w porządku.

– Mam taką nadzieję.

– Naprawdę? – zapytał.

Przez chwilę nie mogłam się odezwać. A potem zapytałam ostro:

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– No cóż, to pani nie chce rozwodu. Niektóre matki w pani sytuacji zrobiłyby wszystko, aby nikt nie czuł się dobrze.

– Kocham moje dzieci – protestowałam. – Nikt, nawet mój mąż, nie może temu zaprzeczyć. To, że zostaną zranione, stanowi przedmiot moich największych obaw. Zrobiłabym wszystko, aby oszczędzić im stresu, bólu i lęków, związanych z rozwodem, lecz teraz, kiedy wydaje się nieunikniony, zrobię wszystko, by pomóc im jakoś przez to przejść. – Pytanie brzmi – wtrącił, zanim zdążyłam złapać oddech – czy jest pani w stanie to zrobić, pani Raphael. Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Być może nie podobają się pani

moje pytania, ale sąd oczekuje ode mnie, że je zadam. Wykonuję tylko swój zawód – najlepiej, jak potrafię.

Zacisnęłam usta i zmilczałam, pozwalając, by teraz on pławił się w ciszy.

Jednak jemu zdawało się to nie przeszkadzać ani w połowie tak, jak mnie, powiedziałam więc spokojnym, a nawet ugodowym tonem:

– Przepraszam bardzo. Proszę pytać, o co tylko pan zechce. Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak umiem.

Pociągnął fajkę i wypuścił gęsty kłęb dymu.

– Uniosła się pani.

– Rzadko mi się to zdarza. To ja jestem tą spokojną osobą w domu.

Muszę sprostać humorom Dennisa.

Miałam nadzieję, że pójdzie tym tropem i zacznie drażnić temat, ale nie zrobił tego.

– Pani mąż twierdzi, że żyje pani w wielkim napięciu.

– Tylko z powodu rozwodu. Przedtem doskonale dawałam sobie ze wszystkim radę.

– Stan zdrowia matki pani chyba musi budzić niepokój.

– Tak, to następny powód do zastanowienia. I do zmartwienia. Napięcie, które odczuwam, wiąże się z tym, że chciałabym do niej polecieć, ale obawiam się, że zostanie to wykorzystane przeciwko mnie. A skoro mnie tam nie ma, zostanę posądzona o brak serca. Tymczasem to chyba normalne, że dzieci zostają z jednym z rodziców, kiedy drugie czuwa przy umierającym ojcu czy matce.

Jenovitz wzruszył ramionami,

– Nikt pani nie broni jechać.

– Kiedy ostatni raz to słyszałam, wróciłam do domu, w którym zapanował kompletny chaos.

– Lecz czy to nie pani wywołała ten chaos? Wzięła pani na siebie zbyt wiele, pani Raphael. Pytanie, czy zdoła pani sobie z tym wszystkim poradzić. Pani mąż twierdzi, że nie.

– To wszystko nie ma nic wspólnego z moją wizytą u matki. – Wskazałam na akta. – Te przykłady, którymi mąż posługuje się, aby wykazać, że straciłam panowanie nad biegiem spraw, to wszystko są rzeczy, które przydarzają się ludziom bez przerwy. Dobry Boże, to ja powinnam stawić się w sądzie i oskarżyć męża, że nie potrafi zapamiętać godziny powrotu dzieci do domu, że zgubił lekarstwo córki, albo, co gorsza, pozwolił jej zjeść coś, czego nie powinna. Czy sąd odebrałby mu za to dzieci?

Jenovitz westchnął, wypuszczając kolejny kłęb dymu.

– Wie pani, że upraszcza sprawę. Skarga zawierała jeszcze inne elementy. A poza tym, życie pani męża jest prostsze. To pani usiłuje sama wszystkiemu sprostać.

Poczułam, jak skręcają mi się wnętrzności. Biuro nie było duże, a teraz już okropnie duszne i zadymione. Z każdą chwilą traciłam odwagę.

Jenovitz przyglądał mi się z namysłem.

– Nie usiłuję sprostać wszystkiemu sama – powiedziałam spokojnie. – Mam siostrę, która pomaga mi przy matce, męża, który może pomóc przy dzieciach, i zastępcę, który dzieli ze mną obowiązki w pracy.

Skinął głową. Jego oczy powędrowały ku leżącemu przed nim dokumentowi i pozostały tam. – Proszę powiedzieć mi coś więcej o tym zastępcy.

– Nazywa się Brody Parth – powiedziałam. – Zanim został moim partnerem, był partnerem w firmie mego męża. Jest ojcem chrzestnym obojga naszych dzieci.

– Czy łączy panią z nim intymny związek?



–Nie.

Wyjął fajkę z ust.

– Zdecydowanie nie ?

– Zdecydowanie.

Fajka powędrowała z powrotem do ust.

– To dlaczego pani mąż twierdzi, że jest inaczej?

– Będzie go pan musiał o to zapytać.

– Już pytałem. Pokazał mi zdjęcie.

– To zdjęcie zostało zrobione przez okno kuchni Brody'ego tej nocy, gdy Dennis wyrzucił mnie z domu. Byłam zdenerwowana, a Brody po przyjacielsku mnie pocieszał. To wszystko.

– Są jeszcze rozmowy telefoniczne. I meldunki hotelowe. Trzeba przyznać, że wywierają określone wrażenie.

– Podobnie jak rozmowy pomiędzy Dennisem a jego obrońcą. A jest nim nie tyle Art Heuber, co Phoebe Lowe.

– Zmienia pani temat?

– Nie, zwracam uwagę na inne okoliczności.

– Aby usprawiedliwić swój związek z Brodym Parthem?

– Nie ma więcej dowodów na to, że mam romans z Brodym, niż na to, że mój mąż ma go z Phoebe. Nie rozumiem, dlaczego oskarża się mnie, a jego nie.

Jenovitz siedział nieporuszony niczym skała.

– Proszę posłuchać – powiedziałam, zdenerwowana. – Brody jest moim dyrektorem generalnym. To wyjaśnia telefony i meldunki hotelowe. Jest także moim przyjacielem i to od dawna, co wyjaśnia, dlaczego mnie objął, a także to, że zawsze spędzał u nas tyle czasu. Jest kimś w rodzaju członka rodziny. Romans z nim byłby jak kazirodztwo. – Ale Jenovitz najwidoczniej widział też

inne zdjęcia. Domyślałam się, że tylko jedno z nich zostało zaprezentowane w sądzie. – Czy spotkał się pan już z Dennisem?

– Widziałem się z nim w piątek.

Ach tak, w terminie, którego nie chciał przyznać mnie. Zastanawiałam się, jak to się mogło stać i kiedy wreszcie, dla odmiany, ja będę mogła przemówić jako pierwsza.

– Czy to pani przeszkadza?

– Nie. – Staralam się dostrzec w tym jakąś jaśniejszą stronę. – Cieszę się, że przyszedł, bo obawiałam się, że będzie próbował przeciągać sprawę. Święto Dziękczynienia już prawie za miesiąc. Mam nadzieję, że do tego czasu sprawa zostanie rozstrzygnięta.

Jenovitz rozparł się wygodnie na krześle i pociągając fajkę wlepił wzrok w sufit.

– Bo zostanie, prawda? – zapytałam nerwowo. Musiałam wierzyć, że jest jakaś granica cierpienia, do jakich zmuszał mnie sąd. Carmen powiedziała, że na sporządzenie opinii psycholog ma trzydzieści dni, i to niezależnie, czy nasze odwołania zostaną rozpatrzone pozytywnie, czy nie.

– Czy mogę coś zrobić, żeby przyspieszyć bieg spraw? – spytałam, kiedy on dalej się nie odzywał. – To dla mnie bardzo bolesne — dodałam, uśmiechając się nerwowo.

– Wyobrażam sobie. To sytuacja, której nie może pani kontrolować.

Wypowiedziane to było z głębokim przekonaniem. Bez żadnych wątpliwości. Nie wiedziałam, czy wysnuł to przekonanie z własnych obserwacji, czy podsunął mu je Dennis. Nie mogłam się z nim zgodzić.

– Nie chodzi o kontrolę, ale o bycie z dziećmi. I o to, że obserwuje się każdy mój krok. I że nie wiem, co przyniesie przyszłość.

– Na tym właśnie polega sprawowanie kontroli. Postanowiłam obrócić wątpliwości na jego korzyść.

– Być może – przyznałam – ale nie w negatywnym sensie. Nie chodzi mi o to, by kontrolować ludzi, lecz by sprawować kontrolę nad swoim życiem, by móc decydować, jak postąpić, jednym słowem, no cóż, kontrolować sytuację. Postępuję tak odkąd skończyłam osiem lat. A zaczęłam to robić, ponieważ nikt inny nie chciał. Podobnie było z moim małżeństwem. Czy to coś złego?

– Nie, dopóki nie odbiera możliwości działania innym ludziom.

– Tak nie było. A przynajmniej nie sądzę, aby tak było. To ja zawsze dbałam o dobre samopoczucie dzieci i Dennisa. Uczyłam ich, że można zrobić ze swoim życiem, co tylko się chce. Jak takie przekonanie może komukolwiek odbierać możliwość działania? Przytłaczać?

– Każdy kij ma dwa końce. Jeżeli wmawia pani dzieciom, że mogą być, kim tylko zechcą, a potem pani synowi nie powiedzie się w sporcie albo córka nie dostanie roli w przedstawieniu, której pragnęła, mogą pomyśleć, że czuje się pani zawiedziona. Zaczęłam potrząsać głową jeszcze zanim skończyłam.

– Na pewno by tak nie pomyśleli. Nie pozwoliłabym na to. Dużo rozmawiamy ze sobą. Rozmawiamy o uczuciach. Ponieważ brakowało mi takich rozmów, gdy sama byłam dzieckiem. Moje dzieci mogły spodziewać się po mnie bezwarunkowego wsparcia. Nie chciałam, by któreś z nich cierpiało tak, jak teraz Rona.

– Pani syn nie mówi o tym zbyt wiele.

– Na razie, i głównie dlatego, że mnie tam nie ma. Zwykł rozmawiać ze mną, lecz ciężko jest zagłębić się w poważnej rozmowie na temat uczuć, gdy sąd pozwala tylko na dwie wizyty tygodniowo. Dennis przebywa z nim teraz częściej niż ja. Ma więcej okazji do rozmowy. Lecz rozmowy od serca to nigdy nie była jego specjalność.

– On mówi, że chłopiec jest spięty i nie chce się otworzyć.

– Chłopiec odczuwa gniew. – Sama go odczuwałam. W najgorszych koszmarach nie spodziewałabym się, że coś takiego może spotkać mojego syna. – Myśli, że go porzuciłam. To wina sądu.

Jenovitz odłożył fajkę na popielniczkę.

– Ostrzegam panią, pani Raphael. Takie nastawienie może być szkodliwe dla dziecka. W jednej chwili przejmie je od pani.

– Pod warunkiem, że je okażę. Nie powiedziałam przy nim ani jednego złego słowa na sąd czy mojego męża. Jestem bardzo ostrożna.

– Ale uważa pani orzeczenie sądu za niesprawiedliwe?

– A jaką byłabym matką, gdybym tak nie uważała? Moje miejsce jest przy dzieciach, a nie poza domem.

– Pani mąż twierdzi, że jest pani szczęśliwa w nowym domu.

– Szczęśliwa? Są chwile, kiedy się cieszę, że jestem właśnie tam. Ale szczęśliwa? Nie, po prostu staram się nie poddawać. Jak zwykle.

Skinął głową.

– To jeden ze sposobów sprawowania kontroli.

No dobrze, więc lubiłam mieć świadomość, że nad wszystkim panuję.

– Czy to takie straszne? Proszę mi wybaczyć, doktorze Jenovitz, ale czegoś tu nie rozumiem. Czy to nie mój rzekomy brak kontroli nad sytuacją wpędził mnie w to wszystko?

Usłyszałam dzwonek. Następny klient oznajmiał swoje przybycie, tak jak ja przed godziną. Miałam nadzieję, że będę miała więcej czasu – im dłużej będziemy rozmawiali, tym szybciej zostanie sporządzona opinia.

Ale Jenovitz już jedną ręką wystukiwał fajkę o popielniczkę, a drugą przerzucał kartki kalendarza.

– Kiedy ma pani czas?

- Jestem do dyspozycji.
- A zatem za tydzień o tej samej porze?
- Mogę przyjść jeszcze w tym tygodniu, jeśli to panu odpowiada.
- Nie, wystarczy, jeśli przyjdzie pani za tydzień. – Zanotował termin.

Poruszyłam się na krześle, ale nie wstałam.

- Jak pan sądzi, ile razy jeszcze będziemy musieli się spotkać?

– Trzy lub cztery, zależy jak nam pójdzie. – Wstał. – Następnym razem proszę przynieść mi listę nauczycieli dzieci, trenerów, lekarzy i innych dorosłych, którzy dobrze je znają. Nazwiska i numery telefonów.

- Spotka się pan z nimi?

– Zwykle wystarcza rozmowa telefoniczna. – Przesunął się w stronę drzwi. – Być może będę potrzebował pisemnej opinii ze szkoły. Zobaczymy.

- A kiedy porozmawia pan z Kikit i Johnnym?

- Gdy będę wiedział więcej o pani i pani mężu.

Otworzył drzwi i czekał obok nich. Podniosłam płaszcz i podeszłam do niego. Drzwi, przy których stał, nie były tymi samymi, przez które weszłam, lecz prowadziły bezpośrednio na klatkę schodową – najwidoczniej, by oszczędzić wychodzącemu klientowi zakłopotania na widok osoby wchodzącej po nim do gabinetu. Nikt nie mógł usłyszeć tego, co mówiłam. Mimo to zniżyłam głos.

- One jeszcze nic o panu nie wiedzą. Co mam im powiedzieć?

- Póki co, nic.

- Nie wiedzą, że odbywa się tutaj swego rodzaju współzawodnictwo.

- I dobrze.

– Nie chciałabym, aby czuły się zobowiązane do zajęcia strony któregoś z nas.

–I sądzi pani, że każę im wybierać pomiędzy rodzicami? Nie, pani Raphael, z pewnością tego nie zrobię. Proszę mi wierzyć, nie jestem kompletnie pozbawiony wrażliwości.

Naprawdę chciałam w to wierzyć, jednak kiedy wracałam do domu z Bostonu, na nowo ogarnęły mnie wątpliwości. Jeżeli Dean Jenovitz był człowiekiem wrażliwym, to nie dostrzegłam najmniejszych śladów tej wrażliwości. Ani też ciepła, zrozumienia czy troski. Musiał zdawać sobie sprawę, że jestem zdenerwowana, ale nie zrobił nic, co mogłoby pomóc mi się odprężyć. I nawet nie usiłował ukryć swojej opinii o mnie.

– Nie załamuj się – powiedziała Carmen, gdy zadzwoniłam do niej z samochodu. – Jeżeli usłyszał o tobie same złe rzeczy od Dennisa, to nawet lepiej. Wszyscy inni powiedzą mu coś wręcz przeciwnego. Znają cię o wiele lepiej niż jego, i lubią. Najgorsze za nami.

– Nie wydawał się specjalnie przejęty tym, co mi zrobiono. I nie wydaje mi się, by zbytnio obchodziła go sprawiedliwość.

– On ma się skupić na dzieciach.

– Ale czy mogę mu zaufać?

– Tak. O wiele lepiej radzi sobie z dziećmi niż z dorosłymi. Wychodzi z niego dziadziuś. Dobrze, że zapytałaś, jak masz powiedzieć im o nim. On się nad tym zastanowi i dobrze ci poradzi, a poza tym zyskałaś punkty za to, że zapytałaś.

Nie zrobiłam tego, by zyskać jakieś punkty, a poza tym czułam się dosłownie chora – być może częściowo z powodu fajki Jenovitza.

– Nie jestem w stanie opisać, jakie to dla mnie wstrętne, Carmen. Te gierki, to planowanie, strategia, przemyślane ruchy – tylko że stawką jest moje życie.

– Wiem, i przepraszam, jeżeli odniosłaś wrażenie, że traktuję to jako rozgrywkę. – Umilkła na chwilę. – Więc Jenovitz nie podjął tematu, kiedy wspomniałaś o Dennisie i Phoebe?

– Nie, a nawet odwrócił kota ogonem i powiedział, że oskarżam Dennisa, żeby usprawiedliwić mój romans z Brodym. Potrzebuję dowodu. Tylko jak go zdobyć?

– Zdobędziemy go. Trzeba wynająć Morgana Housera. To prywatny detektyw, i do tego dobry. Dowie się, jeżeli mają romans. To nic trudnego. Trudniej będzie udowodnić, że romansowali ze sobą już przed waszym rozstaniem, a taki dowód pomógłby nam najbardziej.

Na pewno pomógłby naszej sprawie. Ale czy także mojej psychice? Wszystko we mnie kurczyło się na myśl o Dennisie w łóżku z inną kobietą. Teraz czy wcześniej, to nie miało znaczenia.

Moje milczenie musiało się wydać Carmen znaczące, gdyż powiedziała spokojnie:

– Jeżeli jest co udowadniać, potrzebujemy tego dowodu. Selwey zgodził się rozpatrzyć odwołanie, lecz jego urzędniczka twierdzi, że niezbyt go to uszczęśliwiło. Żaden sędzia nie lubi, kiedy oskarża się go o stronnictwo. Domyślałam się, że przesłuchanie będzie tylko formalnością.

Miało być przesłuchanie. Poczułam się lepiej.

– Kiedy?

– W czwartek o dziesiątej rano.

– Będę tam.

– Umówiłam się później z Artem Heuberem, musimy wiedzieć, czego zażąda Dennis. Przydałoby nam się wszystko, co mogłoby wzmocnić naszą pozycję. Na przykład dowód niewierności Dennisa.

Takie postępowanie pachniało szantażem. To prawda, Dennis posłużył się nim w stosunku do mnie, lecz ja nie chciałam zniżać się do jego poziomu. Tymczasem znów byłam zmuszana, by postępować w sposób, który wcale mi się nie podobał.

Co za ironia. Byłam nastawiona tak pokojowo, że największym przejawem gniewu, na jaki potrafiłam się do tej pory zdobyć, było zaciśnięcie dłoni w pięści. Tymczasem teraz czułam prawdziwą wściekłość. Gdzieś ulotniło się także całe moje opanowanie i optymizm. Oskarżano mnie o to, że byłam kimś zupełnie innym, niż byłam, i to sprawiło, że rzeczywiście stawałam się kimś innym.

No tak. Prawo do opieki. Mogłam sprzeciwiać się wykorzystaniu szantażu, by płacić mniejsze alimenty, lecz tam, gdzie chodzi o dzieci, nie zawaham się ani przez chwilę.

– Dzwon do Morgana – powiedziałam. – Zobaczymy, co uda mu się odkryć.

Zrobiłabym wszystko, byle odzyskać dzieci. I zrobię.

Jeżeli w ogóle istnieją prorocze myśli, to ta musiała być jedną z nich. Zdążyłam się wykąpać i porozmawiać z Roną i mamą, które nadal nie potrafiły porozumieć się ze sobą, kiedy telefon ponownie zadzwonił. To był Dennis. Okazało się, że Johnny zachorował, on nie chce niepokoić o tak późnej porze swojej matki, a nie wie, co robić.

Ja wiedziałam. Wskoczyłam w dres i pobiegłam do samochodu.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mój klucz nadal pasował. Weszłam, rzuciłam płaszcz na zgromadzoną na schodach stertę podręczników, kapci i prania i pognałam na górę. Dennis właśnie wychodził z pokoju Johnny'ego.

– Zwymiotował po obiedzie. Wygląda na to, że nie może niczego utrzymać w żołądku.

Johnny leżał na gołym materacu, przykryty kołdrą. Reszta pościeli została zrzucona na podłogę.

– Cześć, kochanie – powiedziałam. Poczułam uścisk w gardle. Był moim pierworodnym, najspokojniejszym niemowlęciem, jakie tylko można sobie wymarzyć, i przez dwa lata jedynym moim dzieckiem. Tworzyliśmy wówczas prawdziwe towarzystwo wzajemnej adoracji, dwie istoty, żyjące ze sobą w szczególnej symbiozie. Czas i różne życiowe okoliczności złagodziły ową zależność – żądania Dennisa, narodziny Kikit, a także potrzeba Johnny'ego, by stać się bardziej niezależnym – lecz teraz znowu poczułam przyływ dawnych uczuć.

Modląc się, by nie odwrócił się ode mnie, tak jak to zrobił, kiedy ostatni raz byłam w domu, pogłaskałam go po twarzy. Policzki miał rozpalone.

– Nie czujesz się zbyt dobrze?

Potrząsnął głową i mocniej skulił się pod kołdrą.

– Nie zdążyłem na czas do łazienki.

– Nic nie szkodzi, kochanie. – Zanurkowałam pod kołdrę i wyłowiłam jego dłoń. Spostrzegłam, że ma na sobie tylko szorty. Domyśliłam się, że piżama także wylądowała w stercie na podłodze. – Czy coś cię boli?

– Nie wiedziałem, co się stanie – rozplakał się. – Po prostu się obudziłem, poczułem, że jest mi niedobrze i już było po wszystkim. Próbowałem się powstrzymać, ale nie dałem rady.

Pogłaskałam go po wilgotnych od potu włosach.

– Ciii, ja się nie gniewam.

– Ale musiałaś tu specjalnie przyjechać. – Teraz w jego głosie nie było już nic z przyszłego mężczyzny. Pozostał tylko mały, przestraszony i chory chłopiec.

Ja także czułam się chora na samą myśl, iż mój syn mógł sobie pomyśleć, że opieka nad nim może być dla mnie ciężarem. Wiedziałam, jak to jest tak się czuć. Przez całe dzieciństwo moja matka wracała z pracy pragnąc wyłącznie ciszy i spokoju. Pamiętałam, że nieraz chciałam ją o coś zapytać, coś jej pokazać, ale nie śmiałam. Lęk przed odrzuceniem wręcz mnie paraliżował. Przysięgłam sobie, że moje dzieci nigdy tego nie doświadczą, że zrobię wszystko, aby wyrosły w przekonaniu, że są dla mnie najważniejsze. I tak było. Nadal jest. I zawsze będzie.

Uścisnęłam mocniej dłoń Johnny'ego i przycisnęłam kciuk do jego warg.

– Ja nie musiałam tu przyjeżdżać. Przyjechałam, bo chciałam być przy tobie, Johnny. Chciałam. Wyruszyłam natychmiast po telefonie tatusia. – Zabrałam kciuk, aby mógł mówić. – Powiedz mi, co cię boli.

– Wszystko.

– Ale nic szczególnie, po prostu jesteś obolały?

–Mmm...

– Czy w szkole panuje grypa?

– Mmm...

– Dalej ci niedobrze?

–Mmm...

Dennis stał w drzwiach. Włosy miał w nieładzie, koszula wystawała mu ze spodni, co mogłoby sugerować niepokój wywołany chorobą dziecka. Przeczyły temu jednak dłonie oparte na biodrach i wyraz irytacji na twarzy. Nie byłam pewna, co irytuje go bardziej, grypa Johnny'ego czy to, że musiał do mnie zadzwonić, ale nie miałam zamiaru zastanawiać się nad tym teraz.

– Dawalesz mu coś – aspirynę, wodę? – spytałam.

– Nie. Przygotowałem aspirynę, ale nie był w stanie jej przełknąć.

– Czy coś zostało mu w żołądku?

– Niemożliwe. Nie po tym, co wymiotował.

– Ja nie chciałem – zaprotestował Johnny.

Pomasowałam mu kark.

– Tatusz o tym wie. On się nie gniewa, po prostu martwi się, że jesteś chory. To dla niego coś nowego. Musimy być wyrozumiali. Wiesz, co by ci pomogło? Ciepła kąpiel. A kiedy będziesz siedział w wannie, zmienię pościel. Co ty na to?

– Dobrze.

Kiedy Dennis przygotowywał kąpiel, siedziałam z Johnnym, ocierając mu twarz wilgotnym ręcznikiem i nucąc uspokajającą piosenkę. Gdy wszystko było gotowe, pomogłam mu dojść do łazienki i zostawiłam przy nim Dennisa.

Najpierw, ponieważ nie mogłam wytrzymać już ani chwili dłużej, zajrzałam do Kikit. Widok jej śpiącej ze swoim zwierzątkami w mroku rozświetlonym tylko małą lampką sprawił, że serce ścisnęło mi się w piersi. Ten obrazek z pewnością stanowił prawdziwą perłę na sznurku mojego życia, a teraz próbowano mi go odebrać. Z najwyższym trudem powstrzymałam się, by do niej nie podejść, ale nie chciałam jej budzić. Tępy ją tylko zdenerwowało.

A raczej, zdenerwowałyby mnie. Czułam się dziwnie, krążąc tak po domu, jakbym nigdy stąd nie odeszła. Wszystko tu wyglądało tak samo: świeża

pościel ułożona przeze mnie porządnie w bieliźniarce, proszek do prania obok pralki w piwnicy. W pralce znajdowały się rzeczy, które nie ja tam włożyłam, obok suszarki leżał stos bielizny do poskładania, a butla z płynem do prania pokryta była niebieskimi plamami. Zaś w kuchni lodówka zapełniona była jedzeniem, którego nie kupiłam, głównie kartonami z mlekiem i sokiem pomarańczowym, bochenkami chleba, kawałkami sera. Było tego więcej, niż dzieci zdołałyby zjeść w ciągu miesiąca. Na tablicy nadal wisiały pozostawione przeze mnie wiadomości, po obu stronach koszyka na jabłka stały grube żurawinowe świece, a na automatycznej sekretarce błyskało światełko, oznaczające nie przesłuchaną wiadomość.

Dennis nigdy nie kasował wiadomości, zostawiał to mnie. Nacisnęłam przycisk odtwarzania.

– Cześć – dobiegł mnie kobiecy głos. – Selwey wyznaczył im przesłuchanie, ale to tylko na pokaz. Nigdy nie zmieni swojej decyzji. Jednak musimy się stawić. To będzie w czwartek o dziesiątej. Przyjdź do mnie do biura rano, zjemy razem śniadanie. A co do spotkania w sprawie rozwodu, po południu, to zrewidowałam nasze żądania. Nie ma powodu, żebyśmy nie zażądali więcej, skoro mamy ich w garści. Dam listę Artowi. On będzie pertraktował. Coś jeszcze? Chyba nie. No to cześć.

Nacisnęłam przycisk kasowania, a potem wyładowałam furię na kostkach lodu w misce. Wróciłam do sypialni Johna i zamknęłam okno. Zanim Johnny wyszedł z kąpieli, ubrany w czystą piżamę, którą podałam Dennisowi, zdążyłam już prześcielić łóżko. Pomogłam synowi wdrapać się na nie i podałam mu kostki lodu do ssania. Nadal wydawał się bardzo blady, lecz nie był już taki rozpalony. Przez jakiś czas masowałam mu kark, podśpiewując cicho „Let It Be”, które uwielbiał. Zaczął drzemać, ale widziałam, że stara się walczyć ze snem.

– Możesz spać – powiedziałam.

– A co, jeśli znowu źle się poczuję?

– A zanosz się na to?

– Teraz nie, ale jeżeli...

– Przyniosłam wiadro, zobacz. W razie czego, pomogę ci.

– Zostaniesz? – zapytał wprost i wtedy zrozumiałam, że walczy ze snem, ponieważ boi się, że może się obudzić, a mnie przy nim nie będzie.

– Przez jakiś czas. Lubię czuwać przy tobie. – Wydawał się dostatecznie usatysfakcjonowany, aby pozwolić sobie na sen. I dopiero kiedy zasnął głęboko, wymknęłam się z pokoju.

Przekładałam właśnie pościel z pralki do suszarki, kiedy na progu pojawił się Dennis. – Niezły bałagan – stwierdził.

Moim pierwszym odruchem była chęć okazania mu współczucia – biedny Dennis, że też musiało na niego paść – lecz szybko poczułam gniew.

– Nie zrobił tego specjalnie.

– Wiem, ale nie mogłam poprosić mojej matki, by przyszła. Ma siedemdziesiąt pięć lat.

Odetchnęłam głęboko, sięgając po następne prześcieradło.

– Mogłeś zrobić to sam. Nie trzeba mieć tytułu naukowego, żeby posprzątać po chorym dziecku. – Wepchnęłam prześcieradło do suszarki.

– No cóż, nie musiałem.

Nie umiałam znaleźć na to odpowiedzi, która nie byłaby złośliwa. A jeszcze nie tak dawno ta złośliwość wcale by się nie pojawiła. Pomogłabym Dennisowi odruchowo, przekonana, że skoro potrafię zrobić coś lepiej, to właśnie ja powinnam to zrobić. To ja byłam matką i wszystkie nieprzyjemne prace dotąd należały do mnie.

Dotąd, lecz teraz już nie. Czemu więc zajmowałam się praniem? Z rozmysłem usiadłam na stosie prześcieradeł.

– Co byś zrobił, gdyby nie było mnie w domu?

– Zadzwoiłbym do Brody'ego.

Nie dałam mu satysfakcji i nie zaprzeczyłam jego nie wyrażonemu oskarżeniu.

– A gdyby i tam mnie nie było?

– Zrobiłbym to sam. Nie jestem bezradny. Być może trudno ci w to uwierzyć, lecz dobrze radzimy sobie bez ciebie.

Spojrzałam wymownie na stertę wypranej bielizny, którą właśnie poskładałam.

– Nikt cię nie prosił, byś to robiła – powiedział. – Ani to, ani nic innego. Lecz narobiłaś tyle hałasu, gdy Kikit miała atak, a nikt cię nie zawiadomił, że pomyślałem, iż będę dobrym chłopcem i powiem ci o Johnnym.

Szczęka mi opadła.

– Postanowiłeś być dobrym chłopcem? Daj spokój, Dennis. Nie wiedziałeś, co robić! Wpadłeś w panikę!

– Ciężko by ci było to udowodnić. Co więcej, jeśli będziesz próbowała, ludzie pomyślą, że trudno ci było przyjechać do chorego dziecka. A to by źle świadczyło o tobie jako o matce. Nie możesz wygrać.

– Wygram – powiedziałam, czując nagły przyływ zmęczenia. Oparłam się o pralkę, zacisnęłam palce na jej brzegu i spojrzałam na Dennisa. Był tym samym mężczyzną, którego poślubiłam – tak samo wyglądał, był tak samo elokwentny i czuły na punkcie swego ja – a jednak wydawał mi się kimś zupełnie innym. I obcym. Ostatnio coraz częściej nawiedzało mnie to uczucie. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy tak bardzo oddaliliśmy się od siebie. Nie wiedziałam.

- Kiedy to straciliśmy, Dennis?
- Straciliśmy co?
- To coś, co nas łączyło, cokolwiek to było.
- Nasze małżeństwo od początku nie funkcjonowało jak należy.
- Ależ funkcjonowało. Przynajmniej na początku.
- Jako nowość. Byliśmy młodzi.
- Ja miałam dwadzieścia pięć lat, a ty dwadzieścia osiem – sprzeciwiłam się. – Nie byliśmy aż tak młodzi, a poza tym umawialiśmy się z sobą już od trzech lat. Byłeś szczęśliwy. Chyba że udawałeś tak dobrze, iż nigdy się nie zorientowałam – teraz, kiedy się nad tym zastanawiałam, uznałam to za całkiem możliwe. – A skoro nie byłeś, to dlaczego zdecydowałeś się na małżeństwo? I czy te wszystkie romantyczne gesty były tylko szytymi grubymi nićmi kłamstwami?
- Nie.
- Więc co takiego widziałeś we mnie wówczas, czego nie widzisz teraz?
- Nadal byłam atrakcyjna. Sądząc po reakcji Brody'ego, mogłam się podobać.
- Pokorę – powiedział Dennis. – Byłaś wtedy przystępna.
- Teraz też jestem.
- Teraz jesteś zarozumiała. Zadzierasz nosa. Wtedy taka nie byłaś. Zarzuca mi arogancję? Nie jestem arogancka.
- Jestem teraz bardziej pewna siebie, ale to coś zupełnie innego niż zadzieranie nosa. I co jeszcze wtedy we mnie widziałeś?
- Zawsze miałaś dla mnie czas. Chętnie robiłaś to, co musiało być zrobione. Wszystko się zmieniło, gdy urodziły się dzieci, a potem otworzyłaś firmę. Inni ludzie stali się dla ciebie ważniejsi niż ja. I to wobec nich czułaś się lojalna, nie wobec mnie.

– Moja lojalność się nie zmieniła, jedynie uległa rozszerzeniu. Teraz muszę być lojalna także wobec innych.

– Zmieniłaś się.

Dość miałam niesłusznych oskarżeń.

– To ty mnie zdradziłeś, Dennis. Poszedłeś do adwokata, a potem do sędziego i naopowiadałeś im kłamstw. Dobry Boże, ja to dopiero mogłabym im opowiedzieć... Jeżeli chodzi o charakter człowieka, to zadawanie się z żoną szefa o czymś świadczy, prawda? Ale ja cenię sobie lojalność i nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

– Brody wie.

– Bo sam mu powiedziałeś. Ale możesz być pewien, że on też nikomu nie powie.

– Dwa groszki w jednym strączku – powiedział Dennis na tyle lekceważąco, by wyprowadzić mnie z równowagi.

– Masz cholerną rację. Nawet nigdy o tym nie rozmawialiśmy. I jeśli było w tym coś więcej, niż mi powiedziałeś, to on nie zająknął się na ten temat ani słowem. Może sam nie chciał wiedzieć. I może ja także nie chciałam. Więc kto tu jest lojalny? Zastanów się, Dennis. – Zdegustowana, zatrzasnęłam drzwiczki suszarki i nacisnęłam przycisk „Start”.

– Powiedziałaś swojej adwokatce?

– O Adrienne? Nie. Wolałam myśleć, że się zmieniłeś, a w takim razie nie miałyby to znaczenia. – Przerwałam. – Chyba, że jest w tym coś więcej. A jest?

– Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz, po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy.



Przez chwilę gapiłam się na niego z niedowierzaniem. A potem parsknęłam z irytacją i skierowałam się w stronę schodów. Nagle, w przyływie śmiałości, odwróciłam się i zapytałam:

– Chodzi o Phoebe?

Gapił się na mnie, stojąc w otwartych drzwiach.

– Co z Phoebe?

– Czy to z jej powodu... ?

– O czym ty mówisz?

– Jest młoda i atrakcyjna.

– Piękna. Jest piękna.

I on mi zarzuca arogancję. W jego głosie było jej całe tony. Celowo usiłował zadać mi ból. Ale ponieważ już i tak cierpiałam, co znaczyło te trochę więcej bólu?

– Jesteś w niej zakochany?

– Jest moim obrońcą.

– Ktokolwiek wejdzie do tego domu, od razu będzie mógł się o tym przekonać. Zrobisz coś dla mnie? Proszę, kasuj wiadomości na sekretarce, gdy ich wysłuchasz. I powiedz jej, żeby zważała na to, co mówi. Dzieci tego słuchają.

– Jej wiadomości są nieszkodliwe.

– Są wiele mówiące. Wygląda na to, że to ona reżyseruje przedstawienie. Mówi ci, co masz robić i jak?

– Na litość Boską, przestań. Nikt mi nie musi mówić, co mam robić. Prowadziłem firmę przez całe lata.

I pewnie dlatego jest w takim stanie, chciałam powiedzieć, ale zmilczałam. Nagle poczułam, że dość mam tej kłótni, dość inwektyw. Odwróciłam się więc i zaczęłam wchodzić po schodach.

– A co z resztą tego bałaganu? – zawołał.

– Ponieważ tak dobrze radzisz sobie ze wszystkim sam – odparłam – nie będę ci w tym przeszkadzać.

– Dokąd idziesz?

– Sprawdzić, jak czuje się mój syn.

– Z nim już wszystko w porządku. Możesz wracać do siebie.

Nie miałam zamiaru wychodzić, dopóki nie upewnię się, że z Johnnym naprawdę było wszystko dobrze. Niech sobie Dennis wzywa gliny. Niech Jack Mulroy poczuje zapach choroby w pokoju Johnny'ego, a potem spróbuje mnie wyrzucić. I niech Phoebe Lowe czy Art Heuber, czy kto tam u diabła jest jego prawdziwym obrońcą, wytłumaczy sędziemu, po co Dennis mnie wezwał.

Przekora powiodła mnie do pokoju Johnny'ego, ale gdy tylko się tam znalazłam, zastąpiło ją znacznie cieplejsze uczucie. Policzki miał nadal rozpalone, lecz nie poruszył się odkąd wyszłam i równo oddychał. O ile mogłam zaufać doświadczeniu, prześpi spokojnie całą noc.

Posiedziałam przy nim przez chwilę, głównie dlatego, że nie byłam jeszcze gotowa, by odejść. A potem zorientowałam się, że śpi już tak mocno, iż musiało to oznaczać, że rano wszystko będzie dobrze, i przymus rozstania zniszczył przyjemność, związaną z pozostawaniem w jego pobliżu.

Napisałam więc parę słów i wsunęłam mu pod poduszkę. A potem poszłam poszukać Dennisa. Była już prawie druga nad ranem. Ponieważ niczego nie usłyszałam, widocznie poszedł spać. Zwykle tak robił, gdy sprawy nie szły po jego myśli.

A ja do tego dopuszczałam, co więcej, zachęcałam go. Byłam tak samo winna jak on.

Dziwna rzecz, to kobiece poczucie winy. Obwiniamy siebie, gdy rzeczy idą źle, i to o wiele bardziej, niż skłonne jesteśmy się chwalić, gdy idą dobrze.

A kiedy to robimy, ktoś nazywa nas aroganckimi, co sprawia, że tym chętniej się obwiniamy, a tym rzadziej doceniamy. A taka postawa bardzo odpowiada mężczyznom. To nie w porządku.

Zdecydowana obudzić Dennisa, by to naprawić, skierowałam się w stronę sypialni. W połowie drogi zatrzymałam się jednak. Drzwi stały otworem. Stałam, gapiąc się na nie, niezdolna się poruszyć.

Wojowniczość była w porządku. I solidarność kobiet. Lecz tu miałam do czynienia z zupełnie szczególnym uczuciem. Nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić do sypialni ani oglądać Dennisa w naszym łóżku. Nie chciałam pamiętać, jak leżeliśmy w nim razem, bawiąc się z dziećmi, śmiejąc czy wspólnie śpiewając.

Nie chciałam też myśleć o tym, że wkrótce będzie w nim spała inna kobieta.

Na szczęście oszczędzono mi tego. Dennis co prawda spał, lecz nie w sypialni, a w swoim gabinecie, na sofie. Zawołałam go od drzwi – najpierw dość cicho, a potem zdecydowanie głośniejszym głosem. Gdy podniósł głowę, powiedziałam mu, że wychodzę, i wysunęłam się z domu w chłodną listopadową noc.

Dziwne. Powinnam być bardziej zdenerwowana. Oczywiście, nie sprawiało mi przyjemności to, że musiałam zostawić dzieci, zwłaszcza że Johnny nie czuł się dobrze. Lecz samo opuszczenie domu nie przywołało smutnych myśli. W domu był Dennis i całe napięcie, nieodłącznie wiążące się z jego obecnością. Poczułam, jak ono ze mnie opada, gdy tylko uruchomiłam samochód.

Czy zawsze tak było? Możliwe. Czy byłam tego świadoma? Nie.

W mojej latarni czułam się swobodnie. Nikt tam niczego ode mnie nie żądał – ani Dennis, ani dzieci, ani moja matka czy Rona. To było pierwsze

miejsce, w którym wszystko zależało tylko ode mnie, gdzie mogłam robić, co chciałam, jak chciałam i kiedy.

A chciałam porozmawiać z Brodym. W Seattle była już północ, a on smacznie spał. Lecz jego zaspane „halo” sprawiło, że od razu zrobiło mi się cieplej na sercu, a kiedy zorientowałam się, jak bardzo ucieszył go mój telefon, poczułam, że dobrze zrobiłam, dzwoniąc. Rozmawialiśmy już wcześniej tego wieczoru, on opowiedział mi o spotkaniu z naszym koncesjobiorcą w Seattle, a ja o spotkaniu z Jenovitzem. Teraz opowiedziałam mu o Johnnym, ale nie o mojej sprzeczce z Dennisem. Nie chciałam, by Dennis choćby w ten sposób zepsuł mi przyjemność rozmowy z Brodym.

Rozłączyłam się wyobrażając go sobie leżącego na brzuchu, w samych tylko spodenkach, pod prześcieradłem, które zaledwie przykrywało mu biodra. Zasnęłam zastanawiając się, czy rzeczywiście kiedyś go tak widziałam, czy wszystko to było tylko grą wyobraźni.

Telefon obudził mnie w niecałe cztery godziny później.

– Byłaś tu, mamusiu, i nawet mi nie powiedziałaś! Dlaczego mnie nie obudziłaś?

Oparłam się na poduszkach i podciągnęłam koc.

– Kikit, kochanie, spałaś jak zabita.

– Ale ja chciałam cię zobaczyć. Pokazałabym ci gazetkę, którą zrobiłam. Spędziliśmy nad nią z tatusiem mnóstwo czasu przed obiadem. Johnny mówi, że tatuś powiedział, że może nie iść do szkoły. To prawda?

– Prawda. Fatalnie się czuł w nocy. A jak się ma teraz?

– Przypiął się do pilota od telewizora. Czy nie powinien mi go dać na trochę, przecież zaraz będę musiała wyjść. To niesprawiedliwe, on dostaje wszystko, co najlepsze – mówiła płaczliwym głosem. – Chciałam się z tobą zobaczyć, mamusiu.

– A nie widziałaś mnie? – spytałam przymilnie. Szybko uczyłam się improwizować. – Stałam na progu twojego pokoju i długo rozmawiałam z tobą w myślach. Jestem pewna, że musiałaś to słyszeć. Być może nawet mnie widziałaś, ale potem, kiedy tak mocno zasnęłaś, mogłaś o tym zapomnieć. Spróbuj sobie przypomnieć. Słyszałaś jak rozmawiałam z tobą w myślach w nocy?

Krótką cisza, a potem równie przymilne:

– Mówiłaś może o tym, że zabierzesz mnie na narty? Chyba coś takiego słyszałam. Powiedziałaś, że mogę pojechać z tobą i tatusiem wyciągiem. Nie chcę chodzić znów do szkółki narciarskiej.

– Niezupełnie o tym mówiłam – złączałam ją delikatnie, tak, by nie przyszło jej na myśl, że w tym roku w ogóle może nie być wyjazdu na narty, a już na pewno nie pojedziemy tam ja i Dennis równocześnie. – Mówiłam o tym – ciągnęłam, zastanawiając się gorączkowo, co też mogłoby sprawić jej przyjemność – że chociaż leżałaś tam jak aniołek, to jednak czegoś ci brakowało.

– Aureoli?

– Lakieru do paznokci. – Gdybym obiecała jej nową kurtkę, lalkę czy walkmana, Dennis mógłby oskarżyć mnie, że próbuję kupić jej miłość, podczas gdy ja po prostu chciałam sprawić jej trochę radości.

– Anioły nie malują paznokci – powiedziała czujnie moja córka.

– Te piękne malują. Chciałabyś, żebym pomalowała ci je jutro?

Westchnęła z zadowoleniem.

– Naprawdę? Zrobisz to? – Nieczęsto malowałam jej paznokcie, tylko od czasu do czasu, z jakiejś szczególnej okazji. – Chcę Miękki Melon.

Kolor nazywał się co prawda Dojrzały Melon, ale wiedziałam, o który chodzi.

– Mogę postarać się o niego, ale tylko jeśli odpuścisz trochę Johnny'emu. Jest chory.

– Może sobie zatrzymać pilota. I tak muszę iść do szkoły. Zadzwoń do ciebie później, mamusiu. Pa.

W ciągu dnia dzwoniłam kilka razy do Johnny'ego, aby przekonać się, jak się czuje. Podczas jednej z takich rozmów zorientowałam się, że jest sam i chociaż jemu to nie przeszkadzało, przeszkadzało mnie. Powiedział, że Dennis pojechał po zakupy. Jeżeli naprawdę odczuwa potrzebę, aby oderwać się nieco od domu, pomyślałam – a która matka nie zrozumie, jak nużące może być uwiązanie przy chorym dziecku – to mógł poprosić kogoś, by został z Johnnym. A poza tym, Dennis nie był uwiązany zbyt długo. Minęło zaledwie piętnaście godzin.

Postanowiłam podać Jenovitzowi nazwiska sześciu osób, które mogły wypowiedzieć się na temat dzieci –po jednym nauczycielu, pielęgniarki, która zajmowała się nimi u pediatry, trenera Johnny'ego, lekarza zajmującego się alergią Kikit i naszego pastora. Ponieważ stykałam się z tymi ludźmi o wiele częściej niż Dennis, znali mnie lepiej niż jego. Byłam też pewna, że mnie lubią, doszłam jednak do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli przypomnę im o tym.

Większą część wtorku spędziłam zatem przy telefonie, rozmawiając z osobami z listy, wyjaśniając im sytuację i prosząc, by wyrazili zgodę na podanie swoich nazwisk Jenovitzowi. Oczywiście wszyscy wyrazili zgodę, a moja prośba okazała się wyłącznie formalnością. Rozmowy te dały mi jednak okazję, by podziękować im z góry, dać wyraz moim obawom i poprosić o pomoc. A także podyskutować o innych sprawach. Ludzie uwielbiają mówić o sobie, a ja jestem dobrą słuchaczką.

A gdybym tak postarała się dać im do zrozumienia, że zawdzięczają mi co nieco?

Nigdy wcześniej nie zdobyłabym się na coś takiego, a wyświadczając przysługi nie oczekiwałam rewanzu. Teraz jednak musiałam wykorzystać wszystkie środki, aby wydostać się z tego prawnego trzęsawiska. I chociaż ciężko mi było prosić o pomoc, poczułam ulgę, że wreszcie sama mogę coś zrobić.

Po południu zadzwoniła Kikit z wiadomością, że boli ją brzuch. Przestraszyłam się, ale tym razem nie wyglądało to na uczulenie. Nie miała kłopotów z oddychaniem, nie puchła. Pomyślałam, że pewnie złapała grypę od Johnny'ego – dopóki nie sypnęła się, przerywając opowieść o tym, jak bardzo jest jej niedobrze, narzekaniem, że Johnny dodał do swojej galaretki o wiele więcej bitej śmietany niż do jej.

Powiedziałam, że chciałabym porozmawiać z Dennisem.

– Rozmawia przez telefon w gabinecie. Przyjedziesz, mamusiu?

Jak mogłabym tego nie zrobić? Kikit nie wydawała się chora, ale musiałam się upewnić. A także zobaczyć na własne oczy, że Johnny czuje się lepiej.

Dziesięć minut później byłam już upewniona co do obu tych spraw. Johnny wyglądał jeszcze nieco mizernie, lecz skórę miał chłodną i zaczął znów jeść. Co do Kikit, to była tak ożywiona i niecierpliwa, by jak najszybciej opowiedzieć mi historię, którą nauczycielka czytała im w szkole, że zupełnie zapomniała udawać chorą.

Gdy przyjechałam, Dennis nadal rozmawiał. Nie zorientował się nawet, że ktoś jest w domu, dopóki nie wszedł do kuchni piętnaście minut później. A co, gdybym była kimś obcym o złych zamiarach, pomyślałam.

Przynajmniej zachował się taktownie. Pozwolił dzieciom pożegnać się ze mną i odesłał je na górę do odrabiania lekcji, zanim zapytał, dlaczego przyjechałam. Najwidoczniej sądził, że był to mój pomysł.

– Kikit dzwoniła – powiedziałam wprost, wkładając płaszcz. – Musiała sobie wykombinować, że skoro choroba sprawiła, że przyjechałam do Johnny'ego, w jej przypadku będzie tak samo.

– I o co jej chodziło?

– O mnie – odparłam od drzwi.

– Przecież ma się z tobą zobaczyć jutro.

Westchnęłam i odwróciłam się do niego.

– Nie możesz tego pojąć, prawda? Dzieci są przyzwyczajone być ze mną, widywać mnie codziennie, nie tylko dwa razy w tygodniu. Udało ci się przekonać sędziego, że jestem zbyt roztrzepana, by z nimi być, ale trudno ci będzie przekonać o tym dzieci. Jestem ich matką i żaden zakaz sądowy tego nie zmieni. Tęsknią za mną. Brakuje im mnie.

– Nie próbuj mi wmawiać, że Johnny rozchorował się specjalnie, żeby cię tutaj ściągnąć.

– Oczywiście, że nie. Oboje wiemy, że naprawdę był chory. Co nie znaczy, że nie poczuł ulgi, gdy przyjechałam i gdy się przekonał, że zjawię się w przyszłości, kiedy tylko będzie mnie potrzebował. – Westchnęłam, unosząc rękę w geście poddania. – Nie kłóćmy się. Po prostu musimy być świadomi, jak mogą zachować się dzieci w takiej sytuacji.

– Przywykną, że mieszkasz gdzie indziej.

– Nie o to chodzi. Po prostu są jeszcze zbyt małe, żeby do końca zdawać sobie sprawę z tego, co czują i robią.

– Panuję nad wszystkim.

– Nie mówię, że nie. A tak, na marginesie, z kim rozmawiałeś?

– Z nikim, kogo byś znała.



Z nikim, kogo bym znała. Przez chwilę nie mogłam się odezwać. A potem, ponieważ orzeczenie sądu rozluźniło więzy pomiędzy nami i nie musiałam już zważać na to, co mówię, stwierdziłam:

– Słyszałam to chyba z milion razy. „Nikt, kogo byś znała”. Wykluczyłeś mnie ze swojego życia, Dennis, i to już lata temu. A teraz zarzucasz mi, że jestem nieprzystępna. Wiedziałeś o moich sprawach zawodowych o wiele więcej, niż ja wiedziałam o twoich.

Zrobił znudzoną minę. W tym także nie było nic nowego. To taka dziecinna zagrywka, gdy wiedział, że mam rację.

A potem, jakby ten znudzony wygląd nie wystarczał, dodał:

– Nie wygrasz tego odwołania. Sędziowie nigdy ich nie uwzględniają. Mój adwokat spotka się z twoim w czwartek. Zażądamy trzech czwartych wartości Wiklinowego Kącika.

– A my trzech czwartych DGR. – DGR – inicjały Dennisa. Nazywał tak w skrócie swoją firmę: Grupa DGR. I chociaż sam prowadził firmę, owo „Grupa” wyglądało o wiele poważniej. Szykowna nazwa, właściwa dla dobrze prosperującej firmy. Tylko że jego firma nie prosperowała dobrze. Właściwie, nie prosperowała w ogóle.

– Jeżeli sądzisz – ostrzegł – że jedno zrównoważy drugie, to grubo się mylisz. To będzie walka na śmierć i życie, Claire.

Jeżeli pragnął pieniędzy, może je mieć. Wyjaśniłam to Carmen od razu na początku. Co do mnie, „na śmierć i życie” oznaczało zupełnie coś innego.

Zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek spotkamy się sam na sam i czy to, że się rozstajemy, ma jeszcze dla mnie jakieś znaczenie, powiedziałam spokojnie:

– Jeżeli pragniesz krwi, to proszę bardzo. – Po czym odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Dennis miał rację co do odwołania. Selwey urządził pokazowe przedstawienie, wysłuchując argumentów Carmen, uzasadniających, że powinien wycofać się ze sprawy, po czym odrzucił odwołanie.

Uprzedzony nie zawsze znaczy uzbrojony. Byłam bardzo rozczarowana.

– To jeszcze jeden powód, dla którego powinien się wycofać – krzyczałam, sfrustrowana. – Upiera się przy formalnościach. Jego decyzja nie ma nic wspólnego z twoimi argumentami.

– Na tym etapie rzadko się zdarza, żeby miała, ale to część procedury – zauważyła Carmen, przepychając się ze mną przez tłum prawników, zgromadzony na stopniach sądu. – Teraz napiszemy odwołanie, skierowane do Sadu Apelacyjnego, przedstawiające nasze żądanie odsunięcia od sprawy sędziego Selweya i uzasadniające je. Urzędnik w sądzie sprawdzi, czy wniosek został napisany prawidłowo, na czas, i czy dotyczy wyłącznie wydarzeń, które miały miejsce podczas przesłuchań, którym przewodniczył Selwey. Potem napisze streszczenie dla sędziego, który je przeczyta i który być może zainteresuje się sprawą na tyle, że zapozna się z oryginalnym wnioskiem i wyznaczy nam termin przesłuchania.

– Na kiedy? – spytałam.

– Przygotuję wniosek na poniedziałek i wyślę kopię Heuberowi. Powinniśmy uzyskać odpowiedź do końca tygodnia.

– Na temat tego, kiedy będę mogła odzyskać dzieci?

– Nie, czy sędzia zgodzi się nas przesłuchać.

Tyle drobnych kroków. Wszystko szło tak śmiertelnie powoli.

– A jeśli się zgodzi, kiedy to może być?

– W kilka dni później. Chyba że da Heuberowi czas, by napisał kontrwniosek, a wtedy sprawa może się przeciągnąć jeszcze o kilka dni.

Zatrzymałyśmy się przy krawężniku. Drżąc z zimna, zapięłam kołnierzą płaszcz i wsunęłam dłonie głęboko w kieszenie.

–I wtedy odzyskam dzieci?

– Mam taką nadzieję. Dość trudno jest wygrać tego rodzaju apelację, ale przynajmniej będziemy miały do czynienia z innym sędzią, a każdy będzie lepszy od Selweya.

Objęłam się ramionami. Wiatr porywał z chodnika liście i ciskał je jeden po drugim wzdłuż ulicy. Było mi ich żal.

– A tymczasem – mówiła dalej Carmen – dziś o trzeciej spotykam się z Artem Heuberem.

– A co będzie, jeżeli żądania Dennisa okażą się łatwe do spełnienia i podpiszemy ugodę jeszcze w tym tygodniu?

– Będziemy musiały powiadomić Selweya. Może okazać się na tyle uparty, aby obstawać przy tym, że ugoda rozwodowa nie ma nic wspólnego z prawem do opieki i że chce, aby Jenovitz przedstawił swój raport.

– Wygląda na to, że byłaby to najkrótsza droga – powiedziałam, wzdychając z rezygnacją.

Z sądu udałam się prosto do naszego sklepu w Essex i parę następnych godzin spędziłam pracując nad wystrojem piętra. Postępowałam w ten sposób często, po to, by zachować kontakt z klientem, jak i dla samej przyjemności pracy. Szczególnie teraz wydawało mi się to ważne. Nasza koncesjorczyni ze St. Louis odbywała właśnie w Essex praktykę przed otwarciem sklepu w swoim mieście. Jeżeli cokolwiek mogło oderwać moje myśli od spraw osobistych, to tylko to.

Kiedy wróciłam do biura, zajęłam się przeglądaniem zamówień na naszą wiklinę. Stworzenie plantacji było pomysłem Brody'ego, który twierdził, że w ten sposób będziemy mieli większy wpływ na jakość surowca i cenę gotowego

produktu. Znalazłam na Filipinach małą fabryczkę, specjalizującą się w produkcji wysokiej jakości rattanu, która zgodziła się produkować surowiec, jakiego potrzebowaliśmy. Wysłałam im szczegółowe zapotrzebowanie, a kiedy towar przyplłynął statkiem do Kalifornii, okazało się, że w pełni odpowiada wymaganiom. Starczyło go też, dopóki nie ruszyła nasza własna plantacja w Pensylwanii.

Z początku wykonywaliśmy tylko wysokiej klasy kopie. Z czasem zaczęliśmy wprowadzać własne wzory. To dopiero było wyzwanie! Najzwyklejsze detale mogą wypromować wyrób lub zaprzepaścić jego szanse – stopień wygięcia oparcia, wysokość i szerokość siedzenia, szerokość podłokietnika, spoistość poduszek. Musiałam uważać, co produkuję.

Produkty, które źle się sprzedawały, były poprawiane albo zastępowane innymi.

Brody zadzwonił z butik w Palm Springs. Właśnie zmienił się tam koncesjor i choć go znaleźliśmy – terminował u nas – była to nasza pierwsza osobista wizyta na miejscu. Widziałam już pierwsze wyniki sprzedaży. Co zrozumiałe, zważywszy na ilość mieszkających na Florydzie starszych rentierów, najlepiej sprzedawały się tam meble o dość wysokich i solidnych siedzeniach. Teraz Brody opowiedział mi o przyciągającej wzrok wystawie, o nowych sprzedawcach i kontaktach właściciela ze społecznością lokalną.

Były to dobre wieści i czerpałam z nich równie dużo pociechy, co z tego, że słyszę głos Brody'ego. Uwielbiałam go za entuzjazm i nieustający optymizm. A także za to, że mogłam usiąść wygodnie i pozwolić mu mówić, pozwolić mu pracować. Nie musiałam kontrolować tego, co robi. Ufałam mu.

Był taki łatwy we współżyciu. I taki seksowny. Ten głos. Trzymałam go na linii, jak długo się dało. Nie było lepszego sposobu, aby oderwać moją uwagę od innych spraw.

Wreszcie nadeszła trzecia. Wiedząc, że nie będę mogła się skupić na żadnej pracy, podczas gdy Carmen rozmawia z Heuberem, schroniłam się w swojej pracowni i zajęłam usuwaniem ostatnich połamanych prętów z bujanego fotela. Co prawda o wiele większą przyjemność sprawiłoby mi wplatanie nowych i odbudowa tego, co zostało zniszczone, ale ponieważ nie chciałam wykonywać potem całej pracy jeszcze raz, odstawiłam bujak i zajęłam się usuwaniem uszkodzonych prętów z pasującego do niego stolika.

Nie było ich wiele, toteż szybko uporałam się z robotą. Wkrótce potem Angela wsunęła głowę do pracowni i powiedziała, że obie z Vicky właśnie wychodzą.

To był znak, na który czekałam. Miałam spotkać się z Carmen w jej biurze o szóstej. Umyłam się, przebrałam z powrotem w kostium i ruszyłam do Bostonu.

Nie czekałam wystarczająco długo, by choćby przerzucić zgromadzone na stoliku czasopisma, gdy Carmen wkroczyła do holu. Spojrzałam na jej twarz, szukając w niej jakiegoś znaku, wskazówki, ale nie zobaczyłam niczego.

–I jak poszło? – zapytałam.

Skinęła głową w stronę swojego biura i nie odezwała się, dopóki nie zamknęłyśmy za sobą drzwi. Usiadła na skraju biurka i westchnęła.

– Nie mają zamiaru niczego nam ułatwić.

– Mów, proszę.

– Dennis żąda połowy majątku.

– W porządku.

– Włączając firmę.

– A niech sobie bierze, nawet całą. Jest jego. Nie chcę jej.

– Twoją firmę.

– Moją? Moją firmę? To znaczy, połowę wartości?

– Nie, chce zostać współnikiem.

– Żartujesz. – Widziałam jednak, że wcale nie żartuje. – Po co? – A potem zdałam sobie sprawę, że to nie ma znaczenia. Potrząsnęłam głową. – Nie. Odpowiedź brzmi: nie.

– Tak właśnie powiedziałam Artowi.

– Najpierw dzieci, potem firma. Należy do mnie. On jej nie stworzył ani nie rozwinął. Nie ma do niej prawa. – Ale ostatnio zdarzyło się zbyt wiele rzeczy, które wydawały mi się niemożliwe. Z mniejszą pewnością siebie zapytałam więc: – A może ma?

– To zależy, jak silne będą jego argumenty.

– On nie ma żadnych argumentów.

– Owszem, ma – zauważyła Carmen. – Te same, którymi zwykle posługują się kobiety. Był przy tobie przez cały czas, gdy rozwijałaś interes. A jako główny żywiciel rodziny umożliwił ci zajęcie się firmą. Nie musiałaś się martwić, z czego będziecie żyć. – Przerwała tę litanie, aby zapytać: – Czy włożył jakieś pieniądze w Wiklinowy Kącik?

– Nie, ani centa. Zero. Zaoszczędziłam pieniądze, pracując gdzie indziej i zaciągnęłam pożyczkę na resztę.

On nie zaofiarował mi pomocy. Ani w postaci pieniędzy, ani czasu. Sądził, że to okaże się kaprysem, który nie przetrwa długo. A teraz chce połowy firmy? Nie ma mowy. – Byłam wściekła. – Lecz to nie wszystko. A co z pracą, którą wykonywałam, by zebrać pieniądze na otwarcie firmy? Robiłam to w wolnym czasie, pomiędzy obowiązkami ślicznej małej hostessy, sprawnej gosposi i kompetentnej mamuśki. Inna kobieta chadzałaby na lunche z przyjaciółkami lub malowała paznokcie. Ale nie ja. Każdą wolną chwilę spędzałam, reperując stare meble.

Wściekła? To słowo nawet w części nie oddawało tego, co czułam.

– Dennis chce być partnerem? To chyba żart! Nie wie nic o Wiklinowym Kąćniku. Nigdy nie chciał mieć z firmą nic wspólnego – nigdy nie zadawał pytań ani nie doradzał mi, wyjąwszy nalegania, bym wystawiła ją na sprzedaż i wyciągnęła, ile się da. Sądził, że to jedyny sposób, aby uniknąć strat, ponieważ meble z wikliny to jedynie przejściowa moda. Drwił ze mnie, kiedy mówiłam, że chcę związać się z tą branżą na dłużej. Możesz mi wierzyć, jeżeli jej pragnie, to tylko dlatego, że jest moja. Podobnie jak dzieci – bardziej moje niż jego. To mały chłopiec, który deprecjonuje coś, czego nie może mieć. I co, do diabła, on sobie wyobraża, że co będzie robił? Pracował ze mną i z Brodym? Po tym, o co nas oskarżył? Nie, Carmen. Na pewno chodzi mu o pieniądze.

– Twierdzi, że nie. Mówi, że potrzebuje pracy. Rozwiązuje swoją firmę. Nie idzie mu dobrze.

– To nic nowego – prychnęłam. I to mnie miano wyrzucić ten ponury dowcip, jeżeli nie uda mi się zmienić biegu spraw. – Czy rozwiązuje DGR ze względu na negocjacje rozwodowe, czy żeby wyciągnąć z tego jakieś pieniądze?

Jedno spojrzenie na twarz Carmen powinno było mnie ostrzec. Odwróciła się, wyjęła z teczki jakiś dokument i podała mi.

Przestudiowałam go. Liczby były zadziwiające.

– Jego firma nie jest nic warta! A co z akcjami innych przedsiębiorstw? Kiedy kompletował pakiet inwestycyjny, zwykle zostawiał dla siebie kilka akcji. W sumie musiało zebrać się tego całkiem sporo.

Carmen podała mi następny papier. Nie było tam zbyt wiele do studiowania.

– I to wszystko? – Byłam przerażona. – Tylko tyle jest wart? A co z ubezpieczeniem na życie? Z emeryturą? Akcjami? On ma akcje.

– Dawno sprzedane. A co do reszty, zaciągnął na ich poczet dług. Nie są wiele warte.

Naprawdę mnie to zdumiało.

– Przez cały czas mówił o zabezpieczeniu na starość. Za każdym razem, gdy czynił te drobne inwestycje, powtarzał, że to na przyszłość. Przez wszystkie te lata czułam się bezpieczna, sądząc, że mamy jakieś zabezpieczenie. Zaprzepaścił nawet pieniądze na wykształcenie dzieci, bękart!

– Potrząsnęłam papierem, który trzymałam w dłoni. – I ten facet chce zarządzać moją firmą? Nie ma prawa choćby zbliżyć się do niej! – Usiadłam, lecz coś, co przyszło mi na myśl, sprawiło, że poderwałam się znowu. – Wiem, co on kombinuje. Chce dostępu do mojej firmy, aby móc znaleźć kupca i zmusić mnie, bym ją sprzedała. Ten palant i nieudacznik! Od lat mnie męczył, żebym to zrobiła, ograniczając w ten sposób straty. Oczywiście, nie chodziło mu o moje straty, ponieważ nie było tego zbyt wiele. Myślał o tym, co sam zyska! Czy może mnie zmusić, abym przyjęła go na wspólnika, Carmen?

– Negocjujemy ugodę. Nie musimy zgadzać się na jego warunki. A czy sąd może cię do tego zmusić? – Przez chwilę zastanawiała się, rozważając wszystkie za i przeciw. – Jeżeli sędzia uprze się, że wszystko, czego dorobiliście się w trakcie trwania małżeństwa, należy podzielić równo, to Dennis wygra. Lecz jeśli zdołamy dowieść, że twój były mąż nie nadaje się do prowadzenia interesów, że doprowadził do upadku swojej firmy i że w trakcie trwania małżeństwa uchylał się od obowiązków finansowych, to my wygramy. Niestety, jedno i drugie wymaga procesu. A proces potrwa co najmniej sześć miesięcy.

– Nie dbam o to. Mogę czekać. To jemu się śpieszy, nie mnie. Przynajmniej, o ile sprawa opieki nad dziećmi zostanie rozstrzygnięta wcześniej. Zwykle rozpatruje się ją osobno, prawda?



– Teoretycznie, tak. Heuber dziś nawet o niej nie wspomniał. Przypuszczam, że będzie chciał wykorzystać ją, aby wymusić zgodę na ich dzisiejsze warunki. Co do sądu, to jak dotąd, zajmuje się on wyłącznie sprawą opieki nad dziećmi. A już na pewno służą temu badania Jenovitza. Lecz jeśli nie zgodzimy się z jego opinią, będziemy musiały apelować. W takim przypadku odbędzie się osobna rozprawa, równoległa do działań rozwodowych.

– Sześć miesięcy lub dłużej? – Zaczęłam już wstawać, lecz znowu usiadłam. Zaczęła mnie ogarniać panika. – Jenovitz nie może wystawić mi nieprzychylnej opinii. Umrę, jeżeli będę musiała trzymać się z dala od dzieci przez sześć miesięcy. Musimy coś wymyślić. Jaki będzie nasz następny krok? Co odpowiemy Dennisowi?

– Póki co, będziemy zwlekać. Niech Dennis myśli, że rozważamy jego żądania. Jeżeli cię o to zapyta, nie odpowiadaj. Powiedz, że nie jesteś pewna albo że nie wiesz, co postanowiła twoja adwokatka. Niech się czuje bezpieczny, nie będzie wtedy naskakiwał na ciebie w rozmowie z kuratorem. A tymczasem Morganowi może uda się odkryć coś na temat romantycznego związku pomiędzy Dennisem, a Phoebe. To da nam do ręki poważny argument.

–I będzie świadczyło o jego charakterze.

– Aha. W końcu, on zrobił ci to samo. Odplącimy mu pięknym za nadobne.

Gdybym mogła, znienawidziłabym Dennisa jeszcze bardziej za to, że zmusza mnie do posługiwania się takimi metodami.

Ktoś powiedział, że miłość i nienawiść to dwa bieguny tego samego uczucia. Dotąd nic o tym nie wiedziałam. Teraz to się zmieniło. Wiedziałam już, że złość i gniew są silniejsze niż cokolwiek, co czułam do Dennisa przedtem. Jeżeli oznaczało to to, co – jak sądzę – oznaczało, moje małżeństwo

nie było takie, jak sobie wyobrażałam. A najsmutniejsze, że zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy.

I pewnie spędziłabym następne godziny zastanawiając się nad tym, gdyby nie zadzwoniła Rona z wiadomością, że mama miała atak serca.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Strach Rony płynął do mnie poprzez słuchawkę, czysty i niemal namacalny – serce Connie dało za wygraną, przewieziono ją na oddział intensywnej terapii, następne godziny będą krytyczne. Zadzwoiłam do Carmen, do Dennisa i do Brody'ego, a potem złapałam pierwszy samolot do Cleveland.

Podróż przebiegała denerwująco powoli. Zarazona paniką Rony, wyobrażałam sobie, że zastanę mamę nieprzytomną, utrzymywaną przy życiu tylko przez aparaturę. Wyobrażałam sobie lekarzy, potrząsających bezradnie głowami, i nas, podejmujące nie do wyobrażenia decyzje. A także absolutny spokój szpitalnego pokoju, pustkę mieszkania mamy. I ostateczne pożegnanie podczas pogrzebu.

W rzeczywistości sprawa nie wyglądała aż tak źle. Atak serca nie był szczególnie groźny, a poza tym zauważono go niemal od razu. Tak, następnych kilka dni będzie decydujących, i tak, u niej, osłabionej chorobą, atak taki stanowił zdecydowanie większe ryzyko niż u kogoś dotychczas zdrowego – twierdzili lekarze –lecz była przytomna i na ogół rześka, a kiedy rozmawialiśmy z lekarzami, właśnie drzemała.

– Nigdy, przenigdy nie rób mi czegoś takiego – błagałam Ronę, kiedy stałyśmy w pobliżu pokoju

Connie w korytarzu OIOM-u.

– Myślałam, że ona umrze.

– Ja też tak myślałam – odparła Rona, najwidoczniej dotknięta. – To przerażające, widzieć ją podłączoną do tych wszystkich urządzeń. Lekarze zachowywali się tak, jakby właśnie ściągnęli ją z tamtego świata i oczekiwali,

że w każdej chwili będą musieli zrobić to znowu. Nie wściekaj się na mnie, Claire. To ja tu przy niej tkwię, starając się sprostać wszystkiemu.

Odetchnęłam głęboko, po raz pierwszy od wielu godzin.

– Wiem. To dlatego, że tak bardzo się bałam podczas lotu.

– A ja bałam się tutaj. Łatwo teraz powiedzieć, że nie było z nią tak źle, ale gdybyś ją widziała... Przykro mi, jeżeli ściągnęłam cię tutaj pod fałszywym pretekstem, ale ona jest także twoją matką. Sądziłam, że będziesz chciała wiedzieć... Myliłam się?

– Nie – westchnęłam. Przesunęłam dziwnie ciężką dłonią po włosach i oparłam się o ścianę. – Oczywiście, dobrze zrobiłaś. I tak bym przyjechała. Atak serca to zawsze poważna sprawa, a ona i tak była wystarczająco chora. Uwierz mi, Rona, żałuję, że nie mogę poświęcić jej więcej czasu, ale sprawy w domu bardzo się skomplikowały.

– Skomplikowały? – spytała, choć wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, że tak naprawdę chciała zapytać: „A cóż to znów za wymówka?”

Czułam, że – zważywszy, co dla mnie tutaj robiła – nadszedł czas, aby powiedzieć jej prawdę.

– Dennis i ja żyjemy w separacji.

Przez chwilę milczała, a potem usłyszałam długie:

– Neeee. –I choć w jej głosie brzmiało niedowierzanie, nawet zdenerwowanie, to twarz wyrażała czystą ciekawość. – Od kiedy?

– Od dwóch tygodni. Od mojego ostatniego powrotu stąd.

– Ty i Dennis? Ty i Dennis?

Spojrzałam na nią z wyrzutem, nie mogłam się powstrzymać. To, że czułam się wobec niej zobowiązana, to jedna sprawa, a konieczność osłaniania własnych ran, to coś zupełnie innego.

– Tak, Rona. Ja i Dennis.

Przysunęła się do mnie, najwidoczniej żadna szczegółów.

– Ale dlaczego?

– To długa historia, nie będę ci teraz opowiadać. Powiem tylko, że w rezultacie musiałam kupić mniejszy dom.

– Wyprowadziłaś się? Aaa, to stąd ten nowy numer telefonu. Ale dlaczego to ty się wyprowadziłaś? Jesteś kobietą i opiekujesz się dziećmi. To on powinien się wyprowadzić.

Potarłam dłonią kark.

– Zwykle tak właśnie się to odbywa. Ale to nie jest zwykła sytuacja.

– Dlaczego? – spytała, oburzona.

– Ponieważ to ja mam pieniądze. A on ma dzieci.

– Dennis zatrzymał dzieci?

– Posłuchaj, to nie był mój wybór, ale nie miałam wiele do powiedzenia.

Podróżuję służbowo, mam więcej zawodowych obowiązków niż on, no i jeszcze choroba mamy. Nie mogłabym przylecieć tu tak szybko, gdybym musiała zorganizować opiekę dla dzieci. Wiem, że uważasz, iż powinnam spędzać przy mamie więcej czasu, i bardzo bym chciała, ale chcę być także z dziećmi, a weekendy są najlepsze. Więc gdzie powinnam być? Może mi powiesz?

Nie powiedziałam jej wszystkiego i czułam się z tego powodu winna. Ale nie byłam jeszcze gotowa, by opowiedzieć wszystko. Zbyt mocno bolały mnie rany, bym mogła znieść niewątpliwe przejawy satysfakcji Rony.

– Czy mama wie? – spytała.

– Nie, jeszcze jej nie powiedziałam. – Wyobraziłam sobie, jak Rona czyha przy jej łóżku, czekając, aż odzyska świadomość, by porozmawiać z nią o mojej separacji. – Nie mów jej, dobrze? To by ją bardzo zdenerwowało.

–I pozbawiło złudzeń. Myślała, że jesteś doskonała.

– To nieprawda. Wiedziała, że nie jestem doskonała. Ani ja, ani moje małżeństwo.

– To zabawne, nigdy mi nic takiego nie mówiła. W kółko za to powtarzała, że nie potrafię wytrwać w żadnym małżeństwie, podczas gdy ty i Dennis jesteście niczym skała. Tak jakbym mogła coś poradzić na to, że Harold umarł. Ach, ale to właśnie miała mi za złe. Jego wiek. „Mógłby być moim mężem”, powtarzała, aż sama miałam ochotę umrzeć. Miał szczęście, że nie był jej mężem. Pewnie zszedłby jeszcze wcześniej, żeby tylko przed nią uciec.

–Rona.

– Jest bardzo uciążliwa. Ty tego nie widzisz, bo wy dwie doskonale się ze sobą zgadzacie. I tylko ciebie uważa za bliską osobę. Jak myślisz, jak było z tatusiem?

– Rona. Mama nie była taka, kiedy żył tata. Wręcz przeciwnie. Czowała się bezpieczna. A potem on umarł i musiała walczyć o przetrwanie. Możesz to sobie nazwać, jak chcesz, lecz stała się taka tylko dlatego, że chciała, abyśmy miały to, czego ona nigdy nie miała i stały się tym, kim jej nie udało się zostać. Chciała, by było nam łatwiej.

– No cóż, i poniekąd udało się nam. Mamy przynajmniej pieniądze. – Przyglądała mi się dziwnie, jakby oceniająco. – A więc widzisz się z dziećmi tylko w weekendy? To nie do wiary. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. A mama twierdzi, że dzieci to twoje życie. Twierdzi też, że to dobrze, iż ja nie mam dzieci, bo nigdy nie byłabym taką dobrą matką, jak ty. Tylko w weekendy, co?

– Właściwie, nie tylko – powiedziałam, starając się, aby zabrzmiało to zwyczajnie. Nie chciałam, aby wiedziała o nakazie i o tym, że sędzia uznał mnie za nieodpowiedzialną matkę. – Widuję się z nimi, gdy tylko zachodzi

taka potrzeba. Byłam z nimi w poniedziałek, i wczoraj. A poza tym rozmawiamy ze sobą kilka razy dziennie.

– Mimo to, Dennis i opieka nad dziećmi? Coś takiego. To zupełnie do niego nie pasuje.

– To, co – jak uważasz – do niego pasuje, to tylko wytwór twojej wyobraźni.

–I wyobraźni mamy.

– Być może. Prawdopodobnie. Myliła się, co do ciebie i może myliła się co do mnie. – Nigdy przedtem nie przyszło mi to na myśl, lecz teraz wreszcie do mnie dotarło. – Być może ja także żyłam pod presją.

Rona nie odpowiedziała, po prostu stała tam, wyglądając zabójczo, bardziej zabójczo, niż ja mogłabym wyglądać kiedykolwiek, i opierając się o ścianę na wyciągnięcie ręki ode mnie. To smutne, że nie potrafiłyśmy wyciągnąć do siebie ramion. W okresie naszego życia, kiedy fizyczny kontakt mógłby nam obu przynieść pociechę, nie potrafiłyśmy jej sobie dać. Nie łączył nas tego rodzaju związek i nawet nie byłam pewna, dlaczego tak jest.

Lecz żałowałam tego. Obie odczuwałyśmy potrzebę pocieszenia i bycia pocieszanym, gdyż, choć choroba mamy nie okazała się aż tak poważna, i tak prognozy nie były dobre.

Natychmiast pomyślałam o Brodym. Doskonale nadawał się na pocieszyciela. Nie Dennis. Brody. Nie miałabym nic przeciwko, aby znaleźć się teraz we wspólnym uścisku jego ramion.

– To separacja na próbę? – spytała Rona, przywracając mnie na powrót do rzeczywistości.

Separacja na próbę? Usiłowałam wyobrazić sobie dalsze życie z Dennisem, ale nie potrafiłam.

I znowu pomyślałam o Brodym.

Uderzyło mnie, że moje małżeństwo najwidoczniej od jakiegoś czasu musiało znajdować się w przededniu nieuchronnego fiaska. Bo jak inaczej wyjaśnić wszystkie uczucia, które nagle się ujawniły – a właściwie, których istnienie uświadomiłam sobie w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Uczucia skierowane przeciwko Dennisowi. I ciepłe uczucia dla Brody'ego. Czy rzeczywiście romans pomiędzy nami wisiał w powietrzu?

– Nie – odparłam. – To nie separacja na próbę.

– Aż tak źle? – Uśmiechnęła się. – Jestem zdumiona.

Oderwałam się od ściany.

– To bardzo bolesne doświadczenie. Sądziłam, że skoro sama przez to przeszłaś, wykażesz trochę zrozumienia. – Mogłabym powiedzieć więcej, o wiele więcej, podzielić się z nią myślami i obawami, gdybyśmy tylko potrafiły się porozumieć. Ale nie potrafiłyśmy. Zawsze winałam za to potrzebę współzawodnictwa, tak silną u Rony. Teraz zdałam sobie sprawę, iż może ja także nie byłam od niej wolna. Wstydziałam się przyznać, że moje małżeństwo okazało się fiaskiem. Sądziłam, że jestem zbyt dobra, by mogło mi się przydarzyć coś takiego.

A teraz zostałam upokorzona, podobnie jak niegdyś Rona. I znowu poczułam chęć, aby wyciągnąć do niej ramiona. I znowu coś mnie powstrzymało.

Pragnąc uniknąć sprzeczki, niezdolna zrobić nic innego, ruszyłam w dół holu. – Posiedzę trochę przy mamie.

Wyglądała staro, bardziej na osiemdziesięciolatkę niż kobietę sześćdziesięcioletnią. Wydawało się, że choroba przyśpieszyła bieg czasu, zabierając te dwadzieścia lat, które mogła jeszcze przeżyć, i z każdym tygodniem ograniczając je do dziesięciu, pięciu, dwóch... Próbowałam przypomnieć sobie jej twarz z ciepłym uśmiechem, gładką skórą o zdrowym



połysku, ale nie potrafiłam. Nie mogłam także odwrócić spojrzenia. To by oznaczało odrzucenie, ona zaś była moją matką, i teraz, w ostatnich dniach swego życia bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała miłości.

Chociaż przespała większą część weekendu, wiedziała, że jestem przy niej. Od czasu do czasu otwierała oczy, skupiała wzrok na mnie, ścisnęła mnie mocniej za rękę i szeptała moje imię. Ja zaś nie paplałam bez przerwy, jak podczas ostatniej wizyty. Gardło miałam ściśnięte, a z drugiej strony – o czym mogłabym jej opowiedzieć? Bo przecież nie o sytuacji w domu. I nie o moich stosunkach z Roną. Z chęcią opowiedziałabym jej o Brodym. Ale po co?

Spędzałyśmy więc czas w milczeniu, mama i ja, i było to zadziwiająco kojące doświadczenie. Wydawało się, że sama moja obecność przynosi jej pociechę, nie odczuwałam więc potrzeby udawania. Stan jej serca ustabilizował się. W sobotę po południu opuściła oddział intensywnej opieki i powróciła do swego pokoju.

Rona przyniosła świeże kwiaty. A także ulubioną wodę kolońską mamy, magnetofon i więcej kaset z nagranyimi książkami, niż Connie mogłaby wysłuchać w ciągu miesiąca. Nie mówiąc już o komplecie bielizny, składającym się z koszuli i szlafroka, równie pięknego jak ten, który podarowała mamie podczas mojej ostatniej wizyty. Nie zapomniała także o kremie karmelowym z ulubionej restauracji Connie.

Czy mama była jej za to wdzięczna? Trudno powiedzieć. Oczywiście, uśmiechała się i kiwała głową, lecz w oczach miała ten sam smutek, co zawsze. Nawet teraz, u schyłku życia, uważała Ronę za beznadziejny przypadek.

A czy ja uważałam podobnie? Z pewnością nie, lecz nie wiedziałam, jak powiedzieć o tym Ronie, nie przyznając jednocześnie, że mama tak właśnie sądzi, co przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Dziękowałam jej więc za prezenty i chwaliłam za to, że jest z mamą, a ta część mnie, która nienawidziła

tego współzawodnictwa pomiędzy nami i traktowała poniżenie, które mnie spotkało, jako swego rodzaju karę, nie dbała o to, że Rona wie o klęsce mojego małżeństwa. Niech sobie ma tę satysfakcję.

Zawsze ciężko znosiłam rozstania. Śmierć ojca uświadomiła mi, że ludzie są śmiertelni. A ponieważ odszedł, gdy byłam jeszcze dzieckiem i nastąpiło to tak niespodziewanie, wiedziałam też, jak to jest stracić kogoś przedwcześnie. I choć poza tym byłam raczej optymistką, nie dotyczyło to spraw życia i śmierci. Connie mogła sobie być zdrowa, a ja i tak za każdym razem, gdy się z nią rozstawałam, czułam skurcz lęku, że nie zobaczę jej po powrocie.

Po ślubie nauczyłam się nieco panować nad emocjami, zwłaszcza że Dennis nie zwykł robić ze swoich wyjazdów wielkiego wydarzenia. Potem, gdy urodziły się dzieci, nie miałam już czasu na próżne obawy. Konieczność opuszczenia chorej matki przywołała je znowu. Im bardziej była chora, tym bardziej nasilał się mój lęk. Obiecałam zadzwonić do niej wieczorem i wrócić do Cleveland za tydzień lub dwa, lecz znowu zobaczyłam w jej oczach ten wyraz, ten smutny, świadomy, karcący wyraz. Obie wiedziałyśmy, że moje słowa mogą okazać się pustą obietnicą, jeżeli ona odejdzie, nim ja wrócę.

Opuszczenie szpitala w niedzielę rano było tak trudnym przeżyciem, że gdyby sprawy miały się inaczej, powiedziałabym sobie „do diabła z tym, dzieci rozumieją” i zawróciła. Lecz Dennis by nie zrozumiał. Ani jego adwokat, ani sędzia, ani kurator, z którym miałam się spotkać w poniedziałek. Gdybym przedłożyła dobro matki nad dobro dzieci, nazwano by mnie wyrodną matką. Zamiast tego byłam wyrodną córką.

Connie powiedziała kiedyś, że życie to nieustanny kompromis. Żałowałam tylko, że nie mogę powiedzieć jej, dlaczego wybrałam akurat ten kompromis. Pomogłoby mi, gdyby przyznała, że postąpiłam słusznie.

Gdy tylko znalazłam się w powietrzu, zajęłam się tym, co natychmiast domagało się mojej uwagi. Przede wszystkim dzieci. Ponieważ straciłam sobotnie spotkanie z nimi, poprosiłam Dennisa, by pozwolił mi wpaść po nie, gdy będę wracała z lotniska. Z początku nie miał zamiaru iść mi na rękę, potem jednak zgodził się z podejrzaną skwapliwością.

Chciałabym myśleć, że współczuł mi z powodu choroby mamy i dostrzegł, że było to rozsądne rozwiązanie. Jednak cyniczna strona mojej osobowości – coś nowego, co narodziło się zaledwie przed dwoma tygodniami – od razu zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przyszło mu na myśl, że mógłby przyjemniej spędzić niedzielę. I dobrze, pomyślałam. Przez wszystkie te lata robił w weekendy, co chciał, a my musieliśmy się do tego dostosować. Ten sposób był bardziej uczciwy – przynajmniej nie będę musiała wymyślać żadnych wymówek, aby usprawiedliwić go przed dziećmi.

A poza tym, nie dbałam już o to, czy zamierza kochać się z Phoebe Lowe na balkonie City Hall Plaza, aby widziało go całe miasto, jeżeli tylko będę mogła spędzić ten czas z Kikit i Johnnym. Musiałam się upewnić, że dobrze się nimi opiekowano. A zważywszy, co zostawiłam za sobą w Cleveland, potrzebowałam ciepła i żywotności, jakie mogła zapewnić ich obecność.

A także ciepło i żywotność kogoś innego, o zawodowych sprawach nie wspominając. Lecz Brody zatrzymał się w Nowym Jorku, aby zobaczyć się z córką, i nie mogłam spodziewać się go przed nocą. A poza tym, on był tylko fantazją, czymś, co mi wmówił własny mąż. Tylko fantazją, marzeniem, którego potrzebowałam. Niczym więcej.

Samolot wylądował o czasie. Zabrałam bagaż podręczny, przeszłam przez bramkę, stanowisko celników i skierowałam się ku miejscu, gdzie zwykle czekał na mnie kierowca. Zamiast niego, w niejakim oddaleniu od

innych oczekujących, nie w Nowym Jorku i niemożliwa do przeoczenia, stała moja fantazja we własnej osobie.

Zatrzymałam się, niezdolna się poruszyć. Potem rozejrzałam się wokół, jakby oczekując, że inni też będą się na niego gapić – tak bardzo wyróżniał się z tłumu. Głęboko osadzone, ukryte za szklami okularów oczy, długie odziane w dżinsy nogi, podkoszulek, rozpięta flanelowa koszula, wełniana kamizelka – na sam jego widok od razu zrobiło mi się cieplej na sercu, a kiedy się uśmiechnął, poczułam, jak coś uśmiecha się we mnie w środku nieśmiałym, nieco bezradnym uśmiechem.

Opierał się o ścianę, z płasko opartą o nią stopą i z czubkami palców w kieszeniach dżinsów. Miałam wrażenie, że nie jest pewny, czy dobrze zrobił przychodząc, zważywszy na ostrzeżenia Carmen, lecz nie potrafił się powstrzymać. Być może było to jednak tylko moje pobożne życzenie. Lecz źle to czy dobrze, był tam. I, źle to czy dobrze, byłam zachwycona jego widokiem.

Moje stopy poruszyły się, unosząc mnie ku miejscu, gdzie stał w nader swobodnej pozie, promieniując nonszalanckim wdziękiem. Jego oczy ani na chwilę nie opuszczały mojej twarzy i nie przestawał się uśmiechać. Mogłam się spodziewać, że Brody pojawi się, by mnie pocieszyć.

Westchnęłam z ulgą i z radością skinęłam głową. A potem coś ścisnęło mnie w piersi. Zagryzłam wargi, za wszelką cenę próbując się nie rozplakać. Musiał to dostrzec, ponieważ jego uśmiech nagle znikł. Wziął moje bagaże, postawił je na ziemi, a potem, zanim zdążyłam się zmartwić, że ktoś może nas zobaczyć, otoczył mnie ramionami.

Westchnęłam znowu i tym razem był to bardziej jęk niż westchnienie, wysoki i drżący. Przelotne myśli –dlaczego znajdował się tutaj zamiast w Nowym Jorku, skąd wiedział, którym samolotem przylecę – napłynęły i szybko odeszły, nieistotne w ogólnym przebiegu wydarzeń, a już na pewno w tym

momencie. Zaczęłam całą drzeć, spóźniony skutek wyczerpującego psychicznie weekendu, i chociaż nie rozplakałam się, wsunęłam dłonie pod flanelową koszulę i mocno przywarłam do jego piersi. Był niczym opoka w chwili, gdy wszystko wokół mnie nieustannie się zmieniało. To przerażające, jak bardzo go potrzebowałam.

Jego dłonie poruszały się delikatnie, choć zdecydowanie, na moich plecach. Podobnie jak usta na moich włosach, a potem czole. Ten dotyk niósł z sobą poczucie bezpieczeństwa, uspokajał mnie, podobnie jak jego obecność. Tu, na lotnisku, tym miejscu, gdzie przecinały się drogi tak wielu ludzi, czułam się bezpiecznie. Było to miejsce, gdzie ludzie otwarcie wyrażali swoje emocje, cieszyli się z ponownego spotkania lub rozpaczali z powodu rozstania. Ludzie bez przerwy całują się na lotniskach, nie tylko kochankowie, także przyjaciele, krewni, nawet koledzy.

Więc nie protestowałam, gdy Brody mnie pocałował. Protestowałam? Prawdę mówiąc, sama uniosłam głowę, czując, że to nadchodzi, czując jak jego usta dotykają mojej prawej powieki, a potem policzka. I nagle pocałunek stał się czymś najbardziej naturalnym, niezbędnym wręcz. A jeśli potrzebowaliśmy pretekstu – no cóż, byliśmy przecież na lotnisku. Nikt nie musiał wiedzieć, że to prawdziwy pocałunek, że te nieśmiałe dotknięcia przełamują barierę. Nikt nie musiał wiedzieć, że nasze usta przywierają do siebie z coraz większą pewnością, otwierają się, że wzrasta w nas pragnienie.

Lecz ja wiedziałam. I Brody także. Czułam to w drzeniu jego ciała, w krótkim, przerywanym oddechu. Nie, żeby ze mną było lepiej. Drżałam, kiedy w końcu oderwał wargi od moich ust, położył swoją wielką dłoń z tyłu mojej głowy i przytulił ją mocno do swej piersi.

Nigdy dotąd nie pachniał tak pięknie. Świeżością, mydłem i, bardzo delikatnie, jakąś męską wodą.

– Chodźmy stąd – powiedział chrapliwie. W pierwszej chwili sądziłam, że jest zły. To przekonanie rozwiało się, kiedy na niego spojrzałam. To nie gniew zaróżowił jego policzki, ani nie gniew skłonił go, by niósł przed sobą mój bagaż, zasłaniając nim krocz.

Ach, jaką przyjemność sprawił mi ten widok! I jakie poczucie siły zapewnił! Przyjemność, poczucie siły – to uderzało do głowy nie mniej, niż jego zapach.

Prawda. Nie powinniśmy robić niczego, co ułatwiłoby zadanie Dennisowi. Lecz oskarżenie przeciwko nam zostało już wysunięte i dano mu wiarę, Dennis i ja byliśmy w separacji, a Bóg jeden wie, co on wyprawiał z Phoebe czy jakąś inną panienką. A poza tym, przez całe życie starannie kalkulowałam, licząc zyski i straty, nim odważyłam się podjąć jakąkolwiek decyzję, i proszę, do czego mnie to doprowadziło. Latarnię zaś kupiłam pod wpływem impulsu i teraz uwielbiałam ją. Więc jeśli pocałowałam Brody'ego i sprawiło mi to przyjemność, to kogo to może obchodzić?

– Żyj niebezpiecznie, Claire – napomniałam się, nie zdając sobie sprawy, że powiedziałam to głośno, dopóki nie usłyszałam, jak Brody z tyłu parska śmiechem. Spojrzałam na niego, zdumiona i pełna buntu.

Jednak Brody nie wydawał się, jak sądziłam, niezadowolony, czemu natychmiast dał wyraz w działaniu. Gdy tylko podprowadził mnie do Range Rovera i ulokował walizki w bagażniku, ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie.

Tym razem nie było żadnej niepewności, tylko prawdziwy, namiętny pocałunek, tu i teraz. Owszem, wyobrażałam sobie wcześniej, jak to może być, całować Brody'ego, ale to było coś zupełnie innego. Coś, co natychmiast oczyściło mój umysł z wszelkich myśli. Nie rozpaczałam już nad Connie, nie usychałam z tęsknoty za dziećmi, nie byłam wściekła na Dennisa ani nie

martwiłam się o firmę. Nie zastanawiałam się też, czy moje postępowanie spodoba się sędziemu, Carmen lub Dennisowi. Nie przejmowałam się, że ktoś może nas zobaczyć. To, co czyniły ze mną dłonie, usta i ciało Brody'ego, przyciśnięte teraz do Range Rovera, warte było ryzyka. Pachniał wspaniale, smakował wspaniale i sprawiał, że czułam się wspaniale. Bez chwili zastanowienia objęłam go mocno za szyję i oddałam pocałunek, drażniąc językiem jego język, skubiąc wargi, dzieląc z nim oddech i pragnąc więcej.

Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak wygłodzona. A nawet, że taki głód w ogóle istnieje.

Kiedy pocałunek wreszcie się skończył, byłam jak w transie. To Brody pierwszy odsunął się w końcu ode mnie, choć zrobił to niechętnie i z ociąganiem.

Westchnął przeciągle i odchylił głowę do tyłu. A kiedy znów na mnie spojrzał, wyglądał na wręcz nieprzyzwoicie zadowolonego z siebie.

– I co – zapytał. – Tak źle było?

Teraz ja się roześmiałam, i to głośno, a potem przyłożyłam czoło do jego piersi, by poczuć bicie serca. Uderzało głośno i szybko.

– Pomyśl, jak by to było, gdybyśmy trochę się popieścili – powiedział.

– A co przed chwilą robiliśmy?

– Całowaliśmy się. Na razie.

– Chciałabym jeszcze.

– Już wkrótce, obiecuję.

Pomyślałam, że powinnam mu powiedzieć, by nie był tak cholernie zadowolony z siebie. Lecz, prawdę mówiąc, miał powód.

Dennis śpiewał mi i robił zdjęcia, sprawiając, że czułam się kimś szczególnym, lecz nigdy mnie nie rozpieszczał ani nie traktował jak kogoś, kto potrzebuje ochrony. Być może zresztą nie potrzebowałam. Lecz tak przyjemnie

było dla odmiany wesprzeć się na kimś. I czuć, że ktoś troszczy się o mnie. Nawet bardzo samodzielne kobiety potrzebują tego od czasu do czasu.

Krótko po rozpoczęciu spotkania, Dean Jenovitz zaproponował swego rodzaju grę. Nie mogłam odmówić, choć bardzo miałam na to ochotę.

– Konsekwencja – powiedział.

Zastanowiłam się nad tym, ile punktów w dziesięciopunktowej skali mam sobie przyznać. Jeżeli skromność nakaze mi przyznać ich sobie zbyt mało, on gotów to kupić. Skromność nie sprawdza się dobrze tam, gdzie chodzi o sprzedanie towaru, a właśnie to było przedmiotem jego badań. Nie sprawiedliwość odgrywała tu rolę, lecz umiejętność sprzedania się.

Przyznałam sobie dziewiątkę.

– Zaradność.

– Dziewięć.

– Kompetencja.

– Osiem.

– Dlaczego nie dziewięć, jak poprzednio?

– Ponieważ kompetencja to rzecz względna. To, co robię, robię dobrze, lecz są też rzeczy, które mi nie wychodzą. Wtedy powierzam je innym. Umieję to robić, dlatego jestem tak dobra w tym, co robię.

Jenovitz wpatrywał się we mnie. Pomyślałam, iż czeka, bym powiedziała coś więcej. Lecz ja nie zamierzałam tego robić. Powiedziałam to, co czułam. Wpatrywałam się więc w niego w milczeniu.

W końcu powiedział:

– Jest pani zła?

Zamrugałam.

– Nie. Dlaczego pan pyta?



– Gdy była tu pani ostatni raz, była pani zdenerwowana. Dzisiaj jest pani inna.

Zdenerwowana? No pewnie. W końcu od tego człowieka zależała moja przyszłość. Inna? Po ostatnich dwudziestu czterech godzinach? A może po dziewięćdziesięciu sześciu?

– Być może – powiedziałam.

– Być może, co?

– Być może jestem inna. – Spojrzałam w dół na ciemne paciorki mojego paska i powiedziałam spokojniej. – Bardziej rozgniewana.

– Raczy mi pani powiedzieć, dlaczego?

Uniosłam głowę.

– Ponieważ znalazłam się w sytuacji, której nie chciałam i która wcale mi się nie podoba. Spędziłam popołudnie z dziećmi. Bez przerwy pytały, kiedy znów mnie zobaczą, kiedy wrócę do domu, syn jest przygnębiony, a oboje – i ja także – stajemy się nerwowi, gdy zbliża się koniec wizyty. Nie wiem, co one czują, kiedy zostawiam je z ojcem, lecz wiem, co ja czuję, i nie jest to miłe uczucie. Odczuwam samotność. I lęk. Martwię się i nie mogę przestać myśleć, że to wcale nie musiało tak wyglądać. Lecz dzięki mojemu mężowi i sędziemu tak właśnie wygląda. To dla mnie bardzo trudne, doktorze Jenovitz. Jestem matką. Kocham moje dzieci. A mój instynkt macierzyński podpowiada mi, że one nie wyjdą z tego bez szwanku. Więc tak, jestem wściekła. I mam do tego prawo, prawda?

– Nie, jeśli oskarżenia przeciwko pani są prawdziwe.

– Nie są – powiedziałam z uporem i opadłam na krzesło.

Coraz częściej moje próby udowodnienia własnej niewinności wydawały mi się z góry skazane na niepowodzenie. No dobrze. Spędziłam z Jenovitzem dopiero godzinę. Wydawało mi się jednak, że trwa to o wiele dłużej.

– To właśnie staram się ustalić – powiedział. – A gniew nie pomaga.

– Poprzednio powiedział mi pan, że powinnam rozpaczać. Czy gniew nie następuje zwykle po rozpaczach?

– Owszem, lecz nie jest tak produktywny, jak ona.

– Ale pozwala dać upust uczuciom. A ja mam ich mnóstwo, choć sędzia uważa mnie za oziębłą uczuciowo kobietę interesu.

– A właśnie – powiedział, sięgając do szuflady. Usłyszałam, jak szeleści celofanową torebką. Wyjął z opakowania landrynkę i włożył sobie do ust.

– Mówiliśmy o kompetencji – powiedział. – I o dzieleniu się obowiązkami. Czy powiedziała pani, że pracująca matka musi dzielić się obowiązkami?

– Nie – odparłam już spokojnie. – Mówiłam o odnoszącej sukcesy szefowej.

– Lecz pracująca matka nie może się bez tego obyć?

Często dyskutowałam o tym z kobietami, które zatrudniałam. Większość z nich miała dzieci. Nieraz opowiadałyśmy sobie o trudnościach.

– Pracująca matka potrzebuje pomocy. Mamy zbyt wiele obowiązków, aby podołać wszystkim same.

– Ta pomoc może być sama w sobie pracą. Wymaga dobrej organizacji. Jest pani zorganizowana? Proszę ocenić.

Zorganizowana. Nie miałam kłopotu z oceną.

– Dziewiątka.

Przesunął w ustach cukierek.

– Wyobraźnia?

A niech to diabli. Jeżeli zechce uznać mnie za zarozumiałą, i tak to zrobi.

– Dziewiątka.

– Rygorystyczność?

– Trójka.

Spojrzał na mnie zdziwiony, unosząc krzaczaste brwi i wypychając cukierkiem policzek.

– Nie postrzega pani siebie jako osoby rygorystycznej?

– Nie. Czy tak mnie widzi mój mąż?

Rozgryzł cukierek. Musiałam poczekać, aż skończy.

– Wspominał o tym. Uważa, że jest pani osobą nastawioną na sukces. Obawia się, że zbyt rygorystycznie podchodzi pani do obowiązków dzieci. I że zbyt wiele pani od nich wymaga.

– Mówiłam panu, że to on jest taki. To on denerwuje się, kiedy oceny Johnny'ego odbiegają od jego oczekiwań lub kiedy Kikit zdarza się seplenić. Ja nie jestem zbyt wymagająca, a poza tym wcale nie traktuję sztywno ich zajęć pozalekcyjnych. Wymagam, aby chodziły do szkoły i to wszystko. To one same zawsze proponowały, by zapisać je na te czy inne zajęcia. Oboje mają uzdolnienia muzyczne, ale ponieważ żadne z nich nie chciało się uczyć ani gry na instrumencie, ani śpiewu, nie namawiałam ich do tego. Więc Kikit chodzi na balet, gimnastykę i lekcje biblioteczne, a Johnny na zajęcia sportowe. Jedno, o co proszę, to aby – jeśli już zdecydują się czymś zająć – traktowali to w miarę poważnie.

– Pani mąż twierdzi, że są zajęte niemal codziennie. Nie martwi to pani?

– Ależ one mają mnóstwo wolnego czasu – w porze kolacji, wieczorami, w wolne dni, w weekendy. Układam swój rozkład zajęć tak, by mieć wtedy dla nich czas.

– To musi być prawdziwe wyzwanie.

– Niekoniecznie. Ponieważ to ja jestem szefem, mogę pracować, kiedy zechcę. I tu wracamy do sprawy pomocy. Mam oddany personel. To była jedna

z tych rzeczy, o które zadbałam, gdy tylko firma zaczęła się rozwijać. Dzieci zawsze były i są na pierwszym miejscu. Mój personel o tym wie.

– Brzmi bardzo ładnie. – Jego ton sugerował jednak, że według niego to tylko słowa.

– Proszę zapytać moich pracowników – zaproponowałam. – Ich nazwiska są na liście. – W uzupełnieniu tych sześciu osób, które znały moje dzieci, dopisałam jeszcze dyrektorów moich sklepów w Essex i Vineyard, a także, oczywiście, Brody'ego.

– Czy kiedykolwiek chciała pani być kimkolwiek innym?

– Zawodowo? – Przytaknął. – Chciałam być lekarzem, wie pan, takie dziecięce marzenia o ratowaniu życia. To było zanim zaczęłam studiować biologię. Nie byłam w tym zbyt dobra.

–I dlatego nie kontynuowała pani tej drogi?

– Częściowo, lecz przede wszystkim chodziło o pieniądze. Nie miałam ich. Potem poznałam Dennisa, który miał trochę, lecz wtedy zajęłam się już projektowaniem wnętrz i zapomniałam, że chciałam być lekarzem. I dobrze. Dennis potrzebował żony na cały etat.

– Więc jak się do tego miała praca dekoratora wnętrz? – zapytał i znowu otworzył szufladę.

– Kupowałam meble dla sieci domów towarowych. Zrezygnowałam z pracy, gdy wyszłam za mąż i zaczęłam pracować jako wolny strzelec.

Pochylił się nad szufladą i grzebał w niej. –I jak to przyjął pani mąż?

– Dobrze. Prawie nie wiedział, że w ogóle pracuję. Był zdumiony, gdy trzeba było wypełnić zeznanie podatkowe i zobaczył, ile zdołałam zarobić. Nie, żeby było tego aż tak dużo, ale o wiele więcej niż oczekiwał. I tak to trwało przez całe lata – moja praca nikomu nie przeszkadzała.

– Teraz jest inaczej – powiedział. Wyciągnął następną landrynkę, rozpakował ją i włożył do ust.

– Być może, lecz wtedy moje pieniądze nie były nam potrzebne. Teraz od nich zależy egzystencja rodziny.

– Pani egzystencja z pewnością. – Ssąc głośno cukierek, pochylił się nad biurkiem i zaczął szukać czegoś w papierach. – Wasz dom jest wart – uniósł brwi, kiedy zobaczył liczby – całkiem sporo.

– Dennis zakochał się w tym domu. – A pani nie?

– Nie w tym. Ja wybrałam inny. Starszy i bardziej nietypowy. Kosztował trochę mniej, ale wymagał sporo pracy.

– Czy Dennis też to dostrzegął?

– Nie. Spodobał mu się ten kolonialny, więc go kupiliśmy.

– Lecz lubi pani ładne rzeczy.

– A kto nie lubi?

– Rozmawiamy o pani, pani Raphael. Materialistyczne nastawienie do życia. Ile punktów?

– Pięć – odparłam bez chwili wahania. – Wydaję pieniądze na rzeczy, na które mnie stać. Cieszę się nimi, lecz mogę się bez nich obejść. I przez bardzo długi czas się obywałam.

– Ach, tak. Dorastanie. Miała pani mniej niż pani dzieci teraz. Sądzi pani, że są zepsute?

– Może trochę. Rodzice uwielbiają dawać dzieciom to, czego sami nie mieli. Nie jestem wyjątkiem.

Przesunął landrynkę na jedną stronę.

– Czy powiedziałaaby pani, że wasze dzieci są szczęśliwe?

– Teraz z pewnością nie. Nie wiedzą, co sądzić o tym, co dzieje się pomiędzy Dennisem a mną. Lecz tak w ogóle – tak, są szczęśliwe.

– Skąd pani wie?

– Uśmiechają się. I mają dobre relacje z ludźmi. Nie różnią się od innych dzieci. I dobrze sobie radzą w szkole.

– Dotychczas wychowywały się w domu, w którym było dwoje rodziców – zauważył. – Jak pani sądzi, jakie to będzie miało znaczenie?

Ze wszystkich pytań, jakie zadał dotąd, to w największym stopniu odnosiło się do przyszłości moich dzieci. Czując się nieswojo, powiedziałam:

– Zawsze chciałam, by moje dzieci miały pełną rodzinę. I zakładałam, że tak będzie. Właśnie dlatego nie chciałam zgodzić się na separację.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Nie, nie odpowiedziałam, ponieważ budziło mój niepokój. Konieczność radzenia sobie ze sprawami dnia codziennego pomagała mi usunąć ze świadomości bezsprzeczny fakt, że odtąd moje dzieci nie będą mieszkały z obojgiem swoich rodziców. I, w tych okolicznościach, nawet nie powinny. To by nie było zdrowe. Dennis mnie już nie chciał i to uczucie, ku memu zdumieniu, z każdą chwilą stawało się bardziej wzajemne. Coś takiego nie tworzy dobrej atmosfery dla przebywania pod jednym dachem, nawet w przypadku dorosłych, a co dopiero dzieci.

– Pani Raphael?

– Dobrze mieć dom, w którym jest dwoje rodziców – powiedziałam – lecz na tym wszystko się nie kończy. Nie ma gwarancji, że w takim domu dzieci będą szczęśliwe. Wiele szczęśliwych, dobrze przystosowanych dzieci pochodzi z rodzin niepełnych.

– Na przykład, pani.

Byłam dobrze przystosowana. Czy także szczęśliwa – to już zupełnie inna sprawa. Żeby nie komplikować spraw, powiedziałam jednak:

– Właśnie. Wszystko zależy od tego, jak samotny rodzic daje sobie radę, a także od tego, jak kształtują się stosunki pomiędzy nim a dzieckiem. Moja matka i ja bardzo dobrze się rozumialiśmy i pomagałyśmy sobie wzajemnie.

Siedział oparty na krześle, ssąc cukierek i czekał.

– Moja siostra, Rona, to zupełnie inna sprawa – powiedziałam, przerywając ciszę. – Jej stosunki z mamą zawsze układały się inaczej.

– To znaczy, jak?

– Sama chciałabym wiedzieć – powiedziałam, uśmiechając się niepewnie. – Wiem, że między nimi wszystko było inaczej, lecz nie wiem, dlaczego.

Zmarszczył brwi i oparł twarz na dłoni.

– Zupełnie jakby nadawały na innej fali – zaczęłam.

– Czego jedna chciała, druga nie potrafiła jej dać. A jeśli jedna z nich coś miała, to druga pomniejszała tego znaczenie.

– Która z was jest starsza? – Ja.

– Musiało jej być trudno za panią nadażyć.

– To nie tak. Mama i ja zawsze byliśmy sobie bliskie. Rona czuła się odrzucona. Więc próbowała jeszcze usilniej. Ale im bardziej próbowała, tym gorszy był rezultat.

Jenovitz wyglądał na zaciekawionego. Pomyślałam, że jako doświadczony psycholog być może mógłby mi pomóc poprawić moje stosunki z Roną.

– Mama łaknęła bezpieczeństwa. Nigdy nie chciała, abyśmy czuły się tak bezradne jak ona po śmierci ojca. Ja szybko zrozumiałam, czego ode mnie oczekuje i stałam się samodzielna. Rona widziała tylko jeden sposób, by sprostać oczekiwaniom, i wyszła za mąż za najbogatszego chłopaka, jakiego mogła znaleźć. Małżeństwo okazało się fiaskiem, więc znów wyszła za mąż i

znowu nic z tego nie wyszło. Ma teraz pieniądze, fundusze powiernicze i tak dalej, i nie rozumie, czemu mama nie jest zachwycona.

– A dlaczego nie jest?

– Ponieważ Rona nie ma żadnych bliskich – ani dzieci, ani przyjaciół. Nie ma zawodu i nie zamierza pracować, żyje bez celu. Mama uważa, że ona jest płytką.

– A pani?

– Czy ja tak uważam? Nie. Co do mnie – usiłowałam sformułować myśli – to sędzę, że jest jakby zablokowana. Tak długo starała się zadowolić mamę, że teraz nie wie, czego pragnęłaby dla siebie. A poza tym jest chyba przerażona. Ponieważ nie potrafi zadowolić mamy, uważa, że wszystko, co robi, robi źle.

– Biedna dziewczyna, pewnie sądzi, że matka jej nie kocha. Czy to nie martwi pani matki?

– Jestem pewna, że tak. – Zmarszczyłam brwi. – Tak przypuszczam. To pokolenie nie jest zbyt dobre w wyrażaniu tego, co czuje.

– To pokolenie jest moim pokoleniem. A ja wyrażam to, co chcę wyrazić.

– No cóż, moja matka nie wyraża. Albo nie chce, albo nie potrafi, nie wiem. Wiem jednak, że mnie kocha. Być może nie przepada za mówieniem o tym, przytulaniem czy trzymaniem za rączkę, lecz wiem, że mnie kocha. Ma to wypisane na twarzy.

– Czy tak jest też z Johnnym i Kikit?

– Oni też widzą miłość na mojej twarzy, ale poza tym mówię im o niej, wyrażam ją gestami. I często je przytulam. Nigdy, przenigdy nie chciałabym, aby zwątpiły, że je kocham. Jeśli o to chodzi, bardzo różnię się od mojej mamy. Moje dzieci wiedzą, że są kochane. Proszę je zapytać, na pewno panu



powiedzą. – Czy byłam zbyt pewna siebie? Nie, w takiej kwestii nie mogłam się mylić.

– A zatem pani matka pracowała co dzień przez wiele godzin. Czy nie miała pani o to do niej żalu?

– Rozumiałam konieczność. Wiedziałam, że nie ma wyjścia.

– Ale czy nie miała jej pani tego za złe?

Nie chciałam mieć jej tego za złe. Connie tak bardzo starała się zapewnić nam znośne życie, że krytykowanie jej wydawało się czarną niewdzięcznością. Były jednak momenty, gdy czułam się przerażona – bo posprzeczałam się z koleżankami, martwiłam się o pieniądze, miałam pierwszą miesiączkę – i chciałam zwinąć się w kłębek blisko niej. Tylko, że jej nie było. – Czasami. Gdy czułam się osamotniona.

– I martwi się pani, że pani dzieci czują to samo?

– Nie. Sytuacja jest inna. Po pierwsze, ja miałam tylko matkę. Gdy szła do pracy, zostawałyśmy zupełnie same. Po drugie, nie miałyśmy żadnych zajęć pozalekcyjnych. A po trzecie, nie mogłyśmy do niej dzwonić.

– Nie mogłyście?

– Jej szef tego nie lubił. Moje dzieci mogą dzwonić do mnie, kiedy tylko zechcą. Nawet zachęcam je do tego. A podczas wakacji z przyjemnością odwiedzają mnie w pracy.

– Nie przeszkadzają pani?

– Nie.

Chyba mi nie wierzył, zapytał bowiem, uśmiechając się lekko:

– Czy kiedy były małe, nie zdarzało się, że miała ich pani dosyć?

– Dosyć?

Uśmiechał się dalej.

– To takie powiedzenie. Wie pani, co mam na myśli. Te ciągle sprzeczki i rozbite kolana.

– Oczywiście, zdarzało się, ale...

– Cierpliwość. Ile punktów?

– W stosunku do dzieci? Dziewięć i pół.

– To zadziwiające, że nigdy nie pomyślała pani o nauczaniu. Z taką cierpliwością... Odwzajemniłam uśmiech.

– To, że jestem cierpliwa w stosunku do własnych dzieci, nie oznacza, że byłabym równie cierpliwa w stosunku do cudzych.

– Czy zawsze chciała pani mieć tylko dwójkę?

– Tak.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, że to w sam raz. Przy dwojgu dzieciach ma się dość czasu, by zająć się każdym indywidualnie. A poza tym dzieci kosztują. Kiedyś nawet się nam nie śniło, że aż tak się nam powiedzie.

– Czy dlatego odkładała pani macierzyństwo? – A widząc chmurny wyraz mojej twarzy, wyjaśnił: – Nie była pani już taka młoda, kiedy urodził się pani syn.

– Miałam trzydzieści jeden lat. To nie tak dużo.

– Lecz wyszła pani za męża, mając dwadzieścia pięć. Powiedziała pani, że zrezygnowała wówczas z pracy i zaczęła działalność na własny rachunek. Mogła pani zatem dowolnie dysponować czasem. Dlaczego więc nie zdecydowała się pani na dziecko?

Nie wiedziałam, do czego zmierzał, ale nie podobało mi się to.

– Czulałam, że potrzebujemy trochę czasu dla siebie, Dennis i ja – powiedziałam ostrożnie.

–I on się z tym zgodził?

- W każdym razie nie protestował. Był zbyt zajęty rozwijaniem firmy.
  - Jeżeli był taki zajęty, to i tak nie mógł spędzać z panią czasu.
  - Mieliśmy to, o co nam chodziło. Czy te pytania mają sens, doktorze Jenovitz? Nie widzę związku z tym, jaką jestem teraz matką.
  - Mają związek z pani nastawieniem do macierzyństwa.
  - Jak to?
  - Niektóre kobiety pragną dzieci, ale nie mogą znieść ich obecności.
  - Nie jestem jedną z nich.
  - Więc proszę mi wyjaśnić, dlaczego usunęła pani ciążę.
- Jaką znów ciążę – chciałam krzyknąć.

Lecz, oczywiście, wiedziałam, o jaką ciążę mu chodzi. Ten fakt mógł sobie drzemać pogrzebany głęboko w podświadomości, ale kobieta nigdy nie zapomina aborcji. Może udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, może trzymać to w tajemnicy przed matką, siostrą i nawet najbliższymi przyjaciółmi, lecz nigdy o tym nie zapomni.

Rozumiałam to. Nie rozumiałam jedynie, dlaczego, po tylu latach milczenia, mój mąż uznał za stosowne poruszyć ten temat właśnie teraz.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Moje milczenie nie oznaczało zaprzeczenia. Byłam zbyt zaskoczona, by się odezwać, a potem, gdy moje myśli zaczęły gonić jedna drugą, zbyt oszołomiona.

W końcu Jenovitz zapytał:

– Czyżbym dotknął bolącego miejsca?

– Bolącego miejsca. Owszem, z pewnością tak właśnie można by je określić. Kto panu o tym powiedział?

– O tej aborcji? – Wydawało mi się, że z lubością powtarza to słowo, choć mogłam to sobie po prostu tylko wyobrazić. Bolesne miejsce... – Tak, rzeczywiście – odczuwałam ból na sam dźwięk tego słowa, na samo jego wspomnienie.

– Skąd się pan dowiedział? – zapytałam znowu.

– To nie ma znaczenia – powtórzył i rozsiadł się wygodnie, czekając na moje wyjaśnienia.

Lecz ja nie miałam zamiaru niczego wyjaśniać, przynajmniej dopóki nie usłyszę tego, co chciałam. Oszołomienie zaczęło przeradzać się w podejrzliwość i gniew. – Ta aborcja miała miejsce dawno temu. Dennis wie, jakie to było dla mnie bolesne. Nie mówiliśmy o tym, nawet nie wspominaliśmy, przez lata. To była taka niepisana umowa. Jestem zdumiona, że zdecydował się to teraz wyciągnąć.

– On tego nie wyciągnął. Przeczytałam o tym w dokumentach, które otrzymałam razem ze sprawą.

– Więc sędzia wiedział? – Niekoniecznie. Gdyby Selwey wiedział o aborcji, z rozkoszą wyciągnąłby to na światło dzienne.

– Nie wiem, co wiedział sędzia – stwierdził Jenovitz. – To nie moja sprawa. Wiem tylko, że dokumentacja medyczna przysłała razem z innymi papierami.

Dokumentacja medyczna. Dokumentacja medyczna?

– Coś takiego istnieje, chyba wie pani o tym.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałam. To znaczy, domyślałam się, że gdzieś w jakichś starych aktach może być coś takiego, ale czy nie są to dokumenty poufne? Nie wiedziałam, że ktoś może sobie w nich grzebać do woli, a nawet zrobić kopie i dać je sędziemu lub panu.

– Wolałaby pani, żeby tego nie zrobił?

Mogłam się tylko roześmiać, tak absurdalne było to pytanie.

– Oczywiście, że bym wolała. Ciężko przeżyłam tę aborcję zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Nie było to coś, na co bym się zdecydowała...

– Proszę mi wybaczyć, pani Raphael, lecz jednak się pani zdecydowała. – Położył dłoń na dokumentach. – Zgodnie z tym, co tu napisano, aborcja nie była konieczna. Po prostu zdecydowała się pani przerwać ciążę.

– Po prostu? – Czulałam, że mówię coraz głośniej, ale nie miałam ochoty się hamować. – Nie było żadnego „po prostu”. To była bardzo trudna decyzja.

– Którą pani jednak podjęła.

– Którą mój mąż i ja podjęliśmy.

– On twierdzi co innego.

– Słucham?

– Pani mąż twierdzi, że chciał tego dziecka, lecz pani stanowczo obstawała przy odłożeniu macierzyństwa.

Siedziałam jak ogłuszona. I zraniona do żywego. W końcu wyprostowałam się i powiedziałam:

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie chodziło o to, że nie chcę dziecka. Kobieta rzadko decyduje się na aborcję z tego powodu. Chce dziecka, ale okoliczności jej życia zmuszają ją do podjęcia takiej decyzji.

– A jakież to były okoliczności w pani przypadku? Mąż zarabiał na przyzwoite utrzymanie.

– Nie chodziło o pieniądze. Przechodziliśmy właśnie trudny okres. Nie byłam pewna, czy nasze małżeństwo przetrwa, a nie chciałam wychowywać dziecka sama.

– To właśnie byłoby takie trudne?

– Emocjonalnie, tak. Byłam zdecydowana wychować dzieci w innych warunkach, niż wychowywano mnie.

– W pełnej rodzinie.

– W poczuciu bezpieczeństwa.

– Pani małżeństwo było aż tak zagrożone?

– Tak mi się wówczas wydawało. Pobraliśmy się niedawno i szybko pojawiły się problemy. Całą energię skierowałam na ratowanie tego związku. To nie był dobry czas na dziecko. Dennis zgodził się ze mną.

– A zatem aborcja była pani pomysłem?

– Nie, prawdę mówiąc, był to pomysł Dennisa.

– On mówi co innego.

– Oczywiście, nietrudno się domyślić. Wykopał spod ziemi te akta, by udowodnić, jaką jestem parszywą matką, a teraz robi z siebie świętego. Tylko, że to nie było tak. Dennis nie jest niewinny. Nasze kłopoty wynikły z powodu czegoś bardzo złego, co zrobił. Nie mówił panu o tym?

– Nie.

Moje wahanie trwało zaledwie sekundę. Dennis ujawnił sprawę aborcji, ja mogę ujawnić to. Ząb za ząb. Muszę odzyskać dzieci.

– Na kilka lat przed naszym ślubem Dennis miał romans z mężatką, żoną swego szefa. Kiedy to się skończyło, zaczęła go szantażować, grożąc, że powie o wszystkim mężowi, a ten wyrzuci Dennisa z pracy, z wilczym biletem na dodatek. Więc co miesiąc posyłał jej czek. Odkryłam to po roku małżeństwa. Być może nie byłoby to takie okropne, gdyby szczerze przyznał się do wszystkiego, lecz nawet kiedy pokazałam mu zrealizowane чеки, zaczął wymyślać jakieś historyjki. Cudzołóstwo i szantaż. Trudno mi było się z tym pogodzić.

Jenovitz wpatrywał się we mnie z uwagą.

– Do tego czasu uważałam go niemal za ideał.

Skinął głową.

– A potem nagle straciłam złudzenia. Pomyślałam, że Bóg wie, co jeszcze przede mną ukrywa. Dennis co prawda zaprzeczał, ale przekonałam się już na własnej skórze, jak bardzo potrafi być przekonujący, gdy tylko chce.

Jenovitz uniósł brwi.

– W naszym związku pojawiło się napięcie. Poznałam Dennisa od strony, której istnienia nawet nie podejrzewałam. Kłóciliśmy się wówczas często – także tego wieczoru, gdy wrócił z pracy, a ja powiedziałam mu, że jestem w ciąży. – Teraz, kiedy drzwi zostały otwarte, cała ta scena stanęła mi przed oczami. – Najpierw obwinił mnie, że ośmieliłam się zająć w ciążę, jak gdybym zrobiła to sama. Powiedział, że nasz związek był bardzo udany, dopóki nie zaczęłam wyolbrzymiać problemów. A potem zasugerował – on zasugerował – że jeśli nie chcę dziecka, to mogę zrobić skrobankę. Więc z technicznego punktu widzenia, to on pierwszy o tym wspomniał, nie ja.

– Ale to pani wszystko zaaranżowała.

– Tak. Po miesiącu nieprzespanych nocy i ciągłych rozterek. To ja ustaliłam termin i tak dalej, ponieważ to ja byłam w ciąży, lecz Dennis poszedł

ze mną i był w pobliżu podczas zabiegu. Więc jeśli sądzi pan, że aborcja, dokonana trzynaście lat temu, mówi coś o tym, jaką jestem dzisiaj matką, to muszę zwrócić pańską uwagę, że Dennis ponosi tu taką samą odpowiedzialność, jak ja. Co więcej, po urodzeniu się Kikit mój mąż poddał się sterylizacji. I jak to świadczy o jego pragnieniu posiadania dzieci?

– Sterylizacja i aborcja to dwie różne rzeczy. Sterylizacja ma na celu zapobieżenie poczęciu, podczas gdy podczas aborcji zabija się coś, co już zostało poczęte.

Żałowałam, że o tym wspomniałam. Podniosłam dłoń.

– Nie kłóćmy się. Chodzi o rodzicielstwo. A żadna z tych rzeczy – ani aborcja, ani sterylizacja nie mówią nic o tym, jakimi jesteśmy rodzicami.

– Więc dlaczego wspomniała pani o sterylizacji?

– Ponieważ pan wspomniał o aborcji! I – dodałam – ponieważ było to coś, co Dennis zrobił bez porozumienia ze mną. Dowiedziałam się o tym na dwa dni przed planowanym zabiegiem, gdy wszystko już było zaaranżowane. I jak to świadczy o Dennisie? A romans z mężatką? Jeżeli był na tyle poważny, aby stanowić powód szantażu, to musiało być naprawdę coś. Jak to o nim świadczy?

– Boże, ale z pani wojownicza kobieta!

– To wy uczyniliście mnie taką! Nawet nie wspomniałabym o tym romansie. Miał miejsce lata temu, podobnie jak aborcja. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że może mieć ona coś wspólnego z tym, co dzieje się dzisiaj, lecz pan najwidoczniej tak właśnie uważa. Więc co, mam siedzieć cicho? Każda historia ma co najmniej dwie wersje. Czy nie mogę przedstawić swojej? Mam milczeć, kiedy wyciąga pan wnioski, które nie mają nic wspólnego z prawdą? I kiedy mój mąż przychodzi tu i łże w żywe oczy? To nie ja zaczęłam całą tę



sprawę. Wojownicza? Do diabła, pewnie że tak. Walczę o moje dzieci, doktorze. Jak mam to robić inaczej?

Dopiero za trzecim razem udało mi się dopaść Dennisa, i to w samochodzie. Byłam zbyt wściekła, aby zawracać sobie głowę powitaniem.

– Wracam właśnie ze spotkania z Jenovitzem – napadłam na niego. – Kto upoważnił cię do wykopania tej dokumentacji medycznej?

– Jakiej dokumentacji medycznej? – spytał Dennis, a Kikit zaczęła wołać z tylnego siedzenia.

– Mamusiu, czy to ty? Cześć, mamusiu. Nigdy nie zgadniesz! Będę śpiewała solo podczas występu w Święto Dziękczynienia. Przyjdziesz, prawda? To będzie we wtorek przed świętem, a może w poniedziałek, nie wiem jeszcze, ale musisz przyjść.

Usłyszałam kliknięcie, a potem głos Dennisa, wyraźniejszy teraz, gdy wziął słuchawkę do ręki.

– Jakie akta medyczne?

– Te związane z aborcją.

– Siedź spokojnie, Claro Kate! Porozmawiasz z nią, kiedy ja skończę!

– Ta aborcja miała miejsce wieki temu – powiedziałam. Siedziałam w samochodzie przed biurem Jenovitza. –I nie ma nic wspólnego z tym, jaką matką jestem teraz, ani jakim ty jesteś ojcem. To była nasza wspólna decyzja. No dobrze, z początku tego nie chciałeś, ale ja także.

– Uspokój się, Kikit! – zawołał Dennis. – Nie słyszę ani słowa!

– Ja też tego nie chciałam, ale nie wiedziałam, czy nasze małżeństwo przetrwa, a gdybyśmy się rozwiedli, dziecko by na tym ucierpiało. Wiedziałeś o tym równie dobrze, jak ja. Co za bezczelność, żeby wywlekać tę sprawę, nie wspominając Jenovitzowi, co było przyczyną naszych kłopotów. I odmalować

siebie jako świętego, a mnie jako łajdaczkę. No cóż, powiedziałam mu, Dennis. Powiedziałam mu o Adrienne.

– Mówiłaś, że to nie ma związku.

– Podobnie jak aborcja. Jeżeli to, że przerwałam ciążę mówi coś o mnie, to twój romans z Adrienne mówi coś o tobie. Ty nie rozumiesz, Dennis. Chcę odzyskać dzieci i zrobię w tym celu wszystko, nawet to, czego nigdy bym nie zrobiła w innych okolicznościach.

– Co do tych akt – powiedział Dennis zadziwiająco spokojnym głosem – to nie ja je ujawniłem.

– Jeśli nie ty, to kto? Art Heuber? A może Phoebe? Skąd którekolwiek z nich by wiedziało, że trzeba szukać czegoś takiego, gdybyś im nie powiedział? Czy powiedziałeś im także o Adrienne?

– To było wieki temu.

– Tak jak aborcja!

– Kikit! Claire, nie mogę sobie poradzić. Porozmawiaj ze swoją córką.

– Mamusiu, pójdziemy do cyrku w sobotę? Powiedziałaś, że musisz uzgodnić to z tatusiem. Ale dlaczego nie, tatusiu? Nie, nie zjem niczego, czego nie powinnam. Nie, nie chorowałam każdego wieczoru w tym tygodniu, tylko tak mówiłam. Cała moja klasa idzie. I Johnny'ego. Możemy? Musimy zdecydować się teraz, nie później. Ja idę, mamusiu. Nie obchodzi mnie, co mówi tatuś. Kiedy się zobaczymy? Mam ci tyle do pokazania!

Widziałam się z nią co prawda wczoraj po południu, lecz także mnie się wydawało, że od tego czasu minęły wieki. Pragnęłam, aby ta historia z separacją była już poza nami – choć w głębi duszy obawiałam się, że moja kłótnia z kuratorem tylko pogorszyła sprawę.

Nie byłam umówiona z Carmen, ale zdenerwowanie nie pozwoliło mi siedzieć spokojnie, pośpieszyłam więc do jej biura. Wprowadzono mnie do sali

konferencyjnej i polecono zaczekać. Nim Carmen do mnie dotarła, byłam już wściekła na siebie nie mniej niż na Dennisa.

– Schrzałam to – stwierdziłam, gdy już opowiedziałam jej, co zaszło. – Powinnam być pokorna, zgodna, zapewniać, że mi przykro. Ale byłam wściekła – nadal jestem – na Jenovitza, który osądza mnie niczym matka – za coś, co wydarzyło się tak dawno temu – i na Dennisa za to, że kłamie. Przykro mi, Carmen, pogorszyłam sprawę, lecz nie mogłam tam siedzieć, nie broniąc się. Czy to już koniec? Stracę dzieci?

– Nie – odparła. – Mamy w zapasie nieco amunicji. Rano złożyłam wniosek do Sądu Apelacyjnego. Powinni wyznaczyć nam przesłuchanie jeszcze w tym tygodniu. – Wyglądała na zmartwioną.

– Wiem. Takie apelacje rzadko zostają uwzględnione. Lecz potem możemy walczyć dalej w sądzie federalnym, prawda?

– Tak, ale to wszystko wymaga czasu. Jenovitz mógłby zakończyć całą tę sprawę. – Spochmurniała.

– Masz rację. Usunięcie przed laty ciąży nie ma nic wspólnego z tym, jaką dziś jesteś matką. Nie wiem, po co Jenovitz w ogóle to wyciągał.

– On mnie nie lubi. Od razu mu się nie spodobałam, a potem było coraz gorzej. – Obawy zwyciężyły rezerwę. – Ma zamiar wypowiedzieć się przeciwko mnie. Czuję to. Oczywiście, kiedy w końcu zdecyduje się wypowiedzieć. Za każdym razem, gdy pytam go, kiedy ma zamiar porozmawiać z dziećmi, mówi, że nie jest jeszcze gotowy. Sądziłam, że po dzisiejszym dniu skończy ze mną, ale powiedział, że potrzebuje jeszcze jednego spotkania i wyznaczył termin dopiero za dwa tygodnie, ponieważ nie będzie go w przyszłym tygodniu.

Oznacza to, że spotka się ze mną na trzy dni przed Świętem Dziękczynienia. A jeśli nie wyznaczył jeszcze nawet terminu spotkania z

dziećmi i nadal chce się spotykać ze mną i z Dennisem, to jak ma zamiar zdążyć przygotować opinię przed końcem miesiąca? Miałam nadzieję, że do tego czasu wszystko się skończy. Czułam, jak ogarnia mnie histeria. A to, co powiedziała Carmen, tylko pogorszyło sprawę.

– Sąd może dać Jenovitzowi więcej czasu, jeśli o to poprosi.

– Jak wiele czasu?

– Jeszcze dwa miesiące? – powtórzył Brody, gdy powiedziałam mu, co usłyszałam od Carmen. Podobnie jak ja, nie mógł w to uwierzyć. – Dziewięćdziesiąt dni, żeby zdecydować, czy można powierzyć ci opiekę nad dziećmi? To najbardziej niemądra rzecz, o jakiej słyszałem. Nikt, kto ma odrobinę oleju w głowie, nie potrzebowałby więcej, jak dziewięć dni. Co ten facet do diabła wyprawia?

Byliśmy w mojej pracowni. Przyszłam tu po powrocie z Bostonu. Ponieważ Brody zajmował się interesami, postanowiłam popracować trochę nad stołem i fotelem. Jednak ani znajomy zapach rozgrzanego drewna, ani gładki dotyk wikliny nie przyniosły mi ukojenia. Oba meble, pełne dziur po usuniętych prętach, stały przede mną nietknięte.

Podeszłam do okna i zapatrzyłam się w noc. Czułam się okropnie. – Nie rozumiem tego – powiedziałam. – To pierwsze orzeczenie było pomyłką, a mimo to nie potrafimy go zmienić. Carmen robi, co może, ja robię, co mogę, lecz nic nie skutkuje. Jeszcze dwa miesiące – nie wiem, jak zdołam to znieść. Nie dość, że tęsknię za dziećmi, że nie mogę być przy mamie, to gniew, uczucie bezsensu i niesprawiedliwości po prostu mnie zabijają.

Brody podszedł bliżej. Nie dotknął mnie, lecz jego ciepło było niczym lina ratunkowa.

– To śmieszne, jak sprawy zataczają pełny krąg – zauważyłam. – Kiedy decydowałam się na aborcję, przerażało mnie posiadanie dziecka. Sądziłam, że

nasze małżeństwo nie przetrwa, a wtedy skończę jak moja matka, z dzieckiem i niczym więcej. No i sprawdziło się, przynajmniej co do rozwodu. A może mam stracić teraz dzieci, ponieważ nie chciałam ich mieć wtedy?

Delikatnie odgarnął mi z czoła kosmyk, a jego dotyk był niczym szept.

– Nie stracisz dzieci. W końcu wszystko się ułoży.

– Chciałabym w to wierzyć – powiedziałam, wbijając palce we framugę okna. – Ale nic o tym nie świadczy, a ja nic nie mogę zrobić. – Pomyślałam o wcześniejszej rozmowie z Jenovitzem. – Być może rzeczywiście jestem osobą, która lubi kontrolować bieg spraw.

– W stosunku do mnie nigdy taka nie byłaś, nie w negatywnym sensie.

– Ty jesteś silny. Nie pozwoliłbyś na to. Lecz Dennis to co innego. Może rzeczywiście zbyt nim rządziłam. Bez przerwy myślę o tym, jak sugerował separację. Przekonywałam go, że zbyt wiele nas łączy, że go kocham, a poza tym należy wziąć pod uwagę dzieci. On zwykle powtarzał wtedy, że wszystko co dobre pomiędzy nami dawno się skończyło, ja twierdziłam, że wcale nie i że znów może tak być. I było, przez jakiś czas po każdej takiej rozmowie. Oboje się staraliśmy. Być może ja nieco więcej niż on, ponieważ to ja nie chciałam rozwodu. Więc co, czy twoim zdaniem naprawdę tak bardzo lubię rządzić?

– Nie, Dennis mógł się bardziej upierać. Albo po prostu się wyprowadzić. Nie był przykuty do domu łańcuchami.

– No cóż – westchnęłam – gdy w końcu zaczął działać, to na całego.

– I to nie na jednym polu – powiedział Brody.

Spojrzałam na niego.

Zniżył głos, być może, żeby nie wybuchnąć.

– Pamiętasz, co mówiłaś mi o powodach, dla których Dennis pragnie Wiklinowego Kącika? Miałaś rację. Chce udziału w firmie, by móc ją sprzedać i kupić coś innego. Prawdę mówiąc, już zaczął negocjacje.

Zapało mi dech.

– Chodzi o Pittney Communications. To firma telekomunikacyjna ze Springfield, mała, lecz prężnie się rozwijająca. Jeden z głównych udziałowców zmarł w lipcu, a wdowa rozgląda się za kimś, kto chciałby odkupić jego udział. Jeżeli Dennis zaaranżował tę sprawę z rozwodem dla pieniędzy, to by się wszystko zgadzało. Spotkał się z pozostałymi partnerami pod koniec sierpnia.

– Byliśmy wtedy u mamy, a on powiedział, że jedzie łowić ryby.

– I rzeczywiście, łowił, tyle że nie pstrąga. Myślałam, że nic już nie potrafi mnie zranić, ale myliłam się. Brody musiał zdać sobie z tego sprawę.

– Posłuchaj – spróbował – być może nie miał zamiaru kupować tego dla siebie, ale chciał stworzyć grupę. Firmy telekomunikacyjne to gorący towar. Popyt na ich usługi ciągle się zwiększa.

Ale oboje znaliśmy prawdę. Ja zaś chciałam, żeby wypowiedziano ją głośno. Byłam już zmęczona patrzeniem na świat przez pryzmat moich pobożnych życzeń. W ten sposób stałam się dla Dennisa tłustą gęsią, śmiesznie łatwą do upolowania. Ale dość tego.

– Chciał tych udziałów dla siebie – powiedziałam. – Wszystko na to wskazuje. Od miesięcy naradzał się z adwokatami i prawdopodobnie szukał odpowiedniej firmy, do której mógłby wejść. Gdyby nie znalazł jej w sierpniu, to znalazłby później, a gdyby nie była to firma ze Springfield, znalazłaby się inna. Dennis knuł za moimi plecami, a ja niczego nie spostrzegłam. Gdzie ja, u diabła, byłam?

Lecz rozpaczanie nad swoją łatwownością nie mogło mi teraz w niczym pomóc.

– Obszczekuje nie to drzewo – oświadczyłam stanowczo. – Moja firma nie jest na sprzedaż.

– A jeśli ceną będzie prawo do opieki nad dziećmi?

Kikit i Johnny to krew z mojej krwi i kość z kości. Wiklinowy Kącik znaczył dla mnie wiele, lecz nie aż tak wiele. Mogę żyć bez firmy. Lecz nie bez moich dzieci.

– Jeżeli będzie chciał pieniędzy – powiedziałam – dam mu je.

– Połowę wartości firmy? Tyle mu potrzeba, by kupić udziały w Springfield. Musiałabyś zaciągnąć poważne pożyczki.

– To się da zrobić.

– A poza tym – dodał głosem, w którym bez wątpienia dało się wyczuć gniew – nie sądzę, aby chodziło mu tylko o pieniądze. On pragnie satysfakcji, że zmusił cię do sprzedaży.

– Ale ja nie mam zamiaru sprzedawać – zaczęłam, czując się coraz bardziej przyciśnięta do muru. – Carmen będzie negocjować. To, co proponuje Heuber, to tylko punkt wyjścia. – Jednak tam, gdzie chodziło o dzieci, nie miałam wielkiego pola manewru. Dennis mógł wymusić na mnie, co tylko by zechciał. Musiałam coś zrobić.

Brody dotknął moich włosów, a potem cofnął dłoń. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Podeszedł do schodów, usiadł na stopniu i wyprostował nogi.

– Powiedz coś, Brody – poprosiłam.

– Nie wykorzystywałaś jeszcze wszystkich możliwości. Pamiętam, że nigdy nie byłaś całkowicie pewna, czy w tym szantażu Adrienne chodziło tylko o romans. Zawsze podejrzewałaś, że było w tym coś jeszcze.

– A ty nie?

Wzruszył ramionami.

– Krążyły różne plotki. Ludzie się zastanawiali, i to wszystko. Dennis osiągnął sukces naprawdę błyskawicznie, a potem zaczął zniżać loty i nigdy nie wrócił do formy.

Tamte myśli. Dawno pogrzebane obawy. Podejrzenia odsunięte, by chronić małżeństwo. Westchnęłam głęboko.

– Być może nie mam racji, wyciągając to teraz – powiedział Brody – lecz on próbuje cię załatwić. Nie sądzę, żebym był w stanie mu wybaczyć.

– A co, jeśli to Phoebe pociąga za sznurki? – spytałam. W głębi duszy ciągle miałam nadzieję, że to nie Dennis okaże się czarnym charakterem.

– Dennis jest dużym chłopcem. Jeżeli rzeczywiście pozwala, żeby Phoebe odwalala za niego brudną robotę, powinien podwójnie się wstydić. Byłaś jego żoną przez piętnaście lat. Gdzie jego szacunek? Gdzie lojalność? Jeżeli to rzeczywiście Phoebe podsuwa mu takie pomysły, powinien zaprotestować. A skoro tego nie zrobił, ponosi odpowiedzialność na równi z nią.

W głębi duszy dobrze zdawałam sobie sprawę, że Brody ma rację. Wiedziałam także, że jeśli Dennis stosuje się do wskazówek Phoebe, postępuje zgodnie ze swoim charakterem. Przez lata zgadzałam się z tym, co ja mówiłam. Nie forsował swojego zdania, nawet go nie przedstawiał. Musiał mieć kogoś, za kim mógłby podążać. Teraz zaś albo miałam rację i moją rolę przejęła Phoebe, albo jego zła wola była wynikiem wyłącznie jego własnego wyboru.

Problem polegał na tym, że w tej chwili sprawy wyglądały inaczej. Miałam dzieci, o których musiałam myśleć. Brudne gierki to nie był mój ulubiony sposób postępowania. Lecz jaki miałam wybór?

Podeszłam do Brody'ego i objęłam go za szyję. Nie odezwał się, jedynie spojrzął na mnie. I to nawet nie pytająco. Jeżeli chciał wiedzieć, co postanowiłam, to niczym nie dał tego po sobie poznać. W jego oczach widziałam jedynie troskę.

Przysunęłam się jeszcze bliżej.



– Obejmij mnie – szepnęłam. – Potrzebuję wsparcia. – Kiedy otoczył mnie ramionami, pocałowałam go najpierw raz, a potem drugi. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na odczuciach, płynących z trzeciego pocałunku. Bezwarunkowo była to największa i zarazem najprostsza przyjemność, jakiej zaznałam od czasu pocałunku na lotnisku. Więc pogrążyłam się w niej, rozmyślając o tym, jak niewiele było w moim życiu tak prostych przyjemności.

Nie, żebym była zupełnie ich pozbawiona. Skądże. Przeżyłam mnóstwo miłych chwil, lecz żadna nie była taka jak ta. Tak słodka, sekretna i jedyna w swoim rodzaju.

Dennis twierdził, że w łóżku jestem do niczego. Brody myślał o mnie coś wręcz przeciwnego, choć nie wyrażał tego słowami. Aby mnie o tym przekonać, wystarczył jego przyśpieszony oddech, jego niecierpliwość, pożądanie, które w nim wyczuwałam i które dorównywało mojemu.

Więc pozwoliłam tej chwili trwać, aż wreszcie nie mogłam już tego znieść. Wszystko we mnie błagało o więcej. Pożądałam go tak silnie, że aż mnie to przerażało.

Musiałam jednak zachować rozsądek.

Odetchnęłam głęboko kilka razy, czekając, aż ustanie wewnętrzne drżenie, a potem po prostu przytuliłam się do Brody'ego, czerpiąc przyjemność z samego przebywania w jego ramionach. Bez żadnych warunków. I zobowiązań. Wyłącznie przyjemność płynąca z bliskości jego ciała i świadomości, że jestem kochana.

Jakie to dziwne, że przez tyle lat przebywałam blisko niego i nawet nie pomyślałam o czymś podobnym.

– Musiałam być ślepa – szepnęłam.

– Nie – odparł również szeptem, jakby czytał w moich myślach. – Tylko zameżna.

No właśnie. Nadal byłam. Świadomość tego sprawiła, że moje problemy znów do mnie wróciły. Przyłgnęłam do Brody'ego jeszcze na chwilę, a potem odsunęłam się.

– Muszę lecieć. I zastanowić się nad czymś.

– Musisz także coś zjeść. Co powiesz na kolację?

Uśmiechnęłam się, lecz przecząco pokręciłam głową.

– Pożywię się w domu.

–Czym?

– Płatkami kukurydzianymi z cukrem.

– Chodź ze mną. Zrobię ci prawdziwą kolację.

– Nie kuś.

– Wiem, co mówię.

– Zdaję sobie z tego sprawę i na tym właśnie polega problem.

Dennis nie przyrządził mi posiłku ani razu podczas naszej osiemnastoletniej znajomości. Nie miał zamiaru mnie rozpieszczać.

Podbiegłam szybko do miejsca, gdzie siedział Brody, pocałowałam go delikatnie na pożegnanie i wyszłam. Musiałam to zrobić, zanim zapomnę, co sobie zamierzyłam.

Wróciwszy do latarni, rozsiadłam się wygodnie na pokrytej wykładziną podłodze i ze wzrokiem skierowanym na morze wróciłam myślami do pierwszego poważnego kryzysu w naszym małżeństwie.

Jak bardzo wtedy cierpiałam! Nie chciałam zaufać Dennisowi, obawiając się, że jeszcze coś przede mną ukrywa, ale on walczył o nasze małżeństwo. Bronił go, tak jak później broniłam ja. Przysięgał, że mnie kocha. I że powiedział mi wszystko.

Być może była to prawda. Lecz niekoniecznie.

Zeszłam na dół, wzięłam z saloniku pudło z dokumentami i zaczęłam przerzucać jego zawartość. Znajdowały się tutaj głównie dokumenty z czasów, gdy zaczynałam rozwijać firmę. Lecz teczka, której szukałam, nie miała nic wspólnego z Wiklinowym Kącikiem. Zawierała skasowane czeki i list z nekrologiem.

Jeżeli miałam jeszcze jakieś wątpliwości co do posługiwania się metodami, których nie pochwalałam, to znikły one nazajutrz rano, gdy zatelefonowała do mnie Carmen z wiadomością, że Morgan natknął się na prawdziwą żyłę złota.

– Zgodnie z tym, co zapisał w kalendarzu, Dennis powinien był być w lipcu w Vermont. Morgan skonfrontował ten zapis z meldunkami hotelowymi i rachunkami, płaconymi kartą. Rzeczywiście, Dennis był w Vermont w lipcu, tylko że nie odbywało się tam wówczas żadne seminarium, a przynajmniej nie w promieniu stu mil od motelu, w którym zamieszkał – bardzo dosłownie zamieszkał, ponieważ nie opuszczał pokoju na dłużej niż godzinę od czasu do czasu, i to przez cały okres pobytu. To nie był hotel, lecz motel, do tego mały, więc właściciel i recepcjonista nie mieli kłopotu z rozpoznaniem na zdjęciu Dennisa. A także Phoebe. Nie wymagało to nawet specjalnych starań. Wygląda na to, że pozazdrościli im obojgu samochodów i dlatego ich zapamiętali.

Z pewnością były to dobre wiadomości, mimo to nie uszczęśliwiły mnie. Lipiec. Na samą myśl o tym czułam mdłości. I gniew.

Powiedziałam już Carmen o Adrienne, a teraz podzieliłam się z nią moimi podejrzeniami.

Dwa dni później umówiliśmy się z Morganem w małej kawiarence bez nazwy w Charlestown, w pobliżu jego biura. Zasiedliśmy wszyscy w przytulnym kąciku, zaopatrzeni w kawę i słodkie bułeczki. Morgan, wysoki mężczyzna o jasnych włosach i jasnej cerze, prawdopodobnie Szwed z

pochodzenia, okazał się człowiekiem miłym, schludnym i spostrzegawczym. Przez większą część spotkania przysłuchiwał się temu, co mówiłam i robił notatki.

– Po ukończeniu szkoły biznesu Dennis przyjął pracę w firmie inwestycyjnej z Greenwich. To było stanowisko średniego szczebla, lecz zapewniało możliwość awansu, gdyby zajmujący je pracownik się sprawdził. Dennis postanowił, że się sprawdzi. Miał zamiar zostać milionerem przed czterdziestką. Nie pracował tam zbyt długo, gdy poznał żonę jednego ze wspólników. Była od niego o wiele starsza, ale atrakcyjna.

– Czy jej małżeństwo przechodziło kryzys? – spytała Carmen.

– Tak powiedziała Dennisowi, lecz on się dowiedział, że nie była to prawda. Żyła ze swoim mężem i nie miała zamiaru się rozwodzić. Po prostu lubiła romanse. Dennisowi, młodemu egocentrykowi, bardzo to pochlebiało. Nie mógł uwierzyć, że ta wspaniała, światowa kobieta wybrała właśnie jego. Sądząc z tego, jak opowiadał mi o wszystkim, miał poczucie, że robią coś złego, ale powiedział sobie, że jeśli oboje wchodzi w to z otwartymi oczami, wszystko jest w porządku.

– Spotykałaś się już wówczas z Dennisem? – znowu zapytała Carmen. Morgan tylko notował.

– Niezobowiązująco. Dennis kończył wówczas college. Dużo rozmawialiśmy, ale nie spotykaliśmy się częściej niż raz w miesiącu. I jeszcze niczego nie postanowiliśmy.

– I nie żyliście ze sobą? – spytała spokojnie. Przez chwilę przesuwałam dzbanek po stole.

– Owszem, żyliśmy. Ależ byłam naiwna. Nie miałam pojęcia, co dzieje się pomiędzy naszymi spotkaniami.

– A kiedy się dowiedziałaś?

– Po roku małżeństwa.

– Ożenił się z tobą, pomimo że miał romans?

– Och, nie, tamto się skończyło, zanim stanęliśmy przed ołtarzem.

Mogliśmy zrobić to wcześniej, lecz coś nas powstrzymywało. Zawsze sądziłam, że Dennis potrzebował po prostu więcej czasu, aby oswoić się z myślą o małżeństwie, ja zaś musiałam się upewnić, że naprawdę tego chcę. Kiedy teraz o tym myślę, sądzę, że musiało chodzić o Adrienne.

– Adrienne... jak dalej? – spytał Morgan.

– Hadley. – Przyglądałam się, jak zapisuje nazwisko. – Dowiedziałam się o mej przypadkowo, a przynajmniej tak wówczas myślałam. Dopiero potem zdałam sobie sprawę, że to nie był przypadek i że Dennis chciał, żebym się dowiedziała. Inaczej nigdy nie zostawiłby listu od niej razem z resztą rachunków. Wyglądało na to, że płacił jej około tysiąca dolarów miesięcznie. A ona i tak żądała więcej. Pewnie dlatego chciał, żebym wiedziała. Czuł się przyciśnięty do muru.

– A za co właściwie jej płacił? – spytała Carmen.

– Twierdził, że za to, by utrzymała ich romans w tajemnicy. Jej mąż miał jakoby przymykać oczy na zdrady żony, dopóki nie dotyczyło to nikogo związanego z firmą. Mąż miał na imię Lee – powiedziałam do Morgana – mieszkali w Greenwich. Gdyby ten Lee dowiedział się o Dennisie, wyrzuciłby go z firmy. Zagroziła więc, że wszystko mu powie.

– Tysiąc miesięcznie – powiedział Morgan. – To musiało ograniczać jego dochody. Dlaczego po prostu nie rzucił pracy i nie przeniósł się gdzie indziej?

– Ja też go o to pytałam, i to nie raz. Wydawało mi się, że to o wiele prostsze rozwiązanie, niż godzić się na szantaż. On jednak twierdził, że takie coś zrujnowałoby mu karierę, bez względu na to, gdzie by pracował, a poza tym szło mu naprawdę dobrze, firma także rozwijała się dynamicznie. Jednym

słowem, nie była to pora, by rzucać wszystko i zaczynać od nowa. I rzeczywiście, szło mu bardzo dobrze. Doskonale radził sobie z klientami. Zarabiali pieniądze, a on przy nich. W firmie przepowiadano mu błyskotliwą przyszłość. A potem wszystko straciło nagle tempo. Do czasu, gdy dowiedziałam się o szantażu, jego kariera ustabilizowała się. Och, nadal radził sobie zupełnie dobrze, lecz nie był już cudownym dzieckiem. Powiedziałam mu, że nie widzę powodu, aby miał dalej płacić Adrienne. Jeżeli Hadley i Gray nie byli już dla niego tacy ważni, mógł jej powiedzieć, żeby poszła do diabła, i otworzyć własną firmę, prawda?

– A mógłby? – spytała Carmen.

Zaczekałam, aż kelnerka napelni nam filiżanki, i powiedziałam:

– Tak wówczas sądziłam. I w końcu po paru latach tak właśnie postąpił. Wtedy jednak twierdził, że Adrienne zagroziła, iż rozpuści plotkę, jakoby był zamieszany w nielegalne transakcje. I rzeczywiście, nawet przeczytałam o tym w liście, który przysłała. Pisała w nim – niemal dosłownie – że raczej trudno mu będzie znaleźć klientów, jeżeli rozejdzie się pogłoska, że lada moment wniosą przeciwko niemu oskarżenie. Twierdziła, że potrzebuje więcej pieniędzy i że jest zdecydowana na wszystko. Od roku nie widziała męża, a jest poważnie chora. Na stwardnienie rozsiane. I rzeczywiście, umarła w kilka miesięcy później, choć nie na stwardnienie rozsiane, a na raka płuc. Przeczytałam o tym w nekrologu, który przez wszystkie te lata trzymałam w specjalnej teczce, razem z listem i kilkoma zrealizowanymi czekami.

Morgan zapytał o daty – kiedy Dennis rozpoczął pracę w spółce, kiedy miał miejsce romans z Adrienne i kiedy umarła.

– Dlaczego zatrzymała pani te dokumenty? – zapytał w końcu.

– Sama nieraz zadawałam sobie to pytanie. Nie jestem pewna. Chyba myślałam, że trzymanie ich to jakby rodzaj zabezpieczenia i że dopóki mam

dowód na to, co zrobił Dennis, sytuacja nie będzie mogła się powtórzyć. Cała ta sprawa naprawdę mną wstrząsnęła. Byłam młoda i naiwna. Sądziłam, że Dennis jest doskonały, a on wdał się w romans z żoną szefa, i to wtedy, kiedy już spotykał się ze mną. Przestałam mu ufać. Zastanawiałam się nawet nad rozwodem, ale mi go wyperswadował. W końcu znowu zaczęłam mu ufać, chociaż nie nastąpiło to prędko.

Zwróciłam się do Carmen.

– Moja pierwsza ciąża? Zaszłam w nią tuż przed tym, jak znalazłam list Adrienne. Kiedy dowiedziałam się, że będę miała dziecko, mój świat właśnie trząsał się w posadach. Nigdy nie zdecydowałabym się na aborcję, gdybym czuła się choć trochę bardziej bezpieczna.

Carmen spojrzała na Morgana.

– Dokumentacja medyczna, gdzie odnotowano aborcję, jakoś dostała się w ręce Jenovitza. Mąż Claire twierdzi, że nie jest za to odpowiedzialny. Możemy się dowiedzieć, kto jest?

Morgan uśmiechnął się i skinął głową.

A kiedy zaczął mnie pytać, nie miałam kłopotów z przypomnieniem sobie nazwisk i dat. Zbyt mocno wryły mi się w pamięć.

Carmen skierowała moją uwagę z powrotem na zaginione dokumenty z teczki.

– Czy Dennis ma dostęp do latarni?

– Nie, nikt poza mną nie ma klucza. Teczka musiała zostać opróżniona, zanim zabrałam ją z domu. Nie sprawdziłam wtedy jej zawartości, tylko wepchnęłam wszystko jak leci do bagażnika.

– Dennis wiedział o istnieniu teczki?

– Nie sądziłam, że wie, lecz najwidoczniej musiało tak być. Nikt inny nie miałby ani okazji, ani powodu, by ją opróżnić.

– Masz jakiś pomysł, kiedy to mogło się stać?

– Żadnego. Nie otwierałam jej od lat. Mógł to zrobić całe wieki temu. Być może natknął się na nią przypadkiem, a ponieważ nie podobało mu się, że nadal trzymam te dokumenty, po prostu je wyrzucił. A może zrobił to w tym miesiącu, traktując to jako środek ostrożności.

– Środek ostrożności? – spytała Carmen.

– No właśnie – odparłam, spoglądając znacząco na Morgana. – Z pewnością warto by się dowiedzieć.

Wyszłam z kawiarni przekonana, że postępuję słusznie, a mimo to nie wolna od poczucia winy. Niełatwo pozbyć się starych nawyków. Część mnie nadal postrzegała Dennisa jako mojego męża. I ta część czuła, że nie postępuję wobec niego uczciwie.

Kiedy wróciłam do biura, moje poczucie winy jeszcze się wzmogło.

Najpierw zadzwoniła Kikit, skarżąc się, że boli ją brzusek. Ledwie skończyłam wypytywać ją, co zjadła, gdy Dennis odebrał jej słuchawkę i powiedział, że wszystko w porządku. Kiedy znowu udało jej się dopaść do telefonu, rozplakała się, powiedziała, że już jej nie kocham i rozłączyła się. Kiedy zadzwoniłam, natychmiast podniosła słuchawkę. Zaczęłam zapewniać ją o mojej miłości, lecz ona dalej płakała i ten cichy, przerywany czkawką szloch sprawił, że poczułam się jeszcze gorzej. Dennis znów wziął od niej słuchawkę i usłyszałam, jak uspokaja małą. I chociaż wykazywał przy tym zadziwiającą delikatność, w niczym nie poprawiło mi to samopoczucia.

Potem zadzwoniła Rona, odmalowując straszny obraz stanu zdrowia mamy i błagając mnie, żebym przyleciała. Rozmawiałam z mamą rano i nie wydawało mi się, aby jej stan był aż tak ciężki. Rona jednak nie знаła szczegółów mojej sytuacji, nie mogłam więc jej wyjaśnić, dlaczego nie mogę przylecieć.



Czułam się winna, że zdradzam Dennisa, winna, że opuściłam Kikit, że karmię Ronę półprawdami i zaniedbuję matkę.

No i był jeszcze Brody. Czy z jego powodu także powinnam czuć się winna?

Zapatrzyłam się. Na jego dłoń, spoczywającą na biurku. Na muskularne ramię. Na szeroką pierś, tak dobrze widoczną, gdy się przeciągał. I na te długie nogi, odziane teraz co prawda w dżinsy, ale które widywałam nagie dostatecznie często, by zapamiętać porastające je włoski.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Brody uśmiecha się do mnie, jakby doskonale wiedział, co chodzi mi po głowie. Szybko uciekłam spojrzeniem.

W piątek po południu zadzwoniła Carmen z wiadomością, że sędzia dał Heuberowi czas do środy na pisemną odpowiedź na naszą apelację.

Wiedziałam, że należy traktować to jako zwycięstwo, gdyż sędzia mógł w ogóle odmówić bliższego przyjrzenia się postanowieniu wydanemu przez Selweya i na tym zakończyć sprawę. Lecz jego decyzja oznaczała, że przez najbliższych pięć dni nic się nie będzie działo.

Jedna zwłoka za drugą. Kiedy to się wreszcie skończy?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Jak się czujesz, mamó?
- Wszystko w porządku.
- A jak ci minęła noc?
- Nie najgorzej. – Spaaś?
- Owszem, a co ważniejsze, obudziłam się. Wiesz, czasami zastanawiam się...
- Nad czym?
- Dlaczego ciągle jestem. I czy jest w tym jakiś sens.
- Tak. My. Wiesz, ile to dla nas znaczy.
- Jesteś szczęśliwa, Claire? Dobre pytanie.
- Szczęśliwa? – spytałam, myśląc intensywnie.
- Muszę to wiedzieć. Brakuje mi twego uśmiechu.
- Teraz się uśmiecham. Za parę godzin idziemy do cyrku. Dzieciaki są bardzo podekscytowane.
- To dobrze. Wiesz, chodzi o wspomnienia. Co do mnie, to nigdy nie mogłam znieść zapachu zwierząt.
- Roześmiałam się, słysząc tę starą wymówkę.
- Powinnam była jednak was tam zabrać – powiedziała smutno. – Mówiłam, że nie mam pieniędzy, ale to nie była prawda. Po prostu bałam się je wydawać. To jeszcze jedna rzecz, której żałuję.
- Niesłusznie. Rona i ja doskonale obyliśmy się bez cyrku.
- No cóż, ja nie. Leżę tu teraz i myślę, że, być może, zapach zwierząt wcale by mi nie przeszkadzał. Nigdy się tego nie dowiem.
- Widzę, że będę musiała przywieźć ci całą masę pamiątek.
- Kiedy? Tęsknię za tobą.

– Niedługo, mam. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu.

– W poniedziałek? We wtorek?

– W czwartek. Najwcześniejszym samolotem. Przynieść ci coś na śniadanie?

– Och, tak, chętnie – powiedziała z cieniem uśmiechu w głosie. – I może ostatni katalog? Dostałaś go już? Ten z zimową kolekcją?

Wreszcie powiedziała coś, co naprawdę poprawiło mi nastrój. Gdy moja matka przestanie marzyć o koronkowej bieliźnie, będzie to oznaczało, że koniec jest rzeczywiście bliski.

– Przywiozę go, jeśli do tego czasu mi go przyślą –zapewniłam ją. – Mam, kiedy wrócimy, może być już za późno, żeby do ciebie dzwonić. Odezwę się jutro rano, dobrze?

– O ile jeszcze tu będę.

– Na pewno będziesz. Komu innemu mogłabym opowiedzieć, jak okropnie śmierdziały słonie?

O dziesiątej zajechałam pod dom i czekałam, aż dzieci wybiegną. Zwykle stały przed drzwiami, zanim zdążyłam skrócić w podjazd. Dzisiaj siedziałam w samochodzie przez pięć minut, aż wreszcie, zaniepokojona, wysiadłam.

– Aaa, to ty, Claire – krzyknął nasz sąsiad, Malcolm Addis, ze swego podwórka. – Nie poznałem samochodu. Nowy?

Pomachałam mu i krzyknęłam, że tak, lecz nie zatrzymałam się, by z nim pogadać.

– Nie czerwony tym razem?

–Nie.

Nieraz przyjeżdżając po dzieci zastanawiałam się, co właściwie myślą o całej tej sytuacji nasi sąsiedzi. Nawet gdy byłam bardzo zajęta lub dużo

podróżowałam służbowo, i tak widywali mnie częściej. Musieli się domyślać, że dzieje się coś niedobrego.

Zdecydowana nie wyglądać, jakbym miała coś na sumieniu, uniosłam wyżej głowę.

Kiedy weszłam po stopniach, zaczęłam demonstracyjnie szukać kluczy w torebce, bębniąc jednocześnie niecierpliwie dłonią w drzwi.

Dennis otworzył i wprowadził mnie do środka z miną świadczącą o tym, iż jestem jeszcze jedną uciążliwością z całego szeregu, które spotkały go już tego dnia.

– Niezbyt przyjemny poranek – burknął i odwróciwszy się ku schodom, zawołał: – No, dalej, pośpieszcie się! – Znów burknął coś do mnie, przesunął dłonią po włosach i podszedł do schodów. – Clara Kate! John! Wasza mama jest tutaj!

Najpierw pojawiła się Kikit. Minę miała równie zachmurzoną, jak Dennis.

– Chciałam założyć zielony dres. Tatuś powiedział, że go wypierze, ale nie zrobił tego.

– Miałaś go na sobie jeszcze w czwartek – zaproponował Dennis.

– Nieprawda. Nie w czwartek, tylko we wtorek. I nie tylko on jest brudny – poinformowała mnie. – Wszystkie moje najlepsze podkoszulki też.

– A co jest nie tak z tym, który masz na sobie?

Kikit wykrzywiła buzię.

– Jest pognieciony.

– Czy mam prasować im podkoszulki? – spytał Dennis.

– Nie, wystarczy, jeśli wygładzisz je i poskładasz, kiedy są jeszcze ciepłe po suszeniu.

– Dobrze – powiedział zadziwiająco zgodnie. – To mogę robić.

– Gdzie twój brat? John! Schodź już!

– Okropnie wyglądam, mamusiu.

– Wyglądasz ślicznie.

– Chciałam wyglądać ładnie ze względu na Joy. Czy ona jest w samochodzie?

– Jest u Brody'ego. Wpadniemy po nich po drodze. – Wyjęłam jej kurtkę z szafy w przedpokoju. – Zaczekaj na dworze, kochanie. Zaraz dołączę do ciebie z Johnnym.

– Nie, nie dołączysz – odparła, wsuwając ręce w rękawy i zmierzając ku drzwiom. – On nie idzie.

Dennis podszedł do schodów.

– John! Gdzie ty do chole... Aaa, tu jesteś.

– Co się stało? – spytałam.

– Nic. Po prostu nie mam ochoty iść.

– Przecież uwielbiasz cyrk.

– Byłem już tyle razy. Wolałbym zostać w domu z tatą.

Poczułam nagły ból. Odrzucenie. Tak, to było to. Próbowалам właśnie przekonać samą siebie, że nie powinnam tak bardzo brać sobie tego do serca i że Johnny prawdopodobnie czuje się po prostu rozdarty. Dennis westchnął.

– Nie miałem zamiaru zostać w domu, John. Jadę do Bostonu, gdy tylko was wyprawię.

– Mógłbym pojechać z tobą?

– Nie.

Ramiona Johnny'ego opadły.

– A nie mógłbym poczekać w domu, aż wrócisz?

– Nie – powiedział Dennis, tym razem o wiele łagodniej. – Mam tam sprawy do załatwienia. Zajmie mi to prawie cały dzień. Zanudziłbyś się na

śmierć. Idź do cyrku z mamą i Kikit, a ze mną pojedziesz do Bostonu kiedy indziej.

Wyraz twarzy Johnny'ego jasno mówił, że mu nie wierzy.

Dennis wszedł jeszcze kilka stopni wyżej, aż zrównał się z Johnnym, a wtedy ujął go za ramiona i miękko powiedział:

– Obiecuję. Tylko my dwaj. A teraz zmykaj.

Albo był bardziej wrażliwym ojcem, niż mogłam przypuszczać, albo swoje interesy w Bostonie uznał za tak ważne, że gotów był obiecać synowi wszystko – nie obchodziło mnie to. Pragnęłam tylko, aby dotrzymał obietnicy.

Johnny zniknął w głębi holu.

Z początku staliśmy przez chwilę bez słowa.

– Wiedziałeś, na co się zanosisz? – spytałam w końcu.

– Ja go do tego nie namawiałem, jeżeli to masz na myśli.

– Wiedziałeś, że nie będzie chciał iść?

– Nie. Nie powiedział mi. Ostatnio nie mówi zbyt wiele.

– A pytasz go? Tak w ogóle. Jeżeli widzisz, że jest ponury, pytasz go, dlaczego?

– Tak, co nie znaczy, że on odpowiada.

– Myślisz, że jest przygnębiony?

– Boże, nie.

– Wytrącony z równowagi. Może powinniśmy z nim usiąść, oboje, i porozmawiać.

– Z nim wszystko w porządku, Claire. I z Kikit też. Być może niezbyt sobie jeszcze radzę z gospodarstwem, ale dzieciom nie dzieje się krzywda.

Musiałam przyznać, że dom wyglądał nie najgorzej. Prawdopodobnie zamówił sprzątaczkę, by przychodziła raz w tygodniu. – Myślałam, że będziesz

chciał wynająć kogoś do gotowania i prania. I żeby odwoził dzieci. Tę nianię, o której zawsze mówiłeś.

– Potrafię sobie poradzić z odwożeniem. I z praniem też. Dzieci powinny o tym wiedzieć, nie sądzisz?

– Zdecydowanie – odparłam i naprawdę tak myślałam. – Czy Jenovitz rozmawiał z tobą o tym, kiedy chce się z nimi spotkać?

– Mówił, że po powrocie.

– To znaczy, w tygodniu przed Świętem Dziękczynienia? – Nie chciałam, by denerwował dzieci podczas ferii, tym bardziej że nawet jeszcze nie wiedziałam, jak będą te ferie wyglądały. Miałam nadzieję, że do tego czasu sąd przywróci mi prawo opieki, ale nie mogłam dłużej zamykać oczu na fakty.

To, co powiedział Dennis, wcale mnie nie uspokoiło:

– W tym albo w następnym.

„W następnym” brzmiało jeszcze gorzej. Modliłam się, aby nasza apelacja odniosła skutek, lecz jeśli tak się nie stanie, będziemy zdane na Jenovitza.

– Chciałabym, żeby ta sprawa wreszcie się skończyła – powiedziałam. – Tobie to nie działa na nerwy?

– Niby co?

– Ten cały bałagan, w którym tkwimy.

– Dopiero od trzech tygodni.

– Dla mnie to wieczność. A poza tym, nie boisz się, że jeśli sprawa będzie się ciągnęła zbyt długo, ktoś inny kupi te udziały w Pittney, na których tak ci zależy?

Zobaczyłam, że stał się czujny.

– Skąd wiesz o Pittney?

Kątem oka dostrzegłam ruch. Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam Johnny'ego. – Gotowy? – spytałam, podając mu kurtkę.

Wziął ją i wyszedł.

Ruszyłam za nim.

– Johnny?

Zatrzymał się. Dogoniłam go i objęłam jego barki.

– Wszystko w porządku?

Wzruszył ramionami.

– Miałeś jakiś szczególny powód, by zostać w domu?

Potrząsnął głową, wyrwał mi się i pobiegł do samochodu. Gdy tam doszłam, siedział już z Kikit w środku i moment, kiedy byliśmy tylko we dwoje, minął.

Joy Parth była nadzwyczajna. Pamiętam czasy, kiedy zachowywała się wobec nas bardzo nieśmiało, choć pewnie było to bardziej związane z wiekiem niż skrępowaniem wobec ojca. Tak czy inaczej, gdy miała dziesięć lat, wszystko wróciło do normy. Spędzała czas włączając się za Brodym niczym wierny cień lub niańcząc moje dzieci, jakby były lalkami. Ale dopiero kiedy została nastolatką, naprawdę zbliżyłyśmy się do siebie. To przede mną wypłakiwała się, gdy miała żal do rodziców, koleżanek czy świata w ogóle. Uwielbiałyśmy chodzić razem na lunch. Uważałam ją za dziewczynę myślącą, delikatną w obejściu i nad wiek dojrzałą.

Wiele z tych rzeczy odziedziczyła po ojcu i za to właśnie tak bardzo ich oboje kochałam. Tej soboty zalety Joy uwidoczniły się bardziej niż kiedykolwiek. Nie byłam pewna, czy Brody zapoznał ją z sytuacją, ale zachowywała się jak profesjonalistka. Ponieważ sama miała rozwiedzionych rodziców, a do tego była osobą inteligentną i wrażliwą, potrafiła znaleźć właś-



ciwą odpowiedź na wszelkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne pytania Kikit.

Nie, żeby te pytania były przeznaczone dla mnie. Kikit przysunęła się blisko Joy, a chwilami nawet szeptała jej do ucha, bez przerwy zerkając przy tym na mnie. Czasami moich uszu dobiegały fragmenty rozmowy.

– Jaka jest różnica pomiędzy tym, że się jest w separacji, a byciem rozwiedzionym? – spytała w pewnej chwili, a potem: – Kto decyduje, kiedy możesz spotkać się z Brodym? – W niektórych pytaniach dało się wyczuć lęk, na przykład: – Jeżeli rodzice przestają kochać siebie nawzajem, to czy przestają też kochać dzieci? albo: – Czy jeśli tata i mama będą żyli osobno, to rozdziela też mnie i Johnny'ego? A co, jeśli któreś z nich zechce poślubić kogoś innego?

Johnny słuchał uważnie, siedząc po drugiej stronie Joy, gdzie pozostawał przez większą część dnia. Próbowałam go rozruszać, pytając o sezon futbolowy i inne tego rodzaju sprawy i czasem mi odpowiadał, lecz nigdy swobodnie i z własnej woli. A potem znów zwracał się ku Joy.

Za każdym razem, kiedy to się zdarzało, coś ścisnęło mnie boleśnie w środku. I za każdym razem Brody spoglądał na mnie, jakby chciał mi powiedzieć: „Uważaj, z tym dzieckiem dzieje się coś dziwnego”.

Ale nie miałam szansy nic zrobić. Żadne moje działania nie byłyby w stanie sprawić, by dzieci przestały się przejmować tym, że ich rodzice postanowili się rozstać. A poza tym nie chciałam psuć nastroju. Prawda wyglądała tak, że Dennis rzadko chodził z nami do cyrku, zwykle wybieraliśmy się tam w piątkę. Postanowiłam zatem udawać, że to po prostu kolejna taka wycieczka.

W miarę upływu godzin stawało się to coraz łatwiejsze. Kiedy skończyło się przedstawienie, nawet Johnny zdawał się być w lepszym humorze. Jego

dobry nastrój prysł jednak, gdy zatrzymaliśmy się na obiad w restauracji, do której Dennis zabrał dzieci krótko po naszym rozstaniu. To Kikit powiedziała o tym głośno, ale zrobiła to, kiedy siedzieliśmy już przy stoliku i Johnny z powrotem zamknął się w sobie.

Wszyscy staraliśmy się, jak tylko mogliśmy, lecz zaczynałam wyczuwać napięcie.

Sytuacja uległa poprawie, kiedy wróciliśmy do latarni. Ponieważ Joy nigdy tu jeszcze nie była, Kikit i Johnny rzucili się, by wszystko jej pokazać. Gdy tylko ich kroki ucichły na górze, Brody spojrzał na mnie.

– Trzymasz się jakoś?

– Trzymam się? – parsknęłam wymuszonym śmiechem. – Ja wiszę, Brody, zawieszona w powietrzu, kołysząc się w przód i w tył. Chcę, żeby to się już skończyło. Wszystko, co w moim życiu ważne – dzieci, mama, firma – wszystko wisi w powietrzu.

Podszedł bliżej.

– A ja?

– Ty też.

Pocałował mnie szybko i czule. To było nowe doznanie, nieco szokujące, lecz bardzo przyjemne. Zanim zaczęłam topnieć pod dotykiem jego warg, przytulił mnie mocno i stał tak, kołysząc się lekko, niby w tańcu.

– Jaka to melodia? – spytałam, wdychając ciepły zapach jego skóry. Pachniał o wiele przyjemniej niż słońce. Szkoda, że nie mogę powiedzieć o tym Connie, pomyślałam.

– Nie ma żadnej melodii.

– Musi być. Poruszasz się w jej rytm.

– Nie ma. Jestem głuchy jak pień. Nie potrafię powtórzyć melodii, nawet jednej nuty.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego.

– Nie? Naprawdę?

– Wiedziałaś o tym.

– Nie wiedziałam, przysięgam. Gdybym wiedziała, nigdy bym cię nie pocałowała. Nie zawracam sobie głowy mężczyznami, którzy nie potrafią śpiewać. – Złapałam się we własne sidła. – Oczywiście, zobacz, dokąd zaprowadziło mnie zadawanie się z tymi, którzy potrafią. Więc być może zaryzykuję.

Zaczął kołysać się znowu. Dolne partie naszych ciał przywarły do siebie mocno. Jego twarz miała wyraz pełnej rozbawienia przekory, ale nie miałam zamiaru dokuczać mu z tego powodu, zdawałam sobie bowiem sprawę, że moja twarz musi wyrażać to samo. Zaplotłam mu palce na karku i tylko od czasu do czasu przesuwałam kciukiem po szyi czy włosach ani na chwilę nie odrywając swojego spojrzenia od jego oczu.

Zanim zdążyłam zdać sobie sprawę, co robię, zaczęłam nucić, cichuteńko, tak że ledwie dało się rozpoznać melodię. Dostosowałam melodię do rytmu jego ruchów, więc nawet jeśli rzeczywiście miał drewniane ucho, mógł przynajmniej rozpoznać rytm. Po chwili nucenia bez słów zaczęłam cicho śpiewać.

Brody podjął wyzwanie. Rozpoznał „Oczekiwanie” i roześmiał się. Poczułam wibracje tam, gdzie nasze ciała stykały się z sobą, ale tym razem się nie odsunęłam. Jego podniecenie nie przestraszyło mnie, przeciwnie, sprawiło mi przyjemność. Ścisząc głos, przywarłam do niego mocniej. Poczułam, jak jego podniecenie rośnie.

– Drażnisz się ze mną? – zapytał.

– Chyba tak.

– Czujesz się bezpieczna, co?

– A–ha. – Nic nie mogło się wydarzyć, gdy dzieci były na górze. Prawdę mówiąc, czułam się tak bezpieczna, że zapytałam: – Jeżeli nie ma nic pomiędzy tobą a Ellen McKenzie, jak zaspokajasz swoje potrzeby?

Zaczerwienił się rozkosznie.

– Jakoś.

– Ale z kim?

Zaczął przewracać oczami, przestał, chrząknął.

– Chcesz, żebym opowiedział ci historię mojego życia seksualnego?

– Moją znasz. – Kiedy tak się kołysaliśmy, przesunął dłonie niżej i przycisnął mnie mocniej. Westchnęłam z przyjemności, a potem powiedziałam: – Jestem ciekawa, to wszystko. Myślałam, że seks z Ellen musi być wspaniały. A teraz ty mówisz, że nic między wami nie było. Więc musi być wspaniały z kimś innym.

Po dłuższej chwili zastanowienia wyrzucił wreszcie:

– Z Gail Jensen.

– Przez dwa tygodnie, trzy lata temu. Tak długo widywałeś się z Gail.

– Nie. To Hillary Howard sądzi, że widywałem się z nią tylko przez dwa tygodnie. W rzeczywistości spotykaliśmy się ponad dwa lata.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

Gail była prezenterką lokalnych wiadomości, zanim znalazła sobie pracę w Nowym Jorku. Była nie tylko bardzo pociągająca, lecz dziesięć lat młodsza ode mnie. Żałowałam, że poruszyłam ten temat, ale już się stało.

–I jaka ona była? – Zmusiłam się, by o to zapytać, choć prawdę mówiąc, nie śpieszyło mi się, by poznać odpowiedź.

Brody wyglądał na rozbawionego.

– Noo, miała wyobraźnię.

– To znaczy?

– Lubiała skomplikowane pozycje.

Przestałam się kołysać.

– To chyba nie dla mnie. Mam czterdzieści lat.

Roześmiał się.

– Wiek nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale ja byłam tylko z Dennisem. Jestem prawie dziewicą.

– Czy teraz czujesz się jak dziewica?

– W pewnym sensie. – Ledwie skończyłam to mówić, objął dłońmi moje pośladki i przycisnął mnie do siebie. – Nie – sprostowałam, niemal bez tchu. – Nie jak dziewica.

– A zatem, jak kto?

– Sama nie wiem. – Przytuliłam twarz do jego piersi. – Jak ktoś inny.

Ktoś, kto jest ciekawy.

– I spragniony.

– A–ha.

– Gdzie?

– Wiesz, gdzie.

– Powiedz.

– Nie mogę.

Przysunął usta do mojego ucha i szepnął:

– Kiedyś powiesz, zobaczysz. – A potem powoli odsunął się ode mnie.

Kiedy podniosłam wzrok, w jego oczach dojrzałam obietnicę – a także rozbawienie. I pożądanie.

Potem jego spojrzenie powędrowało ku sufitowi i usłyszałam to, co on musiał usłyszeć. Ledwie zdążyliśmy odsunąć się od siebie, gdy zobaczyliśmy Joy, przechylającą się przez barierkę spiralnych schodów.

– Potrzebuję pomocy, tato. Siedzimy w ciemności i próbuję im opowiedzieć historię o piratach, lecz jakoś mi nie wychodzi. Twoje historie są najlepsze. Przyjdiesz do nas?

Spojrzałam na Brody'ego z zaciekawieniem.

– Opowieści o piratach?

– Często opowiadałem je Joy, gdy była młodsza.

– Będziemy sobie wyobrażali, że siedzimy na szczycie skały, w zupełnej ciemności, a właśnie nadciąga burza – wtrąciła Joy. – Twoja sypialnia jest nawet lepsza niż skała. Zupełnie jakbyśmy byli pośrodku oceanu.

Zasiedliśmy więc w mojej sypialni. Kikit wtulona w moje nogi, Joy oparta o Brody'ego, a Johnny pomiędzy Brodym a mną, z nosem przyciśniętym do szyby, ulokowany tak, by nie dotykać żadnego z nas.

Brody wskazał ręką na prawo.

– Widzicie tę plamę ciemności, tam, na wybrzeżu?

– Ja widzę! – powiedziała z entuzjazmem Kikit.

– A ty, Johnny?

– Tę za tamtym światłem? – zapytał Johnny z niechętnym zainteresowaniem.

– Właśnie. Patrzycie na skały, ale nie tylko na skały. To miejsce, w które w końcu uderzyła stara dobra Mariana i gdzie zakończyła swoją wędrówkę po morzach. Ale wyprzedzam wydarzenia. Słyszeliście kiedyś o kapitanie Royu Stiggensie?

– Nie – powiedziała Kikit.

– Piraci nie docierali tak daleko na północ – zaproponował Johnny.

– Zwykle nie – zgodził się Brody – ale ponieważ nikt się ich tutaj nie spodziewał, czuli się bezpiecznie, kiedy już przyплыwali. To prawda, nie było tu palm ani orzechów kokosowych, a tubylcy chodzili ubrani po szyję, zimy

zaś bywały tak mroźne, że jeśli jakiś pirat popełnił ten błąd, że został tu zbyt długo jesienią, nie mógł się ruszyć aż do wiosny. Tym niemniej wybrzeże obfitowało w dobre puby, przytulne kwatery, najlepsze cappuccino.

Chrząknęłam. Cappuccino było chyba nowszym wynalazkiem.

– Mniejsza z tym – powiedział Brody. – W każdym razie, kapitan Roy Stiggins był jednym z najbardziej osławionych żeglarzy, jacy kiedykolwiek stanęli za sterami okrętu. Pochodził z Plymouth, w Anglii, gdzie spędził dzieciństwo jako drobny złodziejasek. Lecz kiedy doszedł twojego wieku, Johnny, wypływał już na liczne wyprawy, na statkach przywożących trzcinę cukrową z Indii, mąkę z Hawany, wino i rum z Bermudów. Ukończył praktykę na szkunerze Marley pod kapitanem Malcolmem Drewhurstem i kiedy miał zaledwie osiemnaście lat, powierzono mu dowództwo statku. To była Mariana, zwodowana w 1710, mały, lecz dzielny statek jednożaglowy – slup. A przemierzanie wówczas Atlantyku nie należało do łatwych zadań. Bez względu na porę roku wiały tu silne wiatry, niemal bez przerwy lał deszcz, a morze było bardzo wzburzone. Lecz jeśli ktokolwiek był w stanie poradzić sobie w takich warunkach, to właśnie Roy Stiggins. Uwielbiał wyzwania. Nie było dla niego większej przyjemności, niż stać przy bukszprycie i patrzeć, jak pokonane morze posłusznie unosi go na falach. Musicie przy tym wiedzieć, że kiedy dorósł, nabrał niezwykle srogiego wyglądu.

Wysoki, o szerokich barach, z długimi czarnymi włosami, powiewającymi swobodnie na wietrze, i grzmiącym głosem, którym z łatwością przekrzykiwał wicher – przypuszczam, że nawet morze musiało się go obawiać. Więc zanim ukończył dwadzieścia pięć lat, przemierzył Atlantyckie morze tyle razy, że zaczął się rozglądać za nowym wyzwaniem. – Głos Brody'ego przybrał dramatyczny ton. – Pragnął też pomścić śmierć swoich rodziców, którzy zginęli dawno temu z rąk Earla Walthropa.

– Więc został piratem? – spytała Kikit.

– Więc został piratem – powtórzył Brody i strzelił palcami. –I przychodziło mu to z wielką łatwością, ot tak! Mariana wyglądała tak niewinnie, że nikt nie przypuszczał, iż kapitan i załoga mogą być kimś innym niż tylko ciężko pracującymi marynarzami.

A kiedy na maszcie słupa pojawiał się Wesoły Roger, było już zwykle za późno na ucieczkę. Żaglowce, których załogi poddały się od razu, zwykle nie ucierpiały zbytnio. Te, które walczyły, ponosiły cięższe straty. Statki plądrowano i palono, a ich załogi pozostawiano na bezludnych wyspach. Piraci zaś zabierali jedwab, chińską porcelanę, lekarstwa i broń. A także sztaby złota. Widzicie, kapitan Roy miał pewne marzenie. Wiele razy odwiedzał kolonie i sądził, zresztą całkiem słusznie, iż życie tam musi być bardzo przyjemne.

Dzieci siedziały zasłuchane, i choć nie wszystko w tej opowieści zgadzało się z prawdą historyczną, nie miałam zamiaru niczego prostować. Ja także siedziałam pogrążona w marzeniach, słuchając kojącego głosu Brody'ego, niższego, kiedy udawał kapitana, i bardziej miękkiego, gdy wracał do roli narratora – otulona czarem, którego w naszym życiu brakowało od tak dawna. Nawet Johnny nie oparł się urokowi opowieści. I zanim Brody wprowadził do niej postać niejakiej Prudence Cooper, niewinnej młodej dziewczyny, która zabrała kapitanowi serce, a potem zmarła na szkarlatynę, siedział z łokciem opartym na kolanie Brody'ego, zasłuchany nie mniej niż Kikit.

A Brody opowiadał dalej, jak to kapitan, nie mogąc znieść myśli o samotnym życiu tam, gdzie pragnął żyć z nią, wyprawił się, aby wydobyć skarb, który ukrył w mrocznych pieczarach poniżej skał, widocznych teraz na prawo od okna mojej sypialni.



Potem zaczęły się pytania, na które koniecznie trzeba było odpowiedzieć: tak, kapitan pozostawił skarb innej młodej dziewczynie; nie, nigdy nie znaleziono wejścia do grot; tak, dziewczyna miała ponoć spacerować ścieżką ponad skałami tej nocy, gdy zginął kapitan; nie, najwidoczniej nie słuchał prognozy pogody.

I nagle okazało się, że jesteśmy spóźnieni, i to mocno. Powiedziałam Dennisowi, że będziemy o dziewiątej, a tymczasem było już po dziesiątej.

Miałam zamiar zadzwonić do niego i zapytać, czy dzieci nie mogłyby zostać na noc, ale zauważyłam zdenerwowanie Johnny'ego i doszłam do wniosku, że najlepiej będzie odwieźć je do domu najszybciej, jak to możliwe.

Dennis powitał nas na progu ponury niczym chmura gradowa. Uniosłam dłoń, aby powstrzymać wybuch gniewu, i pośpieszyłam dzieci, by szybko weszły po schodach. Lecz kiedy zamierałam wejść za nimi, Dennis zastąpił mi drogę.

– Biegnijcie do siebie – powiedziałam. – Za chwilę przyjdę pocałować was na dobranoc.

Gdy tylko dzieci znikły za drzwiami swoich pokoi, Dennis burknął:

– Mielicie wrócić o dziewiątej. Taka była umowa. Złamałaś ją.

– Przykro mi. Straciliśmy poczucie czasu.

Westchnął ostentacyjnie.

– Jak zwykle. Tracisz poczucie czasu. Zapominasz o dzieciach. O lekarstwie Kikit. Do cholery, miałem plany.

– Jakże znów plany?

– Co do dzieci.

– O dziewiątej wieczór? Chciałeś z nimi wyjść?

– Nie, mieliśmy robić coś w domu.

– Co takiego? – spytałam i wtedy poczułam zapach. Obrzuciłam Dennisa zaciekawionym spojrzeniem i ruszyłam w stronę kuchni. Panował tu nieopisany bałagan. Najwidoczniej próbował piec ciastka, które leżały teraz na paterze, nieco tylko przypalone po brzegach, lecz zdecydowanie nadające się do jedzenia. Dalej na kuchennej ladzie dostrzegłam kasetę z filmem, na który Dennis kiedyś obiecał zabrać dzieci, ale tak długo z tym zwlekał, że film wycofano z kin.

Byłam miłe zaskoczona.

– Przykro mi. Gdybym wiedziała, co planujesz, bardziej pilnowałabym zegara. Powinieneś był mi powiedzieć.

– Nie muszę ci niczego mówić. To mnie przyznano prawo do opieki, a ty stąpasz po cienkim lodzie. Przyrowadzanie dzieci ponad półtorej godziny po umówionej porze nie świadczy z pewnością o odpowiedzialności.

Wszelkie pozytywne uczucia, jakie wzbudził we mnie widok jego starań, znikły bez śladu. Skierowałam się z powrotem do holu.

– Jest sobota wieczór. Dzieci mogą zostać dłużej na dole.

– Nie o to chodzi – powiedział, zbliżając się do mnie.

– To ty nie wiesz, o co chodzi – odpaliłam. – Dzieci były ze mną. Dobrze się bawiły i były bezpieczne. A jeśli się martwiłeś, mogłeś do nas zadzwonić. – Oparłam dłoń na słupku, podtrzymującym balustradę. – Spóźniłam się. Przeprosiłam już za to. To dla mnie bardzo trudne, Dennis. Chcę spędzać z nimi więcej czasu. To ograniczanie pory wizyt nie jest w porządku, i ty o tym wiesz. Czy ty naprawdę uważasz, że jestem nieodpowiedzialną matką? I czy naprawdę sądzisz, że kiedykolwiek mogłabym skrzywdzić dzieci?

– Jak dowiedziałaś się o Pittney?

– Zmieniasz temat.

– Nie, nie zmieniam. To poufna informacja. Jeżeli się o tym dowiedziałaś, to w jakiś nieczysty sposób. A to coś mówi.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Nieczysty sposób? A co z tymi kłamstwami, których naopowiadałaś sędziemu? I poufnymi aktami medycznymi, które w jakiś dziwny sposób znalazły się w teczce Jenovitza? I co z Adrienne, na miłość Boską?

Chwycił mnie za ramię i zaczął popychać w kierunku drzwi.

Oswobodziłam się i bezlitośnie dodałam:

– Jeżeli w tej historii z Adrienne jest coś więcej, to wyjdzie na jaw. W sądzie, jeśli sprawy zajdą tak daleko. Wyciągnę na jaw sprawę z Adrienne, Dennis, i nie tylko to. Zrobię wszystko, aby odzyskać dzieci.

– Co za mściwa suka z ciebie.

Sposób, w jaki to powiedział, zmroził mi krew w żyłach. Mimo to najszybciej, jak tylko zdołałam, odparłam:

– To się nazywa samoobrona. To nie ja byłam inicjatorką tego wszystkiego. I nie ja zaczęłam grzebać w przeszłości. Ty to zrobiłeś, Dennis, i do tej pory za Boga nie rozumiem, dlaczego. Czy nasze małżeństwo było naprawdę aż takie okropne, aby musiało kończyć się w ten sposób?

Usłyszałam jakiś ruch na górze. Spojrzałam tam i zobaczyłam plecy Johnny'ego.

Rzuciłam się do schodów. Dennis wołał coś za mną, lecz go nie słuchałam. A kiedy usłyszałam za sobą kroki, zaczęłam biec. Wpadłam do pokoju Johnny'ego i zobaczyłam, jak rozpaczliwie rozgląda się wokół w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się ukryć.

Złapałam go i mocno objęłam ramionami. Serce miałam w gardle. Z trudem udało mi się wykrztusić tylko:

– Mów do mnie, Johnny. Powiedz mi, co cię niepokoi.

Spróbował się uwolnić, lecz ja nie miałam zamiaru go puścić. Przytuliłam policzek do jego włosów.

– Wiem, że to dla ciebie trudne – powiedziałam. – Wierz mi, dla mnie też.

– Puść mnie – usłyszałam w odpowiedzi.

– Nie, dopóki nie porozmawiamy. Nie mieliśmy okazji tego zrobić. Albo ktoś był w pobliżu, albo miałeś lekcje do odrabiania. Muszę z tobą porozmawiać, Johnny. Chcę z tobą porozmawiać. Przedtem tyle ze sobą rozmawialiśmy.

– Ale przedtem tu mieszkałaś! – zawołał z gniewem.

– Wiele rzeczy uległo zmianie. Czasami ja także chciałabym odwrócić bieg wydarzeń.

– Więc czemu tego nie zrobisz?

– Bo nie mogę.

– Dlaczego?

– Ponieważ wtrąciło się w to prawo. I po części dlatego to wszystko jest takie trudne.

Instyktownie objęłam go mocniej, kiedy zawołał:

– Jeżeli to takie trudne, dlaczego w ogóle się dzieje?

Dobre pytanie, chciałam powiedzieć. Ale zreflektowałam się. Prawda wyglądała tak, że ja także popełniłam kilka podstawowych błędów. Sama decydowałam, czego potrzebuje moja rodzina, nie pozwalając Dennisowi się wypowiedzieć. Więc teraz nie mogłam po prostu umywać rąk.

– To się dzieje – powiedziałam – ponieważ tatuś potrzebuje czegoś, czego nie potrafię mu dać.

– On potrzebuje nas. A ty nie?

– Tak – szepnęłam z twarzą wtuloną w jego włosy. – To dla mnie bardzo trudne, nie móc was witać, kiedy wracacie ze szkoły do domu, jeść z wami obiady czy śniadania. Chciałabym być z wami przez cały czas, tak jak tatuś.

Przestał się wyrywać, mogłam więc nieco rozluźnić uścisk, nie ryzykując, że mały mi ucieknie.

– Mówiłaś, że jeśli się czegoś bardzo chce, można to osiągnąć – powiedział. W jego głosie wyczuwałam gniew i niepewność. – Więc czemu ty nie możesz?

– Próbuję, tylko że ty tego nie widzisz. Kiedy nie jestem z wami, spędzam mnóstwo czasu rozmyślając o tym, jak najlepiej rozwiązać tę sprawę.

– Dlaczego sędzia nie chce, żebyś z nami mieszkała? Zrobiłaś coś złego?

– Nie. Nie zrobiłam niczego, co byłoby sprzeczne z prawem lub niemoralne.

– A tatuś?

Odwróciłam się. Dennis stał przy drzwiach. Lecz nawet gdyby nie słuchał, nie miałabym sumienia oczernić go przed własnym synem.

– Tatuś kocha was tak samo jak ja. Trudność polega na tym, żeby znaleźć takie wyjście z sytuacji, by każde z nas mogło kochać was oboje, ale nie mieszkając pod tym samym dachem.

– Przecież jesteśmy rodziną. Rodziny jakoś rozwiązują problemy. Dlaczego wy nie możecie?

Znowu spojrzałam na Dennisa. Wyglądał na zmęczonego, i – muszę mu przyznać – zdenerwowanego. Tym razem jednak nie odczuwałam najmniejszej pokusy, by go pocieszać. Patrzyłam na niego z dystansem. I był to mój wybór. Każda moneta ma dwie strony, i jeśli nawet ja nie potrafiłam zaspokoić potrzeb Dennisa, to i jemu nie udało się zaspokoić moich.

Czy moglibyśmy jakoś przewycieżyć to, co nas dzieliło?

– Nie sędzę, żeby to było możliwe.  
– Więc nie jestešmy juź rodziną?  
– Jestešmy, tylko trochę inną. Prawdę mówiąc, jestešmy dwiema rodzinami.

– Czy ty i tatuš juź zawsze będziecie się kłócić?  
– Nie. Kłótnie wkrótce się skończą.  
– Ale kiedy?  
– Kiedy wszystko zostanie ustalone.  
– Chciałbym, żeby wszystko było jak kiedyś.  
– Wiem – powiedziałam, całując jego skroń. – Ja także w dzieciństwie nieraz rozpaczliwie pragnęłam, by wszystko było tak jak przed śmiercią ojca. Do dziś pamiętam ten ból.

– A ty byś nie chciała? – zapytał, przywracając mnie do rzeczywistości. Musiałam zwlekać z odpowiedzią o kilka sekund za długo, bo jego głos przybrał na sile. – Czy my juź nigdy nie będziemy mieszkali wszyscy razem?

– Prawdopodobnie nie – powiedziałam ze smutkiem.  
– To do chrzanu! – krzyknął i zaczął znów się wrywać. Trzymałam go jednak mocno, choć wiercił się i za wszelką cenę próbował uwolnić z mojego uścisku. Wreszcie poddał się i usłyszałam, jak pociąga nosem.

Chociaż wydawało mi się, że serce zaraz pęknie mi w piersi, nadal przytulałam go do siebie, kołysząc się razem z nim, jak wtedy, gdy był malutki. Choć wtedy jego rozpacz, wywołana takimi prostymi przyczynami, jak głód, lęk czy niewygoda, o wiele łatwiej dawała się ukoić. Nie tylko życie stało się bardziej skomplikowane, ale i Johnny bardziej opanowany. Kto nauczył go, że nie wolno płakać? Ja? Dennis? A może koledzy?

– Nie powstrzymuj się, Johnny – szepnęłam. – Możesz przy mnie płakać, ile tylko chcesz. Nie będę cię przez to mniej kochała.

Myślę, że rozplakałby się nawet, gdybym tego nie powiedziała.

Napięcie zbyt dało mu się we znaki. Tama pękła i nic już nie było w stanie powstrzymać powodzi.

Gdy zobaczyłam, na co się zanosi, powiedziałam jeszcze:

– To nic, że czasem czujemy się nieszczęśliwi, odczuwamy gniew czy niepewność. To normalne.

– Tatuś będzie wściekły – powiedział łamiącym się głosem.

– Wcale nie. On też doświadcza tych wszystkich uczuć. Być może o tym nie mówi, ale tak jest. Zobaczysz, wszystko będzie lepiej.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– Ale skąd?

W końcu zadowolił się jeszcze jednym stanowczym „bo wiem”, i ja także, lecz tylko do chwili, kiedy zamknęły się za mną drzwi domu. Gdy wróciłam do latarni, mimo woli znowu zaczęłam rozmyślać o wszystkich tych rzeczach, które mogły pójść źle. W poszukiwaniu odrobiny pociechy podniosłam słuchawkę, aby zadzwonić do Brody'ego. W słuchawce panowała głucha cisza. Nacisnęłam widełki. Cisza. Nacisnęłam jeszcze raz.

– Halo?

– Claire?

Sądziłam, że słyszałam już głos mojej siostry, odzwierciedlający każdy możliwy stan emocjonalny, ale myliłam się.

– Musisz tu przyjechać, Claire. Mama zapadła w śpiączkę i lekarze nie wiedzą, ile czasu jeszcze jej zostało.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tym razem Rona nie przesadziła. Kiedy w niedzielę rano przyleciałam do Cleveland, okazało się, że lekarze podzielają jej pesymizm. Śpiączka nie została wywołana przez żadną dramatyczną przyczynę natury medycznej. Connie po prostu schroniła się w sen. Tak, jakby nie miała już siły, by się obudzić.

Rona była zrozpaczona. Zatelefonowano do niej, kiedy leżała już w łóżku, więc tylko wciągnęła na siebie ciepły dres, związała włosy w koński ogon i pognęła do szpitala, gdzie spędziła noc. Gdy przyjechałam, stała przy łóżku Connie, kurczowo trzymając się poręczy.

– Dzięki Bogu – westchnęła z ulgą. – Bałam się, że umrze, gdy będę przy niej sama, tylko po to, bym czuła się winna przez resztę życia. To fatalnie, że nie może niczego powiedzieć. Jak sądzisz, czy ona wie, że byłam tu z nią przez całą noc?

Stałam w drzwiach, próbując zdobyć się na odwagę, by wejść. Poczucie straty wisiało w powietrzu. Normalnie pewnie nie potrzebowałabym aż tyle czasu, żeby się opanować, lecz byłam i tak przygnębiona tym, co zostawiłam za sobą w domu. Nie byłam też wcale pewna, czy chcę oglądać moją matkę w tym stanie.

Leżała tam, blada i bez życia, niemal nie różniąc się od koloru pościeli. Wiedziałam, że nas opuszcza i czułam ten sam paniczny lęk, jaki odczuwałam jako dziecko, gdy opuszczała nas rano, by wrócić do domu dopiero wieczorem. Lecz na tym kończyło się podobieństwo. Nie byłam już dzieckiem, a ona miała opuścić nas na dobre.

– Claire?

Z wysiłkiem oderwałam wzrok od mamy i spojrzałam na Ronę.



– Dobrze się czujesz? – spytała przestraszona. Przełknęłam mocno ślinę i skinęłam głową.

– Tylko trochę mi słabo. – Zmusiłam się, by odejść od drzwi, podeszłam do łóżka i pochyliłam się nad leżącą. – Cześć, mamó. Już jestem, nawet wcześniej, niż obiecałam. – Głos mi się załamał. Jej twarz była woskowo blada. Nieważne, że zdawałam sobie sprawę, iż umiera, i że od tygodni nie przypominała samej siebie. I tak pragnęłam zobaczyć ją taką, jaka była jeszcze podczas ostatniej wizyty. – Mamusiu? – zawołałam cicho. Zawahałam się, a potem położyłam dłoń na jej ręce. Poczułam dotyk skóry i kości, chłodny, delikatny i nierealny. – Mamusiu? – Nie odpowiedziała. Więc spróbowałam jeszcze raz. – Mamusiu?

– Lekarze powiedzieli, że powinniśmy do niej mówić – szepnęła mi Rona do ucha. Stała tuż obok mnie, co pewnie by mi przeszkadzało, gdybym tak bardzo nie potrzebowała czyjejs bliskości. Nigdy dotąd nie szukałam tego u Rony, ale też nigdy dotąd nie czułam się taka słaba.

– Twierdzą, że ona może nas słyszeć – mówiła dalej Rona szeptem – więc opowiedziałam jej o wszystkich tych rzeczach, które zrobiłam, aby ją zadowolić, lecz ona nie skinęła nawet głową, nie uśmiechnęła się. Pamiętam to jej uporczywe spojrzenie. Zwykle używała go, by dać mi do zrozumienia, że cokolwiek bym zrobiła i tak jej się to nie spodoba. – No dalej, mamó – powiedziała, podnosząc nieco głos – spójrż na mnie teraz.

Ścisnęłam ją za nadgarstek. A potem moja dłoń natrafiła na poręcz i zacisnęła się na niej.

– Rozmawiałam z nią wczoraj rano. Pod koniec rozmowy wydała mi się silniejsza. A jak było potem?

– Nie było mnie tu rano. Być może to ją zdenerwowało. Zjawiłam się po południu i przeczytałam jej połowę Vanity Fair. Nie jestem taką złą córką.

– Nikt nie mówi, że jesteś.

– Być może nie słowami.

Milczałam. Nie mogłam oderwać wzroku od twarzy mamy. Była tak śmiertelnie spokojna. Jedyne odgłos, jaki słyszałam, pochodził z aparatu, którego ciche brzęczenie świadczyło, iż duch nie opuścił jeszcze tego ciała.

Pielęgniarka zajrzała do pokoju i wyszła. Żadna z nas się nie poruszyła.

– Jest taka blada – szepnęłam w końcu. – Szkoda, że nie wiemy, czy nas słyszy.

– A co byś jej powiedziała, gdybyś wiedziała?

– Opowiedziałabym jej o cyrku.

Umilkłam na chwilę, a potem to właśnie zrobiłam. Opowiedziałam jej o cyrku. O lwach i słoniach. O tym, jak z przerażeniem przyglądałam się ewolucjom akrobatów, a z rozbawieniem – klaunom. A także o bawełnianym cukierku–zabawce i fioletowym aligatorze, którego kupiłam dla Kikit. W końcu powiedziałam do Rony:

– To był dobry cyrk. Na pewno by jej się spodobał.

– Ona nie znosiła zapachu cyrku.

– Nigdy nie miała okazji się o tym przekonać.

– Co takiego?

– Nigdy nie była w cyrku.

– Nigdy? – A kiedy potrząsnęłam głową, powiedziała: – To dziwne. Zawsze mi się wydawało, że była.

Stałyśmy tak jeszcze przez jakiś czas w milczeniu, a potem ja zostałam na posterunku, a Rona poszła po kawę. Przemawiałam cicho do mamy, wymawiając jej imię i dotykając dłoni. Myślałam, że Rona skorzysta z okazji i trochę odpocznie, lecz ona zjawiała się już po dziesięciu minutach z kawą dla nas obu.

Wypiłyśmy ją w milczeniu, stojąc tuż obok siebie. Poczucie braku więzi ustąpiło wobec potrzeby ludzkiego ciepła. Byłyśmy rodziną i teraz, gdy mama odchodziła, miałyśmy już tylko siebie.

– Jak sprawy w domu? – szepnęła Rona.

– Kiepsko – szepnęłam w odpowiedzi.

– Chcesz jej o tym powiedzieć?

– Chciałabym, ale nie powiem.

– Może to by ją obudziło. Wiesz, szok... – Podniosła głos i powiedziała: – Mamo? Słyszysz mnie, mamo? Claire jest tutaj. Przyjechała specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć. Obudź się i porozmawiaj z nią.

Connie nie zdradzała żadnych oznak powrotu do świadomości. Rona usiadła obok mnie.

– Ona ze mną walczy, nawet teraz. Nie otwiera oczu, żeby mi dokuczyć.

– Może obrałyśmy złą taktykę – powiedziałam. – Lekarz radził, by jej powiedzieć, że godzimy się na to, aby odeszła.

Rona wyglądała na przerażoną.

– Mnie powiedział to samo, ale nie mogę przecież jej powiedzieć, żeby umarła.

– Niczego takiego nie zrobimy. Po prostu powiemy jej, że nie musi dłużej walczyć, jeżeli czuje się zbyt zmęczona. To będzie akt współczucia.

– Ale ja jej potrzebuję. Chcę, żeby się obudziła. Chcę jej powiedzieć o tylu sprawach.

Objęłam siostrę ramieniem. Nie miałyśmy podobnego stosunku do życia, inaczej patrzyłyśmy na wiele spraw, lecz mogłam dzielić z nią ten ból, pomieszany ze strachem, że oto rozlegnie się brzęczyk, a ona pozostanie z przeświadczeniem, że nie starała się tak bardzo, jak by mogła.

„Nie można przeskoczyć samej siebie” – często powtarzała mama, ostatnio nie dalej niż dwa tygodnie temu. I lekcja nie poszła na marne, także w przypadku Rony.

– Ona myśli, że jestem płytka, ale ja naprawdę kochałam Jerry'ego i Harolda i oni także mnie kochali, przynajmniej przez jakiś czas. Byłam wtedy taka szczęśliwa. Przez ten krótki okres z każdym z nich czułam się tak, jakbym była dla nich najważniejsza na świecie. Czułam się bezpieczna. No dobrze, nie pracowałam tak jak ona czy ty, ale to nie znaczy, że jestem złym człowiekiem.

Bezpieczeństwo: Ja także tego pragnęłam. Dlatego wyszłam za mąż za Dennisa. Ale to Brody mi je zapewniał. Czy to czyniło ze mnie złego człowieka?

–Nie.

– Więc dlaczego się starała, żebym tak właśnie się czuła?

Zmusiłam się, aby zapomnieć o swoich sprawach i słuchać Rony.

– Być może była zazdrosna.

– Zazdrosna?

– O te luksusy, których pożądała, a których nie mogła mieć. A może nie chciała. Czuła się przez to jak tchórz. Ty masz charakter. Zazdrościła ci tego.

– Naprawdę?

Tak sobie to wyobrażałam.

\* \* \*

Niedzielny poranek przeszedł w niedzielne popołudnie. Lekarze i pielęgniarki zaglądali od czasu do czasu do pokoju, ale poza sprawdzaniem odczytów z aparatury robili niewiele. Przyszedł też pastor, lecz ona nadal nie otwierała oczu.

Rona zwinęła się na krześle i przez chwilę drzemała, a potem się obudziła i zajęła z powrotem swoje miejsce przy poręczu. Oczekiwałam, że zechce

pojechać do domu, by wziąć prysznic i jak zwykle się wystroić, lecz ona opuszczała pokój tylko po to, by pójść po kawę czy coś do jedzenia. Raz czy dwa opłukała twarz w umywalce i przyczesła włosy, a poza tym zrezygnowała z jakichkolwiek prób upiększenia się. Muszę przyznać, że taka znacznie bardziej mi się podobała, chociaż być może wynikało to po prostu z mojej potrzeby towarzystwa. Powiedziałam jej jednak, że nieumalowana wygląda jeszcze ładniej.

Westchnęła.

– Mama też mi to zawsze powtarzała. – Przymknęła powieki i znowu westchnęła. – Więc stawiałam się na to ostatnie spotkanie, jak zwykle próbując ją zadowolić. – Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie. – Czy zdarza ci się myśleć o śmierci?

– Próbuję o tym nie myśleć.

– Nic dziwnego. Twoje życie jest takie pełne. Ale ja często o niej myślę. A także o rzeczach, które mogłabym mieć, a których nie mam.

Poczułam przyływ gniewu. Mama powiedziała niemal to samo – ale, do diabła, wcale nie musiało tak być. Mogła mieć więcej. Mogła cieszyć się życiem, zamiast odgrywać męczennicę. Mogła bardziej cieszyć się nami.

Wzięłam głęboki oddech. Gniew wypalił się i znikł.

– Co takiego na przykład? – spytałam Ronę.

– Na przykład dzieci. – Rzuciła mi spojrzenie, na którego widok po prostu musiałam się uśmiechnąć.

– To mnie nie dziwi. Wspaniale ci idzie z moimi. Jeszcze nie jest za późno. Mama by się ucieszyła.

Rona pochyliła się i oparła o poręcz łóżka.

– Ona uważa, że jestem zbyt niestała.

Pochyliłam się i oparłam o poręcz obok niej.

– A jesteś?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy człowiek ciągle czegoś na swój temat słucha, w końcu zaczyna w to wierzyć. Choć sama nie wiem, czemu tego wysłuchiwałam tak długo.

– Nie tylko ty się nasłuchiwałaś. Ja także. Mama była dla mnie niczym opoka.

Rona spojrzała na mnie zdumiona.

– To ty jesteś jej opoką. Ty zawsze byłaś tą silną osobą w rodzinie, Claire. Możesz sobie zaprzeczać ile chcesz, ale tak jest.

– Zawsze mogłam liczyć na jej bezwarunkowe wsparcie.

– To prawda. Na wsparcie. Ale to ty podejmowałaś decyzje. Ty byłaś głosem rozsądku i człowiekiem czynu. W o wiele większym stopniu niż ja czy mama.

Teraz nie czułam się ani jak głos rozsądku, ani jak ktoś, kto podejmuje decyzje. Czułam się zupełnie bezradna, czekając, aż mama się poruszy. Życie lub śmierć – taki miała wybór. A może nie, i ta myśl jeszcze bardziej mnie przerażała, gdyż tylko potwierdzała moją bezradność. Wolałabym sądzić, że mogę bardziej wpływać na bieg spraw.

Więc czy rzeczywiście miałam bzika na punkcie sprawowania nad wszystkim kontroli? Mogłyśmy z Roną kłócić się w nieskończoność, kto był dla kogo opoką, lecz fakt pozostawał faktem: mój świat chwiało się w posadach.

Jak bardzo żałowałam, że nie ma tu Brody'ego! To on był człowiekiem czynu i głosem rozsądku. Z jaką ulgą przyjąłabym teraz jego pomoc! Ale to nie była pora, by zdać się na Brody'ego. Ten czas należał do Rony, do mamy i do mnie. Godziny mijały powoli, popołudnie przeszło w wieczór, a Connie nadal była z nami i tylko jej twarz z każdą mijającą godziną stawała się bardziej gładka, niemal opalizująca. Przypomniałam sobie opowieść o perłach

babki i teraz nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że mama staje się jedną z nich. Widocznie dlatego czuwano przy umierających, że był to czas darowany rodzinie, by ta mogła się zjednoczyć, przeżyć wspólnie chwile, które będą później wspominane, jak ostatnie perły dołączone do naszyjnika. W tym sensie byłam Connie wdzięczna, że nie odeszła od razu.

\* \* \*

W niedzielę w nocy udało mi się nakłonić Ronę, by pojechała do domu i nieco się przespała, podczas gdy ja drzemałam przy łóżku mamy. Jednak na długo przed świtem Rona była już z powrotem w szpitalu. Wzięła prysznic i przebrała się w dżinsy i sweter, lecz koński ogon i nieumalowana twarz pozostały. Wyglądała na osiemnaście lat.

Zwinęłyśmy się w fotelach przy łóżku Connie. Sącząc kawę i zagryzając świeżymi rogalikami, rozmawiałyśmy ze sobą po cichu tak, jak nie rozmawiałyśmy od czasu, gdy obie byłyśmy nastolatkami, przezywającymi pierwsze fascynacje chłopcami. Tylko że teraz, zamiast o chłopcach, rozmawiałyśmy o mężczyznach – Rona o swoich mężach, ja o Dennisie. Nie jestem pewna, czy to ta atmosfera, panująca w pokoju, skłoniła nas do zwierzeń, ale o fioletowym brzasku, pośród odgłosów budzącego się do życia szpitala, Rona opowiedziała mi o swoim nieistniejącym życiu seksualnym z Haroldem, a ja jej o wyrzuceniu mnie przez Dennisa.

– Tęsknisz za nim? – spytała, kiedy skończyłam opowiadać.

Sama nieraz zadawałam sobie to pytanie. Z jednej strony, powinnam za nim tęsknić. Jeżeli ktoś stanowi część naszego życia przez ponad piętnaście lat, to powinniśmy odczuwać przynajmniej coś w rodzaju pustki, prawda?

– Przez kilka pierwszych dni byłam tak wściekła, że mogłam myśleć tylko o dzieciach – powiedziałam. – A teraz? Brakuje mi świadomości, że jestem mężatką. To taki bezpieczny stan. I stabilizacja. W tym także jest jakiś

rodzaj anonimowości. Ludzie zadają mi pytania, a czasem po prostu patrzą na mnie i wiem, że się zastanawiają. Oczywiście, brakuje mi dzieci. Ta tęsknota jest ze mną stale. A czy brakuje mi Dennisa? Nie chciałam się spieszyć, więc jeszcze przez chwilę milczałam, zastanawiając się. Jednakże pośród tych wszystkich uczuć, jakich doświadczałam ostatnio, nie było tęsknoty za Dennisem. Dobre strony naszego małżeństwa stały się już tylko wspomnieniem. Perłami, które na zawsze ze mną pozostaną. Lecz już ich nie przybędzie.

– Nie. Nie tęsknię za nim. Zbyt oddaliliśmy się od siebie. – Teraz widziałam to jasno. – Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, co piętnaście lat temu. Życie ukształtowało nas, każde na inny sposób. Nie pasujemy już do siebie. Nie uważasz, że to żalosne, iż trzeba było takiego postępuku ze strony Dennisa, abym to sobie uświadomiła? Ależ byłam ślepa. Sądziłam, że każde małżeństwo przeżywa trudne chwile, gdyż przecież żadne nie jest doskonałe.

– Czy Dennis cię zdradzał?

– Nie. – Pomyślałam o Phoebe. – Dopiero pod koniec. – Jednak to przyznałam.

– A ty jego?

– Nie.

– Nic z Brodym... ?

– Jak dotąd, nic.

Nie odezwała się więcej, tylko uśmiechnęła z niedowierzaniem.

– Nie wiem, co bym zrobiła bez Brody'ego – powiedziałam szybko. – Właściwie, odkąd to się zaczęło, sam prowadzi firmę. To dla mnie duża ulga.

– Dennis wie, że tu jesteś?

– Zadzwoiłam do niego wczoraj. – Spojrzałam znów na mamę i powiedziałam bardzo cicho, właściwie głośno myśląc. – Czułam, że powinien



wiedzieć. Żeby być przygotowanym. Powiedział, że przyleci z dziećmi, jeśli... znajdzie taka potrzeba.

Przez cały poniedziałek Connie pozostawała w stanie śpiączki. W końcu, wyczerpane, opuściliśmy wieczorem szpital, kupiliśmy po drodze pizzę i pojechaliśmy do domu Rony. Zostawiliśmy pizzę na stole w kuchni, a same padliśmy bez sił na łóżko. Przespałyśmy tak do rana i znowu wróciłyśmy do szpitala.

Tego dnia rozmawiałyśmy dużo o naszym dzieciństwie, przerzucając się wspomnieniami. Czasami „włączałyśmy” ją do dyskusji. Od czasu do czasu śmiałyśmy się, i to z całego serca. To podtrzymywało nas na duchu. A poza tym, wiedziałyśmy, że Connie nie wzięłaby nam tego za złe. Na pewno ucieszyłaby się, że w końcu zaczynamy ze sobą naprawdę rozmawiać, Rona i ja, po wszystkich tych latach oddalenia. Mama prosiła mnie przecież, bym zaopiekowała się Roną. Tymczasem wyglądało na to, że odnajdziemy dawną bliskość opiekując się sobą nawzajem.

W miarę jak upływały godziny, odzyskiwałam spokój ducha. Zamknięta w małym szpitalnym pokoju, z siostrą i matką, wsłuchując się w rytmiczne brzęczenie aparatury, czułam, jak ogarnia mnie spokój. Byłam z matką. I z siostrą. Nie musiałam donikąd się śpieszyć ani nic robić. Praca, dzieci, walka o prawo do opieki nad nimi – wszystko zdawało się takie odległe. Jakby w dramacie mojego życia nastąpiła przerwa. A ja, w pewien dziwny sposób, cieszyłam się nią.

We wtorek w nocy Connie zaczęła mieć trudności z oddychaniem. Lekarz orzekł zapalenie płuc i zaordynował antybiotyki. Spoglądałyśmy na siebie przerażone, obserwując bezradnie, jak mama walczy o oddech.

Ta walka skończyła się nagle tuż po północy. Przyszedł lekarz, który stwierdził zgon.

Pielęgniarki wywiozły z pokoju aparaturę. Rona i ja stałyśmy przytulone do siebie w milczeniu. Lecz kiedy chciały zabrać także mamę, zaprotestowałam.

– Jeszcze kilka minut, dobrze? – poprosiłam. Rona płakała cicho u mego boku.

Wszyscy wyszli, zostawiając nas z mamą same, byśmy mogły się pożegnać.

Pociągnęłam Ronę za sobą w stronę łóżka. Na pierwszy rzut oka Connie wyglądała jak przedtem.

– Jaką ma gładką skórę – szepnęła Rona. – Wszystkie zmarszczki zniknęły.

– Zniknęły razem z napięciem – powiedziałam. Connie odchodziła stopniowo. Ta woskowość skóry była pierwszą oznaką zbliżającej się śmierci.

– Wygląda spokojnie. Mam nadzieję, iż rzeczywiście odnalazła spokój.

– Ja także. Nie była taką złą matką. – Rona wydała z siebie drżące westchnienie i powiedziała: – Inaczej nie zostałabym z nią tak długo.

– Kochałaś ją. A ona kochała ciebie. Gdyby było inaczej, po co ona miałaby być zawsze w pobliżu ciebie?

– Z poczucia winy? Źle rozumianego poczucia odpowiedzialności?

– Nie. Matki po prostu zawsze pozostają w pobliżu. Nigdy nie rezygnują ze swoich dzieci. Nie potrafią.

– A teraz odeszła – szepnęła Rona i znowu zaczęła płakać.

Moje oczy też wypełniły się łzami. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam włosów mamy, przesunęłam palcami po jej czole, po policzku. Nie mogłam sobie przypomnieć, bym robiła to kiedykolwiek przedtem. Najwidoczniej coś jeszcze nam umknęło. Nagle zapragnęłam podnieść ją i tchnąć w nią życie, i robić wszystkie te rzeczy, których nie zdążyłyśmy zrobić.

Lecz, oczywiście, nie leżało to w mojej mocy.

Pochowałyśmy ją we czwartek rano po krótkiej ceremonii, pod zimnym, posepnym niebem. Ucieszyłam się, widząc, że poza rodziną i pastorem na pogrzeb stawili się także sporo znajomych i przyjaciół mamy; więcej, niż mogłam przypuszczać.

Trzymałam przy sobie Kikit, przekazując ją od czasu do czasu pod opiekę Rony, podczas gdy Dennis opiekował się Johnnym.

Brody także przyleciał, lecz jego obecność była zarówno ulgą, jak i torturą. Uwielbiałam, kiedy był blisko i chciałam, aby mnie przytulił, a w tej sytuacji nie było to możliwe.

Brody wrócił do domu w piątek rano, a wkrótce po nim Dennis i dzieci. Ja miałam zostać do soboty, żeby być blisko Rony. Miałyśmy zamiar spędzić cały dzień w mieszkaniu mamy, przeglądając jej rzeczy, by zdecydować, co z nimi zrobić. I nawet próbowałyśmy. Ale wspomnienia i smutek okazały się zbyt silne. Więc kiedy nadeszła pora wyjazdu, zdecydowałyśmy tylko, że wezmę kota. Weszłam zatem na pokład samolotu z bagażem podręcznym na jednym ramieniu i z klatką z Valentino na drugim.

Brody przyjechał po mnie na lotnisko w Bostonie. Tym razem było to zaplanowane spotkanie. Wziął moją torbę i Valentina, otoczył mnie ramieniem i poprowadził do samochodu. Pamiętam, że przejeżdżaliśmy pod jakimś mostem, a potem usnęłam i obudziłam się dopiero, kiedy zatrzymaliśmy się przy targowisku, by kupić jedzenie i podściółkę dla kota. Gdy dojechaliśmy do latarni, obudził mnie, wniósł wszystko do środka, zajął się Valentinem, podczas gdy ja gapiłam się na morze. Potem nalał mi szklaneczkę wina i objął ciasno ramieniem, na wiklinowej kanapie.

Był dla mnie niczym bezpieczny port. Teraz także. Przy nim czułam się tak bezpieczna, że wreszcie mogłam przestać się kontrolować. Więc

zapłakałam. Płakałam z tęsknoty za mamą, za Roną i z powodu wszystkich tych nie spełnionych marzeń i nadziei, które wcale nie musiały pozostać niespełnione. A kiedy wreszcie zabrakło mi łez, byłam znów śpiąca. Nie miałam jednak zamiaru pozwolić Brody'emu odejść. Zasnęliśmy więc razem na kanapce, ja ciasno wtulona w jego ciało, on mocno mnie przytulając. I w całym tym zwariowanym świecie jedyną rzeczą, która zdawała się mieć jeszcze sens, była moja miłość do niego.

Nie wiem, jak długo spałam – godzinę, może dwie. Obudziłam się niespokojna i przysunęłam do niego. Zanim zdałam sobie sprawę, że on także czuwa, pragnęłam go już tak bardzo, że tylko pogrążenie się latarni w morzu mogłoby nas rozdzielić.

Całowaliśmy się, całowaliśmy namiętnie, lecz żadne, nawet najgłębsze pocałunki nie mogły zaspokoić tego głodu. Pieściliśmy się – wsunęłam dłonie pod jego bluzę i gładziłam jego owłosioną pierś, podczas gdy on pieścił moje piersi. Wierciliśmy się i kręcili, pozbywając się ubrania, by poczuć nagie ciała, i jeśli nawet to, co robiliśmy, nie było zbyt rozsądne, nie byłam w stanie o tym myśleć. Kochałam Brody'ego. Wypełniał pustkę, jaką odczuwałam, i zapewniał mi spokój podczas nieustannej nawałnicy, jaką stało się moje życie. Chciałam być bliżej niego i jeszcze bliżej, i jeszcze...

Nigdy nie zapomnę uczucia, jakie mnie ogarnęło, gdy Brody wszedł we mnie po raz pierwszy. Żartowaliśmy wcześniej, że jestem właściwie dziewicą, ale, do diabła, nigdy dotąd nie zaznałam uczucia takiej pełni. I nie chodziło tylko o członek, tak wielki, że czułam jego najdrobniejsze poruszenie we mnie. To było w całym jego ciele: w szerokiej piersi, podnoszonej coraz gwałtowniejszym oddechem, w płaskim brzuchu, przywierającym do mojego, w smukłych biodrach, drżących pod dotykiem moich dłoni. A także w zapachu

jego ciała. To jego serce i dusza wypełniały mnie rozkoszą nie mniej niż ciało, aż wreszcie krzyknęłam w zachwycie.

A potem krzyknęłam jeszcze raz, pod koniec, ponieważ uczucie, jakie mnie ogarnęło, było tak przemożne, że nie wiedziałam już, dokąd zmierza moje ciało. Aż wreszcie zadrżałam cała, roztopiając się w niewyobrażalnej przyjemności.

Brody także ją odczuwał. Poznałam to po jego chrapliwym oddechu, po tym, jak drżał w moich ramionach i po długim, mocnym pulsowaniu członka, zwiastującym rychłe nadejście ulgi. Odczuwając tę jego rozkosz, sama o mało nie doznałam rozkoszy po raz drugi, tak wielką sprawiło mi to przyjemność.

Potem przytuliliśmy się do siebie i zasnęliśmy. A kiedy się obudziłam, Valentino siedział tuż przy mojej głowie, wpatrując się we mnie tymi swoimi wielkimi oczami niczym z obsydianu. Być może nazwano go tak na cześć wielkiego kochanka, lecz ja nie tego kochanka pragnęłam.

– Brody? – zawołałam i przez chwilę nasłuchiwałam odpowiedzi. A gdy nie nadeszła, przestraszona usiadłam i podciągnęłam do piersi kolana. – Brody?

Nie odpowiedział, lecz usłyszałam szum wody w rurach.

Pobiegłam do łazienki na pierwszym piętrze, wśliznęłam się do środka i oparłam o drzwi. Jego ciało skrywały kłęby pary, lecz widziałam oparte o ścianę kabiny dłonie i głowę, pochyloną nisko pod strumieniem wody.

Nagle poczułam, że muszę to zrobić. Szybko zrzuciłam z siebie resztki odzienia i wsunęłam się do kabiny.

Brody spojrział na mnie przez ramię. Ten ruch spowodował, że strumień wody z prysznica opryskał mi ciało. Wzdrygnęłam się.

– Jest lodowata!

– O to chodziło.

– Odkręć cieplejszą, Brody.

– Nie najlepszy pomysł.

Traktując jego ciało jako osłonę, objęłam go od tyłu i zaciskając dłonie na piersi, powiedziałam szybko:

– Wiem, co ci teraz podpowiada twój umysł, Brody. Mówi, że wykorzystałeś moją słabość, a jeśli nawet nie, to zachowałeś się egoistycznie i bezmyślnie, gdyż mogłeś pozbawić mnie szansy na odzyskanie dzieci.

Ale to nie było tak. Ani przez chwilę nie żałowałam tego, co się stało, słyszysz? Nawet przez jedną sekundę! – Wzmocniłam te słowa zdecydowanym uściskiem, który pewnie omal nie połamał mu żeber, i czekałam na odpowiedź.

Brody roześmiał się i potrząsnął głową.

– Z czego się śmiejesz? – spytałam, drżąc z zimna za jego plecami.

Chwycił moje dłonie i przesunął je w dół, dopóki nie natrafiły na imponującą erekcję. Ledwie miałam czas się nią nacieszyć, gdy się odwrócił, ledwie zdążyłam złapać oddech – lub zdać sobie sprawę, że woda w prysznicu nie jest już zimna – gdy przywarł wargami do moich ust, ogarnięty pragnieniem, które mogłoby dać mi do myślenia, gdybym w ogóle była w stanie myśleć. Nie czułam już lęku. Pragnęłam tylko stać się znów częścią niego.

Nie trzeba było żadnej gry wstępnej. Gdy oparł mnie o ścianę kabiny i wszedł we mnie, byłam gotowa. Oparłam stopy na jego krzyżu i poddałam się mocnym pchnięciom, pragnąc tylko jego – czuć go i smakować. Rozkosz rosła i rosła, aż wreszcie roztopiła się w serii gwałtownych spazmów, po czym, niewiarygodne! zaczęła rosnać znowu. Drugi orgazm osiągnęłam, gdy Brody przeżywał swój pierwszy. Sprawilo mi wielką przyjemność, że jego rozkosz trwała dłużej. Za nic na świecie nie chciałabym przegapić tego pulsowania ani tych pełnych satysfakcji odgłosów, jakie wydawał z siebie, kiedy wracała mu świadomość.

Przez chwilę jeszcze trzymał mnie przyciśniętą do płytek, poruszając od czasu do czasu biodrami i pojękując. W końcu uniósł mnie wyżej i odwrócił się tak, że woda spływała na nas oboje. Lecz dalej trzymał mnie w objęciach. Nie odezwał się, nasze spojrzenia mówiły wszystko, co należało powiedzieć – było cudownie, lepiej niż w najpiękniejszych marzeniach, pragnąłem cię od lat, kocham cię.

W końcu rozluźnił uścisk, opuścił mnie, namydlił i opłukał. To dziwne, lecz czułam się zawstydzona. Po wszystkich tych latach bliskości – każdej, poza intymną – po raz pierwszy widział mnie nagą w pełnym świetle i w pełni z tego korzystał, przyglądając mi się i dotykając tych części mojego ciała, które przedtem pozostawały przed nim ukryte. Ja także miałam oczy szeroko otwarte. A było na co popatrzeć. Brody został doskonale wyposażony przez naturę. Nie mogłam odwrócić spojrzenia – i to jeszcze bardziej mnie zawstydzalo. Zaczerwieniłam się, kiedy przyłapał mnie na przyglądaniu mu się.

– Nie mogę się powstrzymać – szepnęłam, zła na siebie z powodu swego braku doświadczenia.

Uśmiechając się z zadowoleniem, dokończył ablucji.

Włożyłam długą sukienkę, a Brody džinsy. Zrobił nam cappuccino w ekspresie, który podarował mi z okazji nabycia domu. Nie była to byle jaka maszynka, parskająca i wylewająca z siebie strumyki brunatnej cieczy, ale prawdziwe cacko. Piliśmy tę kawę, siedząc na wysokich barowych stołkach w kącie śniadaniowym i uśmiechając się do siebie w milczeniu. Wziął moją dłoń, przyłożył do ust i pocałował, a potem przycisnął sobie do piersi.

– Niczego nie żałuję – powiedział. – Ani trochę.

– To dobrze.

– Pragnąłem cię od tak dawna. Od bardzo dawna.

– Ale nie zdradziłeś się z tym.

– Jak mógłbym? Byłaś żoną mojego najlepszego przyjaciela.

Poruszyłam dłonią na jego piersi.

– Myślałeś, że to małżeństwo może się rozpaść? –Nie.

– A nie sądziłeś, że powinno?

– Trudno mi rozdzielić to, co sądziłem, od tego, czego pragnąłem.

Niektóre rzeczy mnie martwiły. Uważałem, że Dennis nie daje ci oparcia. Ani uczuciowego, ani finansowego. I nie wiedziałem, co sądzić o seksie.

Przesunęłam dłonią po jego piersi i zaczepliłam palce o pasek dżinsów.

– Był w porządku. Ale nigdy nie było między nami tego – skinęłam głową w stronę prysznicza i kanapy, wzruszyłam ramionami, mrugnęłam i uśmiechnęłam się. – Dennis uważał, że jestem raczej do niczego.

– Ja uważam, że jesteś raczej niewiarygodna.

– I nie byłeś rozczarowany, ani trochę, po całym tym czekaniu?

– A czy tam, pod prysznicem, wydawałem się rozczarowany?

Nie. Zdecydowanie nie. Wydał mi się wielki i twardy, a potem zaspokojony. Mimo to musiałam o to zapytać. Zbyt dobrze pamiętałam, co wtedy powiedział do mnie Dennis. Jego z pewnością nie udało mi się zaspokoić.

– Czy Dennis mnie zdradzał? Przed Phoebe?

– Nie wiem.

– Nigdy nic nie podejrzewałeś, ani razu?

–Nie. A ty?

– Nie. Lecz żona zwykle dowiaduje się ostatnia. No i była ta sprawa z Adrienne.

– Nie był wtedy żonaty.



– Lecz ona była mężatką. A on o tym wiedział. Bardzo długo mnie to martwiło. W końcu postanowiłam przestać o tym myśleć. A teraz ta sprawa z Phoebe znów przypomniała mi o wszystkim.

– Z tego, co słyszałem o Phoebe, ten romans nie ma szans. Ona podrywa jednego klienta po drugim. Dziwię się, że jeszcze nikt nie złożył na nią skargi w Stowarzyszeniu Prawników. Pewnie by tak się stało, ale mężczyzna bardzo niechętnie przyznaje się, że został porzucony. Tylko poczekaj. Zobacysz, Dennis powie, że z nią zerwał.

Zastanowiłam się nad tym.

– Może ja mogłabym złożyć na nią skargę? – A kiedy Brody potrząsnął głową, spytałam: – Dlaczego nie? Jeżeli to ona ukartowała całą sprawę...

– Oficjalnie to nie ona jest adwokatem twego męża. I trudno by nam było udowodnić coś innego. A nie ma nic nieetycznego w tym, że Dennis pieprzył współniczkę swego adwokata.

– Może i nie jest to nieetyczne, ale z pewnością niemoralne. – Pomału zaczynałam inaczej patrzeć na wiele spraw. – Zamierzam wygrać – powiedziałam z przekonaniem, pociągając Brody'ego za dzinsy, by pełniej wyrazić swoje zdanie. – I zrobię w tym celu wszystko, co możliwe, żeby potem nie wyrzucać sobie, że mogłam zrobić więcej. Moja mama umarła, myśląc o tym, czego nie zrobiła. Nie chcę, żeby ze mną było tak samo.

Umilkłam i pomyślałam o niej. Brody przez chwilę pozwalał mi rozmyślać, po czym dotknął kciukiem moich warg i zapytał: –I dlatego się kochaliśmy?

Zsunęłam się ze stołka, podeszłam do niego i ujęłam jego twarz w obie dłonie:

– To, że się kochaliśmy, było najwspanialszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się od dawna. A także najbardziej uczciwą. I prawdziwą. Siedziałam

bezczylnie ponad miesiąc, czując się kompletnie bezradna, ale, na Boga, mam już tego dosyć. Jestem stworzona do działania, nie do czekania. – Zsunęłam mu jednym palcem okulary, ucałowałam jego oczy i grzbiet nosa, po czym wsunęłam mu szkła z powrotem. – Która godzina?

Spojrzał na zegar poza mną.

–Druga.

– Prześpisz się ze mną?

Uśmiechnął się.

– Chyba już to zrobiłem?

– Śpij ze mną. W moim łóżku. Do rana. Chcę czuć cię przy sobie, gdy się obudzę. To był naprawdę paskudny tydzień.

Widziałam, że jest zadowolony. Pomimo to powiedział:

– A jeśli tam na zewnątrz czeka ktoś z lornetką?

– Jestem w separacji – powiedziałam, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z korzyści, jakie mi to dawało. – Mogę robić, co chcę.

Ta myśl nadal tkwiła w mojej głowie, gdy rano zadzwonił do moich drzwi Dennis. Mogłam skłamać, gdy wspomniał o samochodzie Brody'ego, stojącym przed domem. Mogłam powiedzieć, że Brody wpadł na wczesne śniadanie, ale z potarganymi włosami, zaspanymi oczami i ewidentnie naga pod szlafrokiem nie wyglądałam na osobę, która właśnie zasiada do śniadania ze współnikiem. A poza tym, miałam już dość usprawiedliwiania się.

Lecz istniał i trzeci powód. Byłam dumna z tego, że Brody wybrał właśnie mnie. A był zdecydowanie lepszym kochankiem niż Dennis – było to coś, co mogłam dostrzec wcześniej, gdybym nie zajmowała się odgrywaniem roli kochającej żoneczki. A zajmowałam się tym przez lata, i to jeszcze jak. I byłam dobrą żoną dla Dennisa aż do tego dnia, gdy mnie wyrzucił z mojego domu.

Więc kiedy zapytał, czy Brody jest jeszcze w łóżku, powiedziałam spokojnie:

– Tak. Późno się położyliśmy.

Dennis wydawał się prawie smutny.

– Żadnego więcej zaprzeczania? – zapytał z ciekawością.

Valentino zaczął owijać mi się wokół nóg; podniosłam go i powiedziałam:

– Nigdy nie zaprzeczałam prawdzie, Dennis. Pomiędzy Brodym i mną nie było żadnych romantycznych uczuć, dopóki nie orzeczono separacji. To ty nam to podszeptałeś. Zabawne, prawda?

– Nie boisz się, że romans zniszczy twoje szanse na odzyskanie prawa do opieki?

– Nie. Nie sypialiśmy ze sobą aż do tego weekendu. Ty i Phoebe robiliście to już w lipcu. Mam na to dowody, zebrane w motelu w Vermont. – Dennis nerwowo zamrugał. – Nie przyszło ci na myśl, że mogę się dowiedzieć? – nacierałam dalej. Oczywiście, że mu nie przyszło, byłam przecież taką pokorną, posłuszną żoneczką. – Ujawnię to w sądzie, Dennis. To, i sprawę Adrienne, zwłaszcza, jeżeli jest w tym coś więcej.

– A co mogłoby być więcej?

– Ty mi to powiedz. Groziła, że oskarży cię o udział w nielegalnych transakcjach. Przynajmniej tak wtedy twierdziłaś, lecz może tylko odgrywałeś ofiarę? Znowu.

– Nie możesz mi niczego udowodnić – odparł.

– A czy muszę? Ty posłużyłaś się wyłącznie domniemaniami, a sąd dał ci wiarę. Nie powinieneś był opróżnić tej teczki, Dennis. To wzbudziło moje podejrzenia.

Nie wydawał się szczególnie zaniepokojony.

– Domniemania nie mogą mi zaszkodzić. Ta sprawa z Adrienne była dawno temu. I nawet, jeśli było w tym coś więcej, to dawno uległo przedawnieniu. Prawo nie może mnie dosięgnąć.

– Być może nie, lecz w Pittney nie byliby zadowoleni, gdyby się o tym dowiedzieli.

To nim wstrząsnęło.

– Poszłabyś do Pittney?

– Jeżeli będę musiała, pójdę. Chcę odzyskać dzieci.

– Jezu, ale się zrobiłaś twarda.

– Wyłącznie dzięki tobie. To ty zawlokłeś mnie do sądu, zabrałeś mi dom i dzieci. I ty wyciągnąłeś sprawę aborcji.

– Mówiłem ci już. Nie ja przekazałem te akta Jenovitzowi. I nawet nie poleciłem tego adwokatom.

– Lecz powiedziałaś im, że nie chciałaś tej aborcji, tak? I Jenovitzowi też. Jeszcze jedno kłamstwo. – Myślałam teraz jasno i czułam się silniejsza niż kiedykolwiek w ostatnich dniach. – Przez cały ostatni miesiąc grałeś nie fair. Ja też to potrafię. Nie chcę tego robić, lecz jeśli będę musiała, zrobię. A sprawa rozwodowa także rozegra się w sądzie. Przehulałeś wszystkie pieniądze, jakie kiedykolwiek zarobiłeś. Ale nie uda ci się to z moimi. Więc lepiej daj sobie spokój – ostrzegłam i już miałam zatrzasać mu drzwi przed nosem, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl. – Umówiliśmy się, że przyjadę po dzieci w południe. Więc co tu robisz?

– Dzieci spędziły noc u moich rodziców – powiedział z kamienną twarzą.

– Właśnie po nie jadę. Chciałem najpierw z tobą porozmawiać, ale to nie jest chyba dobry moment.

Gdybym miała go wtedy opisać, powiedziałabym, że wygląda, jakby uszło z niego powietrze.

– Tam, gdzie chodzi o dzieci, chwila zawsze jest odpowiednia – powiedziałam łagodniej. – Co się stało?

– Musimy powiedzieć im o Jenovitzu. Pomyślałem, że powinniśmy najpierw uzgodnić to między sobą.

– Pytałeś Jenovitza, co im powiedzieć? – Oczywiście, nie zrobił tego. To tak, jakby jechał pięć mil nie tą drogą, ale nie zatrzymał się, by spytać o kierunek, bo ktoś mógłby posądzić go o to, że nie zna drogi.

– Najpierw chciałem zapytać ciebie.

Przez chwilę gapiłam się na niego, zdumiona, zastanawiając się, skąd ta nagła troska i kiedy to, co naprawdę się za nią kryje, wyjdzie na jaw, by zdzielić mnie prosto między oczy. Lecz najwidoczniej nie zanosilo się na to. Dennis wydawał się absolutnie poważny, a nawet pokorny. Kiedy nie udało mi się doszukać w jego twarzy śladu fałszu czy arogancji, westchnęłam przeciągle i cofnęłam się:

– Wejdz. Zaparzę kawę i porozmawiamy.

Tak oto Dennis zakłócił mój pierwszy poranek po miłosnej nocy z Brodym. No cóż, trudno, oboje będziemy musieli nauczyć się zachowywać jak ludzie cywilizowani, jeśli sprawa będzie dotyczyła dzieci. A Dennis musi przyzwycząić się do widoku Brody'ego przy moim boku.

Nie znaczy to, że zmieniłam zdanie. Gdy tylko wyszedł, zadzwoniłam do Carmen, do domu. Przekazała mi, że Art Heuber złożył odpowiedź na naszą petycję we środę, a teraz sędzia zapoznaje się z nią i że skontaktuje się z nami w poniedziałek. Morgan dowiedział się, że to Phoebe dobrała się do moich akt medycznych, lecz co do reszty, to nadal sprawdzał.

Powiedziałam Carmen, żeby kazała mu kontynuować poszukiwania. To przykre, że moje małżeństwo kończyło się w ten sposób, ale trudno. Teraz obchodziły mnie tylko dzieci.

Być może nie miałam odwagi powiedzieć mamie, że moje małżeństwo się rozpadło, i będę miała to sobie za złe przez wiele następnych lat. Nie zamierzałam jednak żyć wyrzucając sobie, że nie zrobiłam wszystkiego, co możliwe. W tym sensie udzieliła mi mądrej rady i zamierzałam jej posłuchać.

RS

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W poniedziałek rano, przed Świętem Dziękczynienia, zadzwoniła do mnie Carmen i powiedziała, że ma dwie nowiny: dobrą i złą.

Dobra polegała na tym, iż sąd zgodził się rozpatrzyć naszą sprawę, a zła, że przesłuchanie może się odbyć nie wcześniej niż za tydzień.

Zniechęcona, spędziłam dzień w swojej pracowni. Usunęłam ostatnie połamane pręty z fotela i krzesła, po czym zabrałam się do czyszczenia i polerowania powierzchni, które wymagały odnowienia. Była to mozolna i ważna praca, chociaż z pewnością nie najbardziej ekscytująca. Uwijając się na przemian z mokrą ścierką, metalowym pilnikiem, papierem ściernym i odkurzaczem, starannie czyściłam i wygładzałam wszystkie te miejsca, które miały zostać uzupełnione nowymi prętami. Chodziło o to, by śladów naprawy w ogóle nie było widać. Gdybym pozwoliła sobie na niedbalstwo na tym etapie, z pewnością nie udałooby mi się osiągnąć celu. Pogrążyłam się zatem w pracy.

Tego popołudnia po raz trzeci miałam spotkać się z Jenovitzem. Tym razem pozostał przy fajce, chociaż zapalił ją tylko raz. Przez pierwsze trzydzieści minut trzymał ją wygasłą w ustach, po czym przez następny kwadrans zajmował się starannym upychaniem w niej tytoniu, raz po raz próbując cybucha i ugniatając tytoń, aż wreszcie, po piętnastu minutach, szczęśliwie ją zapalając. Przez cały ten czas zastanawiałam się, czy w ogóle interesuje go to, co mam mu do powiedzenia.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, nadal się nad tym zastanawiałam. A także, gdy relacjonowałam przebieg spotkania Brody'emu, a potem Carmen. Jenovitz złożył mi kondolencje z powodu śmierci matki i zapytał, jak w związku z tym się czuję, lecz moja odpowiedź nie zainteresowała go zbytnio;

ograniczył się tylko do skinięcia głową. Zapytał, jak przebiegają spotkania z dziećmi, ale nie podjął tematu, gdy powiedziałam, że Brody także jest podczas nich obecny. Nie zauważyłam też żadnej reakcji, gdy powiedziałam, że wybieram się po południu popatrzeć na trening Johnny'ego i że zamierzam być obecna podczas występu Kikit we wtorek rano. Zapytał tylko, jak idzie mi praca i czy mam zamiar dokądś wyjechać. A skoro rezygnuję w tym roku z bożonarodzeniowego objazdu moich sklepów, to kto pojedzie zamiast mnie? Kiedy odparłam, iż mam nadzieję, że zrobi to Brody, puścił tę informację mimo uszu.

Tymczasem była to znakomita sposobność, aby podyskutować o tym, jak sprawdzam się jako matka. Mógł na przykład zapytać, czy teraz, kiedy nie muszę już opiekować się mamą, będę mogła bardziej poświęcić się dzieciom lub co robiłam – jeżeli w ogóle robiłam cokolwiek – by przygotować je psychicznie do pogrzebu. Albo czy się nie martwię, że Kikit może okazać się uczulona na sierść Valentina.

Tymczasem odnosiłam nieprzeparte wrażenie, że on się po prostu nudzi.

Co gorsza, odniosłam także wrażenie, iż już podjął decyzję, a teraz tylko markuje zainteresowanie.

– Nie zareagował na to, na co powinien był zareagować – powiedziałam do Carmen przez telefon po spotkaniu. – Kiedy opowiedziałam mu o spotkaniach Dennisa i Phoebe w motelu, chrząknął tylko i spytał, dlaczego tak uczepiłam się tej znajomości. W ogóle się tym nie zainteresował, nawet kiedy mu to przeliterowałam. Co tu jest grane?

– Zastanawiam się – odparła Carmen – czy on nie ma przypadkiem cichego układu z Selweyem.

– Cichego układu?



– Wspomniałam jego nazwisko podczas spotkania z koleżankami po fachu w zeszłym tygodniu. Otóż podobno Jenovitz czuje się zmęczony, okresowe badania lekarskie nie wypadły najlepiej i właściwie powinien pomyśleć o emeryturze, ale przeszkodą są pieniądze, a raczej ich brak. Więc może wybrał pośredni sposób – rozszerzy swoją prywatną praktykę i pozwoli sądowni napędzać sobie klientów – takich jak ty. Płaci mu się od godziny. Więcej niż połowę czasu pracy zajmują mu czynności związane z wystawianiem opinii dla sądu. To łatwy zarobek.

– Łatwy zarobek? Ależ to moje pieniądze, moje problemy.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie musi obmyślać żadnej terapii. Tylko słucha i sporządza pisemną opinię. Niektóre z tych spraw są bardzo proste. Jeżeli jedno z rodziców jest nieźrównoważone albo wykorzystuje dzieci, prawo do opieki przyznaje się drugiemu. W innych przypadkach biegły zwykle zaleca wspólne sprawowanie opieki. Czasami jest to słuszna decyzja, a czasem po prostu najłatwiejsze wyjście.

– Przy mnie nawet nie wspomniał o wspólnym sprawowaniu opieki. – Ciekawe, dlaczego, pomyślałam. Odpowiedź, jakiej sobie udzieliłam, nie podniosła mnie na duchu.

– A co ty myślisz o takim rozwiązaniu?

– Jestem zaniepokojona. Nie chcę dzielić się dziećmi. – Sama myśl o tym z powrotem przywołała cały gniew. – Dennis nie miał prawa zrobić tego, co zrobił. Nie chcę, by taki człowiek miał wpływ na moje dzieci.

– Jest ich ojcem. – I co z tego?

– I sprawdza się w tej roli, czyż nie?

Nie, chciałam powiedzieć, nie sprawdza się, bo tylko miesza im w głowach. Ale nie tak brzmiała prawdziwa odpowiedź. Dzieci były czyste, dobrze odżywione i najwidoczniej nie brakowało im troskliwości. Sądząc po

tym, co sama widziałam i co mi powiedziały, Dennis naprawdę się starał. Nie miałam ochoty tego przyznać, lecz musiałam.

– Ale ja lubię wiedzieć, co robią moje dzieci – wybuchłam, a potem umilkłam, westchnęłam i dodałam z rezygnacją: – Naprawdę. Przez cały czas.

– Może to nie było zbyt dobre. Może dlatego tak bardzo broniłam się przed rozwodem.

– Być może będziesz musiała nieco odpuścić.

– Brody też tak mówi.

chrząknęła.

– A skoro już mówimy o Brodym...

Czułam, co chce powiedzieć, odezwałam się więc szybko, uprzedzając fakty:

– Brody to moje koło ratunkowe. Bez niego już dawno bym się załamala.

– Popisywanie się zażyłością z Brodym przed Dennisem to nie był najlepszy pomysł.

– Być może, ale sprawiło mi to wielką przyjemność – odparłam. – A poza tym, i tak uziemiłyśmy go tą historią z Phoebe. Teraz musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Adrienne. Co z Morganem?

– Ma pewne podejrzenia.

– Jakież ciemne sprawki? – spytałam. Nie byłam pewna, czy czuję się bardziej zadowolona, czy przestraszona.

– Nie powie nam nic, dopóki nie zdobędzie dowodu, a to nie takie łatwe, po tylu latach. Trudno teraz o świadka. Niektórzy już nie żyją, na przykład Adrienne. Inni się przeprowadzili, zrobili karierę albo po prostu zniknęli. Dennis miał rację. Nic mu nie można zrobić.

– Być może, oficjalnie, nie – powiedziałam. – Ale Art Heuber wkrótce zechce usłyszeć naszą odpowiedź na żądania rozwodowe Dennisa, a wtedy

przyda się każdy argument. Powiedziałam Dennisowi, że w razie konieczności zadzwonię do ludzi w Pittney, i naprawdę jestem gotowa to zrobić. A poza tym, mogę zacząć dyskretnie rozpuszczać plotki, które odstraszą przyszłych klientów. Nie chcę zrujnować Dennisa, ale zrobię wszystko, aby odzyskać dzieci. – To zwróciło moje myśli z powrotem ku tematowi, który nadal wzbudzał moje największe obawy. – Carmen?

– Taak? – dobiegł mnie jej głęboki głos.

– A jak ty sądzisz? Odzyskam je? Czy może Jenovitz naprawdę jest tylko marionetką w rękach Selweya?

– Mam zamiar bliżej przyjrzeć się tej możliwości. Jedna z moich asystentek sprawdza właśnie, w ilu sprawach, prowadzonych przez Selweya, zalecenia Jenovitza pokrywają się z pierwotnym orzeczeniem.

– A nie możemy po prostu spytać Jenovitza, czy podjął już decyzję?

– Możemy, lecz wątpię, by nam odpowiedział.

– A czy to by nie była odpowiedź sama w sobie?

– Masz na myśli, że to by oznaczało, iż ma zamiar wypowiedzieć się przeciwko nam? Nie. To kwestia władzy, Claire. Będzie milczał, jak członek Akademii Filmowej, który nie może zdradzić, kto w końcu dostanie Oscara. Nie piśnie słówka, dopóki nie przyjdzie kolej na jego występ.

Dennis w końcu zdecydował się zaproponować coś w związku ze Świętem Dziękczynienia. Ponieważ w południowym New Hampshire spadło już trochę śniegu, zasugerował, bym wzięła do siebie dzieci na czwartek, a potem on zabrałby je na weekend na narty. Mogłam oczywiście robić trudności i upierać się przy początkowych ustaleniach. Zważywszy całe to zamieszanie, jakie Dennis wywoływał za każdym razem, gdy przyjeżdżałam po dzieci wcześniej albo spóźniałam się z odwiezieniem ich, zasługiwał na to, by nieco go pohamować.

Lecz Rona przylatywała we środę, a ja lubiałam obchodzić święta w porze świąt.

Poza tym Dennis zgodził się, by dzieci nocowały w latarni z czwartku na piątek. Przedtem nieraz go o to prosiłam, lecz zawsze odmawiał. Nie wiedziałam, czy poruszyły go w końcu prośby dzieci, czy miał zamiar spędzić tę noc z kimś innym, czy też naprawdę zaczynał mięknąć, i prawdę mówiąc, nie obchodziło mnie to. Nie zamierzałam zaglądać w zęby darowanemu koniowi.

Poza tym, wyrażenie zgody na plan Dennisa mogło zapewnić mi dodatkowe punkty.

Jak szybko dostosowałam się do reguł gry! Nie bardzo podobała mi się ta nowa, cyniczna strona mojej osobowości, lecz cynizm stanowił broń, a my byliśmy w stanie wojny. Zrozumiałam, że jeżeli chcę wygrać, będę musiała się nim posłużyć.

Zwroty, jakich ostatnio się nauczyliśmy – te wszystkie „odebrać dzieci”, „przekazać dzieci” – były określeniami stanowiącymi część słownika każdego rozwiedzionego rodzica. Och, oczywiście, próbowałam ich unikać. Mówiłam na przykład, że „spędzam sobotę” z dziećmi, lub że mam zamiar „zobaczyć się z dziećmi”, lecz było to tak sztuczne, że jeszcze bardziej podkreślało istnienie całego tego bałaganu. Z czasem zaakceptowałam więc owe „odebrać” i „przekazać” jako mniejsze zło.

Święto Dziękczynienia sprawiło mi niespodziankę. Były to moje pierwsze wolne dni spędzone z dala od Dennisa i pierwsze święta bez Connie. Na pozór niewiele się zmieniło. Jak zwykle, upiekłam indyka, nakryłam stół świeżym lnianym obrusem, wyczyściłam zabrane z „tamtego domu” srebra i zadbałam o różne drobiazgi, takie jak świeże kwiaty, zdobione wstążkami świece czy dobre czekoladki.

Nowością była obecność przy naszym stole Brody'ego, nieskrępowanego już teraz obecnością Dennisa. Brody, przyzwyczajony sam dbać o siebie, a poza tym zakochany we mnie po uszy, wykonał więcej niż tylko przypadająca na niego część pracy.

„Nowa” była także latarnia, pięknie przybrana z okazji święta. Wspaniały widok na ocean sprawiał, że czuliśmy się tutaj jak na pokładzie luksusowego statku.

Inna była także Rona, o wiele bardziej sympatyczna niż kiedykolwiek przedtem.

I były dzieci. Nie wiedziałam, jak zareagują na to, że spędzamy ten dzień bez Dennisa, ale z powodu nagłej zmiany planów nie zdążyłam nawet porozmawiać z nimi o tym. Martwiłam się, że święta bez ojca będą niczym sól sypana na świeże rany, że unaocznia im, co straciły. Jestem pewna, że były chwile, gdy właśnie tak to odczuwały. Lecz z drugiej strony, cieszyła ich perspektywa spędzenia nocy w latarni – będziemy mogli spać w twoim łóżku, mamó, i zgasić wszystkie światła i udawać, że przez całą noc jesteśmy na środku oceanu, a potem obserwować wschód słońca, dobrze, mamusiu, prosiliśmy – błagała Kikit – a poza tym przyjemność sprawiała im obecność Joy i Rony, i Brody'ego.

Tak, nawet Johnny wydawał się zadowolony. Trochę potrwało, zanim oswoił się z sytuacją, lecz kiedy to już nastąpiło, wydawał się bardziej sobą niż kiedykolwiek od czasu separacji. Kiedy pytałam go o jego drużynę koszykówki, odpowiadał chętnie i szczegółowo, a nawet powiedział, że nie może się już doczekać, kiedy zobaczę, jak gra. Najwidoczniej moje obawy okazały się przedwczesne. Dzieci zaakceptowały sytuację, w mniejszym czy większym stopniu. Teraz ważne było to, by umieć określić ten mniejszy czy

większy stopień nie zaognić sytuacji tam, gdzie można było tego uniknąć, ani też nie ignorować kłopotów, jeśli się pojawiają.

Byłam pewna, że wykonałam dobrą robotę. Kiedy wyjeżdżali z Dennisem w piątek rano, dzieci wyglądały na szczęśliwe. Nie byłam co prawda pewna, czy Dennis także czuł się szczęśliwy, wysłuchując, jak Kikit przez całą drogę opowiada o nocy w latarni i słuchaniu opowieści Brody'ego o nieszczęsnym statku wielorybniczym oraz żonie pierwszego oficera, dzięki której załodze udało się wrócić do domu – ja jednak czułam, że wypełniłam swój obowiązek.

Jedyne smutne myśli dotyczyły mamy. Brakowało mi jej. Co prawda nie była typem matki, która zjeżdża do rodziny obładowana prezentami i ciasteczkami domowej roboty i zaraz garnie się do pomocy. Nie, wizyty u mnie traktowała jak rodzaj urlopu. A ja, wiedząc, jak ciężko przez całe życie pracowała, z przyjemnością spełniałam każde jej życzenie.

Brakowało mi widoku jej zadowolonej twarzy, kiedy patrzyła na mój dom i dzieci. A także na zastawiony świątecznymi przysmakami stół. Cieszyła się nimi bardziej nawet niż dzieci, przyzwyczajone przecież do dobrobytu. Zdecydowałam, iż będę myślała, że Connie ucieszyłby widok świątecznie udekorowanej kuchni nawet wówczas, gdyby nie było w niej Dennisa. Rona nie zgodziła się ze mną.

– Nie bez powodu nie odważyłaś się jej powiedzieć o rozwodzie. Byłaby tak bardzo rozczarowana, że to rozczarowanie uniemożliwiłoby jej właściwy osąd rzeczywistości. Ja umiem ocenić rzeczywistość i nie jest to wcale takie złe.

Był piątkowy poranek. Dzieci już pojechały, Brody właśnie odwoził Joy do Bostonu, a Rona i ja walczyłyśmy z porywistym wichrem, wiejącym u podstawy skał niedaleko latarni, dokąd wybrałyśmy się na spacer. Przykucnięte

i oparte plecami o skały, obserwowaliśmy rozbijające się o trzy metry poniżej nas fale. W powietrzu wisiała gęsta mgła. Gdyby temperatura była wyższa o jakieś trzydzieści stopni, czułybyśmy się jak w saunie. Nawet pomimo zimna, powietrze pieściło naszą skórę niczym balsam.

– A rzeczywistość – mówiła dalej Rona – przedstawia się tak, że wraz ze zniknięciem Dennisa, z twojego zachowania zniknęło napięcie. Kiedy on tu był, czułaś się zmuszona do bycia perfekcyjną.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie.

– Ale dlaczego?

– Ty mi to powiedz.

Zastanowiłam się.

– Być może chciałam, żeby był ze mnie dumny. A już na pewno zadowolony.

– A może wiedziałaś, że zerka na boki i chciałaś, by uznał cię za niezastąpioną.

– To rzeczywiście brzmi tak, jakbym chciała kontrolować wszystko wokół siebie. Choć z drugiej strony, może postępowałam tak ze względu na mamę. Żeby ją zadowolić. Znasz to, co?

Rona roześmiała się.

– Ty? Nieee. Mama była tak zachwycona wszystkim, co robisz, że i tak nie zauważyłaby różnicy.

– Na pewno nie byłaby zachwycona rozwodem. – Ta myśl nadal nie dawała mi spokoju.

– Ale ty już się z tym pogodziłaś.

– A miałam wybór? – Odwróciłam się na pięcie, by spojrzeć na Ronę. – Co sądzisz o dzieciach? Martwię się, że to dla nich zbyt ciężkie doświadczenie. Nie wydają ci się zmienione?

– Być może Johnny. Jest bardziej zamknięty w sobie, ale to może być kwestia wieku. Na twoim miejscu nie martwiłabym się o nie, Claire. To dobre dzieciaki i nieźle przygotowane do życia.

– Powiedz to psychologowi sądowemu – mruknęłam.

– Z przyjemnością. Daj mi tylko jego numer telefonu.

Moja propozycja była czysto teoretyczna. Nie oczekiwałam, że Rona potraktuje ją serio. Lecz sądząc po wyrazie jej twarzy, mówiła poważnie. Widocznie postanowiła mnie wypróbować, sprawdzić, czy potrafię jej zaufać w tak ważnej sprawie.

Jenovitz z łatwością poradziłby sobie z Roną. Słowo tu, pytanie tam, chwila milczenia ówdzie i na pewno udałoby mu się ją sprowokować. Mając najlepsze intencje, mogłaby powiedzieć coś, co tylko by mi zaszkodziło.

– On chyba ma problemy z kobietami – powiedziałam z wahaniem.

Wyraz twarzy Rony nie uległ zmianie.

– On mnie nie lubi – spróbowałam znowu. – Jesteś moją siostrą. Już to wystarczy, by znieubił i ciebie; i co nam z tego przyjdzie?

– Mimo to mogę mu powiedzieć, że jesteś wspaniałą matką. Zaciśnęła usta. – Posłuchaj, Claire, mogę mieć do ciebie żal o wiele spraw, lecz nigdy ci tego nie odmawiałam. Jesteś wspaniałą matką. A poza tym – jej głos stwardniał – Dennis to palant. Zdradzał cię od lat.

– Nie wiedziałam.

– To prawda, możesz mi wierzyć. Nie ma dymu..., i tak dalej. – Uniosła brodę i zapatrzyła się w morze. – Do mnie też się dobierał.

– Co takiego?



– Dotykał mnie w sposób zupełnie niestosowny. Naprawdę niestosowny. To nie było żadne nieporozumienie, ani przypadek. Żadne z nas tak tego nie odebrało.

– Kiedy to było?

– Pomiedzy Jerrym a Haroldem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Zrobiła minę, która mówiła „zwariowałaś, czy co?”.

– Ponieważ ten facet był twoim mężem. A poza tym, mama by mnie zabiła. Obwiniłaby mnie, że noszę zbyt obcisłe sukienki i że prowokuję Dennisa, a potem zapytałaby, co ja, u licha, spodziewam się osiągnąć, próbując rozbić twoje małżeństwo.

Oparła brodę na kolanach, lecz nie na tyle szybko, bym nie zdążyła dostrzec napięcia, malującego się na jej twarzy.

Poklepałam ją po ramieniu. A kiedy zorientowałam się, że przez grubą kurtkę nie czuje mojego dotyku, nacisnęłam mocniej. Taki mały gest. Mały, lecz ważny. Nie miałyśmy nawyku dotykania się i choć zdawałam sobie sprawę, że wieloletnich przyzwyczajień nie uda się wykorzenić od razu, zamierzałam spróbować. Nie sprawiało mi trudności dotykanie dzieci, Brody'ego, nawet przyjaciół. Trochę inaczej było z Connie. Albo z Dennisem. Pragnęłam, by nasze stosunki z Roną stały się bardziej serdeczne.

– A jak dajesz sobie radę bez mamy? – spytałam łagodnie.

– Dobrze.

– Naprawdę?

– Tak. Przez cały czas jestem zajęta – a to wieceelka wyprzedaż u Neimana Marcusa, a to baaardzo uroczysta gala w country club, a to zupeeelnie nowy, rewelacyjny sposób malowania paznokci w Imperium Manikiuru.

– Bądź poważna, Rona.

– Jestem.

– Więc może zapytam inaczej. Jak się czujesz, kiedy nie jesteś zajęta?

– Czuję się zagubiona – odparła bez chwili wahania, a potem wyprostowała plecy i odetchnęła głęboko. – Myślałam o tym, żeby się przeprowadzić. Mam dość Cleveland.

– Mieszkałaś tam od urodzenia.

– Zgadza się, i wszyscy tam sądzą o mnie to samo, co sądziła mama: że jestem płytką i beużyteczną. Powinnam zacząć ód początku.

– Co masz na myśli?

– Mogłabym wyjechać do Australii. Czytałam taką książkę... Mogłabym sprzedać wszystko, co mam i przez pół roku wałęsać się po interiorze, rozmyślając nad sensem życia. Albo mogłabym włożyć okulary lennonki i zacząć nawiedzać kawiarnie w pobliżu Harvard Square w poszukiwaniu intelektualisty, który miałby dosyć inteligencji, by dostrzec we mnie kobietę.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Uderzyło mnie jednak, że z Dennisem czy bez, moje życie nadal było pełne. Otaczali mnie ludzie, Rona zaś była samotna.

– Ale nie zrobię tego – powiedziała. Westchnęła ostentacyjnie. – Prawdę mówiąc – odwróciła głowę, by spojrzeć mi w oczy – czuję się teraz bardziej odpowiedzialna. Nie ma już mamy, więc pora przestać być dzieckiem. Wiesz, o co mi chodzi?

Ja sama nie odczuwałam niczego podobnego, potrząsnęłam więc głową.

– Nie – przyznała mi rację. – Ty nie możesz wiedzieć, jak to jest. Dorosłaś, gdy umarł tatuś, a ja po prostu zabijałam czas czekając, aż będę mogła zacząć naprawdę żyć; bez mamy obserwującej mnie i osądzającej każdy mój krok. – Westchnęła i spojrzała w dal. – Ale ty tego też nie rozumiesz, prawda?

Myliła się. Rozumiałam. Wiedziałam, jak to jest być osądzaną i to osądzaną niesprawiedliwie, choć do tej pory nawet nie przyszłoby mi na myśl, by porównywać sytuację Rony z moją. Teraz to uczyniłam i bez trudu dostrzegłam podobieństwo – ten sam gniew, to samo poczucie bezradności i niesprawiedliwości, podobnie bezsenne noce i wylane łzy. Czy tak samo myliłam się co do mamy, jak w stosunku do Dennisa? Czy dostrzegałam tylko to, co chciałam widzieć? A co gorsza, czy przejęłam od Connie krytyczny stosunek wobec Rony, bo dzięki temu czułam się lepsza?

Jedno wiedziałam na pewno. Postawiłam Connie na piedestale, ponieważ była moją matką i chciałam ją tam widzieć. Lecz ona była niesprawiedliwa w stosunku do Rony. A moje milczenie to uprawniało. Odpowiedzialność spadała więc także na mnie,

Żadne przeprosiny nie mogłyby cofnąć tego, co przeżyła moja siostra, lecz mogłam pomóc jej w inny sposób. Pierwsza sposobność nadarzyła się jeszcze tego samego dnia. Siedziałyśmy w biurze – Rona czytając USA Today, ja pogrążona w lekturze miesięcznych sprawozdań. Czekaliśmy na Brody'ego, który miał odwieźć Joy na lotnisko i wrócić, by zabrać nas na obiad.

Kiedy w końcu się zjawił, wydawał się dziwnie zmieszany. Podszedł do swego biurka i przez chwilę przerzucał papiery, a potem wyprostował się i położył sobie dłoń na głowie. Znałam ten gest i dobrze wiedziałam, co oznacza.

– Brody?

Spojrzał na mnie, cofnął rękę i uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku, jestem zupełnie spokojny. – Pochylił się nad biurkiem i zaczął przeglądać terminarz. Wreszcie wyprostował się i ciężko westchnął: – No cóż, jakoś sobie poradzę.

Domyślałam się, na czym polega problem. Bożonarodzeniowy objazd. Poza odwiedzeniem wszystkich naszych sklepów, należało jeszcze wziąć udział w trzech dużych imprezach na cele dobroczynne.

– Poradzę sobie. Po prostu kiedy znalazłem się na lotnisku i zacząłem myśleć o tym, co mnie czeka... No cóż, trochę wyprowadziło mnie to z równowagi.

Wątkowaliśmy tę sprawę od kilku dni. Technicznie rzecz biorąc, butiki z pewnością przetrwałyby bez naszej dorocznej wizyty. Dostaliśmy już sprawozdania, dotyczące wystroju i zaopatrzenia w okresie świątecznym, i nawet zdążyliśmy wydać odpowiednie dyspozycje. Wizyty miały raczej na celu bliższe związanie pracowników z firmą. Przykładaliśmy do tego wielką wagę, traktując osobiste kontakty z naszymi ludźmi jako zachętę i bodziec do dalszej pracy, a także formę uznania. I to funkcjonowało, nie zdarzyło się bowiem dotąd, by jakiś koncesjodawca zrezygnował z dzierżawy i otworzył konkurencyjny interes. Brody umieścił co prawda w kontrakcie odpowiednią klauzulę, zapobiegającą podobnym przypadkom, lecz każdą klauzulę można obejść, na przykład otwierając sklep w odległości większej niż dziewięćdziesiąt mil, jakie przewidziano w umowie. Jak dotąd nikt tego jednak nie próbował. Sprawiała nam przyjemność myśl, iż być może stało się tak, ponieważ nasi pracownicy wiedzieli, że są dla nas ważni. I właśnie budowaniu tego poczucia służyły osobiste wizyty moje czy Brody'ego.

W tym roku ja nie mogłam pojechać i Brody zgodził się mnie zastąpić. Ale już i tak wykonywał podwójną robotę na miejscu, pracował dosłownie dniami i nocami i nie zanosilo się, aby w najbliższym czasie sytuacja mogła ulec zmianie.

Spojrzałam na Ronę. Trzymała przed sobą gazetę, ale patrzyła gdzieś ponad nią, w przestrzeń. Wyglądała, jakby zaraz miała zasnąć.

– Rona – zawołałam.

Zerknęła na mnie.

– Co byś powiedziała na podróż po kraju z pokryciem wszelkich wydatków?

Uniosła brwi.

– Potrzebujemy kogoś, kto odwiedziłby nasze butikie przed Bożym Narodzeniem. Jest ich dwanaście. Brody ma zamiar zaliczać po dwa dziennie. Ty na pewno dałabyś radę zrobić więcej. Co ty na to?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Dalibyśmy ci listę rzeczy, które powinnaś sprawdzić. Składałabyś nam raporty po każdej turze. To mogłaby być dla ciebie niezła zabawa. Zabierałabyś naszych pracowników na śniadanie czy obiad, według uznania, i byłabyś kimś w rodzaju naszego ambasadora. To samo podczas trzech imprez dobroczynnych – na rzecz walki z analfabetyzmem, rakiem i AIDS.

Rona przez chwilę spoglądała z niedowierzaniem to na mnie, to na Brody'ego. Wreszcie, nadal z uniesionymi brwiami, stuknęła się pytająco palcem w pierś i przez jedną, jedyną chwilę podzielałam jej niedowierzanie.

A potem zdałam sobie sprawę, że to nie ja wątpię w poczucie odpowiedzialności Rony, lecz że to głos Connie w mojej głowie, który mi szepcze, iż moja siostra może zlekceważyć obowiązki i nie zaglądając do naszego butikie, pośpieszyć na inne piętra supermarketu, by wydać pieniądze na ubrania, których nie potrzebuje, oraz zapominając o godzinie odlotu samolotu, na który nie powinna się spóźnić.

– Tak, ty – powiedział Brody i głos Connie w mojej głowie umilkł. – Doskonale dałabyś sobie radę. Kiedy pomyślę, jak wyglądałaś, kiedy się tu zjawiałaś we środę... – Uśmiechnął się w sposób, który sugerował, że oto znalazło się rozwiązanie naszych problemów.

Co do tego wyglądu, to jak na Ronę, był rzeczywiście mocno stonowany, co oznaczało, że kostium, który miała na sobie, nie był wściekle różowy, lecz jasnogranatowy, biżuteria średnich rozmiarów, włosy zaś wyszczotkowane do połysku i ani trochę nie wytapirowane.

Rona wyglądała na nieco przestraszona, acz niewątpliwie zainteresowana.

– Miałabyś po prostu skontrolować, jak wykonano nasze zalecenia – powiedziałam.

– Występowałabyś w roli członka zarządu – dodał Brody. – Kłopot w tym, że musiałabyś wyruszyć już w niedzielę. Moglibyśmy tak ustawić harmonogram, żebyś mogła wstąpić najpierw do Cleveland, zabrać trochę rzeczy, tak by ci ich starczyło na dwa tygodnie. Musimy zakończyć objazd do połowy grudnia.

Podeszłam do niego i powiedziałam do Rony:

– Nie miałaś żadnych specjalnych planów, prawda? Więc co ty na to?

Rona spochmurniała.

– Jesteście pewni, że nie chodzi wam tylko o to, by zająć mnie czymś po śmierci mamy?

– Co ty pleciesz, Rona – głos Brody'ego był równie przekonujący, jak jego mina. – Na miłość Boską, kobieto, od tygodnia siedzę po godzinach, by przygotować się do tego wyjazdu. Jeśli się nie zgodzisz, znów spadnie to na mnie. Wyrządziłabyś mi wielką przysługę.

– Dwanaście miast? – spytała.

– No cóż, jeśli to zbyt wiele...

– Dwanaście – przerwał mi Brody stanowczo.

– Mogłabym latać pierwszą klasą?

– Nie – odparł.

Ja na pewno bym się zgodziła, dlatego to właśnie Brody rozmawiał zwykle o pieniądzach. Rona wyprostowała się na krześle.

– A co z wynagrodzeniem?

Brody nawet nie mrugnął.

– Dwieście dolarów dziennie.

Skrzywiła się.

– Zarabiałam więcej jako hostessa. Trzysta.

– Dwieście pięćdziesiąt. Nie chciałabyś znów być hostessą. A poza tym nie potrzebujesz pieniędzy. Dwieście pięćdziesiąt, plus wydatki. To moje ostatnie słowo.

– Nie wiedziałam, że umiesz się tak targować, Brody – powiedziała, a uśmiech na jej twarzy sprawił, że zrobiło mi się ciepło na sercu.

Trzy dni później Carmen i Art stawili się przed sędzią Sądu Apelacyjnego Stanu Massachusetts, Davidem Wheelerem. W sali rozpraw panował spokój, nie tak, jak u Selweya. Na podłodze położono wykładzinę, nigdzie nie było widać żadnych gapiów ani nie było słychać trzeszczenia drewnianych ław.

Sala też była o wiele większa. Było tam odgrodzone barierką miejsce dla świadków, a także stoły dla adwokatów, zwrócone przodem do stojącej na podwyższeniu ławy sędziowskiej, za którą znajdowały się trzy wysokie, wyściełane skórą krzesła. Sędzia Wheeler zajmował środkowe z nich.

Nie odczuwało się też tutaj atmosfery pośpiechu i zamieszania, a jedynym słyszalnym dźwiękiem, poza okazjonalnym trzeszczeniem sędziowskiego fotela, były głosy obojga adwokatów i samego Wheelera.

Każdy z obrońców przedstawiał swój punkt widzenia, stojąc na głównym podium. Ponieważ sędzia znał już podstawowe fakty, celem tego przesłuchania było umożliwienie mu zadania przedstawicielom obu stron pytań, te zaś

powinny odnosić się wyłącznie do wcześniejszych przesłuchań Selweya. Stanowiło to jakby powtórzenie poprzednich przesłuchań. Nie wolno było przedstawiać żadnych nowych dowodów. Carmen argumentowała, iż sędzia Selwey nadużył swoich uprawnień, wydając orzeczenie niewspółmiernie surowe do przyczyny. Heuber twierdził coś wręcz przeciwnego. Ani Dennisa, ani mnie nie poproszono na podium, przesiedzieliśmy więc całe przesłuchanie przy adwokackich stolikach. A trwało ono blisko godzinę.

Miałyśmy nadzieję, że sędzia ogłosi swoją decyzję od razu z ławy, lecz on uznał, że musi się jeszcze nad sprawą zastanowić i obiecał, że sporządzi pisemną opinię w ciągu kilku dni.

Nie pozostało nam zatem nic innego, jak cierpliwie czekać. Znowu.

Dean Jenovitz wiedział, jak bardzo byłam rozczarowana, kiedy sąd przyznał mu dodatkowe trzydzieści dni, lecz ani przez chwilę nie przypuszczałam, by moja niecierpliwość skłoniła go do pośpiechu. Już raczej chodziło o dziesięciodniową wyprawę na Florydę, którą zaplanował na koniec grudnia. Jakikolwiek by był powód, poczułam ulgę, kiedy zaczęły do mnie dzwonić osoby z listy, którą mu dałam.

Ulżyło mi podwójnie, kiedy się dowiedziałam, że każda z tych osób wypowiedziała się o mnie pozytywnie.

Pielęgniarka, z którą się zaprzyjaźniłam, kiedy jej córka pracowała w czasie wakacji w naszym sklepie, zadzwoniła, by mi powiedzieć:

– Był nawet dość miły, Claire. Pytał, czy sądzę, że dzieci są zadbane, szczęśliwe, dobrze przystosowane i tak dalej. Oczywiście, powiedziałam, że tak właśnie jest. Roześmiałam się i powiedziałam głośno „nie” kiedy zapytał, czy nie spostrzegłam śladów stosowania przemocy – fizycznej, psychicznej czy jakiegokolwiek innej. Nie wypytywał szczególnie o ciebie ani o Dennisa. Więc sama mu powiedziałam. Oczywiście, nie mówiłam nic przeciwko Dennisowi.



Pomyślałby, że mnie przygotowałaś, a przecież nie zrobiłaś niczego takiego. Niemniej to z tobą miałam głównie do czynienia przez wszystkie te lata. Powiedziałam mu to. Po prostu wtrąciłam to niby mimochodem do rozmowy, kiedy chwaliłam cię jako matkę. Powiedziałam, że to niemożliwe, aby przy takiej matce dzieci nie były zadbane, szczęśliwe i dobrze przystosowane.

Potem zadzwoniła wychowawczyni Kikit, która dwa lata wcześniej uczyła także Johnny'ego. Znała mnie dobrze, gdyż przez cały czas należałam do komitetu rodzicielskiego.

– Pytał mnie o Kikit – powiedziała – ponieważ ją uczę, ale od razu dałam mu jasno do zrozumienia, że znam dobrze oboje. Pytał, jak radzą sobie w szkole. Powiedziałam, że jabłko nie padło daleko od jabłoni. Pytał, jak wyglądają ich stosunki z innymi dziećmi, jak dają sobie radę z problemami, jak znoszą niepowodzenia. A potem zażyczył sobie kartę ocen Kikit. Wyjaśniłam mu, że nie stawiamy stopni dzieciom w tym wieku, lecz jeśli chciałby zobaczyć kopię pisemnego raportu, który będę wysyłała rodzicom Kikit w styczniu, to mogę sporządzić go wcześniej. – A kiedy zaczęłam protestować, że to przysporzy jej dodatkowej pracy, dodała: – Zrobię to z przyjemnością, Claire. Nie znam dobrze twojego męża, nie mogę więc wiele o nim powiedzieć, lecz ty nigdy nie szczędziłaś czasu, jeśli chodzi o szkołę, i z pewnością jesteś bardzo oddana swoim dzieciom.

Pastor zadzwonił, by mnie zapytać, jak mi się wiedzie i wyrazić nadzieję, że jeszcze się z Dennisem pogodzimy. Tak właśnie powiedział psychologowi.

– Powiedziałem mu, że moim zdaniem z dziećmi wszystko jest w porządku, lecz że widuję je zaledwie przez kilka godzin w tygodniu, trudno mi więc stwierdzić, jak reagują na separację, chyba że ich zachowanie mocno by się zmieniło. Jednak niczego takiego nie zauważyłem. Podejrzewam, że bardzo

się starasz, aby oszczędzić im tyle bólu, ile tylko się da, i powiedziałem mu to. Zaprosiłem go także, by przyłączył się do nas w niedzielę, ale odmówił.

Podniesiona na duchu, zadzwoniłam do trenera Johnny'ego i powiedziałam mu, że – w separacji czy nie – pragniemy z Dennisem, aby wakacyjne przyjęcie dla drużyny odbyło się znów w naszym domu. Wiedziałam, że Dennis nie ośmieli się zaprotestować. Lasagne, włoski chleb i mnóstwo sałatki – nietrudno będzie to zorganizować. Przygotowania nie zajmą mi więcej niż jedno popołudnie i wieczór w dniu przyjęcia, nawet jeśli Dennis odmówi pomocy. Trener przyjął propozycję z wdzięcznością.

– Zgłosiło się mnóstwo osób, które chcą pomóc, jeżeli przyjęcie odbędzie się w domu kogoś innego – powiedział – lecz tylko pani odważyła się zaprosić do siebie dwunastu dziewięciolatków wraz z rodzicami i nakarmić ich. Powiedziałem to temu facetowi, który tu dzwonił. Chciał wiedzieć, jak długo znam Johnny'ego i czy zauważyłem u niego jakąś zmianę, od kiedy się rozeszliście. Powiedziałem mu, że Johnny zawsze bardzo się starał i że zawdzięcza taką postawę pani i Dennisowi. Zawsze można było panią zobaczyć na widowni, a teraz przesiaduje tam Dennis. Przez kilka ostatnich tygodni nawet pomagał mi prowadzić drużynę. Zna kilka fajnych sztuczek. Może ma ochotę na moją posadę, kto wie?

Nieco więcej wahań przeżyłam, zanim zdecydowałam się zadzwonić do alergologa Kikit. Obawiałam się, że poczucie zawodowej solidarności z kolegą po fachu każe mu zachować daleko posuniętą dyskrecję. Zadzwoniłam do niego zatem pod pretekstem, iż obawiam się, że Kikit może być uczulona na sierść Valentina. Sprawdziłam to już co prawda wcześniej z jego pielęgniarką i nigdy nie wzięłabym do domu kota, gdyby istniała choć najmniejsza wątpliwość w tym względzie. Doktor potwierdził, że nie powinnam się obawiać, i nawet wydawał się zadowolony, kiedy mu powiedziałam, że Kikit

rzadziej pociąga nosem, gdy jest z Valentinem. A potem powiedział mi o telefonie Jenovitza.

– Rozmawialiśmy przez chwilę o tym, czy atak Kikit mógł zostać spowodowany przez stres. Mówiłem mu, że pani dzwoniła i pytała mnie o to po jej ostatnim ataku. Powiedziałem mu to samo, co powiedziałem pani, że dziecko w stanie silnego stresu może wywołać u siebie objawy wstrząsu anafilaktycznego. Może też celowo zjeść coś, co mu szkodzi, aby przyciągnąć uwagę rodziców, lecz że nie zaliczyłbym Kikit do żadnej z tych kategorii. I że to silna dziewczynka, która nie obawia się rozmawiać o wszystkim z rodzicami. Zadzwoił też pani mąż, aby zapytać o kota. W tle słyszałem Kikit. Nie wydawała się nazbyt szczęśliwa, lecz dobrze sobie z nią poradził. A ja z nim. Więc nie musi się pani martwić o tego kota, Claire. Coś jeszcze?

Rona też rozmawiała z Jenovitzem, chociaż nie potrafiła powiedzieć, gdzie się wtedy znajdowała. Zapewniła mnie, że piała hymny na moją cześć, że Jenovitz dobrze to przyjął, a poza tym – wyobraź sobie tylko! – on studiował razem z Haroldem!

Kiedy Jenovitz zadzwonił w końcu, by umówić się na wizytę z dziećmi, poradził nam, abyśmy im powiedzieli, że to po prostu część procedury i że tak zwykle się robi podczas procesu rozwodowego. Nie byłam pewna, czy dzieci to kupią. Johnny był właśnie na etapie porównywania swojej sytuacji z sytuacją kolegi, którego rodzice dopiero co się rozwiedli, w o wiele bardziej konwencjonalny, spokojny sposób. Kikit zaś kwestionowała wszystko.

Jenovitz zapewnił mnie jednak, że robił to już wiele razy i że im mniej się mówi, tym lepiej. Posłuchałam go, chociaż nie byłam do końca przekonana. Nie chciałam, by dzieci martwiły się tym, że powiedzą coś, czego nie powinny, lub aby przeżywały konflikt lojalności. Gdyby Jenovitz je zdenerwował,

wpadłabym w szal. Tym bardziej, gdyby nie pozwolono mi zbliżyć się potem do nich, by je pocieszyć i uspokoić.

Nie musiałam się martwić o Brody'ego, z którym Jenovitz umówił się na spotkanie dzień po wizycie u dzieci. Brody był twardy. Potrafił oddać cios. Martwiło mnie tylko, że, zważywszy na moje bliskie stosunki z nim i to, jak wiele znaczył w życiu moich dzieci, Jenovitz nie zechciał zobaczyć się z nim wcześniej. Spotykanie się dopiero teraz wydawało mi się nieco po fakcie, co doskonale zgadzało się z tym, co czułam po ostatniej rozmowie z psychologiem. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Jenovitz spotykał się z nami tylko dla pozorów i że wszystko było już przesądzone.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że powinnam odzyskać dzieci. Ale w tych dniach niewiele doświadczyłam przejawów zdrowego rozsądku. Ostatnią nadzieję pokładałam zatem w sędzi Wheelerze.

Czekałam na jego decyzję. Minął wtorek, potem środa. Próbowałam zająć się pracą, lecz łatwiej powiedzieć niż zrobić. Nie mogłam skupić myśli dłużej, niż przez dwie godziny. Gdy Brody był w pobliżu, łatwiej przychodziło mi uśmierzyć niepokój – mały spacer tu, wyprawa do magazynu tam, trochę pocałunków, trochę miłości. Gdy go nie było, chroniłam się w swojej pracowni.

Najgorszą robotę przy obu odnawianych meblach miałam już za sobą. Wszystkie miejsca, z których usunięto połamane pręty, zostały wyczyszczone i wygładzone. Teraz zajęłam się przycinaniem nowych, którymi miałam zastąpić te zniszczone. Po przycięciu pręty zostaną namoczone, by stały się bardziej podatne na zginanie, a potem wplecione w mebel. Była to delikatna robota, wymagająca skupienia. Trzeba było uważać, aby nie wplatać prętów zbyt mocno lub zbyt słabo i dokładnie przestrzegać wzoru. Niezbyt dokładnie

wplecione pręty już zawsze odstają od reszty, wskazując miejsce, gdzie dokonana została naprawa.

Ja także czułam się teraz jak taki mebel. Jeżeli moje stosunki z Dennisem nie ulegną poprawie i zaczną oddziaływać na moje dalsze życie, odcisną swe piętno na wszystkim, co będzie mnie dotyczyło. Przywrócenie mnie w prawach rodzica mogłoby pomóc. Sędzia Wheeler też mógłby pomóc, anulując orzeczenie Selweya.

Ta huśtawka nadziei i rozpacz trwała do czwartku wieczór, kiedy to zadzwoniła Carmen.

RS

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Już sam dźwięk jej głosu sprawił, że serce zaczęło mocniej bić mi w piersi.

– I co? – spytałam.

Wahała się o sekundę za długo.

– O, nie – jęknęłam.

– Przykro mi, Claire. Właśnie odebrałam telefon. Pisemna opinia przyjdzie w swoim czasie, ale jej sens jest taki, że skoro Dennis sprawdza się jako ojciec, to decyzja Selweya nie była irracjonalna.

Westchnęłam ciężko i opadłam na fotel. Tak bardzo liczyłam na to orzeczenie, tak bardzo byłam go pewna, że teraz rozczarowanie wręcz mnie obezwładniło.

– A co ze mną? – krzyknęłam. – Czy on uważa mnie za nieodpowiedzialną matkę?

– Nie. Tylko, że pozostawienie dzieci z ojcem na czas potrzebny do wydania opinii było rozsądnym posunięciem. Niekoniecznie takim, które on sam by zalecił. Ale uzasadnionym. Nasza apelacja dotyczyła właśnie tego.

Zamknęłam oczy i przycisnęłam dłoń do serca. O co tu chodzi? Przyznałam, że zdarzało mi się popełniać błędy. Czy były doprawdy aż tak okropne, by karać mnie bez końca?

– Jesteś tam? – spytała Carmen zaniepokojona.

– Jestem – westchnęłam. – A zatem wszystko zależy od Jenovitza?

– Póki co, tak. To najszybszy sposób.

Poczułam przypływ zniechęcenia.

– O ile wyda korzystną opinię.

– No cóż, pracujemy nad tym. Jeżeli uda nam się dowiedzieć, jak często jego opinie zgadzały się z pierwotnym orzeczeniem Selweya, będziemy mogli wystosować jeszcze jedno odwołanie.

– Dobrze byłoby, gdybyśmy mogły dogadać się z Dennisem w sprawie opieki. Niestety, jest z tym pewien problem. Heuber zadzwonił zaraz po urzędnicze z biura sędziego.

Zebrałam się w sobie.

– O co chodzi?

– Dennis znalazł kupca na Wiklinowy Kącik.

– Wiklinowy Kącik nie jest na sprzedaż.

– Heuber twierdzi – zaśmiała się Carmen ironicznie – że Dennis przez cały czas zastanawiał się nad zakupieniem pakietu akcji Pittney, ale w tym celu potrzebuje pieniędzy – połowy wartości Wiklinowego Kącika. A ponieważ nie masz takiej kwoty, sugeruje, byś sprzedała firmę i spłaciła go. Przeczucie cię nie myliło.

Mała pociecha.

– Nie sprzedam. Chyba że zmusi mnie do tego w sądzie.

– No cóż, są na to zdecydowani.

– Naprawdę? Carmen, ja nie mogę czekać tak długo.

– Nie martw się, kochanie. Z pewnością do tego nie dojdzie. Mamy dowody, że romansował z Phoebe, poza tym jest ta sprawa z Adrienne, i co tam jeszcze Morgan zdobędzie. To tylko poza z ich strony. Chyba sądzą, że blefujemy.

Ja powiedziałabym raczej, że bawią się ze mną. I że mam tego dosyć.

– Spróbujmy ich przetrzymać – powiedziałam, wzdychając. To westchnienie pochodziło z miejsca w środku mnie, które ostatnio aż nazbyt

często odbierało razy. Miejsca, gdzie rozbrzmiewały żale mojej matki. Postanowiłam, że nie dam się zapędzić w tę pułapkę. Nigdy.

Brody znalazł inne rozwiązanie.

– Niech Dennis znajdzie sobie nawet dziesięciu kupców. Nie musisz sprzedawać firmy żadnemu z nich. Możesz sprzedać ją mnie. To da ci pieniądze, by spłacić Dennisa i nadal będziesz miała Wiklinowy Kącik.

– Nie, to ty będziesz go miał. – powiedziałam ostrożnie.

– Co za różnica.

– Jeśli ty kupisz Wiklinowy Kącik, firma będzie twoja.

– Co moje to twoje.

– Nie o to chodzi – upierałam się. – Wiklinowy Kącik nie jest na sprzedaż. W ogóle nie chcę go sprzedawać.

Byliśmy w pracowni. Pracowałam szaleńczo od kiedy zadzwoniła Carmen, lecz moje dłonie nie były wystarczająco spokojne i nowe pręty odstawały od reszty. Równie dobrze mogłam dać sobie spokój.

– Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał – powiedziałam. – Zabrzmiało to tak, jakbym się bała, że przejmiesz Wiklinowy Kącik, a nie o to chodzi. – Podeszłam do niego i położyłam mu dłonie na ramionach. – Dałabym ci firmę w każdej chwili – lecz tylko, gdyby taka była moja wola. Nie dopuszczę do tego, by Dennis rządził moim życiem. Ma prawo wypowiadać się na temat wychowania dzieci, lecz Wiklinowy Kącik jest mój.

Zabrzmiało to dobrze. I tak stanowczo. Pomimo to nadal wiedziałam, że mogę stracić firmę. Póki co, mogłam tylko czekać. I to było najgorsze. Czekanie, aż asystenci Carmen znajdą coś na Jenovitza, Morgan Houser znajdzie coś na Dennisa, ten ostatni zmęczy się ojcostwem, a Jenovitz podejmie w końcu decyzję.



Siedem tygodni po tym, jak odebrano mi dzieci, Jenovitz spędził z nimi godzinę. Jedną godzinę. Ponieważ nie pozwolono być przy tym ani mnie, ani Dennisowi, nie wiedzieliśmy, co zostało powiedziane. Czekaliśmy w kuchni aż skończą rozmowę w gabinecie.

Carmen miała rację. Jenovitz doskonale radził sobie z dziećmi. Kikit polubiła go bardziej niż Johnny, który czuł, że musi mieć się na baczności, lecz nawet on wyłonił się z gabinetu niespecjalnie zdenerwowany. Następne chwile, kiedy to kręciliśmy się z Dennisem wokół dzieci, umierając z chęci dowiedzenia się, o czym była mowa, i nie mając odwagi o to zapytać, były wręcz komiczne. Nie wiem, jak Jenovitz to zrobił, być może kazał im przyrzec, że będą milczały – w każdym razie nawet Kikit nie powiedziała wiele. Bardziej zależało jej na tym, aby pokazać mi gniazdo, jakie wybudowała dla fioletowego aligatora, którego kupiła sobie w cyrku.

Serce omal mi nie pękło, gdy Johnny z nieskrywaną nadzieją w głosie zapytał, czy zostanę na obiedzie. Oczywiście Jenovitz tego nie słyszał. Dawno już sobie poszedł.

Spotkanie Brody'ego z Jenovitzem nie przebiegło tak gładko.

Odbyło się ono o szóstej w czwartkowy wieczór, w drugim tygodniu grudnia. Wymknęłam się z pracy po paru godzinach spędzonych w naszym magazynie w Essex i kiedy Brody wszedł, siedziałam na podłodze, otoczona szkicami, ukazującymi rozmieszczenie wiosennej kolekcji. Poza kręgiem światła jedynej zapalanej lampy w pokoju panowała ciemność, nie mogłam więc dostrzec wyrazu jego twarzy. Lecz głośny dźwięk kroków świadczył o tym, że jest w raczej wojowniczym nastroju.

Ścisnęłam mocniej szkicownik. Wstrzymałam oddech.

Zbliżył się do kręgu światła. Nadal miał na sobie garnitur, ale z poluzowanym krawatem, rozpiętym kołnierzykiem koszuli i opadającym na czoło kosmykiem włosów wyglądał na mocno wzburzonego.

– Coś jest nie tak – powiedział. Nie miałam odwagi zapytać, co.

– Miałaś rację, Claire. On już wyrobił sobie opinię i nic, co mógłbym zrobić lub powiedzieć, nie zmieniłoby jej. Kiedy przestawał być napastliwy, okazywał demonstracyjny brak zainteresowania. Miał przed sobą listę pytań, ale zupełnie nie interesowały go moje odpowiedzi. Co tu jest, do cholery, grane?

– Sama chciałabym wiedzieć. Wygląda mi to na jakąś osobistą wendetę. Albo chce zrobić ze mnie pokazowy przypadek. – Odłożyłam ołówek. – Co dokładnie powiedział?

– Proszę mi opowiedzieć o sobie, powiedział, a potem tylko siedział i gapił się na mnie. Poinformowałam go, kiedy i gdzie się urodziłem, gdzie dorastałem, ile miałem rodzeństwa i gdzie chodziłem do szkoły. Właśnie mówiłem o Dennisie, gdy zaczął bawić się fajką. Powiem ci, że gdyby zapytał, czy przeszkadza mi, że będzie palił, powiedziałbym, że tak. Lecz nie zapytał. Zapytał o rozwód. Nie chciał o mojej przyjaźni z Dennisem. Nie zadał ani jednego, na pozór oczywistego, pytania, na przykład, jaki jest mój stosunek do dzieci. Chciał tylko wiedzieć, co stało się z moim małżeństwem. I od razu założył, że rozpadło się z mojego powodu. I że mojej żonie słusznie przyznano prawo do opieki nad Joy, bo to ja jestem złym chłopcem. – Wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. – No, dobrze, może i byłem. – Spojrzał na mnie znowu. – Lecz kiedy tylko próbowałem przeskoczyć kilka lat w przód, żeby mu uświadomić, jakim ojcem się stałem, on znowu wyjeżdżał z tymi swoimi obraźliwymi pytaniami. Na przykład, czy kiedykolwiek przyjmowałem w domu „moje kobiety”, gdy była tam Joy. I czy nie czułem się jak zdrajca,

pracując najpierw dla Dennisa, a potem dla ciebie. Albo, kiedy spędzałem czas z waszymi dziećmi. – Parsknął gniewnie. – No, to mu powiedziałem!

Jego oburzenie sprawiło, że musiałam się uśmiechnąć. Zwykle był taki zrównoważony i łatwy we współżyciu, że każdy wybuch gniewu stawał się tym bardziej znaczący. A to, że stałam się poniekąd przyczyną tych wybuchów, sprawiało, że tym mocniej go kochałam. Nie tylko bronił mojej sprawy, ale podzielał uczucia, jakie budził we mnie Jenovitz.

– A potem zapytał, jakie mam zamiary – powiedział Brody.

Czekałam, aby usłyszeć jego odpowiedź, lecz on w milczeniu przeszedł na zaciemnioną stronę pokoju i oparł pięści na biurku.

–Brody?

Gdy się odezwał, jego głos nie brzmiał już tak obco.

– No więc mu powiedziałem. Być może zrobiłem to z przekory, po tym, jak nazwał mnie intruzem, lecz wydawało mi się to sensowne. On wie, że wasze małżeństwo to już historia. Wie, jak jesteśmy sobie bliscy. Pomyślałem, że z radością dowie się, że mam zamiar ożenić się z tobą i zapewnić bezpieczny dom dzieciom.

Wstałam i podeszłam do niego. Moja dłoń sama powędrowała ku najszerszemu miejscu na jego plecach.

–I co, nie był tym zachwycony?

– Ani trochę. Powiedział, że mam tupet, usiłując zachować i ciebie, i firmę. I że komplikuję tylko tę sprawę z prawem do opieki. I mieszam dzieciom w głowie. A także rozpraszam cię, kiedy ty nie możesz sobie na to pozwolić. – Odwrócił głowę, zerkając na mnie. – Powiedział, że najbardziej bym ci się przysłużył, gdybym wyjechał z miasta.

–Nie.

Nie poruszył głową. Jego oczy, ukryte za szklami, napotkały moje.

– Może on ma rację.

–Nie.

Wyprostował się i przez chwilę patrzył prosto na mnie, ja zaś na krótką, króciutką chwilę wyobraziłam sobie, jak by to było, gdyby wyjechał. Poczucie straty było nie do zniesienia.

– Nie – powiedziałam po raz trzeci, chwytając jego krawat.

– Mogę to zrobić, Claire. Kochałem cię przez całe lata.

Pociągnęłam za krawat, uniosłam się i uciszyłam go pocałunkiem, namiętym i pełnym pożądania. A kiedy przestałam go całować, zakryłam mu usta dłonią.

Lecz Brody potrafił być stanowczy. Ujął mnie za nadgarstek, odsunął moją dłoń i powiedział:

– Przez wszystkie te lata żyłem ze świadomością, że nigdy nie będę mógł cię mieć, i pogodziłem się z tym. Znam cię, Claire. Wiem, ile dla ciebie znaczą dzieci. Jeżeli będziesz musiała wybierać pomiędzy nimi a mną, zostawię wszystko i zniknę.

– Nie pytając mnie, czego ja chcę? – krzyknęłam, rozgniewana. – Nie dając mi możliwości wyboru? Zaczynasz mówić zupełnie jak oni!

Objął mnie za szyję i przyciągnął do siebie.

– Po pierwsze – argumentowałam, bezpiecznie ukryta w zagłębieniu jego ramienia – jeżeli to prawda, że Jenovitz już wyrobił sobie opinię, to twój ewentualny wyjazd niczego nie zmieni. Po drugie, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. – Przesuwałam dłońmi pod jego koszulą, od pasa do karku.

Brody należał do mnie, a ja nie miałam zamiaru się poddać.

– Zmuszą cię, byś za to zapłaciła.

Cofnęłam szybko głowę.

– Kto? Dennis? Sędzia? Sądowy psycholog? Kim oni, do cholery, są, aby dyktować mi, jak mam żyć? Tak jakby sami stanowili wzór wszelkich cnót – czułam wzbierającą pogardę. – No cóż, mam dosyć usprawiedliwiania się. Zmęczyło mnie nieustanne zastanawianie się, czy wszystko, co robię, przystaje do standardu o wiele niższego niż ten, który ustaliłam dla siebie sama. Koniec z tym, Brody – ostrzegłam. – Jeżeli Jenovitz nie odda mi dzieci, zaciągnę Dennisa do sądu i to nie do jednego, jeżeli okaże się to konieczne. Zamierzam walczyć. Walczyć o dzieci, ale i o ciebie. I to nawet z tobą, jeżeli będę musiała.

Umilkłam. Była tylko jedna osoba, która mogła mi powiedzieć, czy będę musiała to robić. Czekałam na jego decyzję.

Zdradziły go drobne ruchy – nieznaczne skrzywienie ust, leciutkie drżenie mięśni, przyśpieszony puls – i już wiedziałam, jaka to będzie decyzja. Wyczułam ją, mimo ciemności i braku słów. Odkrywaliśmy siebie, Brody i ja, kochając się w każdym możliwym miejscu i o każdej porze, jakbyśmy musieli obywać się bez seksu od lat. I w pewnym sensie była to prawda. Przynajmniej, jeżeli chodzi o mnie. Nie wiedziałam, że może istnieć taki świadomy seks, że można zdawać sobie sprawę z każdej chwili spędzonej na kochaniu się. Nigdy nie zaznałam tego rodzaju przyjemności. Z Brodym mogło to być powolne i słodkie albo namiętne i pełne pożądania. Ciemne lub jasne, dokonywane w milczeniu albo obfitujące w słowa. Być może Brody nie był w stanie zanucić poprawnie piosenki, lecz dotyk jego języka zniewalał, a uderzenia bioder były mocne i pewne. Wiedział, co robić, aby osiągnąć cel. Jeżeli o to chodzi, jego poczucie rytmu było bez zarzutu.

W ramionach Brody'ego odkrywałam na nowo swoje ciało, które piękniało pod dotykiem jego dłoni i ust, a podziw nie był jednostronny. Nigdy dotąd nie poznawałam w ten sposób męskiego ciała. Nie odczuwałam takiej potrzeby. To, co robiliśmy z Brodym, wykraczało poza zwyczajne pożądanie i

nienasyconą ciekawość. Wiedziałam, jak miękkie są włosy pod jego pachami po prysznicu i jak wrażliwą ma skórę w pachwinach. Wiedziałam, jak twarde mogą stać się jego sutki i jak dolna strona jego penisa zagina się lekko, kiedy jest podniecony.

A także, jak różnej grubości ma włosy na różnych częściach ciała. I jak to jest, dotykać ustami blizn na jego kolanie, a także czuć na swojej piersi dotyk jego krzywo zrosniętego małego palca. Znałam smak skóry na jego uchu, pępku, smak jego nasienia.

– Chryste, Claire – wykrztusił, zanim dotknął otwartymi ustami moich warg. Jego dłonie przytrzymały mocno moją głowę, przesuwał się to tu, to tam, by bardziej wpasować ją w zagłębienia jego ciała. Całował mnie namiętnie, przygryzał zębami mój język, wciąż od nowa pozbawiając mnie oddechu.

Kochaliśmy się już w różnych miejscach. Po tych dwóch pierwszych razach na kanapie i pod prysznicem, także w naszych łóżkach, w kuchniach, w pralni Brody'ego, w mojej pracowni, nawet pod elektrycznym kocem na skałach w pobliżu latarni. Jestem pewna, że było po temu kilka przyczyn – przekora, śmiałość, ciekawość – lecz za nimi wszystkimi kryła się prawdziwa potrzeba. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem, tu i teraz, potrzebowaliśmy natychmiastowego potwierdzenia, że jesteśmy dla siebie kimś więcej niż do tej pory, że skończyła się samotność, że kochamy się w ten najbardziej intymny sposób.

Więc teraz kochaliśmy się w magazynie. Nie było to łatwe, zważywszy gdzie się znajdowaliśmy i jak byliśmy ubrani, lecz z zadziwiającą łatwością – a które cudowne rzeczy nie są proste? – wyzwoliliśmy się z części naszych ubrań. To było takie podniecające – czuć szorstki dotyk materiału na skórze

piersi i sutków, widzieć nasze ciała ubrane tak starannie od góry i tak nagie i bezwstyde poniżej.

Nie ruszaliśmy się zbyt wiele z początku i to także było podniecające. Lubiłam trwać w bezruchu, z Brodym twardym niczym skała wewnątrz mnie, lubiłam czuć jego najlżejsze poruszenia, a także zduszony szept, jakim powtarzał mi, jak mocno go tam trzymam i jak jest mu dobrze.

Po chwili zaczęliśmy się poruszać. Zsunąwszy się delikatnie wzdłuż nogi biurka, ułożyliśmy się na dywanie i oddaliśmy zaspokajaniu pożądania. Brody wspaniale nad sobą panował, zbliżając się raz za razem do szczytu i wycofując się w ostatniej chwili. Dopiero gdy osiągnęłam orgazm, przestał się hamować.

Kiedy już było po wszystkim i leżeliśmy bezwładnie na podłodze, powiedział gwałtownie:

– Nie da się cofnąć czasu, Claire. Nie możemy znów być po prostu przyjaciółmi. Nie mógłbym być blisko ciebie, nie pragnąc cię. Więc jeśli nie odejdę, będziemy zdani na nich. Nie mogę nic zrobić. Chciałbym móc coś zrobić, kochanie. Jakoś ci pomóc, ale za diabła nie wiem, jak.

– Rób to, co dotąd – szepnęłam. – To bardzo pomaga.

– Ale dzieci...

Zamknęłam mu usta dłonią.

– Ty zajmij się tą stroną mojego życia, a ja zajmę się dziećmi. W końcu je odzyskam.

Często budziłam się głęboką nocą, czując pustkę. Gdy Brody był ze mną, pustka była tylko cieniem, czającym się w kątach pokoju. Gdy go nie było, cień ogarniał mnie całą. To uczucie pustki miało wiele wspólnego z Connie, gdyż nadal zdarzało się, że wyciągałam nagle rękę, by do niej zadzwonić i opowiedzieć jej o czymś. Tylko że jej już nie było. Poza tym tęskniłam za dziećmi, prześladowała mnie myśl, że cierpią, i lęk, że nigdy ich nie odzyskam.

W takich chwilach rozważałam nawet, czy by ich nie porwać. Wyobrażałam sobie, jak znikam z nimi w Argentynie, zmieniam im nazwiska i wychowuję bez ingerencji sądu czy Dennisa.

Czy naprawdę byłabym do tego zdolna?

Nie miałam pewności. Byłam praworządną obywatelką. Lecz prawo mnie zawiodło. W tym sensie coś, co zaczęło się jako prosta sprawa, związana z odzyskaniem prawa do opieki nad dziećmi, stało się czymś więcej.

– Jakie mamy możliwości? – spytałam Carmen. Przyjechałam do niej do Bostonu zarówno po to, by mieć poczucie, że coś robię, jak i by się naradzić.

– Prawne? Możemy wystosować następne odwołanie, lecz bez nowych dowodów i tak zostanie odrzucone. To samo z apelacją. A odwołanie się do sądu federalnego z powodu dyskryminacji zajęłoby mnóstwo czasu. Na pewno wolałabyś załatwić sprawę szybciej.

– Nie możemy pozwać Dennisa? Wspominałaś o tym.

– To jest jakieś rozwiązanie. Możemy oskarżyć go o złośliwe prześladowanie i celowe wywoływanie emocjonalnego stresu.

– Brzmi całkiem nieźle – powiedziałam. – Próbowałam załatwić to szczerze i uczciwie. Starłam się myśleć pozytywnie. Pokazać swoje mocne strony. Przekonać Jenovitza, ile zrobiłam dla dzieci i ile jeszcze mogę dla nich zrobić. Przez cały ten czas Dennis tylko obrzucał mnie błotem. A Jenovitz go słuchał. Dobrzy faceci przegrywają. I to by było na tyle. Zagrozimy im procesem?

– To będzie wymagało czasu.

– A jeśli wystarczy sama groźba? Może to jest moja karta przetargowa?

– Dennis może złagodzić swoje żądania. Lecz może także się przy nich uprzeć, licząc na to, że Selwey uratuje mu tyłek.

– Gdybyśmy musiały oddać sprawę do sądu, to kiedy odbyłby się proces?



- Późną wiosną.
- A gdyby nie udało nam się wygrać w pierwszej instancji?
- Rozprawa apelacyjna mogłaby odbyć się dopiero w sześć do osiemnastu miesięcy po pierwszej.

Nie mogłam czekać tak długo. Po raz kolejny przeklełam system, który tak perfekcyjnie działał przeciwko mnie. Wstałam z miejsca i podeszłam do okna. Za moimi plecami zadzwonił telefon. Usłyszałam, jak

Carmen podnosi słuchawkę, lecz nie odwróciłam się, by dać jej do zrozumienia, że nie zamierzam słuchać rozmowy. Przez chwilę wpatrywałam się w rząd sklepów naprzeciwko. Ludzie wchodzili i wychodzili, okręcając mocniej wokół szyi szaliki i dopinając płaszcze. W pewnej chwili wydało mi się, że widzę Dennisa, lecz potem ten ktoś zniknął.

Dennis. Jedno muszę mu przyznać. Spodziewałam się, że do tej pory będzie miał już po uszy roli pełnoetatowego rodzica, tymczasem on trzymał się całkiem dobrze. Ze względu na dzieci wolałabym myśleć, że kierowała nim miłość do nich. Ze względu na siebie, że był to tylko upór. Upór prędzej czy później osłabnie. Ale nie miłość.

Poczułam, że ktoś obejmuje ramieniem moje barki. Pewne napięcie mięśni w tym ramieniu podpowiedziało mi, że musiała zajść jakaś zmiana. Spojrzałam na Carmen. Jej twarz wyrażała podekscytowanie, podobnie jak głos.

- Morgan tu jedzie.
- Znalazł coś?

Uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Co to takiego? – spytałam, starając się nie wzbudzać w sobie zbyt wielkich nadziei. Ostatnio zbyt wiele moich nadziei rozwiało się jak dym. A jednak wyraz podekscytowania nie zniknął z twarzy Carmen.

– Jedzie tu. Chodź, póki co, możemy napić się kawy.

Wkrótce przekonałam się, że warto było poczekać.

– Groźby Adrienne nie były gołosłowne – powiedział Morgan. – Ich stosunki nie opierały się tylko na seksie. To była wymiana: seks za poufne informacje z giełdy. Dennis pragnął informacji, Adrienne seksu. Wiedziała, że jej mąż byłby wściekły – ta część historii jak najbardziej się zgadza – ale ryzyko tylko ją podniecało. No i dysponowała informacjami, które zbierała przysłuchując się uważnie rozmowom, jakie przeprowadzał jej mąż. Nic łatwiejszego, jak powtórzyć je potem Dennisowi.

Czułam się rozdarta – z jednej strony chciałam mu wierzyć, z drugiej – zaprzeczać.

– Kto panu o tym powiedział?

– Trzy osoby, a zatem informację można uznać za potwierdzoną. Dlatego zabrało mi to tyle czasu. Jedną z nich była stara przyjaciółka Adrienne, drugą kolega ze studiów Dennisa, a trzecią współlokator z celi męża Adrienne.

Głośno przełknęłam.

– Współlokator z celi?

– Wkrótce po tym, jak rozwinęła się kariera Dennisa, Lee Hadley został oskarżony o przeprowadzanie nielegalnych transakcji. Dennis był jedną z wielu osób w firmie, przesłuchiwanym przez urzędników państwowych. I jedną z tych, które ocaliły tyłek, zeznając na niekorzyść Lee. Lee posiedział sobie trochę w Allenwood, w dość komfortowych warunkach zresztą, lecz jego źródła dochodu wyschły. Adrienne tymczasem utrzymywała się w stylu, do jakiego przywykła, szantażując Dennisa – i pewnie nie tylko jego.

– Więc nie powiedział wszystkiego federalnym? – spytała Carmen.

– Nie. Zataił, że sam korzystał z poufnych wiadomości. Więc musiał płacić Adrienne.

Westchnęłam z ulgą. O, tak, właśnie czegoś takiego było nam potrzeba, ale zwycięstwo miało gorzki smak. Co za rozczarowanie. Pamiętam, jak się czułam, gdy dowiedziałam się o Adrienne, a wówczas sądziłam, że chodzi tylko o romans. Teraz czułam się niemal tak samo.

– Więc Dennis ani przez chwilę nie był cudownym dzieckiem?

– Nie.

Carmen dotknęła mojej dłoni.

– Dobrze się czujesz?

Zebrałam się w sobie i odetchnęłam głęboko.

– Nic mi nie jest.

– Mogłybyśmy pójść z tym do Selweya, ale ponieważ sprawa i tak uległa przedawnieniu, on może po prostu nie wziąć tych informacji pod uwagę. Będziesz musiała poruszyć ten temat w rozmowie z Jenovitzem.

Skinęłam głową.

– Claire?

– Zrobię to.

– Widzę, że jeszcze się zastanawiasz. Myślisz o Dennisie jako o swoim mężu i jest ci smutno, a nawet czujesz się nielojalna. Niepotrzebnie, Claire. To może być twoja najsilniejsza broń w walce o dzieci.

Z wysiłkiem odepchnęłam od siebie uczucie smutku, a nawet braku lojalności. Nie będę myślała o tym, co straciłam, dowiadując się o odkryciach Morgana, ponieważ i tak były to tylko złudzenia. Postaram się myśleć o tym, co w ten sposób zyskałam.

Im więcej o tym myślałam, tym lepiej się czułam.

Jenovitz nie chciał się ze mną spotkać. Zostawiałam na jego automatycznej sekretarce jedną wiadomość po drugiej, lecz on nie odpowiadał. W końcu, po trzech dniach nieustannego bombardowania go telefonami, mój

upór opłacił się. Nie wiedząc, kto do niego dzwoni, podniósł wreszcie słuchawkę. Ale i tak sporo czasu zajęło mi przekonanie go, że powinien się ze mną spotkać.

– No nie wiem, pani Raphael. Jestem bardzo zajęty.

– Tylko godzinę, to mi w zupełności wystarczy.

– Ale po co? Dowiedziałem się już od pani wszystkiego, czego pragnąłem się dowiedzieć. Czas, który pani teraz poświęcę, to będzie czas, który mógłbym poświęcić na sporządzenie opinii. Sądziłem, że chce pani, bym zrobił to jak najszybciej.

Och, oczywiście, że chciałam. Lecz chciałam także, by ta opinia była dla mnie korzystna.

– Właśnie dowiedziałam się o paru sprawach, o których, jak sądzę, i pan powinien się dowiedzieć.

– Zaraz zaczynają się ferie. To nie najlepsza pora.

– Tylko godzinę. Może pan policzyć sobie za trzy.

– Nie chodzi o pieniądze – oświadczył, urażony.

– Wiem. Bardzo przepraszam. Jestem zdesperowana. Tu chodzi o moje życie.

Nie wiem, czy przestraszył się, że zrobię sobie krzywdę, skazując go w ten sposób na piekło wyrzutów sumienia, lecz w końcu zgodził się, nie ukrywając niechęci.

Ta niechęć dawała o sobie znać podczas całego spotkania. Spoglądał na mnie wrogo i ze zniecierpliwieniem. Bez przerwy pożerał landrynki i nie był w stanie wysiedzieć spokojnie dłużej niż dziesięć minut, po czym zrywał się i wychodził z biura. Nie wiem, czy zniknął, by sobie zapalić, czy też dręczyła go biegunka. Nie obchodziło mnie to tak długo, jak długo słuchał, co do niego mówiłam.

Starając się być tak uprzejmą, jak to tylko możliwe, podziękowałam mu za czas, który mi poświęca, a potem opowiedziałam o tym, czego dowiedział się Morgan. Nie śpieszyłam się, starając się przedstawić wszystkie szczegóły. Przeczytałam raport Morgana tyle razy, że znałam na pamięć daty, miejsca i fakty. Kiedy skończyłam, położyłam kopię raportu na biurku Jenovtza.

Spojrzał na nią, podniósł dłoń, sygnalizując kolejną przerwę, i wyszedł z pokoju. Nie było go przez kilka minut, a kiedy wrócił, usiadł, oparł się wygodnie i zaczął się wpatrywać we mnie w milczeniu.

– Więc co pan o tym sądzi? – w końcu nie wytrzymałam.

– Zastanawiam się, dlaczego wynajęła pani detektywa. Czemu po prostu nie zapytała pani męża?

– To mój prawie były mąż; i owszem, zapytałam go. Czternaście lat temu. Okłamał mnie.

– Zawsze podejrzewała pani, że kłamie?

– Z początku, tak. To właśnie wtedy miała miejsce ta aborcja. Potem odsunęłam na bok podejrzenia. Pragnęłam utrzymać nasze małżeństwo.

Jenovitz postukał palcami w blat biurka, skinął głową i znów zaczął wpatrywać się we mnie.

– Jestem zdziwiona, że nie jest pan zaszokowany – powiedziałam.

– Zaszokowany? Czym?

– Tym, co zrobił Dennis. Nie powiedział panu o tym, prawda?

– Nie, rozmawialiśmy o jego zdolnościach do sprawowania opieki na dziećmi.

– I o moich brakach w tej dziedzinie. Takich, jak ta aborcja. Powiedział pan, że to najlepiej świadczy, jakim jestem człowiekiem. A czy to, czego dowiedziałam się o Dennisie, nie świadczy o nim? Mój mąż jest winien czynów, które zaprowadziłyby go za kratki, gdyby w swoim czasie wyszły na

jaw. Lecz on je zataił. Kłamał. Pod przysięgą. I to pana nie niepokoi? Nie zastanowi się pan dwa razy, zanim powierzy opiekę nad dwójką małych dzieci takiemu człowiekowi?

– Czy on teraz łamie prawo?

– Nie. Lecz robił to w przeszłości. Co oznacza, że może zrobić to znowu.

– Jest teraz starszy, bardziej dojrzały. Ma więcej do stracenia. Wtedy nie miał dzieci. To, że będzie się musiał nimi opiekować, skłoni go do obrania prostej drogi.

Ośłupiałam, słysząc tę mowę obrończą.

– Ale... ale co ze mną? – spytałam.

Jenovitz zaczerpnął głęboko powietrza.

– Na ogół to matka uważana jest za bardziej odpowiednią osobę, by opiekować się dziećmi. Czym mój przypadek różni się od innych?

– Pani pracuje, a pani mąż jest wolny. Ma czas, chęci i możliwości, by zająć się dziećmi.

– Wspominał panu może, czym zamierza się zająć poza tym? Ma nadzieję, że uda mu się kupić sobie wiceprezesurę w firmie, która szybko pnie się w górę na rynku. Ta firma jest w Springfield, po drugiej stronie stanu. Pracując i będąc ciągle w podróży, jak znajdzie czas, żeby zajmować się dziećmi? Ja mieszkam dziesięć minut od miejsca pracy, dziesięć minut od dzieci – od ich domu, szkoły, wszystkiego. I mam doskonałego zastępcę, który potrafi zająć się interesami, gdy nie ma mnie w pobliżu. Ja jestem szefem, więc nie muszę prosić nikogo o pozwolenie, gdy chcę wziąć sobie wolny dzień. Z pewnością mogę dysponować swoim czasem w większym stopniu niż większość pracujących kobiet, a już na pewno niż większość mężczyzn.

Jenovitz obrócił się na fotelu i sięgnął po skoroszyt, który leżał na szafce za jego biurkiem, a potem rzucił go otwarty na biurko i machnął w jego stronę dłonią.

– To wszystko tam jest, ile godzin pani pracuje, jak wiele podróżuje, a także, jakie są tego skutki: odwołane spotkania, zapomniane terminy i tak dalej.

Nie zaprotestowałam przeciwko tym oskarżeniom. Zbyt wiele razy już to robiłam. Zamiast tego spytałam wprost:

– Czy sądzi pan, że jestem złą matką?

– A czy pani uważa, że pani mąż jest złym ojcem?

– Złym?

Już miałam powiedzieć, że tak, kiedy Jenovitz znów zasygnalizował kolejną przerwę. Podniósł się z trudem i wyszedł z pokoju. Nim wrócił, miałam gotową odpowiedź.

– Dennis nie jest złym ojcem. Jestem pewna, że kocha dzieci. Lecz czy uważam, że jest lepszym rodzicem niż ja? Nie. Czy uważam, że w pełni rozumie, co to oznacza: być rodzicem na pełny etat? Myślę, że dopiero zaczyna rozumieć, lecz dwa miesiące to bardzo niewiele.

– Sądzi pani, że szybko straci cierpliwość.

– Myślę, że straci chęć, gdy tylko ustalone zostaną warunki rozwodu.

– On twierdzi, że tak nie będzie.

– A co innego miałby mówić? Gdyby powiedział prawdę, straciłby najpoważniejszy argument w negocjacjach.

– W pani ustach brzmi to jak rodzaj gry.

– W moich ustach? – zaśmiałam się ironicznie. – Od początku podchodziłam do tego poważnie. I jeśli ktoś traktuje to jako grę, to na pewno nie ja. Proszę mi wierzyć, doktorze, myśl, że przyszłość moich dzieci może

zależać od jakichś negocjacji, sprawia, że robi mi się niedobrze. Lecz udzielono mi lekcji i nauczyłam się jej. Jeżeli odzyskanie prawa do opieki będzie oznaczało konieczność wzięcia udziału w grze, to wezmę w niej udział. Dzieci znaczą dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie. I na tym polega różnica pomiędzy moim mężem a mną.

– A co dla niego znaczy więcej niż dzieci?

– Jego wizerunek.

Jenovitz spojrział na otwarty skoroszyt i wzruszył ramionami.

– Nie odniosłem wrażenia, żeby przejmował się tym, iż musi prowadzić dom.

Dennis przejawiał takie samo zainteresowanie prowadzeniem domu, jak Valentino. Jenovitz albo nie usłyszał słowa z tego, co powiedziałam, albo był tępy. Lub beznadziejnie uprzedzony.

– Czy wie pan, czego on żąda w umowie rozwodowej?

– Mnie interesują tylko dzieci.

– W tym przypadku jedno łączy się z drugim – argumentowałam. – Domaga się, żebym sprzedała firmę. Twierdzi, że chodzi mu o pieniądze, ale to tylko część prawdy. Chce, żebym straciła Wiklinowy Kącik. Mój sukces to dla niego kolec w oku. Sprawia, że nie czuje się mężczyzną.

– Doprawdy? – stwierdził Jenovitz sucho. – Wątpię w to. – Zmarszczył brwi. – I to jest jeszcze jeden powód, dla którego dzieci powinny pozostać przy ojcu. Przepęlnia panią gniew, a to niedobrze dla dzieci. Nie powinny tego widzieć.

To było niczym rzucanie grochem o ścianę. Chciałam dać sobie spokój, ale nie mogłam.

– Mój mąż czuje nie tylko gniew. Odczuwa także zazdrość, zażenowanie i chęć zemsty. I to ma być dobre dla dzieci – nie wspominając już o



niewierności, nieuczciwości czy o nowej posadzie w zarządzie firmy i wiążących się z nią obowiązkach i presji psychicznej? Jeżeli uważa pan, że ja podróżuję zbyt wiele, to co będzie z nim?

– Ma rodziców, którzy będą mogli go zastąpić – powiedział Jenovitz spokojnie.

Wolałabym myśleć, że ten spokój w jego głosie spowodowany został współczuciem z powodu śmierci mojej matki, lecz zanim zdołałam się przekonać, czy tak jest rzeczywiście, zerwał się z miejsca i znikł za drzwiami.

Spojrzałam na zegarek. Czas uciekał. I nagle zrozumiałam, że przegrałam. Jenovitz nie przejął się ani trochę przeszłością Dennisa. Na wpół podejrzewałam, że gdybym udowodniła mu, że mój mąż jest pedofilem, tylko wrzuciłby sobie do ust jeszcze jedną landrynkę i westchnął.

Brody miał rację. Coś tu nie było w porządku.

Cichy układ. To musiało być to. Cichy układ pomiędzy Selweyem a Jenovitzem.

Po kilku minutach usłyszałam kroki na schodach. Wkrótce potem drzwi otworzyły się. Jenovitz wrócił na swoje krzesło. Wyglądał znacznie lepiej. To była moja ostatnia szansa.

– Czy mogę chwilę pomówić z panem o gniewie? – spytałam.

Machnął z rezygnacją dłonią.

– Niech pani mówi, o czym pani chce.

Mówiłam z głębi serca, jak istota ludzka do drugiej istoty ludzkiej.

– Kiedy się to wszystko zaczęło, byłam zła na Dennisa. Ale mój gniew zmienił adresata. Dennis nie mógłby mi zrobić tego wszystkiego, gdyby nie system, który mu to umożliwił. Gdyby ten system funkcjonował jak należy, odzyskałabym przynajmniej częściowe prawo do opieki nad dziećmi już po tym pierwszym weekendzie. Proszę mi wierzyć, doktorze Jenovitz, nigdy nie

byłam buntownikiem z natury. Dostosowałam się do systemu i dobrze w nim funkcjonowałam. Tak było przez całe moje życie. Lecz nigdy dotąd nie zostałam tak przerobiona – proszę mi wybaczyć, lecz to jedyne słowo, które tu pasuje – przez ten system. Więc tak, jestem wściekła. Wściekła na system – system wymiaru sprawiedliwości, ni mniej ni więcej – który zmusza mnie do tego, bym była tym, kim nie chcę być, i robiła rzeczy, których robić nie chcę. Bym walczyła z ludźmi, podejrzewała ich i nie ufała im.

Wydawało mi się, że słucha, i co więcej, że to, co mówię, dociera do niego. Już nie wydawał się znudzony.

– To niesprawiedliwość sprawia, że jestem wściekła – powiedziałam. – I to wy stworzyliście warunki po temu, by ta niesprawiedliwość mogła zaistnieć. Zmieńcie je, a wtedy mój gniew zniknie.

Jenovitz zmarszczył brwi i zaczął potrząsać głową.

– Dajcie mi to, czego chcę, i tak, jak chcę, a ja przestanę się na was gniewać. To miała pani na myśli?

Wyprostowałam się na krześle.

– Nie. – Podniosłam dłoń. – No dobrze. Potrzebuję pańskiej pomocy. Jest pan psychologiem, powinien pan myśleć racjonalnie. Więc proszę wyjaśnić mi, o co tu chodzi. W tej sprawie od początku jest coś dziwnego. Nie ma w niej logiki. Ani otwartego myślenia. Wtłacza się mnie w stereotyp, do którego nie pasuję. I nie jestem w stanie nikogo o tym przekonać.

– Ta sprawa dotyczy tego, jak wykorzystujemy możliwość wyboru – powiedział. – Przez całe życie musimy dokonywać wyborów. Wstajemy rano i musimy decydować, które buty dziś włożymy. Nie możemy włożyć trzech par naraz. To samo dotyczy pracy. Nie możemy być wszystkim naraz, a pani właśnie tego chce. I nie tylko to, jeszcze próbuje nas pani przekonać, że

wykonuje wspaniałą robotę. Trzeba wybierać, Claire, wybierać. To z pewnością ma sens.

– Prawdę mówiąc, nie. Moje dzieci nie są niemowlętami. Spędzają większą część czasu w szkole. Potrzebują też trochę побыć z rówieśnikami. Gdybym im tego zabroniła, nie wpłynęłoby to dobrze na ich rozwój emocjonalny. Mam więc mnóstwo czasu, którego nie odbieram dzieciom. To samo z Brodym. I z firmą. Wszyscy na tym korzystają, nikt nie traci. Niektóre kobiety wybierają życie pełnoetatowej matki. Niektórzy mężczyźni rolę nieobecnego ojca. Ja wybrałam życie, w którym jest miejsce na dom i na pracę. Czy to nie słuszny wybór?

– Nie, jeśli przecenia pani swoje możliwości.

– Nie robię tego.

Wstał i spojrzał na mnie z góry.

– Jeżeli sądzi pani, że zmieni moją decyzję, popisując się arogancją, to jest pani w błędzie. Musi pani dokonać wyboru. – Skierował się znowu do drzwi.

– A gdzie tu jest wybór? – spytałam gniewnym tonem. – Nic, co zrobiłam czy powiedziałam w tym pokoju, nie zostało wzięte pod uwagę. Wyrobił pan sobie o mnie zdanie, gdy tylko mnie pan zobaczył i nigdy go pan nie zmieni. Nie miałam żadnych szans, żadnego wyboru. Ta sprawa od początku rozstrzygała się poza mną.

Zamknął za sobą drzwi, nie mówiąc już ani słowa.

Wstałam z krzesła i zaczęłam niespokojnie przemierzać pokój. Spojrzałam na zegarek, a potem na raport Morgana, leżący na wierzchu skoroszytu. Och, oczywiście, miałam wybór. Mogłam zwrócić się do gazet i zacząć uzalać na niesprawiedliwość, jaka mnie spotkała. I nie musiałam zawracać sobie głowy lokalną prasą. Globe z rozkoszą zająłby się tą historią. A

także The New York Times. I Barbara Walters. Mogłabym wystąpić w każdym talk show, które zechciałoby zająć się moją sprawą, i zostać w ten sposób rzeczniką każdej skrzywdzonej przez prawo kobiety. Albo napisać książkę.

Ale, do diabła, nie miałam ochoty robić żadnej z tych rzeczy. Chciałam tylko odzyskać dzieci.

Coś tu było cholernie nie tak.

Popchnęłam lekko raport Morgana. Pod nim zobaczyłam opinie ze szkoły dzieci. Zaciekawiona, przesunęłam je nieco.

Cofnęłam dłoń i objęłam się rękami w pasie. Nie byłam wścibska.

A potem uświadomiłam sobie, że przecież zawartość tego skoroszytu jest moją własnością. Jenovitza wyznaczył co prawda sąd, ale to ja płaciłam za jego usługi. Dopiero co wysłałam mu czek.

Przez chwilę nasłuchiwałam, jednak od strony schodów nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Jeżeli poprzednie dwa wyjścia Jenovitza mogły stanowić jakąś wskazówkę, to powinnam usłyszeć jego kroki na jakieś pięć, może sześć sekund, zanim otworzą się drzwi.

Nasłuchując, zaczęłam przerzucać zawartość skoroszytu. Nie miałam pojęcia, czego szukam, ani po co w ogóle to robię. Być może kierowała mną ciekawość. Albo przekora. Tak czy inaczej, spostrzegłam firmowy nagłówek Carmen, potem Arta Heubera. Notatki z przesłuchania w sądzie i osobiste notatki Jenovitza. A także notatkę z kliniki, w której miała miejsce aborcja. Wyciągnęłam ją, przejrzałam pobieżnie i odłożyłam na miejsce, to znaczy tuż przed dokument z pieczęcią Sądu Rodzinnego Hrabstwa Essex.

Na samej górze dokumentu, tuż obok pieczęci, zauważyłam odręcznie napisaną notatkę. Do dziś dnia nie wiem, co spowodowało, że się nią zainteresowałam. Ale zrobiłam to. Wyciągnęłam dokument i przeczytałam fragment, gdy nagle usłyszałam kroki Jenovitza na schodach.

Wahałam się tylko tak długo, jak długo zabrało mi uświadomienie sobie, że kradnę coś, co należy do mnie. A potem błyskawicznie złożyłam dokument, schowałam go do kieszeni i szybko usiadłam na swoim miejscu.

Drzwi otworzyły się. Spojrzałam na Jenovitza tak, jak spoglądałam na niego za każdym razem, gdy wracał po kolejnej przerwie. Nie widać było po mnie poczucia winy, nie czułam się winna. Serce biło mi mocno, lecz mogło to być spowodowane zarówno podekscytowaniem, jak ulgą. Bo czułam właśnie ulgę. Prawdę mówiąc, czułam się tak, jakby zdjęto mi z ramion wielki ciężar, a z rąk kajdany.

– Nie mamy już wiele czasu – ostrzegł mnie Jenovitz. – Chciałaby pani jeszcze coś powiedzieć?

Chrząknęłam, starając się, aby mój głos nie drżał.

– Tylko jedno pytanie, ot tak, z ciekawości. Czy mogłam coś zrobić w trakcie przeprowadzania pańskich badań i czym mogłabym zasłużyć sobie na pański szacunek?

Uporządkował papiery i zamknął skoroszyt.

– Mogła pani wykazać chęć, by się zmienić. Ale nie doczekałem się tego. Wygląda na to, iż uważa pani, że wszystko, co robi, robi dobrze, a jeśli mimo to w pani życiu pojawiają się problemy, to są one spowodowane przez innych. Czasami, Claire, człowiek musi wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co robi.

W pełni się z nim zgadzałam. Starając się ukryć podniecenie, podziękowałam mu za to, że poświęcił mi czas i wyszłam.

W dziesięć minut później rozłożyłam dokument na biurku Carmen. Było to oficjalne pismo, zlecające Jenovitzowi przeprowadzenie badań i sporządzenie opinii w sprawie Raphael, zaopatrzone w datę i listę załączników. W jego treści nie było nic osobistego.

To, co osobiste, znajdowało się na górze dokumentu. Było nabazgrane tym samym niebieskim atramentem, co podpis sędziego na dole. Ponieważ znałyśmy nazwisko sędziego, rozróżnienie liter pomogło nam zorientować się, co głosił znacznie mniej czytelny napis na górze.

„Dennis Raphael wydaje się szczerzy”. – Przeczytałyśmy. – „Pozwólmy, aby tym razem zwyciężył ojciec”.

RS

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy wracałam do latarni, zaczął padać śnieg. Wielkie płatki szybko utworzyły białe czapy na pokrytych igłami konarach sosen. I choć nie był to pierwszy śnieg w tym sezonie, miał w sobie jego świeżość. Brud zniknął i w zapadającym zmierzchu wszystko błyszczało jak polakierowane.

Artystka we mnie dostrzegała inaczej rzeczy, zredukowane do bieli i zieleni – lub bieli i szarości na chodnikach, czy bieli i czerwieni na rzędach skrzynek pocztowych, które mijałam.

A może to kobieta we mnie postrzegała rzeczy inaczej – teraz, kiedy znalazłam sposób, aby poradzić sobie z tym prawnym szaleństwem.

Zaparkowałam obok domu i ruszyłam do drzwi, z przyjemnością przyglądając się swoim śladom na śniegu. Weszłam i położyłam zakupy na kuchennej ladzie. Przygotuję kolację dla Brody'ego, pomyślałam. Mieliśmy zamiar świętować i chociaż wołałabym, by były tu z nami dzieci, na razie wystarczało mi przekonanie, że wkrótce je odzyskam.

Brody zadzwonił o szóstej, żeby mi powiedzieć, że idzie pobiegać. Potem zadzwonił za dziesięć siódma, żeby powiedzieć, że już wrócił, a potem dziesięć po siódmej z informacją, że jest już po prysznicu i zaraz wychodzi. I jeszcze dwie minuty przed wyjściem, ostrzegając, że do jutra może nas kompletnie zasypać i pytając, czy ma coś kupić po drodze. Nie potrzebowałam niczego, poza nim.

Przygotowałam risotto z krewetkami i małżami, sałatkę ze szpinaku i chrupiący włoski chleb.

Zjawił się o wpół do ósmej. Pomimo ośnieżonego płaszcza, wydawał się tak apetyczny, że mogłam od razu zacząć go jeść. Zatrzymaliśmy się tuż za

drzwiami, by nie zwlekając przystąpić do konsumpcji i właśnie kiedy się całowaliśmy, zadzwonił telefon.

– Niech sobie dzwoni – szepnęła.

Lecz matka we mnie nie mogła na to pozwolić. Obiecując szybko wrócić, wyswobodziłam się ze śmiechem z jego objęć i dopadłam telefonu na sekundę przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

– Halo? – spytałam.

– Przyjedź do szpitala – powiedział Dennis głosem tak zmienionym, że ledwo go poznałam. – Kikit jest chora.

Wstrzymałam oddech.

– Alergia?

– Tak. Jesteśmy w samochodzie. Droga jest okropna, ale tak będzie szybciej, niż czekać na karetkę.

Usłyszałam, jak klnie po cichu, a potem naciska klakson. W tle słychać było spazmatyczny oddech Kikit. Przycisnęłam słuchawkę do ramienia, rzuciłam Brody'emu przestraszone spojrzenie i zaczęłam wciągać dzinsy.

– Dałeś jej adrenalinę?

– Tak, i antyhistaminę też, ale za późno. Nie zawołała mnie od razu.

– Przyłóż jej słuchawkę do ucha. – Odgłos nasilił się. – Kikit, kochanie? To ja, mamusia. Wszystko będzie dobrze. Tylko odpręż się i spróbuj oddychać powoli. Nie bój się. Będę w szpitalu zaraz po tobie, dobrze? – Gorączkowo zapinałam guziki bluzki. – Oddychaj powoli, o, tak – zademonstrowałam. Spokój był ostatnią rzeczą, jaką w tym momencie odczuwałam, lecz teraz nie mogłam zrobić dla Kikit nic innego. – Powoli i równo. Nie próbuj nabierać na raz zbyt wiele powietrza.

Jej na wpół wyszlochane, na wpół wykrztuszone „maaamuuusiu” niemal złamało mi serce.



– Nie próbuj mówić – wepchnęłam bluzkę do džinsów – tylko oddychaj powoli i spokojnie, dobrze, kochanie? Nie musisz oddychać głęboko – wiedziałam, że i tak nie była w stanie tego robić – wystarczy, jeśli będziesz oddychała płytko. Nie bój się. Już ci się to zdarzało. Wiesz, jak to wygląda. Teraz odłożę słuchawkę i pobiegnę do samochodu. Spotkamy się w szpitalu. Lekarze pomogą ci oddychać, jak zawsze do tej pory. Wszystko będzie dobrze, kochanie. – Zapięłam džinsy i zaczęłam gorączkowo rozglądać się za butami. Brody podał mi je i sięgnął po swoje. – Bądź dzielna jeszcze trochę. Jesteś taką dobrą dziewczynką. Porozmawiam teraz z tatusiem, zgoda?

Wyobraziłam sobie, jak odsuwa słuchawkę – na nic więcej i tak nie miała siły, walcząc o oddech, spuchnięta, pokryta swędzącą wysypką,

– Tak? – zapytał Dennis. W jego głosie słyszałam lęk.

– Uspokajaj ją. Już wychodzę. Zobaczymy się na miejscu.

Gdy odkładałam słuchawkę, Brody stał, gotowy podać mi płaszcz. Po chwili byliśmy na szosie.

Zważywszy na pogodę i mój lęk o Kikit, jazda do szpitala okazała się koszmarem. Zadymka gęstniała z minuty na minutę. Widoczność była kiepska, a zalegający na jezdni śnieg utrudniał jazdę. Pługi śnieżne najwidoczniej nie dotarły aż tutaj. Lęk i poczucie bezsilności szybko przerodziły się w gniew – na Dennisa, że pozwolił Kikit zjeść coś, czego nie powinna, na służby miejskie, których przedstawiciele siedzieli sobie zapewne bezpiecznie w domach, objadając się cytrynowym plackiem, zamiast pracować na ulicach, a przede wszystkim na pecha, który sprawił, że śnieg musiał spaść właśnie dzisiaj.

Nie jestem pewna, czy poradziłabym sobie, gdybym jechała własnym samochodem. Nawet Range Rover zarzucił raz czy dwa na zakręcie, lecz Brody był doskonałym kierowcą. Dowlekliśmy się jakoś do izby przyjęć i

zaparkowaliśmy tuż za samochodem Dennisa. Wycieraczki jego wozu zatrzymały się w pół ruchu i były już przysypane śniegiem.

Johnny siedział wyprostowany na krześle w poczekalni. Gdy tylko nas zobaczył, podbiegł i chwycił mnie kurczowo za rękę:

– Mieliliśmy zamówić sobie kolację, ale nie dało się dodzwonić po pizzę ani chińskie jedzenie, więc tata zamówił coś w Mad Melu, a kiedy to przywieźli, wyciągnął wszystkie orzechy z sałatki, więc nie wiemy, co to było. Kiedy skończyliśmy jeść, Kikit po prostu wstała i poszła do siebie.

Doszliśmy do małego oszklonego pomieszczenia. Brody objął Johnny'ego ramieniem i zatrzymał, a ja wśliznęłam się do środka.

Kikit leżała na stole do badań. Gdyby jej twarz nie była tak spuchnięta, i tak trudno byłoby ją poznać z powodu maski tlenowej, którą jej założono. Nie mogłam zorientować się, czy oddycha łżej, gdyż maska tłumiła odgłosy. Widziałam, że pierś ma pokrytą wysypką, a po jej niespokojnych ruchach domyśliłam się, że nie tylko pierś. Jedna mała rączka została już umocowana do kroplówki. Na drugiej miała założony mankiet do mierzenia ciśnienia. Zobaczyłam, że pochylają się nad nią cztery pielęgniarzki, dwóch lekarzy i Dennis, który trzymał Kikit za rękę i najwidoczniej starał się ją uspokoić. Jego głos brzmiał spokojnie, ale nie było nic spokojnego w pełnym paniki spojrzeniu, jakie mi rzucił.

– Jest już mamusia – powiedział, odsuwając się, by zrobić mi miejsce, lecz nie puszczając dłoni Kikit.

– Cześć, kochanie. – Poglaskałam jej włosy. Były wilgotne. Zobaczyłam mokry ślad po łzie, znikający we włosach – łzie bez wątplenia wywołanej bólem przy podłączeniu kroplówki. Skóra Kikit była zaczerwieniona. – Widzisz, mówiłam ci, że zaraz przyjadę. Jak się czujesz, kochanie? Trochę lepiej?

Jej oczy, pomniejszone w nabrzmiałej twarzy, otworzyły się na chwilę i zaraz zamknęły. Spojrzałam na lekarzy.

– Tym razem nie pójdzie tak szybko – powiedział starszy z nich. – Reakcja była już zaawansowana, kiedy mąż dał jej pierwszy zastrzyk.

Dennis wydawał się zrozpaczony. Jego głos brzmiał głucho.

– To mogło trwać nawet dłużej, gdyby Johnny nie usłyszał jej spazmatycznego oddechu. W sałatce były orzeszki. Przeszukałem ją bardzo staranie i mógłbym przysiąc, że usunąłem wszystkie. Zjadła hamburgera i prawie połowę sałatki, a potem powiedziała, że więcej nie może. Widocznie już zaczynała źle się czuć, ale nie chciała nic powiedzieć.

I nic dziwnego, pomyślałam z rozpaczą. Po ostatnim ataku rozstaliśmy się z jej ojcem. Bez wątpienia uznała, że jedno łączy się z drugim.

– Pewnie myślała, że teraz też będę się gniewał – mówił dalej Dennis. Pochylił się znów nad łóżkiem. – Nie gniewam się, Kikit. Naprawdę. Jeżeli ktokolwiek ponosi tu winę, to tylko ja. Widocznie nawaliłem z tymi orzeszkami.

Kikit nie otworzyła oczu. Lecz kiedy z kącika jej oka popłynęła łza, Dennis jęknął w udręce.

– To nie twoja wina, kochanie, ani trochę. Powinienem był zajrzeć do ciebie wcześniej, ale starałem się zrobić wszystkie te rzeczy w kuchni, które zawsze robi mama. Kocham cię, malutka. – A potem, zwrócił się do mnie: – Gdzie Johnny?

– Jest na zewnątrz z Brodym.

– Wini się za to, że nie usłyszał jej wcześniej.

Otarłam łzę z oka Kikit i pogłaskałam ją po policzku tak, aby czuła moją obecność.

– To nie jego wina.

– To moja wina.

Masz cholerną rację. Była pod twoją opieką, więc powinieneś był się upewnić, czy nic jej nie grozi. Już dwa razy się rozchorowała, kiedy nie było mnie w pobliżu! Naprawdę chciałam to powiedzieć, lecz kiedy w końcu się odezwałam, powiedziałam tylko:

– Twoja też nie. Takie reakcje się zdarzają. Próbowalesz jej uniknąć. Tym razem przynajmniej znamy przyczynę.

Lekarz napompował mankiet do mierzenia ciśnienia i zaczął przysłuchiwać się pulsowi Kikit. Przyłożył jej do piersi stetoskop i przez chwilę ją osłuchiwał, a potem sięgnął po strzykawkę, którą podawała mu pielęgniarka. Dennis mocniej uściśnął rękę Kikit, a ja położyłam dłoń płasko na jej czole, pochyliłam się i przemawiałam do niej podczas zastrzyku. To, że nawet nie jęknęła, świadczyło, w jak złym stanie się znajdowała.

– Poprzednio to był batonik – szepnął mi Dennis do ucha.

Spojrzałam na niego.

– Co takiego?

– Batonik – powtórzył na tyle cicho, by Kikit nie mogła go usłyszeć. – Znalazłem w jej pokoju puste opakowanie. Nigdy dotąd takiego nie widziałem. Spis zawartości zawierał orzechy, ale nie sądzę, aby świadomie go zjadła. Poszedłem i kupiłem taki sam. Miał kremową konsystencję. Jeżeli nie przeczytała spisu zawartości, na pewno nie mogła wyczuć orzechów.

Poczułam natychmiastową ulgę. Koniec z zamartwianiem się, co takiego mogła zjeść i jak uchronić ją przed niebezpieczeństwem, którego nie znamy. Nie wspominając już o poczuciu winy, że być może było jednak coś w tej potrawce. Tymczasem Dennis przez cały czas znał prawdę.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

Trzeba mu przyznać, że nie odwrócił spojrzenia.

– Czy ona wie, że to ten batonik? – spytałam.

Dennis pokiwał energicznie głową. Oczywiście, że wiedziała. To dlatego tak szybko przestała bać się jeść po poprzednim ataku. Wyjaśniało to także, dlaczego płakała i obwiniała się, kiedy powiedzieliśmy jej o separacji.

Jednak nie powiedziała mi o batoniku. Zastanawiałam się, czy Dennis zabronił jej o tym wspominać. Ale zastanawiałam się nie tylko nad tym.

– A co z lekarstwem? – szepnęłam.

Potrząsnął głową.

– Nie mogłem go znaleźć, przysięgam.

Cichy płacz spod maski natychmiast oderwał moją uwagę od Dennisa. Jednakże oczy Kikit pozostały zamknięte.

– Jestem tutaj, kochanie. Wszystko w porządku. Mamusia i tatuś są tutaj. Lekarze ci pomogą. Tylko leż spokojnie, jak bardzo dzielna dziewczynka.

Przez cały czas przemawialiśmy do niej na zmianę tym samym, dodającym otuchy tonem. Tymczasem zmieniono pojemnik przy kroplówce, lekarze dali jej jeszcze jedną dawkę antyhistaminy i, po jakimś czasie, adrenaliny.

Na ogół po godzinie czy dwóch najgorsze było za nami, a po trzech wracaliśmy zwykle do domu. Tym razem było inaczej. Kikit nadal oddychała z trudem.

Dennis wyszedł, by sprawdzić, co z Johnnym. Spojrzałam przez drzwi, zanim zamknęły się za wychodzącą pielęgniarką. Zobaczyłam, że Dennis obejmuje Johnny'ego. Po chwili wrócił. Czułam się lepiej, mając go przy sobie.

Lekarze konferowali ze sobą w kącie izolatki. Mówili cicho, a ich twarze wyrażały powagę i zaniepokojenie. Jeżeli Kikit wkrótce nie zacznie reagować na leki, znajdzie się w kłopotach. A jeśli opuchlizna w jej drogach oddechowych powiększy się, po prostu się udusi.

Spojrzelismy na siebie z lękiem.

Lekarze wrócili. Jeden dopasował maskę tlenową do twarzy Kikit, a drugi zbadał jej płuca za pomocą stetoskopu. Ten, który trzymał maskę, zwiększył dopływ tlenu, jego kolega zmierzył ciśnienie. Z pobladłymi twarzami i wyrażającymi niepokój oczami obaj lekarze przez dłuższą chwilę słuchali, badali i czekali, a my przyglądaliśmy się im w panice.

Zróbcie coś, miałam ochotę krzyknąć, choć dobrze wiedziałam, iż nie mogą zrobić nic więcej. Podłączenie do tchawicy rurki nie pomogłoby, skoro to płuca były spuchnięte. Nie mogli też ryzykować przedawkowania leków i fatalnych komplikacji, które by potem nastąpiły.

Oczy Kikit pozostawały zamknięte, a twarz przybrała niebieskawy odcień. Lekarze także zaczęli do niej przemawiać, lecz podczas gdy my błagaliśmy, oni zaczęli rozkazywać.

Wydawało mi się, że stojąc tam i przyglądając się bezsilnie, jak oddech mojej córki staje się coraz płytszy, umarłam setki razy. Łzy popłynęły mi strumieniem po twarzy. Czułam obejmujące mnie ramię Dennisa, słyszałam jego proszące „no, dalej, Kikit, postaraj się” i bardziej stanowcze nalegania lekarzy. Modliłam się bezgłośnie, przyciskając do ust dłoń, aby powstrzymać szloch, gdy nagle urywany oddech Kikit nieco się uspokoił.

A po minucie usłyszałam pełne ulgi „Doskonale, kochanie, udało ci się” lekarzy i zdałam sobie sprawę, że ona nie umarła, że przezwyciężyła kryzys. Spirala śmierci została powstrzymana. Ja sama wstrzymywałam oddech jeszcze przez kilka minut, dopóki jej policzki nie nabrały bardziej normalnej barwy. A potem uśmiechnęłam się przez łzy i odetchnęłam głęboko.

I wtedy zobaczyłam Dennisa. Stał pod ścianą, pochylony, z rękami opartymi na kolanach i oddychał z ulgą, podobnie jak ja. Dotknęłam jego ramienia. Zwiesił głowę jeszcze niżej, jakby zbierając się w sobie, a potem

przetarł twarz dłońmi. Kiedy się wyprostował, zobaczyłam, że choć ma czerwone oczy, zdołał już nieco odzyskać równowagę. I znowu nie zaprotestowałam, kiedy mnie objął. Staliśmy tak przez chwilę przytuleni do siebie, zjednoczeni poczuciem ulgi, a potem wróciliśmy do Kikit.

Poprawa nie następowała szybko, lecz była stała. Kiedy już upewniłam się, że nic jej nie grozi, poszłam zobaczyć, co z Johnnym. Był nadal z Brodym, w pobliżu izolatki Kikit. Siedzieli obaj na ziemi, oparci o ścianę, Johnny wciśnięty pomiędzy nogi Brody'ego. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chora była Kikit, lecz kiedy się pojawiłam, natychmiast wyprostowali się i dwie zaniepokojone twarze skierowały się w moją stronę.

Kucnęłam obok nich, przytrzymując się kolana Brody'ego, i uśmiechnęłam.

– Dochodzi do siebie.

– Co to znaczy? – zapytał Brody.

– To znaczy, że zaczyna reagować na leki. Zostaniemy tu jeszcze trochę. Pewnie będą chcieli ją zatrzymać.

– Dlaczego? – zapytał Johnny.

– Ponieważ nie oddycha jeszcze tak, jak należy.

– Miała to już przedtem i zawsze wypuszczali ją do domu.

– Tym razem ma zbyt niskie ciśnienie krwi. Dadzą jej na to lekarstwa, ale najlepiej jest je podawać dożylnie.

– Ale ona wyzdrowieje?

– Nic jej nie będzie – powiedziałam, osłabiona z ulgi. – Nic jej nie będzie – powtórzyłam szeptem, chociaż wiedziałam, że ja sama nie odetchnę spokojnie, dopóki nie zobaczę Kikit biegnącej i podskakującej wokół nas.

Już miałam wrócić do izolatki, gdy Johnny powiedział szybko:

– Tatuś szukał tych orzechów, naprawdę, bardzo się starał. Zebrał ich na serwetce cały stos. Szkoda, że nie widziałas, jak rozwlókł po stole sałatę i pomidory.

Usiadłam z powrotem obok Brody'ego i pozwoliłam, by ciepło jego ciała odświeżyło moje siły, nim wyciągnęłam ramiona po Johnny'ego.

Trzymając go mocno, wyszeptałam w jego włosy.

– Nie winię tatusia. Takie rzeczy się zdarzają, nawet jeżeli staramy się być ostrożni.

– Szkoda, że nie widziałas go w Halloween, jak sprawdzał te wszystkie cukierki. Czytał każdą etykietkę. On nawet zmusza nas, żebyśmy jedli owsiany chleb ze sklepu ze zdrową żywnością.

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło pełne niesmaku spojrzenie.

Uścisnęłam go.

– Wasz tatuś zachował się wspaniale, wtedy i teraz. Nie zostawił Kikit ani na chwilę, chyba, żeby przekonać się, co z tobą. teraz zostanie tam ze mną, aby upewnić się, że wszystko będzie w porządku. Ale wy dwaj potrzebujecie snu.

– Ja nie potrzebuję. Nie jestem śpiący.

– Musisz iść jutro do szkoły.

– Nie pójdę, jeżeli Kikit tu zostanie.

– Oczywiście, że pójdiesz. Któż inny mógłby powiedzieć o wszystkim jej nauczycielce, żeby dzieci mogły napisać kartki z pozdrowieniami? I kto przyniósłby te kartki do domu?

– Dlaczego mieliby pisać kartki? – zapytał szybko. – Nigdy dotąd tego nie robili. Ona od razu wracała do domu i szła do szkoły. Dlaczego teraz mieliby robić coś takiego? Jest bardziej chora?

Spojrzałam na Brody'ego. Objął mnie ramieniem i mocniej przytulił.



– Była – powiedziałam do Johnny'ego. – Ale teraz już nie jest. Z każdą minutą czuje się lepiej. Ale być może nie będzie mogła pójść do szkoły przez dzień czy dwa.

– Nie tylko ona – przekonywał mój syn. – Jeżeli dalej będzie tak padało, my też nie pójdziemy. Chcę zostać z wami w szpitalu.

– Wiesz, co by nam najbardziej pomogło? Świadomość, że jesteś w domu, cały i bezpieczny. Jeżeli będziesz tu tak siedział, będziemy się o ciebie martwili. Niech Brody lepiej zawiezie cię do domu, dopóki drogi są jeszcze przejezdne.

Chwila ciszy, a potem:

– Do domu?

Tak właśnie to sobie wyobrażałam. Jeżeli chciałam, by sądził, że wszystko przebiega normalnie, dom wydawał się najlepszym miejscem.

Jenovitz powiedział, że zbyt kontroluję swoje otoczenie. Być może miał rację.

– A dokąd chciałbyś pójść?

Johnny namyślał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie wiem. – Spojrzał na Brody'ego. – A ty dokąd jedziesz?

– Pomyślałem sobie, że mógłbym pojechać do latarni. Jest tam mnóstwo dobrego jedzenia. I Valentino. Biedaczek, pewnie czuje się samotny. Nie wiem, jak ty, ale ja nie chciałbym być teraz sam. Nie dziś wieczorem. I nie, kiedy pada śnieg. Nie po tym, co tu przeżyliśmy.

Nastąpiła jeszcze jedna pauza, a potem nieśmiało:

– Tata nie będzie się wściekał?

Uśmiechnęłam się.

– Nie martw się o to.

Spędziliśmy w izolatce jeszcze godzinę, a potem Kikit została przeniesiona na oddział pediatryczny. Chociaż jej stan bardzo się poprawił, to oddychała nadal z wysiłkiem i resztki opuchlizny pozostały. Lekarze woleli więc mieć ją na oku.

Umieszczono ją w dwuosobowym pokoju, lecz drugie łóżko nie było zajęte. Lekarze wyszli, obiecując, że wkrótce powrócą. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, wdrapałam się na łóżko i przytuliłam Kikit. Po kilku minutach usnęła głęboko, pozostawiając mnie i Dennisa samym sobie po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ta ciężka próba.

Po szybkiej wymianie spojrzeń, Dennis powiedział:

– Masz teraz satysfakcję, prawda?

Spojrzałam na niego, niczego nie rozumiejąc.

– Rozchorowała się będąc pod moją opieką – odpowiedział mi. – Po tym wszystkim, co na ciebie naopowiadałem, masz prawo powiedzieć mi do słuchu. Już przedtem byłaś na mnie wystarczająco wściekła. Więc czemu teraz nie jesteś?

Rzeczywiście, byłam wściekła. Odsunęłam od siebie ten gniew i pewnie mogłabym go przywołać, ale rzecz nie wydała mi się warta zachodu. Czułam się, jakbym przeszła przez wyżymaczkę. I resztę energii, jaka mi pozostała, wolałam poświęcić Kikit.

Położyłam głowę obok głowy córki i zamknęłam oczy.

Czuwaliśmy przy niej kolejno, stojąc, siedząc, spacerując po pokoju. Lekarze i pielęgniarki wchodzili i wychodzili, coraz bardziej zadowoleni z postępów. Jako że byłam przy Kikit przez cały czas, trudniej mi było dostrzec poprawę, nie wspominając o tym, że byłam zaangażowana emocjonalnie. Jednak przyglądałam się im bacznie, gdy ją badali i to, że wydawali się usatysfakcjonowani, przynosiło mi pociechę.

Gdzieś koło północy zaczęło mi się kręcić w głowie i zdałam sobie sprawę, że nie jadłam kolacji. Kiedy wspomniałam o tym Dennisowi, zaoferował się, że wyjdzie i kupi mi coś, ale po wyrazie jego twarzy i sposobie, w jaki spoglądał to na Kikit, to na mnie, poznałam, że wolałby nie odchodzić od łóżka. Jego troska wywarła na mnie takie wrażenie, że nie przyjąłam jego propozycji.

W automacie stojącym w końcu korytarza kupiłam ciastka i sok, a potem zadzwoniłam do latarni i upewniłam się, że Brody i Johnny dotarli tam szczęśliwie, przedzierając się przez dwunastocentymetrową warstwę śniegu, i teraz zjadają odgrzane risotto. Wróciłam do Kikit, czując się znacznie lepiej.

Ta poprawa samopoczucia okazała się błogosławieństwem, ponieważ nie tylko wróciła mi siły, bym mogła czuwać przy Kikit, lecz także spowodowała, że rozjaśniło mi się w głowie. To dziwne, nie myślałam o zmianie, jaka wkrótce dokona się w moim życiu, ani co powie Dennis, kiedy się o tym dowie. Nie myślałam też o tych strasznych przeżyciach w izbie przyjęć, kiedy obawialiśmy się, że możemy stracić Kikit. Myślałam raczej o tym, jak czuwałam przy innym łóżku, prawie miesiąc temu. Wspomnienia wróciły falą, przywołując obraz mojej matki, jej ciężkiego oddechu i wygładzonej przez nadchodzącą śmierć skóry.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Dennis.

Spojrzałam na niego.

– Tak.

– Drżysz.

Objęłam się mocno ramionami.

– Mam dość szpitali na resztę życia. Dostyc się ich ostatnio naoglądałam.

Przez chwilę nic nie mówił.

– Przykro mi z powodu Connie – powiedział wreszcie. – Trudno ci było czuć przy niej?

– Tak. Nie. Raczej dziwnie. Rona i ja wreszcie naprawdę ze sobą rozmawialiśmy. Teraz ona jest w terenie, załatwia sprawy firmy.

– Rona?

Uśmiechnęłam się, słysząc ten pełen niedowierzania ton. Ja także tak kiedyś reagowałam.

– Pomijając jedną wpadkę, kiedy to zagroziła, że zwolni pracownika, radzi sobie zupełnie dobrze. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. Cześć, kochanie – zwróciłam się do Kikit, która właśnie otworzyła oczy.

– Wszystko mnie swędzi – dobiegło zza tlenowej maski.

Zadowolona, że mogę coś zrobić, wzięłam z szafki kojącą maść. Był to dobry moment, by Dennis zrobił sobie przerwę, lecz on stał cały czas przy łóżku, trzymając tubę, podczas gdy ja rozsmarowywałam lek. Kiedy skończyłam, podał mi ręcznik. Kikit znowu usnęła. Minęła północ.

– Mógłbyś pojechać do domu – zaproponowałam. – Nie musimy być tu oboje.

Potrząsnął głową.

– Ty jedź. Ja nie chcę ryzykować, że utknę w śniegu. Zostaję.

Oczywiście, ja także nigdzie się nie wybierałam, tym bardziej że i tak nie miałam samochodu. Moje dziecko było chore, więc moje miejsce było przy nim.

I wyglądało na to, że miejsce Dennisa także. W miarę, jak upływały godziny, coraz rzadziej myślałam o ostatnich dniach Connie, zdając sobie sprawę, że sytuacja tutaj wygląda zupełnie inaczej. Stopniowo zaczęłam myśleć o Dennisie. Czy siedział na krześle przy łóżku, czy stał pochylony przy

poręczy, jego spojrzenie rzadko opuszczało twarz Kikit. Czy miał poczucie winy? A może to było coś jeszcze innego?

Wyglądał jakoś inaczej. Owszem, był zmęczony, lecz nie chodziło tylko o to. Przypomniałam sobie, jak Rona powiedziała, że teraz, kiedy zabrakło Connie, ona musiała w końcu wydorosnąć. Sytuacja Dennisa była inna. Kikit nie umierała, a poza tym on nie był jej dzieckiem, ale rodzicem. I po raz pierwszy tak właśnie wyglądał. Po raz pierwszy też wydawało się, że ma zamiar wziąć na swoje barki przypadającą na niego część odpowiedzialności.

– Gdzie Elizabeth i Howard? – spytałam.

Moje pytanie chyba nieco go zdumiało.

– W New Hampshire.

– Wiedzą o tym... ?

– Nie, a powinni?

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że dzieci widują się z nimi mniej więcej raz w tygodniu, czyli tak samo często, jak przed separacją. Wiedziałam także od dzieci, że Dennis na ogół sam je wszędzie zawozi. A jednak często zastanawiałam się, czy Elizabeth nie zakrada się przypadkiem do domu w ciągu tygodnia, by zrobić pranie albo napełnić lodówkę.

– Dużo ci pomagali, odkąd się rozstaliśmy? – spytałam.

– Nie. Nie o to chodziło.

– A o co?

Nie odpowiedział od razu. W końcu, nie odrywając spojrzenia od Kikit, wykrztusił:

– To zaczęło się jako jedna rzecz, a skończyło jako coś zupełnie innego.

Zastanowiłam się nad tym, próbując po swojemu zinterpretować jego słowa i czekając, aż znów zacznie mówić. Staliśmy po dwóch stronach łóżka, przysłuchując się cichemu sapaniu Kikit.

Musiało minąć dobre dziesięć minut, zanim znów się odezwał:

– Zaczęło się jako wyzwanie dla ciebie, a skończyło jako wyzwanie dla mnie. Nie jestem najgorszym ojcem na świecie.

– Nigdy tak nie twierdziłam.

– Powiedziałaś to w sądzie.

– Moja adwokatka argumentowała, że ja lepiej potrafię zaopiekować się dziećmi.

– Powiedziała, że nie nadaję się na ojca.

– To nieprawda, Dennis.

– W każdym razie tak to zabrzmiało.

– I chyba nie było ci zbyt przyjemnie tego słuchać – zauważyłam.

Zerknął na mnie i przez chwilę w jego spojrzeniu zauważyłam przeblysłk dawnej irytacji. A potem westchnął i wrażenie znikło.

Śnieg padał nadal. Z okna pokoju Kikit przyglądaliśmy się, jak otula miękką białą warstwą parking, drzewa i pobliskie domy. Pługi oczyściły parking i drogi, a potem, po kilku godzinach, pojawiły się ponownie. Wreszcie, krótko przed świtem, śnieg przestał padać.

Wkrótce potem Dennis pojechał do domu, aby wziąć prysznic i przebrać się. Wrócił po niecałej godzinie, przynosząc z sobą plecak podróżny Kikit, wypchany po brzegi jej ulubieńcami. Znalazło się w nim miejsce także na piżamę i ranne pantofle.

Wzruszyło mnie, że o tym pomyślał i że nie robił z tego wielkiej sprawy. I nie liczyło się, czy kierowało nim poczucie winy, czy chęć zarobienia punktów w sądzie. Jak zrozumieliśmy, lekarze nie mieli zamiaru wypisać jej dzisiaj do domu, z pewnością więc możliwość przytulenia ukochanych maskotek pomoże jej przezwyciężyć rozczarowanie.

Dennis wyjął z plecaka lalki i misia i ułożył je na łóżku. Ja wyjęłam piżamę i pantofle i położyłam na stoliku. A potem znowu sięgnęłam do torby. Czułam, że coś w niej jeszcze zostało.

Plecak był typowym dziecięcym plecakiem podróżnym. Nadal miał na szelce przywieszkę z nazwiskiem i adresem Kikit, którą umieściłam tam przed jej wylotem z Cleveland.

Wsunęłam rękę do środka, lecz niczego nie znalazłam. Przesuwałam więc dłońmi wzdłuż nylonowej ścianki, dopóki nie natknęłam się na zgrubienie, a wtedy odsunęłam suwak tylnej kieszeni i sięgnęłam do środka. Serce uderzyło mi mocno, gdy moja dłoń natrafiła na jednorazową strzykawkę z adrenaliną i antyhistaminą, które „nie zostały zapakowane” przed powrotem dzieci w październiku.

Dennis wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Nie byłam jednak pewna, czy jego zdumienie nie miało maskować niezadowolenia, że został nakryty. A potem spojrzał na mnie i w jego oczach dostrzegłam przerażenie, które upewniło mnie, że naprawdę o niczym nie wiedział. Zamknął oczy, zwiesił głowę i potarł ręką kark.

– Chryste – powiedział w końcu, podnosząc głowę. – A niech to cholera! Musiałam zapytać, musiałam usłyszeć jego odpowiedź.

– Nie wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. – Odwrócił głowę.

– Nie wiedziałeś, że tak będzie? – krzyknęłam, rozpaczliwie starając się zachować złudzenia, że mężczyzna, którego poślubiłam i którego żoną pozostawałam tak długo, nie był tak bezmyślny, jak mi się w tej chwili wydawał.

– Nie wiedziałem – przyznał. – Wszystko miało być takie proste. Tak mi powiedzieli. Sędzia od samego początku był po naszej stronie. Nie musieliśmy nawet nic robić.

Dobrze się stało, że Kikit wybrała właśnie ten moment, by się obudzić, w przeciwnym razie mogłabym powiedzieć Dennisowi o układzie między Selweyem a Jenovitzem, a to z pewnością nie byłoby rozsądne. Nadal byliśmy uwikłani w prawny spór, a teraz Carmen miała w ręce stuprocentowo skuteczną broń. Wierzyłam, że będzie umiała się nią posłużyć i byłam jej winna tę szansę.

\* \* \*

Zanim pojawił się Brody z Johnnym i śniadaniem, zdążyłam już umyć Kikit i przebrać ją we własną piżamę. Teraz, kiedy opuchlizna zaczęła ustępować i maskę tlenową można było zastąpić doprowadzonymi do nosa przewodami, zaczęła bardziej przypominać siebie. Nie była zachwycona, że pozostawiono jej kroplówkę, lecz lekarz obiecał, że jeśli jej stan nadal będzie się poprawiał, po południu zostanie od niej odłączona.

Dennis wydawał się dziwnie przygaszony. Usunął się na bok, gdy Brody i Johnny przysiedli na łóżku Kikit, aby opowiedzieć jej parę zabawnych historyjek. Ja także się usunęłam. Brak snu zaczynał dawać mi się we znaki.

Gdy jednak Brody zaproponował, że odwiezie mnie do domu, bym mogła się przespać, w pierwszej chwili chciałam odmówić pod pretekstem, że Kikit mnie potrzebuje, a poza tym, jeżeli będę chciała się zdrzemnąć, mogę skorzystać z wolnego łóżka. Lecz przyszło mi do głowy, że Kikit nic już nie grozi, a dobrze byłoby, gdyby przekonała się, że ojciec także potrafi się nią zaopiekować. I że chce to robić.

Więc Brody odwiózł mnie do latarni. Ledwie zdążyłam wziąć prysznic i wejść do łóżka, gdy zadzwoniła Carmen i z satysfakcją w głosie zawiadomiła



mnie, że wyznaczono termin przesłuchania w związku z nowym odwołaniem, które złożyła. Selwey zobaczy się z nami jutro o drugiej po południu.

I jeszcze coś. Udało jej się też zdobyć dane, które świadczyły przeciwko Jenovitzowi.

Okazało się, że tylko w dwóch przypadkach z dwudziestu trzech, jakimi zajmował się na polecenie Selweya w ciągu ostatnich trzech lat, jego opinia różniła się od pierwotnego orzeczenia Selweya. W dwudziestu jeden pozostałych więcej niż połowa orzeczeń została i tak w końcu zmieniona.

Odłożyłam słuchawkę, uśmiechnęłam się do Brody'ego i natychmiast zapadłam w sen.

Kikit zaczęła mówić. Mówiła bez przerwy. Nadal miała chrypkę, a ciężki oddech i wysypka też jeszcze zupełnie nie ustąpiły, lecz albo lekarze doszli do wniosku, że ktoś, kto tak papie nie może być poważnie chory, albo po prostu ich zmęczyła. Tak czy inaczej, wczesnym popołudniem była już w domu, który przyzwyczaiałam się uważać za dom Dennisa. Wydawało mi się, że Dennis pozwoliłby jej przyjechać do latarni, gdybym nalegała, lecz Kikit potrzebowała nas obojga, ja zaś nie chciałam Dennisa u siebie.

Tymczasem Dennis nie miał nic przeciwko temu, bym przebywała w jego domu. Usadził Kikit na kanapie w gabinecie i dopilnował, by miała wszystko, czego mogło zapragnąć jej małe serduszko, lecz nadal wydawał się przygaszony, a nawet nieobecny duchem. Nic nie zostało z dawnego zadowolenia z siebie, arogancji czy lekceważenia. Nie wiedziałam, czy to szok związany z chorobą Kikit tak na niego wpłynął, czy coś innego, ale wydawał się odmieniony. Domyśliłam się, że spoglądał dziś na wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy z zupełnie innej perspektywy.

Przynajmniej taką miałam nadzieję. Jeszcze nie załatwiliśmy naszych spraw. Pomimo jawnego optymizmu Carmen, nie miałam zamiaru chwalić

dnia przed zachodem. Nawet jeżeli uda mi się odzyskać dzieci, pozostawała jeszcze kwestia rozwodu.

Późnym popołudniem Johnny wyszedł, aby pojeździć z kolegami na sankach, a Kikit zasnęła, ukołysana moim śpiewem. Ja sama zdrzemnąłam się na chwilę w fotelu obok jej łóżka. Po jakimś czasie obudził mnie zapach kawy. Kierując się węchem, pośpieszyłam do kuchni. Dennis stał przy oknie, trzymając w dłoniach parujący kubek.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziałam. A kiedy na mnie spojrzał, machnąłam dłonią w stronę ekspresu. A potem spostrzegłam coś, co zrobiło na mnie jeszcze większe wrażenie. Obok ekspresu stał żaroodporny półmisek, a na nim kurczak, przyrządzony tak, jak lubiła Kikit i gotowy do wstawienia do piekarnika. Wszystkie naczynia, które posłużyły do przyrządzenia potrawy, zostały starannie umyte i schły teraz na suszarce. Wszędzie panował wzorowy porządek.

– To zadziwiające, czego może dokonać facet, gdy jest do tego zmuszony – burknął Dennis.

Nalałam sobie kawy i oparłam się o ladę. Nadchodzący zmierzch zabarwił śnieg na podwórku błękitem.

– Kiedy wróci Johnny? – spytałam.

– Myślę, że wkrótce. Ledwie udało mi się go nakłonić, by wyszedł.

– Dlaczego?

– Bo ty tu byłaś. Poszedł dopiero, kiedy mu obiecałam, że zostaniesz na obiedzie.

To jawne przyznanie, że dzieci mnie potrzebują, zdumiało mnie. Jeszcze niedawno Dennis prędzej by umarł, niż przyznał coś podobnego.

– Przed chwilą dzwonił Heuber – powiedział i podniósł kubek do ust.

Tak, w sprawie nowego przesłuchania.

Przyglądałam się, jak przelyka kawę i opuszcza kubek, jak pociera kciukiem jego brzeg i zaciska usta. Kiedy się odezwał, w jego oczach dostrzegłam rezygnację.

– Masz zamiar wyciągnąć tę sprawę z Adrienne?

– Tylko jeśli mnie do tego zmusisz. Jak mogłeś z tym żyć przez wszystkie te lata? Nie bałeś się, że ktoś to odkryje?

Wzruszył ramionami.

– Czasami.

– Bałeś się, że się dowiem?

– To też.

– Naprawdę nie mogłeś się zdobyć na to, by mi o wszystkim powiedzieć wtedy, gdy pierwszy raz zapytałam cię o to?

– Bałem się, że mnie rzucisz. – Jego spojrzenie stwardniało. – Bądź uczciwa. Rzuciłabyś mnie.

Może tak. A może nie.

– Rzuciłabyś. A teraz zamierzasz się tym posłużyć.

– Tylko, jeżeli się okaże, że to jedyny sposób, bym mogła zatrzymać dzieci. Ale nie o to chodzi z tym przesłuchaniem.

– A o co?

– Mamy dowód na istnienie zмовy pomiędzy Selweyem i Jenovitzem. Będziemy się domagać, aby Jenovitz zrezygnował z prowadzenia sprawy.

Dennis nie spierał się. Po prostu stał przy oknie, wpatrując się to w śnieg, to znowu w swój kubek.

Sączyłam kawę. Była mocniejsza, niż gdybym przyrządziła ją sama, lecz dobrze mi robiła.

– Zwolniłem Phoebe – powiedział, nie odwracając się.

– Zwolniłeś?

– Zwolniłem, zerwałem z nią, nazwij to, jak chcesz. Nie miała prawa wyciągać tej sprawy z aborcją. Gdyby mnie zapytała, sprzeciwiłbym się. Ta aborcja to była bardziej moja wina niż twoja.

Ze zdumienia niemal odjęło mi mowę. O mało mu nie podziękowałam. Zamiast tego spytałam tylko:

– Trudno ci było z nią zerwać?

– Nie tak trudno, jak się spodziewałem.

– Kochałeś ją?

– Nie, chociaż z początku tak mi się wydawało. Obmyśliliśmy wszystko tak, że miałem odebrać ci prawo do opieki, żeby wynegocjować lepsze warunki umowy rozwodowej. A potem stało się coś dziwnego. Odkryłem, że lubię moje dzieci. – Spojrzał na mnie. – Phoebe nie lubi dzieci.

– Aha. Poznała nasze?

– Nie, sprawy nie zaszły aż tak daleko.

– Tylko seks i interesy. Żadnej rodziny.

Odwrócił się szybko, gotowy się– kłócić. Poznałam to po błysku w jego oczach. A potem ten błysk zgasł i Dennis odwrócił się z powrotem do okna.

– Więc o co w tym wszystkim chodziło? – spytałam. – Muszę to wiedzieć. Zakochałeś się w Phoebe przedtem czy potem, jak zacząłeś rozmawiać z nią o rozwodzie?

– Potem.

Poczułam dziwną ulgę. Jeżeli mogłabym wybierać, wolałabym, by stało się to potem.

– Ona... zdawała się być po mojej stronie – powiedział. – Mówiła mi, że mam rację, a ty się mylisz. Że jestem inteligentny. I że bardzo jej się podobam.

– Mnie także bardzo się podobałeś.

– Taaak – mruknął – ale to coś zupełnie innego, gdy mówi ci o tym ktoś nowy. Od żony oczekuje się czegoś takiego. A kiedy mówi ci to młoda, piękna i mądra kobieta, która nie ma żadnego powodu, by to robić, jest to o wiele bardziej ekscytujące.

– Pochlebne.

– Taa... Więc może to był kryzys wieku średniego, nie wiem. No i jeszcze te kłopoty w pracy. Był czas, że odnosiłem sukces we wszystkim, czego się tknąłem, ale ten czas już minął.

Mogłam przypomnieć mu, że także i tamte sukcesy zawdzięczał nie tyle sobie, co sztuczkom nieboszczki Adrienne Hadley, nie chciałam jednak psuć nastroju. Wydawał się odczuwać to, co ja – zmęczenie i osłabienie, wywołane niedawnymi przeżyciami z Kikit. A taka rozmowa była nam bardzo potrzebna – zarówno ze względu na dzieci, jak i na nas samych.

– Nigdy tak naprawdę nie chciałeś Wiklinowego Kącika, prawda? – spytałam.

– A co miałbym z nim robić? Nie znam się na wiklinie.

– Więc chodzi ci tylko o pieniądze? Na udział w Pittney?

Skinął głową, osuszył do dna kubek i oparł się o parapet, zwracając twarz w moją stronę. Jego poza mogłaby wydawać się nonszalancka, gdyby nie malujące się na obliczu napięcie.

– I zmusiłbyś mnie do sprzedaży? – spytałam.

Uśmiechnął się krzywo.

– Teraz i tak nie mogę tego zrobić, prawda? Wiesz o Hadleyu.

– A gdybym nie wiedziała, byłbyś do tego zdolny? Wiedząc, ile ta firma dla mnie znaczy?

Zmarszczył brwi i spuścił wzrok.

– Prawdopodobnie nie. To zawsze coś.

Spojrzał na mnie i wyraz jego twarzy złagodniał.

– Słuchałem, kiedy śpiewałaś Kikit do snu. Głos masz tak samo czysty jak dwadzieścia lat temu. Uwierzysz, że już minęło dwadzieścia lat? Kiedyś zakochałem się w tym głosie. Spuścił wzrok i zapatrzył się na kubek. – Wspaniale było razem śpiewać.

–Tak.

– Kiedy śpiewaliśmy, nasze głosy doskonale ze sobą współbrzmiały. Kiedy przestaliśmy, skończyła się harmonia.

Z pewnością było to uproszczenie. Ale podobna myśl mnie także przyszła do głowy.

– Śpiewanie było jedną z dobrych rzeczy. Były i inne. Na pewno dzieci. Nie żałuję, że byliśmy małżeństwem, jeżeli nie z innego powodu, to choćby ze względu na nie.

– Więc co się z nami stało?

Nie tak dawno zadałam mu to samo pytanie. Odpowiedział mi oskarżeniami. Za rozpad naszego związku winił wyłącznie mnie. Próbowałam teraz odwrócić role, ale nie umiałam. Pomimo wyczerpania, spowodowanego przeżyciami ostatnich dni, czułam się silniejsza niż kiedykolwiek. Zostałam zmuszona do robienia rzeczy, których nie pochwalałam. A teraz odzyskiwałam kontrolę nad swoim życiem.

– Mieliśmy różne potrzeby – powiedziałam. – Nie jestem dla ciebie odpowiednią partnerką. Nie powinieneś być zmuszany do rywalizowania z własną żoną ani udowadniania, kto jest lepszym rodzicem czy kto lepiej radzi sobie w pracy. Potrzebujesz kogoś, kto byłby bezradny i kto wspierałby się na tobie, patrzył na ciebie z podziwem i spijał każde słowo z twoich ust. A ja – uśmiechnęłam się – nie jestem w tym dobra. Musiałam stać się niezależna, gdy miałam osiem lat. Więc od mężczyzny oczekuję czegoś zupełnie innego.

– Na przykład?

– Na przykład pewności, że zawsze będzie przy mnie.

– Jak się domyślam, nie potrafiłem ci tego zapewnić – powiedział po chwili.

Nie odpowiedziałam od razu, starając się uporządkować myśli. Choć nie znosiłam Jenovitza, to jednak to, co o mnie powiedział, nie pozostało bez echa.

– Być może jestem zbyt niezależna.

Dennis także się nie odezwał. I dobrze. Mówiłam więc dalej.

– Czasami nie słucham, co się do mnie mówi. Sama znajduję rozwiązania i od razu wprowadzam je w życie. Biorę na siebie obowiązki, zanim kto inny ma szansę to zrobić, nie bacząc na to, jak bardzo byłoby to temu komuś potrzebne.

Widząc, że Dennis nie ma zamiaru się odezwać, spojrzałam na niego. Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie będę się spierał.

– Weźmy na przykład Kikit – mówiłam dalej, ponieważ była to sprawa, która dotyczyła nas obojga. – Umie czytać i wie, jak brzmią nazwy wszystkich rzeczy, które jej szkodzą. Musimy ją teraz nauczyć, że także sama musi się pilnować. Nie zawsze będziemy w stanie to robić za nią. Zwłaszcza ja będę musiała się z tym pogodzić – dodałam spokojnie.

Nie będzie to proste. Tak bardzo bałam się o nią. Lecz jeśli w końcu nie postawię jej na ziemi z powodu obawy, że upadnie i zrobi sobie krzywdę, to nigdy nie nauczy się chodzić. Sztuka polega na tym, by uchronić ją od upadku, gdy będzie się uczyła, a nie w ogóle. Przy jej skłonnościach do alergii każde potknięcie może zakończyć się tragicznie. Lecz kiedyś musi nauczyć się sama o siebie dbać. I nabrać do siebie zaufania.

– Jenovitz oskarżył mnie, że nie chcę się zmienić. Mylił się – oświadczyłam z przekonaniem. Jednak gdy próbowałam zastosować to, co przed chwilą powiedziałam o Kikit do Dennisa, w żaden sposób nie umiałam tego zrobić. Pozwoliłam mu być słabym. Polegać na mnie. A teraz już nie chcę dłużej go podtrzymywać. Nie sądziłam, bym była w stanie to naprawić. Nie miałam ochoty go łapać, gdy będzie upadał. – Po prostu nie jestem pewna, czy potrafię się zmienić, jeśli chodzi o nas.

A co z Brodym? Przy nim nigdy nie musiałam być nadmiernie niezależna. Od początku wiedziałam, że mogę na nim polegać. Był silny.

Dennis znów wlepił wzrok w kubek. A kiedy go podniósł, w jego spojrzeniu było coś, co do głębi mnie poruszyło. W jednej chwili przypomniałam sobie wszystkie dobre chwile naszego małżeństwa, ciepło, czułość i, tak, miłość, które były tam kiedyś i przez jedną jedyną chwilę poczułam żal, że nie wykorzystaliśmy możliwości, które zostały nam dane. I przez tę jedną chwilę pragnęłam pocieszyć Dennisa.

– Czy jest jeszcze dla nas jakaś szansa? – zapytał. Lecz chwila słabości minęła i znowu uświadomiłam sobie istnienie wszystkich tych rzeczy, o których nie wspomniałam przed chwilą, a które stały się jasne, dopiero gdy Dennis zdecydował się zakończyć nasz związek. Rzeczy takie, jak brak rozwagi, nielojalność i słabość moralna. Na plus tej sytuacji mogłam zaliczyć jedynie Brody'ego.

Uśmiechnęłam się więc przepaszająco i potrząsnęłam głową.

– Chyba jesteśmy stworzeni raczej na przyjaciół niż na kochanków. Mogę spróbować, jeśli i ty spróbujesz. Chcesz tego?

Zostałam w domu, dopóki nie skończyliśmy obiadu i dzieci nie poszły do swoich pokoi, a potem zostawiłam je pod opieką Dennisa. Po raz pierwszy to, że je opuszczam, nie budziło we mnie niepokoju. Skierowałam się do latarni,



lecz zmieniłam zdanie, postanawiając pojechać do Brody'ego, po czym znów rozmyśliłam się i ruszyłam do pracowni. Zanim tam dojechałam, poczułam, jak przepełnia mnie energia.

W pracowni ustawiłam fotel i stół na blacie warsztatu i przyjrzałam się im. Wplatanie nowych prętów było już prawie ukończone, lecz to, co dotąd zrobiłam niezbyt mi się podobało. Ostatnio często bywałam spięta i rozkojarzona. Widać to było po mojej pracy.

Teraz już umiałam się skupić. Cierpliwie usunęłam pręty, których nie osadziłam dobrze, namoczyłam nowe i wplotłam je. Pasowały idealnie. Podobnie jak te, którymi musiałam zapełnić puste dotąd miejsca. Tego wieczoru praca nie sprawiała mi trudności. Moje ręce dokonywały cudów.

Odsunęłam się i zaczęłam podziwiać swoją pracę. Żaden ze sprzętów nie był jeszcze ukończony. Nowe pręty będą musiały wyschnąć, nim ostatecznie się przekonam, czy pasują, a wtedy będę mogła przystąpić do wygładzania i malowania. Miałam już dla nich wybrany kolor: ciepłą zieleń. Jeżeli nie uda mi się uzyskać tego odcienia kładąc pierwszą warstwę, położę jeszcze jedną.

Gdyby nie te wciąż mokre pręty, mogłabym już zacząć gruntowanie. Rozpierała mnie energia. Jak na zawołanie w drzwiach pojawił się jednak Brody i moja energia znalazła inne ujście.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Szłam wzdłuż Federal Street. Było kolejne popołudnie. Porywisty wiatr targał połami mego płaszcza.

Aż nazbyt dobrze pamiętałam swoją pierwszą wizytę w sądzie, kiedy to Dennis trzymał w ręku wszystkie atuty. Teraz ja także miałam ich kilka. Lecz pomijając tę drobną różnicę, podobieństw było zbyt wiele, by nie budziło to we mnie niepokoju.

Przenikliwie zimno wyгнаło ludzi ze schodów przed budynkiem i teraz wszyscy tłoczyli się w holu sądu, a przerzucone przez oparcia ław stosy okryć jeszcze potęgowały wrażenie chaosu. Poza tym sceneria bardzo przypominała tę z października. Adwokaci i ich klienci naradzali się, umundurowani strażnicy rozmawiali między sobą, sędzia to wstawał ze swojej ławy, to znów siadał na niej.

Zajęłyśmy wraz z Carmen miejsca w końcu sali, czekając, aż zostaniemy wezwane. Carmen zdążyła już wręczyć Missy kopię pisma Selweya, a także przypięte do niej wyniki statystycznych badań opinii Jenovitza. Dennis i Art Heuber siedzieli kilka rzędów przed nami, nie mogłam więc dostrzec wyrazu ich twarzy.

Czekając na obrońców, rozmawialiśmy z Dennisem przez chwilę w holu – bardziej dla zabicia czasu niż z jakiegokolwiek innego powodu – i oboje czuliśmy się skrepowani. Nieważne, że doszliśmy do porozumienia w tak wielu kwestiach. Tutaj byliśmy przeciwnikami. Dennis był w domu przez cały ranek, kiedy ja siedziałam przy Kikit. Zarówno wtedy, jak i teraz zachowywał się spokojnie i jakby z rezygnacją.

– Sprawa Raphael! – zawołała Missy.

Zajęliśmy te same miejsca co w październiku – Dennis, Art, Carmen i ja – w tej kolejności. Selwey wziął z rąk Missy nasze odwołanie i czytał je, stojąc i kołysząc się na piętach. Nagle kołysanie ustało. Zacisnął usta, przeczytał jeszcze kawałek, a potem odłożył papiery i powiedział do Carmen:

– Ma pani świadomość, że pani klientka popełniła kradzież?

– Nie, Wysoki Sądzie – powiedziała śmiało Carmen. – Ponieważ to ona opłaca biegłego, wychodzimy z założenia, że zawartość tego skoroszytu należy do niej. Nie oczekujemy, że doktor Jenovitz zmieni swoją opinię. Ale nie będzie chciał, by sprawa trafiła wyżej. – Skinęła brodą w stronę papierów na biurku Selweya. – Z pewnością wolałby nie ryzykować, że te liczby zostaną ujawnione. Być może panu nie sprawi to różnicy.

Oczywiście, że sprawiłoby mu to różnicę. Jego zachowanie dobitnie o tym świadczyło. Aż skurczył się ze złości.

– Czego dokładnie się domagacie?

– To jest w naszej petycji – powiedziała Carmen, oszczędzając mu publicznego upokorzenia. Domagałyśmy się, by zrezygnował ze sprawy, wycofał się ze swoich orzeczeń i oddalił sprawę.

– Zostałem włączony do tej sprawy ze względu na dobro dwójki małych dzieci. Co z nimi? – zapytał, poirytowany.

– Wysoki Sądzie, mój klient nie upiera się już przy wyłącznej opiece – wtrącił Art Heuber.

– Tak? A co z początkowymi oskarżeniami? Nie wymyśliłem ich sobie. I to nie ja was szukałem, lecz wy przyszliście do mnie.

– Mój klient zgodził się odstąpić od zarzutów – mówił dalej Heuber. – Rodzice chcieliby rozstrzygnąć sprawę opieki pomiędzy sobą.

– Jeżeli nie byli w stanie tego zrobić dwa miesiące temu, to co się od tego czasu zmieniło?

– Zaczęli ze sobą rozmawiać – odparł Heuber.

Selwey poruszył ramionami.

– No dobrze, ale co z zarzutami?

– To było nieporozumienie.

– Nieporozumienie? Marnowaliście czas Sądu i biegłego z powodu nieporozumienia? – Prychając pogardliwie, nabazgrał coś na dokumencie, który trzymał w ręce. – Oddalam sprawę. Kto następny, Missy? – zapytał, odwrócił się do nas plecami i zaczął grzebać w papierach.

I było po wszystkim.

Udało mi się jakoś zejść ze schodów, zanim ugięły się pode mną kolana – tym razem z powodu ulgi. Oparłam się o mur i z rozkoszą wdychałam chłodne grudniowe powietrze. Z każdym oddechem czułam się silniejsza, szczęśliwsza i bardziej wolna. I coraz bardziej prostowałam plecy.

Gdy dołączyła do mnie Carmen, jej uśmiech był równie szeroki, jak mój.

– Dobra robota – powiedziałam.

Skrzywiła usta.

– To prawdziwa przyjemność stać tam w milczeniu, niczym prawdziwa dama, podczas gdy ci faceci wiją się jak robaki na wędce.

– Mimo to nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś oskarżyła wielkim głosem tego pompatycznego durnia, Selweya, o nieetyczne postępowanie.

– Wszystko w swoim czasie – obiecała Carmen. – Topismo i tak w końcu sprawi, że Selwey będzie musiał zrezygnować. Domyślam się, że złoży rezygnację, gdy tylko ten dokument dotrze do Komisji Etyki Sędziowskiej. Wierz mi, Selwey jest skończony. Jenovitz będzie musiał znaleźć sobie inne źródło. I na pewno znajdzie. Będzie dostawał zlecenia od innych sędziów, chociaż być może nie aż tak wiele, by zapewnić sobie tę sutą emeryturę, o której marzy. Ale na pewno nie będzie głodował.

– A zatem on robił to dla pieniędzy. A Selwey? Co z tego miał Selwey?

– Selweyowi chodziło o zaspokojenie swojego ego. I o władzę. A teraz ją straci, i bardzo dobrze. To, co ci zrobił, to przykład tego, jak nie powinien funkcjonować nasz system prawny.

A jednak niemal mu się udało. Spokojna rezygnacja nie była za to dostateczną karą. W chwilach gniewu miałam ochotę pikietować budynek sądu, napisać do gubernatora, wezwać media. Jednak rozsądek podpowiadał mi, bym jak najszybciej zostawiła to niemiłe doświadczenie daleko za sobą.

Dennis wyłonił się spomiędzy kolumn i stał tam, rozglądając się dookoła.

Gdy nas zobaczył, zawahał się, a potem zapiął płaszcz i ruszył w naszą stronę, wciskając dłonie głęboko w kieszenie. Twarz miał spokojną.

– Moje gratulacje – powiedział do Carmen, a potem do mnie: – Nie wiedziałem o tej notatce Selweya. Art i Phoebe też nie. Wiedzieliśmy, że jest uprzedzony, lecz nie sądziliśmy, że może posunąć się tak daleko. – Przerwał. – A zatem? – zapytał, nie wyciągając rąk z kieszeni i usztywniając ramiona – Co teraz?

– Będziemy rozmawiać – powiedziałam. – Tak, jak powinniśmy rozmawiać w październiku.

– Nadal chcę zatrzymać dzieci.

– Ja także – powiedziałam spokojnie.

– Dalej mam dla nich więcej czasu niż ty.

– Ale nie będziesz miał, gdy kupisz udziały w Pittney.

– A jeśli nie kupię? Jeżeli pójdę na emeryturę i będę żył z alimentów?

– A czy alimenty zapewnią ci takie życie, do jakiego przywykłeś? – zapytałam w sposób, który przywoływał na pamięć sprawę Hadleya, choć nawet o niej nie wspomniałam.

– Uważam, że możemy porozmawiać o tym w obecności obrońcy Dennisa – wtrąciła Carmen. – Zadzwoń do Arta i ustalę termin.

Dennis skinął głową. A potem, uparty jak zwykle, zwrócił się do mnie znowu: – Nie pozwolę się wyrzucić z domu.

– Możesz zatrzymać dom – powiedziałam. Odebrało to wiatr jego żaglom. Lecz tylko na chwilę.

– Więc kto dostanie dzieci?

W końcu zgodziliśmy się na wspólne sprawowanie opieki, co wydawało się oczywistym rozwiązaniem. Mieszkaliśmy na tyle blisko siebie, że Johnny i Kikit mogli krążyć pomiędzy nami i nie zakłócało to zbytnio ich trybu życia. Mogli zostawać z Dennisem, kiedy ja będę musiała wyjechać, i ze mną, kiedy wyjeżdżał on, a przez resztę czasu przebywać tydzień u mnie, tydzień u niego, przy czym terminy te mogły ulec zmianie, co z pewnością okaże się konieczne w miarę, jak dzieci będą dorastały. Zgodziliśmy się podejmować wspólnie wszystkie ważne decyzje i dzielić odpowiedzialnością, a także konsultować się ze sobą we wszystkich innych sprawach dotyczących dzieci.

Kwestia ich utrzymania nie stanowiła problemu. Miałam zamiar zapewnić im finansowe bezpieczeństwo, którego sama nie zaznałam w dzieciństwie.

Sporządzenie umowy rozwodowej nie poszło tak gładko. Dennis upierał się przy wielkiej sumie pieniędzy, lecz w końcu go przetrzymałam, choć sporo czasu zajęło mi przekonanie mego eks-męża, iż jestem gotowa posłużyć się tym, co mam, jeżeli tylko spróbuje odebrać mi Wiklinowy Kącik.

Czy naprawdę bym to zrobiła? Carmen nieraz zadawała mi to pytanie i długo zastanawiałam się nad odpowiedzią. Kobieta, którą byłam, nigdy nie zniesławiłaby męża. Lecz ta kobieta się zmieniła, stała się twardsza. Być może sama nie wystąpiłaby przeciwko mężowi, ale z pewnością bez mrugnięcia

okiem zrobiłaby wszystko, by się obronić, gdyby zagroził temu, co jest jej drogim.

Umowa, którą w końcu zawarliśmy, stanowiła, iż będę płaciła Dennisowi miesięczne alimenty zapewniające mu wygodne życie, a także przekażę dużą sumę za zeszły rok i będę robiła to przez cztery następne lata tak, by uzyskana przez niego łączna kwota stanowiła równowartość jednej czwartej wartości Wiklinowego Kącika.

Pomimo skarg Dennisa, że udaremniał jego plany zarobienia na godziwe życie, udało mu się kupić udziały w Pittney bez zmuszania mnie do sprzedania większej części firmy. Pierwsza duża suma, jaką wypłaciłam, plus zaliczka na poczet następnej umożliwiły mu zawarcie umowy z przedsiębiorstwem. Resztę pieniędzy miał spłacać w miesięcznych ratach. W końcu więc został wiceprezesem.

Zważywszy to wszystko, i tak dostał więcej, niż na to zasługiwał.

Lecz ja byłam zadowolona. Nie zawsze postępowałam właściwie. Czułam się mniej winna, kiedy wiedziałam, że Dennisowi będzie się dobrze powodziło. A poza tym, ego odgrywało w jego życiu wielką rolę. A im bardziej zadowolone było ego, tym bardziej był on zgodny jako facet i lepszy jako ojciec. A o to mi głównie chodziło. Przez cały czas.

W połowie stycznia umowa była spisana, a na początek lutego wyznaczono pierwszą rozprawę rozwodową.

Ponieważ sędzia Selwey był bezterminowo nieobecny, stanęliśmy przed jego zastępcą, sędzią Collierem. Ten zaś uznał sprawę za oczywistą i w trzy miesiące później nasz rozwód stał się faktem.

Był prawie maj, słońce stało więc dostatecznie wysoko, aby poradzić sobie z chłodnym atlantyckim powietrzem i umożliwić nam zjedzenie późnego niedzielnego śniadania na werandzie domu Brody'ego. Było to bardzo

prywatne śniadanie, ponieważ dzieci przebywały z Dennisem w New Hampshire, a Rona w latarni z Valentino.

Owinięta w wełniany pled, kołysząc się na bujanym fotelu, leniwie rozglądałam się po swoim królestwie. Powietrze miało ten słony posmak, który tak uwielbiałam, zmieszany teraz lekko z zapachem pierwszych konwalii, które rozkwitły właśnie tuż przy stopniach werandy. Wiedziałam, że wkrótce pokażą się powoje i bzy, a także dzikie róże w miejscu, gdzie trawa styka się ze skałą.

Uśmiechając się, przesunęłam palcami po perłach, które okalały moją szyję i ginęły pod pledem. Connie miała rację. Mój sznurek był długi i nadal się wydłużał. Przysięgłabym, że w ostatnich miesiącach pojawił się na nim co najmniej tuzin nowych pereł. Jedna, kiedy patrzyłam na Kikit podczas popisu tanecznego, druga, gdy Johnny wznosił wysoko ramiona w geście zwycięstwa, podczas gdy jego drużyna koszykówki zdobywała mistrzostwo szkolnej ligi. I kolejna – wspólne urodziny, które urządziliśmy dla dzieci, zapraszając trzydzieścioro ich przyjaciół, magika, Dennisa i jego rodziców, a także Ronę i podczas których wszyscy starali się być dla siebie mili. Następna to był nowy sklep przy Newbury Street w Bostonie, i jeszcze jedna – pełny sukces benefisu Stowarzyszenia na rzecz Chorych na Chorobę Alzheimera, które wspieraliśmy wraz z Brodym.

Na moim naszyjniku były też perły, które dopiero zaczynały się formować – Rona szukająca sobie w firmie miejsca, które odpowiadałoby jej najbardziej, moja nowa zażyłość z nią i wspomnienia o mamie – nie tej gasnącej pod koniec życia, ale o kobiecie w pełni sił.

Pracowałam nad innymi perłami, starając się przewyciężyć swoje uparte dążenie do doskonałości. Choć Kikit udało się przeżyć grudzień bez ataku alergii, to jednak ten ostatni sprawił, że tym bardziej bała się zjeść coś, czego nie sprawdziliśmy i czego ona nie sprawdziła, a nawet jeszcze wtedy



rozgrzebywała jedzenie na talerzu. Johnny nadal usiłował przezwyciężyć stres związany z rozwodem, starając się odgadnąć zasady i znaleźć swoje miejsce w nowej sytuacji.

Rozwód nigdy nie stanowi idealnego rozwiązania. Zawsze coś się traci, starając się zachować priorytety. W naszym przypadku była to jedność, jaką stanowiliśmy jako rodzina. I chociaż Dennis nie utrudniał mi już spotykania się z dziećmi, nadal nienawidziłam tego całego ustalania: kto, kiedy i z kim. I mimo iż wspólna opieka wydawała się sensownym rozwiązaniem, nigdy nie przestałam pragnąć, by dzieci były przy mnie przez cały czas.

Dobłą stroną tej sytuacji było to, że Dennis poznał w końcu swoje dzieci i nauczył się, jak być ojcem.

A ja zdobyłam Brody'ego.

Ach, Brody... Tyle tu pereł, że trudno zliczyć. Gładkie i cenne – najlepszy przyjaciel, kochanek, przyszły mąż – moje palce dotykały kolejnych klejnotów. Słońce odbijało się w diamencie, który od niego dostałam.

– Wyglądasz, jakbyś miała zapuścić tu korzenie –zażartował, przysuwając stolik i stawiając na nim tacę z grzankami, świeżymi truskawkami i kawą.

Uśmiechnęłam się do niego i przeciągnęłam pod pledem.

– Bo może właśnie to robię.

Przykucnął tuż obok mnie, wsunął ramiona pod pled i pocałował mój nagi brzuch. Wplotłam palce w jego włosy, czując się bardziej szczęśliwa, niż w najśmielszych marzeniach.

Zaczełam cicho nucić. Kolejna miłosna piosenka. Ostatnio ciągle je śpiewałam...

Opuścił głowę i przytulił policzek do mego uda. Poczułam ciepły oddech na skórze. Pogłaskałam Brody'ego po włosach i czując przepelniający mnie

słodki spokój, dośpiewałam do końca piosenkę. Życie nie mogło mi już ofiarować nic lepszego.

Brody podniósł głowę i uśmiechnął się. Właśnie próbowałam sobie wyobrazić, co kryje się za tym diabelskim uśmiechem, gdy także zaczął śpiewać. Jego piosenka traktowała o miodowym miesiącu i była dość obsceniczna.

Śmiejąc się, objęłam go i pomyślałam, że być może nie jest mistrzem w śpiewaniu ani nie umie klaskać do taktu, lecz, Boże, jak ja go kocham!

RS